

# G.X.TODD

POSTAPOKALIPTYCZNY THRILLER CZERPIĄCY Z KLASYKI GATUNKU  
– FANI KLIMATU *BASTIONU* STEPHENA KINGA,  
TEMPA AKCJI *MAD MAXA* I POETYKI *DROGI* CORMACA MCCARTHY'EGO  
BĘDĄ ZACHWYCENI



# OBRONCA

„WYBIJA SIĘ PONAD INNE POWIEŚCI ZE SWOJEGO GATUNKU”.  
„GUARDIAN”

FILIA

**G.X.TODD**

# **OBRONCA**

Przełożył  
Adrian Tomczyk

**FILIA**

Dla moich rodziców,  
Veroniki i Gerry'ego.

(Tato, brakuje mi ciebie każdego dnia, bez wyjątku).

Człowiek pragnie odzyskać utracone głosy.

Julian Jaynes (*Harvard Crimson*, 12 maja 1977 roku),  
autor *Pochodzenia świadomości*  
w analizie umysłu bikameralnego

## Notka

Teoria stojąca za bikameralnym umysłem głosi, że nie istniał nigdy wewnętrzny krajobraz myśli, że nie nauczyliśmy się przyswajać myśli jeszcze długo po tym, jak napisano Biblię (źródła takie jak *Iliada* Homera nie zawierają dowodów na „samoświadomą introspekcję”). Pomiedzy ludźmi istniał jedynie zewnętrzny dialog.

Człowiek bikameralny odbierał słyszalne halucynacje. Wierzył, że to bogowie.

Pozostały jedynie szczątki bikameralności. Jedynie 10 procent populacji słyszy głosy i tylko 35 procent zgłasza, że czuje obecność ukochanych osób po ich odejściu. Inne przykłady obejmują syndrom trzeciego człowieka (przewodniej obecności wyczuwanej przez wspinaczy w warunkach ekstremalnych) i muzy, które w środku nocy odwiedzają artystów i obdarzają ich natchnieniem. I nie zapominajmy, że około 65 procent dzieci przyznaje się do relacji z wyimaginowanymi przyjaciółmi lub antropomorficznymi zabawkami, które ich chronią. W niektórych wypadkach tacy przyjaciele pojawiają się również w okresie dorosłości.

Poza tym kto z nas na krawędzi snu nie słyszał wzywającego głosu?

## **List numer 24**

**Czwarty lipca, poniedziałek**

*Drogi Nieznajomy,*

*nigdy się nie poznamy. Ten list to jedyne, co nas łączy – moje myśli nabazgrane na kartce przesyłane przez twoje oczy prosto do mózgu. To pewnego rodzaju spotkanie i powinniśmy być za nie wdzięczni.*

*Podaję Ci, że ten list zastanie Cię w rozpacz, samotnego albo zagubionego. Tak teraz wygląda nasze życie. Wszyscy staliśmy się dla siebie obcy, a nawet, co gorsza, jesteśmy sobie wrogami. Ludzki duch, który niegdyś wiązał nas ze sobą, teraz dzieli ludzi trwale niczym ocean. Ale zapomnijmy o tym na chwilę. Teraz chcę opowiedzieć Ci historię.*

*Dawno, dawno temu żyła sobie dziewczyna nazywana Ruby, normalna pod każdym względem. Mieszkała w zwyczajnym domu ze swoją zwyczajną rodziną i swoje zwyczajne weekendy spędzała na pracy w domu spokojnej starości, gdzie opiekowała się zwyczajnymi osobami w podeszłym wieku. W jej życiu był tylko jeden człowiek, który nie był zwyczajny, a na imię miał Mike.*

*Mike mieszkał w tym domu opieki. On i Ruby grali w szachy i razem spacerowali, dobrodusznie spierając się, kto mógłby opowiedzieć lepszą historię – Grisham czy King. Mike przypominał Ruby jej młodszego brata (co tłumaczyło w pewien sposób, dlaczego*

*tak go uwielbiała). Ale najdziwniejsze w nim nie było to, że miał Grishama za lepszego gawędziarza, tylko fakt, że od sześćdziesięciu lat rozmawiał z Jonahem, głosem w swojej głowie.*

*Mike powiedział Ruby, że wkrótce pojawią się niezliczone głosy, niektóre z nich niszczycielskie, i wielu ludzi zginie, ale że nie powinna się bać, ponieważ to pierwszy krok na drodze do lepszego, piękniejszego świata. Na łożu śmierci Mike przekazał Ruby Jonaha i tak został on jej nowym przyjacielem. Następnie razem z jej bratem wyruszyli w te zniszczone na nowo ziemie, by razem płakać, śmiać się i przelewać krew, i koniec końców znaleźć Gospodę nad morzem, którą nazwali swoim domem i w której żyli długo i szczęśliwie.*

*Morał tego wszystkiego, Drogi Nieznajomy, jest prosty: mądrość można czasami mylnie wziąć za szaleństwo, a obcy potrafią się okazać przyjaciółmi w przebraniu.*

*Spróbuj proszę pamiętać w trudne dni i zimne noce, które nadejdą, że żadna śmierć nie poszła na marne. To jeszcze trochę potrwa, bo wszystkie zmiany potrzebują czasu, ale będzie lepiej, obiecuję.*

*Twoja przyjaciółka  
Ruby*

*Mamo, kieruję ten wpis z dziennika do Ciebie, ponieważ już nie wrócisz. Nie żyjesz, a ja muszę zobaczyć te słowa na piśmie.*

*Słowa przychodzą mi z łatwością. Al i ja pisaliśmy do siebie notatki od maleńkości. Doprowadzaliśmy Cię do szaleństwa tym skrobaniem i chichotaniem, ale słowa ratowały nam życie. Myślę, że zawsze tak już będzie. Ale słowa to potęga, dlatego muszę być ostrożna – zwłaszcza w przypadku tajemnic, których dochowuję już zbyt długo.*

*Szukająca liczba ludzi nie żyje. To żadna tajemnica. Zabijali się własnymi i cudzymi rękoma. Fakt, że zajęło im to prawie trzy*

*tygodnie, zanim przestali, też jest powszechnie znany, choć wiele osób nie mogło w to uwierzyć.*

*I tu podzielę się pierwszą prawdziwą tajemnicą: mnie to wszystko zupełnie nie zdziwiło. Zostałam ostrzeżona. Pamiętasz Mike'a, mamó? To jeden ze starszych panów, którym opiekowałam się w tamtym domu. Lubił wiśniową tabakę i rozpraszenie mnie podczas partii szachów sprośnymi opowieściami o czasach, kiedy podróżował. Pracownik obsługi powiedział, że Mike cierpi na demencję, ale to nieprawda. Był najzdrowszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek poznałam. Powiedział mi, co się wydarzy, jeżeli nadejdą głosy. A ja uwierzyłam w każde jego słowo.*

*Pisząc to, raz po raz podnoszę wzrok i widzę panią Jefferson. Leży u siebie na trawniku przed domem, ubrana w spódnicę, włosy ma nawinięte na wałki. Łopata, którą uderzył ją pan Jefferson, jest rzucona tuż obok. Nie widzę pana Jeffersona, ale niedługo po tym, jak zabił swoją żonę, usłyszałam wystrzał. Jestem przekonana, że i on nie żyje. Chciałabym, żebyś wróciła, mamó. Tak bardzo za Tobą tęsknię.*

*Muszę już iść. Al wrócił. Kocham cię.*



# CZEŚĆ PIERWSZA

Mężczyzna, który był Pielgrzymem

## Rozdział 1

Z początku Pielgrzym tęsknił za wieloma rzeczami, których braku siłą rzeczy nie dało się przeoczyć. Przykładowo wspomnienie wołowiny mogło człowieka wykończyć. Z łatwością sobie wyobrażał średnio wypieczony stek, czuł, jak rozpływa się w ustach, jak zęby trzonowe zatapiają się w mięsistym kawałku, który eksploduje strugami soku. Taka wizja wystarczyła, by wywołać nieprzyjemne skurcze żołądka, stanowiącego teraz źródło pragnień, których nie dało się zignorować.

Z kolei następnego tygodnia brakowało mu już czegoś innego. Chociażby tłuczonych ziemniaków albo smażonej okry. Na początku przez jakiś miesiąc był taki okres, kiedy nieprzerwanie podróżował, przemierzał tysiące kilometrów, jeśli tylko wiedział, że na końcu tej podróży czekał gęsty, zimny shake truskawkowy. Niedorzeczność tego pragnienia nie sprawiała wcale, że przestawało go dręczyć – dalej było niczym szorstka koszula stykająca się z otarciem.

Dość często te kulinarne pragnienia go opuszczały, ale to było jeszcze gorsze, wtedy bowiem przychodziły do niego duchy ludzi, których kochał, i inne pragnienia trudne do wytrzymania. Próbował je ukrywać w obawie, że wyciągnięte na światło dzienne zastygną jak lawa i już nigdy się ich nie pozbędzie.

Dlatego oczekiwał, aż pragnienia tego typu mu przejdą, staną się ubite niczym te drogi, po których podróżował. Wiedział, że z upływem lat jego wspomnienia porośnie bluszcz codziennych trosk i że uda mu się pogrzebać prześladowające go duchy z przeszłości. Pogrzebać razem ze starym, martwym światem,

w którym kiedyś żył. Oczekiwanie na pochówek było długie i wyczerpujące, ale każdy następny dzień pokrywał ich groby kolejną warstwą ziemi, aż w końcu wielki kopiec sprawiał, że pomimo dobrego wzroku przestawał je widzieć.

Teraz żył wyłącznie z dnia na dzień i niczego nie pragnął.

Czas i ruch pomagały mu w zapominaniu, ale kiedy zamieszanie towarzyszące podróżowaniu nie było w stanie zająć jego myśli, pojawiała się wiele innych rzeczy, przez które nie mógł się skupić.

Butelka piwa. Z kapslem. Nietknięta. Etykieta odchodziła w jednym rogu, napisy bladły. Szkło było brązowe, co stanowiło zaletę: ciemne szkło wpuszczało mniej światła i uniemożliwiało molekularne zmiany w składnikach. Pielgrzym sprawdził datę ważności. Od siedmiu lat było przeterminowane.

Rozejrzał się po zakurzonej barze. Był przy tym uważny, przytomny, choć nie spodziewał się zobaczyć nikogo i nic ciekawego, niemniej wynikało to z gorliwej potrzeby. Któregoś dnia podczas podobnych poszukiwań mógł na niego czekać jakiś ukryty cień, chcąc odebrać, co do niego nie należy. Gotów okaleczyć lub zabić, by dopiąć swego. Oczywiście ten dzień nie miał nadejść jeszcze dzisiaj – w tym pokoju nie było nikogo, tylko różnorakie odbicia jego własnej osoby w długich okruchach stłuczonego barowego szkła, które biegło wzdłuż ściany za ladą.

Wziął piwo i wyszedł ze stołkiem na zewnątrz. Popatrzył na niebo, odnotował brak chmur i jasny, czysty błękit, który rozciągał się od horyzontu po horyzont, jak gdyby rozwałkowano go po całej tej powierzchni, gładki i bez skazy. Letnie niebo sprawiało, że dzień był piękny, ale jego zdaniem dużo wspanialsza była ciemna butelka z piwem, którą trzymał. Prawie jak zapomniany symbol świata, który odchodził w niepamięć.

Był pośrodku niczego w zachodnim Teksasie. Znak drogowy na obrzeżach miasta wskazywał liczbę mieszkańców, 539, jednak Pielgrzym wątpił, by zostało tu więcej niż 39 osób. W dodatku żadna z nich nie pojawiła się w ramach komitetu powitalnego. To

akurat go cieszyło. Najbezpieczniej było schodzić sobie nawzajem z drogi. Niektóre części miasta ucierpiały od pożaru, wypatroszone, poczerniałe szkielety domów sterczały pomiędzy nietkniętymi budynkami niczym gnijące zęby. Wypalone łupiny nadal dymiły i wydzielały trochę ciepła, kiedy przechodziło się obok nich, i nawet teraz gryzący zapach docierał do jego nozdrzy za każdym razem, kiedy wiatr przybierał na sile.

Przeniósł stołek na środek pustej ulicy i postawił go na linii biegnącej pośrodku drogi. Usiadł i przeturlał butelkę między dłońmi. Była twarda jak granit i gładka niczym steatyt. Było ciepło, co nie wpływało dobrze na jej zawartość, ale mógł z tym żyć – w końcu to jego ulubiona marka. Pozbył się kapsla i oblizał wyschnięte wargi. Biała piana formowała się na jego oczach. Przypominała mu bąbelki wytwarzające się podczas kąpieli w wannie, ale woń słodu i chmielu były tak dalekie od zapachu mydła, jak to tylko możliwe. Jęknął cicho i uniósł szyjkę butelki do nosa, po czym głęboko wciągnął powietrze. Ciepłe, spienione piwo jeszcze nigdy nie pachniało tak dobrze.

Oblizał się raz jeszcze, przytknął butelkę do ust i znieruchomiał, widząc kątem oka jakiś cień. To tylko małe mignięcie po lewej stronie, może po prostu chmura przesłoniła na moment słońce albo promień słońca zatańczył na potłuczonej szybie okiennej. W każdym razie coś go zdekoncentrowało, a przecież chciał tylko w spokoju napić się piwa.

Pielgrzym wypuścił powietrze przez nos, odsunął butelkę od ust i zaczął się wpatrywać w okno sklepu całodobowego, aż ruszający się cień wycofał się i schował. Gapił się jeszcze przez chwilę, by upewnić się, że nie pojawi się ponownie, wlepił świdrujące spojrzenie we front sklepu, jednocześnie odchylił znowu głowę, pozwalając strumieniowi płynu dotrzeć do zaciśniętych ust i zwilżyć wargi piwem. Kusił sam siebie. Chwilę później otworzył usta, które zalała powitalna fala bursztynowego nektaru. Mięśnie gardła się zacisnęły, chcąc automatycznie wymusić przełknięcie, i mało brakowało, a udusiłby się piwem, zanim zdołałby je wypluć.

Odchrząknął i znów napełnił usta piwem, po czym przepłukał zęby i dziąsła niczym płynem do jamy ustnej. To również wypluł na ziemię i wkrótce utworzył się strumyczek piwa płynący wężykiem w stronę baru i ścieku.

Jeszcze długo przepłukiwał usta piwem i je wypluwał, chcąc utrwalić słodowy smak w blednących i strzępiących się wspomnieniach. Musiało mu to wystarczyć na jakiś czas.

*Wiedziałem, że nie zaryzykujesz picia tego* – odezwał się Głos, który dobiegał z tego ciemnego miejsca z tyłu głowy Pielgrzyma.

Pielgrzym zamknął oczy. Nie dlatego, że zakłócono mu spokój – każde poczucie spokoju, które życzył sobie osiągnąć, byłoby jedynie złudzeniem, ponieważ Głos był zawsze przy nim i na zawsze miał tam pozostać. Był demonem, aniołem i sumieniem w jednym i nie było przed nim ucieczki.

Pielgrzym poprawił na ramieniu swój plecak, odwrócił się w prawo i ruszył w stronę alei, na której ukrył motocykl. Próbował zignorować czarnego kota podążającego w ślad za nim.

*Nadal nas śledzi.*

Starął się też w miarę możliwości ignorować Głos. Ten nie odzywał się do niego przez cały poranek, urażony czymś, co Pielgrzym powiedział. Albo czego nie powiedział. Pielgrzym nie miał pojęcia i nie bardzo go to obchodziło. Wymowna cisza była mu na rękę. Tak naprawdę miał nadzieję, że Głos będzie wdrażał tę taktykę częściej.

*Zaraz będzie chciał jedzenia. Zapamiętaj moje słowa.*

Złapali ten ogon niedługo po wejściu do miasta. Pielgrzym stwierdził, że kot był niegdyś udomowiony albo przynajmniej do niedawna przebywał w towarzystwie innych ludzi. Był zbyt przyjacielski, co nie mogło mu wyjść na dobre. Większość zwierząt nauczyła się do tej pory, że ludziom nie można już ufać. Wiedziały, że mają trzymać się z daleka albo wkrótce będą serwowane jako kebab. Ten kot nie rozumiał niebezpieczeństw i laził za nim do sklepów, niemal deptał mu po piętach, odskoczył jedynie wtedy,

gdy Pielgrzym wszedł na tylne podwórko baru. Zobaczył kopniętą psią miskę obok tylnych drzwi i niedbale skleconą budę postawioną w dalekim narożniku podwórka i stwierdził, że w okolicy nadal unosi się zapach dawnego właściciela tego obejścia. Kot rozpoznał swojego starego, a może nowego wroga.

Gdy Pielgrzym usiadł na stołku pośrodku drogi i rozkoszował się piwem, zdążył zupełnie zapomnieć o kocie. Dlatego kiedy ten wskoczył na maskę samochodu, wyciągnął broń, a jego palec już zaciskał się na spuście, zanim mężczyzna rozpoznał w małym, czarnym zwierzęciu swojego niedawnego prześladowcę.

Rzucił pod adresem kota przekleństwo czy dwa, ale zwierzak się tym nie speszył. Za nic miał sobie lufę pistoletu wycelowaną w jego głowę. Przez chwilę Pielgrzym rozważał, czy pociągnąć za spust. Odwiódł nawet kurek.

Kot wydał z siebie niskie, żałosne miauknięcie. Gapił się na niego żółtymi lampkami swoich oczu. Zdawały się świecić od środka, lśniące i nieruchome.

Zamiauczał znowu.

Pielgrzym wypuścił cicho powietrze, po czym ostrożnie wycofał kurek z powrotem i włożył broń do kabury.

– Nie byłbyś taki przylepny z dziurą w głowie.

Dźwięk jego głosu był zachętą, której kot potrzebował. Zanurkował do przodu, ocierając się o jego nogi i mruczając, jak gdyby ktoś umieścił w jego małym ciele silniczek.

*Utkniesz na dobre z tym parszywym sierściuchem* – powiedział Głos.

– Mogę go najwyżej później zastrzelić – odrzekł Pielgrzym, pochylając się, by podrapać zwierzę za uchem.

Kot zatrzymał się, pochleptał rozlane na asfalcie piwo. Jego różowy język poruszał się szybko. Kichnął cichutko, potrząsnął głową i pozwolił reszcie wyschnąć na słońcu. Pielgrzym nie winił zwierzęcia – także w jego ustach trunek zostawił nieprzyjemnie gorzki posmak.

O pewnych sprawach lepiej czasem po prostu zapomnieć.

Uśmiech poruszył kącikiem jego ust, gdy ujrzał jednoślada schowany za starym, zardzewiałym śmietnikiem. Motocykl był porysowany, miał kilka wgnieceń i pęknięć, ale chodził jak szwajcarski zegarek i służył mu już od ośmiu miesięcy. To o trzy dłużej niż jakikolwiek inny wcześniej. Wyciągnął go z ukrycia, dłonią ścierając linię kurzu ze spłowiałego zbiornika na paliwo. Przełożył nogę nad postrzępionym siedziskiem, silnik żywo zadudnił, wystarczyło przekręcić kluczyk i wcisnąć starter. Poprawił plecak na ramionach, tak by zawartość była dobrze rozłożona. Wydawał się cięższy niż w ostatnich tygodniach. Zdobył tu więcej zapasów, niż się spodziewał, ale nie zostało już nic przydatnego. Gnijące ciała pochowane w tylnych pomieszczeniach budynków, w garażach i piwnicach, większość poznaczona ranami, które ofiary zadały sobie samodzielnie. Marne to było towarzystwo.

*Poza tym masz przecież mnie – powiedział Głos.*

– Myślałem, że nie odzywasz się do mnie.

*Tak było. Ale mam już dość czekania, aż wreszcie przeprosisz.*

– Przepraszę? Niby za co?

*No właśnie! Ty nawet nie wiesz, co zrobisz. A czekam już całą wieczność.*

Pielgrzym przestał słuchać. Może faktycznie powinien rozważyć zostanie tutaj przez jakiś czas, oszczędzić trochę benzyny, zanim potrzeba zdobycia zapasów popchnie go naprzód.

*Nie usiedzisz w jednym miejscu – powiedział Głos. – Obaj to wiemy. Poza tym jeżeli zostaniemy tu za długo, to licho wie, skąd weźmiemy następny posiłek albo więcej paliwa.*

Nie chciał mu przyznawać racji, ale tym razem musiał, Głos trafił w sedno. Poza tym Pielgrzym wolał się poruszać. Lepiej żyć pod gołym niebem i z horyzontem w zasięgu wzroku niż z murami miasta wokół. Dzięki temu lepiej widział, co go czeka.

*Wreszcie miejscowi nie będą zachwyceni, jeżeli tu zostaniemy. Jedynie kot zechciał nas miło powitać.*

Oczy Pielgrzyma automatycznie powędrowały w kierunku kota. Chodził w tę i we w tę koło motoru, szukając bezpiecznego sposobu,

by wspiąć się na niego.

*Zabierz go – powiedział Głos. – Może posłuży nam później jako przekąska. Albo wymienimy go na coś przydatnego.*

Pielgrzym odchrząknął.

*A skoro już przy nim jesteśmy, można by go jakoś nazwać.*

– Może i tak zrobię – odrzekł Pielgrzym.

Pochylił się i chwycił zwierzę za skórę na karku, po czym podniósł wysoko i usadził na baku przed sobą. Tylne łapy kota ślizgały się, dopóki nie oparł ich o uda kierowcy rozchylone w kształt litery V, tuż przy szwie krokowym dzinsów.

– Jeśli zobaczę choćby jeden pazur w pobliżu moich jaj, wylecisz stąd w podskokach.

Pielgrzym otworzył przepustnicę, obserwując reakcję kota na gardłowy ryk silnika. Zwierzę wydało z siebie krótkie, urwane miauknięcie, ale uspokoiło się prawie od razu.

Pielgrzym burknął i nałożył okulary przeciwsłoneczne, które miał zawieszony na szyi. Jak zawsze świat stawał się dużo bardziej znośny, kiedy było trochę ciemniej. Następnie uniósł zakurzoną chustę i przewiązał ją ciasno nad nosem. Siedział tak z zamkniętymi oczyma, chłonąc ciepło tego dnia jak jakaś jaszczurka i ogrzewając się przez chwilę. Głęboko wciągnął powietrze przez bawełniany materiał przy ustach, motor wibrował pod nim kojąco. Wolno odliczył do piętnastu – zawsze uważał tę liczbę za dobrą – po czym piętą złożył boczną nóżkę, wrzucił bieg i obrócił maszynę w stronę słońca.

Niewiele było wokół do oglądania. Pielgrzym skupił się na drodze, na horyzoncie. Patrzył na opuszczone samochody i na miejsca, gdzie ktoś mógł zastawić na niego pułapkę. Wypatrywał ostrych przedmiotów na asfalcie, które rozkładano, by dziurawiły opony. Na kilka rzeczy należało zwracać uwagę (przykładowo na znaki kierujące do supermarketów, stacji benzynowych, aptek, szpitali, a nawet bibliotek), ale ogólnie rzecz biorąc, nie zajmowało go nic poza tymi kilkoma miejscami i obawą przed tym, że ktoś pozbawi go cennego ładunku albo nawet życia (teraz ta troska obejmowała



chyba również kota).

Wtem zauważył dziewczynę.

Była jeszcze ładny kawałek od niego, ale już teraz stanowiła wyraźną kolorową plamę, która rzucała się w oczy. Mimo to jej widok wzbudził w nim niewielkie zainteresowanie.

Nastolatka siedziała na składanym krześle rozstawionym na poboczu. Obok stał ręcznie robiony znak z namalowanym napisem „Świeża lemoniada na sprzedaż. Pij albo spływaj”. Wokół ktoś pięknie namalował zielone pnącza oplatające litery, a w rogach reklamy widniały duże, żółte cytryny.

*Ciekawość* – odezwał się Głos z tyłu głowy. – *Ciekawość to pierwszy stopień do piekła.*

## Rozdział 2

Przez osiatkowane okna przezierało jasno świecące słońce, tworząc we wnętrzu cichego domu cienie. Lacey usiadła w fotelu swojej babci, podciągnęła nogi i objęła je rękoma. Ciężki, robiony na drutach koc okrywał jej ramiona. Fotel był już stary, postrzępiony i mocno zużyty, jego drewniane nogi miały blade blizny od niezliczonych razów, które babcia wymierzyła im przypadkiem swoją laską. Oskrzydlone boki oparcia, na których opierała głowę, zupełnie się już wytarły, spod obicia wyzierała bladożółta wyściółka.

Lacey mruczała cicho pod nosem, obracając w dłoni okulary w drucianych oprawkach. Rogiem koca wytarła soczewki i uniosła je do oczu. Zezowała na zakurzony pokój i wpatrywała się uważnie w rozmazane zdjęcia zawieszane na ścianach.

– Jezus, babciu. Byłaś ślepa jak kret.

Opuściła okulary i obrazy nabrały ostrości. Głównie fotografie rodzinne Lacey i jej starszej siostry. Na jednej siedziały na podłodze sypialni Karey, wokół leżały rozrzucone stare winylowe płyty babci, rozpromieniona sześćioletnia Lacey patrzyła w obiektyw, ostrożnie trzymając czarną płytę za jej krawędzie, dokładnie tak, jak poinstruowała ją Karey. Karey nie patrzyła w aparat. Spoglądała na Lacey z wyrazem zaniepokojenia, jakby odliczała sekundy do chwili, gdy jej siostrzyczka upuści cenne nagrania *Klubu samotnych serc sierżanta Pieprza*. Były to obawy nieuzasadnione, Lacey niczego nie upuściła. Udawało jej się to także przez pięć następných dni. Dopiero później płyta upadła na krawędź i pękła.

Wszystkie łzy i przeprosiny tego świata nie uratowały Lacey przed gniewem starszej siostry (a Karey dokładnie wiedziała, jaka kara spowoduje najczęściej wyrzutów sumienia). Przez dwa długie tygodnie Karey nie odzywała się do niej ani słowem. Tego Lacey nienawidziła najbardziej. Ciszy. Te dwa tygodnie ciągnęły się jak wieczność.

W zimnym, cichym pokoju Lacey westchnęła i wsunęła na nos okulary babci, przekształcając tym samym zdjęcia rodzinne w rozmyte smugi. Czasami patrzenie na te znajome twarze sprawiało, że dom wydawał się jeszcze bardziej pusty, a cisza ciążyła tysiąc razy bardziej.

Skrzypnięcie dobiegające z korytarza sprawiło, że żołądek jej się skurczył. Wiedziała, że hałas dobiegł z dołu, spod schodów. Zacisnęła powieki i szepnęła:

– Nic tam nie ma, Lacey. Zignoruj to. Ten dom bez przerwy wydaje jakieś głupie dźwięki.

Skrzypnęło raz jeszcze, ale nie zamierzała spoglądać w stronę, skąd dobiegł ten dźwięk. Dom przy zagrodzie był stary, właśnie dlatego skrzypiał, jęczał, czasami cicho stukał, jak gdyby armia pajaków maszerowała na wojnę pod deskami podłogowymi. To tylko słuch płatał jej figle.

Trzecie skrzypnięcie. Lacey odrzuciła koc i zanim zdążyła się rozmyślić, zeskoczyła z fotela, ściągnęła okulary i rzuciła je na szafkę. Otworzyła ją, ale w środku było pusto. Niestety. Mała przestrzeń szafki szydziła z niej swoją pustką, bo – o ironio – to ona ją opróżniła.

Zatrzasnęła drzwiczki i oparła się czołem o drewno.

– Muszę się stąd wydostać, zanim oszaleję.

Oddychała głęboko przez jakiś czas, po czym wróciła do nucenia *She's Leaving Home*, jej piątego ulubionego utworu Beatlesów. Dobrze się do drugiego wersu, wstała i wróciła do salonu. Podniosła koc, który odrzuciła wcześniej na bok, starannie go złożyła na pół i jeszcze raz, po czym wymościła nim siedzenie fotela. Buty miała już na nogach, ale upewniła się, czy sznurowadła są porządnie

zawiązane. Po drodze do wyjścia zatrzymała się przy stole na korytarzu, żeby zabrać metalową manierkę, którą tam zostawiła. Nie patrzyła na małą szafkę pod schodami. Opuszczając dom, upewniła się, że drzwi wejściowe są zamknięte, na wszelki wypadek kilkakrotnie naciskając klamkę, po czym rozpoczęła marsz w stronę drogi.

Pomysł na stoisko z lemoniadą zrodził się w przebłysku geniuszu.

Lacey zadała sobie pytanie: czego strudzony podróżny mógłby chcieć ponad wszystko inne? Myśląc o tym, patrzyła przez kuchenne okno na rośliny, które hodowała babcia (ogórki nie dojrzewały, jak powinny – Lacey zabijała wszystko, czego dotknęła, niezależnie od tego, jak bardzo się starała. Babcia uwielbiała powtarzać, że ma dwie lewe ręce), a także na idealnie prostokątną stertę przerzuconej ziemi spoczywającą za nimi. Lantana, którą przesadziła na to miejsce, ładnie się przyjęła, i to mimo dwóch lewych rąk Lacey (poczuła się z magazynów ogrodniczych babci, zanim zabrała się do roboty), a po dziesięciu tygodniach poczuła jednocześnie szczęście i ulgę, widząc kwitnące na czerwono, pomarańczowo i żółto kwiaty. Za grobem rosły małe drzewa cytrynowe.

„Kiedy życie daje ci cytryny, pryśnij draniowi sokiem cytrynowym w oko!” – babcia często chichotała, wygłaszając podobne sentencje. Poza tym pokazała Lacey, jak się robi lemoniadę. Znała mnóstwo przydatnych wskazówek.

Z tych dwóch drzewek Lacey zebrała dziesięć ostatnich cytryn. W piwnicy znalazła składany stół, krzesło, kawałek kartonu i kilka starych puszek po farbie. Wzięła wszystko i przez godzinę na podwórku malowała. Potem ruszyła w stronę drogi, by wreszcie klapnąć i cierpliwie czekać.

Po pięciu dniach o mało nie wyrzuciła wszystkiego z powrotem do piwnicy.

Po siedmiu zostawiała sprzęt przy drodze. Nie obchodziło jej, co się z nim stanie.

Po dziesięciu dniach czekania była zarówno zmartwiona, jak i zrezygnowana, ale mimo to każdego ranka i popołudnia mozolnie maszerowała tam i z powrotem, bo jak mówiła babcia, poddać się jest dużo gorzej, niż nawet nie zacząć.

Poza tym cóż lepszego miała do roboty? Nie omijały jej przecież urodziny najlepszej przyjaciółki. Courtney Gillon bez wątpienia świętowała już wszystkie urodziny, jakie miała przeżyć. Ostatnie, na których była Lacey, osiem lat temu, to chyba była najlepsza impreza, o jakiej Courtney mogła marzyć. Była na niej kobieta przebrana za Elbę z *Krainy lodu* i pełnowymiarowy Iron Man razem ze świecącymi rękawicami i całym oporządzeniem. Lacey ledwo pamiętała, jak wyglądała jej przyjaciółka, ale błękitne perełki na sukni Elsy i czerwone rękawice Iron Mana wryły się w jej pamięć idealnie, jak gdyby widziała je wczoraj. Pamięć czasami działała w dziwny sposób.

Nie było jej w sumie już smutno z powodu Courtney Gillon. Dawno temu rzeczy typu przyjęcia urodzinowe, Elsa, Anna i Iron Man były dla Lacey bardzo ważne, ale teraz wydawały się po prostu głupie. Przez ostatnich siedem lat pojęła, co jest naprawdę ważne: jedzenie, świeża woda, zdrowie, rodzina. Dlatego postanowiła obsługiwać dalej stoisko z lemoniadą. I czekać.

Piętnaście dni i dalej nic. Wczoraj Lacey zużyła resztki mleczka do opalania. Jej rude włosy rozjaśniły się o dwa odcienie od zbyt długiego siedzenia na słońcu.

Na razie widziała tylko jedną osobę, starego dziwaka na rowerze. Źle wyglądał, skórę miał czerwoną i lśniącą od mocnych poparzeń, a głębokie zmarszczki na jego twarzy wypełniał brud. Przejeżdżając z trudem obok, nie spojrział na nią, nawet kiedy krzyknęła w jego stronę i pobiegła u jego boku przez jakieś trzydzieści metrów, pytając, skąd przyjechał, dokąd zmierza i co się w ogóle dzieje. Zaoferowała mu nawet trochę lemoniady na koszt firmy, ale on jej nie słyszał, nie miał nawet pojęcia, że jest obok. Liczyło się tylko pedałowanie i jazda naprzód. Przystanąła w końcu, dysząc, dłonie oparła na biodrach i patrzyła, jak odjeżdża.

Gdyby kiedyś zaczepiała nieznanym, spotkałaby ją reprimenda od babki, a następnie wysłuchałaby szybkiego przeglądu scenariuszy, które mogły wynikać z tej ogromnej głupoty. Żadna z tych historii nie nadawała się na dobranockę. Zdarzyło się, że wychudły mężczyzna przykucnął obok ich podwórka przed domem, mamrocząc do siebie. W końcu powiedział, że nie pójdzie, dopóki ktoś go nie nakarmi. Lacey chciała mu nawet coś dać – wtedy jeszcze mieli dużo – ale babcia ją przegłosowała. To jak karmienie kota przybłądy. Jak już raz zobaczy, że masz miękkie serce, nigdy się go nie pozbędiesz.

Mamroczący mężczyzna robił się coraz głodniejszy. Innym razem obok przechodziła grupa, dwóch mężczyzn i dwie kobiety. Rzucali przedmiotami w stronę domu, wybili nawet okno. Babcia wypaliła ze strzelby, zachęcając ich tym samym do opuszczenia posesji, ale kiedy zaczęli krzyczeć „szlag” i „kurwa”, a nawet nazwali je słowem na „c”, babcia strzeliła drugi i trzeci raz. Lacey była pewna, że jednego z mężczyzn poważnie zraniła w ramię, ale babcia upierała się, że tylko go drasnęła. Wkrótce później odeszli, ale przedtem ten niższy, nieraniony, opuścił spodnie, przykucnął i zostawił dla nich prezent na ziemi przed domem.

Wulgarni ludzie i mamroczący człowiek to nie była jakaś norma. Zwykle kiedy ludzie podchodzili w ich stronę, wystarczyło pomachać bronią i bardzo szybko zawracali, nie sprawiając kłopotów. Ogólnie rzecz biorąc, te dwie scysje nie wzbudziły w Lacey zbyt wiele podejrzeń. Mimo to za każdym razem, kiedy na zewnątrz był jakiś ruch, babcia chwyciła za broń i zajmowała dogodną pozycję przy drzwiach, skąd mogła zerkać przez okno. Stało się to niemal tradycją w ich domu. A kiedy babci już nie było, należało to do obowiązków Lacey. Niewiele dobra zostało na świecie i babcia tłumaczyła dziewczynie, że ma o tym nie zapominać.

Wysoko na niebie słońce mocno grzało, cień Lacey wyglądał na ziemi jak jej pochylona kopia. Patrzyła pustym wzrokiem na blat stolika i skubała paznokcie, martwiąc się intensywnie. Nuciała,

falszując, tym razem trzecią z kolei ulubioną piosenkę Beatlesów, *Blackbird*. Próbowała nie myśleć o dwóch ostatnich pomidorach, które trzymała w kieszeni. Brzuch, w którym burczenie odbijało się już echem, nalegał, by je wreszcie zjadła, ale mózg podpowiadał, że powinna wytrzymać jeszcze trochę.

Cisza się urwała. Lacey opuściła dłoń i wyprężyła się jak piesek preriowy. Wszystkie zmartwienia dotyczące jedzenia i mleczka do opalania wyparowały, kiedy usłyszała słodki ryk silnika w oddali.

Motocykl drżał w chmurze gorąca, z początku trudno go było dostrzec, ale po chwili widok się wyostrzył i nabrał wyrazu, kiedy jeździec się zbliżył. Patrzyła na niego z obawą, gotowa udąć omdlenie, gdyby kierowca nie zwolnił, ale silnik przycichł i wiedziała, że kierowca wytraca prędkość, redukuje biegi i przygotowuje się do hamowania. Usiadła z powrotem i próbowała wyglądać nonszalancko.

Lacey wiedziała, że ten plan nie spodobałby się babci, ale jej zdaniem nie było innego wyjścia. Przynajmniej jeśli zamierzała pozostać przy zdrowych zmysłach. Albo jeśli chciała jeszcze kiedyś zobaczyć swoją siostrę. Ciszy nie da się wytrzymać w nieskończoność.

### Rozdział 3

Pielgrzym wykonał już pobieżny skan terenu i nie dostrzegł miejsc, w których mogliby się schować jacyś złodzieje. Dziewczyna naprawdę rozłożyła się pośrodku autostrady, a najbliżej ich znajdował się teraz stary dom z zagrodą, oddalony o jakieś osiemset metrów.

*Mmm, cytryny – skomentował Głos. – Lubisz cytryny.*

Pielgrzym zatrzymał się obok stoiska, na wyciągnięcie ręki od plastikowych kubków ustawionych na składanym stoliku, i wyłączył silnik. Oderwał wzrok od znaku z namalowanymi cytrynami, ale jego wzrok bezwiednie wracał tam co chwila. Żółta barwa owoców budziła jakieś wspomnienie, coś głęboko pogrzebanego w pamięci ze względów bezpieczeństwa. Nie próbował się do tego dokopać. Nie było powodu, by niepokoić zmarłych.

Długa chwila ciszy wybrzmiała, kiedy dziewczyna mierzyła wzrokiem jego i motor. Odwzajemnił się tym samym, korzystając z osłony, jaką dawały okulary przeciwsłoneczne. Była czysta, co już go zaskoczyło, poza tym wyglądała na zdrową. Jej oczy były jasne, wzrok niezmacony i trochę podejrzliwy. Przyzwyczał się do takich reakcji. Dałby jej jakieś piętnaście lat, ale trudno o pewność, kiedy siedziała – wzrost mógł mu wiele powiedzieć w tej kwestii.

*Obstawiam szesnaście – powiedział Głos.*

Pielgrzym się nie zakładał, zwłaszcza z odcieleśnionymi głosami.

– Fajny kot – powiedziała w końcu dziewczyna, najwyraźniej skończywszy oględziny.

– Fajne stoisko z lemoniadą.



Jakieś mgnienie uśmiechu pojawiło się na moment, po czym zniknęło.

– Chcesz szklanek? Sama wyciskałam cytryny.

– To zależy.

– Od czego?

– Od tego, czy napijesz się ze mną.

Znowu ucichła, ale nie spuszczała wzroku. Czegoś szukała, patrzyła, jak gdyby próbowała wydobyć z jego słów jakieś ukryte znaczenie.

– Chcesz, żebym napiła się z tobą? Tylko o to chodzi? – W jej głosie wyraźnie dało się wyczuć nieufność.

Skinął głową.

– To wszystko. Słowo skauta.

Tym razem uśmiech zabawił na jej ustach chwilę dłużej.

– Nie przypominasz skautów, których dotąd widywałam.

Wątpił, by widziała kiedyś jakiegoś, ale się nie sprzeczał. Zdawał sobie sprawę, że musi być okropnie potargany, ale nie próbował poprawiać włosów.

– Pozory mogą mylić – powiedział.

Nie był szczególnie spragniony. Manierka była jeszcze pełna świeżej wody, a kolejne dwie butelki miał spakowane w lewej bocznej sakwie. Kierowała nim raczej chęć zaspokojenia ciekawości.

– Przejeżdżał tędy ktoś ostatnio? – zapytał. – Jacyś ludzie, ktokolwiek?

Nie dalej jak kilka dni temu sam wypatrzył dużą grupę wędrowców, co najmniej pięć pojazdów. Byli od niego oddaleni i stanowili dziwny widok, wzbijany przez nich kurz przysłaniał drogę. Nomadyczne grupy rzadko osiągały takie rozmiary. Prędkość i kierunek tej konkretnej grupy podpowiadały Pielgrzymowi, że zmierzali gdzieś w konkretnym celu, dlatego to go zainteresowało.

Dziewczyna sięgała już po duży srebrny termos, żeby nalać dwa pełne kubki, po jednym kawałku cytryny w każdym.

– Nie. Też szukam jakichś ludzi. Widziałam tylko człowieka na rowerze i teraz ciebie. A dlaczego pytasz? Szukasz kogoś?

– Nie – odpowiedział. – Nikogo konkretnego.

Odstawiła termos i podniosła obydwie kubki, podając swojemu rozmówcy jeden z nich. Światło odbijające się od cytryn rzucało taneczne, żółte refleksy na jej dłonie. Jej skóra zdawała się pochłaniać barwę, tylko opuszki palców świeciły. Złote światło rozproszyło się powoli, blednąc, aż poświata całkiem zniknęła, a palce wróciły do normalności, kiedy odbierał od niej napój. Ukrył zdziwienie, zaciskając dłoń na szklance.

*Kolejna niespodzianka? Musisz być ostrożny, inaczej w końcu dostaniesz zawatu* – powiedział Głos.

Pielgrzym nie zwracał na niego uwagi. Zastanawiał się, w jaki sposób dziewczyna schłodziła lemoniadę, skoro używany w chłodziarkach gaz był już na wykończeniu i tylko generator mógł zasilić lodówkę. Elektryczność nie płynęła przewodami w tej okolicy od lat, sieć energetyczna została wyłączona kilka tygodni po katastrofie w tych miejscach, które miały szczęście, gdzie indziej już po kilku dniach, a systemy energetyczne były sabotowane od wewnątrz przez wściekłych, przerażonych i skłaniających się ku autodestrukcji pracowników, którym diabeł sącył do uszu złe myśli. Bardzo długo ludzie poddawali się myśli, że może spaść na nich bomba atomowa, że wybuchnie jakaś wojna albo kapryśna Matka Natura będzie miała napad złości i pokaże im, gdzie ich miejsce, ale nic nie przygotowało ich na atak od wewnątrz. Nie przewidziano żadnych systemów bezpieczeństwa przeciwko wrogowi z tej strony barykady. Dlatego od razu pierzchli, zaczęli uciekać przed sobą nawzajem, ale nie dało się zwać przed samym sobą. Paranoja i chęć przetrwania stały się nowym prawem na tych ziemiach.

*A ja stałem się twoim zaufanym compadre* – powiedział Głos, zadowolony z siebie.

Pielgrzym zachnął się, nieprzekonany. Powiedziałby raczej, że nie tyle mu ufa, ile jest na niego po prostu skazany.

*To trochę niesprawiedliwe* – narzekał Głos. – *Wyobraź sobie, że mógłbym być dużo gorszy.*

Dziewczyna uniosła plastikowy kubek w radosnym pozdrowieniu, nieświadoma dialogu w głowie Pielgrzyma.

– Cin cin – powiedziała.

Podniósł swój kubek, ściągając z twarzy chustę.

Piła duszkiem. Żółte światło odbite od cytryn pokryło jej gardło plamkami, kiedy szybko przełykała. Pielgrzym obserwował ją uważnie, dopóki nie wypła połowy, zanim sam się napił. Lemoniada smakowała cierpko, na granicy gorzkości, ale była też odpowiednio posłodzona, co równoważyło smak, dlatego kiedy przełknął pierwszy łyk, już chciał więcej. Wypił cały kubek trzema dużymi łykami i zachłysnął się lekko na koniec. Kroplę, którą przeoczył, a która teraz chciała ściec po kubku, chwycił szybko na język.

Dziewczyna patrzyła na niego z satysfakcją.

– Dobre, co?

Zmrużył nieco oczy, choć i tak tego nie widziała przez jego okulary przeciwsłoneczne.

– Całkiem w porządku – przyznał.

Zaśmiała się na te słowa, dźwięk był wysoki, dźwięczny i brzmiał naturalnie. Uderzyło go to w pierwszym momencie, zaskoczyło. Minęło dużo czasu, odkąd ostatnio słyszał śmiech.

*Trzecie przewinienie!* – wrzasnął Głos.

– A teraz – ciągnęła dziewczyna – przejdźmy do płatności.

Do płatności. No jasne.

Pielgrzym nic nie odpowiedział.

Wyciągnęła rękę w stronę znaku i puknęła palcem w napis „Wyprzedaż”.

– Nie ma nic za darmo, drogi kolego – powiedziała.

– W porządku. Ile jestem winien?

– Przejażdżkę.

Żołądek skurczył mu się gwałtownie i przez chwilę poczuł, jak gdyby tonął. Zmarszczył brwi.

– Nie – odrzekł.

Jego nieprzyjemny wzrok i krótka odmowa nie zniechęciły jej.

– Trzeba było zapytać o cenę, zanim skosztowałeś mojego towaru.

Nie spytałeś, wypiełeś, a teraz musisz płacić.

– Szklanka lemoniady nie jest warta tyle, co paliwo.

– Może i nie jest. Ale w tych czasach ceny idą w górę.

Nie odpowiedział.

Dziewczyna się skrzywiła.

– Słuchaj, możesz zachować się jak porządny człowiek i zapłacić, ile trzeba, jak na honorowego klienta przystało, albo będę tu siedziała, dopóki nie przejedzie tędy ktoś jeszcze. Kto wie, może ten ktoś zabierze mnie ze sobą. Ale czy będzie on honorowy? A może w głowie mu zaświta porwanie dziewczyny takiej jak ja? Może zresztą zechce ze mną zrobić coś więcej.

Sposób, w jaki powiedziała „coś więcej”, nie pozostawiał wątpliwości co do tego, jakie „więcej” miała na myśli. Szesnastolatka, która nie używała słów „gwałt” ani „pierdolić”, a do tego wierzyła, że istnieje jeszcze jakiś kodeks honorowy. Jej poglądy i sposób, w jaki się wysławiała, były staromodne. Zerknął w stronę oddalonego domu z zagrodą. Jak długo tkwiła w tej dziurze?

*A skąd ona wie, że i my nie będziemy chcieli od niej czegoś więcej?* – spytał Głos.

Kot, który przez większość wymiany zdań tkwił w jakimś odurzeniu wywołanym wibracjami, podniósł się i przeciągnął sennie. Przeskoczył z motocykla na rozkładany stolik i zaczął obwąchiwać pusty kubek, odstawiony tam przez Pielgrzyma.

Dziewczyna sięgnęła w stronę kota i podrapała go za uchem. Zwierzę było zachwycone jej uwagą, przechylało z rozkoszy głowę i wtulało pyszczek w dłoń.

– No dalej, Skaucie – powiedziała cicho, patrząc na niego pozbawionym wyrazu wzrokiem. – Potrzebuję jedynie transportu do Vicksburga. I tak jechałeś w tamtą stronę. Potem zejdem ci z oczu, przysięgam.

Odwrócił od niej wzrok i wbił go w horyzont, rozmyślając.

*Nawet jeśli tamten konwój wtedy nie zmierzał w tę stronę – powiedział Głos – to nie znaczy, że inni nie podróżują po tych terenach. Prędzej czy później wpakuje się w jakieś kłopoty, prosząc obcych o podwiezienie. Ale jeśli chcesz po prostu odjechać i zostawić ją tutaj, to nic mi do tego. Kota też wysadź. Znowu będziemy tylko ty i ja, dwóch hombres na drodze. Spędzimy ze sobą trochę miłych chwi...*

– Do Vicksburga i ani kawałka dalej – powiedział Pielgrzym, przerywając Głosowi. Nadal patrzył na żółtą linię biegnącą środkiem drogi w stronę horyzontu. Konsekwentnie nie pytał, dlaczego chce się tam udać. Nie jego sprawa.

– Ani kawałka dalej – potwierdziła.

Nie musiał na nią patrzeć, by wiedzieć, że się uśmiecha. Było to jasne jak słońce, słyszał to w jej głosie.

– Lemoniadę weź ze sobą – dodał Pielgrzym.

Dziewczyna wsunęła się zgrabnie na siodełko za nim, mimo jego plecaka. Nie sięgałaby mu do ramienia, gdyby stali obok siebie. Zastanawiał się, jakim cudem tak długo udało jej się przetrwać samej.

Wskazała mu dom i spytała, czy mógłby zatrzymać się tam na chwilę, żeby wzięła swoje rzeczy. Zjechał motocyklem z drogi i skierował się w stronę zabudowań. Specjalnie próbował przestraszyć trochę dziewczynę, jadąc za szybko jak na taki nierówny teren, może nawet wystraszyć ją na tyle, by zrezygnowała ze wspólnej jazdy, ale na każdym wyboju i przy każdym poślizgu słyszał za plecami chichot.

Lustrował dom z zagrodą z każdej możliwej strony, szukał wzrokiem poruszających się zasłon albo cieni przesuwających się za oknami, ale nie widział żadnych śladów życia. Duże okno od frontu było zabite deskami, na dachu brakowało kilku listewek. Boki domu wyblakły do bladej szarości, farba odpadała płatami niczym łuszcząca się skóra. Dom wyglądał, jakby wiele przeszedł.

Wręcz biła od niego grobowa aura rozkładu. Mimo to Pielgrzym nie tracił czujności.

Zacisnął dłonie na hamulcach, zatrzymał się gwałtownie przed stopniami werandy i czekał, aż dziewczyna zejdzie. Popatrzył w jej roześmiane oczy i poczuł się trochę tak, jakby ktoś wrzucił kamień do bezdennej studni, jaką teraz był jego żołądek.

– Będą z tobą kłopoty – powiedział. – Czuję to.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Nie bądź takim pesymistą. Zaraz wracam, okej? Nigdzie nie odjeżdżaj – powiedziała i zniknęła wewnątrz, zostawiając drzwi otwarte na oścież.

*Będą z nią nie tylko kłopoty. Pewnie obaj przez nią zginiemy.*

Głos wydawał się zrezygnowany na samą myśl o tym.

– To nawet bardziej pesymistyczne niż moje słowa – powiedział Pielgrzym.

*Taka moja rola, być podwójnym pesymistą. Ty niestety jesteś zbyt tępy, by wziąć pewne sprawy pod uwagę.*

– Spędzi z nami tylko kilka dni. Odprawimy ją, zanim zdążymy się dowiedzieć, jak ma na imię. Poza tym sam mnie przekonałeś do tego pomysłu.

*Co mogę na to powiedzieć? Najwyraźniej na chwilę postradałem zmysły.*

Pielgrzym spędził pięć minut na głaskaniu kota, w końcu niecierpliwość zwyciężyła. Odsunął zwierzę butem i wszedł po stopniach na werandę, rozejrzał się uważnie, zmierzył wzrokiem każdy zakamarek, każdą szparę i szczelinę.

W środku było cicho jak makiem zasiał, ale za to bardzo jasno. Słońce wlewało się przez wszystkie frontowe okna, zatęchłe firanki tylko nieznacznie przysłaniały światło. Spora warstwa kurzu pokrywała wszystko wokół: poręcz prowadzącą na piętro, dywan w kwiecisty wzór, stolik przy ścianie, na którym stał staromodny telefon z tarczą, obok niego ktoś oparł laskę. Postąpił krok naprzód, buty wydały głośny i głuchy dźwięk na drewnianej podłodze przykrytej cienkim dywanem. Przez łukowate drzwi na

lewo widział salon, a w nim ciężkie sofy, kamienny kominek, a na prawo, za drugim łukiem – pustą jadalnię. Duży bukiet sztucznych kwiatów ustawiony na środku stołu z ośmioma krzesłami był szary i wyblakły. Nigdzie ani śladu dziewczyny.

Chciał iść do kuchni, dlatego skręcił w prawo i przeciął jadalnię. Ściągnął okulary, światło nie razilo już jego oczu, mogły zawisnąć na łańcuszku. Dłoń oparł na rękojeści półautomatu kalibru 9 milimetrów, który wisiał w kaburze na jego biodrze.

Popchnął ruchome drzwi i wszedł do jasnej i przewiewnej kuchni. Była w idealnym stanie, wokół ani odrobiny kurzu. Wyspę pośrodku zajmowały miski, słoiki, łyżki i ponacinana, mocno zużyta deska do krojenia. Po wcześniejszych zabiegach dziewczyny zostało jeszcze kilka cytryn. Po samej dziewczynie – ani śladu.

Zauważył ruch za oknem, więc wyrzwał na zewnątrz. Klęczała obok jakiegoś głazu.

*Mam nadzieję, że nie poszła się modlić. Bogowie i religie nie są teraz mile widziani.*

– Cicho – odrzekł zdekoncentrowany Pielgrzym, przesuając się bliżej okna, by widzieć wyraźniej.

Głośny łoskot sprawił, że pochylił się i obrócił, ręka powędrowała do pistoletu. Kot zlizywał cukier rozsypany na blacie stołu, przewrócony słoik toczył się obok jego tylnej łapy. Zwierzę zdawało się ignorować fakt, że ktoś mierzy mu w głowę i to już drugi raz tego dnia.

*Zaczynam myśleć, że on specjalnie kusi los.*

– W końcu się doigra. – Pielgrzym schował broń i odwrócił się w stronę okna. Dziewczyna już wracała, trzymając w ramionach ciekący pojemnik z aluminium. Przeszła pomiędzy dziecięcą huśtawką i długim kopcem ziemi przykrytym wyrastającym zeń dywanem z kwiatów.

Spotkali się przy tylnych drzwiach.

– Co jest w pudle? – zapytał.

Posłała mu podejrzliwe spojrzenie.

– A czemu cię to interesuje?

– Cóż, jeśli chcesz, żebym cię zabrał, będę musiał umieścić to na motocyklu. A skoro to mój motocykl, do mnie należy ostatnie słowo w sprawie bagażu.

Skrzywiła się i musiał się powstrzymać, żeby nie parsknąć na widok jej zaciśniętej szczęki. Westchnęła i powiedziała:

– Mięso.

– Mięso?

– Tak właśnie powiedziałam. Mięso. Głuchy jesteś?

– Nie, nie głuchy. Tylko zdziwiony. Skąd wzięłaś tutaj mięso?

Uśmiechnęła się.

– A skąd się bierze mięso? Ze zwierząt.

Minęła go i postawiła zbiornik na wyspie pośrodku kuchni. Kot wydał z siebie jęk, zeskoczył ze stołu i smyrgnął na zewnątrz.

Dziewczyna podeszła do spiżarni i zniknęła, by po chwili wrócić z rolką papieru pergaminowego i szpulką sznurka. Przekładała mięso z pudełka na papier, cały czas mówiąc:

– Babcia hodowała kurczaki. Oprócz tego kilka kóz. Choć kozy nie są zbyt smaczne, raczej twarde i żyłaste. Mleko od nich wystarczyło na trochę, w końcu przestały je dawać i służyły wyłącznie za kosiarki. W każdym razie utrzymywały porządek na podwórku, trawa była zawsze przycięta, to im muszę przyznać.

Był pod wrażeniem tego, jak szybko i sprawnie zapakowała mięso w paczki. Ewidentnie miała w tym doświadczenie.

– Jak już postanowiłam, że opuszczę to miejsce – przeciągnęła sznurek wzdłuż jednej strony opakowania, przełożyła i powtórzyła to samo wszcz, następnie zrobiła węzełek na środku, dzięki czemu paczka była schludnie opakowana i równomiernie obwiązana na krzyż – nie widziałam powodu, żebym zostawiała kurczaki tutaj same. Zdechłyby z głodu, w końcu to wyjątkowo durne ptaki. Poza tym przestały się nieść. No więc zabiłam je i oczyściłam, żeby później je wziąć ze sobą. Zostawiłam je w studni, żeby się chłodziły, póki szukam podwózki.

– W studni – powtórzył i usłyszał z tyłu głowy, jak Głos wzdycha ze zrozumieniem. – To tłumaczy, jak chłodziłaś lemoniadę.



*Jedna zagadka rozwiązana* – powiedział Głos.

– Tak. Babcia pokazywała mi tę sztuczkę. Nasza lodówka zawsze wysiadała podczas burz, kiedy odłączano prąd.

Pielgrzym zauważył, że użyła czasu przeszłego w odniesieniu do swojej babci. Obok zlewu, na szafce, dostrzegł pojedynczą szklanę i pustą miskę. Przypomniał sobie również zakurzoną laskę do chodzenia postawioną przy stoliku z telefonem w korytarzu. Wychodziło na to, że babcia już tu nie mieszka.

Na pewno stała za tym długa i smutna historia, ale nie pytał. Historie wszystkich ludzi są długie i smutne.

Kiedy całe mięso było już bezpiecznie opakowane w pergamin, dziewczyna wytarła dłonie o wyblakłe džinsy. Wyszły z tego cztery ubite paczki.

– Jak myślisz, zmieścisz je jakoś na swoim motorze, panie Skaucie?

Posłał jej przeciągłe spojrzenie, celowo przedłużając ciszę.

– Chyba damy radę.

Przez chwilę wyglądało, jakby się wahała, po czym podeszła do niego. Kiedy wsunęła dłoń do kieszeni, on położył swoją na rękojeści pistoletu, ale wyjęła jedynie małą czerwoną piłkę. Wyciągnęła ją w jego stronę.

Popatrzył na przedmiot z rezerwą.

– Jeśli nie chcesz, sama go zjem. Miałam dwa, ale swojego zjadłam na zewnątrz.

Pomidor. Ze wszystkich rzeczy na świecie musiała poczęstować go pomidorem.

– Nie lubię pomidorów – odpowiedział.

Odchyliła głowę do tyłu, zdumienie odmalowało się na jej twarzy.

– Że co? Zapewne minęły lata, kiedy choćby widziałeś świeże warzywo, nie mówiąc o zjedzeniu jakiegoś, i tak po prostu je sobie odpuścisz? Tylko dlatego, że nie lubisz pomidorów?

– Zgadza się. Poza tym to owoc, nie warzywo.

– Owoc, bez różnicy. Naprawdę nie chcesz?

Pokręcił głową.

– Nie, ale dzięki.

– Odliczam. Raz, dwa... – Powoli unosiła pomidora do ust, wyraźnie licząc na to, że ją powstrzyma. Nie zrobił tego i w końcu władowała całego do ust, nie próbując go nawet smakować. Zjadła na raz.

Obserwował ją przez cały czas, kiedy gryzła i żuła.

Odezwała się z pełnymi ustami:

– Nie powiesz mi, jak masz na imię, co?

Nabrał ostrożności. Faktycznie nie zamierzał tego robić.

– Za dwa dni będziemy w Vicksburgu, wtedy się rozdzielimy. Nie ma potrzeby wymieniać się imionami i historiami rodzinnymi. Będzie nam łatwiej, jeśli ograniczymy nasze relacje.

Przechyliła głowę na bok i przyglądała mu się przez chwilę.

– Będzie z ciebie twardy orzech do zgryzienia.

Postanowił, że potraktuje ją podobnie jak kota. Zignoruje. Odwrócił się na pięcie i ruszył do drzwi. Wychodząc, rzucił za siebie:

– Zbierz swoje rzeczy. Masz pięć minut, potem się stąd wynosimy.

– Tajest – powiedziała.

Przecucie mówiło mu, że do tego zasalutowała, ale nie przystanął, żeby obrócić się i sprawdzić.

## Rozdział 4

Nie wiedziała, co o nim myśleć. Był opryskliwy, miał nieprzyjemnie przenikliwe spojrzenie i była prawie pewna, że nie wiedział, co to uśmiech, ale czekanie tutaj choćby chwilę dłużej na kogoś innego byłoby aktem głupoty. A Lacey do głupich nie należała.

Nawet gdyby jakimś cudem pojawił się inny podróżnik – a było to mało prawdopodobne, zważywszy na fakt, że ten facet i łysy starszy mężczyzna na rowerze byli jedynymi ludźmi, jakich widziała w ciągu trzech ostatnich miesięcy – to skąd miała wiedzieć, jakie będą jego zamiary? Odpowiedź brzmi: nie miałyby pojęcia. Instykt nie ostrzegał jej w żaden sposób i mogła mieć jedynie nadzieję, że się nie pomyli.

Po raz drugi opuszczała farmę (dotąd jej życie koncentrowało się w czterech ścianach domu i było w nim miejsce dla babci, zwierząt i codziennych prac). Minęło sześć lat, od kiedy po raz pierwszy i dotąd ostatni wybrała się do najbliższego miasteczka w poszukiwaniu zapasów. Podróż była krótka i upłynęła szybko, babcia przekazała jej szczegółowe instrukcje: miała spuścić wzrok i go nie podnosić. Lacey wiedziała, że w tym wypadku lepiej być posłuszną. Była coraz lepsza w remika i nie chciała, by babcia przestała z nią grać, zwłaszcza że zbliżała się do poziomu, na którym mogła wreszcie wygrać.

Kiedy wjeżdżali do miasta, Lacey dostrzegła ciała, ale tylko kątem oka (nie była na tyle odważna, by spojrzeć na nie otwarcie spod grzywki). Wbiła wzrok w wycieraczkę ich starego kombi, serce waliło jej jak młot, tak mocno, że prawie nie dosłyszała, jak babcia mówi, że jest już bezpiecznie i może podnieść głowę. Wtedy

stanęły przed sklepem.

Wyszła na skwar i uderzyła ją panująca wokół cisza. Żadnego ruchu ulicznego, turkotu wózków, zgiełku ludzi, wybuchów śmiechu, brak płaczu małych dzieci, nieszczęśliwych, bo ktoś ciąga je za sobą i nie pozwala niczego dotykać. Żadnego pik-pik-pik wydawanego przez skanery kodów kreskowych przy kasach. Przez całą drogę do sklepu nie słyszała nic prócz nieregularnych stąpień babcinych butów i stukotu laski.

Wiatr się zmienił, zarzucił jej włosami do tyłu i przyniósł ze sobą intensywny zapach zepsutych jaj, jak gdyby sklep postawiono na wysypisku śmieci, które teraz gniły, tworząc wielką, płynną masę odpadów.

Kolejna godzina upłynęła im na ładowaniu do samochodu jedzenia, wody w butelkach, narzędzi, zapasów i kolejnego jedzenia. Przez cały ten czas Lacey nie odeszła od babci dalej niż trzy metry. Za jej plecami cisza kusiła, by dziewczyna odwróciła się i popatrzyła na wpatrujący się w nią rząd zwłok przyciśniętych do szklanych okien sklepu. W alejkach leżeli ludzie – głównie przy sekcji z narzędziami, obok młotów i pił ręcznych. Jedna z kasjerek zwisała przerzucona przez taśmę transportową, jej długie blond włosy wciągnął mechanizm. Lacey nie przypatrywała się żadnej z tych osób, a babcia poganiała ją i sarkała za każdym razem, kiedy się mijały.

Cała wycieczka trwała dwie godziny i na koniec Lacey cieszyła się, że nareszcie wracają do domu i może odetchnąć suchym, pustynnym powietrzem i witającym ją słodkim zapachem babcinych roślin.

Teraz mogła się śmiać ze swojej dziecięcej wyobraźni i głupiutkiego strachu, który odczuwała w tym sklepie, ale nie zapomniała, jak mocno pragnęła, żeby ich kombi przyspieszyło, by babcia dodała gazu. Chciała maksymalnie oddalić się od tamtego miasta duchów.

Spakowała już większość rzeczy, które zamierzała zabrać,

i okazało się, że jest tego zaskakująco mało. Wszystko na farmie łączyło się ze wspomnieniami, a branie ze sobą rzeczy jedynie ze względów sentymentalnych wydawało się bezcelowe. Wpojono jej pragmatyzm i jeżeli coś nie miało praktycznego zastosowania, to nie było powodu, by się do tego przywiązywać. Jej zestaw podróżny był już gotów i leżał obok łóżka od dwóch miesięcy.

Przeniosła swoje rzeczy na zewnątrz, omijając kota, który akurat lizał się, leżąc w ciepłym, oświetlonym pasie na szczycie schodów.

– Mam nadzieję, że to już koniec – powiedział wysoki mężczyzna, stojąc przy otwartym plecaku. W ręku trzymał wieko jednej z sakw motocykla.

– Owszem. – Rzuciła wszystko obok reszty jego rzeczy i otrzepała ręce. – To skąd pochodzisz? Dokąd zmierzasz? Widziałeś po drodze wielu innych ludzi?

Uniósł brew, pochylił się i zaczął upychać jej rzeczy do torby.

– Jasne, mnóstwo. Niestety większość w formie zimnych trupów.

Gapiała się na niego przez chwilę, nie potrafiąc znaleźć na to odpowiedzi. Oblizwała wargi.

– Martwi, bo się zabili?

– Martwi, bo martwi. Nieważne, jak to się stało.

– Babcia powiedziała, że wszyscy oszaleli.

Obserwowała go ostrożnie, chcąc dokładnie zaobserwować reakcję. Nawet nie podniósł na nią wzroku.

– To nie ulega wątpliwości – odpowiedział.

– Czyli byłeś w większych miastach, tak?

Kiwnął głową, naciągnął elastyczny pasek plecaka i zapiął jego górę.

– Gdzieś muszą być jacyś ludzie, prawda? Zbiorowiska i inne takie.

– Miasta są niebezpieczne. Jedyni ludzie, jakich tam znajdziesz, to poszukiwacze odpadków, łupieżcy i ci, którym w głowach nie pozostała ani jedna cywilizowana myśl. Nie jedź tam, jeśli nie musisz.

– To gdzie jest reszta?

– Napotkałem kilka osad, ale nie zwykli tak po prostu przyjmować do siebie obcych przejezdnych.

– Dlaczego?

Wyprostował się i oparł dłonie na biodrach. Wbijał w nią spojrzenie tych swoich niesamowicie czujnych oczu, aż poczuła się nieswojo.

– Mają problemy z zaufaniem.

– Co masz na myśli?

Spojrzał za nią w kierunku domu, powiódł wzrokiem w górę, na okna, leniwie obejrzał fasadę budynku, aż wreszcie znowu skupił wzrok na niej.

– Długo tutaj byłaś.

To nie było pytanie. Zmarszczyła brwi, jakby chcąc się bronić, a następnie mimo wszystko udzieliła mu odpowiedzi.

– Tak. Wyjeżdżałyśmy czasem, kiedy jeszcze miałyśmy benzynę – skłamała. Tak naprawdę tylko babcia wyjeżdżała, Lacey nie było wolno. – Żeby zgromadzić zapasy i takie tam. Ale nigdy daleko. Nigdy w pobliże miast.

– Mądry wybór. Słuchaj, sprawa wygląda tak. Jeśli znajdziesz kogoś, z kim możesz gromadzić zapasy i hodować rośliny na pożywienie, a na dodatek raczej nikt was nie atakuje, to masz dużo szczęścia, niełatwo o takie miejsce. I tak właśnie jest tutaj. Tak naprawdę najbezpieczniej jest trzymać się z daleka od wszystkich ludzi. Widziałem, jak zabijano z powodu niewłaściwego doboru słów. Nie żartuję.

Wierzyła mu. Podejrzewała wręcz, że on nie wie, co znaczy żartować.

– Nadal chcesz stąd odejść? – zapytał.

Poczuła ucisk w klatce piersiowej. Zdała sobie sprawę, że nie odetchnęła głębiej od początku tej rozmowy. Powoli, ostrożnie nabrała powietrza. Nie chciała, by widział, jak mocno te słowa na nią podziały.

Cofnęła się myślą do ostatniego telefonu, jaki z babcią odebrały. Ostatnio robiła to często, zwłaszcza przez kilka ostatnich miesięcy,

czyli odkąd zmarła jej babcia.

Telefon miał ruchomą tarczę i wydawał z siebie przeraźliwy dźwięk, który rozdzierał dom niczym alarm.

Z korytarza dobiegł głos babci:

– Rezydencja Talbotów.

Chwila milczenia.

– Kochanie, uspokój się, nie rozumiem, co mówisz.

Lacey nastawiła uszu. Babcia nazywała w ten sposób tylko ją i Karey. Odstawiła miskę płatków kakaowych Cocoa Krispies i wyszła z salonu prosto na korytarz. Babcia miała na sobie podomkę, jedną ze swoich ulubionych, tę z różami nadrukowanymi na całej powierzchni. Buty do pracy w ogrodzie i skarpetki dopełniały stroju. Wtedy jeszcze jej włosy były krótkie, szare z dwoma ciemnymi pasemkami na każdej ze skroni, gładkie jak piórka.

– Nie, jest tu ze mną – mówiła dalej. – Tak... Tak, oczywiście, że nic nam nie jest... Co się dzieje? Słyszę, że dziecko płacze.

Lacey nie wydała z siebie żadnego dźwięku, podchodząc od tyłu do babci, ale ona najwyraźniej wyczuła obecność dziewczyny i odwróciła się. Na widok jej twarzy Lacey zamarła ze strachu w bezruchu.

– Babciu, co...?

Ale babcia wyciągnęła dłoń w ostrzegawczym geście, uciszając ją.

– Co masz na myśli, jak to David jest... – Oczy babci rozszerzyły się, a następnie zwężyły w szparki, zacisnęła wargi tak mocno, że zniknęły i została w ich miejscu tylko wąska linia. – Tak, mówiłaś mi, że Susan opowiadała w ostatnim tygodniu dziwne rzeczy, ale... Nie, nie włączyłam telewizora, ale mogę...

Lacey przygryzła wewnątrz policzka, z niepokojem obserwując babcię. Nie miała pojęcia, co w zeszłym tygodniu babci mówiła na temat Karey jej najbliższa sąsiadka.

– Posłuchaj mnie, kochanie – ciągnęła babcia. – Posłuchaj. On nie wydaje się sobą. Musisz koniecznie... – Zamilkła na moment, by posłuchać, pokręciła szybko głową. – Nie! Tego nie rób! Zabierz

Addison na najwyższe piętro i zabarykaduj się w którymś pokoju. Nie obchodzi mnie, co powiedział. Rób, co mówię. Ale już. W tej chwili!

– Pozwól mi z nią porozmawiać – powiedziała Lacey, wyciągając dłoń po słuchawkę. – Muszę z nią porozmawiać.

Działo się właśnie coś, co nawet dziewięcioletnia Lacey rozumiała jako Zło pisane dużą literą. Musiała koniecznie porozmawiać z siostrą, ale babcia przytrzymała jej rękę i ścisnęła tak mocno, że dziewczyna skrzywiła się z bólu. Poczowała, jak jej twarz robi się gorąca. Zalała ją fala frustracji tak wielka, że prawie czuła, jak się dusi. Łzy były już bardzo blisko, ale powstrzymała je, przełknęła.

– Karey? – powiedziała babcia. – Karey, co się dzieje? Mów do mnie.

Potem wreszcie dziewczyna usłyszała głos swojej siostry. Krzyk. Była przestraszona. Wrzeszczała tak głośno, że babcia odsunęła słuchawkę od ucha.

– Nie przyjeżdżajcie tu, babciu! Nie przywoź tu Lacey! Coś jest nie w porządku. Nie chodzi mi tylko o Davida. Na ulicach są jakieś zamieszki. A on sam mówi mi takie rzeczy, takie straszne rzeczy. Obiecuj mi, babciu. **POWIEDZ, ŻE OBIECUJESZ!**

– Obiecuję, kochana, ale nie wiem, co mam...

– Boże! Boże, David! Co się dzieje? Co ty wypraw...

W tym momencie głos jej siostry się urwał.

Lacey nic już nie obchodziło. Miała gdzieś późniejszą pogadankę babci na temat jej złych manier. Po prostu wyrwała jej słuchawkę i przyłożyła do ucha. Była gorąca.

– Karey! Karey, tu Lacey! Halo? Karey?

Odpowiedziała jej martwa cisza.

Rzuciła słuchawkę na widełki, a potem podniosła jeszcze raz. Wybrała z pamięci numer siostry. Przyłożyła słuchawkę do ucha. Jeszcze raz trzasnęła nią o widełki i jeszcze raz wybrała numer – jej palce trzęsły się za pierwszym razem tak bardzo, że najwyraźniej musiała coś źle wprowadzić.

Babcia odczytała z wyrazu twarzy wnuczki, że to na nic. Poszła



do salonu i włączyła telewizor.

Chaos. Kanały informacyjne wypełnione były krzykami, płaczem, monologami ludzi, których trawiły wyrzuty sumienia, żal, rozpacz i wstręt do samych siebie. Ludzie kręcili filmy, stojąc na dachach wieżowców, a potem ziemia gwałtownie się zbliżała, gdy skakali. Nagrania pokazywały też ludzi wbiegających pod rozpędzone samochody. Babcia wyłączyła telewizor, zanim Lacey zobaczyła coś więcej. Nigdy później w obecności babci nie można było oglądać telewizji. Nawet kiedy Lacey udało się spędzić przed nim kilka minut, to nadawany program nie miał już sensu. Większość to była mieszanina jakichś obrazów, bełkotliwe komentarze wypełnione dziwnymi, niezrozumiałymi wiadomościami. Słuchała telewizji nocami, kiedy babcia myślała, że śpi. Lacey siedziała na szczycie schodów w piżamie, obserwowała migające białoszare światła dochodzące z odbiornika, oświetlające salon. Dźwięk był ściszony tak mocno, żeby niczego nie słyszała. Wkrótce nawet babcia zaprzestała swoich sekretnych seansów, bo kanały telewizyjne przestawały funkcjonować, jeden po drugim.

Zapytał, czy nadal chciała stąd odejść. Patrzył na nią, czekał na odpowiedź, podczas gdy Lacey usiłowała zapanować nad wzburzeniem, opanować oddech. No właśnie, chciała tego?

– Tak, nadal chcę opuścić to miejsce – usłyszała swój głos.

– W porządku. Potrzebujesz czegoś jeszcze? Chciałbym dziś wyjechać.

– Och, jasne. Dasz mi pięć minut?

Skinął głową, a ona pognała po schodach i zniknęła w cieniu domu. Kręcąc się po domu i sunąc dłonią po ścianach dla utrzymania równowagi, pomknęła najkrótszą drogą przez kuchnię i nie zatrzymując się, dalej na podwórko. Dysząc, padła na kolana przed porośniętą kwitnącymi lantanami stertą ziemi, pod którą spoczywała babcia.

– Może to faktycznie kiepski pomysł, babciu. Może i beznadziejny. Jezu. – Obejrzała się za siebie, by upewnić się, że nie poszedł za nią. – Nie, dam radę. – Zacisnęła powieki. – Nie

bądź cieniara, Lacey. No dalej. Dasz radę.

Otworzyła oczy i wpatrywała się w grób.

Jej oddech się uspokoił. Był teraz miarowy, a ona spokojniejsza.

– Spakowałam się już i wyjeżdżam. Nie mogę zostać, umrę tutaj.

Nagle poczuła się głupio, mówiąc to na głos. Spojrzała wstydliwie na drugą stronę podwórka, najpierw na zniszczone ogrodzenie, które trzeba było zabezpieczyć przez zgubnym wpływem pogody, a następnie na przeżarte rdzą rury, na których powieszono huśtawkę. Ugryzła się w policzek i zmusiła, by spojrzeć z powrotem na szarzejącą ziemię.

– Przepraszam, babciu. Wolałabym cię tak nie zostawiać. Najlepiej, gdybym mogła się tutaj po prostu położyć i zasnąć, a po przebudzeniu odkryć, że wszystko jest jak dawniej.

Kwiaty lantany rozmazały się jej przed oczami i znowu musiała odwrócić wzrok.

– Wiesz, co jest najtrudniejsze? – wyszeptała, gapiąc się na huśtawkę, gdzie siadała jako dziecko i piszczła z radości, podczas gdy babcia popychała ją coraz to mocniej i mocniej. Nigdy nie podejrzewała, że babcia będzie ją tak wysoko bujać. – Nie chodzi nawet o wyjazd stąd. To straszne, jasne, ale jestem w stanie pogodzić się ze strachem. Najbardziej przeszkadza mi to, że cię tutaj zostawiam. – Wszystkie starania, by powstrzymać łzy, nagle poszły na marne. Z jej piersi dobył się głęboki szloch i zaczęła płakać. – Wiem, że jesteś już tylko ciałem spoczywającym pod ziemią i mnie nie słyszysz, ale nie chcę zostawiać cię tutaj samej. Tak trudno odjechać, kiedy ty tutaj zostajesz.

Dwie pozostałe minuty Lacey spędziła na huśtawce, odpychając się lekko dużym palcem stopy. Bujała się i wyobrażała sobie, że to babcia ją odpycha.

## Rozdział 5

Dziewczyna nie miała ze sobą wiele bagażu, za co Pielgrzym był wdzięczny. Udało mu się przenieść większość tego, co zwykle nosił w plecaku, do bocznych sakw, następnie przełożył paczki z mięsem i trochę puszek z jedzeniem do plecaka dziewczyny, znacznie mniejszego, dołożył tam jeszcze ubrania dla niej i upchnął mnóstwo rzeczy do swojego już niemal pustego plecaka. Po chwili uniósł wzrok i zobaczył dziewczynę idącą w jego stronę z karabinem na ramieniu i pudełkiem zapasowej amunicji. Z wprawą obsługiwała broń, musiał wręcz przyznać, że z pewnym wdziękiem.

Ukryła na moment naiwność, by pokazać coś twardszego, co skrywała pod spodem. Nie spodziewał się tego. W końcu siedziała pośrodku drogi jedynie z butelką lemoniady, ale najwyraźniej w pewnym momencie jej krótkiego życia ktoś nauczył ją, jak należy posługiwać się bronią. Czyżby ta stara hetera z laską, o której dziewczyna wspominała wcześniej? Raz jeszcze popatrzył na zabite deskami okno i z powrotem na dziewczynę. To cud, że przetrwały tak długo.

– Dobrze się tym posługujesz? – zapytał, patrząc na karabin.

– Wystarczająco.

Chrząknął i wyciągnął plecak w jej stronę.

– Będziesz musiała się tym zaopiekować podczas podróży.

Otworzyła plecak i sprawdziła jego zawartość. Zdjęła broń z ramienia, oparła się o bok motocykla i odwróciła plecami do Pielgrzyma. Pomógł jej wsunąć ręce w paski i obniżył środek ciężkości na plecach. Plecak nie był ciężki, ale słyszał, jak dziewczyna mruczy pod nosem coś na temat żywota obładowanego

muła.

– Co się stało z twoimi oczami? – zapytał, kiedy obróciła się do niego przodem. Były czerwone i przekrwione. Miał nadzieję, że nie jest chora. Bo to stanowiłoby problem.

Dziewczyna wytarła nos rękawem i wciągnęła powietrze.

– Nic im nie jest, wszystko w porządku.

– Hm. Musisz iść do łazienki przed podróżą?

W odpowiedzi zaszczyciła go jedynie uniesieniem brwi.

– Nie mam trzech lat. Kontroluję swój pęcherz. Nie, nie muszę iść.

– To dobrze. Nie chcę stawać po pięciu minutach w trasie, bo poprosisz o postój.

Naciągnął chustę na twarz i z rozbawieniem obserwował, jak dziewczyna wyciąga długą, cienką, bawełnianą apaszkę i obwiązuje nią dolną część twarzy. Była ciemnoczerwona i miała frędzle. Dziewczyna wyciągnęła także okulary przeciwsłoneczne i założyła na nos. Miały duże szkła i wyglądała w nich jak mała mucha.

Pohamował pchający się na usta uśmiech, kiedy schyliła się, by podnieść kota, i o mało się nie przewróciła nieprzyzwyczajona do ciężaru plecaka. Nawet przez jej przyciemniane szkła widział, że patrzy na niego złowrogo.

Przerzucił nogę nad motorem i usiadł, tym samym akceptując obecność parchatego futrzaka. Przesunął go nawet na zbiornik z paliwem. Następných kilka minut spędził na przytrzymywaniu motocykla, podczas gdy dziewczyna usiłowała wspiać się na siedzenie za nim.

– Przytrzymaj to – powiedziała opryskliwie, wpychając mu karabin.

Wspinając się na motor, o mało nie ściągnęła mu koszuli.

W końcu poklepała go po ramieniu.

– Gotowa – powiedziała i wyciągnęła rękę po broń. Oddał ją posłusznie.

Uruchomił silnik i poczuł, że dziewczyna kręci się za nim, żeby usiąść jak najwygodniej. To dziwne wrażenie, kiedy nagle siedzi za

tobą ktoś żywy i ciepły. Jeszcze dziwniejsze było to, że wnętrza jej ubranych w dżinsy ud przylegały do jego nóg.

*Nie przyzwyczajaj się do tego* – ostrzegł Głos.

– Nie zamierzam – odpowiedział na tyle cicho, by dziewczyna nie słyszała.

## Rozdział 6

Nie rozmawiali – wiatr wiał zbyt głośno – ale kiedy minęli tablicę z nazwą miejscowości, Lacey obejrzała się i wpatrywała w nią przez chwilę.

Nie mogła się powstrzymać i krzyknęła:

– Patrz na to! Udało się! Nigdy jeszcze nie byłam tak daleko!

Śmiała się bez opamiętania, dreszczyk emocji sprawił, że poczuła się lekka jak piórko, jak gdyby była na jakiejś zorganizowanej wycieczce, podczas której obiecano jej wspaniałe widoki i przygodę życia albo zwrot pieniędzy. Nadal patrzyła w tył przez ramię, motocykl zasłonił mijany znak wzbijaną przez siebie chmurą pyłu, a ona śmiała się coraz głośniej.

Najwyraźniej ścisnęła mężczyznę za mocno, bo zadrżał pod jej dotykiem i z irytacją poruszył ramionami. Jej uścisk zelżał, ona sama usiadła spokojniej i spojrzała przed siebie. Na moment pochyliła głowę i delikatnie oparła skroń na jego prawym ramieniu. Może gdyby wbiła wzrok w tył jego koszulki, nie myślałaby tyle o rozciągającej się przed nimi przestrzeni i o dystansie między nią a jedynym miejscem, które dotąd znała. Linia łącząca ją z babcią rozciągała się i robiła coraz cieńsza. Wydłużała się jak kawałek gumy. Już wkrótce miała pęknąć i wszelka łączność z dawnym życiem przestanie istnieć.

Czy to nie tego chciałaś? – pytała się w duchu. Po latach zmartwień i pragnień nareszcie miała szansę dostać się do Karey. Do Addison. I właśnie teraz dopadał ją strach?

Nie – pomyślała. – Nie, właśnie tego chcę. Naprawdę.

Uniosła głowę, a pęd powietrza owiewał jej twarz i szarpał

okularami. Oczy zaszły łzami. Wiatr wdarł się pod apaszkę i frędzle biły ją po twarzy. Usiłowała wepchnąć je pod koszulę.

Jechali przez trzy godziny, a ona chłoneła widoki. Minęli wypaloną kawiarnię i Lacey krzyknęła „spójrz!”, i wskazała ją palcem. Strużka dymu unosiła się ze zwęglonego dachu. „Ludzie!” – krzyknęła raz jeszcze, wyciągając szyję i próbując dostrzec, czy w środku nikt się nie rusza.

Obecność dymu dawała jej nadzieję. W końcu nic się samo nie podpałało.

Minęli wzbudzającą niepokój stertę zwierzęcych kości, które jakiś psychopata ułożył w piramidę i momentalnie jej nadzieja przygasła. Nie była pewna, czy chciałyby poznać kogoś, kto takie coś stworzył.

Wkrótce ich oczom ukazały się billboardy, każdy oszpecony bazgraniną, pociągnięte krwistoczerwoną farbą litery układały się w wyrazy ułożone jakby z czerwonej wstęgi. Pierwszy napis na reklamie kontenerów głosił: „Banda kłamców!”. Kawałek dalej na reklamie restauracji fast-food ktoś napisał „Śmierć jest słodkim wyzwoleniem”. Następnie zobaczyli elegancko ubranego mężczyznę promującego kancelarię adwokacką, która teraz używała hasła: „UWOLNIJCIE SIĘ”. Na ostatnim billboardzie widniało zbliżenie twarzy kobiety o idealnie białych zębach. Czerwony, wyschnięty już napis brzmiał: „SŁUCHAJCIE – Ciemność Przemawia”. Obok napisu ktoś niezdarnie namalował spiralę kręcącą się bez końca wkoło.

Mężczyzna nie skomentował widoków, natomiast Lacey poczuła, jak rozpacz ogarnia ją coraz bardziej z każdym przebytym kilometrem.

## Rozdział 7

Pielgrzym nie zatrzymywał się bez względu na to, co wskazywała mu dziewczyna, a ona nie komentowała tego, że przyspieszał wtedy w milczeniu.

Nie zauważyli nikogo nadjeżdżającego z naprzeciwka, choć ich droga przecięła się z trasą starca na rowerze, podążającego w tym samym kierunku, pedałowującego z determinacją. Pielgrzym zredukował bieg, by zrównać się z rowerem staruszka, i zainteresował się, czy u niego wszystko w porządku. Ten jakby zupełnie nie zauważył jego obecności, przekrwione, kaprawe oczy skupiły się na jakimś niewidzialnym celu.

– To tego gościa widziałam dwa dni temu! – krzyknęła prosto w ucho Pielgrzyma. – Wtedy też się nie odezwał. Jezu, spójrz na jego głowę.

Łysina biedaka była czerwona i pokryta wypełnionymi płynem pęcherzami. Musiało to piec niczym ogień piekielny, ale starzec w żaden sposób nie pokazywał, że to mu dokucza, jego kościste kolana na zmianę wznosiły się i opadały, wznosiły i opadały z każdym obrotem kół roweru.

Pielgrzym odsunął się od rowerzysty i otworzył przepustnicę, chcąc zostawić mężczyznę w tyle.

Dziewczyna milczała potem przez jakiś czas, nie próbowała nawet skierować jego uwagi na kilka myszołowów, które krążyły nad kraterem oddalonym od nich o setki metrów. Ich czarne ciała na zmianę nurkowały i znikwały w dołach, po czym wzbijały się z powrotem wysoko w powietrze. Nawet nie chciał wiedzieć, co jest tam na dole, ale to nie powstrzymało Głosu przed snuciem



domysłów.

*To pewnie świeży grób jakiegoś samobójcy. A może zgraja zamordowanych ludzi, którzy jakiś czas temu odkryli, że słyszą głosy takie jak moi. Słońce wysało całą wilgoć z ich ciał, no i voilà! Cała sterta suszonego mięska dla dzikiej zwierzyny gotowa.*

Pielgrzym go uciszył.

Po cichu gonili swój wydłużający się cień, a słońce chowało się na zachodzie, oświetlając im plecy słabnącym światłem, a twarze pozostawiając w mroku. Niebo przybrało barwę głębokiego różu z ciemnopomarańczowymi smugami, jak gdyby na horyzoncie ktoś właśnie toczył wojnę.

Z tyłu głowy Pielgrzyma Głos śpiewał niskim, słodkim tonem.

*Twoje historie są tak stare, że musisz o nie dbać. Droga długa i kręta, a ty masz sekret, którym się nie podzielisz.*

Przez ostatnich kilkanaście kilometrów minęli na drodze 83 kilka znaków informujących o motelu. W normalnej sytuacji Pielgrzym pewnie stwierdziłby, że będzie jechał dalej, dopóki słońce nie zajdzie, a świat nie pograży się w mroku, ale dzisiaj czuł, że ma już dość tej drogi. Podpowiadała mu to intuicja. Czy może zdrowy chłopski rozum, jak nazywał to Głos. Tak czy owak skręcił w jeden ze zjazdów, pochylając maszynę na bok. Asfalt szumiał delikatnie pod kołami, a pędzące powietrze przeczesywało mu włosy niewidzialnymi palcami.

*Wielkie, otwarte ziemie, do was należy to powietrze.*

Kiedy opuścili autostradę, drogi znacznie się pogorszyły. Wokół stały opuszczone samochody, ich maski podniesiono, a silniki rozebrano. Ciężarówkom brakowało kół, drzwi aut pootwierano na oścież, a ich wnętrza i wszystko, co w nich pozostało, pokrywał kurz. Pielgrzym znacznie zwolnił, żeby móc lawirować między tymi relikdami. Kilka samochodów, które porzucono na trawnikach, teraz porosły pnącza kudzu zwisające z pobliskich drzew. Rośliny zaplatały się w podwozia i osie, owiwały wokół błotników i wsunęły za drzwi, wpełzając przez okna i oplatając wszystko, co wewnątrz stało na ich drodze – kierownicę, dźwignie,

pedały – aż samochody zaczynały przypominać drzemiące liściaste bestie.

Nie zatrzymał się na światłach – były nieczynne już od bardzo dawna – i skręcił w główną drogę. Nie było tam wiele, może dziesięć czy dwanaście sklepów, mała stacja benzynowa i niewielki budynek wyglądający jak ratusz. W połowie głównej ulicy wisiał znak powitalny motelu. Sześciometrowa przerwa pomiędzy sklepami znajdującymi się od frontu prowadziła na jego parking. Główne biuro mieściło się na lewo od miejsca, w którym stanęli. Parking przylegał do kwadratowego podwórka, wokół którego rozmieszczono pokoje – do każdego przypisano miejsce parkingowe dla osoby go zajmującej. Na lewo zobaczyli jedno niczym się niewyróżniające beżowe auto. Obtłuczone i niekochane, mogło tam stać kilka dni albo wiele lat, trudno powiedzieć.

Kiedy Pielgrzym zahamował i wyłączył silnik, dziewczyna spytała:

– Zatrzymujemy się tutaj?

Obrócił się, by na nią spojrzeć, i ściągnął chustę z twarzy.

– Taaa, bo co?

Podsunęła okulary przeciwsłoneczne na czubek głowy jak opaskę do włosów i upchnęła za nie luźno wystające kosmyki. Jej czoło było gładkie, natomiast nieosłonięte części twarzy pokrywał brud i kurz. Przypomniawszy sobie znowu, jaka jest młoda.

Pociągnęła apaszkę w dół, odkrywając usta.

– Chodzi mi tylko o to, że możemy przenocować, gdzie tylko chcemy, a ty wybierasz tani motel?

– Zgadza się – powiedział, darując sobie wyjaśnienia. – Zamierzasz zsiąść w najbliższym czasie? Chciałbym rozprostować nogi.

– Och, jasne.

Z motoru zeszła równie niezgrabnie, jak na niego weszła, ale przynajmniej trwało to jedynie kilka sekund.

Kot zeskoczył na ziemię i przyczaił się, bez wątplenia poirytowany tym, że tak długo trzymano go jak więźnia na

zbiorniku z paliwem.

Nieco zeszywniały Pielgrzym zsiadł z motocykla, wyprostował się i zaczął masować plecy w okolicach krzyża, następnie wygiął kręgosłup, aż usłyszał trzask. Przykucnął, żeby rozciągnąć mięśnie ud, potem wstał i powoli kręcił głową na boki, przy okazji rozglądając się po okolicy. Leniwie pokręcił ramionami, podczas gdy jego oczy przeskakiwały od okna do okna, zerknął też na drzwi, a kilka następnych chwil poświęcił na przyjrzenie się samotnemu samochodowi zaparkowanemu przed pokojem oznaczonym numerem 8. Skończył rozciąganie się i skierował spojrzenie na dziewczynę – która ściągnęła już plecak i pocierała zmęczone ramiona – a następnie na biuro motelu.

– Zobaczmy, czy mają coś wolnego – powiedział.

Zdjął okulary i skierował się w stronę recepcji. Po drodze rozglądał się niestrudzenie, jego oczy patrzyły to tu, to tam, kiedy zaglądał do środka przez duże przeszklone okna.

Dzwonek w drzwiach ledwie zdążył drgnąć, a on już wyciągnął broń, odbezpieczył ją i wycelował w ladę.

Szept dziewczyny dobiegł tuż zza jego pleców.

– Co...

Podniósł dłoń, by ją uciszyć i wskazał na tablicę wiszącą na ścianie naprzeciw, gdzie wisiały wszystkie klucze do pokoi. Klucz numer 8 huśtał się na swoim wieszaku i był to jedyny przejaw ruchu w całym pomieszczeniu.

Pielgrzym przechylił się na jedną stronę, próbując zajrzeć przez otwarte drzwi za ladę. Dojrzał ramię i dłoń. Ktoś powoli próbował w niego wycelować i Pielgrzym widział, że ten ktoś trzyma coś, co przypomina procę.

Coś przeleciało tuż obok jego głowy, ostro szarpiąc ucho, po czym trzasnęło w mur za nim.

Pielgrzym uchylił się, klnąc, i pociągnął za sobą dziewczynę. Syknęła z bólu, bez wahania ściągnęła z ramienia karabin i wymierzyła za ladę.

– Wstrzymajcie ogień! – zawołał Pielgrzym. – Nie jesteśmy

groźni. Spokojnie.

Wycelował pistolet w przejście. Sufit w tamtym pokoju był poźółkły i popękany, część farby odpadła, odsłaniając szare, brudne płyty.

– Czego chcecie?

Głos był ostry, ale przy tym pobrzmiewała w nim panika. Należał do kobiety.

– Chodzi nam wyłącznie o pokój. To wszystko.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy.

– Poważnie? Chcecie zająć pokój?

Pielgrzym szturchnął dziewczynę w bok i skinął w stronę pokoju po drugiej stronie, sugerując, że to ona ma odpowiedzieć.

Przewróciła oczyma, ale obróciła się i podniosła głos.

– Zgadza się. Mój towarzysz uznał, że zatrzymanie się w tanim motelu to znakomity pomysł. No wiesz, po co szukać ładnego, dużego, pustego domu, w którym bez trudu moglibyśmy zamieszkać.

Usłyszeli, że ktoś się rusza. Kobięcy głos dochodził teraz z mniejszej odległości. Było w nim też mniej strachu.

– Wyjdę z ukrycia, okej? Tylko nie... nic nie róbcie, dobrze?

– Nic nie zrobimy – powiedział Pielgrzym, ale nie opuścił broni.

Najpierw zobaczyli potarganą czuprynę, następnie zza hotelowej lady wyłoniła się kobieta. Młoda, najwyżej dwudziestopięcioletnia. Wyglądała, jakby potrzebowała porządnej kąpieli. Prząd jej koszuli pokrywały plamy, najwyraźniej od ostatniego prania zjadła niemało posiłków. To, co najpierw wziął za procę, naprawdę było ręcznie zrobioną kuszą, teraz wycelowaną w podłogę.

Stał spokojnie, powoli opuścił broń i włożył ją do kabury, nie wykonując żadnych gwałtownych ruchów. Za to dziewczyna obok niego wciąż stała z podniesionym karabinem i celowała w klatkę piersiową kobiety.

– Hej – mruknął do dziewczyny Pielgrzym, pokazując, żeby opuściła broń.

Trzymała nieznajomą z rozczochranymi włosami w niepewności

jeszcze dłuższą chwilę, pewnie chcąc dać jej trochę do myślenia, ale w końcu się rozluźniła.

– Hej, człowieku, naprawdę przepraszam za to. – Gospodyni motelu wskazała głowę Pielgrzyma. – Nie byłam pewna, czy nie jesteście częścią jakiegoś gangu, czy coś w tym stylu. Odrobina ostrożności nigdy nie zawadzi.

Pielgrzym sięgnął do ucha i ku swojemu zdziwieniu poczuł, że jego czubek jest lepki. Z rozdartej chrząstki sączyła się świeża krew.

– Draśnięcie. To nic.

Cofnął dłoń, by popatrzeć na czerwone plamy na czubkach palców.

Kobieta zaśmiała się dziwnie.

– Nic sprawione przez Nik.

Pielgrzym zmarszczył brwi.

Kobieta przestała się śmiać.

– Ech, Nikki. Mam na imię Nikki. – Przełożyła kuszę do lewej dłoni i podała dziewczynie prawą.

Spojrzał na dziewczynę i również podał Nikki rękę.

– Możesz mnie nazywać Skautem.

Dziewczyna obok niego parsknęła.

– Ta. A mnie możesz nazywać Lacey. Tak mam na imię.

*Lacey* – powiedział Głos. – *Pasuje do niej.*

Pielgrzym już miał się z nim zgodzić, ale dostał w głowę tak mocno, że po prostu nie zdążył.

## Rozdział 8

Lacey wzdrygnęła się, słysząc trzask towarzyszący uderzeniu. Pielgrzym zachwiał się, pochylił do przodu, następnie zgiął w pół i wylądował na kolanach. Jego głowa zatoczyła zgrabny łuk, jakby chciał się pokłonić podłodze. Upadek był dość powolny – jej towarzysz był wysoki i od ziemi dzielił go spory kawałek – a jednak Lacey nie miała czasu, by spróbować go złapać. Odniosła wrażenie, że cała recepcja, z oknami i wszystkim dookoła, zatrzęsała się, gdy grzmotnął o podłogę.

Wyciągnęła dłoń w jego stronę, ale ktoś złapał ją gwałtownie od tyłu, czyjeś ramiona oplótły ją i przycisnęły ręce do boków. Krzyknęła, kurczowo trzymając broń. Usiłowała ją unieść, ale nie mogła. Próbowwała się uwolnić, lecz odnosiła wrażenie, jakby ktoś założył na nią żelazną obręcz. Kopała z całych sił, obcas trafiła w goleń osoby, która ją trzymała, i dźwięk męskiego stęknienia wypełnionego bólem przyniósł jej sporo radości.

– Puszczaj! – wrzasnęła.

Nikki rzuciła się do przodu i wyrwała jej z dłoni karabin.

– Ty dziwko! – Lacey zaczęła wierzgać nogami w jej stronę, ale ta odsunęła się od niej. Lacey kopnęła do tyłu i mężczyzna znowu oberwał obcasem w piszczel, co wywołało jęk bólu.

Lacey kopnęła po raz trzeci.

– Złap ją za nogi, do kurwy nędzy!

Karabin stuknął o ladę i Nikki chwyciła but Lacey, a następnie schyliła się i chwyciła jej drugą nogę, wciąż mówiącą w powietrzu. Chwilę później podnieśli ją z ziemi.

– Co wy wyprawiacie? Hej! – Lacey usiłowała dostrzec Skauta,

ale zgięty leżał bez ruchu na podłodze.

Wnieśli ją za ladę.

– Nie! – Lacey wrywała się, próbowała wykręcić z ich uścisku, ale mocno ją trzymali. – Czego chcecie?

– Krzykaczka – powiedziała radośnie Nikki. – Lubię takie.

– Puśćcie mnie! Pomocy! – wrzasnęła Lacey do Skauta, ale z jego strony nie nadchodziła żadna pomoc.

Mój Boże, on nie żyje – pomyślała. – Jak to możliwe? To się nie dzieje... Trzeba było nie opuszczać farmy! Byłam taka głupia, odchodząc. Trzeba było zaryzykować i zostać!

– Pospiesz się – powiedział mężczyzna, czuła jego gorący oddech.

– On może w każdej chwili oprzytomnieć.

Oprzytomnieć? Czyli nie umarł? Nagły przypływ emocji – nadziei, radości, a może ulgi – sprawił, że Lacey podwoiła wysiłki i jeszcze zacieklej próbowała się uwolnić.

– Przestań się szarpać albo skręcę ci kark.

Przestała. Próbowała uspokoić oddech i szalejący puls, ale od jakiegoś czasu było to niemożliwe. Skupiła się na spokojnym oddychaniu. Mało brakowało, a panika przejęłaby stery. Spróbowała zdobyć się na racjonalne reakcje. Rozum podpowiadał, że powinna się uspokoić i nie przejmować, bo wszystko dobrze się skończy. Oddychała przez nos, co było błędem, ponieważ odór jej porwaczy sprawił, że zebrało się jej na wymioty. Jakim cudem mogli tak cuchnąć? I nie był to tylko pot i zapach niemytych ciał czy brudu. Było w tym coś jeszcze. Lacey spojrzała w dół na dłonie kobiety, zaciśnięte na jej kostkach. Pod paznokciami zauważyła ziemię.

Nie, nie ziemię – pomyślała, sztywniejąc momentalnie. – Krew.

Weszli na korytarz i smród jeszcze się spotęgował. Z całych sił starała się nie zwymiotować. Nikki szła tyłem, ramieniem otworzyła drzwi na końcu korytarza. Przytłumione światło prowadziło ich w dół po schodach. Na końcu znajdował się kiepsko oświetlony pokój. Nikki zaczęła schodzić i z każdym krokiem rosło przerażenie Lacey, jak gdyby słyszała grzechotniki sunące pod

podłogą, ich ostrzegawczy szelest stawał się coraz głośniejszy, kiedy podpełzały bliżej.

– Weźcie, co tylko chcecie – wydyszała pospiesznie. – Zabierzcie wszystko i po prostu puśćcie mnie wolno.

Nikki zarechotała bezgłośnie. Niesienie dziewczyny najwyraźniej ją zmęczyło, co ucieszyło Lacey. Miała nadzieję, że ta kupa łajna dostanie ataku astmy i padnie.

– Och, aleź weźmiemy wszystko, co chcemy, słodziaku. I nie potrzebujemy wcale twojego pozwolenia.

Temperatura znacznie spadła, kiedy dotarli na sam dół. Wnieśli ją do pokoju słabo oświetlonego przez lampę, żółtawe światło padało na brudne, niepościelone łóżko.

Lacey teraz mówiła szybko.

– Posłuchajcie, przecież nie musicie tego robić, prawda? Proszę, po prostu o tym pogadajmy. To się może inaczej skończyć. Przecież jesteś kobietą – rzuciła w stronę Nikki. – Dlaczego robisz mi krzywdę?

– Ech, ale ja nie chcę cię krzywdzić. – Nikki spojrzała przez ramię, posyłając Lacey cwane spojrzenie. – Teraz po prostu nie mamy takiego wyboru jak kiedyś, kochana. Ja i mój brat, sama rozumiesz, my też mamy swoje potrzeby. A z czasem znudziło nam się zabawianie ze sobą nawzajem. – Nikki uśmiechnęła się do mężczyzny nad głową Lacey. – Żeby życie miało smaczek, raz dziewczynka, raz chłopaczek, no nie?

Rzucili ją na łóżko i Lacey uciekła na jego drugi koniec. Przyciągnęli ją z powrotem, przewrócili i przytrzymali, by móc związać jej nadgarstki drutem. Szarpała się, uderzenie w brzuch pozbawiło ją oddechu i sprawiło, że zwinęła się z bólu. Przywiązali jej dłonie do wezglowia.

Niedbale kopnęła koce, ale szybko znieruchomiała, kiedy drut boleśnie werznął się jej w nadgarstki. Leżała bez ruchu, dysząc ciężko i patrząc na swoich porywaczy.

Nikki szczyrzyła się do niej, ale mężczyzna – którego widziała wyraźnie po raz pierwszy – nie okazywał żadnych emocji. Był



wielki, krępy i gapił się na nią. Wytrzymanie jego spojrzenia nie było łatwe, ale Lacey nie odwróciła wzroku, mimo że serce mało nie wyskoczyło jej z piersi.

– Rozluźnij się – powiedział do niej. – Przyjemnego pobytu. Naciesz się widokiem.

W pomieszczeniu nie było okien, przebywali w piwnicy.

– Pierdol się – rzuciła.

Nikki zachichotała.

– Niegrzeczna, niegrzeczna. Będziemy musieli popracować nad tobą po powrocie, pyskata zołzo. – Uśmiech nie schodził jej z twarzy. To całe zajście musiało jej sprawiać sporo frajdy.

Lacey nie zamierzała odpowiedzieć. Próbowwała już rozmowy i nic to nie dało. Zamiast tego patrzyła w milczeniu, jak odchodzą. Uparcie powstrzymywała łzy, dopóki odgłos ich kroków zupełnie nie ucichł.

## Rozdział 9

Pielgrzym nie od razu otworzył oczy. Pozwolił swojej głowie zwisać, podbródek oparł na piersi i próbował pogodzić się z dokuczliwym bólem z tyłu czaszki. Czuł się, jakby w ramach jakiegoś okrutnego koncertu ktoś grał mu odłamkami szkła na zakończeniach nerwowych. Nie otwierał ich również dlatego, że chciał najpierw zgromadzić możliwie dużo informacji, zanim ujawni, że odzyskał przytomność.

Siedział wyprostowany na krześle. Siedzenie i oparcie były twarde i nagrzewały się od ciepła jego ciała. Napinał mięśnie i ruchami trudnymi do wychwycenia przechylał się nieco to w jedną, to w drugą stronę. Krzesło w najmniejszym stopniu nie poddawało się jego ruchom. Zgadywał, że to zwykła konstrukcja z drewna, niczym nie wyściełana. Przedramiona przywiązali mu do podłokietników, a kostki do nóg krzesła. Zawiazali ciasno i najwyraźniej użyli do tego drutu. Zauważyliby, gdyby spróbował się szarpnąć albo mocniej poruszyć, ponieważ drut przeciąłby skórę głęboko, może nawet do kości.

*To dobrze.* – Słowa wypowiedane przez Głos brzmiały, jakby znajdował się na końcu długiego tunelu.

Pielgrzym musiał się z nim zgodzić. Skoro unieruchomili go tak skrupulatnie, to raczej nie planowali go w najbliższym czasie zabijać. Najwyraźniej mieli inne plany.

Siedział wyprostowany, ponieważ jego plecy i klatkę piersiową dodatkowo owinięto chyba taśmą klejącą.

W powietrzu unosił się odór chemikaliów, przypominający zapach wybielacza, poza nim wyczuwał też wilgoć. Było coś jeszcze.

Odrobina zapachu, który rozpoznał już wcześniej, a który przyprawiał go o dreszcze.

Przez filtr przymkniętych powiek wyczuwał źródło światła, które znajdowało się z przodu. Nie było jednak silne. Żarówka?

Jego Głos na swój sposób wzruszył ramionami. Nie przyda mu się tutaj w żaden sposób.

Pielgrzym słyszał też inne głosy. Głosy z zewnątrz. Dochodziły spoza murów tego pokoju. Słabe. Stłumione. Otworzył oczy i uniósł głowę.

Siedział przodem do drzwi. Z szybkich oględzin wynikało, że to jedyne drzwi w tym pomieszczeniu. Brakowało też okien. Pokój w piwnicy. Lampa naftowa stała w narożniku pokoju. Biło od niej słabe światło, które jednak i tak odcisnęło świetliste piętno na siatkówce, kiedy popatrzył na nią przez ułamek sekundy. Naprzeciwko jego krzesła stało drugie, chwilowo niezajęte, identyczne z tym, które on zajmował. Wykonane z drewna, może buczyny.

W pokoju było niewiele więcej. W połowie pusta plastikowa butelka z wodą. Koszulka, której ktoś się pozbył. Czarna skarpetka. Więcej zwiniętego ciasno drutu. Stara, pognieciona gazeta z widoczną połową pierwszej strony. „Zmiany klimatyczne równie groźne jak wojna jądrowa, naukowcy ostrzegają: nieodwracalne uszkodz...”. Reszty nagłówek nie widział. Na gazecie leżały nożyce do cięcia metalu, takie, jakich używało się do przecinania drutu kolczastego albo stalowych linek.

Pielgrzym przyjrzał się im uważnie. Miały czerwone plastikowe rączki i krótkie, poznaczone plamkami rdzy ostrza.

Wciąż słyszał odległe głosy. Był przekonany, że się nie zbliżają. Postanowił urządzić eksperyment. Chwycił za krawędzie podłokietników, aż zbieleły mu knykcie, i wbił palce stóp w podłogę, unosząc krzesło za pomocą dłoni. Mięśnie ud i bicepsy napięły się mocno. Krzesło zatrzeszczało. Przednia para nóg uniosła się nad podłogą na parę centymetrów. W tym momencie stal nierdzewna, z której wykonano drut, werżnęła się ostro w jego

kostki, i to mimo że miał wysokie buty. Powoli opuścił krzesło z powrotem na cztery nogi.

Uspokoił oddech, wpatrując się w nożyce. Były za daleko. Mógł się do nich dostać jedynie poprzez żmudne przesuwanie centymetr po centymetrze, podskakując na krześle. Dało się to zrobić, ale nie po cichu. Hałas by mu nie przeszkadzał, gdyby tylko wystarczyło czasu na uwolnienie się i przygotowanie na powitanie gospodarzy, którzy z pewnością sprawdziliby, co się tutaj dzieje. Wyliczył szybko, że potrzebuje przynajmniej dziesięciu skoków, by dostać się do nożyc. Dziesięć skoków to jakieś dwadzieścia sekund.

Słyszał głosy coraz wyraźniej. Zbliżały się.

Gałka w drzwiach się obróciła i Nikki weszła do środka, a za nią jej większa, męska wersja. Pielgrzym założył, że to brat.

– Pobudka! – rzuciła Nikki, ukazując w uśmiechu zęby.

Pielgrzym nie odpowiedział. Popatrzył na mężczyznę obok. Był od niej kilka lat starszy i wyglądał podobnie: jasne oczy i piegi na bladej skórze. Oczy mu ani drgnęły. Byłby z niego dobry pokerzysta.

*Albo seryjny morderca* – słabo dodał Głos.

W wielkiej łapie trzymał broń Pielgrzyma.

– Mam nadzieję, że podoba ci się pokój – ciągnęła Nikki. – To jeden z najlepszych, jakie tutaj mamy. Musisz wiedzieć, że wygodę i obsługę klienta cenimy sobie najbardziej. – Zaśmiała się. Zabrzmiało to nienaturalnie i zbyt głośno, jak rżenie konia.

Przesunęła puste krzesło w stronę Pielgrzyma i postawiła z boku, tak by nie znajdować się naprzeciw niego. Usiadła i głęboko odetchnęła, sugerując, że miniony dzień był jak dotąd wyczerpujący.

Jej brat wciąż stał prosto przed Pielgrzymem.

Pielgrzym uznał przyjęte przez nich pozycje za bardzo interesujące.

Nie odrywał wzroku od brata Nikki, gapili się na siebie nawzajem. Zastanawiał się, czy byłby tak niewzruszony, gdyby Pielgrzym nie był teraz przywiązany do krzesła.

*Obstawiam, że nie. Wygląda na świra.* – Głos był teraz silniejszy, dochodził z bliska.

– Nagle chcesz rozmawiać – odparł Pielgrzym.

*Wiedziałaś przecież, że na długo się nie zamknę.*

– Och, mamy wiele do omówienia – powiedziała Nikki.

– Nie żartuj – rzekł Pielgrzym.

Parsknęła śmiechem, tym razem bardziej przypominało to dźwięk wydawany przez psa niż konia, po czym spojrzała na brata.

– Widzisz? Mówiłam ci, że to twarda sztuka.

Brat nie poświęcił jej nawet spojrzenia, ciągle patrzył na Pielgrzyma. Prawie jakby chciał zajrzeć do jego głowy, wwiercić się w nią wzrokiem i sprawdzić, co jest w środku: myśli, zamiary, plany. Wyglądał, jakby chciał pogrzebać w środku. Wpatrywał się w niego jak pieprzona sroka w gnat.

Pielgrzym uniósł brew, prowokując go do tego, by się odezwał.

Usta tamtego mocniej się zacisnęły.

Nikki patrzyła to na jednego, to na drugiego. Przez chwilę była zdezorientowana.

*On mi się nie podoba. Ani trochę.*

Pielgrzym chrząknął, zgadzając się z Głosem.

*Spróbuj przejąć kontrolę nad sytuacją.*

– Niby jak, do cholery, mam tego dokonać?

– Dokonać czego? – zainteresowała się Nikki.

*Zapytaj, czego chcą.*

– Kiedy ja wiem, czego chcą.

– Do kogo ty mówisz? – zapytała z nutą podejrzliwości w głosie.

*No dobra, niby czego?*

– Chcą dziewczyny, mojego motocykla i wszystkiego, co im mogę zaoferować. I zanim zaczną się zabawiać, chcą się upewnić, że o tym wiem.

*Kontrola.* – Poczul, że Głos się z nim zgadza. – *Pewnie masz rację.*

– Mam rację, wierz mi – odrzekł Pielgrzym.

– Ej, poważnie, jesteś jednym z nich, co? – Nikki uniosła się lekko

z miejsca, patrząc uważnie na niego.

Pielgrzym uśmiechnął się do niej prawie niezauważalnie, a jednak kobieta zbladła, zamrugła nerwowo i przełknęła ślinę. Obróciła się w stronę brata.

Głos Pielgrzyma smagnął ją niczym bat.

– Nie patrz na niego, kupo gówna. On ci w niczym nie pomoże. Kiedy przyjdzie co do czego, zostawi cię w kałuży krwi jak zarżniętą świnię.

– Ciii.

Brat uniósł palec wskazujący do popękanych ust.

– Ciii – wyszeptał, a drugą dłonią delikatnie posadził swoją siostrę z powrotem na miejscu. – Obudzisz dziewczynę. Odpoczywa teraz. Ulokowaliśmy ją w apartamencie dla nowożeńców.

Pielgrzym panował nad głosem.

– Nie znam jej. Nie wiem nawet, jak ma na imię. Poznałem ją dzisiaj. Nic dla mnie nie znaczy.

Głos ucichł. Nie miał pojęcia, dokąd to zmierza. Nie zawsze rozumiał zamiary Pielgrzyma, podobnie jak ten nie za każdym razem wiedział, o co chodzi jemu.

– W sumie jeżeli mnie wypuścicie – ciągnął Pielgrzym – to nawet mogę wam z nią pomóc. Jest strasznie kłótniwa. Jestem prawie pewien, że gryzie.

*Co ty robisz?*

– Będziesz potrzebował do tego dwóch par rąk, a nie sądzę, żeby twoja nadęta siostrzyczka się nadawała.

– Hej! – oburzyła się Nikki. – Pieprz się!

Pielgrzym wzruszył lekko ramionami, na tyle, na ile zdołał mimo więzów.

– Żyjemy w brutalnym świecie i czasami trzeba użyć brutalnych środków. Jestem gotów zrobić, co tylko trzeba, żeby przeżyć.

Głos znowu ucichł. Pielgrzym nie był pewien, czy to z powodu oburzenia jego sugestią, czy też po prostu Głos nie wiedział, co o niej myśleć.

– Pierdol się, chłopie! – Nikki wstała gwałtownie i obróciła się

w stronę brata. – Pomogę ci z tą małą dziwką, Russ. Nie słuchaj tego kutasa. Jest jednym z nich. Słyszy to coś. Powinniśmy poderżnąć mu gardło, zamiast z nim rozmawiać.

Russ rozważał słowa siostry. Mrugnął niespiesznie, jakby myślenie pochłaniało teraz całą jego energię. Spojrzał na Pielgrzymą i powiedział wolno:

– Związialiśmy ją tak elegancko jak ciebie, współniku. Poradzimy sobie bez pomocy.

Mówił tak, jakby był bardzo śpiący.

Pielgrzym poczuł, jak za sprawą jego oferty dotyczącej pomocy z mężczyzny uchodzi część napięcia. Postanowił zaryzykować jeszcze trochę i spróbować wkraść się w łaski kilkoma dobrze dobranymi słowami.

– No tak, ale przecież nie chcesz, żeby była zupełnie nieruchoma, no nie? – powiedział to niskim głosem, głębszym, trochę śliskim. Te słowa miały być jasną sugestią i nie chciał, żeby facet puścił je mimo uszu. – Chcesz, żeby trochę wierzgała, opierała się. Na tyle, by sprawiało to przyjemność.

Russ mrugnął powoli i skinął głową ze zrozumieniem.

– To nie fair, Russ. – Nikki jęczała, głos jej się łamał. – Obiecałeś, że teraz będzie moja kolej!

I to właśnie wystarczyło, by odebrać Pielgrzymowi całą władzę, jaką przed chwilą zyskał nad nim.

– Uspokój się, do kurwy nędzy – powiedział do niej Russ, odwracając uwagę od Pielgrzymy. – Myślisz, że jestem głupi? Nie zamierzam go odwiązywać.

– To o co ci...

– Zostaw drzwi otwarte, żeby słyszał – wyjaśnił Russ, posyłając Pielgrzymowi obrzydliwe spojrzenie. – Ty będziesz trzymała, ja się będę zabawiał, a on z chęcią posłucha.

Nikki się zaśmiała. Z ulgą wypuściła powietrze przez nozdrza niczym wieloryb. Popatrzyła ze złością na Pielgrzymą, uśmiechając się triumfalnie, ale przy tym szybko zerknęła na wiązania przy jego krześle. Sprawdzała przed wyjściem, czy aby na pewno się nie

uwolni.

Drzwi zostawiła otwarte.

Pielgrzym słuchał uważnie oddalających się kroków. Naliczył ich zaledwie trzynaście, po czym otworzyły się kolejne drzwi. Brat odezwał się do lokatorki, dziewczyny.

*Lacey* – przypomniał mu Głos, choć on nie zapomniał.

Słowa Russa były zbyt ciche, by mogli je usłyszeć, ale już odpowiedź dziewczyny była wyraźna.

– Odpierdol się i umrzyj.

Pielgrzym się uśmiechnął. Będzie musiała wytrzymać kilka następnych minut, a nie będą dla niej przyjemne.

Przekrzywił głowę w stronę otwartych drzwi, za pomocą swojego spokojnego pulsu odliczał upływ czasu. Rozciągnął kilka razy palce, usłyszał, jak strzelają. Drewno podłokietników zatrzeszczało, kiedy mocno je chwycił, a mięśnie przedramion naprężyły się niczym postronki. Prawie nie poczuł bólu, kiedy drut werznął mu się w nadgarstki.

W pokoju obok było słyhać szamotaninę, dziewczyna zawyła. Russ chrząknął kilka razy i wykrzyczał parę rozkazów, ale jego słowa zginęły w nagłym krzyku dziewczyny.

Tylko tego potrzebował Pielgrzym. Szarpnął za podłokietniki krzesła i odepchnął się mocno stopami, podskakując na krześle. Czuł, jak się przesuwają. Zrobił to samo jeszcze raz, wykonując kolejny mały skok w stronę nożyc. Przebył dwie trzecie drogi do celu, kiedy powietrze przeszył odgłos rozdieranego materiału. Nie musiał słyszeć wrzasku dziewczyny, by rozumieć, co jej właśnie zabrano.

Ktoś krzyknął – prawdopodobnie Nikki – po czym zaniósł się radosnym śmiechem.

Słyszając głośne krzyki, Pielgrzym tak wyteżył swoje siły, że ból rozsadał mu czaszkę. Ciśnienie huczało w skroniach, żyły mocno pulsowały pod cienką warstwą skóry. Ręce napinały się, uda drżały, a kwas mlekowy palił w nadwreżonych mięśniach. Krew



lśniła na nadgarstkach, kapiała na drewno i barwiła słoje na czerwono. Podskakiwał do góry i w bok, ciało wysuwało się w prawo, krzesło chwiało się na dwóch nogach. Przechylił się jeszcze, próbując stracić równowagę i przewrócić krzesło, w końcu runął na podłogę, przyjmując siłę uderzenia na ramię, rękę i biodro. Zacisnął szczękę, czując ogromny ból, kiedy wszystkie jego kości nagle załomotały w wyniku upadku. Zderzenie z podłogą wywołało chwilowy szok w całym ciele, a ból odzywał się w każdym stawie. Niemniej to ostatnie pchnięcie, ten ostatni wysiłek wystarczyły. Sunął z trudem po ziemi niczym statek wpływający do portu przez gęstniejącą przy brzegu błotnistą wodę. Dłoń była już obok nożyc i wystarczyło kilka ruchów całego ciała. Machał głową energicznie w dół i w górę, biodrami podskakiwał na siedzeniu. Potem najpierw dosięgnął opuszką małego palca brzegu gazety, a następnie zakrwawionymi palcami chwycił za nią, przyciągnął do siebie nożyce na tyle blisko, by móc je chwycić.

Dwie sekundy później okręcił nożyce i wcisnął ich ostrza między nadgarstek i podłokietnik, po czym z łatwością przeciął drut.

Pięć sekund później kończył uwalnianie kostki numer dwa.

Pięć kolejnych sekund później biegł już korytarzem i wpadał do pokoju.

Druga lampa naftowa oświetlała płaczącą dziewczynę. Rzuciła się na łóżku pod Russem. Rozpięte spodnie wisiały w połowie jego ud. Miał błądy tyłek porośnięty jasnymi włosami.

Nikki stała u wezłowania, całym ciężarem ciała przytrzymując rękę dziewczyny, tak by nie mogła się bronić, a mimo to Lacey wciąż próbowała wierzgać, wykręcać ciało i krzyczeć, płacząc bez ustanku.

Tylko tyle Pielgrzym zdołał zobaczyć. Nic więcej zresztą nie potrzebował, bo już chwilę później był przy Russie. Chwycił go pełną garścią za tłuste włosy i szarpnął głowę do tyłu, tnąc nożycami jego odsłonięte gardło. Otwarte ostrza zamknęły się na szyi Russa, przecinając tchawicę i przełyk.

Russ zamienił się w gejzer krwi. Pielgrzym nie podejrzewał, że

będzie jej aż tyle. Musiał wbić się tak głęboko, że przebił tętnicę szyjną.

Dziewczyna odwróciła głowę, zaciskając oczy, a krew obryzgała jej policzek i ucho. Nikki była zbyt wolna i zszokowana, a krew brata trysnęła jej prosto na twarz. Gorączkowo próbowała odsunąć się od Pielgrzyma, dusząc się i dławiąc, po czym przewróciła się obok łóżka. Próbowała zetrzeć dłońmi krew z twarzy.

Pielgrzym odciągnął Russa od dziewczyny, ciągnąc go za włosy i pasek rozpiętych spodni, i rzucił go na siostrę. Nie był lekki, ale nie był też jeszcze martwy. Przygniótł Nikki do podłogi, kryjąc ją pod sobą prawie tak, jak robił to jeszcze przed chwilą z Lacey. Jego ciało trzęsło się w konwulsjach, stopa uderzała o podłogę, stukając, jak gdyby stepował w drodze do piekła. Nikki nie było widać spod ogromnego ciała Russa, wystawała jedynie jej głowa. Jej oczy były teraz zdumiewająco białe na tle umazanej krwią twarzy, usta otwierały się szeroko i zamykały jak u kukielki, kiedy wymawiała mnóstwo niezrozumiałych słów.

Pielgrzym wykrzywił usta z niesmakiem. Zszedł z materaca prosto na jej twarz. Przygwoździł jej głowę do podłogi z odrażającym łupnięciem.

But Russa uderzył o podłogę po raz ostatni i znieruchomiał.

Powiększająca się powoli kałuża krwi wypływała spod głowy Nikki niczym czarna aureola, ciemna i złowieszcza.

Pielgrzym stał nad nimi bez ruchu, jedynie jego klatka piersiowa podnosiła się i opadała ciężko z każdym oddechem. Krew ściekała z jego palców i kapłała na podłogę, jak gdyby jego ciało z braku zegarów w pomieszczeniu próbowało odmierzać w ten sposób czas. Tik-tak, tik-tak.

Po dziesiątej kropli odwrócił głowę w stronę łóżka. Nie spieszył się z tym, tak naprawdę nie chciał bowiem zobaczyć, co zdążyli zrobić dziewczynie.

Poruszyła się tylko na tyle, żeby zasłonić rękoma piersi, skrzyżowała też nogi. Strzępy rozerwanej na pół koszuli zwiślały teraz po obu jej stronach. Nie miała na sobie dzinsów i bielizny.

Nogi miała długie i szczupłe. Zdumiała go jej nagość, dlatego z powrotem popatrzył na twarz. Cały czas odwracała głowę i założył, że wciąż nie otworzyła oczu.

Ostrożnie usiadł plecami do niej, materac ugiął się pod jego ciężarem. Bał się jej dotknąć. Była to pewnie ostatnia rzecz, której teraz chciała.

– Hej...

*Lacey* – wyszeptał Głos.

– Znam jej cholerne imię – nie wytrzymał.

*Przepraszam* – powiedział Głos, ale tak, jak gdyby wcale nie było mu przykro.

– Czy oni... – Miał zapytać, czy zrobili jej krzywdę, ale ugryzł się w język, ponieważ było to kretyńskie pytanie. Opuścił głowę i zaczął się przyglądać wnętrzą swoich dłoni. Zgęstniała mieszanka krwi jego i Russa krzepła pomiędzy liniami papilarnymi i odciskami na skórze.

– Czy on... – Przygryzł język na tyle mocno, że aż łzy mu stanęły w oczach. Chwilę później zmusił się do tego, by rozluźnić szczęki. – Czy udało mu się dostać do środka?

Milczała na tyle długo, że nie miał wyjścia, musiał na nią popatrzeć. Jej głowa zaczęła powoli obracać się ku niemu, ale jakby nie potrafiła dokończyć tego ruchu. Przyciskała pięść do czoła, pomiędzy brwiami. Oczy miała szeroko otwarte, a jej kąciki ust opadały z obydwu stron. Łzy mieszały się z krwią i ściekały strużką po policzku w kierunku ucha, gdzie ostatecznie ginęły.

Głęboko z jej gardła wyrwało się chrząknięcie, potem gwałtownie wciągnęła powietrze i pokręciła głową.

– Nie. Nie, ale Boże drogi, próbował. Czułam, jak próbuje to we mnie wbić. Prawie mu się... – Zaczęła łkać i odjęła dłoń od czoła, by zasłonić usta. Kiedy już zdobyła się na to, by na niego spojrzeć, jego oczy lśniły od łez. Jej słowa natomiast były prawie nie do rozróżnienia, głównie przez to, że zasłaniała dłonią usta. – Długo ci zajęło dostanie się tutaj.

Otarł nadgarstkiem wargi, ale szybko przestał, zdając sobie

sprawę, że pewnie rozsmarowuje krew po twarzy.

– Jeśli kiedykolwiek zechcesz kogoś unieruchomić, użyj drutu. Bardzo efektywna rzecz.

Wydała z siebie dźwięk, który brzmiał jak śmiech przemieszany z płaczem. Szybko przetarła oczy, gniewnie pozbywając się w ten sposób łez.

– Babcia zawsze powtarzała, że to się kiedyś wydarzy. Że na zewnątrz jest niebezpiecznie i powinnam zostać na farmie. Miała rację.

– Może. Ale nie wszyscy są tacy jak oni. – Pielgrzym wstał nie bez wysiłku. – Tych dwoje to byli zdecydowanie źli ludzie. Za długo przebywali sami i zgnili od środka.

Stopa Russa leżała mu na drodze, więc ją kopnął. Wyszedł z pokoju. Dziewczyna nie wołała go z powrotem, a on doszedł do wniosku, że przyda jej się chwila samotności. Dzięki temu będzie mogła się pozbierać.

Poszedł korytarzem do pokoju, w którym go trzymali, podniósł z podłogi butelkę wody i odrzucony T-shirt. Był trochę okurzony, ale w miarę czysty. Nadrukowano na nim jaskrawą czaszkę w stylu wudu, a pod nią żółty napis „Bar i restauracja u Boba”. Podniósł również lampę. Kiedy wrócił do dziewczyny, siedziała na drugim końcu łóżka. Ręce założyła na piersiach, dzinsy miała już naciągnięte. Patrzyła, jak podchodzi, i opuściła wzrok.

– Przepraszam – wymamrotała.

– Za co?

Kiwnęła głową w kierunku podłogi.

Obok jej nóg widział kałużę wymiocin.

Poczuł, jak coś w nim mięknie. Czuł, jak ciepło pośrodku jego dłoni sprawia, że ma ochotę delikatnie zgiąć palce i dotknąć jej twarzy. Nie pozwolił sobie na to. Najlepiej zrobi, zabierając ją daleko stąd. Spędzili wystarczająco dużo czasu w tym miejscu.

– Trzymaj, doprowadź się do porządku. – Podał jej butelkę wody i koszulkę. – Wynosimy się stąd. Ubierz się. – Odwrócił się plecami, żeby dać jej trochę prywatności.

Przez chwilę wydawało mu się, że dziewczyna nie zamierza się ruszyć, ale wreszcie usłyszał odgłos odkręcanej butelki, płukanie gardła i splunięcie. Kilka sekund później szelest ubrań. Pielgrzym obszedł łóżko i schylił się, by przeszukać okolicę. Szybko odnalazł swój pistolet. Leżał pod łóżkiem, wystarczająco daleko od dziewczyny, by nie mogła w żaden sposób go sięgnąć, nawet gdyby jakimś cudem udało się jej uwolnić rękę. Leżał jednocześnie na tyle blisko, by Russ w razie potrzeby nie musiał go długo szukać.

*Niewystarczająco blisko* – podsumował Głos.

– Najwidoczniej – wymruczał Pielgrzym.

Znalazł również jej buty. Kiedy wrócił do łóżka, dziewczyna starła z siebie większość krwi i ubrała się. Koszulka była na nią przynajmniej o dwa rozmiary za duża. Wyglądała w niej jak dziesięcioletka przebrana za dorosłą.

– Dasz radę iść? – zapytał, podając jej buty.

Skinęła krótko i popatrzyła na niego. Schyliła się i wepchnęła stopy do środka – najpierw do lewego, potem do prawego, a Pielgrzym pomyślał, że pewnie robiła to w ten sam sposób każdego ranka od lat – a następnie zasznurowała obydwa buty. Palce jej drżały, ale zaplatała pętelki z precyzją i nie pomyliła się ani razu.

– W porządku, idziemy. – Skinął w stronę drzwi.

Rzuciła okiem na dwa ciała rzucone w kącie pomieszczenia i otworzyła na moment usta, jakby chciała coś powiedzieć. Zamknęła je z powrotem, nie wypowiadając ani słowa. Pokuśtykała do drzwi, a Pielgrzym szedł za nią. Nie obejrzał się na rodzeństwo. Oni już nigdzie się nie wybierają.

## Rozdział 10

Przyświecając sobie lampą, dostali się z powrotem na parter. Żadne drzwi nie były zamknięte, Nikki i Russ najwyraźniej nie sądzili, by któraś z ich ofiar mogła się uwolnić. Piwniczna ciemność podążała za nimi – mijali okna i nie uszło ich uwagi, że na zewnątrz noc zaczęła się już na dobre, zmieniając szkło w przyczerzone lustro. Niczym duchy odbijali się w nich powłócząca nogami dziewczyna i cień wysokiego mężczyzny.

Weszli do recepcji i na podłodze znaleźli kota. Leżał na boku z zapadniętym brzuchem.

Pielgrzym kucnął obok niego i oparł opuszki palców o kark zwierzęcia. Futro było chłodne, ciepło zwierzęcia już dawno wydostało się na zewnątrz.

Przeszedł nad nim i zanurzył się w noc, po czym wciągnął powietrze i przeciął podwórko. Wydawało mu się, że to pierwszy głęboki oddech od jakiegoś czasu. Nocne powietrze chłodziło mu płuca. Na zewnątrz pachniało ziemią, roślinami i życiem.

Dziewczyna pojawiła się obok niego.

– Przykro mi z powodu kota – powiedziała delikatnie.

– Nie należał do mnie.

Kątem oka zobaczył, że wzrusza ramionami.

– I tak mi przykro. Fajny był z niego futrzak.

Pochwyciła jego spojrzenie i przytrzymała, podobnie jak wtedy na początku, obok stoiska z lemoniadą.

To on pierwszy odwrócił wzrok. Powiódł spojrzeniem w stronę samotnego auta zaparkowanego przed pokojem numer 8.

Ósemka mogła być problematyczna. Pielgrzym wiedział o tym,

tak samo jak wiedział, że zostały jeszcze cztery godziny do wschodu słońca, a dziewczyna waży pomiędzy 43 a 47,5 kilograma. Na pewno nie więcej niż 47,5. Po prostu to wiedział.

– Sprawdzisz ten pokój, mam rację? – spytała.

– Myślę o tym.

– To na pewno dobry pomysł?

– Pewnie nie.

Milczeli przez chwilę. Wreszcie nie wytrzymała.

– Jak myślisz, co jest w środku?

Oboje wpatrywali się w zamknięte drzwi pokoju numer 8. Z ich miejsca było widać, że ktoś zaciągnął w środku zasłony.

– Nic dobrego – odrzekł.

– Ja chyba tu poczekam. – Objęła się rękami, jakby było jej zimno.

Pielgrzym skinął głową. Myślami był jednak gdzie indziej. Nie mógł oderwać oczu od tych drzwi z ósemką w kolorze mosiądzu, która zwisała tak krzywo, że wyglądała prawie jak symbol nieskończoności. W drzwiach było pęknięcie, biegło od dolnej krawędzi po stronie zawiasów. Rozchodziło się u góry w dwie strony, przez co wyglądało jak litera Y. Albo jak różdżka do szukania żył wodnych lub używana przez Nikki proca, która okazała się kuszą. Ucho Pielgrzyma piekło w miejscu, w którym Nikki go drasnęła – i to nie byle jak. Spodziewał się, że krew lada moment zacznie z powrotem syczeć i skwierczeć jak kiełbasa rzucona na rozgrzaną patelnię pełną tłuszczu.

Zorientował się, że stanął na palcach i wychyla się nieco w stronę tych cholernych drzwi.

– Hej.

Dziewczyna dotknęła jego ramienia tuż nad łokciem. Mrugnął i poczuł, że chce mu się ziewać. Opadł na pięty, a świat nagle przyspieszył wokół niego.

*Wszystko w porządku?* – zapytał Głos.

– Wszystko w porządku?

Prawie parsknął, słysząc, jak jednocześnie zadają to pytanie. Nie

czuł się jednak źle.

Spojrzał na dziewczynę, ubraną w za dużą koszulkę i zakrwawione džinsy, i skinął głową.

– Tak, wybacz. Nic mi nie jest. Znajdźmy twój karabin, zanim zajmę się resztą spraw. Wolę, żebyś była uzbrojona w coś więcej niż swoje cięte riposty.

– Moje riposty są cięte jak diabli.

– Nie dość, żebym się o ciebie nie martwił. Zostań tutaj. I krzycz, jeśli te drzwi się otworzą – dodał na odchodnym.

– Musiałeś to powiedzieć, co?! – krzyknęła za nim.

Nie było go zaledwie kilka minut. Ich oprawcy nie chowali swoich rzeczy. Widocznie nie czuli takiej potrzeby. Najwyraźniej nie podejrzewali, że jedno z nich skończy z rozciętym gardłem, a drugie z pękniętą czaszką. Pielgrzym podniósł plecak i wychodząc, zgarnął z haczyka brelok z kluczem do pokoju numer 8, przystając przy szufladzie pod blatem w recepcji. Mały mosiężny klucz tkwił w swoim zamku. Przekręcił go, usłyszał słabe kliknięcie i otworzył szufladę. W środku leżały dwa breloki. Również je zabrał.

Dziewczyna zobaczyła swój karabin i sięgnęła po niego z widoczną ulgą. Przypomniało mu to kreskówki, które oglądał jako dziecko, siedząc na podłodze przed telewizorem, podczas gdy pralka delikatnie szumiała w oddali. Ktoś zawsze siedział obok niego, ale siadał tak blisko odbiornika, że widział towarzyszy jedynie kątem oka. Przechylał głowę i oglądał, pochłonięty przez obrazy. Z jakiegoś dziwnego powodu żywe barwy tych kreskówek utkwiły mu głęboko w pamięci. Szokujące czerwienie sportowych samochodów, głębokie błękity tropikalnych wód, olśniewające zielenie świeżo skoszonej trawy. Ciepły brąz pluszowego misia, po którego rysunkowa bohaterka wyciągała rączkę. Podnosiła go i przyciskała mocno do piersi, wykrzywiając twarz w zachwycie.

Dziewczyna nie przytulała broni ani nie wyrażała szczególnie silnych emocji związanych z jej odnalezieniem, ale Pielgrzym był pewien, że kusił ją, by to zrobić.



– Trzymaj broń na podorędziu – powiedział. – Jeśli będę chciał, byś do czegoś strzeliła, krzyknę. – Obserwował, jak trzęsącymi się palcami fachowo odciągnęła rygiel i sprawdziła, czy broń jest załadowana.

– W porządku – odparła, przyciskając ją lekko do piersi, prawie jakby trzymała misia.

Wyciągnął brelok z kieszeni, zacisnął zęby na plastikowym numerku i zaczął iść w stronę zamkniętych drzwi. Sprawdził, czy w komorze pistoletu znajduje się nabój. Próbował iść lekkim krokiem, ale jego buty wydawały głuchy odgłos, ilekroć obcas stukał o beton.

Zanurkował pod zasłoniętym oknem. Nie chciał, by sylwetka zdradziła komuś jego obecność. Obrócił się plecami do ściany i wciąż kucając, wyciągnął klucz spomiędzy warg i włożył go do zamka. Przekręcił, zamek cicho kliknął i drzwi się otworzyły. Zostawił klucz w drzwiach, przyszykował broń i pchnął drzwi, po czym wciąż pochylony szybko wszedł do środka.

W pokoju nie było żadnych źródeł światła. Zasłony były zaciągnięte. Mizerna księżycowa poświata dobywająca się z za okna wypłoszyła gobliny w stronę całkowitej ciemności, pod łóżko i w kąty pomieszczenia. Przez chwilę rozważał wrócenie się po lampę, którą zostawił z dziewczyną, ale odrzucił ten pomysł. Chciał to szybko mieć za sobą i wynieść się stąd.

Zebranie tych wszystkich informacji zajęło mu jakąś sekundę. Potem w nozdrza uderzył go zapach.

Kału.

Potu.

Ciężki, metaliczny zapach krwi.

Odór wypełnił mu nozdrza, przez co natychmiast pożałował, że nie naciągnął chusty na nos, zanim wszedł do pomieszczenia.

Pokój był dwuosobowy. Na łóżku bliżej okna rozciągnięto ciało. Ramiona uniesione nad głowę, prawdopodobnie przywiązane do wezglowia, nogi rozłożone szeroko i unieruchomione po drugiej stronie. Pielgrzym zbliżył się i dotknął stopy. Była zimna.

*Trup* – wyszeptał Głos.

Nie odpowiedział. Przesunął palcami po chłodnej skórze, szukając pulsu po wewnętrznej stronie stopy i obok kostki, ale wiedział, że go nie znajdzie. Przycisnął dwa palce i odliczył piętnaście sekund.

Ani drgnienia.

*Trup* – powtórzył Głos, tym razem w jego tonie słychać było pewność.

Pielgrzym zabrał dłoń i wrócił do oglądania pokoju. Widział zarys dwóch stolików przy łóżkach, fotel w najbliższym narożniku i długą szafkę z szufladami, na której stał mały odbiornik telewizyjny. Otwarta walizka leżała w nogach pustego łóżka, jej zawartość ułożono niedbale i część wystawała na zewnątrz. Naprzeciwko niego było dwoje drzwi – zgadywał, że jedno są od szafy, a drugie od łazienki.

W końcu nie musiał jednak sam decydować, które z drzwi sprawdzi najpierw. Zdecydowało za niego przytłumione skomlenie dobywające się zza tych po prawej.

Natychmiast padł na czworaka i zajrzał pod łóżka – potwory zawsze chowają się właśnie tam – ale nic nie dostrzegł. Jeżeli był tam kiedykolwiek jakiś potwór, to już zdążył się stamtąd wynieść.

Zza drzwi po prawej stronie dobiegł go drugi dźwięk – metaliczne brzęknięcie, a chwilę później ktoś cicho chrząknął.

*To pewnie kolejny szalony członek rodziny. Czeka z toporem.*

– Cicho – rozkazał Pielgrzym.

Wstał, prawe kolano trzasnęło. Cicho podszedł do drzwi, jego kroki wytłumił cienki dywan. Obserwował klamkę, wyobrażając sobie, że ta się obraca. Wydał z siebie cichy, zwierzęcy pomruk, uniósł nogę i ciężkim butem kopnął mocno drzwi, wyłamując zamek. Wpadły do środka, uderzyły o ścianę i odbiły się z powrotem, ale Pielgrzym już wpadł do środka z uniesioną i przygotowaną bronią.

Gdy tylko zauważył, co jest w środku, zatrzymał się.

*Hej, co się tam dzieje?*

Nie zdawał sobie sprawy, że opuścił pistolet, dopóki czyjś tyłek

nie obił się o jego udo.

– HEJ! – Z paniką w głosie krzyknęła dziewczyna, wybiegając z powrotem na zewnątrz.

– Chodź tu! – krzyknął, nie odwracając spojrzenia od tego, co zobaczył w wannie. – I przynieś lampę!

Potrzeba było ich obojga, by wyciągnąć z wanny nagą kobietę. Nikki i Russ dobrze się sprawili, wiążąc jej ciało, krępując obydwą nadgarstki nad rurą prysznicą. Użyli tego samego drutu, którym skrępowali Pielgrzyma, tyle że w tym wypadku werznął się znacznie głębiej. No ale ona była związana dłużej.

Blask w odcieniach sepii, który dawała lampa, sprawiał, że siniaki na brzuchu, żebrach i nogach kobiety wyglądały jak duże czarne smugi. Prawie jakby ktoś rysował po niej zamaszystymi ruchami, używając węgla drzewnego. Kobieta syczała z bólu i kwiliła raz po raz, ale nie powiedziała ani słowa, kiedy pomagali jej wyjść z wanny. Za to dziewczyna nie zamykała się ani na moment. Jej kojące paplanie o dziwo nie przeszkadzało Pielgrzymowi. On sam miał do powiedzenia jeszcze mniej niż kobieta.

– Właśnie tak, jeszcze tylko kawałek. Tutaj ostrożnie, jest trochę ślisko. Rany, ale masz szczęście, że Skaut chciał sprawdzić to pomieszczenie, bo inaczej... W sumie nieważne, co by się stało. Znaleźliśmy cię i teraz... – Tym razem to dziewczyna westchnęła.  
– O rany, twoje biedne nadgarstki.

*Jaka szkoda, że ludzi nie można zabić dwa razy.*

– Taaak.

Zatrzymali się zaledwie krok po przekroczeniu progu łazienki. Pielgrzym stał po jednej stronie kobiety, ostrożnie ujmując ją za ramię, natomiast dziewczyna asekurowała ją z drugiej strony. Ciało na łóżku leżało cicho i bez ruchu, a jednak cała trójka przyglądała się mu ze zgrozą.

Kobieta zaczęła się trząść.

– Powinniśmy się stąd wynosić – powiedziała Lacey.

Ona również była roztrzęsiona, ale ukrywała to lepiej niż kobieta.

Nie widział jej dobrze w mroku, ale słyszał, jak szczęka zębami.

– Trzymasz ją? – zapytał.

– Co?

– Trzymaj mocno, żeby nie upadła.

Puścił kobietę i pospieszył do drugiego łóżka, ściągnął z niego koc i przykrył nim ciało. Wcześniej jednak zwrócił uwagę, że ofiarą była dziewczyna tuż po dwudziestce. Jej przekrwione oczy wpatrywały się w sufit, usta miała rozchylone, a pomiędzy fioletowych warg wystawał siny język. Na jej gardle widniały głębokie nacięcia od drutu.

Podszedł i jeszcze raz wziął kobietę delikatnie pod ramię.

– Wyjdźmy stąd. Wrócę za chwilę po ubrania.

Poprowadzili ją przez pokój i wyszli na zewnątrz. Po raz drugi tej nocy Pielgrzym nabrał głęboko powietrza, czyszcząc płuca z trupiego odoru. Pomógł jej oprzeć się o bagażnik samochodu i poszedł z powrotem po walizkę. Wracając, skręcił jeszcze po plecak, zabrał też swoją apteczkę i dużą butelkę wody, po czym zaniósł to wszystko dziewczynie i polecił, by pomogła kobiecie umyć się i ubrać. Zlecone zadanie miało pomóc jej zająć czymś myśli przynajmniej do czasu, aż opuszczą to miejsce.

– To twój samochód? – spytał kobietę, wyciągając dwa breloki, które znalazł wcześniej w szufladzie. Wypróbował przyciski na obydwu, ale nie usłyszał żadnego piknięcia.

Zmarszczyła brwi i spojrzała na samochód, o który się opierała, jakby chciała sobie przypomnieć, czy jest jego właścicielką, po czym bez słowa wskazała na brelok w lewej dłoni Pielgrzyma.

– Bateria padła – wyszeptała. – Musisz użyć kluczyka.

Kluczykiem otworzył drzwi od strony pasażera. Przekazał brelok dziewczynie.

– Dokąd się znowu wybierasz? – zapytała, odbierając od niego rzeczy, czy raczej ledwo je łapiąc.

– Jeszcze raz rzucę okiem na ten pokój. A potem się stąd wynosimy. Obiecuję.

– W porządku, ale czy możesz się pospieszyć? Proszę.

## Rozdział 11

Lacey patrzyła niespokojnie, jak wchodził z powrotem do środka. Nie ruszyła się z miejsca przez dobrą chwilę, nasłuchując. Na wszelki wypadek była gotowa, gdyby zawołał ją jeszcze raz. Kiedy gapiła się na pokój numer 8, poczuła, że z motelowej recepcji ktoś na nią patrzy.

Obróciła się.

Nikt nie stał przy oknie.

Popatrzyła na biurko, przesunęła wzrokiem po martwym kocie, ale również tam nikogo nie zauważyła. Szybko obrzuciła wzrokiem wszystkie narożniki parkingu i okna pokoi motelowych. Pusto. Jeszcze kilka godzin temu z radością zareagowałyby na czyjąś obecność, teraz zaś niczego nie pragnęła tak mocno, jak odosobnienia i miejsca, w którym mogłaby się ukryć.

Przypomniała sobie o kobiecie, która stała tuż obok. Naga. I bez wątpienia równie przerażona jak ona.

– Jezu, przepraszam! Coś sobie wyobraziłam. Proszę. – Przełożyła przez ramię wszystkie przedmioty, które przekazał jej Skaut, po czym delikatnie ujęła dłoń kobiety. – Zaraz cię ubierzemy. Od razu lepiej się poczujesz.

Poprowadziła ją do samochodu od strony pasażera i otworzyła drzwi, częściowo, by osłonić nagość kobiety, ale również by miała gdzie usiąść.

– O właśnie, usiądź na moment. Ostrożnie.

Kobieta nadal się trzęsła, ale przysiadła na fotelu pasażerskim. Usadowiła się bokiem, tak że nogi wystawały jej z auta, a stopy opierały się na ziemi. Lacey oczyściła jej rozcięcia – zrobiła to

szybko nie tylko dlatego, by oszczędzić kobiecie cierpień, ale też dlatego, że nie mogła znieść zbyt długo widoku jej ran. Nie zamierzała drażnić, co takiego zamierzali Russ albo Nikki, kiedy robili jej krzywdę. Czy śmiali się, ilekroć ją bili lub kopali? Czy podobało im się, gdy krzyczała?

Nie chciała myśleć o całym złu, do jakiego doszło w tamtym pokoju, ani o tym, czy i ona mogła skończyć w ten sam sposób. Na samą myśl o tym mało nie zwariowała. Niewiele jej brakowało, by prosić Skauta, żeby odwiózł ją do domu. Nie, musi to zrobić szybko albo inaczej jej odwaga się ulotni.

Wymruczała przeprosiny, polewając rany wodą utlenioną. Wzdrygała się za każdym razem, kiedy kobieta podskakiwała na sam jej dotyk. Czuła, że łzy napływają jej do oczu, i starała się je powstrzymać, przy okazji cały czas paplała. Jej usta przeszły w tryb automatyczny i sama do końca nie kontrolowała tego, co wygaduje. Noc była niezwykle cicha i dziewczyna miała wrażenie, że w powietrzu wisi coś niedobrego. W pewnym momencie zorientowała się, że raz po raz ogląda się za siebie. Jakby coś ją z tyłu swędziało. Oczyszczyła się w piwnicy, ale wciąż czuła się brudna, zbrukana. Miała ochotę dokładnie wyszorować ramiona, dłonie i wszystko, czego dotknęło rodzeństwo. Chciała zrobić to tak skrupulatnie, jak kiedy czyściła kurczaki po oskubaniu i pokrojeniu ich na kawałki.

Słowa płynęły z jej ust bez przerwy.

– Boże, to takie beznadziejne okoliczności, żeby kogoś poznać, wiem, ale bardzo się cieszę, że cię znaleźliśmy. Nie spotykam zbyt wielu ludzi, w sumie można powiedzieć, że nie widziałam zbyt wiele świata. Ale patrząc na tych, których dziś poznałam, myślę, że to może i lepiej. To oczywiście nie dotyczy ciebie – dodała szybko i sięgnęła za plecy kobiety, pomagając jej włożyć dłoń w rękaw, ale na moment znieruchomiała i spojrzała jej w oczy. – Nie mam na myśli ciebie – powtórzyła. – Ani tamtego Skauta.

Lacey kucnęła, by sprawdzić obrażenia na nogach kobiety.

– Chciałam tylko powiedzieć, że... Miałam na myśli tych dwoje

obrzydliwców w piwnicy... Tych, co... – Odplynęła na moment. Przypomniała sobie dwa ciała, które leżały teraz jedno na drugim w piwnicy. Brat na siostrze. Ich krew – większość pochodząca z rozciętej tętnicy szyjnej brata – zlewała się teraz w kałużę. Póki jeszcze oddychał, wyglądało to, jakby miał drugie usta, które otwierały się i zamykały, kiedy mężczyzna próbował oddychać. Zupełnie jak skrzela.

Coś dotknęło czubka jej głowy i wróciła do siebie. Była to tylko dłoń kobiety.

– Wszystko w porządku. – Jej cichy głos był nieco ochryply. Przeczesła palcami włosy Lacey. – Już wszystko dobrze... Jak się nazywasz? Nie powiedziałaś mi tego.

Lacey mrugnęła zdumiona, po czym zdała sobie sprawę, że faktycznie jeszcze się nie przedstawiła. Zrobiło jej się gorąco.

– Lacey – powiedziała. – Mam na imię Lacey.

Kobieta skrzywiła się w nieudolnym uśmiechu.

– Ładnie.

– Na pewno lepsze to niż moje drugie imię, Olive. Dasz wiarę? Beznadzieja. A ty jak masz na imię?

– Alex. Nie mam drugiego.

– Alex też jest ładne. Chyba że dla mężczyzny, wtedy powiedziałabym, że jest mocne, twarde czy coś podobnego. – To zabrzmiało głupio, więc szybko zmieniła temat. – Długo tutaj przebywałaś?

Uśmiech zadrżał i spełził z ust Alex.

– Wydaje mi się, że trzy dni.

Dreszcz przerażenia przegnał ciepły uśmiech z twarzy Lacey. Trzy dni. W tym pomieszczeniu. Lacey spędziła dziesięć minut z tą dwójką. Dziesięć minut, ledwie chwila, jeśli wziąć pod uwagę to, jak długo babcia starała się ją ochronić. Ale odebrano jej to, ściągnięto z niej osłonę i wystawiono na okrucieństwa świata. Jakim cudem ta kobieta była jeszcze w stanie stać prosto i normalnie rozmawiać? Głaskać jej włosy w pocieszającym geście? Pytać o imię?

– Mój Boże... – wyszeptała Lacey. – Mój Boże, tak bardzo cię przepraszam.

– Nie – odpowiedziała kobieta. Jej głos zabrzmiał niemal nieuprzejmie. – Nie przepraszaj. Cieszę się, że cię poznałam, Lacey. Nawet nie masz pojęcia jak bardzo.

Lacey wciąż kucała przy jej stopach i gapiła się na nową znajomą z mieszanką podziwu i przerażenia. Wreszcie wstała trochę za szybko, potknęła się, zaśmiała nerwowo i prawie natychmiast ucichła. Przeprosiła raz jeszcze.

– Jeśli pomożesz mi w ubraniu się do końca – wyszeptała Alex – to wybaczę ci wszystko, co chcesz.

Lacey pomogła jej w milczeniu. Dotykały się może nawet trochę częściej, niż było potrzeba. To trzeba było pomóc w utrzymaniu równowagi, to dotknąć uspokajająco gdzie indziej, czasem należało wygładzić rękaw albo pomóc z zagiętym kołnierzykiem. Ale w tę zimną noc Lacey z radością przyjmowała wszystkie ciepłe gesty drugiej osoby. Zdawało jej się, że Alex również tego potrzebuje – dotyku człowieka, który nie zamierza jej skrzywdzić.

Raz czy dwa zauważyła, że spojrzenie Alex kieruje się w stronę pokoju motelowego. Zastanawiała się, czy martwa kobieta w środku była kimś, kogo Alex знаła. Czy była kimś dla niej bliskim.

Chcąc odwrócić jej uwagę, powiedziała:

– No dobra, niech no rzucę okiem na twoje nadgarstki.

– Słucham?

Przez chwilę Alex najwyraźniej miała problem z oderwaniem wzroku od otwartych czarnych drzwi, za którymi zniknął Skaut. Kiedy w końcu zobaczyła, że Lacey na nią patrzy, mrugnęła i skoncentrowała się.

– Ach, no tak. Dziękuję. – Pozwoliła, by Lacey wzięła ją pod rękę, przycisnęła do swojego boku i sama przysiadła na progu drzwi. Wyciągnęła rękę po butelkę z wodą.

– Skąd jesteś, Alex?

Kobieta próbowała odchrząknąć, oczyścić gardło, ale tylko się



skrzywiła.

Odpowiedziała szeptem:

– Pochodzę z Wyoming. Wędruję. A co z tobą? I z... mówiłaś, że jak on ma na imię?

– Skaut? Znam go może pół dnia. Mieszkałam w miejscu oddalonym o kilka godzin jazdy stąd. On pomaga mi dostać się do Vicksburga. Który znajduje się dużo bliżej niż Wyoming, o ile mi wiadomo. Czy to tam byłaś, kiedy to wszystko się wydarzyło? – Chciała zmienić temat rozmowy na coś wcześniejszego, odsunąć go od tego miejsca, ale interesowała ją też historia tej kobiety. – Czy tam też cały świat oszalał?

Alex znowu na chwilę znalazła się gdzieś indziej. Odwróciła głowę w stronę pokoju motelowego, jej głos stał się niższy i zatroskany.

– Taaak. Mhm. Świat oszalał również tam. A potem wszędzie cisza. Dookoła zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Przynajmniej tak to z pozoru wyglądało.

## Rozdział 12

Przed ponownym wejściem do pokoju numer 8 Pielgrzym naciągnął chustę na nos. Ruszył prosto w stronę łazienki, gdzie zostawił lampę, która witała go teraz swoim blaskiem. Przyjemne wrażenie ulotniło się, kiedy tylko wszedł do obskurnego, zatechłego pokoiku. Zielony śluz pokrywał płytki podłogowe, a smugi brązu, o których Pielgrzym wolał nawet nie myśleć, rozsmarowane były na toalecie i rurach za nią.

Drzwiczki szafki na leki, zawieszanej nad pokrytą brudem umywalką, były lekko uchylone. Pociągnął, otworzył je do końca i sprawdził wewnątrz. Nawet nie ruszył brudnego obcinacza do paznokci, podniósł za to buteleczkę na lekarstwa. Potrząsnął nią lekko, ale nie odpowiedział mu stukot tabletek, więc odstawił ją na miejsce. Poza tym nie było tam nic ciekawego, może z wyjątkiem przewróconego na plecy karalucha, którego nóżki wygięły się i wskazywały teraz sufit. A przecież czytał kiedyś, że karaluchy przetrwają wszystko.

– Najwyraźniej nie należy wierzyć we wszystko, co się przeczyta.

Łazienkowa akustyka nadała jego głosowi dziwaczne brzmienie, przypominające echo.

Zamknął szafkę i na moment zobaczył swoją twarz w zbitym lustrze. Lewe oko wyglądało jak roztrzaskane na kawałki – w jego miejscu znajdowała się spirala. Wyglądało to tak, jakby ktoś rzucił kamykiem w powierzchnię lustra. Poszarpane szklane zmarszczki wyrastały z tęczęwki. Dolna połowa jego twarzy była zasłonięta płowiejącą bawełną, co sprawiało, że oczy wydawały się wręcz hipnotyzować. Spojrzenie miał głębokie, a przy tym zimne

i zagadkowe. Sam ledwo je rozpoznał i musiał szybko odwrócić wzrok.

Głos śpiewał w upiorny, acz słodki sposób. W jego utworze było coś na temat rozpoznawania nieznajomych z daleka i pozostawaniu w ukryciu.

– Twoja kompozycja?

*Wykradłem to z zakątków twojej czachy. Kenny Rogers? A może Dolly? Któreś z nich.*

– Też nie mam pojęcia. Obaj pozostaniemy w niewiedzy.

Pielgrzym podniósł latarnię i wyszedł z łazienki.

Przykryte kocem ciało leżące na łóżku wyglądało jak maleńki krajobraz złożony z gór i dolin. Małe dziecko z samochodzikiem firmy Matchbox miałoby sporo frajdy, robiąc brum-brum i objeżdżając ten wzgórzysty teren.

Nie miał tak naprawdę ochoty, ale podszedł do ciała i ściągnął z niego koc. Próbował przygotować się psychicznie na to, co zobaczy, ale nawet to nie pomogło. Puste oczy i szeroko otwarte, jakby ziewające usta. Zresztą nie po raz pierwszy zrobiło mu się niedobrze na taki widok, a wyraz twarzy kobiety nie ułatwiał mu sprawy. W śmierci nie było godności.

Chciał zamknąć jej oczy, ale na to już było za późno. Wiedział, że pracownicy pogrzebowi położyliby jej na gałkach ocznych kawałki waty i naciągnęli na to powieki, tak by podczas odwiedzin rodziny i znajomych oczy się nie otworzyły. Pielgrzym nie miał przy sobie waty. Zamiast tego podłożył jej pod głowę poduszkę, dzięki czemu jej usta się zamknęły. Jedną ręką trzymał lampę, drugą zaś uniósł koc. Ona również była naga, podobnie jak ta druga kobieta. Nie poświęcił czasu na ocenę jej ran, oglądał ją, właściwie nie szukając niczego konkretnego, ale czuł, jakby był jej to winien. Znalazł coś po wewnętrznej stronie lewego nadgarstka, częściowo pod drutem i zaschniętą krwią. Poluzował więzy i przyjrzał się tatużowi na tyle uważnie, by móc go przeczytać.

*Faith.* Wiara.

Była to dla niej prawdopodobnie forma zapewnienia, coś, co

przypominało, że Bóg nad nią czuwa. Może dzięki temu miała bardziej uwierzyć w siebie? A może chodziło o jakieś jeszcze inne osobiste przesłanie. Powód, niezależnie od tego jaki, był już teraz mało istotny. Niemniej tatuaż stanowił dla niego formę identyfikatora. *Faith*. Wiara. Kobieta nie była już dla niego bezimienną ofiarą. Obejrzał ją i zapamiętał jako osobę, która walczyła o przeżycie i wytrwała w cierpieniu tylko po to, by zostać zamordowaną przez dwójkę tchórzy. Coś straszego stało się z uczciwością i sprawiedliwością na tym świecie. O ile w ogóle tu kiedyś bawiły.

Przez chwilę rozważał, czy czegoś nie powiedzieć. To mogły być słowa pocieszenia, ale szybko powstrzymał się przed sentymentalną gadaniną. Kobieta była już martwa i nie usłyszałaby przecież ani słowa. Odwiązał obydwie jej nadgarstki, przykrył ją z powrotem i zostawił tam, gdzie leżała.

Wychodząc z motelu po raz ostatni, Pielgrzym zadarł głowę i popatrzył na gwiazdy. Migotały w jego stronę chłodnym światłem. Rozproszone znaczyły bezmiar nieba, przez co on czuł się jak ziarno piasku. Nic, co kiedykolwiek zrobi, nie wywrze żadnego wpływu na gwiazdy. Jest w stanie co najwyżej oddziaływać na materię znajdującą się najbliżej niego.

Opuścił głowę i dostrzegł, że kobieta go obserwuje. Była ubrana i siedziała bokiem na fotelu pasażera w samochodzie. Jej nogi układały się w literę V, stopy opierała o ziemię. Dziewczyna wcisnęła się obok niej, kolanami ścisnęła butelkę z wodą. Wilgotną szmatką delikatnie przemywała rany kobiety.

Kiedy ruszył w ich stronę, kobieta nadal go obserwowała.

Ściągnął chustę z twarzy.

– Jest jakaś benzyna w aucie? – spytał.

Nie odpowiedziała od razu. Przez chwilę jakby rozważała, czy udzielanie jakichkolwiek informacji jest mądre. Zerknęła na dziewczynę i znowu popatrzyła na niego, po czym skinęła głową.

– Była. Jakieś pół baku. – Jej głos był chrapliwy, a do tego

załamał się w połowie zdania, resztę dopowiedziała po cichu, poruszając jedynie wargami.

Może to od krzyku – pomyślał.

– To dobrze – powiedział, unosząc lampę, by dziewczyna lepiej widziała, co robi.

Podniosła głowę i spojrzała na niego.

– Dzięki.

– W apteczce zostało jeszcze trochę wody utlenionej.

– Już jej trochę użyłam. – Wsunęła dłoń za kobietę, wyciągając buteleczkę postawioną na wycieracze. Nalała trochę wody utlenionej na szmatkę i wróciła do delikatnego uciskania ran na nadgarstkach kobiety.

Kobieta nawet nie pisnęła, choć przygryzała dolną wargę, a jej twarz się wykrzywiała.

Pielgrzym kucnął, wyciągnął dwie rolki bandaża ze swojego zestawu i poczekał, aż dziewczyna skończy zabiegi. Przyszła jego kolej, kilkakrotnie owinał bandażem nadgarstki kobiety. Kciukiem przytrzymał końcówkę, zębami pomógł sobie przy urwaniu taśmy klejącej.

– Lepiej zajmij się też rozcięciami na jej twarzy – powiedział do dziewczyny.

Ta wzięła się do pracy, podczas gdy on owijał drugi nadgarstek kobiety. Jej palce były długie i zgrabne, paznokcie zadbane, ale opuszki miała stwardniałe i mocne. Nadgarstki były szczupłe, ale silne, co czuł wyraźnie, trzymając je w dłoni. Zastanawiał się, w jaki sposób rodzeństwo sobie z nią poradziło.

*Poradzili sobie nawet z tobą.*

Pielgrzym wzdrygnął się na tę myśl, ale nic nie powiedział. Głos miał rację. Dziewczyna sprawiała, że nie był wystarczająco skupiony, owszem, ale nie powinien był zakładać, że sytuacja nie może okazać się groźna. Niezależnie od tego, jak sympatyczna wydawała się jego rozmówczyni. Kiepsko czytał mowę ciała, to wszystko, ale nie da się już zaskoczyć.

Zdał sobie sprawę, że gapi się na nadgarstek kobiety. Że nadal go

trzymała. Ewidentnie nie sprzedała tanio skóry, musieli jej naprawdę dać mocno popalić, a jednak nadal się trzymała, przynajmniej tak to z zewnątrz wyglądało. Zastanawiał się, czy patrzenie na to, jak torturowali i zabijali tę drugą kobietę, ułatwiło czy utrudniło sprawę. Wzmocniło ją czy osłabiło. Z jednej strony była naocznym świadkiem cudzego koszmaru i wiedziała, że zaraz nadejdzie jej kolej, ale z drugiej przynajmniej mieli inne zajęcie i póki tamta żyła, ona miała względny spokój.

*Ciekawe, czy się znały* – rozmyślał Głos.

Pielgrzym popatrzył na jej twarz. Jedna kość policzkowa była spuchnięta, skóra lśniła i była mocno napięta, przez co oko zrobiło się trochę węższe. Miała rozciętą wargę, a włosy zwisały jej wokół twarzy w poplątanych strąkach. Pomyślał, że kiedy je umyje, pod spodem będą pewnie włosy barwy ciemny blond, ale nie mógł być tego pewien. Za to jej oczy były bystre. Wypełnione bólem, gniewem. Czujne. Wyrażające całą gamę uczuć.

Przyjrzał się uważnie jej oczom.

*Nie były spokrewnione* – oświadczył Głos. – *Ale coś jest na rzeczy.*

– Taaak. Coś.

– Kim jesteś? – wyszeptała ledwie słyszalnie kobieta. – Skąd pochodzisz?

– Najprawdopodobniej z tego samego miejsca co ty. Z zachodu – dodał i pospiesznie zabrał się do pakowania zapasów medycznych, które dziewczyna rozrzuciła na ziemi.

– To skąpiradło – powiedziała dziewczyna z nutą przestrogi w głosie. – Nie chce mi nawet zdradzić swojego prawdziwego imienia.

– Dlaczego nie powiesz Lacey, jak się nazywasz? – zapytała ich nowa znajoma.

Westchnął ze zniecierpliwienia i wyprostował się, w jednej ręce trzymał apteczkę, w drugiej latarnię.

– Skończyłaś już z tymi jej ranami? – zapytał dziewczynę.

Zaskoczyła go zupełnie, uśmiechając się. Radość rozświetliła jej twarz, uczyniła ją sympatyczniejszą i piękniejszą.

Pielgrzym poczuł, jak mięsień zadrżał mu w kąciuku oka. Zastanawiało go, w jak wielkie władował się kłopoty i czy ma jeszcze czas, żeby się z nich wygrzebać, nie wywołując przy tym kolejnych.

– Nie muszę znać twojego imienia, Skaucie. Lubię cię mimo wszystko.

Pielgrzym obrócił się na pięcie i odmaszerował.

Głos zaśmiał się w jego głowie.

Pielgrzym z całej siły próbował nie zwracać uwagi na dziewczyny, kiedy te znowu zaczęły po cichu rozmawiać. Głosu niestety zignorować nie mógł, w końcu dobywał się z miejsca, którego nie mógł opuścić.

Kusiło go trochę, by zostawić je tutaj obydwie. Miały do dyspozycji zatankowane auto, w nim broń, dzięki której będą bezpieczne, a przed sobą pustą drogę. Teraz nie było już za bardzo powodu, żeby dokądkolwiek odstawiał dziewczynę, niezależnie od ich wcześniejszej umowy. Niemniej Lacey upchnęła już jego plecak do bagażnika samochodu, dodając, że dzięki temu nie będzie musiał go dźwigać. Obydwie kobiety siedziały już z przodu samochodu, którego silnik mruczał, i czekały, żeby je poprowadził.

Przeprowadzili krótką rozmowę na temat tego, czy powinni pochować martwą kobietę, głównie to on rozmawiał z Lacey. Kobieta najwyraźniej nie chciała uczestniczyć w dyskusji, spuściła wzrok i tylko kilkakrotnie skinęła głową. Ustalili, że nic więcej nie mogą dla niej zrobić. Odwiązał ją i przykrył kocem i jego zdaniem to wystarczyło. Nie bardzo miał czas i ochotę na kopanie dołu. Bolała go głowa, a ramię i biodro zeszywniały po upadku, stawy bolały go jak diabli praktycznie co drugi krok. Bardzo szybko porzucili temat pochówku.

*Nie mam pojęcia, jakim sposobem bez przerwy ładujesz się w takie sytuacje – zadumał się Głos. – Jeszcze tego ranka było nas dwóch, a teraz mamy ze sobą jeszcze nastolatkę, napadniętą kobietę i zdechłego kota. Musisz przestać przygarniać przybłądy.*

– Nie pogniewałbym się, gdybym któregoś dnia pozostał po prostu sam – odpowiedział Pielgrzym.

Głos wycofał się i umilkł, ale Pielgrzymowi nie było ani odrobinę głupio, że to spowodował.

Podjechał do samochodu od strony pasażera z wyłączonym silnikiem motocykla i poczekał, aż dziewczyna opuści szybę.

Pochylił głowę, by usłyszała go kobieta za kierownicą.

– Jeśli zobaczysz błysk moich świateł hamowania cztery razy z rzędu, to zatrzymujesz auto i czekasz, aż po was wrócę. Cztery razy. Rozumiesz?

– Cztery? – zapytała Lacey. – Upewniam się tylko, czy dobrze cię zrozumiałam – powiedziała, po czym uniosła cztery palce tuż przed jego nosem.

– Cztery – powtórzył bardzo wyraźnie.

– Rozumiemy – potwierdziła kobieta.

– Dokąd się wybieramy? – zapytała dziewczyna.

– Nie martw się. Będziemy omijać motele.

Założył na twarz chustę, żeby zapobiec dalszej rozmowie, i odpalił motor, po czym celowo i głośno zawarczał silnikiem. Poprowadził je z powrotem na główną drogę i dalej, w stronę autostrady.

Początkowo nie chciał jechać po zachodzie słońca, teraz jednak mrok niósł mu pocieszenie, nawet jeśli było zimno. Mknął przez nocny krajobraz, chcąc jak najbardziej oddalić się od motelu. Księżyc świecił wysoko na niebie i był tej nocy bardzo jasny, dlatego Pielgrzym zdecydował się nie włączać głównego reflektora, a kobiety w samochodzie poszły w jego ślady. Uważał, że droga będzie wystarczająco dobrze oświetlona i że nic im nie zagrazi. Ziemię obmywał teraz białoniebieski blask i wydawało się, że otoczenie utraciło wszelkie inne barwy, wywołując tym samym niezemskie wrażenie. Nie było słycać nawet dźwięków wydawanych przez owady ani wycia kojotów. Wszystko prócz ich silników zastygło w ciszy i bezruchu. Jego cień pędził tuż obok, jak gdyby chcąc się ścigać. A nad nim rozpościerał się zupełnie inny świat, pełen skrzących się gwiazd, które mknęły po aksamitnym



tle. Wyglądało to tak, jak gdyby Bóg rzucił na wiatr brokat, po czym obserwował, jak wiatry niosą te skarby na wszystkie strony świata.

Temperatura opadała razem z zachodzącym słońcem, schładzając kamienie, asfalt i powietrze. Pielgrzym włożył kurtkę i rękawiczki do jazdy, ale zimny wiatr wdarł się pod nią przez rękawy i kołnierz. Silnik ogrzewał jego uda i wnętrza łydek, ale kostki i stopy wkrótce zaczęły drętwieć z zimna.

Raz po raz oglądał się za siebie, ale auto nie oddalało się od niego nigdy na odległość większą niż sto metrów. Nie widział kobiet w środku, ponieważ jasny księżyc odbijał się w szybie auta, ale wiedział, że tam są i patrzą na niego co jakiś czas, przerywając swoją cichą rozmowę. Cieszyło go to, ale starał się za długo o tym nie myśleć. Wiedział też, że czują się znacznie bezpieczniej, przebywając w ciepłym wnętrzu samochodu – które przez cały dzień bez wątpienia nagromadziło sporo gorącego powietrza – i z każdą chwilą oddalając się od horroru, jaki spotkał ich w tamtym motelu. Był tego pewien tak samo jak tego, że były zmęczone, obolałe i śpiące, ale nie miał zamiaru się zatrzymać, dopóki nie znajdzie tego, czego szuka.

Czuł w oczach piasek. Ilekroć mrugał, powieki powoli i boleśnie przesuwwały się po gałkach ocznych, zupełnie jakby miały fakturę papieru ściernego. Kiedy dwie linie wymalowane na drodze zlały się w jedną, musiał zwolnić do sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatnio się wyspał.

Doczekał się nagrody za swoją cierpliwość. Czterokrotnie nacisnął hamulec, obejrzał się i zobaczył, że kobieta zatrzymuje auto, jak jej przykazał. Samochód zwolnił, częściowo zjechał na pobocze i dwa koła znalazły się w zwirowej koleinie. Wreszcie auto stanęło lekko przechylone.

Sam również się zatrzymał i podparł nogą. Ustawił się przodem do stodoły, którą zamierzał zbadać. Znajdowała się jakieś dwieście metrów od drogi. Nie widział dziewczyn w aucie, ale włączyły na moment światło, posyłając mu tym samym sygnał, chwilę później

zgasło światło i silnik. Samochód stał pogrążony w ciszy i mroku.

Pielgrzym ruszył bardzo szybko, cały czas trzymając się drogi, dzięki czemu nie ryzykował, że przednie koło wpadnie w norę jakiegoś zwierzęcia, a on przeleci przez kierownicę. Ubita droga skręcała w prawo i dalej wiodła do stodoły. Pochylił głowę i przebył całą drogę z dużą prędkością, wzbijając tumany kurzu. Zadrżał lekko na myśl o ogromnej mocy silnika.

Stodoła była wolno stojącym drewnianym budynkiem. Widać było, że wymaga kilku napraw. Zanim jeszcze Pielgrzym pokonał połowę dystansu między główną drogą a stodołą, dostrzegł nocne niebo przez prześwity w miejscach, gdzie dach się zapadł. Po wschodniej stronie budynku postawiono zagrodę, ale teraz większość palików leżała przewrócona na ziemi jak zmęczeni bitwą żołnierze.

Budynek wydawał się opuszczony, ale dokładnie w chwili, gdy Pielgrzymowi przyszło to do głowy, Głos powiedział:

*Ale pozory często mylą, nieprawdaż?*

## Rozdział 13

– Jak myślisz, co on tam robi? – Lacey zapytała po cichu, patrząc, jak światła hamowania motocykla lśnią w oddali niczym papieros żarzący się w ciemności. Skaut zahamował i zatrzymał się na zewnątrz stodoły, a czerwone światło zgasło, choć jeszcze przez chwilę utrzymywał się bijący od niego żar.

– Sprawdza, czy ktoś jest w środku.

Rozmawiały po cichu, oddając na swój sposób cześć nocy i głębokiej, czarnej pustce otaczającej je pustyni. Lacey się bała, ale nie przyznałaby się do tego na głos. Jej dłonie nie przestawały się trząść. Ukradkiem poszukała wzrokiem dłoni Alex, która luźno oplotła palce wokół kierownicy. Nie trzęsły się ani odrobinę.

Westchnęła, dla pewności raz jeszcze sprawdziła, czy drzwi są zamknięte, i założyła ręce na piersi, wpychając pięści pod pachy. Pochyliła się do przodu i obserwowała, jak cień Skauta odrywa się od motocykla.

– Zostajemy tutaj? – zastanawiała się na głos.

– Na to wygląda. Do wschodu słońca jeszcze kilka godzin. Powinniśmy odpocząć.

Delikatne zielonkawe światło bijące od deski rozdzielczej padało na twarz Alex, ukrywało jej siniaki i sprawiało, że jej oczy ginęły w mroku, przypominając dwie głębokie dziury.

Alex spojrzała na dziewczynę i uśmiech złagodził to wrażenie.

– Nie martw się, w razie czego możemy spać w samochodzie. Pan Tajemniczy najwyżej przekima się na podłodze. To strefa wyłącznie dla dziewczyn. Chłopcom wstęp wzbroniony.

Lacey szybko się do niej uśmiechnęła i odwróciła w stronę okna.

Skaut zniknął jej z oczu, jego cień również. Motocykl stał samotny, a jego reflektor rzucał snop światła na drzwi stodoły.

– Alex, dlaczego byłaś w tym motelu?

W grobowej ciszy, która potem nastąpiła, Lacey zapragnęła cofnąć te słowa do swoich ust i natychmiast je przełknąć. Kiedy wreszcie się nauczy, że cisza to nic złego, że czasami jest wręcz potrzebna i uzasadniona?

Właśnie w chwili, kiedy Lacey miała zmienić temat, Alex się odezwała:

– To przez moją siostrę. Chciała się tam zatrzymać.

Głowa Lacey obróciła się momentalnie, a jej oczy rozszerzyły się w niedowierzaniu.

– To... To była twoja siostra?

Kobieta nie odpowiedziała, patrzyła prosto przed siebie.

A gdyby to Karey leżała na tamtym łóżku? Co czułaby teraz Lacey? Rozpacz, zagubienie, gniew, bezsilność, załamanie, pragnienie pocieszenia, wściekłość na cały świat. Tak wiele uczuć, a wszystkie skłębione i zamknięte w wyczerpaniu. Byłaby wyczerpana tym wszystkim i nie miałaby ochoty rozmawiać na ten temat z obcą osobą.

– Bardzo mi przykro, nie powinnam była... Chodzi mi o to, że to nie moja sprawa.

Alex odetchnęła głęboko.

– W porządku. Powinnam o niej rozmawiać. Jestem jej to winna. Nie mogę przecież udawać, że to się nie wydarzyło. – Zerknęła na Lacey tak szybko, że ta nie zdążyła odwzajemnić spojrzenia. – Byłam adoptowana. Sammy pojawiła się w naturalny sposób kilka lat później. Ale to nie miało znaczenia. To była moja siostra. – Alex spojrzała na swoje uda, a opadające włosy utworzyły kurtynę i zasłoniły jej twarz. – Opiekowałam się nią, od kiedy pamiętam. Nie była najłatwiejsza w kontaktach. Miała pewne... problemy. Nie ze swojej winy, ale potrafiła być trudna. Sprawiać przykrość. Wyjechałam do college'u, kiedy tylko nadarzyła się okazja. Musiałam się stamtąd wydostać, uciec na swój sposób. Zostawiłam

ją z naszymi rodzicami, ale oni sobie nie radzili. Wyszło na to, że tylko mnie słuchała. Błagali, żebym wróciła, ale ani mi się śniło. Lubiłam swoje życie i lubiłam siebie dużo bardziej, kiedy jej nie było obok. Życie z nią przypominało orkę na ugorze.

Zaczęła płakać.

Lacey wyciągnęła rękę i dotknęła jej dłoni.

– Przykro mi. Nie musisz mi niczego tłumaczyć.

– Poczułam ulgę, kiedy to wszystko się stało. – Alex wskazała na swoją pokiereszowaną twarz. Lacey nie była w stanie spojrzeć jej w oczy. Panująca w nich pustka wydawała się nie mieć granic. – Potrafisz w to uwierzyć? Ulżyło mi. Tak diabelnie złą siostrą jestem. Cieszyłam się, że nie muszę już szukać jedzenia, schronienia. Że nie muszę podejmować tych wszystkich przeklętych decyzji. Chciałam, żeby to już po prostu się skończyło. Nie chciałam, żeby ktokolwiek ją skrzywdził. Nigdy w życiu. Ale poczułam ulgę, kiedy zabrali ją ode mnie i nie musiałam się nią już zajmować.

Zasłoniła dłońmi twarz, a dźwięki, które dobieły się z jej ust, były tak przeraźliwie smutne, że Lacey zacisnęła wargi.

– Ale przecież opiekowałam się nią, Alex. Przez cały ten czas.

– No i widzisz, do czego ją to doprowadziło. – Śmiech Alex był okrutny, jej stłumione słowa przedzierały się między palcami.

– To nie twoja wina. Po prostu trafiliście na złych ludzi. Nie wiedziałaś, że oni tam są. Masz szczęście, że i ty nie zginęłaś.

– No tak, dokumentnie spieprzyli sprawę. Trzeba było zabić mnie, a nie ją. Obiecali mi, że tak zrobią.

– Przestań, Alex. Nie mów tak. Twoja siostra by tego nie chciała. Chciałaby, żebyś była bezpieczna tutaj, ze mną.

Alex wytarła łzy z policzków. Głęboko wciągnęła powietrze, z ust wyrwał jej się cichy szloch.

– Moje zadanie jest teraz podobne – powiedziała jej Lacey. – Zamierzam znaleźć siostrę. Nie mam już nikogo innego.

Alex powoli wypuściła powietrze i ciężko położyła dłonie na kolana. Popatrzyła na Lacey i uśmiechnęła się tak smutno, że

dziewczyna poczuła kluchę w gardle.

– Jesteś lepszą siostrą niż ja.

Lacey próbowała powstrzymać drżenie głosu, ale nie do końca jej się to udało.

– Nie, nie jestem. Ty przynajmniej byłaś z Sammy przez cały ten czas. A ja nie widziałam Karey ponad osiem lat.

Tym razem przyszła kolej na Alex. Wzięła Lacey za rękę.

– Och, kochanie – powiedziała, ściskając jej dłoń.

– Jako dzieci byliśmy bardzo blisko – ciągnęła Lacey. Ciepła i zamknięta przestrzeń samochodu stwarzała wrażenie intymności i poufności. – Karey jest ode mnie dwanaście lat starsza, ale nigdy nie przeszkadzało jej, że jestem w pobliżu. Nasza mama odeszła, kiedy miałam trzy lata, a taty przy nas nie było. Byłyśmy same, tylko ja, Karey i babcia. Wydaje mi się teraz, że zdaniem Karey powinniśmy opiekować się sobą nawzajem, ale z drugiej strony nienawidziła miejsca, gdzie żyłyśmy. Środka pustkowia. Nudno tam było. W sumie zawsze mieszkaliśmy w miejscach, gdzie nic się nie działo, wiesz? Ona chciała czegoś innego. Pragnęła dobrego kierowniczego stanowiska gdzieś w mieście. Nigdy tego nie rozumiałam. Dlaczego ktoś miałby chcieć żyć w zatłoczonym i hałaśliwym miejscu, gdzie nawet za dobrze nie widać gwiazd na niebie? To na pewno nie dla mnie. Ale ona poznała na uczelni starszego chłopaka, Davida. Był miły, chociaż trochę sztywny i poważny. Zupełnie nie wiedziałam, co mają ze sobą wspólnego, bo moja siostra była wiecznie radosna, śmiała się wniebogłosy, do rozpuku, bardzo donośnie. Z kolei David tylko krzywił się nieznacznie w uśmiechu, a kiedy już się roześmiał, to przypominało to parsknięcie. Po prostu do siebie nie pasowali, wiesz? W każdym razie spiknęła się z Davidem, pobrali się w jej dziewiętnaste urodziny, spakowali i odjechali. Tak po prostu. Trochę mnie zabolalo to jej odejście. Myślałam, że stanowimy drużynę, że nie wybierze się nigdzie beze mnie. Ale podświadomie wiedziałam, że nie chce mnie tym zranić. Że po prostu nie może zostać. Pewnie oszalałaby, gdyby została tam choćby chwilę dłużej. Jej

temperament nie pasował do tamtego domku. Musiała w końcu dać dyla, jak mówiła babcia. No i wyniosła się dość daleko, ale czasem ją odwiedzałam. Urządzałyśmy pidzama party ze wszystkim, no wiesz: malowałyśmy sobie nawzajem paznokcie, zaplatałyśmy jakieś warkocze czy coś. Powiedziała mi, że chce mieć dziecko, ale wszystko dzieje się dużo wolniej, niż tego chciała. I za każdym razem, kiedy się spotykałyśmy, jej śmiech się zmieniał. Nie dudnił już z taką mocą, tylko jakby grzął w ustach i ginął. Cała energia, którą niegdyś wypełniała dom babci, teraz gdzieś zniknęła.

Lacey na chwilę przerwała opowieść, tak mocno zabolalo ją w piersi. Dokładnie pośrodku. Naciągnęła rękaw na pięść i wytarła oczy.

– Niedługo później skończyły się moje wizyty u niej.

Alex oparła dłoń na jej ramieniu, teraz jednak uniosła ją i Lacey poczuła, jak wsuwa kosmyk jej włosów za ucho. Na policzkach kobiety pojawiły się świeże łzy.

– Lepiej przestańmy albo zamienimy się w dwie bełkoczące beksy i tak nas zastanie Pan Tajemniczy – powiedziała Alex. – Będzie się zastanawiał, co my tu najlepszego wyprawiamy.

– Taaak, festiwal siąkania. – Lacey pociągnęła nosem i zaferowała Alex swój rękaw, by ta otarła nim łzy. – Naprawdę mi przykro z powodu twojej siostry.

Alex nie popatrzyła jej w oczy. Pokręciła głową na widok wyciągniętego rękawa.

– Mnie też. Dziękuję.

Lacey ujęła jej dłoń przez rękaw swojego swetra i odwróciła się do stodoły. Skaut jeszcze stamtąd nie wyszedł.

– Jakiś czas już tam siedzi – powiedziała.

– Niedługo. Raptem kilka minut.

– A co, jeśli nie wyjdzie?

Alex ścisnęła swoje palce, jakby chciała dodać sobie w ten sposób pewności siebie.

– Wróci.

– Ale co, jeżeli nie?

– Twierdzisz, że poznałaś go tego popołudnia?

Lacey skinęła głową, nie odrywając wzroku od stodoły. Nieświadomie podniosła wolną dłoń i przygryzła paznokieć kciuka.

Alex odezwała się delikatnie:

– A więc przez te wszystkie lata go nie znałaś i jakoś dbał o siebie zupełnie sam, bez żadnej pomocy, tak?

Lacey popatrzyła na nią z lekkim wyrzutem.

– Wiem, co masz na myśli. Po prostu... – Wróciła do obserwowania stodoły. – Uratował mnie stamtąd. A nie musiał. Mógł się po prostu uwolnić i uciec. Nic nie stało na przeszkodzie, tamta dwójka była zajęta mną. Nikt by się nie połapał, że im zwał. Ale tego nie zrobił. Wrócił po mnie.

Pamięta sposób, w jaki wpadł do pokoju, tę energię jak przed wzbierającą burzą, cichą i śmiercionośną. Nie wahał się ani przez moment. To przypominało obserwowanie w akcji węża, który atakuje bez emocji, bez skrupułów. Jego wyraz twarzy nie zmienił się ani na jotę, kiedy zanurzał nożyce w gardle tamtego wielkoluda. Robiło jej się niedobrze na samą myśl o tym, jak krew tryskała z rozszarpanej rany.

– Nie był mi nic winny – wymamrotała. – Nic a nic.

– A teraz ty jesteś winna coś jemu?

Lacey pokręciła głową.

– Nie. Po prostu mnie zaskoczył. Naprawdę sądziłam, że mnie tam zostawi.

– A jak myślisz, dlaczego tego nie zrobił?

Lacey wypuściła powietrze.

– Nie mam pojęcia – przyznała.

– Ludzie nie robią niczego bez powodu, Lacey.

Lacey popatrzyła na nią ostro, ale Alex nie chciała, by jej słowa zabrzmiały obcesowo.

– To dobry facet. Nawet jeśli czasem zachowuje się jak kutas.

– Ledwie go znasz.

– Ciebie też ledwie znam, a jednak nie znaczy to, że na pewno się mylę. Wiem, że jestem młoda i naiwna, ale nie jestem idiotką,



Alex. Nie siedziałabym w tym aucie, gdybym sądziła, że planuje obdrzeć nas ze skóry i uszyć z niej później wdzianko na chłodne dni.

Alex ścisnęła ją za dłoń i przez chwilę Lacey chciała się jej wyrwać.

– Masz rację. Przepraszam. Jestem po prostu roztrzęsiona. To takie... trudne. Zaufać jeszcze komuś.

– Mnie możesz.

Alex ścisnęła jeszcze mocniej i nie puściła, jak gdyby Lacey była czymś jedynym pewnym na tym świecie. Lacey ucieszyła się nagle, że nie wyrwała się wcześniej w przyływie złości.

Obydwie patrzyły teraz przez szybę. Na zewnątrz nic się nie poruszało, nawet wiatr ucichł.

– Uratował dzisiaj nas, Alex. Ciebie i mnie – odezwała się cicho Lacey, nadal czując, że powinna go bronić. – To już o czymś świadczy.

Usłyszała, że jej towarzyszka powoli i głęboko wciąga powietrze.

– Wiem. Zastanawiam się, czym ten facet się zajmuje, kiedy akurat nie ratuje świata.

Lacey uśmiechnęła się lekko.

– Kto wie? Swoją drogą chyba zapomniał wziąć z domu pelerynę.

– I spodnie z lycry.

Lacey prychnęła i nagle obie zaczęły się śmiać. To było takie przyjemne uczucie. Złagodziło napięcie panujące w aucie i uspokoiło Lacey. Rozluźniła się na tyle, że nareszcie mogła odetchnąć pełną piersią. Po raz pierwszy od momentu opuszczenia motelu. Siedziały razem w ciepłym wnętrzu samochodu i chichotały cicho raz po raz, nie puszczając swoich dłoni, i czekały, aż wróci Skaut.

## Rozdział 14

Pielgrzym zahamował gwałtownie i podjechał w poślizgu do samych wielkich, dwuskrzydłowych drzwi stodoły. Zostawił motocykl i podbiegł do narożnika budynku, a potem wzdłuż bocznej ściany. Jeżeli ktoś był w środku, to z pewnością przyciągnie go hałas niewyłączonego silnika i nie usłyszy, że Pielgrzym zakradł się od tyłu. Wyciągnął pistolet i trzymał go oburącz, otwierając nogą drzwi przy południowo-zachodniej ścianie. Ktoś przyłożył do nich kamienną płytę, by zapobiec otwarciu. Pielgrzym pchnął płytę stopą, przewracając ją na bok. Drzwi uchyliły się na kilkanaście centymetrów, ale dostrzegł w środku jedynie mrok.

*Mam nadzieję, że nie ma tam żadnych grzechotników.*

– Dzięki za dodanie otuchy.

*Nie ma za co.*

Przykucnął, przylgnął plecami do ściany, ostrożnie wsunął głowę do środka przez szparę w drzwiach i zajrzał do środka. Duża dziura wyrwana w dachu wpuszczała do środka snop księżycowego światła, co wyglądało, jakby ktoś skierował reflektor punktowy na scenę. Nie licząc czterech boksów usytuowanych naprzeciw siebie, wewnątrz służyło głównie jako skład drewna i wyglądało teraz jak szkielet z drewnianymi kośćmi. Piętro się wewnątrz zawaliło, ściany pięły się do góry w stronę ogromnego dachu i upstrzonego gwiazdami nieba. W miejscu pod wyrwą w dachu leżała sterta rozrzuconego drewna.

Otworzył drzwi na oścież i wszedł do stodoły. Okrążył snop księżycowego światła, trzymając się krawędzi mroku. Szorując ramieniem ścianę stodoły, przeszedł przez podwójne drzwi. Nikt

ich od jakiegoś czasu nie otwierał i musiał się dobrze zaprzeć, by ruszyć je z miejsca. Wkrótce otworzył obydwie skrzydła i już miał wspiąć się z powrotem na motocykl, kiedy usłyszał nadjeżdżający samochód. Uniósł wzrok i zobaczył dziewczyny podjeżdżające w jego kierunku ubitą drogą.

– Kazałem im tam zostać – wymruczał.

*To kobiety. Robią, co im się podoba.*

– Cóż, będą musiały wykorzystać ten nawyk.

*Mają przewagę liczebną. Dwie na jednego.*

– Zauważyłem, że nie bierzesz siebie pod uwagę w równaniach, kiedy ci wygodnie.

*Ano. Trzeba wiedzieć, kiedy zarządzić taktyczny odwrót na z góry upatrzone pozycje. Poza tym i tak ci za bardzo nie pomogę. Co najwyżej pomyślałyby, że jesteś walnięty. I niebezpieczny.*

– Jakoś bym się z tym pogodził, gdyby tylko dzięki temu mnie słuchały.

Kiedy podjechały, motocykl już został usunięty z drogi. Pielgrzym poczekał, aż kobieta zatrzyma się przy nim, i pochylił się do okna.

– Może od razu nawrót, żeby szybciej dało się stąd wyjechać.

Skinęła głową i zawróciła auto.

*Co się stało z groźnym komentarzem na temat ich nieposłuszeństwa?*

– To był taktyczny odwrót.

Kiedy samochód stał już bezpiecznie w środku, Pielgrzym wtoczył za nim swój motocykl. Kobiety wysiadły z auta, nie przerywając rozmowy, a on wyszedł na zewnątrz, obszedł budynek i przysunął z powrotem kamień do drzwi. Zamknięte drzwi przynajmniej utrzymają zwierzęta na zewnątrz.

Głos odezwał się raz jeszcze.

*Musisz być ostrożny przy Alex. Dawno nie przebywałeś wśród ludzi. Jeśli ona zda sobie sprawę, że mnie słyszysz, może kiepsko zareagować.*

Pielgrzym zwolnił i stanął, drapiąc się w tył głowy, po czym pomasaował skórę za prawym uchem. Chyba wszystko tam było

w porządku. W całości i normalne.

Pozory jednak czasem myliły.

Dziewczyny ciężko pracowały przy zamykaniu głównych drzwi, kiedy do nich wrócił. Pomógł im, chwytając za krawędź drzwi i pchając z całej siły. W końcu popatrzył po raz ostatni na pustą drogę i krajobraz wokół, szukając w ciemności ruchu, światła albo odblasku karoserii samochodu, ale niczego takiego nie zobaczył. Pchnął jeszcze raz i zatrzasnął drzwi.

Nie potrzebowali dużo czasu, by się urządzić. Usiedli przed samochodem, utworzyli mały okrąg i pośrodku rozpalili ognisko. Wokół było mnóstwo rozrzuconego drewna, dlatego nie musieli się martwić o opał.

Dziewczyna podała im trochę kurczaka z jednej ze swoich paczek z mięsem, do tego parę plasterków z małego, kiepsko wyrosniętego ogórka, a wszystko to zapili lemoniadą z butelki. Był to jeden z najlepszych posiłków, jakie Pielgrzym kiedykolwiek jadł.

– Szkoda, że nie mamy dość wody, żeby się teraz umyć. – Lacey trzymała zatłuszczone dłonie z dala od ciała, jak gdyby bała się skażenia.

– Obliz palce.

– Ty jakoś swoich nie oblizujesz.

Teatralnie wytarł ręce w dzinsy. Zmarszczyła nos.

– To było obrzydliwe.

– Tego uczą skautów. Wykorzystaj to, co masz pod ręką.

Nawet w pomarańczowym blasku ogniska widział, jak w jej oczach zapłonęła ciekawość.

– Jak długo byłeś skautem?

– Mniej więcej tyle, ile ty żyjesz.

Kobieta włączyła się do rozmowy:

– Masz jeszcze jakieś przydatne rady oprócz tej?

Odbity blask ogniska tańczył w jej oczach, przez co białka wydawały się czerwone. W tym świetle jej skóra wyglądała na śniadą, a bandażę wydawały się niezwykle jasne. Co kilka minut

zmieniała rękę, którą obejmowała kolana. Szukała pozycji, w której ból będzie najbardziej znośny.

*Przecież nie byłeś skautem. Improwizujesz na bieżąco.*

Pielgrzym zmarszczył brwi. Irytowało go to, jak blisko prawdy był Głos.

– Nie ściągaj butów na noc – doradził kobiecie.

Popatrzyła to na swoje nogi, to znowu na niego.

– No tak, to rozumiem. Chodzi ci o to, że możemy nagle musieć uciekać, prawda? A bosą lepiej nie biegać.

Skinął głową.

– Twoje stopy będą bardziej przydatne niż broń. Na ogół lepiej uciec, niż walczyć.

Głos parsknął.

*Ale chrzanisz.*

– Mam płaskostopie – oznajmiła Lacey.

Alex podniosła wzrok.

– No co? Nie kłamię.

– Tym bardziej powinnaś o nie dbać – skwitował Pielgrzym.

– Babcia opowiadała kiedyś, że pochodzę od syren. Że moje stopy wykształciły się z płetw. Mówiła, że przyszłam na świat w wodzie.

– A jednak mieszkaliście pośrodku pustyni – zwrócił jej uwagę.

– Tak, ale... Lubiłam się kąpać w wannie.

Kobieta westchnęła delikatnie. Pielgrzym rozpoznał w tym dźwięku w porę powstrzymany śmiech. Napił się z butelki, lemoniada smakowała kwaśno i słodko zarazem. Nie zostało już wiele. Nachylił się, by podać ją dziewczynie.

– Słyszałeś coś nowego tam, skąd przybywasz? – spytała Alex.

Dziewczyna zastygła w pół łyku, na jej twarzy odmalowało się zainteresowanie. Popatrzyła na niego z nadzieją.

Westchnął i niespiesznie poprawił się na siedzeniu.

– A o jakiego rodzaju wieści ci chodzi?

– Jakiegokolwiek.

Światło ogniska nie odbijało się już w jej oczach, cień padł na twarz, zasłaniając kolejno oczy, usta i znowu oczy.

*Dlaczego chce wiedzieć?* – spytał podejrzliwie Głos.

– Należy trzymać się z daleka od Kalifornii – oznajmił Pielgrzym. Zauważył, że kobieta odrobinę zmarszczyła brwi, ale może po prostu to była gra świateł.

– Kalifornii? Dlaczego?

– Powiedziano mi, że w Diablo Canyon wyją syreny.

Chwilowe wahanie.

– Naprawdę?

*Tego nie oczekiwała* – rzucił chełpliwie Głos.

– Co to takiego ten Diablo Canyon? – wtrąciła się Lacey.

– Elektrownia jądrowa – powiedziała kobieta nieobecny tonem.

– Chodzi o rdzeń reaktora? – spytała Pielgrzym.

– Być może.

– Mój Boże. Myślisz, że doszło do skażenia?

Wzruszył ramionami.

– Nie mam ochoty tego sprawdzać.

*Śmiercionośne wiatry, które wędrują na wschód od Kalifornii, mogą pokonywać setki kilometrów, zatruwając ziemię po drodze* – pomocnie dodał Głos.

Nikt się nie odzywał, a Pielgrzym postanowił nie dzielić się tym, co powiedział Głos. Nie miał pojęcia, o czym mogą teraz rozmyślać dziewczyny, ale przypominał sobie zdeformowane dzieci z kikutami zamiast rąk i doszczętnie spaloną dolną częścią małego ciała.

Kobieta przerwała ciszę.

– Co jeszcze? Słyszałeś jakieś nowe teorie?

– Nie – odrzekł krótko. Nie miał ochoty na wysłuchanie po raz kolejny tej samej śpiewki. Chciał mieć tę rozmowę jak najszybciej za sobą. – To ciągle te same teorie.

– A jakie? – dopytywała się z zapalem Lacey.

Wpatrywał się w nią ponad ogniem, ale ona najwyraźniej postanowiła wziąć go na przeczekanie.

– Nie zamierzasz porzucić tego tematu, co?

– Nie. – Powoli kącik jej ust wykrzywił się, jakby dając mu do zrozumienia, że powinien się tego domyślić jakiś czas temu. Znał ją

wprawdzie niecały dzień, ale tak, wiedział, że jest uparta.

– W porządku.

Chciał mieć to już za sobą. Szybko wyliczył kolejne punkty na palcach.

– Atak biologiczny, trucizna, efekty uboczne po szczepionkach na demencję, obcy, wojna podprogowa i/lub psychologiczna, zatrucie wody pitnej środkami fitotoksycznymi, mistyczne zmiany w oddziaływaniu księżyca na pływy morskie. No i mój ulubieniec, czyli coś w stylu doktryny Porwania Kościoła.

Brew dziewczyny się zmarszczyła.

– Porwania?

– To takie szalone biblijne wymysły – podsumowała kobieta. – Tuż przed końcem dni ludzie prawdziwie wierzący wstąpią do nieba, a reszta z nas zostanie tu, by czekać na zgubę.

– Czy to jest koniec świata?

– Nie – odrzekł głucho Pielgrzym. – Nic z tych rzeczy. Nikt nigdzie nie wstąpił. Wszyscy nadal są tutaj, zarówno żywi, jak i martwi.

– No i to nie tłumaczy głosów – zauważyła kobieta.

– Głosów? – Dziewczyna kilka razy przeniosła wzrok z niej na niego i z powrotem, zupełnie jakby oglądała mecz tenisowy. – O czym ty mówisz?

Pielgrzym zacisnął zęby i cicho wciągnął powietrze nosem.

*Policz do dziesięciu* – poradził Głos z potężną dawką czarnego humoru.

– Nie wiesz nic o głosach? – zapytała zaskoczona Alex.

Pielgrzymowi nie umknął wyraz przerażenia na twarzy dziewczyny, widoczny choćby w napinających się mięśniach. Pokręciła głową.

– Spędziła siedem ostatnich lat w zamknięciu, mieszkała na farmie ze swoją nadopiekuńczą babką – wyjaśnił.

Dziewczyna posłała mu pełne złości spojrzenie.

– Babcia powiedziała, że wszyscy powariowali – zwróciła się do kobiety, celowo go ignorując. – Powiedziała mi o takim jednym

gościu, którego zwali Jim Jones, co to zrobił pranie mózgu tym wszystkim ludziom w Ameryce Południowej. Podobno znał kilka słów, dzięki którym mógł się dostać do czyjejś głowy. Jakby był jakimś czarodziejem czy kimś takim. Mówiła, że spowodował tym masową histerię, że przez to ludzi można było łatwo skłonić, by robili jakieś szalone rzeczy. I wszystko wymknęło się spod kontroli.

– W słowach twojej babci jest jakieś ziarno prawdy – odparła Alex powoli, rzucając Pielgrzymowi spojrzenie sugerujące, że mógłby wytłumaczyć dziewczynie sytuację albo przynajmniej pomóc jej w tłumaczeniu, ale ten milczał jak zakłęty. Zmieniła pozycję, krzywiąc się lekko. Nie był pewien, czy chodzi o jego niechęć do wyjaśnień, czy jest jej po prostu niewygodnie. – Głosy to takie... szepty, mruczenie, różnie to można nazwać. Były wewnątrz nas. To one namówiły tak wielu ludzi do tego, by krzywdzili siebie i innych.

– W nas? – wyszeptała Lacey. Tym razem to ona popatrzyła na Pielgrzyma, szukając potwierdzenia, ale on tylko w nią się wpatrywał. Nie chciał uczestniczyć w tej rozmowie. Miał niewiele do dodania.

Odwróciła się z powrotem do Alex.

– Co się dzieje, jeśli słyszysz taki głos?

– To niebezpieczne. Z wielu powodów.

– A co, jeśli ja taki mam i po prostu o tym nie wiem?

– Zorientowałabyś się po takim czasie. Nie wszyscy je mają. Głosy ujawniają się dopiero po okresie dojrzewania. Z jakiegoś powodu młodsze dzieci ich nie słyszą. Ma to pewnie coś wspólnego z budową mózgu, nie jestem pewna. Sama też niczego nie słyszę. Mamy szczęście, że tak jest. Po wszystkim, co się stało, darzono ich wielką nienawiścią. Wyłapywano ludzi podejrzewanych o to, że słyszą głosy, i... cóż... Nie będę wchodziła w szczegóły. Nadal wśród ludzi panuje sporo strachu i nienawiści. I słusznie.

*Nie jest zbyt miła* – wymamrotał Głos. – *Mierzy wszystkich tą samą miarką.*

– Ale dlaczego chcieli nas skrzywdzić?



– Nie ma prostego wyjaśnienia – odparł Pielgrzym zaskoczony, że się odezwał. – Dlaczego doprowadziliśmy do wyginięcia tak wielu gatunków zwierząt? Wszystkie ludzkie działania cechuje wiele odcieni moralności. Nie ma czynów zupełnie dobrych ani absolutnie złych.

– Ale głosom i tak nie należy ufać – wtrąciła się Alex.

– I co, wszyscy powinni po prostu podtrzymywać swoją paranoję i żyć ze sobą jak wrogowie?

Alex najwyraźniej nie miała na to odpowiedzi.

– Są już przypadki integracji – ciągnął Pielgrzym, choć nie był pewien, czy to dobry argument. – Grupa w Estes Park zawiera zarówno słyszących, jak i niesłyszących. Mieszkają blisko siebie i jak dotąd nie było tam żadnych przejawów agresji. Żyją w pokoju.

– Nie słyszałam o nich – odezwała się cicho Alex. Pomarańczowe światło padało delikatnie nad jej oczami. – Chociaż to niezwykle. Takie życie obok siebie.

– Nie – zgodził się. – Nie zdarza się to często. Ale świat się zmienia. Sojusze się zawiera, łamie i odnawia po jakimś czasie. Ostatnio nastąpiło sporo zmian.

Usta kobiety zacisnęły się, tworząc prostą linię wyrażającą niezadowolenie.

– Dlaczego? – zapytała dziewczyna. – Co się dzieje?

– Bardzo dobre pytanie – powiedział Pielgrzym, walcząc o to, by ognisko jeszcze nie zgasło. Tańczące płomienie urosły, żywiej zaczęły oblizywać drewno. Nie odrywał oczu od kobiety siedzącej naprzeciw niego. – Może ludzie, których traktowano jak wściekłe psy, mają już dość ukrywania się.

*Ale czy można to aż tak uprościć? – zapytał Głos. – Nie istnieje jasny podział na ludzi, którzy nas słyszą i którzy są na nas głusi. Poza tym przecież słyszący głosy nie są w żaden sposób naznaczeni, nikt nie potrafi tego rozpoznać. Jest wielu ludzi, którzy nie chcą przyjąć do wiadomości, że słyszą głosy. I żyją w strachu, kryjąc swój sekret. Niewielu za to jest takich, którzy są na nas głusi, ale stanowią naszych sojuszników. Tutaj nie chodzi o żadne my kontra*

*oni.*

Kobieta spuściła wzrok i wpatrywała się w płomień ogniska. Jej głos, chrapliwy i niski, zdawał się dobiegać z miejsca dalszego niż wewnątrz stodoły, w której siedzieli, gdzie nocne niebo mogło podglądać ich przez szpary pomiędzy belkami stropowymi.

– W miejscach, które mijaliśmy, opowiadano pewne historie – szepnęła. – Na temat mężczyzny o ciemnych oczach, przypominających oczy ćmy. Mówiono nam, że zakrada się nocami do obozowisk i siedlisk w poszukiwaniu ludzi słyszających głosy. Znajdował takie osoby, nawet jeśli nikt dotąd nie podejrzewał ich o to, i zakradał się do miejsca, w którym spały, prawie jakby same go tam zawołały. Budził je, przemawiając do nich delikatnie, szeptem nęcił gładkimi obietnicami. W ten sposób nastawiał tych ludzi przeciw wszystkiemu, co dotąd cenili i kochali. Następnie wyciągał ich stamtąd niczym jakaś pokręcona wersja Szczurołapa. Uprzednio jednak podkładał ogień pod resztę domostw, obozowisk, miast czy gdzie tam mieszkali. Żywcom płonęły całe rodziny, dzieci i niemowlęta. A bezimienny mężczyzna rozpływał się w powietrzu, jakby w ogóle go tam nie było.

Spojrzała Pielgrzymowi w oczy i tym razem żadne cienie nie przesuwwały się po jej twarzy, nie przysłaniały jej rysów. Tym razem wszystkie zgromadziły się w jej oczach, gdzie nawet ciepło ogniska nie było w stanie dotrzeć.

– Zawsze są jakieś plotki – ciągnęła cicho. – Ja to rozumiem. Plotki podsycają nasz strach. Ale razem z siostrą widziałyśmy na własne oczy całe miasto stojące w ogniu. Wielka ściana ognia, która sięgała niemal nieba. A wszystko przez tego... bezimiennego, tego Szczurołapa, który przychodził i wykradał ludzi w ciemną noc. Stał na drodze przed nami i miałam wrażenie, że podpala cały świat.

Iskra strzeliła w ich własnym ognisku, kawałek drewna rozpadł się, eksplodując czerwonymi iskrami, a dziewczyna aż podskoczyła.

– Gdzie to było? – spytał Pielgrzym.

Kobieta ciasno objęła ramionami kolana i przytuliła je do siebie,

jakby przeszkadzało jej zimno, choć siedzieli blisko ognia.

– Niedaleko Colorado Springs.

*Na północny zachód stąd* – szepnął Głos.

Pielgrzym mruknął.

– Brzmi to jak historyjka do straszenia dzieci. Pożary wybuchają bez przerwy.

Czy one naprawdę o tym nie wiedziały? Nie trzeba było wiele, wystarczył najmniejszy powiew wiatru, by ponieść iskrę z budynku na budynek. Ogień bardzo szybko przenosi się z mieszkań na całe piętra, wypełnione przecież porzuconymi meblami i innym sprzętem, czyli tak naprawdę mnóstwem podpałki. Zachłanna płomienna bestia może narodzić się w ciągu kilku chwil i pochłonąć całe miasto w kilka minut. Nie było już nikogo, kto strzegłby infrastruktury przed zniszczeniem.

*Plotki opierają się częściowo na faktach* – zwrócił mu uwagę Głos.

– *Sami słyszeliśmy o tych wygłodzonych grupach, nawet widzieliśmy jedną z nich nie dalej jak tydzień temu. Skąd wiesz, że te pożary nie są jakoś powiązane z nimi i z tą historią o bezimiennym?*

– Pewnie masz rację – powiedziała Alex i przez chwilę Pielgrzym myślał, że zwracała się do Głosu. – Ale poznałam ludzi, którzy stracili braci, kuzynów, przyjaciół. Ci ludzie po prostu zniknęli. Bez słowa ostrzeżenia.

– Jak dawno temu? Kiedy widziałas ten ogień?

– Jakies cztery tygodnie temu, może sześć.

– I w tej bajce powtarzano, że bezimienny szuka ludzi, którzy słyszą głosy? Konkretnie ich?

Kobieta skinęła głową.

– Tak.

Pielgrzym spochmurniał i zamilknął.

– Nadal tego nie rozumiem – wtrąciła Lacey. – Skąd pochodziły te głosy?

Kobieta westchnęła przeciągle i powierciła się przez chwilę na swoim miejscu. Być może była już tak samo zmęczona rozmową

jak i on.

*Nie, po prostu ją boli. Nie widzisz tego udręczonego spojrzenia?*

– Nikt tego nie wie na pewno – odparła. – Ale jest mnóstwo teorii na ten temat, jedną z nich przed chwilą przedstawił twój kumpel.

Lacey popatrzyła na niego.

– A co ty myślisz na ten temat? Co się wydarzyło?

Lacey kierowały ciekawość i ignorancja, ale Pielgrzym czuł, jak coraz bardziej go irytuje. Czy jej babka naprawdę sądziła, że zdoła chronić ją przed światem w nieskończoność? Przecież z jej winy dziewczyna była słaba i nieprzygotowana na sytuację, w której właśnie się znalazła.

Nieco sfrustrowany dorzucił drewna do ognia, wznecając iskry.

– Posłuchaj, nie ma znaczenia, co myślę. Nikt nie może naprawić ani zmienić przeszłości i samolubne byłoby sądenie, że mamy jakiś wpływ na przyszłość. Ciesz się tym, że nadal żyjesz. Bądź za to wdzięczna.

Jak na jeden wieczór miał dość udzielania się towarzysko. Męczyła go cała ta rozmowa na temat plotek i tajemniczego mężczyzny wędrującego po kraju i wyłapującego ludzi do niego podobnych.

– Wystarczy tej rozmowy. Powinniśmy odpocząć. Mamy za sobą długi dzień.

Nowa obawa popchnęła dziewczynę do zadawania kolejnych pytań na nieco inny temat.

– Znajdziemy cię tutaj jeszcze rano?

Nie odpowiedział od razu, a jego wahanie mówiło samo za siebie.

– Chcesz nas zostawić – oskarżyła go bez ogródek Lacey.

– Tego nie powiedziałem.

– Nie musiałeś.

– Sprawy się trochę pozmieniały, od kiedy dołączyła do nas jeszcze jedna osoba. Poza tym mamy jeszcze auto na chodzie.

– Myślałam, że mamy umowę – nie odpuszczała.

– Mieliśmy – odparł powoli, spokojnie. – Ale warunki umowy uległy zmianie.

Był świadom, że Alex przysłuchuje im się po cichu. Że patrzy to na niego, to na nią. W końcu się odezwała.

– Nie chcę nikomu psuć planów. Jestem wdzięczna za waszą pomoc. Nie będę w stanie nigdy się odwdzińczyć. Obojgu. Ale moja obecność niczego nie musi psuć.

– I niczego nie psuje, Alex – powiedziała Lacey. – Uratowaliśmy cię i teraz jesteś jedną z nas.

– Nie ma żadnych nas – oświadczył Pielgrzym.

Ogień trzasnął i strzelił iskrą, a w ciszy, która nastąpiła po tym zdaniu, brzmiało to jak wystrzał.

Westchnął raz jeszcze.

– Masz ochotę pojechać do Vicksburga? – zapytał kobietę.

Posłała spojrzenie Lacey, po czym popatrzyła z powrotem na niego.

– Zanim zatrzymaliśmy się w tamtym motelu, zmierzałyśmy na Wschodnie Wybrzeże. Słyszałyśmy, że są tam naukowcy, którzy chcą pomagać ludziom.

*Co to niby znaczy?* – szepnął Głos.

Pielgrzym nie słuchał. Stanowiła rozwiązanie jego problemów i to było teraz najważniejsze.

– Znakomicie. Vicksburg leży na wschodzie. Postanowione. Ona cię zabierze – zwrócił się do Lacey, wskazując palcem Alex.

Ale dziewczyna była uparta.

– Nie. Ty powinienes mnie zabrać. Masz pistolet.

– A ty masz karabin.

Otworzyła usta, żeby pociągnąć temat jeszcze przez chwilę, ale podniósł rękę i ucichła.

– W umowie chodziło o to, żebyś dostała się do Vicksburga. Nigdy nie ustaliliśmy, kto ma cię tam zawieźć.

Zmieniła taktykę.

– Jest jakieś miejsce, w które musisz się udać najpierw? Bo jeśli tak, to możemy pojechać tam przed Vicksburgiem, jeśli...

– Nie, nie ma takiego miejsca. Po prostu wolę być sam.

W wielkich oczach dziewczyny odbijały się płomienie ogniska.

*Teraz ostrożnie...*

Pielgrzym podjął niższym, polubownym tonem.

– Słuchaj, porozmawiajmy o tym rano. Musimy odpocząć. Wszyscy jesteście zmęczeni.

Nie czekał na odpowiedź, tylko wstał i otrzepał tył spodni z pyłu. Podeszedł do samochodu i wyjął z bagażnika swój plecak. Kiedy wrócił na miejsce i zaczął wyciągać śpiwór, dziewczyny już też się krzątały i zbierały swoje rzeczy. Podał Lacey śpiwór, a ona spojrzała na niego.

– Śpij pierwsza, ja nas popilnuję.

Przez moment wyglądało na to, że powie coś jeszcze, ale spuściła wzrok i wolno skinęła głową. Przygarbione ramiona sugerowały, że duch walki opuścił ją na dobre.

Pielgrzym zostawił ją i usiadł, opierając się o drzwi. Stąd doskonale słyszał wycie kojota gdzieś pośród mroku pustyni. Po sekundzie nadeszła odpowiedź z miejsca położonego bliżej nich, ale nie na tyle blisko, by się zaniepokoił. Z tego miejsca widział też dziewczyny i ich przygotowania do snu. Tańczące na nich odbłaski wyglądały niczym banda rozbrykanych diabłów. Leżały blisko siebie i, zapewne nieświadomie, utworzyły ze swoich ciał literę „L”, na styku dwóch linii były ich głowy. Rozmawiały ze sobą przez chwilę po cichu, po czym zamilkły, ich oddechy wyrównały się i sen przejął nad nimi kontrolę. Spod przykryć wystawały jedynie głowy i stopy – obie do snu nie zdjęły butów.

Pierwszą część warty spędził na obserwowaniu ich. Delikatne westchnienia, nieznacznie drgnięcia mięśni dowodzące, że nawet podczas odpoczynku ich ciała zamierzały się bronić. Przyglądał się ich twarzom i temu, jak spokojnie wyglądały – nawet twarz kobiety, która była przecież posiniaczona i opuchnięta. Pochłaniały go te szczegóły i dzięki temu czuł, jakby poznawał je na nowo. Zastanawiał się, co by powiedziały, gdyby zdawały sobie sprawę, że patrzy na nie tak intensywnie. Te myśli odwracały jego uwagę od przygasającego ogniska i powiększających się cieni. Tych nie musiał poznawać na nowo, one jego też nie.

Głos dotrzymywał mu towarzystwa, choć Pielgrzym go o to nie prosił.

*Już niedługo świt. Co wtedy?*

W odpowiedzi Pielgrzym jedynie chrząknął.

*Poważnie, jaki masz plan? Nie jestem pewien, czy podoba mi się sposób, w jaki Alex na nas patrzy. Nie jest głupia. Co, jeśli to jakiś zwiadowca czy ktoś taki? Co, jeżeli to ona krąży i wypytuje o takich jak my? Podpala domy? Może tych dwoje złapało ją na próbie podłożenia ognia pod ich motel?*

Głos zachowywał się niedorzecznie i Pielgrzym nie musiał ubierać tej myśli w słowa, by Głos wyczuł jego zniecierpliwienie.

*Nie będziesz taki sceptyczny po tym, jak obudzisz się z jej nożem w bebechach.*

Nie miał zamiaru zasypiać, przynajmniej jeszcze przed dobrą chwilę.

*A co, zaniepokoiła cię jej historia o Szczurołapie? Boisz się, że kiedy ty będziesz błogo pochrapywał, ona wyśle jakiś sygnał, a on wślizgnie się tutaj i wywiezie nas w siną dal?*

Pielgrzym miał ochotę rozkazać Głosowi, by się zamknął, ale bardzo szybko nauczył się, że takie zabiegi tylko pogarszają sprawę. Niedługo zmęczy się gadaniem. Zawsze tak było.

*No i co z tymi naukowcami, o których wspomniała? Co oni kombinują? Pewnie prowadzą jakieś eksperymenty. Jestem tego pewien. Tną ludzi na kawałki i udają, że wiedzą, co robią.*

Naukowcy – o ile to faktycznie byli naukowcy – znajdowali się daleko na wschód. Nie stanowili dla niego żadnego zagrożenia. Poza tym to tylko opowiastki i plotki. Nie przejmował się nimi, z braku Internetu, telefonów komórkowych i telewizji podobne historie opowiadano w zasadzie bez przerwy.

Głos w końcu ucichł. Przez większość nocy mówił do siebie. Pielgrzym musiał go po prostu przeczekać. Może i Głos musiał odpoczywać jak wszyscy inni – tego Pielgrzym nie wiedział. Witał ciszę z takim utęsknieniem, z jakim Beduin wita cień po przebyciu stu kilometrów w palącym słońcu. Tylko wtedy czuł się naprawdę

sam. Uwielbiał to, jak gdyby ktoś wrzucił kamyk do studni i w odpowiedzi usłyszał jedynie ciszę.

Kilka razy wstał i przeszedł się wokół stodoły, chcąc rozprostować nogi. Doceniał ciszę. Trzymał się z dala od światła księżyca, pozwalał ceniom, by go otaczały. Poszperał w pozostawionym tu sprzęcie, ale nie znalazł nic przydatnego. Niedługo później wszedł znowu w krąg światła i przystanął, by dołożyć drewna do ognia.

W pewnym momencie zdał sobie sprawę, że nuci pod nosem jakąś starą melodię. Piosenkę, która była popularna w czasach jego młodości. Urwał w pół wersu, ostatni dźwięk utworu zawisł w powietrzu, jakby nagle stracił sens. Trzymał otwarte dłonie nad ogniem, pozwalając, by ten lekko je parzył. Podobało mu się to uczucie – z jednej strony przypiekał się powoli, podczas gdy tył jego ciała marzył. Wiedział, że wpatrując się w ognisko, osłabi swoje widzenie w ciemności, ale nic nie mógł na to poradzić. Patrzył na płomień, jak owijały się i lizały szczapy drewna. Niewielki przeciąg spowodowany szparami w drzwiach sprawiał, że ogień drżał i gwał się. Pamiętał, jak kiedyś kradł swojemu ojcu zapalki i podpalał zgniecione gazety. Stał przy umywalce w łazience i patrzył, jak papier kurczy się i przemienia w popiół, plamiąc porcelanę na czarno. Im dłużej się gapił, tym bardziej rozgrzane węgielki zmieniały barwę, przechodząc w odcienie błękitu i zieleni. Oszałamiający kalejdoskop barw. Zapach przypalanej skóry tylko go podniecił – nie w seksualnym znaczeniu, ale w ciemnym zakątku jego umysłu coś rozbłysło tak jasno jak tamten podpalany papier.

Wspomnienia go trochę uwierały, nie lubił myśleć o przeszłości. Nie miało to żadnego sensu, a jednak wiedział, że to wspomnienie nie opuści go, dopóki ogień nie zgaśnie.

Wdrożył technikę, której używał czasem, by uciszyć Głos, choć wymagała ona ogromnego skupienia i działała na krótką metę. Wyobrażał sobie, że wspomnienie jest sceną namalowaną na papierze, po czym dokładnie składał malunek kilka razy i wkładał



go do skrzyni. Oplątywał tę skrzynię żelaznymi łańcuchami, które krzyżował i owijał tak długo, by nie można jej było otworzyć. Następnie spinał łańcuchy kłódkami. Brał tę skrzynię ze wspomnieniami i niósł na szczyt wapiennego klifu, którego białe kamienie były tak jasne, że zdawały się lśnić od środka. Przysuwał skrzynię do krawędzi klifu. Oczyma wyobraźni obserwował, jak spada do oceanu poniżej, uderza w taflę wody i trafia w ciemne głębiny. Przyglądał się, jak skrzynia zapadała się setki sążni w dół, aż zniknęła w otchłani. Nawet kiedy już stracił ją z oczu, wiedział, że będzie spadała w nieskończoność. W stronę miejsca, skąd jej zawartość już go nie dosięgnie.

Jedna z dziewczyn mruknęła coś przez sen. Lacey wykrzywiła usta, ich kąciki powędrowały w dół. Poruszyła się niespokojnie.

Bez żadnego wyraźnego powodu Pielgrzym znowu zaczął nucić swoją melodię, tym razem głośniej, ale wciąż niskim tonem. Wkrótce dziewczyna uspokoiła się, a mars na jej czole zniknął.

Pozwolił im spać. Zamierzał dać im jeszcze godzinę, potem je obudzi, by samemu się przespać. Gdzieś z tyłu głowy Głos zaczął śpiewać jakąś swoją piosenkę, coś o potrzebie ucieczki, o tęsknocie za kimś i całonocnej jeździe. Pielgrzym przestał go słuchać prawie natychmiast.

## Rozdział 15

Minęło sporo czasu, nim Lacey zasnęła. Zamknęła oczy, słuchała trzaskania ogniska i delikatnego oddechu Alex leżącej tuż obok, na wyciągnięcie ręki. Skaut też nie był od niej daleko, ale równie dobrze mogłaby nasłuchiwać odgłosów ducha. Wiedziała, że gdzieś tam jest, siedzi bez ruchu z rękoma założonymi na cicho podnoszącej się klatce piersiowej, z mózgiem tykającym jak zegarek kieszonkowy.

Przede wszystkim jednak przysłuchiwała się sobie. Zadawała pytania, mówiła do siebie i do babci, ale wszystkie pytania pozostawiała bez odpowiedzi, żaden obcy głos nie odpowiedział. Nic, tylko jej myśli, zwyczajne i przewidywalne.

Jej babcia była leciwa i słabowita, a granica cienka jak papier dzieliła u niej racjonalne myśli od straszliwych rzeczy czających się po drugiej stronie. Czasem ta papierowa zasłona opadała, a babcia bełkotliwie krzyczała i miotła się, chcąc uciec przed tym, co zobaczyła po drugiej stronie. Może czekał tam na nią jakiś głos, jeden z tych, o których rozmawiali wcześniej Alex i Skaut.

Lacey wzbraniała się przed takimi myślami, a jej umysł natychmiast zwiększał obroty i kierował się ku temu, co czekało na jego peryferiach. Do motelu. Czowała gryzące ukłucia drutu, którym obwiązano jej nadgarstki, swędzenie ud spowodowane przesadnie wykrochmaloną pościelą i odór własnego ciała, mieszaninę strachu i potu. Cienie pokoju numer 8 wsuwały się pod jej powieki, a w nich czaiła się siostra Alex. Leżąca bez ruchu na motelowym łóżku, prawie jakby brała udział w jakiejś sadystycznej odmianie chowanego. W końcu jej wyczerpany mózg przemienił to ciało

i teraz była to Karey. Wyobrażenie zwłok własnej siostry było nieznośnie bolesne.

Namaciała kawałek skóry i mocno się uszczypnęła. To była kara za zwątpienie choćby przez sekundę, że jej siostra żyje, a także za bezustanne podsycanie takich myśli. Padała ze zmęczenia, a one nie dawały jej spokoju.

Noce były teraz zimne. Czy Karey miała jakieś ciepłe, bezpieczne miejsce, w którym mogła się wyspać? Czy spotkała na swojej drodze ludzi takich jak Russ i Nikki, okrutnych, nienawistnych i pełnych złych zamiarów? Czy bała się o życie swojej córki, która była jeszcze maleńkim dzieckiem, kiedy to wszystko się zaczęło, a teraz pewnie dziewczynką, tylko nieco ponad połowę młodszą od Lacey? Addison stanowiła część Lacey, ponieważ była częścią Karey. Ta sama krew krążyła w ich żyłach. Ta sama co u babci i co u ich matki, która chorowała tak długo, że włosy wypadały jej garściami, a policzki zapadły się tak mocno, że jej twarz wyglądała jak czaszka obciągnięta skórą. A mimo wszystko przeżyła dłużej, niż przepowiadali lekarze.

Silna krew.

Wszyscy w rodzinie Lacey taką mieli.

Dwa krótkie lata po śmierci mamy pięcioletnia Lacey zawędrowała poza podwórkowe ogrodzenie w poszukiwaniu chabrów. Były takie ładne, a ich niebieskie główki delikatnie kiwały się, jakby chciały zaprosić ją bliżej (błękit był ulubionym kolorem babci). Zrywała kwiaty, wesoło śpiewała i myślała o tym, jak bardzo babcia się ucieszy, kiedy je dostanie, i właśnie wtedy całkiem nagle wychwyciła ruch, ale nie zdążyła w porę zareagować i odsunąć dłoni.

Kły grzechotnika zatopiły się głęboko.

Ból poczuła natychmiast.

Jej krzyk musiał wyrwać Karey z lektury jednego z romansów, w których się zaczytywała, bo zanim Lacey się obejrzała, siostra już była przy niej. Podniosła ją i razem pobiegły do auta. Karey głaskała jej spoconą dłoń, kiedy pędziły w stronę miasta

i powiedziała jej, że bardzo niemądrze postąpiła, zadając się z marudnym wężem, i pewnie wystraszyła go bardziej niż on ją. (Lacey pamięta, jak przez łzy klóciła się z siostrą, mówiąc, że wąż był głupi i nie miły i że ma nadzieję, iż wypadną mu wszystkie zęby). Dłoń paliła ją żywym ogniem. Jakby miliony igieł wbijały się w ciało. Przed oczyma miała teraz czarne kropki, ale przygryzła wargę i próbowała nie płakać. Nie chciała wystraszyć Karey.

Nie pamiętała wiele z tego, co stało się później. Karey opowiedziała jej po wszystkim, że dostała szoku anafilaktycznego i zemdląca. Dopiero cztery dawki surowicy zneutralizowały działanie jadu, który dostał się do organizmu. Spędziła cztery dni na OIOM-ie. Kiedy się ocknęła, zobaczyła, że jej dłoń i przedramię spuchły, dwukrotnie zwiększając swoje rozmiary. Rozpłakała się na ten widok, sądząc, że już tak to pozostanie i ludzie będą się z niej śmiali. Babcia prawie godzinę musiała ją uspokajać i tłumaczyć, że w ciągu kilku tygodni wszystko wróci do normy. W końcu przyszedł lekarz i powiedział, że ma wielkie szczęście, ale wtedy Lacey była już spokojna i do szczęścia potrzebowała jedynie lodów.

Lacey nadano przydomek Wężowa Dziewczyna. Nigdy nie zapomniała, że to Karey ją ocaliła. Prawie zginęła i gdyby jej siostra nie zareagowała tak szybko, nic by jej nie uratowało. I właśnie dlatego była pewna, że Karey i Addison nic nie jest. Karey nie dopuściłaby do tego, by coś złego przydarzyło się córce, tak samo jak nie pozwoliła, by krzywda spotkała ją. Lacey trzymała się tego przekonania z taką samą siłą jak wtedy, gdy miała pięć lat i ścisnęła siostrę za rękę, gdy biegły do samochodu.

Już prawie spała, kiedy usłyszała cichy szelest ubrań Skauta i szuranie jego butów po podłodze. Wyczuła, że się podnosi, staje nad nimi, a jego spojrzenie wypełnia mrok, ale jakimś cudem nie zapowiada nic groźnego. Potem jego kroki zaczęły się oddalać.

Lacey otworzyła oczy i podniosła głowę, szukając męczyzny wzrokiem, ale poza utworzonym przez ognisko kręgiem światła panowała ciemność. Nasłuchiwała odgłosu pełzania i syku

grzechotników, ale niczego nie usłyszała. Próbowwała nawet wychwycić dźwięk obcych ludzi zakradających się do stodoły, planujących porwanie ich trójki. Albo jeśli to im nie wyjdzie, spalenia ich tutaj żywcem. Wdychała powietrze przez nos, usiłując sprawdzić, czy nie czuć żadnego dymu poza tym z ogniska, ale nie była w stanie niczego wykryć. Pozostała w tej pozycji, dopóki kark nie zaczął boleć jej tak mocno, że nie mogła dłużej trzymać w ten sposób głowy.

Leżała i usiłowała nie zasnąć, ciepło ogniska stanowiło swoisty drugi otulający ją koc, a ciężar tego ciepła był jak nagrzane dłonie, które kładły się na jej oczach i głowie.

Czuwanie i sen – a pomiędzy nimi żadnej wyraźnej granicy. Spała, ale nie miała o tym pojęcia. Nagrzane dłonie pozostały na swoich miejscach, ale straciły swą temperaturę i przestały usypiać, zamiast tego zrobiły się szorstkie i nachalne, obmacywały ją, wpychały się za pasek spodni, pod koszulkę, chwytaly ją, obłapiały. Walczyła i jęczała, a jej oddech stawał się coraz cięższy, podobny do tego, który poprzedza płacz. Było to okropne odczucie w tylnej części gardła. Próbowwała odepchnąć nachalne dłonie, ale były śliskie jak węgorze i umykały jej.

I wtem – muzyka. Delikatna, nieskomplikowana, która oplatała te dłonie i wnikała jej do uszu. Delikatne palce melodii porwały ją. Zrobiło się głośniejsze, przyjemniejsze. Dłonie wycofały się, wysunęły spod jej ubrań i ciała. Spała.

## Rozdział 16

### *Samochód!*

Na słowa Głosu Pielgrzym zerwał się na równe nogi i przycisnął twarz do najbliższej szczeliny w ścianie stodoły. W ognisku został już tylko popiół, dlatego w ciemności jasny samochód pędzący w ich stronę od wschodu mocno się wyróżniał. Świtało już, niebo jaśniało i na horyzoncie zaczęło przybierać jaśniejsze odcienie niebieskiego.

Samochód sunął po asfalcie, przecinając podwójną linię ciągłą. W pewnym momencie zawrócił tak szybko, że koła zapiszczały, a nadwozie zadrżało. Pielgrzym myślał, że kierowca utraci panowanie nad autem, ale jakimś cudem udało mu się nad nim panować przez kolejnych sto metrów. Dopiero wtedy samochód obrócił się w prawo, hamulce zazgrzytały i pojazd przekoziółkował. Przeskoczył na dach, przetoczył się na bok, metal wgiął się głośno, szkło pękło, a auto upadło na koła. I tak cztery razy. Wreszcie samochód zatrzymał się na dachu. Pielgrzym stwierdził, że po tylu fikołkach w metalowej kabinie ewentualni pasażerowie muszą teraz tworzyć jedną wielką masę mięsa i pogruchotanych kości.

Hałas rozbijającego się wozu sprawił, że Lacey i Alex wyplątały się ze śpiworów i podeszły do ściany obok niego, po czym znalazły szpary, przez które mogły ocenić sytuację. Cisza po katastrofie wypełniła ich uszy tak mocno, jak gdyby wciśnięto tam zatyczki. Nawet owady nie wydawały żadnego dźwięku.

Jeden z reflektorów był uszkodzony, ale drugi rzucał słabą żółtawą poświatę. Dym sączył się z komory silnika. Czarny ślad wydobywał się z samochodu przez zbitą tylną szybę i ciągnął się kilka metrów za pojazdem, zwężając się i przechodząc w długą

srebrną antenę, lśniąca na drodze jak rapier.

*Radio* – wyszeptał Głos.

Czy to była część konwoju, który widzieli wcześniej? A jeśli tak, co robiła tutaj?

*Może ma to jakiś związek z bezimiennym mężczyzną, o którym mówiła Alex* – podsunął chytrze. – *Może facet najpierw wysyła jakichś emisariuszy, by zebrać ofiary.*

– Zostańcie – powiedział Pielgrzym, kiedy poczuł, że Lacey się rusza.

– Ale oni mogą być...

– Zostańcie.

Przyjrzał się uważnie pojazdowi. Ostatecznie wylądował on niedaleko dróżki prowadzącej do stodoły, nie dalej niż dziesięć metrów. Widział fotel pasażera, ale wewnątrz skrywał mrok. Nie dostrzegął żadnego ruchu.

– Może powinniśmy sprawdzić, czy potrzebują pomocy – powiedziała Alex.

Pielgrzym czuł, że kobieta patrzy na niego, ale nie odwrócił spojrzenia od wraku. Nie odpowiedział jej również na pytanie.

*Co myślisz?* – zapytał Głos.

– Myślę, że powinniśmy zaczekać.

– Na co? – spytała Alex.

Teraz Pielgrzym czuł, że oboje na niego patrzą. Głos robił to na swój sposób, chciał zadać jeszcze więcej pytań. Pielgrzym wiedział o tym, a jednak przeciągał ten moment.

– Na to – odpowiedział, widząc ruch w cieniu na sekundę przed tym, jak odgłos pękającego szkła przeszył powietrze i dosięgnął ich uszu.

Jakaś postać wypełzła częściowo przez okno po stronie pasażera. Pielgrzym spojrział w górę i w dół drogi, szukając jeszcze jakichś innych pojazdów. Stał bez ruchu i w myślach policzył powoli do dwudziestu jeden – ta dodatkowa sekunda po dwudziestu służyła temu, że akurat w niej mogło się pojawić jakieś auto. Tak się jednak nie stało. Wyprostował się i pokazał dziewczynom, że mają

się cofnąć. Otworzył jedne drzwi stodoły na tyle szeroko, by mógł wślizgnąć się do środka i stał w tym przejściu przez minutę, patrząc na przewrócone auto. Postać przestała się podciągać, jej biodra i nogi nadal były w środku. Leżała teraz cicho, a potrzaskane szkło niczym rozrzucone brylanty lśniło dookoła jej gołych rąk.

Pielgrzym czuł, że Lacey precisnęła się przez drzwi za nim, ale nie poruszył się, by zrobić jej miejsce.

– Hej – jęknęła, odbijając się o jego plecy.

Zerknął na nią, zobaczył, że wzięła karabin i wreszcie odsunął się na bok, ale powiedział:

– Stań za mną.

Alex została w stodole i kręciła się zakłopotana przy drzwiach. Widok jej siniaków wstrząsnął nim. Wcześniej łagodziło je stłumione światło ogniska, pokrywając je cieniami, ale naturalne światło ukazywało je boleśnie wyraźnie. Musiał zapamiętać, że z nich wszystkich to ona ma najwięcej powodów, by nie ufać obcym.

Kiwnięciem głowy polecił jej zostać na miejscu i ruszył, nie czekając, aż się odezwie. Wyciągnął pistolet, odbezpieczył i szybko, ale ostrożnie szedł w stronę auta, cały czas lustrując teren wokół, drogę, krzaki i tył auta. Tamten człowiek w dalszym ciągu nie poruszył się od chwili, kiedy na wpół wydostał się z samochodu.

Kiedy Pielgrzym podchodził do rozbitego samochodu, Lacey musiała biec truchtem, by nadążyć za jego szybkim krokiem. Uniósł pistolet i wycelował.

*Ten ktoś jest chyba martwy.*

– Zawsze tak myślisz – wymruczał Pielgrzym, po czym głośniejsz dodał: – Wycelowałem broń w twoją głowę. Jeśli nie chcesz, bym ci ją odstrzelił, nie wykonuj żadnych gwałtownych ruchów.

Głos zachichotał.

*Martwi się nie ruszają.*

Pielgrzym zwolnił kroku i pochylił się, by zajrzeć do samochodu. Środek wyglądał na pusty. Był teraz bliżej i zobaczył, że z auta



wypełzył chłopiec. Leżał twarzą w dół, był chudy, a jego marynarkę plamiła stara krew. Na gołych rękach widniały czarno-rubinowe rany, nabijane tłuczonym szkłem wyglądały jak sznury diamentów.

Kiedy Pielgrzym podszedł na odległość kilku metrów, zatrzymał się i obejrzał na dziewczynę. Miała szeroko otwarte oczy i intensywnie gryzła dolną wargę, ale kolbę broni mocno opierała o ramię, a broń trzymała z wprawą.

– Oślaniaj mnie – powiedział do niej.

Przytaknęła i wzięła na muszkę chłopaka leżącego na ziemi. Pielgrzym ruszył naprzód, szkło chrzęściło mu pod butami. Uniósł prawą rękę, mierząc z pistoletu w głowę chłopaka, lewą natomiast sięgnął ostrożnie w stronę jego szyi. Palce prześliznęły się po ciepłej, wilgotnej skórze. Szukał pulsu. Wyczuł lekkie drżenie.

Obejrzał się przez ramię i upewnił, że dziewczyna zachowuje czujność. Schował broń do kabury i pochylił się, by chwycić dzieciaka pod pachy, podnieść i wyciągnąć z samochodu. Pielgrzym holował chłopaka na czysty kawałek terenu, dzieciakowi nogi wyginały się na wszystkie strony, pod nienaturalnym kątem, jak połamane ołówki. Wyglądał na szczupłego i gdy Pielgrzym podnosił go z ziemi, odkrył, że waży niewiele więcej niż worek kradzionych ziemniaków. Puścił chłopaka, a następnie podniósł go za zakrwawione ramiona, tak by odwrócić go na plecy.

Lacey jęknęła.

*Jasna cholera.*

Chłopiec nie był chłopcem, tylko dziewczyną, kobietą. Trudno było określić jej wiek, ale wyglądała na kilka lat starszą od Lacey. Włosy ścięto jej na krótko, policzki były mocno zapadnięte, ale to jej usta przyciągnęły uwagę Pielgrzyma. Wzdłuż dziąseł, gdzie kiedyś znajdowały się zęby, teraz z żywej tkanki wyzierały dziury. Zasuszone, kruszące się smugi krwi ciągnęły się po podbródku i szyi i kontrastowały z nowymi, błyszczącymi strużkami, które powstały po wypadku samochodowym. Wyglądało na to, że nie tak dawno temu jakiś amator postanowił wyrwać jej zęby.

– Kto jej coś takiego zrobił?

Pielgrzym spojrzał na drogę w stronę, z której nadjechał samochód, a potem na Lacey. Niebo szybko jaśniało. Słońce już za moment wyrzy zza horyzontu. Dniało, a skóra Lacey wyglądała na bladą, niemal półprzezroczystą. Pielgrzym pomyślał, że gdyby tylko trochę poszukał pod skroniami i na policzkach, znalazłby niebieską mapkę jej żył, małe błękitne ścieżki, które prowadziły do mózgu.

Raz jeszcze popatrzył na drogę. Zastanawiał się, co tam na nich czeka.

*Pewnie ktoś, kogo nie mamy ochoty poznawać.*

Bezzębna dziewczyna odkaszlnęła. W gardle jej głośno zbulgotało, jakby gdzieś głęboko skrywały się pokłady flegmy. Bolesny grymas przeciął jej twarz. Nie otwierając oczu, uniosła dłoń i złapała Pielgrzyma za nadgarstek. Miała mocny chwyt – zauważył, jak jej knykcie bieleją. Kości pod skórą grubości papieru widział bardzo wyraźnie. Wbiła kciuk w jego dłoń.

Próbowała coś powiedzieć, ale nie byli w stanie jej zrozumieć, z ust wydobywały się jakieś bezładne sylaby.

– Co powiedziała? – zapytała Lacey, kucając naprzeciw niego.

Chwyt dziewczyny przybrał na sile. Przyciągnęła jego dłoń do swojego gardła. Znowu spróbowała coś powiedzieć, ale krew zbulgotała między jej wargami. Rubinowa.

Pielgrzym nachylił głowę i przysunął ucho do jej ust.

Bulgot obniżył się, postrzępił, a oddech dziewczyny stał się bardziej rwany. Napięcie męczyło jej płuca. Pielgrzym wiedział, że wypełniają się krwią. Zamarł, kiedy wyszeptała imię.

*Christopher?* – zapytał Głos. – *Co ma na myśli, jaki Christopher?*

Nie miał czasu na odpowiedź, bo powiedziała coś jeszcze. Kolejne słowo.

– Co ona mówi? – Lacey dociekała.

– Zabrzmiało jak... Obrońca. – Pielgrzym celowo pominął imię. Przynajmniej chwilowo.

– Obrońca?

*Co się dzieje? My ją znamy?*

Pytania Głosu nie doczekały się odpowiedzi.

– A może to było „obroń ją” – dodał Pielgrzym.

– Musimy jej pomóc. – Lacey wyglądała na udęconą. Spojrzała na niego, jakby był zdolny do czarów, jakby mógł dotykaniem złączyć kości dziewczyny, uleczyć ją i wypędzić całe zło z tego świata. Czy nadal nie pojmowała, że większości spraw na tym świecie nie da się naprawić?

Chwył umierającej dziewczyny na jego nadgarstku osłabł. Położył palec na jej klatce piersiowej, dotknął wychudzonego gardła. Spojrzał w dół. Otwarte oczy dziewczyny były wycelowane w niego. Ledwo już oddychała, ale nie odrywała od niego wzroku. Był pewien, że go widzi. Jej źrenice uczepliły się jego twarzy. Dziewczyna cały czas doskonale wiedziała, na kogo patrzy. Jej usta poruszały się i choć nie dobywał się z nich żaden dźwięk, to widział kształt, w jaki się układały.

Obroń ją.

Jej oczy z wolna gasły, było w nich widać coraz mniej skupienia, źrenice się rozszerzały i wkrótce gapiła się na niego bezmyślnie, jakby tak naprawdę obserwowała jaśniejące niebo wysoko nad ich głowami. Prawie jakby widziała, dokąd się teraz wybierze, i jakby cieszyła ją myśl, że nareszcie zostawi jego i cały rodzaj ludzki za sobą.

\*

Po chwili Pielgrzym wstał. Czuł się przytłaczająco wysoki. Wydawało się, że martwa dziewczyna leży przeszło dwa metry w dole, cały świat się rozciągnął, a wraz z nim jego nogi i tors. Stopy nagle stały się dalekie i małe, zwłoki były już rozmiarów małego dziecka.

Usłyszał Głos, ale jakby z daleka.

*Kim ona jest? Czy ona nas zna? Wydawało się, że tak.*

Czuł, że Głos bardzo chce przyjrzeć się jej twarzy, ale Pielgrzym się obrócił. Nie chciał, żeby ją rozpoznał. Co dobrego mogło z tego

przyjść? Nie żyła i wszystko, co wiedziała, umarło razem z nią.

*Sądzę, że chyba ją znaleźliśmy* – powiedział Głos niepewnie.

Doprawdy? Sam nie był już tego pewien. W obecnej sytuacji kilka rzeczy naprawdę lubił, na przykład dziury w pamięci, te wielkie ziejące otchłanie. Im mniej pamiętał, tym mniej bólu powodowały wspomnienia i tym mniej czasu spędzał, żałując spraw, na które nie miał już wpływu. Nie chciał pamiętać. Niemal słyszał stukot łańcuchów na tych wszystkich skrzyniach zrzuconych w ciemne głębie tych ogromnych oceanów. Zapominanie było darem dla samego siebie i nie chciał go marnować. Jedynie to trzymało go przy zdrowych zmysłach.

Głos zawył z rozdrażnienia.

*Ty i ten twój przeklęty mózg!*

Lacey wciąż klęczała przy boku dziewczyny. Wydawało się, że znajduje się bardzo daleko. Była mała i w zasadzie nieistotna. Mówiła coś, ale dźwięki były przytłumione, jakby dochodziły do niego ze źle ustawionego radia. Pielgrzym chwycił się za głowę i wziął dwa głębokie oddechy.

Gniew Głosu osłabł i zmienił się w zatroskanie.

*Wszystko w porządku, compadre?*

Pielgrzym chrząknął i opuścił ręce. Wiadomość od martwej dziewczyny nie dawała mu spokoju. Nie wiedział dlaczego, ale te słowa miały konkretne znaczenie. Samochód mógł się rozpaść dwadzieścia kilometrów stąd, na pasie autostrady, gdzie nie było żadnych świadków, którzy słyszeliby jej ostatnie słowa. Pielgrzym wiedział, że często umierająca osoba mówiła „proszę” albo „pomóż”, czując, jak opuszcza ją życie – wiedział to, ponieważ był świadkiem śmierci wielu osób – ale ta dziewczyna nie użyła żadnego z tych słów. Powiedziała „obroń ją”. Albo „obrońca”, nie był pewien. W każdym razie miało to bardzo konkretne znaczenie. Powinien je rozumieć. Znalazła go, by mu o tym powiedzieć. Po co innego zjawiała się akurat tutaj?

*Musiła mieć na myśli Lacey* – powiedział Głos. – *W tej dziewczynie jest coś niezwykłego. Wiesz to od samego początku i nie*

*udawaj, że jest inaczej. Nie uszło mojej uwagi, że zauważyłeś, jak świecą się jej palce. To nie był miraż.*

Lacey nie słyszała żadnego głosu, Pielgrzym był tego pewien. Wiedział, jak rozpoznawać znaki, a ona nie zdradziła się z żadnym z nich. A jednak było w niej coś innego, Głos miał rację. Była w niej jakaś czeluść, ukryta głęboko, miejsce, które tylko czekało na to, by je wypełnić. Przerazało go to, jak bardzo jest bezradna. Bał się o nią i nie miał pojęcia dlaczego. Wiedział jedynie, że nie ma zamiaru bawić się w niczyjego ochroniarza.

Małeńka Lacey, przebywająca daleko, przy jego stopach, wstała teraz i poczekała, aż ruchy świata uspokoją się i jego perspektywa nareszcie wróci do normy.

Pielgrzym mrugnął, patrząc na nią. Nareszcie odzyskała swoje właściwe rozmiary.

– To co robimy? – zapytała.

– Robimy?

– Z nią. – Skinęła głową w stronę martwej dziewczyny, która z powrotem wyglądała normalnie.

Nie zrozumiał pytania.

– Nic nie możemy zrobić. Nie żyje.

– Więc tak ją tutaj zostawimy?

Spojrzał jeszcze raz na ciało. Rubinowa krew na jej ustach zaczęła już wysychać.

Ruby – pomyślał.

*Ruby?* – czujki Głosu szperały w jego umyśle, jego macki wiły się wokół jego myśli i próbowały z nich coś wyplątać jak z pajęczyny.

Pielgrzym oderwał oczy od zwłok dziewczyny i zatrzymał swoje galopujące myśli.

– Chodźmy – powiedział, obracając się na pięcie, i cofnął się na ubitą drogę, cały czas patrząc na wschód.

Lacey nie poszła za nim od razu. Pielgrzym wyczuł, że potrzebuje kilku dodatkowych chwil. Może chciała jakoś przeprosić tę dziewczynę za to, że nie mogła jej bardziej pomóc, przeprosić za wszystkie rany i krzywdy, których tamta doznała. Ale, jak już

Pielgrzym powiedział, dziewczyna była martwa i przeprosiny stanowiły piękny gest, ale ulgę mogły przynieść jedynie żywym, a nie jej.

*Nie możesz chować się przed sobą w nieskończoność* – powiedział Głos.

On natomiast uważał, że mógł, ale to nie była sprawa Głosu.

Wchodząc do stodoły, Pielgrzym zauważył, że Alex spakowała już ich rzeczy. Kończyła zakopywanie pozostałości po ognisku, po czym podniosła plecak i pokuśtykawszy obok otwartych drzwi od strony pasażera, wrzuciła go na tylne siedzenie. Przyglądała mu się przez moment, po czym znowu ruszyła i podniosła z ziemi chustę Lacey.

*Powinniśmy trzymać się z dala od autostrady* – powiedział Głos. – *Podróżowanie po niej jest dla nas zbyt niebezpieczne. Przynajmniej dopóki jadą z nami dziewczyny.*

Auto jechało przynajmniej osiemdziesiątką, kiedy przekoziółkowało. A na drodze nie było żadnych innych pojazdów. To oznaczało, że dziewczyny nikt nie śledził, przynajmniej nie z bliska. A mimo to nie zwolniła, nawet gdy straciła panowanie nad kierownicą. Nie próbowała stanąć. Uciekała i niezależnie od tego, co ją goniło, była zbyt przerażona, żeby zwolnić.

Pielgrzym podszedł do motocykla i zapiął zatrzaski na sakwach, przygotowując się do wyjazdu.

Lacey weszła do stodoły. Stała w środku, a za jej plecami jasne, gorące słońce powoli się wznosiło. W ciągu godziny temperatura na zewnątrz przekroczy dwadzieścia pięć stopni.

Za kolejne cztery będzie dobiegać trzydziestu siedmiu.

Trzymała w dłoni coś, co błysnęło, odbijając pierwsze promienie słoneczne.

– Co tam masz? – spytała Alex.

Lacey postąpiła naprzód i podniosła przedmiot, pokazując go kobiecie. Był to jakiś mały medalion przypięty do ładnego srebrnego łańcuszka.

– Znalazłam to. Przy dziewczynie.

Alex podeszła do niej.

Pielgrzym kopnięciem złożył nóżkę motocykla i napał na kierownicę, by po zakurzonej klepisku stodoły wytoczyć ciężką maszynę za drzwi. Minął Alex i Lacey. Ta pierwsza trzymała medalion na otwartej dłoni. Nie musiał patrzeć na tarczę błyskotki, by wiedzieć, że wybito na niej mężczyznę trzymającego w jednej ręce laskę, a w drugiej małe dziecko leżące na plecach.

*Święty Krzysztof* – skomentował Głos, rozpoznając wzór.

– To naszyjnik ze świętym Krzysztofem – powiedziała Alex. – Ma za zadanie ochraniać cię podczas podróży.

– To taki jakby amulet na szczęście?

Alex skinęła głową i oddała naszyjnik.

– Właśnie tak to można nazwać.

Obie wzdrygnęły się, kiedy Pielgrzym kopnął drzwi stodoły. Wyprowadził motor na zewnątrz i obejrzał się na nie przez ramię.

– Ściągnę paliwo, jakie zostało w rozbitym aucie – powiedział. – Nie potrwa to długo. Wyjeżdżamy.

Przerzucił nogę nad siodełkiem, odpalił silnik i wzbił tuman kurzu, wciskając gaz.

*Myślałem, że będziemy się trzymać z dala od autostrady.*

– Dobrze myślałeś.

*Kiedy?*

– Wkrótce.

*Kiedy wkrótce?*

– Jak już się do tego przygotuję.

Przez kilka sekund panowało milczenie.

*Popelniasz błąd.*

Pielgrzym nie odpowiedział.

*Kierujemy się w dokładnie tym samym kierunku, z którego uciekała tamta dziewczyna. Szukasz guza, jadąc naprzód.*

Pielgrzym obejrzał się przez ramię. Samochód trzymał się za nim na długość ciężarówki. Podobnie jak poprzedniej nocy, tak i teraz nie widział, kto siedzi z przodu, ale tym razem z powodu światła słonecznego odbijającego się od szyby, a nie blasku księżyca.

W każdym razie tak było lepiej. Wystarczyło mu już oskarżycielskich spojrzeń posyłanych przez Lacey od chwili, kiedy zostawili tamtą dziewczynę pod gołym niebem. Zabawne, że nie miała nic przeciwko zostawieniu uduszonej i związanej kobiety w motelu, ale zwłoki tej dziewczyny nie dawały jej spokoju.

*To dlatego, że dziewczyna była niewiele od niej starsza. Wyszło na to, że równie dobrze mógłbyś zostawić i ją.*

Vicksburg był oddalony o cały dzień jazdy. Jeszcze dłużej, jeżeli zjadą z autostrady. Nadal dzieliło ich prawie pięćset kilometrów od granicy z Luizjaną. Mieszanka adrenaliny i niewyspania już dawała mu się we znaki. W ramionach poczuł dziwne, mrowiące zmęczenie, przez które był jakiś ociężały i koncentrowanie się na drodze przychodziło mu z trudnością. Linia pośrodku asfaltu falowała i rozszczepiała się na dwoje. Mimo to jego tętno szalało, czuł, z jaką zawrotną prędkością bije pod skórą. Wiedział, że nie będzie mógł prowadzić zbyt długo.

Trzaśnięcie, które dobiegło z jego silnika, rozwiązało problem. Zmniejszył odrobinę gaz i motorem szarpnęło, po czym zaczął powoli wytracać prędkość, pod koniec wydał jeszcze kilka prychnięć i silnik zamilkł. Wcisnął sprzęgło i zjechał, a cisza silnika brzmiała nieswojo, zwłaszcza po tym, jak przez dłuższy czas brzęczał. W pewnym momencie złapał się na tym, że mruczy razem z maszyną, niskim i monotonnym tonem, jak gdyby naśladował dźwięk silnika.

Skręcił na pobocze, przejechał kilka ostatnich metrów i stanął. Siedział nieruchomo, w ciszy. Na całe szczęście Głos milczał, pozwalając mu cieszyć się chwilą. Pielgrzym chciał po prostu pooddychać i uspokoić puls. Przez chwilę pragnął jedynie ciszy. Nie pozwolił zakłócić swojej medytacji nawet dźwiękowi otwieranych drzwi samochodu.

– Wszystko w porządku?

Chrypka nadal pobrzmiwała w głosie kobiety, ale za dzień czy dwa wszystko wróci do normy. Przynajmniej pod tym względem.

Potał napięte mięśnie karku. Sztywno zsiadł z motocykla



i stanął obok niej. Złapał go skurcz, coś mocno ścisnęło go u dołu żołądka i nie chciało puścić. Czuł przemożną chęć, by odwrócić głowę w lewo, popatrzeć na drogę i węszyć, jakby był drapieżnikiem szukającym zdobyczy. Zamiast tego stał bez ruchu i wpatrywał się w motocykl, który tykał i stukał. Zbiornik paliwa pokrywał pył, nadwozie było powgniatane i porysowane, a łańcuch zaczynał rdzewieć. Będzie za nim tęsknił. I w tym momencie wiedział, że musiał go zostawić. W końcu byli już we troje i nie mógł zabierać im paliwa.

Ściągnął chustę z twarzy.

– Pojadę z wami przez jakiś czas – powiedział.

Zabrali się do rozładunku motoru.

Alex nie podnosiła wzroku, kiedy pomagała opróżniać jego sakwy.

– Lacey powiedziała, że tamtej dziewczynie wyrwano zęby.

Mruknął cicho.

– Dlaczego ktoś mógłby zrobić coś takiego?

– Na pewno nie była to wróżka zębuszka – odparł, po czym ruszył do samochodu i załadował wszystko do bagażnika.

Alex wciąż kucała przy jego motocyklu. Cokolwiek teraz robiła, najwyraźniej nie zamierzała się podnieść. Westchnął i powlókł się do niej z powrotem.

Popatrzyła na samochód za nim, a może na dziewczynę, która siedziała w środku, dopiero potem spojrzała na niego.

– Nie chcemy spotkać osoby, która to zrobiła.

Przytaknął, powziąwszy już decyzję.

– Zgadzam się.

Zamierzał podróżować tą drogą, aż spotkają kogoś, kto wyjaśni im, co przydarzyło się tamtej dziewczynie i wytłumaczy mu, dlaczego dzieliła się z obcymi ludźmi takimi tajemniczymi informacjami. I gdyby był sam, z pewnością dążyłby do rozwiązania tej zagadki, ale Głos miał rację: w obecnej sytuacji, z dziewczynami przy boku, byłoby to nierozsądne.

– Musimy zawieźć Lacey do Vicksburga i jej rodziny – powiedziała Alex.

Nie miał pojęcia o żadnych sprawach rodzinnych, ale odpowiedział:

– Po raz kolejny się zgadzam.

– To powinno być naszym głównym zmartwieniem.

– Owszem.

Alex wstała z trudem, jęknęła przy tym cicho i wsparła się o kolano. Spojrzała mu prosto w oczy.

– Wiesz co, zupełnie nie mogę cię rozgryźć.

Odgonił muchę od policzka.

– A musisz próbować?

Nie odpowiedziała. Zmrużyła trochę oczy, ale dostrzegł, że kąciki jej ust nieco się rozluźniają.

– Nie wiem, co ci się stało. Nie wiem, czy w tej upartej głowie jest miejsce na jeszcze kogoś oprócz ciebie samego, i nie będę pytała. Zresztą nie oczekuję, że mi powiesz, i nie sądzę, by podobała mi się odpowiedź na to pytanie, nawet gdybyś zechciał jej udzielić. Ale odnoszę wrażenie, że niewiele zostało ci na tym świecie. Może poza tamtym złodem. – Podbródkiem wskazała jego motocykl, ale on nie odwrócił od niej wzroku, mimo że jej określenie odebrał jako szalenie niesprawiedliwe i wręcz obraźliwe. Nie był pewien, co próbuje w ten sposób osiągnąć.

– Powiem ci tylko tyle, że i ja nie mam za wiele – ciągnęła. – Już nie. Jedynie to auto. Rozumiemy się?

Najwyraźniej ten samochód był dla niej bardzo ważny. I słusznie. Wszystkie środki transportu były wartościowe i powinna zrobić, co w jej mocy, by go nie stracić.

*Nie sądzę, by o to jej chodziło* – zaczął Głos.

– Rozumiem – rzekł Pielgrzym.

– I dobrze. W takim razie zbierajmy się. Chyba że zamierzasz tkwić tu jak kołek w płocie? – Uniosła brwi, a on nie wiedział, co odpowiedzieć na taką zaczepkę. Poszła do auta.

Pielgrzym stał tak jeszcze przez chwilę, patrząc z uczuciem na motor, po czym poszedł za nią. Wypiął wcześniej kabel antenowy i samą antenę – wyciągnięte z wraku samochodu – a także

przenośne CB-radio, a teraz podłączył wszystko w samochodzie Alex, przyczepiając antenę do dachu za pomocą magnetycznej podstawy. Wtyczkę włożył do gniazda zapalniczki. Szukanie kanału zostawił Lacey. Przedzierała się teraz przez trzeszczące częstotliwości. Nie powiedział jej, czego konkretnie ma szukać. Sama uznała, że dzięki radiu mieli się dowiedzieć, jak ominąć ludzi, którzy skrzywdzili tamtą dziewczynę. Obudowa radia ucierpiała w wypadku, plastik popękał i część wnętrza wystawała, dlatego Pielgrzym nie obiecywał sobie wiele po odbiorniku. Kiedy zostawiał dziewczynę, wyglądało na to, że będą słuchać szumu.

Ponownie sprawdził antenę przyczepioną do dachu auta – jej podstawa była nietknięta – po czym otworzył tylne drzwi. Lacey odwróciła się, by na niego popatrzeć, a on wślizgnął się na siedzenie. Miała na sobie te okulary, w których wyglądała jak mała mucha. Zauważył na jej szyi błysk metalu. Święty Krzysztof.

– Teraz już na dobre z nami utknąłeś – powiedziała, uśmiechając się znacząco.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Był trochę wymęczony i dziwnie czuł się z nim na twarzy, jak gdyby maseczka z piasku skruszyła się i osypała na jego kolana. Do tego skurcz w brzuchu osłabł, kiedy siedział w aucie.

– Kto wie, może jeszcze polubisz nasze towarzystwo. – Lacey uniosła brew, niemal prowokując go do odpowiedzi, po czym odwróciła się do CB-radia. Szum wzmógł się na moment.

– Słyszałaś coś?

– Przez chwilę tak mi się wydawało, ale potem znowu sam szum, szszszffffszsz... – powiedziała, po czym dodała kilka szumów i gwizdnięć dla efektu.

– Próbowalaś może kanałów, o których ci mówiłem?

– Dziewiąty, dziesiąty, czternasty, piętnasty i... yyy...

– Dwudziesty pierwszy. – Były to kanały radiowe, których używano w sytuacjach alarmowych, w razie korków i kiedy chciało się wyszukać informacji na temat stanu miejscowych dróg.

Przynajmniej tak to działało w dawnych dniach.

– No tak, dwadzieścia jeden. Próbowałam ze wszystkimi. *Nada*.

– Wróć jeszcze raz do piętnastego i na nim zostaw.

Był to kanał, na którym ktoś wcześniej ustawił to radio. Niewykluczone, że martwa dziewczyna go nasłuchiwała.

– Jasna sprawa – powiedziała Lacey.

Pielgrzym rozparł się wygodnie, gdy Alex cofnęła na drogę i płynnie przyspieszyła. Nie odwracał się, by ostatni raz spojrzeć na motor. Bez przerwy zostawiał za sobą różne części siebie. W końcu zostaną mu tylko buty na nogach i siła, żeby stawiać w nich kolejne kroki. Być może wtedy pozwoli sobie na luksus obejrzenia się za siebie.

– Powinieneś się przespać – powiedziała Alex, patrząc mu w oczy w lusterku wstecznym.

Obniżył się na siedzeniu. Powieki mu ciążyły, a zagłówek był taki miękki i kuszący.

– Zjedź z autostrady przy najbliższej okazji – powiedział. – I nie zatrzymuj się bez względu na to, kogo zobaczysz.

Opuścił się jeszcze kawałek, prosto w piankowe objęcia tylnego siedzenia, aż otulało go ze wszystkich stron. Czuł się niemal tak, jakby leżał w trumnie wyłożonej aksamitem.

## Rozdział 17

Pielgrzym spał głęboko. Nic mu się nie śniło. (Sny były dla ludzi, którzy nadal wierzyli, że na świecie istniały jeszcze jakieś bezpieczne zakątki). Widział za to migawki obrazów w ciemności. Wspomnienia, które utkwiły mu gdzieś z tyłu głowy, ukryte w przepastnym oceanie jego umysłu, najpewniej bezpiecznie umieszczone tam w jednej z zamkniętych skrzyń. Raz po raz któreś z nich uwalniało się z okowów. Nawet łańcuchy nie były w stanie ich utrzymać.

W jednym z nich dostrzegł nagiego mężczyznę, powieszzonego, kołyszącego się wysoko ponad jego głową na sznurze przywiązany do słupa telefonicznego. Na tabliczce przypiętej do jego klatki piersiowej widniało „on słyszy”, napisane krzywo czarnym markerem. Miał na sobie pojedynczy czarny but z ozdobnie dziurkowanym czubkiem. Grupa dzieci zebrała się pod nim, najstarsze z nich miało nie więcej niż osiem lat. Rzucali w niego kamieniami i pustymi puszkami, jak gdyby to była ludzka piniata, z której zawartość wysypywała się dopiero po uderzeniu jej we właściwe miejsce.

W następnym obrazie Pielgrzym ujrzał troje dorosłych ludzi kucających wokół ogniska, obdartusów brudnych od ziemi, wychudzonych i ubranych w strzępy ubrań. Białka ich oczu odcinały się mocno na tle twarzy wysmarowanych popiołem. Nad ogniem pieczono małego psa. Nie zawracali sobie głowy nawet obdarciem go ze skóry ani zdjęciem mu obroży. Ciało zwierzęcia paliło się w kilku miejscach, smród płonącej sierści był intensywny, pizmowy. Kiedy zobaczyli Pielgrzyma, wstali, zaczęli krzyczeć

i gniewnie machać w jego stronę, chcąc go odgonić. Nie rozpoznał żadnego ze słów, których użyli. Najwyraźniej utracili umiejętność wyrażenia swoich nieskomplikowanych pragnień choćby prostymi zdaniami. Było w nich więcej zwierzęcości niż w tym biednym kundelku, którego planowali zjeść.

Ostatni obraz nie był wspomnieniem. A przynajmniej nie takim, które by sobie przypominał. Stał pośrodku miejsca, które dawniej było miastem, a teraz bardziej przypominało powierzchnię księżycy. Kratery, popękane ulice, chodniki na różnych poziomach. Prawie jakby sam Bóg przesunął płyty tektoniczne, by stworzyć kilka stopni, po których ludzie mogliby wejść do nieba albo zejść w otchłanie piekielne. Wszystkie budynki uległy przesunięciu. Wokół żadnych ludzi. Pielgrzym był pierwszą osobą, która stanęła w tym mieście od momentu, kiedy zostało zniszczone, i prawdopodobnie będzie ostatnią. Do tego miejsca idealnie pasowało określenie „pustkowie”. Życie w okolicy praktycznie nie istniało. Mimo to niebo tętniło pulsującą elektrycznością statyczną. Co kilka sekund z trzaskiem przeskakiwała iskra, a w powietrzu było słychać niskie brzęczenie, jakby niewidzialne linie energetyczne biegły nad głową Pielgrzyma. Z każdą eksplozją syku elektryczności unosiły się włosy na jego ramionach, a w brzęczenie wkradały się trzaski, które brzmiały prawie jak słowa. Im dłużej patrzył w górę na to czerwone, naelektryzowane niebo, tym bardziej wydawało mu się, że może je zrozumieć, że ono do niego mówi. Wypowiadało słowa takie jak „Tanatos”, „Słuchaj”, „Rzeź” i „Śmierć”, a słowa te sprawiały, że również jego krew buzowała z napięcia i płynął w niej strach.

Pielgrzym otworzył oczy i odkrył, że znajduje się na tylnym siedzeniu samochodu. Zobaczył tyły głów i karki Alex i Lacey. Nie były to żadne omamy przebudzeniowe: po prostu spał, a potem się obudził.

Dziewczyny znowu rozmawiały. Ostatnio niczego innego nie robiły. Z CB-radia dobiegał biały szum.

*Tym zajmują się kobiety, rozmawianiem. I jeszcze sprawianiem,*

*że mężczyźni czują się od nich gorsi.* – Głos odezwał się prawie od razu, zupełnie jakby czekał, aż Pielgrzym się obudzi.

Pielgrzym chciał mu opowiedzieć o ostatniej części swojego snu, o czerwonym pulsującym niebie i o słowach, którymi to przemówiło do niego w zrozumiałym języku. Sen pozostawił jednak po sobie niejasne ukłucie strachu i nie chciał przenosić go na Głos.

Skierował swoją uwagę za okno, w kierunku olbrzymiej topniejącej kuli na niebie. Nie spał dłużej niż godzinę. Cieszył się, że słuchają jego instrukcji i opuściły autostradę. Jechały teraz przez opuszczone miasto, bardzo różne od tego z jego snu. Wybite okna, połamane drzwi, rdzewiejące samochody z odkręconymi kołami, przerośnięta trawa i wybujałe krzaki, zapadnięte dachy, zepsute bramy garażowe. Znak z rysunkiem domu, który minęli, miał napis: N W SZ W AĆ M AKS: (R).

W środku auta było duszno, gorąco, stał się przez to trochę osowiały. Nie ruszał się z miejsca i zaczął słuchać, o czym mówią.

– Jestem przekonana, że na następnym zakręcie w prawo – odezwała się Lacey. Słyszał szelest papieru, kiedy podniosła mapę i złożyła ją na pół, potem jeszcze raz na pół, a następnie umieściła na kolanach i pochyliła się nad nią.

– Po prostu powiedz mi, kiedy skręcić – powiedziała jej Alex.

– Naprawdę spodoba ci się w Vicksburgu, Alex. Moja siostra mieszka w dużym domu, więc na pewno będziesz miała miejsca do woli.

*Ma siostrę* – powiedział Głos zamyślonym tonem.

Pielgrzym popatrzył na Lacey, kiedy sięgnęła do zestawu CB. Zausznik jej okularów przeciwsłonecznych skrywał jej oko, ale jej profil był ładnie zaokrąglony. Na szczycie nosa znajdował się mały garb. Być może złamała go kiedyś, spadając z huśtawki, albo podczas dojenia kozie przestał się podobać ten proces i kopnęła dziewczynę. A może po jednej z kąpieli, które z pewnością uwielbiała, poślizgnęła się, gdy wychodziła z wanny.

*Przestań* – ostrzegł Głos.

– Byłoby fajnie – powiedziała Alex. – Ale najpierw powinniśmy

się dowiedzieć, co twoja siostra na to. Może nie chceć żadnych obcych pod swoim dachem.

Z radia dobiegło kilka kliknięć, kiedy dziewczyna podłączyła i odłączyła mikrofon.

– Och, ale Karey nie będzie miała nic przeciwko. Lubi gości. Spróbujesz jej babeczek. Robi najlepsze babeczki na świecie, przysięgam. – Szum ucichł, kiedy znowu podłączyła mikrofon. – Hej, słyszycie to? Kto z was chce się załapać na babeczki? Czekoladowe z kawałkami pomarańczy, truskawkowe i takie z białą czekoladą, a także stare, dobre z rodzynkami. Nie wychodzą jej za to szarlotki – dodała, próbując pociągnąć temat. – Ale za takie babeczki można po prostu zabić. Oto przed nami ulica S. Leveego.

Alex skręciła w prawo. Radio zatrzeszczało i Pielgrzym nastawił uszu, ale nic nie usłyszał.

– Kiedyś robiłam rewelacyjne ciasteczka – powiedziała Alex. – Uwielbiałam swoją kuchnię. Była najmniejsza na świecie, wyobraź sobie znaczek pocztowy, będziesz mniej więcej miała pojęcie. Ale mogłam dosięgnąć wszystkiego, nie ruszając się z miejsca. Była cudowna.

– Kuchnia mojej siostry jest dość duża. I stara. W środku stoi kuchenka z żeliwnymi palnikami i takie tam.

– Myślisz, że ona się ciebie spodziewa? – zapytała z wahaniem w głosie Alex.

Lacey obróciła się, by wyjrzeć przez okno pasażera. Jej głos był pogodny i wyluzowany, ale Pielgrzym słyszał, że wkłada w to sporo wysiłku. Radio znowu ucichło, szum zniknął, jak gdyby też chciał się dowiedzieć, co dziewczyna ma do powiedzenia.

– Raczej powinna. W końcu tyle na to czekałam. Bo wiesz, nie byłam pewna, czy ona przyjedzie. Babcia powiedziała, że musimy się martwić o swoją ziemię, bo moja siostra bez problemu by sobie poradziła na farmie. W końcu ma Davida i Addison, czyli moją siostrzenicę. Mówiłam ci o niej? Jestem ciocią. – Lacey zaśmiała się, jakby to była najbardziej niesamowita sprawa na świecie. –



Siostra długo się starała i wreszcie zaszła w ciążę. Babcia powiedziała, że Addison to cudowne dziecko. Przyszła na świat kilka miesięcy przed tym, jak wszyscy zwariowali, dlatego nie miałam jeszcze okazji jej poznać. Okropnie, co nie? Że nie widziałam jeszcze siostrzenicy. Ale babcia mówiła, że taka wyprawa przez całe dwa stany byłaby niebezpieczna. Próbowала to zrobić. Raz. Po tym jak długo jej trułam. Nie wyszło to za dobrze. Poza tym wzrok babci mocno się pogorszył, pod koniec już mało co widziała... – Dziewczyna zamilkła na moment, wzdrygnęła się lekko i po chwili odzyskała pogodę ducha. – No i jak babcia umarła, pomyślałam, że sama się tam wybiorę.

– Nieźle. Czyli twoja siostrzenica ma teraz jakieś siedem lat? – zapytała Alex.

– No. Prawie osiem.

– A jak dawno temu twoja babcia odeszła? – Alex próbowała być delikatna.

Lacey zamruczała nisko, licząc lata i wciskając przełącznik mikrofonu.

– Wychodzi mi, że jakieś... trzy miesiące temu? Tak, coś koło tego. – Starala się mówić nonszalancko, ale Pielgrzym był pewien, że dokładnie wiedziała. Pewnie co do dnia.

– I wtedy rozstawiłaś to stoisko, o którym mi opowiadałaś?

– Nie od razu. Szczerze mówiąc, nie byłam pewna, co mam zrobić. – Coś w radiu klikało. – Pod koniec babcia miała problemy z pamięcią, próbowałam z nią rozmawiać, ale niewiele to dawało. Musiałam wiele się nauczyć sama. – Rozległ się szum radia i stłumione kliknięcie. – Niewiele osób przejeżdżało drogą niedaleko naszego domu, ale doszłam do wniosku, że ktoś się wreszcie napatoczy. Zaryzykowałam, mając nadzieję, że będzie to ktoś, kto zdoła mi pomóc. Poza tym miałam ze sobą majcher.

– Że co?

– Stary babcińy nóż do obierania warzyw.

Pielgrzym usłyszał dość. Wyprostował się, stęknął jak przy rozciąganiu pleców i odezwał się do nich:

– Planowałaś potraktować mnie tym majcherem, w razie gdybym nie dotrzymał umowy?

Był na siebie trochę zły za to, że wpuścił ją wtedy na motor, nie sprawdzwszy uprzednio, czy ma przy sobie broń. Mogła z łatwością wbić mu ten nóż pod żebra, gdyby tylko chciała, a on nie zdołałby jej powstrzymać.

Lacey siedziała prosto, kiedy zadawał pytanie, ale teraz obróciła się, opierając ramię na fotelu, by spojrzeć mu w oczy.

– Planowałam go użyć, gdybyś stwierdził, że jednak wywiniesz mi numer.

*Wywiniesz numer.* – Głos zarechotał.

– Mam szczęście, że smakowała mi lemoniada.

Lacey uśmiechnęła się złośliwie.

– Racja. Inaczej podziurawiłabym cię jak sito. Wyglądałbyś jak te postaci z kreskówek, które ktoś dziabnął parę razy, po czym próbują się czegoś napić i wylewa się z nich wszystkimi dziurkami. Jak ludzka fontanna. O tak, pamiętam je.

*Pielgrzym jako poduszczyk do szpilek.*

– Lepiej się czujesz? – spytała Alex. – Nie spałeś zbyt długo.

– Lepiej. – Poruszał szyją i usłyszał chrupnięcie. Zaciśnął i otworzył lewą dłoń, igiełki zdrętwienia kłuły go lekko.

Lacey podrapała pięścią nos.

– Głodny jesteś? Właśnie opowiadałam Alex o babeczkach mojej siostry...

– Czekoladowe z pomarańczą, truskawkowe i z białą czekoladą, a także stare, dobre z rodzynkami. Słyszałem.

– Ty udawaczu, jesteś jak opos – powiedziała, uśmiechając się.

– Nie udawałem martwego.

Uśmiech nieco jej zrzędł. Nie do końca, resztki bawiły jeszcze na jej ustach, jak gdyby nie wiedziała, co z nimi zrobić.

– Oposy udają martwe, by zmylić drapieżników – powiedział, wyjaśniając różnicę. – A ja spałem.

Jej uśmiech zniknął już na dobre. Po raz kolejny szum radia wydawał się złowrogo cichy.

– Skąd mogę o tym wiedzieć, nigdy nie widziałam żywego oposa.  
– I pewnie nie zobaczysz. Prawdopodobnie wszystkie już wyłapano i zjedzono albo wróciły na łono...

– Patrzyłyśmy na mapę. – Alex postanowiła się wtrącić. – Wychodzi na to, że jesteśmy na południe od Fort Worth. Czyli jakieś sześć godzin od Vicksburga.

– Dobrze. – Pielgrzym pokiwał głową. – To naprawdę dobrze. – Obrócił się ku Lacey. – Jedziesz do Vicksburga, bo myślisz, że zastaniesz tam siostrę?

*Pielgrzymie...*

Lacey skrzywiła się, a jej ton wyostrzył się od podejrzliwości.

– Taaa, a co?

– Nie ma za dużych szans, że znajdziesz ją tam żywą, na pewno zdajesz sobie z tego sprawę.

*Pielgrzym.* – Teraz to już zdecydowanie była reprimenda ze strony Głosu.

– Ej, ty – odezwała się w tym samym momencie Alex, oglądając się na niego. – Może najpierw sprawdzimy, zanim cokolwiek założymy.

– Fałszywa nadzieja to nic dobrego – odparł. – Podobnie jak ja dobrze wiesz, że szanse są raczej nieduże.

– Niczego nie wiesz na pewno – odrzekła Lacey, uparczywie wpatrując się w niego zmrużonymi oczami. Pielgrzym nie był pewien, dlaczego się złości, przecież mówił tylko o prawdopodobieństwie. – Myślisz, że coś wiesz, bo widziałeś więcej świata niż ja. Ale nie wiesz tego na pewno.

– Nie twierdzę, że wiem. – Skrzywił się. – Ale jeśli to jedyny powód, dla którego chcesz odwiedzić Vicksburg, to może lepiej przemysł...

– Miejmy nadzieję, że wszystko pójdzie zgodnie z planem i zobaczymy, co tam zastaniemy – ponownie wtrąciła się Alex. – W porządku? Przecież nie ma w tym nic złego. – Spojrzała na niego wymownie w lusterku wstecznym, uciszając go skutecznie.

Lacey również posłała mu złowrogie spojrzenie i odwróciła się

z powrotem, opuszczając się w swoim siedzeniu i zakładając ramiona na piersi. Mikrofon wydał z siebie kilka szybkich kliknięć, kiedy dziewczyna wciskała przycisk szumiącego radia.

*To klikanie robi się naprawdę irytujące.*

– Im częściej klikasz albo włączasz mikrofon, tym mniejsza szansa, że cokolwiek usłyszymy.

Dziewczyna fuknęła i klikanie ustało. Delikatna fala białego szumu rozeszła się we wnętrzu auta.

Pielgrzym podrapał się po twarzy.

*Ach te nastolatki* – powiedział Głos, jak gdyby to wszystko wyjaśniało. – *Nie martw się o to. My też mieliśmy kiedyś siostrę. Pamiętasz ją? Miała takie same kręcone włosy jak...*

– Nie teraz – powiedział Pielgrzym.

Alex posłała mu w lusterku wstecznym kolejne krzywe spojrzenie, ale nie przejmował się nim.

*Nie teraz i nie teraz, ciągle tylko nie teraz. Nigdy nie chcesz mnie wysłuchać.*

– Mogę zobaczyć mapę? – zapytał, wyciągając rękę między przednimi fotelami i trzymając ją bez ruchu. Cierpliwie czekał, aż w końcu Lacey westchnęła głośno i trzasnęła go mapą w otwartą dłoń.

– Dziękuję.

Nie odpowiedziała.

Odnalazł fragment autostrady, przy którym rozbił się tamten samochód, a potem podążył palcem po trasie martwej dziewczyny. Czytał po kolei nazwy wszystkich miast i mniejszych miejscowości, wypatrując słowa podobnego do „obroń”. Nic takiego nie znalazł. Żadnego: „obroń”, „obrońca”, „obrona” ani nic takiego w promieniu ponad stu pięćdziesięciu kilometrów. Odłożył mapę i potarł oczy.

*Patrz!*

Minęli zielony znak, który wskazywał na drogę po ich lewej stronie.

– Stań. – Pielgrzym okręcił się na siedzeniu, nie odrywając oczu od znaku, jakby bał się, że jeśli przestanie na niego patrzeć, to ten

zniknie.

Budynek biblioteki był parterowy. Jego dach kryły brązowe dachówki, a beżowe ściany pamiętały lepsze czasy. Na jednym z frontowych okien ktoś namalował Słonia Elmera, ale brakowało mu głowy, a szyba pękła idealnie na pół. Drzwi wyrwano z zawiasów, więc teraz widzieli przed sobą po prostu wejście, które aż zapraszało, by z niego skorzystać. Dawni bibliotekarze na pewno byliby zachwyceni taką gościnnością. W końcu do bibliotek wstęp mieli wszyscy.

– Co my tutaj robimy? – zapytała Lacey, wychodząc z wozu na skwar.

Pielgrzym sądził, że świeże powietrze będzie lepsze niż duchota w samochodzie, ale się mylił.

*Wewnątrz auta siostra Lacey dałaby radę upiec babeczki.*

Pielgrzym zsunął okulary przeciwsłoneczne i otaksował spojrzeniem parking. Asfalt wyblakł i popękał. Podobnie chodniki. Na parking wychodziły okna pięciu budynków i poświęcił chwilę, by spojrzeć w każde z nich, ale nikt ich nie obserwował. Nie czuł też na sobie niczyjego wzroku, ale jego uszy coś wyłapały. Bardziej wibrację niż hałas. Słabą wibrację betonu pod stopami. Być może jakiś agregat prądotwórczy. A to mogło oznaczać ludzi. Ci jednak najwyraźniej woleli się nie pokazywać i Pielgrzym bardzo się z tego cieszył.

– Szukamy książek – powiedział, a następnie zamknął drzwi. Celowo powoli wyciągnął swój pistolet, wysunął magazynek i sprawdził jego stan, zanim wsunął go z powrotem.

– No tak, tyle zrozumiałam. Ale jakich książek?

Pielgrzym prawie się uśmiechnął, widząc, jak dziewczyna podnosi swój karabin, podświadomie idąc za jego przykładem i sprawdzając, czy wszystko jest jak należy. Zrobiła to dokładnie tak, jak sobie tego życzył.

– Pokażę ci, jak już je znajdę – odrzekł.

Poszła za nim na tył samochodu, gdzie otworzył bagażnik.

Wyciągnął swój plecak i założył go na ramiona. Lacey i Alex poszły za jego przykładem, biorąc ze sobą wszystkie swoje rzeczy. Alex zamknęła auto. Pielgrzym nie powiedział na głos, że gdyby ktokolwiek chciał je ukraść, to po prostu włamałby się do środka i ukraść je, zanim zdążyliby tutaj wrócić.

– Człowieku, dlaczego ty musisz ze wszystkiego robić tajemnicę? Nie możesz po prostu powiedzieć, czego szukamy?

Spojrzał w dół na Lacey. Okulary wciąż skrywały jej oczy, ale teraz po samych brwiach rozpoznawał, że ma nachmurzoną minę.

– Chcecie, żebym wam powiedział? Nie wolicie się przekonać na własne oczy? – spytał, szczerze zdumiony.

*Tak.*

Popatrzył na Alex. Wzruszyła ramionami, uśmiechając się lekko. Zauważył, że wzięła z auta łyżkę do opon i wsunęła ją za pasek.

Odwrócił się tyłem do dziewczyny.

– Nie wiem jeszcze. Dowiem się, jak je zobaczę – odparł i ruszył w stronę wejścia do biblioteki, po raz trzeci i ostatni rozglądając się po okolicy.

Nastąpiła chwila milczenia, po czym usłyszał:

– Jaja sobie ze mnie robisz, prawda? Nie wiesz nawet, jakich książek szukasz?

Usłyszał, jak dziewczyna idzie za nim.

Pielgrzym zatrzymał się w przejściu. Powitał go zapach starych książek, odetchnął głęboko.

– Kiedyś ludzie sądzili, że cyfryzacja książek i wszystkiego wokół to nasza przyszłość. Ale gdzie teraz są te wszystkie rzeczy? Przepadły. – Nawet nie odwrócił się w jej stronę, gdy to mówił. – Książki są prawdziwe. W czytaniu chodzi też o trzymanie egzemplarza w dłoniach. Kartkowanie danego tomu. O zapach farby drukarskiej. Przekonasz się o tym, gdy tylko znajdziesz właściwą. – Uniósł broń i wszedł do środka. – I bądź czujna – dodał. – Nie wiemy, kto jeszcze tam siedzi.

Światło słoneczne było w środku przytłumione, przebijało się bowiem nie tylko przez okna, ale i przez tumany kurzu. Pielgrzym

naciągnął chustkę na usta i nos, czując łaskotanie w gardle podczas wciągania powietrza. Wolną ręką zsunął okulary przeciwsłoneczne i ruszył korytarzem.

Przed nim rozciągał się pokój. Po prawej było biurko do zwrotów i załatwiania przeróżnych spraw, a ciemne drewniane półki ciągnęły się wzdłuż ścian po wszystkich stronach. Po lewej stronie między regałami widniała przerwa, a w głębi szerokie schody prowadziły w dół, do piwnicy, wyblakły szary znak informował, że książki dla dzieci znajdują się na dole. Wszystkie półki były puste, nie licząc kurzu i martwych owadów.

*Czy to naprawdę dobra pora, żeby wpadać tutaj po lekturę? Zwłaszcza jeżeli mogą tu być jacyś walnięci ludzie, którzy wyrrywają bliźnim zęby...*

– Na to zawsze jest dobra pora.

Lacey zbliżyła się do niego.

– Na co jest zawsze dobra pora?

– Na gimnastykę umysłu – odpowiedział.

– No tak – odparła powątpiewająco.

Przed nimi stało bokiem sporo regałów, po sześć w rzędzie, a dalej ciągnęła się czytelnia ze stolikami do kawy i miejscami do nauki. Schody w kształcie litery L prowadziły na antresolę, na której, jak wskazywały znaki, kiedyś składowano literaturę faktu. Stanowiła ona swoisty balkonik ponad miejscami do czytania.

– To gdzie są teraz te wszystkie książki?

Przesunął oczami po pustce, szukając drzwi.

– Wiele spalono – odparł nieobecny tonem. – W końcu tak dobrze służą jako rozpałka. – Wędrował wzdłuż stołu, lewą ręką sunął po gładkim blacie, palcami bezwiednie wodził po słojach. Wreszcie wypatrzył drzwi z napisem „Dla personelu”.

*Bingo* – powiedział Głos.

– Bingo – zgodził się Pielgrzym.

Spodziewał się, że drzwi będą zamknięte, ale gałka obróciła się z łatwością i pchnął je delikatnie. Czuł się, jakby spoglądał w odpływ zlewu, z braku światła jego oczy nie były w stanie

niczego wychwycić. Sięgnął do bocznej kieszeni i wyciągnął latarkę. Strumień białego światła wypełnił pomieszczenie. Wszedł powoli do środka, nasłuchując ruchu i przesuwał latarką w jedną i drugą stronę. Zauważył biurko i krzesło, dwie szafki na dokumenty z otwartymi szufladami, tablicę korkową z przypiętymi nabazgranymi notkami i przewrócony metalowy kosz na śmieci. Odległa ściana skrywała kolejne drzwi. Kiedy je otworzył, poczuł chłodny powiew powietrza, jakby ten następny pokój odetchnął mocno po długiej drzemce. Powietrze niesło stamtąd jeszcze więcej zapachu stęchlizny i pleśni.

Sześć zsuniętych regałów zajmowało większość miejsca. Środkowa część była odsłonięta i kiedy Pielgrzym zajrzał do środka, zobaczył, że półki są wypełnione książkami. Setkami książek.

*Proszę, proszę... Trafiliś na istną żyłę złota, Pielgrzymie, stary druhu.*

Schował pistolet do kabury i ostrożnie wślizgnął się do pomieszczenia, próbując się o nic nie potknąć. Pieścił grzbiety książek, oczyma chłonał ich tytuły. Wyciągnął cienki egzemplarz *Dziecka Rosemary Levina* w miękkiej oprawie i przewrócił kilka pożółkłych kartek. Książka bardzo dobrze leżała mu w dłoni. Rozpiął plecak i włożył ją do środka.

Wrócił do przesuwania palcami po grzbietach książek, raz po raz się zatrzymując, by lepiej poczuć mocniej wytłoczoną czcionkę lub wcięcie akapitowe.

*Wszystkich ze sobą nie zabierzesz.*

– Pięć – powiedział Pielgrzym. – Mogę zabrać pięć.

*W porządku, ale się pośpiesz.*



## Rozdział 18

Lacey prawie poszła za Skautem do tamtego pokoju, ale nie poświęcił jej ani trochę uwagi, był zbyt zajęty szukaniem swoich cennych książek. Nie obchodziło go, czy ona tutaj w ogóle jest. Mniejsza z nim, skoro woli szukać jakichś tajemniczych książek, które rozpozna dopiero, gdy je znajdzie. Miała lepsze rzeczy do roboty niż chodzenie za nim jak jakaś głodna kura, czekająca, aż wysypią jej ziarno.

Stała obok długiego, pustego stołu, patrząc, jak światło latarki przesuwają się po zawartości ciemnego pokoju obok. Spojrzała w dół, na zakurzony stół, na którym spoczywały jej ręce. Przeciągnęła palcami po śladzie zostawionym przez Pielgrzyma, po czym cofnęła dłoń i z irytacją wytarła brud o dżinsy.

Alex dotknęła jej łokcia.

– Nie chciał ci dokuczyć. Po prostu jeszcze nie najlepiej sobie radzi w rozmowach.

– Co ty powiesz – wymruczała.

Alex wzięła Lacey pod ramię. Powędrowały w stronę schodów, światło słabło, w miarę jak oddalały się od wejścia do biblioteki. Ze ściany u szczytu schodów pozdrawiał je dwumetrowy namalowany królik, którego szczegóły rozmywały się nieco w ciemności. Lacey wyciągnęła z plecaka dwie świece i trzymała je nieruchomo, a Alex zapaliła obydwie. Poszły za królikiem w ciemność, trzymając się poręczy. Kolejny namalowany królik, tym razem uchwycony w pół skoku, i tak co półtora metra. Światło świec rzucało ich cienie na ściany, a królik ożywał pod wpływem migocących płomieni, podskakiwał i podążał za nimi.

Dziecięce piętro było przygnębiającą jaskinią. Zeszły na sam dół i postanowiły trzymać się prawej strony. Sunęły dłońmi po ścianie, żeby się nie zgubić.

Alex stanęła i Lacey prawie na nią wpadła.

– O rany, patrz na to.

Przed Alex zwisała z sufitu duża zielona gąsienica. Alex puknęła ją palcem i ta ruchem wahadłowym poleciała na nici w drugą stronę. Kiedy wróciła, Alex złapała ją w dłoń.

– Wygląda, jakby jadła sporo papryczek chili – powiedziała Lacey.

Alex zaśmiała się cicho.

– To Bardzo Głodna Gąsienica. Zje wszystko, co stanie na jej drodze.

Lacey patrzyła na robala w milczeniu, nie rozumiała tego nawiązania.

– Wszystko gra?

Alex spojrzała na nią, jakby druga gąsienica wyszła właśnie z jej oczodołu.

– Słodki Jezu, nigdy nie słyszałaś o Bardzo Głodnej Gąsienicy?

Z jakiegoś powodu Lacey rozzłościło to, że Alex była aż tak zdziwiona jej niewiedzą.

– Nie. Bardzo mi przykro, że babcia nie korzystała za często z bibliotek i nie czytała mi na głos. Miałam może z dziewięć lat, kiedy wszyscy zdecydowali, że rzucą się z mostów, pod pociągi i na siebie nawzajem. I tak dalej. Od tej pory jakoś nigdy nie miałam okazji, by poświęcić się lekturze.

Alex wypuściła gąsienicę, pozwoliła jej bujać się swobodnie na nici.

– Przepraszam. Na moment wróciły do mnie wspomnienia z dzieciństwa. Nie chciałam sugerować, że musisz coś wiedzieć tylko dlatego, że ja to wiem.

Irytacja Lacey zniknęła w okamgnieniu.

– Boże, Alex, tak mi przykro. Zachowuję się jak świnia. Ignoruj mnie, dobrze? Co to za książka?

Alex uśmiechnęła się, tym razem melancholijnie. Jakby myślami

była gdzieś indziej.

– Dziecięca książka z obrazkami. Niania czytała ją nam, kiedy byliśmy małe.

– Niania? Nie rodzice?

– To nie były historie do czytania przed snem. – W jej uśmiech wkradła się gorycz.

– Oni również odeszli? Mam na myśli twoich rodziców.

Alex sięgnęła raz jeszcze po gaśnicę i chwyciła ją w dłoń, kciukiem przejechała po całym jej ciele.

– Przydarzyło im się to samo co większości ludzi. Moja mama miała może trochę więcej wyobraźni od reszty. Odwaliła taki numer jak Sylvia Plath. Zawsze miała skłonność do dramatyzowania, ta moja droga mamusia.

Sylvia Plath stanowiła kolejny temat, którego Lacey nie rozumiała, ale nie zamierzała prosić o wyjaśnienie. Chciała powtórzyć, że jest jej przykro, ale miała już dość tych słów. Śmiertelnie dosyć. Były w nich tylko pustka i kurz.

Zamiast tego zapytała:

– Myślisz, że mogłybyśmy znaleźć tutaj książkę o Bardzo Głodnej Gaśnicy? Chciałabym ją przeczytać.

## Rozdział 19

By nie nosić za dużo, Pielgrzym wybrał trzy cienkie książki w miękkiej oprawie: *Kocią kołyskę* Vonneguta, *Dzień tryfidów* Wyndhama i *Jestem legendą* Mathesona. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że zdecydowanie za długo było cicho.

Skierował latarkę w stronę otwartych drzwi.

Nikt tam nie stał.

Z uwagi na to, że znalazł takie rarytasy, na moment zapomniał o swoich towarzyszkach, ale teraz cisza wręcz krzyczała pod ich nieobecność. Nie czuł już nawet słabych drgań przenoszonych przez podłogę. Szybko ściągnął z półki piąty tom, nie patrząc na tytuł, i wrzucił go do plecaka. Wyszedł z za regałów, wciągnął plecak na ramiona i ruszył z powrotem przez zewnętrzne biura aż do właściwej biblioteki.

Tam również na niego nie czekały. Powitały go jedynie cisza i kurz. Stał bez ruchu i nasłuchiwał.

*Może one...*

– Cicho.

Nic nie słyszał. Zastanowił się, czy nie krzyknąć, ale potem zrezygnował. Nie było powodu, by ściągał na siebie uwagę. Na razie jeszcze nie musiał się do tego uciekać.

*Nie wydaje mi się, by tu było bezpiecznie – wyszeptał Głos. – Ani dla nas, ani dla nich. Zawsze wpadamy w tarapaty.*

Oczy Pielgrzyma powędrowały w stronę otwartego wyjścia. Z miejsca, gdzie stał, widział parking. I przez chwilę rozważał, czyby stąd nie wyjść, bez oglądania się za siebie minąć samochód Alex i iść dalej. Dziewczyna przez jakiś czas będzie smutna, że

odszedł, to pewne, ale dzięki takiemu rozwiązaniu nie musiałby oglądać jej zranionego spojrzenia ani poczucia zdrady w oczach. Byłby trzy kilometry stąd, a dystans ten tylko by się zwiększał.

*Myślałem, że chcesz im pomóc* – powiedział Głos.

Pielgrzym przypomniał sobie znowu oczy kobiety w lusterku wstecznym. Tylko że teraz, kiedy tak stał w pustej bibliotece z plecakiem pełnym książek i głową pełną obecności Głosu, sądził, że nareszcie rozumie to, co próbowała mu powiedzieć. „To wszystko, co ona ma. Nie odbieraj jej tego”.

*Może i byłyby z tego dla nas jakieś babeczki* – dodał Głos.

– Wiesz tak samo dobrze jak ja, że jej siostra nie żyje.

Tym razem głos Pielgrzyma nie był ostry. Gapił się na ślady po swoich palcach, które zostawił na blacie stołu. Obok nich zobaczył mniejszy zestaw śladów, pozostawiony przez dziewczynę. Mniejsze ślady przecinały te większe.

Nie był w końcu draniem bez serca. Przynajmniej nie do końca.

– W sumie obiecałem, że ją zawiozę – powiedział po cichu.

*Owszem.*

– Zresztą to nie potrwa długo.

*Pewnie że nie.*

Pielgrzym ruszył z miejsca. Z pochyloną głową studiował ślady stóp na zakurzonej dywanie.

*Tak w ogóle powiem ci, że jak na gościa, który wiecznie narzeka, że chce być sam, bardzo dobrze radzisz sobie w roli głowy rodziny.*

– Na przyszłość, jeżeli nie masz nic przydatnego do powiedzenia – zaczął Pielgrzym – zrób nam obydwu przysługę i nie mów nic.

Głos, jak małe dziecko, musiał mieć ostatnie słowo.

*Marudzisz też jak głowa rodziny.*

Pielgrzym pokręcił głową, włączył latarkę i zszedł do piwnicy, gdzie Kubuś Puchatek, Elmer Słoń i Gruffalo czekali na niego w ciemności.

\*

W dziale dla dzieci sufit znajdował się dość nisko, ale

pomieszczenie metrażem dorównywało działom literatury pięknej dla dorosłych i faktu razem wziętych. Mrok dodawał mu dziwnego, klaustrofobicznego charakteru, choć zaprojektowano je raczej nowocześnie, a przestrzeń była otwarta. Ciemne, niskie półki, dostosowane do dzieci, i mnóstwo miejsca do chowania się. Pielgrzym wyciągnął pistolet i trzymał w opuszczonej ręce.

Regały położone najbliżej schodów były puste, ale kiedy wszedł głębiej w labirynt, zaczęło się pojawiać więcej książek. Jedne przewrócone, inne zrzucone na stertę jakby w wyniku efektu domina, jeszcze inne dziwnie ustawione w pionie, jak gdyby jeszcze tego ranka bibliotekarka próbowała je wyeksponować, tak by podekscytowane dziecko z łatwością zobaczyło okładkę. Wyniesienie tych książek kondygnację wyżej było oczywiście zbyt żmudnym przedsięwzięciem, żeby podejrzewać o nie złodziei, którzy ograniczali swoje wysiłki przeważnie do parteru.

Na końcu wielu alejek wyeksponowano ręcznie wykonane stworzenia i zwierzęta, z których każde miało za zadanie przyciągnąć uwagę młodych odwiedzających. Poruszały one także wyobraźnię starszych użytkowników biblioteki, na przykład Pielgrzym przyglądał się teraz wykonanemu z masy papierowej pająkowi o groteskowo długich odnóżach i głowie tak dużej jak jego odwłok. Każda z pajęczych nóg wskazywała inną alejkę. Przerazająco łatwo sobie wyobraził, że pająk nagle zaczyna się ruszać, rozciąga swoje ogromne odnóża i pędzi w jego stronę z nieoczekiwanie dużą prędkością. Postanowił przyspieszyć kroku.

Jego uwagę przyciągnęły skryte pod schodami drzwi o łukowym sklepieniu. W środku delikatne światło świecy tańczyło na murach. Znalazł tam dziewczynę stojącą przed drzewem. Alex siedziała na poduszce, na kolanach trzymała otwartą książkę. Świeca stała na półce nad jej ramieniem, воск rozlał się na drewnianą podstawkę. Spojrzała w górę na niego, kiedy do nich podszedł, słaby uśmiech zagościł na moment na jej twarzy i zaraz zniknął. Skinął do niej i popatrzył na drzewo, którym Lacey była tak zafascynowana.

Po chwili zorientował się, że wykonano je z kartonu

i pomalowanego na brąz papieru, którego użyto, by naśladował korę. Liście wycięto z kartonu, który owinięto zieloną bibułą.

Lacey wyciągnęła dłoń, położyła ją płasko na sztucznej korze i odchyliła głowę, by spojrzeć na koronę drzewa. Pośród gałęzi dwa kolorowe ptaki przycupnęły cicho i obserwowały.

– Ktoś to wszystko zrobił – wyszeptała dziewczyna.

Pielgrzym podszedł bliżej, schował pistolet do kabury i sam również położył dłoń na pniu. Był szorstki, ale nie chłodny.

*Jak kora* – powiedział Głos.

– Tak – mruknął Pielgrzym.

– To musiało zająć mnóstwo godzin. Czy to nie wspaniałe? – Lacey spojrzała na niego. Jej oczy błyszczały w wąłym, migocącym świetle świecy. – Komuś chciało się spędzić tyle czasu nad stworzeniem czegoś podobnego i to tylko dlatego, żeby dzieci mogły na to patrzeć i bawić się obok.

Odwróciła się z powrotem w stronę drzewa, dłońmi głaskała korę, jak gdyby ta mogła czuć dotyk dziewczyny.

Pielgrzym popatrzył na gałęzie i zauważył wypchanego ptaka, który gapił się na niego z góry czarnymi ślepiami, nie mrugając. Martwy strażnik od dawna nieżyjących dzieci.

*Słuchaj* – wyszeptał Głos.

Pielgrzym usłyszał ciche głosy. Prawdziwe, dochodzące z zewnątrz.

Lacey musiała zauważyć, że obraca głową, i wyczuć, że nagle przestaje się ruszać.

– Co jest grane? – spytała.

– Coś się dzieje na górze – odrzekł. – Zaczekajcie tutaj.

Alex zerwała się już na nogi, czytana wcześniej książkę trzymała teraz u boku. Na jej okładce widniał zielony wąż. Kobieta patrzyła na niego pytająco.

– Przygotujcie się do ucieczki – powiedział jej i opuścił je, wyłączony latarkę. Ruszył w stronę schodów, a głosy przybrały na sile, jakby się przybliżały.

*Przynajmniej trzy osoby. Może więcej.*

Pielgrzym stanął w połowie drogi na górę, na tyle wysoko, by rozróżnić wypowiedane wyżej słowa, a jednocześnie dość nisko, by nikt go nie zauważył.

– ...zamierzamy zrobić, Jeb?

– Mamy zamiar sprawdzić, co ci ludzie tutaj robią. Dlaczego nadają na twoim kanale przez CB-radio i po cholere jeżdżą po tych terenach.

*Mówiłem ci, że kłopoty zawsze nas znajdują* – wyszeptał Głos.

– Ale sygnał, za którym jechaliśmy, zniknął. Skąd mamy wiedzieć, że to ci sami ludzie?

– Na dachu ich jebanego auta jest antena, a w środku widzieliśmy radio. Poza tym maska jest jeszcze ciepła. Możemy spokojnie założyć, że to ci sami pierdoleni ludzie, kretynie. Przeszukamy to miejsce, aż się znajdą, i miejmy nadzieję, że ją widzieli.

Trzeci głos włączył się do rozmowy.

– Szef chce Red z powrotem. Dlatego będziemy szukać, aż ją znajdziemy.

Pierwszy głos przemówił raz jeszcze, tym razem brzmiał dość żałośnie.

– Nie pozwoli nam na to, byśmy ją znaleźli. Nie po tym, co jej zrobiono. Nie chce być znaleziona.

Najpierw usłyszał głośnie plaśnięcie, potem czyjeś skomlenie.

– Na miłość boską, przestań jęczeć jak jakaś pizda.

Maruda znowu zaczął narzekać.

– Masz mnie nie bić, Jeb. Jezu.

– To zamknij się, do kurwy nędzy, i sprawdź tamte pomieszczenia. Bill, sprawdź dół. Krzycz, jak coś znajdziesz.

Pielgrzym cofnął się, cicho wrócił po swoich śladach do pokoju we wnęce. Pokazał Alex, że ma zgasić świeczkę, po czym przywołał obie dziewczyny do siebie. Przez chwilę ciemność była nieprzenikniona, ale wiedział, że jego oczy szybko się przystosują.

– Jest ich trzech – wyszeptał ledwie słyszalnie. – Jeden właśnie idzie na dół. Bądźmy cicho i trzymajmy się razem. Żadnego



strzelania, chyba że nie będzie innego wyjścia.

Stali tak blisko siebie, że czuł, jak drżą w napięciu. Czuł ciepło, jakie wytwarza w nich strach. Oddech dziewczyny był już przyspieszony i płytki.

*To nie zadziała* – powiedział Głos.

I miał rację. Dziewczyna już prawie zaczęła hiperwentylować. Będą tylko plątały mu się pod nogami, hałasowały i w inny sposób ściągały tu pozostałych mężczyzn. Tak czy owak plan weźmie w łeb, a oni wszyscy skończą martwi.

– Nieważne – powiedział pośpiesznie. – Zostańcie tutaj. Wycelujcie w drzwi. Strzelajcie do każdego, kto się w nich pojawi. I nie przejmujcie się hałasem.

– A co z tobą? – wyszeptała Alex.

*Morderstwo w ciemności?* – zapytał Głos z ponurą radością.

– Morderstwo w ciemności – odparł Pielgrzym.

## Rozdział 20

Ściągnął plecak i odłożył go obok drzewa, po czym wyszedł w ciemność działu dla dzieci. Jasny promień z latarki odbijał się od schodów, kiedy mężczyzna, którego nazwano Billem, schodził w ich kierunku.

Pielgrzym zostawił pistolet w kaburze i wysunął nóż z pochwy, którą nosił na poziomie krzyża. Przesunął się za najbliższą półkę. Schylił się i przeszedł pod zwisającym z sufitu pająkiem z masy papierowej dokładnie w chwili, kiedy mężczyzna wszedł do pomieszczenia.

Kroki Billa zatrzymały się, kiedy omiatał spojrzeniem bibliotekę, a snop światła z latarki przesunął się długo i powoli nad głową Pielgrzyma.

Facet zagwizdał pod nosem i zaczął iść wzdłuż alejki naprzeciw schodów, dwa rzędy obok miejsca, w którym kucał Pielgrzym. Widziane pod regałami światło zdradzało położenie Billa. Pielgrzym poczekał kilka sekund, po czym wsunął się z powrotem pod pająka, przeszedł dwie alejki i spojrzał w stronę mężczyzny. Czarna sylwetka była teraz odwrócona tyłem do niego, a głowa przesunęła się na zmianę w prawo i w lewo. Co kilka kroków latarka zmieniała kierunek, wskazywała przestrzenie nad regałami, wybijała dziury w mroku. Mężczyzna był uzbrojony w strzelbę, której lufy opierał o ramię. Bill doszedł do końca alejki i skręcił w prawo.

*Będziesz musiał coś zrobić, i to szybko. Te dwa prymitywy piętro wyżej wkrótce skończą szukać u siebie i zjedzą tutaj.*

Pielgrzym wyprostował się na tyle, by obserwować Billa ponad

półkami. Mężczyzna kierował się w stronę sekcji z kolorowymi stojakami na książki dla dzieci, gdzie po podłodze rozrzucono drewniane skrzynki i nie było się za czym schować. Pielgrzym kucnął z powrotem i pospieszył wzdłuż alejki. Słyszał, jak jego buty cicho skrzypią przy każdym kroku.

Bill przestał gwizdać.

Pielgrzym zamarł, serce waliło mu jak młot. Słaby strumień światła skierował się pod regał obok jego butów, ale to jeszcze nie wskazywało mu dokładnej lokalizacji Billa.

*Słyszał cię.*

– Co do... – Bill urwał i znowu zaczął się poruszać. W pośpiechu. Jego kroki były teraz szybsze.

Pielgrzym zaryzykował i uniósł głowę. Zobaczył mężczyznę maszerującego z powrotem w stronę schodów, gdzie zaczął szukanie. Szedł w stronę pokoju we wnęce.

*Leć!*

Pochylony Pielgrzym pomknął w stronę, z której przed chwilą przyszedł, jego buty tym razem już zauważalnie hałasowały. Miał nadzieję, że umknęło to uwadze Billa, który również się spieszył.

*Musiał je zobaczyć.*

Pielgrzym już to nie obchodziło. Musiał powstrzymać Billa, zanim ten przejdzie pod łukowatym sklepieniem, albo Lacey wystrzeli, co przyciągnie tu dwóch pozostałych. Kucając, szybko wyrzwał zza rogu i prawie się potknął, próbując stanąć. Bill zatrzymał się na końcu swojej alejki i pukał pająka z masy papierowej lufą dubeltówki, zanosząc się chichotem.

– Co za dziadostwo – powiedział rozbawiony.

Pielgrzym miał szczęście, że Bill stał do niego plecami. Ale wystarczyło, żeby facet się odwrócił i nastąpiłby koniec zabawy. Co ważne, był obrócony w kierunku wejścia do pomieszczenia we wnęce.

*Taktyczny odwrót czy natarcie?*

Pielgrzym wybrał to drugie. Tym razem poświęcił prędkość podejścia na rzecz ostrożności, starannie stawiając jeden but przed

drugim, idąc tak szybko, jak wystarczyło mu odwagi. Nie spuszczał wzroku z Billa, nawet kiedy mężczyzna strącił pająka na ziemię i nadepnął na niego. Skorupa chrupnęła głośno, prawie jak u prawdziwego pająka. Bill kopnął spłaszczony twór tak mocno, że przesunęło się po podłodze i zniknęło pod łukowato sklepionym przejściem. Ze środka dobiegło go pełne zaskoczenia jęknięcie – stłumione, jednak nie dość szybko.

– Co do kurwy nędzy? – powiedział Bill.

Poszedł za pajakiem, unosząc strzelbę. Był już mniej niż siedem metrów od drzwi i zbliżał się z każdym krokiem.

Pielgrzym śledził go niczym cień, podchodząc szybko od tyłu, ale wiedział, że nie zdąży powstrzymać mężczyzny, zanim ten wejdzie do środka, a Lacey pociągnie za spust, dlatego odezwał się, choć jeszcze nie mógł go dosięgnąć.

– Cześć, Bill – powiedział niskim głosem i zobaczył, jak ten wzdryga się i obraca, a lufa podąża w ślad za nim. Dwa czarne nozdrza przygotowywały się na to, by wydmuchnąć w jego stronę ogień i śmierć. Pielgrzym spodziewał się, że zaraz padnie strzał, które zaalarmuje kolegów Billa, ale nic takiego się nie wydarzyło, wciąż szedł naprzód, w końcu złapał lufę i mocno ją wykręcił. Bill chrząknął, a osłona spustu z trzaskiem złamała mu palec.

Jedną ręką Pielgrzym wyrwał strzelbę Billowi, a drugą wbił mu nóż w brzuch tuż pod żebrami. Wbił go głęboko i poczuł, jak coś gorącego oblewa mu dłoń, prawie go parząc. Bill upuścił latarkę, która upadła obok ich stóp i kręciła się. Błyskała tak przez chwilę, po czym zatrzymała się, a snop światła padł na pomieszczenie, w którym Alex trzymała kurczowo łyżkę do opon, a obok Lacey patrzyła na nich nad lufą swojego karabinu kalibru.22. Nie musiała jednak strzelać, ponieważ Bill, patrzący szeroko otwartymi oczyma na twarz Pielgrzyma, padł na kolana. Niespiesznie, niemal jakby chciał go prosić o rękę i zamierzał potraktować tę chwilę z odpowiednim namaszczeniem. Szorstkimi dłońmi obejmował rękę Pielgrzyma, który wciąż trzymał nóż wbity głęboko w jego wnętrzości. Upadł, jego dłonie puściły Pielgrzyma.

Skulił się na boku i cicho wypuścił powietrze. Przez chwilę wydawało się, że będzie je wypuszczał w nieskończoność. Wreszcie przestał i tylko leżał. Nie nabrał już kolejnego oddechu.

Pielgrzym nie próżnował. Wytarł ostrze o koszulę mężczyzny i schował je z powrotem. Podniósł latarkę i poszedł w stronę dziewcząt. Rozstąpiły się, by wpuścić go do środka. Minął je szybko i podniósł plecak, oparty o drzewo, poleciwszy im zebranie swoich rzeczy. Dziesięć sekund później szedł już z powrotem do sekcji dziecięcej, pędził obok skrzynek z książeczkami w stronę południowo-wschodniego narożnika i szukał wyjścia awaryjnego. Zza nich, z piętra wyżej, dobiegło ich wołanie za kimś o imieniu Bill.

Bill oczywiście nie odpowiedział.

Pielgrzym nie przystanął ani na moment, nie obejrzał się za siebie, po prostu pociągnął wajchę od drzwi, popchnął je i wyszedł na oślepiające słońce.

Pomknęli betonowymi schodami i okrążyli budynek, kierując się w stronę frontu, następnie Pielgrzym stanął na moment i wyjrzał za róg. Ich auto było zaparkowane dokładnie tam, gdzie je zostawili. Obok stał jeep przypominający potwora Frankensteina, najeżony antenami, bez świateł i maskownicy, z oderwanym tyłem dachu, co wystawiło bagażnik na bezlitosne działanie żywiołów. Drzwi od strony pasażera były szeroko otwarte i czekały, aż właściciele wrócą i zajmą z powrotem miejsca. Nie było jednak śladu Jeba i Marudy.

*A co ze Śpioszkiem i Gapciem?*

– Naprawdę nie pomagasz – mruknął Pielgrzym. Odwrócił się do dziewczyn, podał strzelbę Alex i powiedział:

– Wsiądę do auta pierwszy i otworzę wasze drzwi. Lacey z przodu, Alex z tyłu. Wsiadacie bez trzaskania drzwiami. Jak już będziecie w środku, pochylcie się tak nisko, jak to możliwe. Połóżcie się nawet na podłodze, jeśli dacie radę. I nie podnoście się, dopóki wam nie pozwolę. Gotowe?

Nie miało znaczenia, że daleko im do gotowości, ale i tak poczekał na odpowiedź. Lacey przygryzała wewnątrz policzka tak mocno, że Pielgrzym był pewien, że zaraz sobie coś wygryzie. Mimo to bez wahania skinęła głową. Siniaki Alex wyraźnie kontrastowały z jej popielatą skórą. Ona również bez zwłoki przytaknęła, po czym podała mu kluczyki.

*Twarde babki.*

– I to mi wystarczy – powiedział Pielgrzym. – Chodźmy.

Wyciągnął pistolet i wybiegł na otwarty teren, nie odrywając oczu od wejścia do biblioteki. Trzymał naszykowane kluczyki, szybko otworzył drzwi od strony kierowcy i sięgnął do tyłu, by odblokować tylne drzwi dla Alex. Wślizgnęła się do środka i zanim Pielgrzym skończył ściągać plecak, już wyciągała po niego ręce. Usiadł za kierownicą, syknął, czując, jak bardzo nagrzało się jego oparcie, po czym nachylił się, żeby odblokować drzwi po stronie pasażera. Za nim cicho zamknęły się tylne drzwi. Lacey przebiegła dookoła maski, a Pielgrzym wsunął kluczyki do stacyjki i przygotował się do uruchomienia silnika, gdy tylko jej plecy oprą się o fotel.

Lacey krzyknęła, kiedy wielki, czarny rottweiler wyskoczył z jeepa i rzucił się na nią. Upadła z boku samochodu, a psem aż szarpnęło, kiedy napiął się łańcuch przyczepiony do obroży. Drugi koniec był przymocowany z tyłu jeepa. Zwierzę dziko zaszczekało na dziewczynę, donośnie hałasując. Rzucił się na dziewczynę raz jeszcze, mięśnie napięły się mocno pod lśniąca sierścią, kiedy próbował się uwolnić. Wykrzywił pysk, warknął i obnażył ostre, żółte zębiska.

– Wsiadaj!

Pielgrzym przekręcił kluczyk, silnik zawył, ale nie odpalił.

Lacey gorączkowo sięgnęła w stronę drzwi i macała w poszukiwaniu klamki, wreszcie Alex nachyliła się i otworzyła drzwi, krzycząc imię dziewczyny.

Silnik ciągle wył, a Pielgrzym przestraszył się, że prędzej ukręci kluczyk, tak mocno go przekręcał w stacyjce. Auto ryczało,

w końcu zapaliło, i właśnie wtedy mężczyzna, zapewne Jeb, wybiegł przez frontowe drzwi biblioteki. Maruda deptał mu po piętach. Wyglądali jak dwa brodate strachy na wróble, ubrani w jakieś łachmany i brudne dżinsy, ręce i nogi mieli nieproporcjonalnie długie w stosunku do swoich tułowi.

Pielgrzym wrzucił wsteczny bieg.

Jeb wyciągnął broń.

– Na ziemię! – ryknął Pielgrzym.

Dziewczyny padły i usłyszeli, jak w przedniej szybie samochodu pociski wybijają dziury kawałek na prawo od Pielgrzyma, rysując pęknięcia w kształcie pajęczyn. Jedna z kul przeszła przez zagłówek Lacey, natomiast druga przebiła tylne siedzenie. Pielgrzym wcisnął gaz do dechy i auto wyrwało do tyłu, zostawiając na asfalcie dwa ślady po spalonej gumie. Ostro skręcił kierownicę i autem zarzuciło, opony głośno zapiszczały. Zmienił bieg i auto wystrzeliło naprzód.

Nie padły już żadne strzały.

Obejrzał się i zobaczył mężczyzn biegnących w stronę jeepa, wsiadających do środka i odpalających silnik.

*Trzeba było unieruchomić ich samochód* – skwitował Głos.

Pielgrzym próbował walczyć z irytacją. Pomyślał o tym, ale nie chciał tracić czasu. Wiedział, że mężczyźni szybko odkryją ciało swojego martwego kolegi w dziale dziecięcym.

Lacey podniosła się, usiadła w fotelu pasażera i wyjrzała przez tylne okno.

– Widziałeś to? – pytała go zadyszana.

Pielgrzym o wiele za szybko spróbował wyjechać z parkingu, mocno zahaczając o krawężnik, następnie wyprostował koła i wcisnął gaz.

Usłyszał pisk opon zbliżającego się wozu.

– Z tyłu był napis „Obrońca” – powiedziała Lacey.

Popatrzył na nią przez moment.

– Widziałam go, przysięgam.

Wierzył jej.

– Myślisz, że uda ci się do nich strzelić?

Spojrzała przez tylne okno. Jeep był już jakieś sto metrów za nimi i zmniejszał dystans.

– Mogę spróbować – powiedziała.

*Zuch dziewczyna.*

– Spróbuj – polecił Pielgrzym.

Rzuciła się przez zagłówek, Alex chwyciła ją i spróbowała pomóc, aż dziewczyna w końcu upadła na tylne siedzenie.

– Trzymajcie się, zakręt.

Pielgrzym tylko musnął hamulec, nie chcąc wytracić prędkości, i skręcił przy ponad pięćdziesięciu kilometrach na godzinę. Wszystko w samochodzie – plecaki, dziewczyny i każdy luźny przedmiot – poleciało w lewo. Zawieszenie zaskrzypiało, samochód zadrżał, a Pielgrzym tak kurczowo ścisnął kierownicę, że przedramiona go zaboląły. Wreszcie wyskoczyli na prostą i zobaczył dojazd do autostrady z kilometr od nich. Wcisnął gaz do dechy.

Za nimi zza rogu wystrzelił jeep. Wpadł w poślizg, przeleciał tak przez całą szerokość drogi i prawie wpadł na mocno wygięty sygnalizator świetlny. Byli już dwadzieścia metrów bliżej.

*Dogonią nas, zanim wjedziemy na autostradę.*

– Lacey? – powiedział.

– Lacey? – krzyknęła Alex do dziewczyny.

– Już prawie! – Głos Lacey wydawał się dochodzić z daleka.

Popatrzył w lusterko wsteczne i zobaczył, jak wychyla się zgięta wpół przez boczne okno, mocno ściskając karabin, jej głowę i ramiona mógł dojrzeć już tylko w lusterku bocznym. Alex trzymała ją w pasie, podczas gdy dziewczyna celowała w jepea.

Raz jeszcze musnął pedał hamulca, zwalniając i pozwalając jeepowi się zbliżyć.

*Mam nadzieję, że wiesz, co robisz...*

Karabin wypalił, hałas w samochodzie był ogłuszający. Drugi raz broń wypaliła akurat w momencie, gdy Pielgrzym dotarł do wjazdu na autostradę. Kilkakrotnie sprawdził lusterko i zauważył, że



trafiła za każdym razem. W przedniej szybie jeepa na wysokości kierowcy widniały dwie dziury po kulach. Jeepem ostro zarzuciło i auto zjechało z drogi, wzbijając tumany kurzu. Alex wciągnęła dziewczynę z powrotem do środka i obie patrzyły, jak drugie auto ślizga się i staje. Roześmiały się, a Alex zarzuciła ręce na szyję Lacey i objęła ją.

Pielgrzym się nie śmiał. Drzwi kierowcy jeepa otworzyły się i wyskoczył z nich Jeb, następnie uniósł broń i wycelował w ich auto. Kula trafiła w błotnik, czemu towarzyszyło donośne brzęknięcie, i wtedy wydarzyło się niemożliwe. Pielgrzym wielokrotnie czytał na temat tego, jak trudno jest trafić kręcące się koła i przebić opony, a jednak teraz poczuł, jak samochód podskakuje, kierownica wyrywa mu się z rąk i samochód wymyka się spod kontroli. Próbował utrzymać ich na drodze. Z tyłu dobiegł ich przeraźliwy zgrzyt, to felga zniszczonego koła tarła już o asfalt.

Samochodem zarzuciło, kierownicą szarpnęło w lewo. Próbował skontrolować, ale zrobił to za mocno. Drugi raz w ciągu jednego dnia był świadkiem tego, jak auto się przewraca, ale tym razem doświadczał tego na własnej skórze. Świat zawirował, wóz wylądował na boku. Silnik zawył, ponieważ wciąż działał napęd na tylne koła, tyle że one straciły kontakt z podłożem. Usłyszeli zgrzyt gniecionej blachy, a także odgłos pękającego szkła. Auto przechyliło się jeszcze mocniej i przetoczyło na dach. Głowa Pielgrzyma uderzyła najpierw o drzwi, a potem o dach. Pociemniało mu w oczach i stracił przytomność. Ocknął się dopiero na zewnątrz samochodu. Leżał na plecach, a gorące słońce raziło go w oczy.

Kopniak w zebra przywrócił go do rzeczywistości. Instynktownie się zwinął i zasłonił rękoma bolące miejsce.

*Naliczyłem przynajmniej dwa pęknięte – powiedział Głos.*

Pielgrzym kazałby mu się zamknąć, gdyby tylko był w stanie nabrać powietrza.

– Jebaniec zabił Billa – usłyszał nad sobą znajomy głos. Po nim nastąpiło kolejne kopnięcie, tym razem w nerki.

– Zostawcie go!

Pielgrzym wypluł krew pomieszana z piaskiem i spojrzał w górę. Drugi mężczyzna o kasztanowych włosach, Maruda, trzepnął Lacey w tył głowy, żeby się zamknęła.

Zamierzał się podnieść, ale ktoś postawił mu nogę na plecach i przygniótł z powrotem do ziemi.

– Nawet się, kurwa, nie podnoś – poinstruował go Jeb.

Nie posłuchał. Odepchnął się od ziemi i zaczął znowu podnosić. But Jeba trafił go tym razem w twarz. Poddał się dopiero dwa kopniaki później.

– Skurwiel nie wie, kiedy odpuścić.

– Nie! – krzyknęła Lacey. – Przestańcie!

Pielgrzym leżał na brzuchu, głowa pulsowała mu okrutnie, a plecy paliły z bólu. Wyciągnął dłoń w stronę biodra i poszukał dłonią pistoletu, ale ktoś go wyciągnął.

*Byliśmy już w kilku bardzo gównianych sytuacjach, compadre, ale naprawdę nie mam pojęcia, jak zamierzasz wydostać nas z tej.*

– Mamy przestać? – zapytał Jeb dziewczynę. – Ale co przestać? Mam nie gnębić tej kupy gówna?

Kopnął Pielgrzyma w nogę, duży palec jego stopy wbił się mocno w mięśnie uda.

– Tak! Przestań! Proszę!

Próbowała się uwolnić, ale Maruda był potężnie zbudowany i jej rzucanie się nie przynosiło efektów.

Jeb zwinął dłoń i zaczął udawać, że jest przygłuchy.

– Wybacz, ale kiepsko cię słyszę.

Kopnął Pielgrzyma jeszcze raz w zebra.

Ten jęknął i przetoczył się na bok, próbując zamaskować tym ruchem próbę wysunięcia ostrza, które miał włożone do pochwy na poziomie krzyża. Pięć metrów dalej, obok rozbitego samochodu, leżała Alex. Również na boku. Auto najwyraźniej wylądowało z powrotem na czterech kołach, choć tego już Pielgrzym nie pamiętał. Oczy Alex były otwarte, patrzyła na niego. Kręciła głową, ale Pielgrzym nie był pewien, co próbuje mu powiedzieć. Ma

nie atakować? A może ma tego nie robić w tej chwili? Chce, żeby się poddał?

Drżącymi palcami odnalazł rękojeść noża.

*I co zamierzasz tym wskórać? Chłopaki mają broń palną.*

– Zamknij się – wydusił, a słowa zlały się w bełkot. Jego usta już nie działały. Zwrócił się w stronę Jeba, skupił się na jego butach. Oczy na moment zaszły mu mgłą, ale szybko skupił się na brudnych, postrzępionych nogawkach dżinsów przeciwnika.

– Coś ty powiedział? – rzucił Jeb. – Każesz mi się zamknąć?

Ściągnął usta w grymasie, który Pielgrzym zinterpretował jako srogą dezaprobatę. Jego broda przesunęła się odrobinę na bok, przez co wyglądał trochę jak upośledzony.

– A może ty zamknij swoją jebaną jadaczkę, gównojadzie. – Sięgnął w dół i chwycił Pielgrzyma za kołnierz, podciągając go na kolana.

Pielgrzym zawył wściekle, kiedy poczuł, jak wszystkie rany zapłonęły żywym ogniem, do tego momentalnie zaczął się pocić. Jeb był wreszcie na tyle blisko, że Pielgrzym wyciągnął nóż i wbił mu go w brzuch. Chciał trafić w sam środek, ale kręciło mu się w głowie i wpakował go trochę z boku, pod żebra mężczyzny. Pchnięcie najwyraźniej było niezłe, bo Jeb zapiszczał i puścił kołnierz Pielgrzyma. Ten wyciągnął ostrze i wbił je ponownie, ale świat zawirował mu przed oczyma i wszystko nagle zwolniło. Skoncentrował się w samą porę, by zobaczyć, jak brudna dłoń Jeba unosi rewolwer i celuje w jego głowę. Pielgrzym wiedział, że to Smith & Wesson Chief's Special, kalibru. 38, prędkość wylotowa pocisku sto metrów na sekundę. Trafi go 0,0035 sekundy po opuszczeniu lufy. Nie zdąży nawet mrugnąć. Był pewien tych wyliczeń tak samo jak tego, że za chwilę umrze.

*Jest pusty. Opróżnił magazynek, strzelając do naszego samochodu.*

Ale Pielgrzym wiedział, że to nieprawda. Naliczył dwa strzały w bibliotecę i trzy kolejne w ich auto, z których jeden rykoszet przebił oponę. To oznaczało, że w środku został jeden pocisk.

*Nie, broń jest pusta* – powtórzył Głos, ale tym razem brakowało mu pewności siebie.

Czas znowu przyspieszył, rewolwer wypalił i odrzut szarpnął rękoma Jeba. Płomień wylotowy był ognistoczerwony i piękny. Była to zresztą ostatnia piękna rzecz, jaką miał zobaczyć Pielgrzym, zanim kula wbije mu się w jego czaszkę i Głos umilknie.

## CZEŚĆ DRUGA

Dziewczyna, która słyszała Głosy

## Rozdział 1

Lacey krzyczała. Sama nie słyszała tych krzyków, ale czuła, że ma otwarte usta. Czuła wibracje i dźwięk, który wyrywał jej się z klatki piersiowej. Czuła, że boli ją gardło.

To się nie dzieje – pomyślała. – O nie, nie, nie. To nieprawda.

*Och, wierz mi, to się dzieje naprawdę.*

Pistolet wystrzelił z bardzo bliska, jego głowa opadła na bok. Ciało przewróciło się na ziemię, ciężkie i bezwładne.

NIE.

I jeszcze ten wstrętny, brodaty mężczyzna stanął na nim i usiłował wpakować mu kilka kolejnych kul w plecy, chociaż Skaut leżał i już się nie ruszał.

Nie ruszał się! Ale pistolet wydał z siebie jedynie suche kliknięcie. Jeszcze jedno. I jeszcze.

– Zostaw go w spokoju! – krzyknęła i tym razem już wszystko słyszała. Wyrwała się śmierdzącemu rudzielcowi, który ją trzymał – cuchnął tuńczykiem, brudem i starym potem i kiedy ją chwycił, Lacey pomyślała, że go obrzyga – i pobiegła w stronę człowieka, który zastrzelił jej przyjaciela. Odepchnęła go na tyle mocno, że potknął się i upadł na tyłek.

– Jebana zdzira – wyrzucił z siebie.

Nie chciała patrzeć w dół. Nie chciała widzieć, co mu zrobiono, co kula rozszarpała i co zniszczyła. Ale nie mogła się powstrzymać. Musiała spojrzeć, zobaczyć to na własne oczy. Na wypadek...

*Na wypadek czego?*

...na wszelki wypadek! Ale zdołała tylko przelotnie na niego spojrzeć. Jezu, ile tam było krwi. Nagle poczuła gorąco i zakręciło

się jej w głowie, prawie jak wtedy kiedy miała okres i wzięła kąpiel w niemal wrzącej wodzie, i nagle cały świat zaczął wirować, co za psychodeliczny odjazd. Obudziła się naga pod łazienkową ścianą. Babcia schylała się nad nią i wachlowała ją starym egzemplarzem „Lepszych domów i ogrodów”.

Nie chciała znowu stracić przytomności, dlatego odwróciła wzrok od Skauta i zasłoniła dłonią usta, by powstrzymać to coś na kształt ziewnięcia, co właśnie się z niej wydobywało.

– Jeb! – Śmierdziel ruszył w kierunku tego, którego przewróciła.

– Dziabnął mnie, Pose – powiedział brodacz jakby zadumany, jakby nie do końca wierzył w to, co się stało. Uniósł zakrwawione dłonie, by pokazać je koledze. – Krwawię jak zarzynana świnia.

Lacey usłyszała swoje imię, obróciła się i zobaczyła, że Alex próbuje się podnieść, jedną ręką podpierając się dla równowagi o wrak samochodu. Pospieszyła ku niej, złapała ją pod rękę i pomogła stanąć. Alex wstrząsały długie, intensywne fale dreszczy. Lacey zauważyła krew na boku jej szyi i więcej na rękawie koszuli.

– Nic mi nie jest – powiedziała Alex, obejmując Lacey ramieniem.

– Nie jestem ranna.

– Alex. Alex, zastrzelili go. – Oddech uwiązał jej w gardle, kiedy przytulała twarz do rozgrzanej szyi kobiety, mocno wciągając powietrze.

Alex trzymała ją mocno, jej dreszcze bardzo powoli słabły. Przez to Lacey coraz wyraźniej czuła, jak mocno sama drży.

– Do kurwy nędzy, Posy, przestań się na niego gapić i pomóż mi.

Lacey uniosła głowę. Śmierdziel, ten cały Posy, stał i patrzył w dół na Skauta, który wyglądał teraz jak ostatnie nieszczęście. Słyszając słowa Jeba, Posy ocknął się i pomógł koledze wstać. Ranny przeklinał i ciężko dyszał. Poczowała ukłucie satysfakcji na widok koszuli przesiąkniętej krwią. Skaut prawie go załatwił.

– Na co się, kurwa, gapisz?

Patrzyła mu prosto w oczy. Były ciemne, wściekłe i wypełnione bólem, ale świadomość jego cierpienia sprawiła jej dziką radość.

– Patrzę, jak wykrwawiasz się na śmierć – wyrwało się jej.

Twarz mu poczerwieniała, uniósł broń i wycelował w dziewczynę. Jego dłoń zatrzęsała się, jakby nagle doznał porażenia.

– Zaraz zastrzelę i ciebie, mały lachociągu.

*Nie ma już żadnych kul* – ponownie odezwał się w jej głowie ten głosik.

– Nie masz już kul – powiedziała spokojnie. Aż zbyt spokojnie. Sama się zdziwiła.

Alex wymamrotała jej imię i mocniej chwyciła ją za ramiona.

– Ach tak? – Głos Jeba zadrżał. – Tak ci się, kurwa, wydaje? – Pogrzebał w rewolwerze, otworzył bębenek i wysypał na ziemię łuski po nabojach. Z tylnej kieszeni wyciągnął garść naboji i trzęsącymi się dłońmi zaczął ładować je do bębena. Wreszcie zatrzasnął go i odciągnął kurek. – Teraz już nie jest taki całkiem pusty, co? Jak myślisz, pyskata gówniaro?

– Jeb... – odezwał się nieśmiało Posy.

Jeb odwrócił się w jego stronę.

– No co?

– Szef by nie pochwalił zabijania kobiet.

– Wiem. Myślisz, że jestem jakimś pojebem?

– Ależ nie, Jeb...

– W takim razie stul pysk i załaduj w końcu tę martwą kupę gówna na jeepa.

– On jest cholernie wysoki, Jeb. Nie wydaje mi się, bym dał radę go podnieść bez pomo...

– To niech one ci pomogą! – Jeb raz jeszcze machnął rewolwerem w stronę Lacey i Alex. – Ożeż kurwa. Czy ja muszę myśleć o wszystkim?

Posy skinął posłusznie głową jak grzeczny pies, podał strzelbę rannemu kumpłowi, schylił się, chwycił Skauta pod pachami i spróbował go podnieść. Nie zaszedł z nim za daleko.

– Ty. – Jeb wskazał bronią Alex. – Rusz się i pomóż mu. Dalej, no dalej, ruchy!

Alex ścisnęła ramię Lacey i puściła ją, po czym podeszła do



Posy'ego, schyliła się i chwyciła za zakurzone buty Skauta. Nawet we dwójkę nie przenieśli go dalej niż trzy metry, po czym ciało znowu się wyślizgnęło z ich uchwytu i wylądowało na ziemi. Lacey zazgrzytała zębami. Nie mogła na niego patrzeć. Widok jego zwłok mógł skruszyć skorupę, którą naprędcie się otoczyła. Jedno spojrzenie na jego twarz leżącą na piasku i po prostu się załamało, momentalnie zmieniła się w kupkę nieszczęścia. Czuła się, jakby ktoś kopnął ją w żołądek, prosto w to wrażliwe miejsce pod mostkiem. Była posiniaczona wewnątrz od miednicy aż po samo serce.

Jeb przypatrywał się jej uważnie, a ona odwzajemniała spojrzenie. Bez przerwy obserwowała, jak uciska ranę. Był blady. Krew plamiąca górę jego stroju była ciemna i rzadka.

Raz po raz nabierała powietrza przez nos. Dobrze ci tak, pomyślała. Wykrwaw się, popaprańcu. Do samego końca.

Kiedy upuścili Skauta po raz trzeci, Jeb nie wytrzymał.

– Ja pierdolę! Po prostu go zostawcie! Nie mam czasu na ten syf! Pozbieraj ich rzeczy i załaduj do auta.

Posy wędrował tam i z powrotem, nosząc ich plecaki na tył jeepa. Wielki, czarny pies chodził w ślad za nim, pobrzękując łańcuchem. Grzebał pyskiem w ich bagażach, węszył. Posy podszedł do Jeba po swoją strzelbę i wycelował ją w Alex i Lacey, podczas gdy Jeb, kulejąc, obszedł samochód od strony kierowcy i z bolesnym jękiem wspiął się na tylne siedzenie. Lacey popatrzyła na niego przez ciągle otwarte tylne drzwi. Jego proste włosy zwisały nad czołem w tłustych strąkach, przesłaniając oczy. Zapuszczona broda skrywała resztę twarzy. Widoczne skrawki skóry były blade i wilgotne. Nie chciała siadać obok niego. To prawie jak dać się uwięzić z konającym zwierzęciem. Uzbrojonym konającym zwierzęciem.

– Wsiadaj – rozkazał, mierząc do niej z rewolweru. Lacey wspięła się do jeepa i przesunęła, żeby zrobić miejsce dla Alex. Drzwi trzasnęły, kiedy już zajęły miejsca, po czym Posy usiadł za kierownicą. Lacey przysunęła się tak blisko Alex, jak to możliwe, odsuwając się od Jeba, od którego biło niezdrowe gorąco, ale kiedy

Posy zajął miejsce za kółkiem, Jeb nachylił się bliżej, przyciskając do niej swoje niemyte ciało i wbijając lufę broni w jej bok. Zatopił ją w miękkiej przestrzeni pod jej żebrami, a ona krzyknęła i próbowała się odgiąć, ale nie było na to miejsca.

– Spróbuj coś odwalić, a zastrzelę cię na miejscu – powiedział lodowatym tonem. – A tutaj jest dość ciasno i kula przejdzie na wylot i trafi jeszcze twoją koleżankę. Dwie pieczenie na jednym rożnie.

Posy zarechotał przeraźliwie.

– Jedź, Posy. Muszę do lekarza.

Z nimi jest dokładnie jak z siedmioma krasnoludkami. Tyle że z ich mniej przyjemną wersją, pomyślała.

Posy wycofał na dojazd do autostrady, ostrożnie ominął przewrócone auto, jakby prowadzenie samochodu było czymś nader skomplikowanym, ale przyspieszył, kiedy znaleźli się na autostradzie. Przestrzelona szyba i oderwany tylny fragment dachu były teraz niczym boski dar – w ciągu kilku sekund wiatr wiał już głośno w środku samochodu i przegnał większość smrodu i gorąca, które się weń nagromadziło.

Lacey obróciła się i raz jeszcze powstrzymała łzy, a Jeb powtórnie wbił lufę w jej bok. Miała to gdzieś. Wcześniej nie chciała na niego patrzeć, ale teraz już musiała.

*Nie oglądaj się za siebie. To nigdy w niczym nie pomaga.*

Popatrzyła mimo wszystko. Patrzyła, dopóki zakurzona sterta ubrań, którą teraz był Skaut, nie zniknęła jej z oczu. Potem widziała już tylko rozciągającą się za nimi pustą drogę.

## Rozdział 2

– Skąd się wzięliście na naszym kanale?

Ciemne, zapuchnięte oczy krwawiącego mężczyzny wwierały się w nią, jakby spojrzeniem planował wyciągnąć z niej prawdę. Może w normalnych warunkach to by się udało, ale nie miała zielonego pojęcia, o czym on mówi.

– Chodzi mi o jebane CB-radio! – ryknął. – Co was natchnęło, żeby nadawać na naszych falach!

Ręka Alex, która wciąż obejmowała Lacey, teraz przyciągnęła dziewczynę jeszcze bliżej.

– Przeglądaliśmy wszystkie kanały – odparła. – Byliśmy po prostu ciekawi, czy ktokolwiek nam odpowie.

– A skąd wzięliście to urządzenie? – W wypełnionych bólem oczach Jeba pojawiło się podejrzenie.

*Nic mu nie mów.*

Ale jeszcze raz Alex odpowiedziała, zanim Lacey zdążyła otworzyć usta.

– Znaleźliśmy je kilka tygodni temu.

Lacey nie wiedziała, dlaczego Alex kłamie, ale bardzo ją to ucieszyło.

*Nie jest głupia. Spójrz na niego, przecież to morderca.*

Jeb chrząknął, patrzył na nie jeszcze przez chwilę zamglonym wzrokiem, po czym osunął się z powrotem na fotel, głośno posykując.

– Dokąd nas zabieracie? – zapytała Alex.

– Szef was musi obejrzeć – wyrwał się Posy. Z bliska Lacey widziała na jego policzkach blizny po trądziku oraz rzadką

i rozwichrzoną brodę, która rosła kępkami. Mężczyzna nie starał się tego ukryć.

– Zamknij się – powiedział do niego Jeb, ale jego słowom brakowało mocy. Był odurzony, senny. Głowa mu trochę opadła, a pistolet nie wbijał się już tak mocno w bok Lacey.

Popatrzyła na jego biodro i zobaczyła, że krew sączy się w dół na dzinsy. Ciemna plama ciągnęła się w stronę krocza.

Zauważył jej spojrzenie.

– Nie gap się na mnie, do kurwy nędzy.

Odwróciła wzrok i wyjrzała z powrotem za okno. Pojedyncza łza popłynęła jej z oka po policzku, którego Jeb nie widział. Otarła ją cicho.

– Kim jest ten cały szef? – spytała Alex. Pochyliła się trochę do przodu, żeby przemówić bezpośrednio do Posy’ego.

– To głowa naszej rodzinki. Przywódca stada. Nasz...

– Jeśli choć jeszcze jedno słowo padnie z twoich ust – powiedział Jeb – to powiem szefowi, że to ty nie dopilnowałeś Red, kiedy uciekła.

Posy zamilkł.

– Kim jest Red? – tym razem Alex spytała rannego.

– To tylko jeszcze jedna sprawiająca kłopoty dziwka. Kto by podejrzewał, że tyle was się kręci po świecie? – Zaśmiał się, ale nie wyglądał na rozbawionego.

Minęli znak. Williamstown, 7 kilometrów.

– Już wkrótce poznacie odpowiedzi na swoje pytania, choć jestem pewien, że wtedy tego pożałujecie. – Jeb zarzęził ze śmiechu raz jeszcze. Jego głowa zwisała teraz jeszcze niżej, podbródek dotykał już klatki piersiowej.

Lacey przesunęła się odrobinę, odchyliła od Jeba i przysunęła do Alex. Czuła, że kobieta na nią patrzy, ale nie odwróciła się, by odwzajemnić spojrzenie. Była zbyt zajęta patrzeniem na rewolwer, który wbijał się jej w bok.

*Na twoim miejscu nawet bym nie próbował – ostrzegł ją głos. – Przynajmniej jeszcze nie teraz.*

Przez ostatnich kilka minut Lacey nie zwracała zbytnej uwagi na internalizację myśli. Głównie dlatego, że wszystko wydarzyło się tak nagle. Poza tym podejrzewała, że ciągle jest w szoku. Była zbyt zdekoncentrowana i nie potrafiła się na niczym skupić. Teraz miała czas, by wsłuchać się w siebie, i zaczynała zdawać sobie sprawę, że to, co słyszała, to nie były normalne myśli. Nie było w nich nic normalnego. Przede wszystkim nie pasowało jej to, że głos, który je wypowiadał, nie należał do niej.

*Kto powiedział, że to nie twój głos?*

Zamarła. Zacisnęła powieki. Nie, nie, nie, proszę, to się nie dzieje, pomyślała. Nie dam sobie z tym rady, nie teraz. Proszę.

*To się dzieje, ale wszystko jest w porządku. Nie ma się czym denerwować.*

Otworzyła oczy i spojrzała na Alex.

Kobieta uniosła brwi.

To się naprawdę dzieje, Alex, pomyślała dziewczyna. Słyszę je. Pomóż mi.

Alex oczywiście nie odpowiedziała. Nie czytała w myślach.

*Nie oszalałaś* – wyjaśnił głos. – *A już na pewno ci się nie pogorszyło.*

– Nie... – jęknęła, czując ogarniającą rozpacz.

Jeb podniósł odrobinę głowę, kiedy przemówiła, ale ta opadła w ciągu kilku sekund z powrotem. Rewolwer przesunął się jeszcze o kawałek, już nie wbijał się w jej bok.

*Wiem, że się boisz, ale nie ma czego. Nie zamierzam zrobić ci krzywdy, przysięgam. Teraz tak. Łatwiej jest trzymać myśli osobno, jeśli swoją porcję będziesz wypowiadać na głos, ale wzbudzisz mniej podejrzeń, jeśli będziemy rozmawiać tutaj. A dużo bezpieczniej będzie ich nie wzbudzać.*

Rozejrzała się znowu po ludziach wokół, serce waliło jej jak młot, ale najwyraźniej nikt nie zdawał sobie sprawy, że rozmawia z głosem, którego nikt inny nie słyszy. Posy był skupiony na prowadzeniu jeepa. Jeb bełkotał coś pod nosem, oczy miał zamknięte i wzdrygał się raz po raz jak pies śniący o ganiu

i zabijaniu królików. Alex jedną ręką obejmowała ramiona Lacey, a jej ciepło i dotyk niosły pocieszenie. Długie i szczupłe palce jej drugiej dłoni nerwowo skubały luźną nitkę dzinsów. Gapiła się przez okno, a jej myśli krążyły miliony kilometrów stąd.

Lacey potrząsnęła głową. Nie zamierzała wdawać się w dyskusje z tym czymś w swojej głowie. To była prosta droga ku szaleństwu. Bardzo często pod koniec życia babci Lacey przyłapywała ją na mówieniu do siebie, na rozmawianiu z nieistniejącymi ludźmi. Machała wtedy dłonią przed jej twarzą, jakby próbowała odgonić jakieś irytujące owady. Lacey zawsze sądziła, że to może być dziedziczne, i choć miała jedynie szesnaście lat, brała pod uwagę nawet to, że demencja mogła się zacząć u niej bardzo wcześnie. Na razie to były tylko delikatne objawy, ale reszta pewnie nadejdzie później. Teraz jednak brała pod uwagę jeszcze co innego. W końcu był to głos. Dokładnie taki, jak opisywała Alex. Właśnie dlatego wszyscy wokół postradali zmysły i postanowili się zabić.

*Nie oszalałaś, wierz mi.*

Lacey zamknęła oczy, ale nie spodobał jej się mrok panujący pod powiekami i szybko otworzyła je z powrotem. A co, jeśli ten głos zmusi ją do zrobienia czegoś nienormalnego?

Ogarniała ją panika na samą myśl. Nie chciała nikogo ranić!

*Uspokój się. Ty tutaj jesteś stroną dowodzącą. Nie mogę cię zmusić do czegoś, czego nie chcesz zrobić.*

Na razie tylko mówił. Nie wyczuwała w nim złości ani złych zamiarów. Ale to nie oznaczało, że powinna ufać jego słowom.

*Po prostu spróbuj oczyścić umysł. Proszę. Chociaż na moment. Musimy porozmawiać.*

Gdyby odezwała się do niego, mogłaby zapytać, skąd się wziął i czego od niej chce. Babcia zawsze powtarzała, że niewiedza prowadzi do strachu. Trzeba coś zrozumieć, zanim się oceni, czy jest się czego bać. A jeśli nie spodoba jej się to, co głos mówi, zawsze będzie mogła coś na to poradzić, prawda? Nie wszystko naraz.

*Skup się na tym, żeby o niczym nie myśleć. To ci pomoże.*

Wzięła głęboki oddech i gapiła się na nierówną fakturę deski rozdzielczej, ale ni stąd, ni zowąd wszystko zaczęło się rozmywać. Spanikowała i rozkojarzyła się. Wyszło jej w ustach do tego stopnia, że prawie nie była w stanie ich z powrotem nawodnić. Przełknęła boleśnie resztki śliny.

*Idzie ci naprawdę dobrze. Oddychaj. Pomyśl o swoim mózgu jak o pustej tabliczce, jak o czarnej tablicy, na której można pisać kredą.*

Wolałaby, żeby to coś przestało mówić. Mgła wdzierała się zewsząd, prawie jak w chwilach, kiedy się zasypia. Dźwięki i zapachy zaczęły słabnąć. Mgła zaczęła wnikać jej do uszu i nosa.

*Dobrze. Bardzo dobrze – odezwał się kojąco głos.*

Skierowała procesy myślowe na siebie. Wyobraziła sobie, że jej głowa jest czarną, bezdenną studnią, a wszystkie użyte słowa, także te pobiełałe od jej strachu, spływają w dół ku ciemności.

– Czego chcesz? Kim jesteś?

Poczekala, ale nic nie odpowiedziało. Raz jeszcze zastanowiła się nad tym, czy nie zwariowała.

*Jestem po prostu głosem. Nie zamierzam zrobić ci krzywdy.*

Podskoczyła ze strachu, kiedy samochód zatrząsnął się, przejechawszy po kamieniu. Koncentrację licho wzięło i nagle wszystkie dźwięki świata zewnętrznego stały się głośniejsze. Wiejący wiatr, wyjący silnik, dzwoniący ciężki psiego łańcucha, kiedy rottweiler biegał z tyłu auta. Wszystko to atakowało jej zmysły.

– Ale skąd się wziąłeś?

Następna odpowiedź nadeszła znacznie szybciej.

*A skąd się bierze życie? Po prostu powstaje. Coś z niczego. Prawie jak magia.*

– Że co? Chcesz mi powiedzieć, że powstałeś wskutek sztuczki magicznej?

*Jeśli nie potrafię tego wyjaśnić naukowo, to chyba muszę mieć w sobie coś z magii, prawda? Ale ostrożnie, bo powoli odchodzimy od tematu.*

To nie było wytłumaczenie i dziewczyna zaczęła sądzić, że głos traktuje ją protekcjonalnie, jak jakieś głupie dziecko. Spróbowała stłumić gniew.

– Więc dlaczego tu jesteś?

*Wychodzi na to, że gdzieś muszę być. Nie miałem za dużo czasu na rozważenie zalet i wad tego pomysłu. Miałem dość ograniczone możliwości.*

– No ale czym jesteś? I czego chcesz?

*Czego chcę? Niczego. Jestem tym wszystkim tak samo zaskoczony jak ty. Nie słyszałem dotąd, by wcześniej działo się coś podobnego. Nie powinnaś mówić o tym innym ludziom, Lacey. To cię tylko narazi na niebezpieczeństwo. Zaufaj mi w tej sprawie.*

To coś znało jej imię! Pulsowało jej w skroniach od strachu i frustracji. W sumie buzowało w niej teraz całe spektrum uczuć. Czowała dziwny ciężar w klatce piersiowej. Coś jakby ją uciskało, coraz mocniej i mocniej.

*Zamierzasz płakać?*

Głos wydawał się przerażony na samą tę myśl. Lacey zastanowiła się, jakim cudem pozbawiony ciała głos może dokonać projekcji takiego uczucia na nią, ale czuła, że tak po prostu jest. Było to zresztą tylko jedno z wielu uczuć, które teraz w niej kipiały. W jej głowie działo się po prostu zbyt wiele i tak naprawdę miała wystarczająco dużo własnych przemyśleń, a jak dołożyć do tego te cudze, to zaczął się robić nielichy tłok. Sprawa wymykała się spod kontroli.

– Nie zamierzam, ty dupku – powiedziała, ale powodowane złością łzy już przesłaniały jej oczy.

– Co? – Jeb uniósł głowę. Gdy na nią spojrział, zobaczyła, że jego przekrwione oczy błyszczą się nienaturalnie.

*Cicho* – udzielił jej reprimendy głos.

– Pierdol się – syknęła.

Spojrzenie Jeba się wyostrzyło, a jego brwi opadły.

– Coś ty, kurwa, powiedziała? – Wyprostował się, skrzywił i mocniej ścisnął rewolwer. – Lepiej uważaj na słowa, dziewucho.



*Co za hipokryta!*

Lacey czuła wyraźnie obrzydzenie, jakim głos nasycił te trzy słowa. Oblepiało jej mózg jak muł. Nie umiała powiedzieć, gdzie kończyły się uczucia tego czegoś, a zaczynały jej własne. Mieszały się ze sobą. Dziewczyna odezwała się ponownie, zanim zdążyła przemyśleć, czy wypowiedzianie tych myśli na głos jest najmądrzejszym pomysłem.

– Ty każesz mnie uważać na słowa? – Czuła, że jej twarz jest rozpalona i opuchnięta. – Klniesz bez przerwy od chwili, kiedy po raz pierwszy się do nas odezwałeś.

Jeb na chwilę zaniemówił. Następnie walnął ją w bok głowy. Uderzał ją pistoletem zbyt szybko, by mogła zareagować. Ciosy przebijały się przez jej poplątane myśli, które krążyły teraz wokół jednego uczucia – bólu. Uciskała dłońią brew, czuła, jak krew płynie przez rozcięcia po uderzeniach pistoletu.

Alex odwróciła się i osłoniła Lacey jedną ręką, natomiast drugą uniosła i wyciągnęła w stronę Jeba. Powiedziała mu, żeby opuścić broń i przestał, że będą cicho, będą grzeczne, nie ma potrzeby nikogo bić. Prosiła go. Lacey już na nic nie patrzyła. Siedziała ze spuszczoną głową i trzymała twarz w dłoniach. Alex objęła ją i szeptała jej do ucha uspokajające słowa, ale każdy mięsień w ciele kobiety drżał. Lacey czuła, jak jej serce galopuje.

Reszta podróży przebiegła w milczeniu.

Nawet głos zachował ciszę.

Jeb wydawał Posy'emu niecierpliwie dyspozycje co do kierunków – ten najwyraźniej nie potrafił zapamiętać, dokąd jadą. Kilka minut temu byli w Williamstown i Posy losowo skręcał to w prawo, to w lewo, przez co zanurzali się w niszczącym, szarym mieście. Przejeżdżali przez różne ulice, na których ktoś ustawił barykady wykonane ze skorup wypalonych samochodów i policyjnych przeszkód drogowych. Rumowiska pełne przedmiotów wyrzuconych z mieszkań zagracały chodniki i zaczynały już zajmować ulice.

Kilkakrotnie Lacey wydawało się, że widzi jakiś ruch na

pierwszym lub drugim piętrze, ale kiedy spojrzała raz jeszcze, nikogo tam nie było. Stwierdziła, że to pewnie znowu umysł płata jej figle. Powinna się chyba przyzwyczaić do tego, że jej odbija. Żywiła przekonanie, że czeka ją zjazd po równi pochyłej, że będzie coraz gorzej.

Choć Lacey nie miała pojęcia, jak wygląda życie w miastach, pamiętała, co Skaut powiedział jej na ten temat. Twierdził, że były niebezpieczne. Zasiedlone przez łupieżców bez sumienia i przez ludzi, którzy nie mieli w sobie nic cywilizowanego. Innymi słowy powinna się trzymać z dala od takich miejsc. Alex musiała słyszeć wcześniej podobne ostrzeżenia, ponieważ w miarę jak zbliżali się do głównych ulic miasta, napięcie było wszechogarniające i pod koniec Lacey czuła się jak w pułapce.

Starła się nie patrzeć na chodniki przy najwyższych budynkach. Wyglądało tam prawie tak, jakby nadciągała powódź. Ludzie ułożyli worki z piaskiem wysoko na barykadach, na wysokości parteru. Tyle że to nie były worki z piaskiem. Wiedziała, że nie powinna patrzeć, ale nie mogła oderwać oczu od stosów zmumifikowanych ciał rzuconych u podstaw budynków. Skoczkowie spadali wtedy z nieba jak deszcz, ale jakoś żadne z nich nie było Supergirl ani Iron Manem. Musieli wydawać naprawdę okropne dźwięki podczas uderzania o ziemię. Stała tam też koparka – żółta karoseria zblakła i przypominała kolorem zepsute masło – teraz zastygła w bezruchu, jej łyżka wisiała w powietrzu. Między zębami wystawały ludzkie kończyny. Zupełnie jak makaron na widelcu, pomyślała. W pobliżu stała również śmieciarka wypełniona po brzegi zeschniętymi, skurczonymi ciałami. Próbowano je stamtąd usunąć, ale nikt nie miał na to czasu. Bo czy można założyć, że kierowcy tych pojazdów zaczęli sprzątać, a potem dobrowolnie postanowili dołączyć do martwych? A może to głosy szeptały do nich przez cały ten czas – kropla drążyła kamień aż do skutku – i w końcu przejęły kontrolę nad ludźmi? Czy to samo przydarzy się również jej?

Lacey zadrżała i spuściła wzrok, dokładnie tak samo, jak robiła to

przez lata w kombi babci. Poszukała dłoni Alex i chwyciła ją mocno w nadziei, że dzięki temu nie straci gruntu pod nogami i zachowa zdrowe zmysły. Alex natychmiast splotła palce z palcami Lacey.

Jeep skręcił w wąską, tylną uliczkę. Wysokie kamienice ciągnące się po obu stronach blokowały słabe, popołudniowe promienie słoneczne. Dojechali do ślepej uliczki. Lacey przesunęła się w uścisku Alex, wyprostowała się trochę, następnie rozejrzała i zastanowiła, dokąd je wiozą. Jeep już prawie dotarł do końca, kiedy Posy podniósł mikrofon CB-radia.

– Obrońca-jeden, Obrońca-jeden na dziesięć-cztery. Przyjąłem, bez odbioru.

Po kilku sekundach trzeszczenia odpowiedział im poirytowany głos.

– Posy? Kto, do cholery, znowu pozwolił ci bawić się radiem?

– Przyjąłem, ziomuś. Dobijamy.

Długa chwila ciszy w eterze, a potem głos spytał:

– Że niby mamy otworzyć drzwi?

– Przyjąłem.

Ktoś krzyknął i szarpnięto do góry duży kawałek blachy falistej. Pod spodem pojawił się prześwit. Posy kierował jeepa w stronę bramy, czekając, aż drzwi podniosą się do samej góry, dopiero wtedy przejechał. Kiedy tylko minęli drzwi, mechanizm odwrócił kierunek i drzwi zamknęły się za nimi z powrotem ze szczękiem, przez który zęby Lacey aż zadźwięczały.

Mężczyzna, który otworzył im drzwi, szedł teraz w ich stronę spokojnym krokiem. Wyglądał jak prawie jak klon Jeba albo Posy'ego – chudy, podkrążone oczy, tępe spojrzenie, broda. Ten facet był jednak starszy, długie pasma siwizny poznały mu czuprynę i skronie.

– Co tam, chłopaki? – zagadnął, otwierając drzwi Jeba i mierząc ich spojrzeniem.

Lacey prawie nie rozumiała, co on mówi. Słowa za bardzo zlewały się ze sobą, brzmiało to prawie tak, jakby kolejne słowa przeżuwał, a nie wypowiadał.

– Potrzeba mi doktora, Lou – jęknął Jeb, po czym poruszył się nerwowo na siedzeniu.

Lou popatrzył na krew pokrywającą przód koszuli Jeba i cofnął się kawałek, a Posy otworzył drzwi, wyskoczył z za kierownicy i poszedł na tył jeepa. Szczęk żelaza sygnalizował, że odpinał psa.

Lou skinął głową i wycedził:

– Masz co do tego rację, brachu, bez dwóch zdań. Poczekaj. Ja go wezmę.

Rzucił obydwu kobietom zaciekawione spojrzenie, po czym odwrócił się i odszedł takim samym spokojnym krokiem w stronę strefy załadunkowej, by po chwili zupełnie zniknąć za parą drzwi wahadłowych. Lacey stwierdziła, że znajdują się przy magazynie jakiegoś centrum handlowego. Przestrzeń była na tyle spora, by pomieścić trzy duże ciężarówki podczas rozładunku dóbr, odbywającego się za pomocą wózków na kółkach i widłowych, które przenosiły towary na platformę załadunkową. Ze wspomnianej platformy prowadziło troje drzwi wahadłowych, ale widziała, że używano tylko środkowych.

Pojawiło się jeszcze kilku ludzi. Podeszli bliżej, a Jeb wywłókł Lacey i Alex z tylnego siedzenia. Lacey cofnęła się i oparła plecami o bok jeepa, kiedy od grupy oderwała się jakaś kobieta i ruszyła w ich stronę. Trudno było określić, ile ma lat, ale jej skóra była pomarszczona i poorana bruzdami. Na kościstych ramionach nosiła podniszczoną, fioletową chustę, którą przytrzymywały równie kościste palce. Jej knykcie wyglądały na powyłamywane i obolałe, artretyzm wygiął je tak mocno, że przypominały haczykowate szpony.

Jeb w dalszym ciągu trzymał luźno swoją broń. Użył jej teraz, by odgonić kobietę.

– Ani się waż ich dotknąć, ty stara dziwko.

– Ech, nie bądź takim ponurakiem. Chcemy tylko trochę spróbować – odezwała się skrzekliwie.

Po kilku krokach uniosła chudą rękę. Wisząca pergaminowa skóra jej ramienia zadygotała jak podgardle martwego indyka.

Kobieta podchodziła w stronę Lacey, a jej skóra huśtała się na boki.

Lacey odchyliła się z widocznym obrzydzeniem. Obawiała się, że jeśli wiedźma jej dotknie, nie powstrzyma się i krzyknie. Wrzask czekał już w gardle, panika buzowała tuż pod powierzchnią skóry.

– Tknij mnie, a złamię ci rękę – wyszeptała.

Oczy wiedźmy zwęziły się i wyglądały teraz jak błyszczące szparki. W ułamku sekundy zmieniła się ze strasznej, ale słabowitej i leciwej kobiety w mroczną, plującą jadem wiedźmę.

Niech to szlag, doigrałam się, pomyślała Lacey. Cała jej odwaga wyparowała tak szybko, jak się pojawiła. Rzuci na mnie jakąś klątwę i padnę trupem.

Środkowe drzwi wahadłowe, za którymi zniknął Lou, otworzyły się i przeszedł przez nie gładko ogolony mężczyzna. Wyglądał na znacznie czystszy od reszty, jego ubrania były porządniejsze. Nosił nietypowy kapelusz z okrągłym rondem, zsunięty na tył głowy. Lacey widywała podobne nakrycia głowy na starych czarno-białych fotografiach. Babcia mówiła jej, że nazywa się je melonikami. Miał ze sobą niewielką brązową torbę lekarską wykonaną ze skóry. Jego jasnozielone oczy przesunęły się po niej i Alex, a następnie spoczęły na Jebie. Z niezadowoleniem zacisnął usta.

– Co się stało? – zapytał. Mówił cicho, ale kiedy wszedł do pomieszczenia, w pokoju nastąpiła cisza jak makiem zasiał. Wszystkie rozmowy się urwały, a ludzie zamarli jakby w oczekiwaniu na jego słowa.

– Doktorze, jakiś chujek mnie dziabnął – powiedział Jeb.

Doktor minął ją w drodze do Jeba i Lacey wyczuła chłodny i świeży zapach mentolu. Ubrania jej babci zawsze pachniały lekko miętą, choć dziewczyna nie wiedziała dlaczego. Zapach męczyzny był naprawdę intensywny i dziewczyna nagle i z całej siły zatęskniła za domem. Oddałaby wszystko, by znaleźć się z powrotem w fotelu babci, otworzyć na kolanach jeden z albumów ze zdjęciami, a zatęchły zapach kurzu i staroci otoczyłby ją jak

znajomy koc. Nie przeszkadzałoby jej, że jest w tym wielkim i pełnym zakamarków domu zupełnie sama. Nie martwiłaby jej trzeszcząca podłoga ani wiatr wyjący w nocy, przez który nie mogła czasem zmrużyć oka w zimnej sypialni. Nawet wizja głodu, przez który z bólu by się zwijała, nie mogła jej teraz obrzydzić wizji powrotu do domu. Wolałaby tam wrócić, niż być tutaj, z tymi ludźmi.

Ale wtedy nie poznałabyś Skauta, powtarzała sobie. Ani Alex.

Tak, zobacz, do czego mnie to doprowadziło. Skauta zastrzelili, a Alex utknęła tutaj ze mną. Do tego jeszcze nigdy nie byłam tak daleko od mojej siostry i jej córki. A teraz czekam, aż znowu zrobią mi Bóg jeden wie co tym razem. Na pewno coś okropnego, nawet nie chcę o tym myśleć. Na pewno nic dobrego. Nic a nic.

W tym momencie Lacey nienawidziła świata. Z całego serca życzyła mu, by przestał istnieć. A skoro to życzenie nie raczyło się spełnić, to chciała przynajmniej sama stąd zniknąć.

*Nie* – powiedział surowo głos. – *Nie myśl w ten sposób. Nigdy więcej.*

Niskie, gardłowe burknięcie sprawiło, że zesztyniała. Zobaczyła, że pies się na nią gapi, a w jego wielkim łbie lśnią obnażone zębiska. Posy szarpnął ostro za łańcuch, a rottweiler oblizał się i ucichł.

Jeb syknął z bólu. Doktor podwinął mu koszulę i pochylił się, jego szczupłe palce poruszały się szybko i zwinnie.

– Pose, zabierz je do szefa – wycedził polecenie zgrzany Jeb, z trudem łapiąc powietrze. – Powiedz mu, co się stało Billowi. I że nie znaleźliśmy Red, ale przyprowadzamy te dwie, by mu to jakoś wynagrodzić.

Posy szybko pokiwał głową.

– Jasne, Jeb. Robi się.

Lacey popatrzyła przeciągle na Jeba na odchodnym, a mężczyzna odwzajemnił spojrzenie. Wyszczrzył brązowe i niekompletne uzębienie. Chciała wyryć w pamięci to, jak wyglądał. Zapamiętać jego zapadnięte, mocno podkrążone oczy i to, jak wygląda właśnie

w tej chwili. Chodzący trup. Była pewna, że Skaut go zabił. Jeb po prostu jeszcze o tym nie wiedział.

### Rozdział 3

Posy prowadził je przez pobielone korytarze, a Lou zamykał pochód.

*Obczaja twój tyłek.*

I faktycznie, kiedy Lacey się odwróciła, Lou akurat gapił się na jej pośladki. Przyłapany na gorącym uczynku nawet nie udawał, że jest mu głupio. Po prostu gapił się dalej swoimi szklistymi, rybimi oczyma. Po chwili przestała na niego patrzeć i po cichu nazwała go zbokiem. Nie miała dość odwagi, by powiedzieć to głośno.

Posy gwizdał, raz po raz oglądając się na nich. Uśmiechał się od ucha do ucha i sprawiał wrażenie, jakby szli razem na piknik. Łańcuch, na którym prowadził psa, dzwonił i pobrzękiwał jak dzwonki sań. Zwierzę biegło tuż przed nim, a jego pazury stukały o lśniącą podłogę.

Lacey wyciągnęła rękę w stronę Alex, gdy tylko opuściły strefę załadunkową. Zimne palce kobiety zamknęły się wokół jej dłoni i ścisnęły ją mocno. Teraz Alex przyciągnęła ją bliżej i schyliła głowę, obniżając głos tak, by słyszała ją tylko Lacey.

– Gadanie zostaw mnie.

Lacey skinęła głową. Nie miała w ogóle ochoty rozmawiać z tymi ludźmi, zwłaszcza z ich dowódcą. Woląca rozpuścić się w tle, udawać, że jej tam nie ma.

*Taki jest twój plan? Powodzenia.*

Ignorowała ten głos już od jakiegoś czasu. Miała nadzieję, że po prostu sobie... pójdzie. Jeśli chciało się zignorować objawy własnego szaleństwa, lepiej było z tymi objawami nie rozmawiać. Poza tym, jak mawiała babcia, wystarczy coś długo ignorować,



a rozplynie się w mroku niczym skunks.

*Nie jestem skunksem.*

– Jesteś gorszy niż one – wymruczała.

*Ha! Sprowokowałem cię do mówienia.*

Zacisnęła wargi, zawiedziona, że udało mu się wmanewrować ją w rozmowę.

*Potrzeba dużo praktyki, żeby mnie uciszyć.* – Brzmiało to prawie tak, jakby się przechwalał. – *Pielgrzym był w tym mistrzem, a i tak przychodziło mu to z trudem.*

Głos zamilkł i zapadła ciężka, złowroga cisza, wypełniona dymem, którego szare kłęby wirowały ponuro wokół jej myśli. Chciała zapytać, kim lub czym był Pielgrzym, ale nie zamierzała po raz kolejny przerywać ciszy. Wytrzyma, nawet gdyby to miało ją zabić.

Dotarli do betonowych schodów i weszli na czwarte piętro. Tam Lou stanął przy ognioodpornych drzwiach, a Posy poszedł naprzód, gestem nakazując im, by również się nie zatrzymywały. Im bliżej celu się znajdowali, tym bardziej robił się gadatliwy. Widać było po nim, że rozmowność wynika ze zdenerwowania, co z kolei sprawiało, że nastrój ten udzielał się Lacey. Zaczęły się jej pocić dłonie.

– O rany, szef się z was ucieszy. Tajest. On lubi bardzo takie świeżuchne mięsko. Zwłaszcza jak jest ładne.

Odwrócił się w ich stronę, gdy mówił, i szedł teraz tyłem, nie zwracając uwagi na kierunek marszu. Nadepnął na łapę rottweilera i pies pisnął, Posy natomiast potknął się, zaklął i wykonał wokół zwierzęcia swoisty taniec, przy czym puścił łańcuch. Zwierzę poczuło zew wolności i wyrwało się, popędziło korytarzem, a łańcuch pobrzękiwał za nim.

– Szlag! – Posy pobiegł za psem. – Księżniczko, wracaj!

*Księżniczko? No chyba sobie jaja robisz.*

Lacey pomyślała dokładnie to samo, ale była uparta i nie powtórzyła w myślach tych słów, żeby ta nowa obecność ich nie wyczuła.

– Posy.

Na te słowa Posy jakby wbiegł w ścianę. Pies pobiegł dalej, niegoniony, łańcuch dzwonił i szurał po podłodze, kiedy zwierzę zniknęło za rogiem. Posy stał bez ruchu, ramionami prawie osłaniając już uszy.

Ktoś zawołał go raz jeszcze.

– Posy. Chodź tutaj. Chcę z tobą porozmawiać. – Głos wybrzmiewał powoli, jego tembr był niski, głęboki, przez co aż czuć było, jak wibrował.

Posy obrócił się, a na jego twarzy niepewność walczyła ze strachem. Można było dostrzec napięte wahanie w jego postawie, jak gdyby chciał podkulić ogon i uciec za swoim psem, ale odzyskał władzę w kończynach i wrócił po swoich śladach. Stanął tuż za otwartym przejściem.

– Cześć, szefie! – Posy był stanowczo zbyt radosny.

– Znaleźliście ją?

Posy zacisnął dłonie tak mocno, że knykcie mu zbieleły.

– Hm, niezupełnie – przyznał.

Potem nastąpiła długa pauza. Lacey wymieniła spojrzenia z Alex i dojrzała w oczach kobiety głębokie zatroskanie. Lacey czuła to samo. W powietrzu wisiała niewypowiedziana groźba. Powoli formowała się burza, gotowa lada moment rozpętać się na dobre.

– Ale... Ale znaleźliśmy coś innego – odparł z wahaniem.

– Ach tak? Pokaż.

– Tak. Tajest, już się robi. – Posy obejrzał się na nie. Oczy miał wielkie i sprawiał wrażenie zdesperowanego. Machnął, zachęcając je, by podeszły. – Cho no tutaj jedna z drugą, tak, tak, chodźcie, chodźcie. Pokażę ci, szefie. Spodobają ci się, przysięgam.

Lacey się nie poruszyła. Jakby ktoś przykleił jej stopy do linoleum, którym wyłożono podłogę. Z kolei Alex zaczęła już iść, ciągnąc ją za rękę, zachęcając, by jej towarzyszyła. Lacey obejrzała się po raz ostatni na nadal stojącego i obserwującego je Lou; przywiódł jej na myśl mieszańca gada z psem stróżującym. Lacey doszła do wniosku, że wolałaby nawet, żeby Księżniczka na nią

szczełała, niż żeby gapił się na nią ten osobnik o martwym spojrzeniu.

Tak naprawdę to najbardziej chciałabym mieć przy sobie swój karabin.

*Chciałabyś utorować sobie drogę gnatem jak Butch Cassidy?*

Nie wiedziała, kto to jest – chodziło jej jedynie o to, że czułaby się znacznie lepiej z bronią. Albo ze Skautem. Ale myślenie o nim sprawiło, że coś się w niej zmieniło. Czuła, jak coś ciepłego i zdradzieckiego rośnie jej w gardle, uciska je od środka i umiejscawia się za oczyma. Szybko zareagowała i przestała o tym myśleć. Posy cofnął się i machał ręką – co przypominało ruch koła młyna wodnego – próbując zachęcić je do wejścia. Gdy tylko minęła próg, uderzyło ją gorące, duszne powietrze. Byli na czwartym piętrze, a jednak wszystkie okna pozostały zamknięte. Każde z nich w pełni przeszklone. Oferowały wspaniałe widoki na miasto pod nimi. Poniżej rozciągała się ruina, budynki kruszyły się od góry jak jedna z tych okropnych szarlotek Karey, małe kawałki odpadały na krawędziach. Mimo wszystko widok był piękny, zwłaszcza kiedy padało na to przytłumione popołudniowe światło słoneczne, a cienie rozciągały się leniwie ponad ulicami i pełzły od ścian i przejść. Z dala mury pokryte graffiti i muralami wyglądały jak prehistoryczne rysunki na ścianach jaskiń.

To samo delikatne światło ozdobiło ściany pokoju kolorem stopionego masła. Ogólnie pomieszczenie było mało interesujące – stał tam tylko fotel z popękaną skórzaną tapicerką i niski stolik do kawy, jedno i drugie puste.

Człowiek, którego Posy nazywał szefem, stał w rogu pomieszczenia z rękoma założonymi na piersi i opierał się swobodnie o parapet. Nie odwrócił się w ich stronę, kiedy wchodzili, tylko wciąż patrzył przez okno na miasto.

*Król doglądający swojego królestwa – powiedział głośno.*

Lacey nie uważała, żeby wyglądał jak król, choć musiała przyznać, że nie miała zbyt dużego porównania w tej kwestii. Mężczyzna ten wyglądał jak czerwony kark, typowy wieśniak

z Południa, jakich widziała kiedyś w filmie. Nie powinna była go oglądać, wiedziała to już po kilku minutach, ale błagała Karey, by ta pozwoliła, aż siostra wreszcie ustąpiła. Czowała dreszcz podniecenia na myśl, że nie śpi, podczas gdy babcia już dawno poszła do łóżka. Leżały wygodnie w ciemności, telewizor był przyciszony, a one okryły ramiona zrobionym przez babcię kocem. Lacey chowała się pod nim, kiedy film stawał się zbyt straszny, ale ani koc, ani dodająca otuchy obecność starszej siostry nie powstrzymywały straszego kwiczenia, przypominającego świńskie, które wydawała z siebie ofiara czerwonego karka, a Lacey tuż po niej. Nawet teraz, po tych wszystkich latach, wciąż je pamiętała.

Wieśniak przed nią był wysoki i miał szerokie ramiona. Silnie zarysowaną szczękę porastał przyprószony siwizną kilkudniowy zarost, a jego długie, szczupłe nogi wyglądały jak silne konary. Coraz bardziej przypominał jej drwala niż wieśniaka. Coś jeszcze odróżniało go od karków z tego filmu i gardło Lacey zaczęło ją boleć, kiedy zdała sobie sprawę, co to takiego. Przypominał jej Skauta. Nie chodziło o kolory, rysy twarzy czy ogólnie o podobny rozmiar sylwetki, ale było coś w jego spokoju, w swobodzie, z jaką się nosił, co przypominało jej nieżywego przyjaciela.

– Szeffie? – odezwał się Posy.

Szef obrócił głowę. Przechylił ją lekko na bok, jak gdyby nasłuchiwał jakiegoś odległego dźwięku, ale trwało to tylko kilka sekund, po czym skupił się na Lacey i Alex. Wyglądał, jakby wzrokiem oceniał ich wartość, mierzył je z góry na dół, zatrzymywał się w niektórych miejscach, takich jak choćby stopy, po czym wracał do twarzy.

– Imiona? – spytał.

Lacey otworzyła usta, ale szybko je zamknęła, kiedy Alex zaczęła mówić. Zapomniała już o ich umowie, że ma siedzieć cicho i pozwolić kobiecie mówić.

– Jestem Alexandra. A to Lacey.

Jego oczy spoczęły na twarzy Lacey przez dłuższą chwilę.

Następnie odezwał się do Alex raz jeszcze.

– Nie wyglądacie na rodzinę.

– Bo nią nie jesteśmy – powiedziała Alex.

– Kochanki?

– Nie.

– Czyli przyjaciółki.

– Tak, przyjaźnimy się.

– Przyjaciół nigdy za wiele – powiedział, a kącki jego oczu zmarszczyły się w sposób, który wydawał się aż zbyt miły. Głębia jego głosu przeszywała Lacey jakimiś wibracjami, zawarty w nim pomruk rozgrzewał ją równie skutecznie jak łyček babcinego sherry.

*On mi się nie podoba* – powiedział głos.

Lacey zgadzała się z nim w tej kwestii, ale nie dała tego po sobie poznać.

– Przyjaciółki, tak, szefie – podsumował Posy radośnie. – Przyjaciółki, to dobrze.

Szef odsunął się od okna i przespacerował powoli w ich stronę. Miał ciemne, mądre spojrzenie. Ani razu nie odniósł się do tego, że Posy był tam z nimi. Nie spojrzał nawet w jego stronę. W końcu podszedł do fotela, stanął za nim i położył ręce na oparciu. Spokojnie pochylił się do przodu, a spojrzenie utkwiał w Alex.

– Gdzie jest Red, Posy? – Przerzucił uwagę na Lacey, po czym wrócił do Alex. Uśmiechał się lekko, ale sympatycznie.

Posy uśmiechnął się nerwowo do Lacey, po czym popatrzył na wysokiego mężczyznę.

– Co ma szef na myśli?

– Wysłąłem was, żebyście ją znaleźli. I gdzie ona jest?

– Hmm... Nie ma po niej śladu, szefie. Wszędzie szukaliśmy. Wzdłuż i wszerz, tu i tam. Nigdzie jej nie ma.

Skóra skrzypnęła, kiedy ścisnął oparcie.

– Gdzie są Jebediah i William?

– Jeb jest na dole. Doktor go ogląda. Dziabnięty jest.

– Przez kogo? – Uniósł brwi, patrząc na Lacey i Alex. – Przez

was?

Lacey pokręcił głową.

– Nie – odpowiedziała Alex.

– Bill zszedł na amen – wyznał Posy ze smutkiem.

Po raz pierwszy szef obrócił się i spojrzał na Posy'ego. Młodzieniec zamarł, a jego nerwowe ruchy nagle ustały pod spojrzeniem wysokiego mężczyzny.

– Kto? – tylko tyle powiedział szef.

– Jakiś duży facet. Był z nimi. – Posy wskazał kciukiem na Lacey i Alex. – Jeb strzelił mu w łeb.

– Nie żyje?

– Tajest.

– A on zabił Jeba – powiedziała Lacey.

Alex ścisnęła jej dłoń tak mocno, że kości zetknęły się boleśnie.

Wysoki mężczyzna odwrócił się w jej stronę.

– Ach tak? Rozumiem, że to również był wasz przyjaciel?

– Znałyśmy go, tak – odparła Alex, nieskutecznie starając się odwrócić uwagę mężczyzny od Lacey i skierować ją z powrotem na siebie. Lacey zdążyła już pożałować, że się odezwała.

– Wydaje mi się, że Jeb odplacił mu ze sporą nawiązką, w końcu strzelił mu w głowę i tak dalej – powiedział szef do Lacey.

Jej twarz robiła się gorąca, z tyłu czaszki coś zaczęło dygotać, a oczy pulsowały w oczodołach.

*Trzymaj się dzielnie, dziewczyno. Nie daj mu się podejść.*

Wysoki mężczyzna zmrużył oczy jeszcze bardziej, co pogłębiło ładnie wyglądające zmarszczki wokół nich, rozchodzące się jak ramiona gwiazd.

– Naprawdę się z nim przyjaźniłaś, jestem tego pewien. To nic złego, przyjaciele raz są, a raz ich nie ma. Taka relacja z założenia jest przejściowa. Teraz on nie żyje i to ja – nachylił się mocniej nad fotelem, obniżył głos jeszcze bardziej i zwrócił się bezpośrednio do niej – mogę być teraz twoim nowym przyjacielem.

– Nie potrzeba mi nowych przyjaciół, wielkie dzięki – rzuciła Lacey.

Głośny śmiech mężczyzny odbił się echem od ścian. Lacey niemal się spodziewała, że od tego hałasu za chwilę odpadnie fragment sufitu.

Wyszczrzył się szeroko do wszystkich wokół, nawet klasnął w dłoń, najwyraźniej rozradowany odpowiedzią Lacey.

– Mówi, że nie potrzebuje więcej przyjaciół, patrzcie ją. – Znowu się zaśmiał.

Posy również się śmiał, ale było po nim widać, że wcale nie uważa tego za zbyt zabawne. Humor natychmiast mu się poprawił, kiedy szef podszedł bliżej i otoczył muskularnym ramieniem jego chuderlawe barki.

– Ona mi się podoba – powiedział Posy’emu, nadal uśmiechając się do Lacey. – Dobrze się sprawiliście. Nie gniewam się, że nie znaleźliście Red. Inni wciąż jej szukają. Przyprawdzą ją.

Posy uśmiechnął się bardzo szeroko.

– Tak, szefie. Znajdą ją, jestem pewien.

– Sprawdziliście już, czy nie są czasem... – Mężczyzna zagwizdał i zakreślił palcem przy skroni.

Serce Lacey stanęło na chwilę. Wyobraziła sobie nawet, że w nowej przestrzeni gdzieś z tyłu jej głowy, skąd przemawiał do niej głos, robi się nagle wyjątkowo cicho, prawie jakby jej mieszkaniec nagle zaczął się bardzo uważnie przysłuchiwać.

– Nie, szefie. Jeszcze nie.

Wysoki mężczyzna klepnął Posy’ego w plecy tak mocno, że chłopakiem aż zatrzęsło.

– Będzie na to jeszcze czas. Sprawdź, jak się czuje Jebediah, i zdaj mi raport ze stanu jego zdrowia.

– Jasne, szefie, jasne. Idę sprawdzić. – Posy ochoczo pokiwał głową, raz jeszcze przeszedł kilka kroków tyłem, wciąż uśmiechnięty, po czym zniknął za drzwiami.

Lacey przysłuchiwała się jego krokom, kiedy biegł korytarzem.

– To głupiec, ale bywa użyteczny. – Szef uśmiechnął się przepaszająco. – Wybaczcie, nie przedstawiłem się należycie. Charles Dumont. – Skłonił się szyderczo. – Pewnie myślicie, że to

całkiem eleganckie imię jak na takiego kmiota, ale mój pradziadek był Francuzem, a prababcia miała w sobie krew francuską i peruwiańską. Obawiam się, że moje szlacheckie roszczenia kończą się w tym miejscu. Jestem chłopakiem z Nowego Orleanu, solą tamtej ziemi, choć podziały ze względu na pochodzenia są w dzisiejszych czasach raczej nieistotne.

Wysławiał się w dość dziwny sposób, powoli cedził i ważył słowa, a jego słownictwo było dalece bardziej wyszukane niż u tych karków, których Lacey widziała w filmie.

*Pozory często mylą.*

Co za niespodzianka.

– Panie Dumont, możemy zapytać, czego pan od nas chce? – zapytała Alex.

Charles Dumont się skrzywił.

– Czego chcę?

– Tak. No bo czego może pan chcieć?

Całe rozbawienie zniknęło z jego twarzy.

– Alexandro, pozwól, że będę z tobą szczery. Chcę od was wszystkiego i zabiorę, co mi się żywnie podoba.

Powiedziawszy to, Dumont przypomniał sobie o uśmiechu, ale martwy spokój jego słów nadal krążył w głowie Lacey.

Wszystko, co mu się żywnie podoba.

*I dostanie to.*

„Musisz nam pomóc”.

Przez chwilę tkwiła w pełnej zaskoczenia ciszy.

*Kto taki, ja?*

„No tak, ty! Kto jeszcze siedzi w mojej głowie?”

*Nie wiem. Jeszcze chwilę temu nie odzywałaś się do mnie.*

„Ale teraz się odzywam! Pomożesz nam czy nie?”

*Nie wiem... Może. Ale musimy być ostrożni. Nie mam pojęcia, czego ci ludzie szukają, ale jeśli chodzi im o tych, którzy słyszą głosy, to może dałoby radę...* – Głos zakończył zdanie kilkoma niewyraźnymi pomrukami.

„Dałoby radę co? O czym ty mówisz?”



Lacey szybko wypuściła powietrze przez nos, starając się zachować cierpliwość, i dopiero kiedy zauważyła, że Dumont przez cały czas ją obserwuje, zdała sobie sprawę z tego, że cała rozmowa z głosem musiała być wymalowana na jej twarzy.

– Przepraszam – powiedziała.

Spojrzał na nią z zainteresowaniem.

– Czasem mam problemy ze skupieniem – wyjaśniła.

– Takie problemy mogą być niebezpieczne – odrzekł. – Zwłaszcza jeśli dla kogoś jest wyjątkowo ważne, byś akurat w tej chwili się skoncentrowała.

– Przepraszam – powtórzyła.

– Wydaje mi się, że Alexandra i ja musimy porozmawiać na osobności. Poczekaj, proszę, na korytarzu z Lousem.

Lacey odwróciła się ku Alex i chwyciła ją szybko za rękę.

– Nie.

– Wszystko w porządku – powiedziała Alex, choć wyglądała na przestraszoną. – To nie potrwa długo.

Dumont poszedł w stronę drzwi. Zawołał Lou.

– Alex... – zaczęła Lacey.

– Ciii, będzie dobrze – wyszeptała. Stała przed nią i położyła dłoń na jej spoconym karku. – Po prostu porozmawiamy, wypracujemy jakieś porozumienie. Wszystko będzie dobrze. – Próbowała się uśmiechać, ale zupełnie jej to nie wychodziło.

Serce Lacey waliło jak młot. Czuła, że panika wzbiera w niej z sekundy na sekundę, obejmuje żołądek, następnie płynie gardłem i zostawia w ustach nieprzyjemny metaliczny posmak.

Alex pogłaskała ją po głowie.

– Szkoda, że nie mam ze sobą karabinu – powiedziała Lacey zupełnie zrezygnowana.

Uśmiech Alex był smutny.

– Też żałuję, kochanie, jeszcze jak. – Popatrzyła nad ramieniem Lacey, a jej uśmiech zwiędł. Wreszcie chwyciła ją za ramiona i spojrzała jej prosto w oczy. – Nie martw się o mnie, jestem twardsza, niż ci się zdaje.

Lacey tak bardzo chciała jej wierzyć.

*Weź pod uwagę, ile ona już przeszła. – Głos próbował powiedzieć coś sensownego. – Jeśli ktoś to wszystko przetrwa, to właśnie ona.*

Dumont wrócił, Lou szedł za nim. Kazał mężczyźnie zabrać Lacey z pokoju i Lou chwycił dziewczynę za ramię, tuż nad łokciem. Uścisk był mocny, a palce mężczyzny kościste. Oderwał ją od Alex.

– Alex!

Kobieta zdawała się martwić bardziej o Lacey niż o siebie.

– Ciii, wszystko w porządku, kochanie. Nie walcz z nimi.

Lacey próbowała wyrwać ramię z uścisku Lou i wrócić do Alex, ale ten chwycił dziewczynę w pól i po prostu uniósł z ziemi. Krzyczała, kopała i groziła mu poważnymi obrażeniami, ale okazał się zaskakująco silny jak na obciążony skórą szkielet.

Ostatnie, co zobaczyła, zanim Dumont zamknął drzwi, była zmiana na jego twarzy. Zniknęła udawana uprzejmość, w oczach pojawiło się mroczne podniecenie i tym razem wyglądał już dokładnie jak ci paskudni wieśniacy z amerykańskiego Południa, którzy krzywdzili w filmie biednego mężczyznę, piszczącego jak zarzynana świnia. Za nim stała jej ostatnia żywa przyjaciółka. Ostatnia bratnia dusza na całym świecie stała pośrodku pokoju, a zachodzące słońce oblewało jej lewy profil, eksponując siniaki, które nie zdążyły się zagoić.

## Rozdział 4

Lou przeniósł ją na drugi koniec korytarza i wyciągnął na klatkę schodową. Kiedy wyważył nogą drzwi, przestała krzyczeć, ale wciąż próbowała się wyrwać z jego uścisku. Rzucił ją w narożnik. Jej łokieć boleśnie obił się o barierkę ochronną, a ramię uderzyło o betonową ścianę. Obróciła się i oparła o róg pomieszczenia. Nie wstawała, po prostu na niego patrzyła.

– Nie ruszaj się – powiedział.

– Pierdol się, dziadku.

Sapnął z rozbawieniem, broda uniosła mu się z kącikami ust, ale nie powiedział już ani słowa.

Przykucnęła, łokieć sparaliżowało jej z bólu, w dłoni czuła mrowienie. Życzyła Lou śmierci. Miała nadzieję, że padnie trupem tu i teraz. Mogła mu się na przykład zapchać któraś z ważnych tętnic albo w mózgu powstałby mu zakrzep, kończynami szarpnęła seria skurczów, w wyniku czego powieki drżałyby jak szalone, a resztką jego mózgu by implodowała.

*Kawał paskudy z ciebie, co?*

Objęła kolana rękami i opuściła głowę, po czym zaczęła płakać. Upewniła się, że nie słyhać, co robi. Nie chciała dać Lou satysfakcji. W ciemności stworzonej pod jej złączonymi ramionami próbowała przestać obracać w głowie jedną myśl, ale nie mogła. Było to wspomnienie, w którym Skaut odwijał kolejny drut z krwawiących nadgarstków Alex, a kobieta kwiliła po cichu i wzdychała raz po raz, gdy przypadkowo dotknął któregoś z jej siniaków. Przypomniała sobie też sposób, w jaki Alex wyszeptała jej imię po raz pierwszy. Mrużyła wtedy jedno oko z powodu

napuchniętej kości policzkowej, a jej głos był zachrypnięty od krzyku. Teraz te dźwięki nakładały się na odgłosy z pokoju, z którego Lacey przed chwilą wyszła, a gdzie właśnie teraz Dumont stał nad Alex, a za nim rozpościerało się zniszczone miasto. Górował nad nią jak dorosły nad kulącym się dzieckiem.

*Powinnaś przestać – powiedział głos. – Nic dobrego ci z tego nie przyjdzie.*

Babcia powiedziała by to samo. Poza tym Skaut mówił jej, że nie wszyscy ludzie są źli, a kto znał prawdę, jak nie on? On znał się na takich sprawach lepiej niż ktokolwiek.

Zdobyła się na gigantyczny wysiłek i odsunęła od siebie okropne myśli, a na ich miejscu pojawił się obraz Skauta idącego w stronę ich samochodu. Zlał już całą benzynę z motocykla, który pochylał się teraz za nim, oparty na nóżce. Uśmiechnął się do niej nieznacznie, kiedy usiadł za nią na tylnym siedzeniu samochodu, a ona powiedziała, że utknął z nimi na dobre. To taki mały gest, ten uśmiech, ale go zauważyła i sprawił jej tyle radości, choć może dla niego nie znaczyło to wiele, że był na nie skazany. A teraz był martwy. I za chwilę Alex również umrze albo stanie się z nią coś jeszcze gorszego. Lacey dostała czkawki w trakcie szlochania i zacisnęła zęby tak mocno, że przez chwilę bała się, iż jej szczęka zerwie się i pęknie.

Głos powrócił i tym razem był jeszcze łagodniejszy.

*Przykro mi.*

Nie, wcale nie! – pomyślała ze złością.

*Przepraszam cię, Lacey.*

„Powiedziałeś, że możesz nam pomóc”.

*Powiedziałem, że być może uda mi się pomóc – zaczął ostrożnie.*

– To pomóż nam wreszcie! – odezwała się głośno.

Lou mruknął, ale Lacey nie podniosła na niego wzroku.

*Cicho. No dobra.*

Tym razem popatrzyła w górę, a maleńki płomyk nadziei zapłonął jej w piersi. Jeżeli on mógł jej pomóc, pomóc Alex, to nie będzie już zwracała uwagi na to, że głosy oznaczają, iż ktoś traci

zmysły.

– Na pewno?

*Tak, na pewno. A teraz już przestań mówić. Przyciągasz uwagę.*

– Co na pewno? – zainteresował się Lou.

– A nic – odrzekła. – Nie mówiłam do ciebie.

*Wkrótce po schodach będzie wracał ten, którego nazywają doktorem. Kiedy tu dotrze, musisz mu powiedzieć, że Dumont wyprawia coś z Alex.*

„Mówisz o gościu w kapeluszu? I co to da?”

*Po prostu to powiedz.*

– To do kogo mówisz? – zapytał podejrzliwie Lou.

– Nie twój zasrany interes.

*Lacey!*

Krzaczaste brwi Lou opadły kawałek i złączyły się pośrodku, ale zanim zdążył odpowiedzieć, gdzieś pod nimi drzwi się otworzyły i zamknęły. Na schodach rozległy się kroki.

Lou wychylił się przez poręcz i spojrzał w dół.

– Hej, tam na dole!

– Lou! Idziemy! – rzucił Posy.

Kilka sekund później mężczyzna o rzadkiej i postrzępionej brodzie wyszedł zza rogu i pokonał ostatnie półpiętro, a jego szczupła klatka piersiowa falowała od wysiłku. Za nim szedł doktor, którego kapelusz znów był zsunięty na tył głowy. Jego krok miał więcej gracji, a oczy skierowane były w górę, na Lou. Następnie popatrzył na nią, siedzącą w rogu.

– Charles chciał nowin w sprawie Jeba – powiedział do Lou tym swoim cichym głosem.

– Ano. Powiedział, że powinieneś przekazać wszystkie informacje mnie – odrzekł Lou.

Doktor jeszcze raz spojrzał na Lacey. Jego uważne spojrzenie zdradzało rozsądek i żywą inteligencję. Nie mówiąc do niej ani słowa, skinął do Lou i przekazał mu wszystkie nowe informacje. Jeb jest już pozszywany, ale kilka następnych godzin będzie krytycznych. Jego obrażenia były dość poważne i raczej wątpliwe,

czy przeżyje. Stracił mnóstwo krwi.

Lou powiedział, że przekaze wiadomość, a wtedy mężczyzna w meloniku spojrział na Lacey raz jeszcze.

*Powiedz to teraz, szybko.*

Doktor zaczął się odwracać, a Posy pospiesznie zszedł mu z drogi.

*No powiedz!*

– Zamknął się w tamtym pokoju z moją przyjaciółką, Alex! – powiedziała na jednym oddechu.

*Powiedz mu, że się do niej dobiera!*

– Dobiera się do niej!

Posy wydał z siebie niski, nerwowy pomruk.

Widziała teraz jedynie tył głowy mężczyzny w kapeluszu, czarny i idealnie owalny. Powoli odwrócił głowę i spojrział na nią raz jeszcze.

Oddychała ciężko, a uczucie paniki było tak przemożne, że prawie namacalne. Czowała, jakby coś nagle zatrzepotało w jej sercu, gardle i uszach.

Doktor przestał na nią patrzeć i spuścił wzrok. Lacey nie wiedziała, na co dokładnie patrzy, być może na stopnie albo własne stopy. Przez długą chwilę myślała, że zaraz pójdzie dalej, nie odezawszy się ani słowem, po prostu zejdzie na dół, nie oglądając się za siebie, a ona zostanie z tym starym, brodatym facetem z pustką w oczach. I będzie mogła jedynie siedzieć, czekać i wyobrażać sobie te przerażające rzeczy, które przeżywa jej przyjaciółka. Ale wtedy on się odwrócił, podszedł do szczytu schodów i cicho poprosił Lou, by ten otworzył drzwi pożarowe, lecz ten nie od razu zareagował. Drwiąco wymamrotał coś w stylu „mała zdzira”, ale chwilę potem usunął się z drogi, otwierając drzwi.

– O rany. – Posy odetchnął, stając na palcach i patrząc pomiędzy Lou i doktorem.

Doktor zniknął w korytarzyku. Lou i Posy poszli za nim, a Lacey podskakiwała na końcu i prawie się przewróciła. Poczowała mrowienie w stopach, kiedy krew nagle znowu popłynęła przez nie

obficie. Potknęła się, przechodząc przez ciężkie drzwi, które niemal przytrzasnęły jej pięty.

Kiedy ich dogoniła, doktor doszedł już do zamkniętych drzwi. Posy stał z przodu i patrzył do tyłu, na nią, oczy błyszczały mu z podniecenia. Doktor nie zapukał, po prostu otworzył drzwi i wpadł do środka, Lou był tuż za nim i już przeproszał za najście.

Lacey widziała jedynie Alex. Praktycznie siedziała na podłodze, jej plecy przy nogach Dumonta. Koszulę miała porwaną, a skórę na piersiach i brzuchu bladą, nie licząc czerwonych śladów po starych siniakach. Wokół szyi owinał jej pasek i wisiała na tej zaimprovizowanej uprzęży, drugi koniec paska Dumont owinał sobie wokół pięści. Stopy kobiety od podłogi dzieliło kilkanaście centymetrów. Było widać jej już tylko białka oczu. Język wystawał z jej ust. Wściekle czerwona skóra marszczyła się wokół miejsca, gdzie pasek wpijał się w gardło. Skóra twarzy stała się purpurowa.

Lacey próbowała precyzyjnie się obok ciał stojących na jej drodze, ale przypominało to próby przesunięcia kamiennych filarów. Krzyki wzbierały na sile, przerywano się oskarżeniami, ale Lacey już nie słuchała, tylko padła na czworaka, przeszła między nogami tarasujących jej drogę ludzi i szybko dotarła do Alex. Zaczęła okładać dłoń Dumonta, uderzyła go w udo i wrzeszczała, by puścił. Odgłosy duszenia, które dochodziły z góry, od Alex, były obrzydliwe, ale równie złowieszczo zabrzmiała cisza, kiedy kobieta przestała wydawać jakiegokolwiek dźwięki.

Lacey zacisnęła zęby na dłoni Dumonta i ugryzła. Z całej siły.

Mężczyzna krzyknął. Jego dłoń się rozwarła. Alex upadła na podłogę.

Dumont uderzył Lacey grzbietem dłoni i dziewczyna się przewróciła. Padając, spróbowała podeprzeć się oburącz. Poczowała w ustach krew, ale natychmiast wstała i rzuciła się na pomoc Alex, trzęsącymi się dłońmi grzebiąc przy szyi kobiety, próbując poluźnić cholernie ciasno zaciągniętą skórzaną obrozę, która wrzynała się w jej skórę.

*Zapięcie! Musisz je otworzyć.*

Lacey usłyszała i wyciągnęła metalowy ząbek z otworu w skórze, po czym rozpięła pasek. Zerwała go z szyi Alex i rzuciła na bok.

Alex nie nabrała powietrza.

– Nie, nie, nie, nie... – jęczała Lacey.

Uderzyła ją w twarz.

Głowa kobiety przesunęła się na drugi bok.

– Alex! – krzyknęła i uderzyła ją po raz drugi, tym razem mocniej, wewnątrz jej dłoni boleśnie zapiekło.

Alex szarpnęła się i nabrała potężny haust powietrza, a jej oczy wreszcie się otworzyły. Poderwała się do góry, odruchowo zrzucając Lacey, ale ta chwyciła obie jej dłonie i zaczęła w nieskończoność powtarzać jej imię, aż napięcie opuściło ciało kobiety, a w jej oczach pojawiło się zrozumienie. Chwilę później się rozszerzyły, Alex próbowała coś powiedzieć, ale było już za późno. Czyjeś dłonie chwyciły Lacey od tyłu i po raz drugi odciągnięto ją od przyjaciółki, mimo że wierzgała i wyła. Alex została sama, zagubiona, krzyk dobiegający z gardła Lacey zmroziła ją do szpiku kości. A kiedy ustał, przepełniło ją poczucie beznadziei.



## Rozdział 5

Zamknęli ją w chłodni.

Na szczęście nie było zasilania, dlatego nie marzła. Ktoś ściągnął gumową izolację z drzwi, dzięki czemu wąski snop światła dostawał się do środka. Nie wystarczyło go jednak, by rozjaśnić pomieszczenie albo pomóc Lacey dostosować wzrok do ciemności. Ledwie widziała puste metalowe półki i kilka haków zwisających z sufitu. Po omacku sprawdziła zawartość półek.

Spędziła jakiś czas na waleniu pięściami w drzwi i krzyczeniu. Chciała, by ją wypuszczono, chciała do Alex. Ktoś odkrzyknął w odpowiedzi, ale to nie była jej przyjaciółka. Nie rozumiała też, co ta druga osoba chciała jej przekazać. Po dwudziestu minutach gardło zaczęło ją boleć, więc przestała. Jeszcze raz obesła pomieszczenie, ale nie było w nim nic przydatnego. Wszystkie haki wydawały się dobrze przytwierdzone do obręczy w suficie, a ona nie była dość wysoka, by gmerać przy obudowie.

W końcu usiadła w pozycji kwiatu lotosu. Gapiła się na świetlisty prostokąt, lśniący wokół drzwi. Dotknęła językiem rozcięcia po wewnętrznej stronie wargi. To zatrzymało krwawienie, ale szarpiący ból tej rany był też na swój sposób pocieszający. Przez jakiś czas nie przerywała tego zajęcia, aż wreszcie miedziany posmak wypełnił jej usta.

Raz po raz widziała cień na poziomie stóp, najwyraźniej ktoś przechodził obok. Światło w chłodni znikało wtedy niemal zupełnie, a ona krzyczała, ale nikt jej nie odpowiadał.

– No. Twój plan świetnie wypalił – powiedziała z nieprzyjemną nutą sarkazmu, którego najwidoczniej nie zamierzała złagodzić.

Nie widziała już powodu, by unikać rozmów z głosem. Miała w nosie, czy ktoś weźmie ją za wariatkę.

Jego obecność, rozkwitająca niczym jaśmin, dała znowu o sobie znać z tyłu jej głowy.

*Obydwie nadal żyjecie, nieprawdaż?*

– Na razie. Nie mam nawet pojęcia, dokąd ją zabrali. – Nie musiała mu tłumaczyć, kogo miała na myśli.

*Nie jest daleko stąd.*

Lacey wciągnęła głęboko powietrze i otworzyła usta.

*W każdym razie dalej niż ci ludzie, na których krzyczałaś.*

Lacey zamknęła usta i przez chwilę była cicho. Przesunęła się odrobinę, bo tyłek zaczynał ją boleć od siedzenia na twardej podłodze przez tak długi czas.

– Skąd wiedziałeś to wszystko? – spytała w końcu. – Mam na myśli te rzeczy wcześniej. I skąd wiesz, gdzie jest Alex?

*Może korzystam z twojej wiedzy.*

– Ale ja nie mam pojęcia. Skąd mogłabym wiedzieć? Nie czytam przecież w myślach.

*Sama nie wiesz, czym tak naprawdę jesteś. Tak samo jak ja nie wiem, kim jestem. Nie mamy pojęcia, jak nasze umysły działają i jak są połączone. W jaki sposób można tych połączeń używać. Przykładowo, jakim sposobem jestem właśnie tutaj i rozmawiam z tobą.*

– Skąd mam wiedzieć? – wymamrotała. – Pewnie sobie to wszystko wyobrażam, podobnie jak babcia. Wiele rzeczy działo się tylko w jej głowie. A teraz to przeszło na mnie. Moja kolej, by trochę pocierpieć.

*Nie wyobrażasz sobie mnie. Z czasem to zrozumiesz.*

– Dowiedz tego.

*Wielu rzeczy nie da się udowodnić, Lacey. Nawet spraw, które wydają się już jasno zdefiniowane i pewne. Być może czas nie płynie w taki sposób, jak nam się wydaje, może to wcale nie jest kawałek struny, na której da się oznaczyć przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Może czas jest formą przestrzeni, otaczającą nas*

*niczym powietrze. Kto wie, co się wydarzy, albo co może się wydarzyć, co jeszcze trwa, a co jest już za nami. Zaczynam sądzić, że tego wszystkiego można się jakoś dowiedzieć.*

Lacey przyłożyła palce do skroni. Jej głowa wydawała się zbyt mała, by pomieścić te wszystkie nowe i wielkie idee i teorie. Nie była też przekonana, czy podoba jej się to całe „my”.

*Wszystko jest płynne. Na nic nie ma gwarancji. Jesteśmy w ciągłym ruchu. Możemy być pewni jedynie tego, że niczego nie możemy być pewni.*

– Ale wiedziałeś, że ten doktor znowu się tutaj pojawi.

*Była to jedna z możliwości, owszem.*

– I wiedziałeś, co należy do niego powiedzieć.

*Myślałem, że to może wywołać jego reakcję, tak.*

– Ale to prawie tak, jakbyś przewidywał przyszłość.

*Nie, to tylko spostrzegawczość.*

– Spostrzegawczość? To wcale nie tłumaczy, jakim cudem wiedziałeś te wszystkie rzeczy.

*Chcesz prostych wyjaśnień.*

– No tak...

*W porządku. To była magia.*

– Jezu, ale ściemniasz.

Zachichotał albo przynajmniej tak jej się zdawało. Odczuwała to tak, jakby małe bąbelki piany pękały w jej głowie niczym balony gumy do żucia. Przedziwne uczucie.

Ktoś odblokował i odsunął ciężkie drzwi chłodni. Snop światła uderzył ją w oczy i Lacey odwróciła głowę w bok, zasłaniając twarz.

– Możesz to trochę opuścić? – zapytała, mrużąc oczy.

Promień latarki się obniżył i Lacey zamrugała, by pozbyć się ciemnych plamek. W przejściu stał Posy. Postawił taboret i usiadł na nim. Nic nie mówił, ale patrzył pod nogi i poruszał nimi nerwowo. Zdaniem Lacey wyglądał na zakłopotanego. Nie zapomniała jednak, że wcześniej walnął ją w tył głowy.

– Czego chcesz? – Nawet nie próbowała udawać miłej.

Chrząknął, po czym wydał z siebie dziwny, niski pomruk.

– Hmm... To twoje?

Po raz pierwszy zauważyła, że coś przyniósł. Wyciągnął to przed siebie, rozpoznała stos książek w miękkiej oprawie.

– Nie. Skąd to masz?

– Z twojego plecaka.

Lacey pokręciła głową, jej oczy powędrowały z powrotem do książek.

– To nie moje, nie.

Ale wiedziała, do kogo należały. Skaut znalazł książki, których szukał. Chciała rzucić się w stronę Posy'ego, wyrwać mu je z rąk, zagarnąć je zazdrośnie i kartkować jedną po drugiej, chciwie chłonąc każde słowo po kolei.

– Potrafisz czytać? – zapytał Posy, patrząc na nią z nadzieją.

Nie odpowiedziała, ale wyciągnęła w jego stronę dłoń, by podał jej książki. Wstrzymała oddech i miała nadzieję, że nie widać po niej, jak desperacko ich pragnie. Oddał je i ostrożnie ułożyła cały stosik na kolanach, po czym obejrzała wszystkie po kolei. Nie spieszyła się i przesuwała kciukiem po grzbiecie każdej z nich, przerzucała kartki. Zapach kurzu drażnił jej nos. Na chwilę łzy napłynęły jej do oczu, przez co przeczytanie tytułów i nazwisk autorów stało się niemożliwe. Przycisnęła jedną z książek do nosa i głęboko wciągnęła powietrze. Kropelka wilgoci kapnęła na tylną okładkę. Pociągnęła nosem i wytarła plamkę do sucha rękawem.

– A ty nie potrafisz?

Pokręcił głową.

– Tylko imię. Potrafię je nawet zapisać. Ale nigdy nie nauczyłem się porządnie czytać. Mama mówiła, że m późno zaczął się rozwijać i w sumie wciąż tego nie nadgoniłem. Podobno nie oddychałem, kiedy mnie z niej wyciągnęli.

– Yyy... nieźle – powiedziała, nie wiedząc, jak należy zareagować na takie wyznanie.

– No. Jestem wyjątkowy. – Z dumą popukał się palcem w głowę.  
– Tak mi mówili.

*Na swój sposób jest wyjątkowy, że ho ho* – powiedział głos z przekąsem.

– Słyszysz w głowie jakiś głos? – Ciekawość nie dawała jej spokoju.

Mężczyzna opuścił brew.

– Nie. Niczego nie słyszę w głowie.

Wydawał się bardzo rozczarowany tym faktem.

Lacey miała ochotę mu powiedzieć, że odstąpi mu swój głos, jeśli tylko chce.

*Ej* – zaprotestował głos.

– To jak, potrafisz czytać? – zapytał ponownie.

– Jako dziecko niewiele czytałam – przyznała. – Nie potrafiłam za długo usiedzieć w jednym miejscu. Wolałam nanosić błota do kuchni i bawić się w farmę ślimaków. Babcia lubiła swoje gazety na temat ogrodnictwa, a siostra miała obsesję na punkcie romansów. Ale tak, potrafię czytać. – Wyciągnęła przed siebie książki, które jej podał. – Chcesz, żebym ci coś poczytała?

Posy pokiwał szybko głową, czoło mu się wygładziło i szeroko się uśmiechnął. Samo patrzenie na jego radość było bolesne. To człowiek, który wprawdzie nie pociągnął za spust, ale pomógł zabić jej przyjaciela, a teraz ona siedzi obok niego jakby nigdy nic. Ledwo potrafił usiedzieć na miejscu.

– Chcesz się wymienić w takim razie? – spytała.

– Wymienić? – Jego radość momentalnie przygasła, a twarz wykrzywiła się w grymasie niezrozumienia.

– Tak, wymienić. Ja ci poczytam, a ty zabierzesz mnie do mojej przyjaciółki.

Posy wstał, podszedł bliżej i wyrwał jej książki. Chwycił taboret i wyszedł na zewnątrz, zatraskując drzwi chłodni.

Lacey zerwała się na równe nogi i dobiegła do drzwi dokładnie w chwili, kiedy zamek znajomo szczęknął. Dłonie jej się trzęsły. W panice zacisnęła pięści.

– Poczekaj! Przepraszam, nie chciałam! Poczytam ci!

Nic.

Przycisnęła czoło do chłodnej powierzchni drzwi.

– Posy, przepraszam. Dobrze? Po prostu wróć i poczytam ci, co chcesz. Proszę.

Lacey wpatrywała się w podłogę. Światło podzieliło się, kiedy dwa cienie podeszły do drzwi po ich drugiej stronie. Stopy Posy’ego.

*Co za idiota.*

– Posy?

Nie odpowiedział.

– Posy, wiem, że tam jesteś. Widzę twoje stopy przez szparę pod drzwiami.

Zamek szczęknął i Lacey cofnęła się kawałek, by zrobić miejsce dla otwierających się drzwi.

Spojrzał na nią uroczyście, usta miał zaciśnięte i ukryte w rudawych włosach brody. Po raz pierwszy Lacey zdała sobie sprawę, że jest niewiele od niej starszy. Miał nie więcej niż dziewiętnaście, dwadzieścia lat.

– Koniec wymianek? – zapytał podejrzliwie.

– Tak, koniec rozmów i wymian. Czas na opowieści. Słowo honoru. – Uniosła dłonie w geście poddania, sygnalizując, że nie żartuje.

Wrócił do środka i cofnęła się, by zrobić mu miejsce. Usiadła na podłodze, a on z powrotem zajął taboret. Pochylił się do przodu, by podać jej książkę. Lacey wzięła ją i poczuła, że dłoń jej drży. Czule pogładziła okładkę. Następnie z namaszczeniem przerzuciła kilka stron, aż dotarła do tej, na której zaczynał się właściwy tekst.

Palec trzymała pod wersem, który zamierzała czytać.

– Gotów? – Poczekała, aż Posy potwierdzi, po czym chrząknęła i zaczęła. – *Jakiś potwór tu nadchodzi.* Prolog...

Przerwała czytanie na rozdziale czternastym.

– Mogłabym dostać trochę wody?

Posy mrugnął powoli. Płynął powoli w jej stronę, wynurzał się z oceanu wymyślonych krain.

– Wody? – zapytał głucho.

– Taaak. Zaszło mi w gardle.

– Hm... Jasne, poczekaj. Przyniosę.

Podskoczył i wybiegł na zewnątrz, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Zostawił swój taborecik. Lacey gapiła się na niego. Stał na trzech nóżkach jak kosmiczny tripod, podświetlony od tyłu przez pas światła spod drzwi. Długie cienie pełzły po podłodze i docierały aż do niej.

Gdyby tylko był ciężki, pomyślała. Mogłaby poczekać, aż Posy wróci. Wyczekałaby, aż otworzy drzwi i wejdzie do środka, a wtedy uderzyłaby go w głowę z całej siły. Roztrzaskałaby mu łeb. I uciekła.

Wróciło do niej wspomnienie Skauta, leżącego twarzą w dół na ziemi. Krew rozlewała się wokół. Pokręciła głową, mamrocząc w kółko jedno słowo. Nie. Zaprzeczała czemuś, czego nie była już pewna.

Posy wrócił, zanim zdążyła zdecydować, co teraz robi. Niezdarnie próbował pociągnąć drzwi i jednocześnie nie wylać wody z miski.

*Przyniósł ci w jakimś spodku. Zupełnie jakbyś była jego zwierzątkiem.*

Zamknij się, pomyślała.

Posy niósł ostrożnie miskę oburącz, po czym przekazał ją Lacey. Skinęła głową i uśmiechnęła się w podziękowaniu. Wzięła naczynie i przyłożyła do ust. Ostrożnie pociągnęła łyk, smakując jego chłodną zawartość. Woda smakowała dobrze, choć była trochę nieświeża. Napełniła usta i przepłukała wodą zęby i dziąsła, po czym przełknęła. Odłożyła miskę na kolana, a konkretnie na tylną okładkę książki leżącej teraz grzbietem w górę, otwartej tam, gdzie skończyła czytanie.

– Czy Posy to twoje prawdziwe imię?

Obgryzał brudne paznokcie i obserwował, jak dziewczyna pije. Wypluł coś i pokręcił głową.

– Po prostu lubię kwiaty<sup>[1]</sup>.

– Masz jakieś ulubione? – Wzięła kolejny niewielki łyk.

– Lubię te takie małe, białe z żółtymi środkami.

– Stokrotki?

Pokiwał głową i zabrał się do następnego paznokcia. Więc to tak wyglądała, kiedy sama to robiła? Naprawdę musiała przestać. Wyglądało to obrzydliwie.

Zakręciła wodą w swojej misce.

– Moje ulubione rośliny to lantany. Słyszałeś o nich? Są trujące dla większości zwierząt, wliczając w to ludzi, ale już na przykład ptaki mogą jeść ich owoce. Podoba mi się to, że jednocześnie mogą być trucizną albo jedzeniem, w zależności od tego, kto się do nich zbliża.

Nie przerywał obgryzania.

– Ale rozumiem, dlaczego wybór padł na ksywkę Posy. Tak sądzę – kontynuowała. – Same stokrotki brzmią dość dziewczęco, co nie?

*Ta, a bukietik to istne apogeum męstwa.*

Posy mruknął i wypluł kolejny kawałek paznokcia.

– Poczytasz jeszcze trochę?

Lacey przytaknęła.

– Za moment. Dokończę tylko wodę. – Jeszcze raz zakręciła miską i uniosła ją, swobodnie rzucając pytanie przed wzięciem kolejnego łyka. – Posy, co oni z nami robią?

Napiła się, obserwując go ponad naczyniem.

Przestał obgryzać paznokcie, ale dłoń nadal trzymał przy ustach. Na ułamek sekundy popatrzył jej w oczy, by chwilę później spuścić spojrzenie na podłogę. Wzruszył ramionami.

– Wsadził cię tutaj doktor. Twierdzi, że chłodnie nadają się na cele więzienne.

– Więc łapaliście już innych ludzi? Co się z nimi stało?

Posy opuścił dłoń i obejrzał się przez ramię. Odchylił się do tyłu, by sprawdzić, czy nie ma w pobliżu nikogo, kto mógłby ich podsłuchać. Popatrzył z powrotem na nią i powiedział nieco ciszej:

– Nie zawsze ich widzę. Czasem zostają na dobre, a czasem ni stąd, ni zowąd znikają.

– Jak to znikają?



Znowu wzruszył ramionami.

– Czasami się ich przesuwają. Innym razem zabijają. Tak myślę. Niekiedy zjada. To przez Dolores, ona ich zjada. To stara, szalona dziwka.

Ostatnie zdanie brzmiało jak podsłuchane, jakby powtarzał je po kimś.

Skóra na plecach Lacey pokryła się gęsią skórą. Jakaś niewidzialna dłoń ścisnęła jej wnętrzności i wywróciła je do góry nogami. Przez chwilę sądziła, że zaraz zwymiotuje wodę, którą przed chwilą wypiała.

– Jeżeli zniknę, nie będę mogła ci już czytać.

– Wiem – przyznał ze smutkiem. – Nie mogę też znaleźć Księżniczki.

Lacey odstawiła pustą miskę obok siebie.

– Mogę pomóc ci jej szukać.

Nie wyglądał na przekonanego.

– Pewnego razu moja babcia zgubiła okulary do czytania, a ja pamiętałam, że przesadzała niektóre rośliny do doniczek. No więc wyszłam na zewnątrz, rozejrzałam się i wiesz, co się okazało? Zostawiła okulary w jednej z doniczek. Zasadziła je na samym dnie. Może i wyrosło by z nich okularowe drzewo, kto wie? W każdym razie jestem naprawdę dobra w tropieniu.

Posy wrócił do gapienia się na własne kolana.

– Nie powinienem cię wypuszczać. Znowu będę miał kłopoty.

*Jak w przypadku Red?*

– Czy właśnie to się wydarzyło z Red? – zapytała łagodnie. – Pomogłeś jej się uwolnić i uciekła od was?

Szybko podniósł na nią wzrok.

– To był wypadek. Odszedłem tylko na moment, żeby przynieść jej jedzenie. Bo rozumiesz, ona już nie była w stanie jeść normalnie. A kiedy wróciłem, jej już nie było. Zniknęła jak inni, ale jednak inaczej. Ona zniknęła w sposób, który nikomu się nie podobał. Szef był zły. Lubił, kiedy opowiadała mu o dziwactwach w swojej głowie.

Posy objął się rękoma i zaczął bujać się na taborecie. Promień latarki kołysał się razem z nim i sprawił, że Lacey zrobiło się niedobrze.

*Dziwactwa w jej głowie? Spytaj go, co ma na...*

Ale Lacey już była w połowie zdania.

– Musiała bardzo się bać, skoro uciekła.

– Dziki Człowiek porządnie ją wystraszył. Wszystkich wystraszył. – Posy przestał się huścić i przyjrzał się dziewczynie. – Nie powinienem już z tobą rozmawiać. Będę miał problemy.

– Nic się nie bój, nikomu nie powiem. To będzie nasza mała tajemnica. Nie wyjdzie to poza nasze grono.

*Kim jest ten Dziki Człowiek?*

– Red jest w porządku – powiedział Posy. – Była dla mnie dobra. Nie musiała, ale była. To było złe, co z nią robili.

– A co z nią robili, Posy? Co ją tak bardzo wystraszyło?

Zmrużył oczy i z powrotem zajął się obgryzaniem paznokci. Zaczął mamrotać zza dłoni, cały czas ją obserwując.

– Powiedziała szefowi, że ktoś nadchodzi. Ktoś ze śmiercią w oczach. Że poznała go wcześniej, dawno temu na pustyni, i że jego zadaniem jest złożyć w całość kawałki układanki, dzięki czemu ludzie tacy jak szef, doktor czy Dziki Człowiek nie mieliby już takiej władzy. Nie mówiła mu tego, by go ostrzec. O nie, w żadnym wypadku. Mówiła mu to z tego samego powodu, dla którego Jeb mówi mi czasami, że zwinął swój kocyk. Ten połatany. Bierze go, chowa gdzieś i nie mówi mi gdzie. Tak po prostu. Bo tak jak ją ciekawi go, co się wydarzy. Red była dobra – powiedział, kiwając głową. – A szef nie. Dziki Człowiek jest zresztą jeszcze gorszy. Ale Red była dobra i nie lubiła żadnego z nich. Ani troszeczkę. Moim zadaniem było opiekowanie się nią, chronienie jej. Lubiała mnie. Powiedziała, że lubi przebywać blisko mnie. I z dala od doktora. Bo wiesz, nie wypuszczano jej na zewnątrz. Była zbyt cenna, by ją wypuszczać.

Kiedy dotarło do niego, ile powiedział, skóra na jego policzkach napięła się, a w oczach zagościł strach. Wstał szybko, z hałasem

przewracając taboret, i wyszedł, by rozejrzeć się w prawo i w lewo. Wrócił do niej, mówił teraz bardzo szybko.

– Dość rozmów. Za dużo powiedziałem. Muszę się stąd wynosić.

Wziął stołek.

Lacey wstała.

– Poczekaj! Pozwól przynajmniej, że pomogę ci znaleźć psa.

– Nie, koniec rozmów. – Posy wyszedł i zanim zdążyła unieść dłoń czy zaprotestować, zatrzasnął ją z powrotem w ciemnym pomieszczeniu.

Lacey zawołała za nim, ale tym razem na zewnątrz żadne stopy nie rzucały cienia. Poszedł sobie. W porywie gniewu cisnęła książki na drugą stronę pokoju, słyszała, jak uderzają o ścianę. Sekundę później spadły na ziemię z plaśnięciem. Natychmiast rzuciła się w ich stronę. Było jej głupio, że potraktowała w ten sposób coś, co należało do Skauta. Podniosła je i wygładziła zagięcia i zagniecenia okładki. Zaniósła je pod drzwi i położyła się na brzuchu, trzymając książki tak, by oświetlało je przygaszone światło wpadające przez szparę na dole.

Przeczytała tekst na tyle okładki, poruszając ustami i cicho formułując słowa. Wyobrażała sobie, że oczy Skauta przesuwają się wcześniej po tych samych wersach i że te słowa zamieszkały teraz w jej umyśle, tak samo jak wcześniej w jego. Oboje przyswajali tę samą wiedzę. To było doświadczenie, które dzielili ze sobą. Nie zmieniały tego czas i przestrzeń. Czytała tekst z tyłu okładki, leżąc na podłodze, samotnie, w ciemności, z coraz cięższymi powiekami i słowami zlewającymi się w jedno i czuła, że jest jej bliski.

*Nie jesteś sama.*

– No niby nie – wyszeptała, kładąc głowę na podłodze. Zamknęła oczy i pozwoliła myślom swobodnie dryfować. – Jestem szaloną dziewczyną z wihajstrem w głowie, który robi mi za towarzysza.

*Tutaj jest w sumie bardzo przyjemnie. Bardzo przejrzyście. Jakby otaczało mnie polerowane szkło. Żadnych irytujących dziur. Wszystko nietknięte, gładkie i bez szwanku.*

– To miło. – Było słyhać, że jest śpiąca. Mamrotała nieco niewyraźnie. – A właśnie, jak mam cię nazywać? Wihajster średnio się nadaje. I jakiej jesteś płci? Brzmisz jak mężczyzna...

*Możesz mi mówić: Głos. Nie przeszkadza mi to za bardzo. Głos pasuje do mnie jak ulał.*

[\[1\]](#) *posy* (ang.) – bukiecik

## Rozdział 6

Nie wiedziała, jak długo spała, ale kiedy się obudziła, była przemarznięta i zdrętwiała. Wciąż leżała na podłodze, a jej głowa spoczywała niedaleko drzwi, na książkach. Podniosła się i usiadła. W brzuchu jej zaburczało tak głośno, że z zaskoczenia uniosła do niego dłonie.

– Cholera, jestem taka głodna, że zjadłabym tego psa z babskim imieniem – powiedziała do siebie, ale i tak czekała na czyjaś odpowiedź.

Nie doczekała się żadnej. Głos wciąż milczał. Lacey zastanawiała się, czy spał tak jak ona. A może szaleństwo w jej głowie zdecydowało się wreszcie opuścić lokal.

– A może – wyszeptała – tego psa zjadł już ktoś inny...

Nie chciała skończyć tej myśli, choć zdążyła już sobie to zwizualizować. Sam widok ją dręczył.

Odepchnęła się od ziemi i stanęła ostrożnie, po czym trochę się porozciągała. Dotknęła palcami dłoni palców u stóp, położyła dłonie na biodrach i wykonała kilka skrętów tułowia. Na koniec zrobiła również parę pajacyków. Kiedy podchodziła do drzwi po tych wszystkich zabiegach, czuła się nawet odrobinę lepiej. Przyłożyła do nich ucho.

– Hej! Jest tam kto?

Zabębniła w nie pięściami.

– Zamierzacie zagłodzić mnie na śmierć? Heeej!

Zero reakcji. Cofnęła się, kopnęła z całej siły w drzwi chłodni. Ani drgnęły.

– To niedorzeczne – powiedziała. Przez chwilę kuśtykała, chodząc

w kółko po pomieszczeniu. Stopa bolała ją od kopnięcia w drzwi, prawie jakby zeskokczyła ze zbyt wysokiego muru i wylądowała twardo na betonowej posadzce.

Żałowała, że kopnęła aż tak mocno.

Kiedy usłyszała zbliżające się kroki, przerwała chodzenie. Spodziewała się zobaczyć Posy'ego, ale gdy drzwi się otworzyły, ujrzała gładko ogolonego mężczyznę, tego w zabawnym kapeluszu o okrągłym rondzie. Doktora. Poczula mentolowy zapach, ale tym razem towarzyszyła mu jeszcze jakaś woń, która nie pachniała tak świeżo ani przyjemnie. Spojrzał na nią, a z jego jasnych, zielonych oczu trudno było cokolwiek wyczytać.

– Przyniosłeś śniadanie? – zapytała.

Nic nie odpowiedział, po prostu odwrócił się i zostawił otwarte drzwi. Lacey nie poszła za nim od razu. A co, jeśli to była pułapka? Mógł ją sprawdzać. Może chciał się przekonać, czy spróbuje uciec. Przygryzła policzek i ruszyła naprzód. Podniosła jedną z książek, które zostawiła na podłodze, i przyciskając ją do piersi, wyszła na korytarz. Mężczyzna stał trzy metry od niej, częściowo zwrócony w jej kierunku. Czekał. Lacey spojrzała w drugą stronę, gdzie pusty korytarz kusił i zapraszał.

– Odradzam ucieczkę – powiedział do niej cicho mężczyzna zwany doktorem. – W tej części budynku znajduje się dwadzieścia osób. Jeśli będziesz poruszała się sama, wezmą cię za zagrożenie.

Raz jeszcze, nie czekając na nią, odwrócił się i ruszył naprzód.

Po chwili Lacey wsunęła książkę za pasek spodni i poszła za nim.

– Gdzie jest moja przyjaciółka? Nic jej nie jest?

Żadnej odpowiedzi.

– Dokąd mnie zabierasz?

– Chcę ci coś pokazać – powiedział, nie odwracając się.

– Co?

– Zobaczysz.

– O co wam chodzi, ludzie? Dlaczego nie możecie tego wprost powiedzieć? A jeśli się nie ruszę, dopóki nie mi zdradzisz, o co chodzi?

Zatrzymała się w połowie korytarza i założyła ręce na piersi.

On również stanął i częściowo obrócił w jej stronę. Uniósł odrobinę swoje cienkie brwi, tak że prawie zniknęły pod rondem melonika. Nie wiedziała, czy to wyraz zaskoczenia, czy konsternacji.

– To raczej byłoby bardzo głupie z twojej strony – zauważył spokojnie.

Spojrzał jej w oczy i przez dłuższą chwilę Lacey czuła, jak robi jej się zimno. Poczowała strach. Nie była pewna dlaczego, w końcu w jego spojrzeniu nie było nic nieprzyjaznego, żadnego niezdrowego napięcia, które zdradzałoby nadciągającą przemoc, ale była przekonana, że jakimś sposobem ten facet wie, co ona myśli. Że potrafi czytać jej myśli z taką samą łatwością, jak ona czyta książkę. Że dostarcza mu rozrywki, tak samo jak robak bawi eksperta od robali, wijąc się pod jego szkłem powiększającym w laboratorium.

– Idziesz?

Powiedział to w tak osobliwy sposób, że Lacey nie była pewna, czy zadaje pytanie, czy stwierdza fakt. Zdanie było dwuznaczne, podobnie jak osoba je wypowiadająca.

Bez słowa skinęła głową.

Przelotne uniesienie warg zasygnalizowało coś w rodzaju uśmiechu, po czym odwrócił się i podjął marsz.

Lacey zgubiła się w tych wszystkich zakrętach i korytarzach, którymi przechodzili, ale nareszcie mężczyzna w kapeluszu doprowadził ją do pokoju. Zanim weszła do środka, uderzył ją zapach – starego mięsa, zaschniętej krwi, świeżych odchodów. W narożniku stało wąskie łóżko, a na nim leżał Jeb, odwrócony do nich plecami.

Uważne oczy doktora spoczęły na niej, kiedy podchodził do wolnego krzesła stojącego przy przeciwległej ścianie. Usiadł.

Nieświadomie Lacey przeszła tych kilka kroków dzielących ją od łóżka Jeba. Im bliżej podchodziła, tym zimniej jej się robiło. Prawie jakby lodowate fale biły od tego mężczyzny, jakby sączyły się z jego

łóżka na podłogę i wnikały przez jej buty, ogarniały stopy i wspinały się wyżej, wpełzały na nogi i mroziły ją do szpiku kości. Jeb był teraz tak blady, że widziała pod skórą fioletowe żyłki. Oddychał płytko i z wielkim trudem.

– Stracił za dużo krwi.

Lacey spojrzała na doktora, kiedy się odezwał. Mężczyzna założył nogę na nogę i siedział z wyprostowanymi jak struna plecami.

– Naprawdę to mi chciałeś pokazać?

– Nie do końca. Prawie.

Spojrzała w dół na Jeba, a jego przekrwione oczy wpatrywały się w nią.

– Ty... – wyszeptał ochryple białymi, suchymi, popękkanymi ustami. – Ty jebana dziwko, ty mnie zabiłaś.

Lacey szybko pokręciła głową, poczucie winy uderzyło ją niczym pięść.

– Nie. Nie, to twoja wina. Powinieneś był nas puścić. Dlaczego nie mogłeś dać nam spokoju? Nie zrobiliśmy ci nic złego.

– Jebane gadające robaki zeżrą twój mózg. Zjedzą twój przegniły mózg, aż sama zgnijesz za to, co mi zrobiłaś. Sczeźniesz jak twój pierdolony koleżka. Mam nadzieję, że kojoty rozszarpały jego ciało na strzępy, rozciągnęły jego bebechy po asfalcie, jak rozciąga się skakankę. Gdzie się w ogóle podziały te wszystkie skakanki? Pewnie spalono je albo użyto ich jako stryczków. Stryczków... Jezu Chryste, dlaczego jest mi tak kurewsko zimno, doktorze?

Doktor wstał i wszedł w pole widzenia umierającego.

– Doktorze! Pomóż mi, doktorze, błagam. Boże, jak to boli.

Jeb zadrzał tak mocno, że łóżko stuknęło o ścianę. Spróbował przyciągnąć pościel bliżej siebie, ale jego zdrętwiałe dłonie nie były w stanie niczego chwycić. Zaczął płakać, łkał i zanosił się przerywanym wyciem, ale żadne łzy nie napłynęły do jego oczu. Twarz miał wychudłą. Patrzyła na jego połamane, brązowe zęby i najeżone włosy.

– Nie mogę ci już pomóc, Jebediah – powiedział doktor. – Może to zrobić teraz tylko Bóg, w którego wierzysz.



– Jebać mojego Boga! – krzyczał Jeb. – I twojego też! – Patrzył na Lacey z taką kipiącą nienawiścią, że cofnęła się o krok. Ślina ściekła mu na brodę. Gwałtownie spróbował złapać Lacey szponiastą dłonią. – Zabiję cię, kurwa! Zabiję, ty pierdolona suko! Poślę cię do piekła z tymi jebanymi robalami w mózgu!

Oczy wychodziły mu z orbit, dostał konwulsji. Opadł na łóżko, wydał z siebie kilka przerażających dźwięków i zadrzał, a powietrze zarzęziło głucho w jego gardle. Ręce położył na piersi, następnie pomachał nimi jak owad. Jego dłonie przypominały szpony.

– Co się dzieje? – Mimowolnie łzy napłynęły do oczu Lacey. Jej serce waliło tak mocno, że słyszała już tylko jego uderzenia, zupełnie jakby znalazła się w łonie matki. Chciała uciec, biec przed siebie, dopóki słyszałyby jedynie uderzenia stóp i swój przyspieszony oddech. Biec, aż krew popłynie przez jej żyły z prędkością pocisków wystrzeliwanych z karabinu maszynowego. Ale nie mogła się poruszyć, tak samo jak Jeb nie mógł zatrzymać tego, co się z nim działo.

– Jego narządy się wyłączają – powiedział doktor.

Jeb zaczął bredzić.

– Proszę, proszę, proszę... Przepraszam, doktorze, przepraszam! Kurwa, pomóż mi, proszę cię, błagam! Przysięgam, jest mi tak przykro, Boże, przepraszam!

– A mnie jest przykro, że dałeś się komuś dźgnąć – odrzekł doktor tonem wcale niezmartwionym.

Oczy Jeba obróciły się w oczodołach. Jeszcze raz dojrzał Lacey i nadal tlił się w nim gniew, choć teraz wyczuwała głównie przerażenie. Pożałowania godne przerażenie. Przygryzł usta, jego zepsute zęby zacisnęły się bezlitośnie na wargach, aż te zaczęły krwawić.

Lacey stała w miejscu jak wrośnięta, aż ciało Jeba przestało podrygiwać, a on sam wypuścił ostatni, długi, rwany oddech. Jego dłonie leżały na klatce piersiowej, nadal przypominając szpony. Przeszkłone oczy wpatrywały się w jej twarz. Wydawał się

skurczony i nędzniejszy, jak gdyby śmierć wyssała z niego wszystkie resztki wilgoci. Pozostał po nim jedynie wysuszony szkielet.

Lacey odetchnęła ciężko, jakby dopiero co przestała biec.

Śmiercionośny całun opadł na pokój. Lacey czuła, jak coś powoli zapycha jej uszy, usta i gardło, aż w pewnym momencie pomyślała, że się dusi.

– Właśnie to ci chciałem pokazać – przerwał ciszę doktor.

Odprowadzono Lacey do jej więzienia. Nie pamiętała ani jednego powrotnego kroku. Drzwi zamknięto, a ją zostawiono samą w ciemności, ale i tak była nieświadoma zarówno samotności, jak i braku światła. Siedziała, gapiała się przed siebie i oburącz przyciskała książkę do piersi. Była mgliście świadoma tego, że Głos próbuje z nią rozmawiać, wyciągnąć ją z tego głębokiego, ciemnego miejsca, w którym się zasyła, ale nie znalazła w sobie siły ani ochoty, by nawiązać kontakt.

Ktoś nareszcie przyniósł jej jedzenie, jakąś zimną papkę przypominającą kaszkę. Zjadła ją bezmyślnie, nawet nie czując smaku. Napiła się z miski, którą ktoś napełnił na nowo. Następnie zwinęła się wokół książek. Spała niespokojnie, a jej sny były pełne pazurów, owadzich łapek i larw wijących się w jej ustach, próbujących dotrzeć do mózgu, gdzie wiły się i kręciły. Później przyśnili jej się ludzie, których kochała, stali w rzędzie i krwawili z ogromnych dziur w brzuchu: jej babcia, Alex, Karey, siostrzenica, której nigdy nie poznała, a która we śnie była małeńka i nie miała twarzy. Nawet Skaut. Patrzył na nią z litością, w uniesionych dłoniach zbierała się cieknąca strumieniami z ran krew. Patrzył i pytał smutnym głosem, dlaczego nie pomogła tym, których przecież kochała.

Obudziła się z płaczem.

Leżała bez ruchu, a godziny mijały. Czasami słuchała Głosu, a czasem nie. Zadawał jej pytania dotyczące siostry, pytał też o jej siostrzenicę, jaka jej zdaniem się okaże. Nie odpowiedziała na

żadne z pytań.

Posy przyszedł i próbował ją przekonać, by jeszcze mu poczytała, ale wyszedł, zorientowawszy się, że dziewczyna nawet go nie zauważyła.

*Myślałem, że życzysz Jebowi śmierci.*

To właśnie tym słowom udało się przebić skorupę obojętności, którą się otoczyła.

– Nie – wyszeptała, przełykając ślinę pomimo obolałego gardła. – Nie w taki sposób.

*Martwy znaczy martwy, nieważne, jak to się stało.*

– Zamknij się – wyszeptała, zamykając oczy, jakby to równocześnie odganiało Głos.

*Zadał mnóstwo bólu ludziom, których napotkał.*

– Chcę do Alex – powiedziała. Gorąca łza spłynęła w dół po jej skroni i kapnęła na ucho.

*Nie zachowuj się jak dziecko.*

– Chcę do babci. – Więcej łez podążyło za tą pierwszą.

Po raz pierwszy Głos wydał się poirytowany.

*Nawet nie próbuj się teraz załamywać. Gdzie twoja wola walki?*

– Nie ma – wymamrotała.

*No to jej poszukaj. To nie pora na okazywanie słabości.*

Przekręciła się na drugi bok, przysuwając się plecami do drzwi.

– Daj mi spokój.

*To ci w żaden sposób nie pomoże, jeśli teraz ja...*

– Po prostu daj mi spokój!

Głos kręcił się jeszcze przy niej przez chwilę, aż wreszcie zniknął. Głowa Lacey opustoszała. Natychmiast zatęskniła za jego obecnością, ale odpędziła to uczucie, gdy tylko się pojawiło.

Co by pomyślała jej babcia, gdyby zobaczyła ją w takim stanie? Na samą myśl o tym Lacey przestała płakać i wyrównała oddech. Babcia nie pozwoliłaby na to. Postawiłaby ją do pionu i zdrowo ochrzaniła. Kazałaby jej wziąć się w garść, bo nikt nie lubi beks i nic się nie osiągnie takim smęczeniem i użalaniem się nad sobą. Powiedziałyby też, że zawsze jest coś do zrobienia, a kiedy ma się

trochę więcej czasu na myślenie, to trzeba zaplanować, co się zrobi później, kiedy nadejdzie czas na działanie.

– Ale dlaczego on chciał mi to pokazać, babciu? – wyszeptała.

Nie oczekiwała odpowiedzi i nie doczekała się jej.

– Nie rozumiem, dlaczego zabrał mnie tam, by pokazać mi, jak on umiera.

Sceny ze śmierci Jeba, obrazy, na których zwijał się w konwulsjach i krzyczał, i patrzył na nią do ostatniej chwili, znowu do niej wróciły. Energicznie usiadła, ale głowę trzymała nisko, próbując uchwycić się wspomnienia, w którym babcia akurat robiła na drutach kocyk. Ten sam, którym okrywała później ramiona. Przypominała sobie obrączkę, którą babcia nosiła na palcu. Pamiętała jej spracowane dłonie, silne i twarde, a przy tym na tyle zwinne, że mogła rozsypać poplątane włosy albo wyciągnąć drzazgę. Wspomnienia z jej babcią były dużo silniejsze niż te z trupem mężczyzny i Lacey potarła oczy, chcąc wyryć sobie jej obraz w umyśle. Tarła i tarła, aż pod powiekami zatańczyły jej plamki. Uśmiechnęła się. Babcia nazywała te plamki fantazjami. Miały przypominać o tym, że nawet w zupełnej ciemności można coś odnaleźć.

– Kocham cię, babciu – wyszeptała Lacey. – Chciałabym, żebyś była tu ze mną.

Wsunęła dłoń pod kołnierzyk i odnalazła medalik ze świętym Krzysztofem. Był gorący w dotyku i stawał się coraz cieplejszy, im dłużej go trzymała. W ciemności, gdzie fruwały fantazje i gdzie nadal żył duch jej babci, narodziła się myśl. Z początku ulotna, ale szybko nabrała formy i treści.

Dziewczyna otworzyła oczy.

– Głosie? Głosie, musimy porozmawiać.

Lacey wypuściła świętego Krzysztofa i dotknęła gorącymi opuszkami miejsca tuż za prawym uchem. Głos pojawił się częściowo, jak iskra w ciemności. Zwiastun tego, że coś tam jest, ale jeszcze nie do końca można to dostrzec. Był taką jej swoistą „fantazją”.

– Głosie, chyba wpadłam na pomysł.  
Wywołany siłą Głos niechętnie zapytał:  
*Jaki?*

## Rozdział 7

Dumont stał na platformie załadunkowej i nadzorował pakowanie towarów do pojazdów. Na wylanym betonem terenie stały dwa pick-upy, trzy samochody osobowe i kamper Winnebago. Ludzie krzątali się wokół nich, z pośpiechem ładując sprzęt do bagażników i na paki pick-upów. Z dala od tego zgiełku stało dwóch chłopaków, niemających więcej niż po dziesięć lat. Kucali obok tylnej ściany i na zmianę podrzucali monety. Lacey dojrzała ich, by chwilę później zobaczyć, że starszy popycha i przewraca młodszego, który wypuścił garść drobniaków, a te posypały się migocącym deszczem na ziemię. Mały podniósł się od razu i rzucił na prowadzycę. Powalił na ziemię większego chłopca i okładał go pięściami i łokciami, aż jakaś kobieta pospieszyła w jego kierunku i odciągnęła go na bok, przy okazji uderzając go w głowę za to, że stwarza problemy. Starszy chłopiec, ten, który zaczął sprzeczkę, nadal leżał zwinięty w kłębek. Nikt nie podszedł, by sprawdzić, jak się czuje.

Lacey ponownie zaczęła przyglądać się krzątaniu przy pojazdach. Zamierzała zignorować Lou, który stał tuż za nią. Za blisko. Czowała bijące od niego ciepło.

– Co tu się dzieje? – spytała Dumonta. W pobliżu kręciło się więcej ludzi, niż widziała poprzednio. Grubo ponad trzydziestka. Przy samym winnebago dostrzegła sześcioro. Jednak te ślamazary tylko udawały, że coś robią, w istocie bowiem głównie patrzyły pod nogi. Kilka osób wydawało się rozmawiać, ale nie ze sobą nawzajem. Nikt nie patrzył w górę ani nawet nie odwracał się w stronę ludzi stojących obok. Kolejna czwórka, trzech mężczyzn i kobieta, siedziała na podłodze, opierając się plecami o kamper.

Ręce mieli związane z przodu. Wyglądali na posępnych i zrezygnowanych. Obserwowali ludzi wokół z wrogością w oczach. Mężczyzna pośrodku miał podbite oko i rozciętą wargę, a przód jego niegdyś białej koszulki był czymś poplamiony, Lacey podejrzewała, że krwią.

Dumont zmarszczył brew, słysząc jej pytanie. Jego szerokie ramiona napinały materiał koszuli.

– Przygotowujemy się do odjazdu.

– A dokąd się wybieracie?

– No proszę, jesteś wścibską, małą kruszynką, co? – Dumont wrócił do obserwowania ludzi. – Już czas, żebyśmy znaleźli dla siebie nowe pastwiska. Wyskubaliśmy to miejsce do gołej ziemi. W pobliżu nie ma już żadnych przydatnych duszyczek.

*Ma na myśli ludzi* – wyszeptał Głos. – *Prawie jak w tamtych opowieściach.*

– Wiązesz swoje duszyczki, kiedy już nie są ci potrzebne? – zapytała.

Dumont zawołał jakiegoś Terence'a, który sprawdzał właśnie tylną oponę pick-upa. Chciał wiedzieć, czy odebrał podnośnik samochodowy od Steviego. Terence odparł, że tak.

Lacey podejrzewała, że Dumont usłyszał jej pytanie i już otwierała usta, by zapytać ponownie, kiedy się odezwał:

– Nie. Tamci ludzie prędzej czy później się przydadzą. Jeszcze nie są gotowi, żeby wspomóc naszą sprawę, ale to kwestia czasu.

– Jaką sprawę?

– Nie sądzę, żebyś i ty była na to gotowa, moja droga. Wszystko w odpowiednim czasie. Posy!

Lacey wypatrzyła Posy'ego pośród reszty. Niósł coś, co wyglądało jak plecak Skauta. Ułożył go z tyłu pick-upa. Słyszając krzyk Dumonta, stanął i podniósł wzrok.

– Podobno ktoś cię znowu widział w pobliżu radioodbiorników.

Posy spuścił głowę i przestąpił z nogi na nogę. Zachował się jak małe, łakome dziecko, które ktoś przyłapał z palcem zanurzonym do połowy w słoiku z masłem orzechowym.

– Masz się do nich więcej nie zbliżać. Zrozumiałeś? Dotknij ich, a pogruchocę ci dłoń. A może nawet połamię całą rękę.

Posy wymamrotał coś w kierunku swoich stóp.

– On cię nie słyszy, debilu! – Lou krzyknął zza Lacey, przez co serce podskoczyło jej do gardła i ramiona momentalnie się napięły.

Posy nie podniósł głowy, ale głos już tak.

– Przestaną, szefie. Koniec z radiami.

Dumont skinął głową z satysfakcją.

– Dobry chłopiec. Wracaj do roboty.

Obok pick-upa, przy którym z powrotem pracował Posy, stał jeep, który ją tutaj przywiózł. Zobaczyła raz jeszcze to słowo wypisane schludnymi srebrnymi literami na tylnej tablicy. OBRONCA. Lacey chwyciła za rąbek koszulki i wsunęła dłoń pod spód, dotykając przelotnie opuszkami miękkiej oprawy książki, którą wsadziła wcześniej za pasek spodni, chcąc dodać sobie tym odwagi.

– Red – powiedziała Lacey.

Dumont nie poruszył się, nie spojrzał na nią, nawet nie dał po sobie poznać, że usłyszał z jej strony jakiegokolwiek słowo.

*Bądź pewna, że słucha cię bardzo uważnie* – powiedział Głos.

– Wiem, gdzie ona jest – rzekła Lacey.

Tym razem Dumont obrócił się w jej stronę. Przypomniała sobie, jak jego bardzo napięły się mięśnie jego ramion, kiedy na pasku uniósł Alex z podłogi. Pamiętała, jak żyły wystąpiły mu na czole, twarz pociemniała mu z wysiłku, a oczy ożywiły się z podniecenia.

– I niby dlaczego mam ci wierzyć?

– Mogę ci to udowodnić. Ale najpierw omówmy warunki, na jakich to zrobię.

Uśmiechnął się bardzo, bardzo szeroko.

– Och, podobasz mi się. Naprawdę nie można się z tobą nudzić. Wiesz, doktor powiedział mi, że nie za dobrze zniosłaś śmierci Jebediaha, choć przecież życzyłaś mu jej od jakiegoś czasu. A przecież kiedy ostatnio rozmawialiśmy, wydawałaś się zadowolona z tego, że właściwie puka już do komnat śmierci. Ale obserwowanie, jak ktoś umiera, jest jednak trudne, prawda?



Nawet jeśli się za tym kimś nie przepada. A spróbuj sobie wyobrazić, jak trudno jest znieść widok powolnej śmierci kogoś, kogo faktycznie lubisz. To coś zupełnie wyjątkowego.

Lacey oddychała ciężko przez nos, starając się wyglądać na obojętną, z całych sił próbując patrzeć mu spokojnie w oczy i nie okazać żadnego przejawu słabości – dokładnie tak, jak kazał Głos – podczas gdy najbardziej na świecie chciała teraz zwinąć się w kłębek u jego stóp, jak to zrobiło tamto zaatakowane dziecko.

– Pokażę ci, gdzie ona jest – powiedziała. – Wystarczy, że wypuścisz Alex. A kiedy cię do niej zaprowadzę, wypuścisz również mnie.

– Wydaje ci się, że Red jest warta dwóch osób, które należą już całkowicie do mnie?

*Owszem.*

– Owszem – powiedziała, mając nadzieję, że Głos się nie myli.

Dumont potarł podbródek, uśmiechnął się i wymienił spojrzenie z Lou.

– Jak zamierzasz udowodnić mi, że wiesz, gdzie ona jest?

Lacey nie odpowiedziała, tylko sięgnęła do karku, rozpięła łańcuszek z medalikiem przedstawiającym świętego Krzysztofa i wyciągnęła przed siebie. Srebrny medalik zakręcił się przed oczami Dumonta, odbijając raz po raz światło. Mężczyzna gapił się na niego jak zahipnotyzowany, nie mrugając, nawet gdy odbłask go oślepił.

– Mógłbym wyciągnąć z ciebie prawdę torturami – powiedział tak cicho, że prawie go nie usłyszała. W dalszym ciągu intensywnie patrzył na medalik.

Lacey zamknęła medalik z łańcuszkiem w drżącej dłoni.

– Jasne, mógłbyś to zrobić. Ale zmarnowałbyś sporo czasu. A nie wyglądała za dobrze, kiedy widziałam ją po raz ostatni.

Zaskoczony Głos zarechotał w jej głowie.

*Nie wyglądała za dobrze, to prawda.*

– Oto moja propozycja. – Dumont podszedł bliżej i położył dużą dłoń na pięści, w której trzymała medalik. – Zaprowadzisz dwóch

moich ludzi do Red. Kiedy ją znajdziecie, zostaniesz wypuszczona. A kiedy Red wróci do mnie, wypuścimy Alexandrę.

Czuła się przez niego osaczona. Zawisnął nad nią, jego ciemna głowa nachyliła się tak, by mógł spojrzeć jej prosto w oczy. Trzymał ją mocno, ale nie próbował sprawić bólu.

– A dlaczego mam ci uwierzyć, że ją puścisz, zamiast po prostu zabić? – zapytała głosem niewiele donośniejszym od szeptu, a i tak nie mogła wyjść z podziwu, że udało się jej w ogóle coś powiedzieć.

*Świetnie ci idzie, dziewczyno. Wytrzymaj jeszcze chwilę.*

– A po co miałbym ją zabijać? – Dumont udawał, że jest zaskoczony jej pytaniem. – Z żywej mam znacznie więcej pożytku.

– Ale to nie oznacza, że puścisz ją wolno.

– Chodź ze mną – polecił.

Ciągnął ją za sobą, trzymając za rękę. Potykała się, próbując nadażyć. Zeszli po betonowych stopniach i przebili się przez tłum ludzi zajętych pakowaniem bagaży na samochody. Dumont krzyknął przez ramię do Lou, rozkazując mu przyprowadzić kobietę. Stanęli z tyłu pick-upa. Dumont polecił Posy'emu i drugiemu mężczyźnie przerwać to, co właśnie robią, i rozładować samochód. Posy posyłał im w dalszym ciągu ciekawskie spojrzenia, ściągając plecak Skauta i kilka innych drobiazgów.

– Co jest grane, szefie? – zapytał Posy, kiedy pick-up już został rozładowany.

– Idź do łańcucha przy drzwiach, chłopcze. Bądź gotów je otworzyć.

Posy odłożył ostatni pakunek i poszedł do mechanizmu łańcucha, cały czas patrząc ze zdziwieniem przez ramię na Lacey.

Na betonowej platformie załadunkowej otworzyły się środkowe drzwi i wypchnięto przez nie Alex. Prawie runęła jak długa, ale zdążyła się podeprzeć jedną ręką.

– Alex!

Na twarzy kobiety pojawiła się ulga, kiedy z odległości pięćdziesięciu metrów ujrzała Lacey. Alex wyglądała okropnie. Pręga na szyi i siniaki, które pokrywały praktycznie całą jej szyję,

miały różne odcienie fioletu i błękitu. Oczy Lacey zaszyły łzami, kiedy wyrwała się z uścisku Dumonta i pobiegła w kierunku przyjaciółki. Alex doszła do najniższego z betonowych stopni, kiedy Lacey na nią wpadła, objęła ją i mocno ścisnęła.

Alex straciła na moment dech w piersi, wzdrygnęła się.

– Nie tak mocno, maleńka – szepnęła. – Wyciśniesz ze mnie resztkę życia.

– Przepraszam. – Lacey rozluźniła uchwyt.

– Co się dzieje?

Lacey poczuła, że przyjaciółka głaszcze ją po plecach. Mało brakowało i zaczęłyby płakać.

– Powiedziałam mu, że wiem, gdzie jest Red.

– Kto taki?

– Red. Ta dziewczyna, której szuka.

Alex nie odpowiedziała.

– Widziałyśmy ją. Jej samochód się rozbił. To od niej mam ten medalik.

Alex chwyciła Lacey za ramiona i łagodnie odsunęła ją od siebie, tylko na tyle, by spojrzeć dziewczynie w oczy.

– Jesteś tego pewna?

Lacey szybko potaknęła. Nie była pewna, ile jeszcze mają czasu, zanim Dumont je rozdzieli.

– Pokazałam mu medalik. Należy do niej. Chce, żebym zabrała do niej jego ludzi. Potem mnie wypuści.

Alex natychmiast spodobał się ten pomysł.

– To dobrze. Idź z nimi. Zrób, co trzeba, i uciekaj, jak szybko zdołasz. Nie wracaj, jeśli nie będziesz musiała.

– Powiedział, że ciebie też wypuści, kiedy przywiozą tutaj Red. Obiecał.

Głos jej się załamał, gdy wypowiadała kilka ostatnich słów. Oczy raz jeszcze zaszyły jej łzami, bo wiedziała, jak nedorzecznie to brzmi. Jak mało prawdopodobne jest to, że człowiek taki jak Dumont dotrzyma słowa.

– To cudownie, kochanie – wyszeptała Alex głosem zmęczonym

i łamiącym się. – Nie martw się o mnie. Nic mi nie będzie.

– Zawsze tak mówisz – powiedziała oskarżycielsko Lacey przez łzy. – A potem cię duszą i w ogóle.

Alex uśmiechnęła się boleśnie.

– No może czasem tak się to kończy, ale plany zawsze są inne. Na początku ma być dobrze.

– Wystarczy! – Nagle koło nich zjawił się Dumont. Chwycił Lacey za nadgarstek i oderwał ją od Alex. – Louis, ty jedziesz. Weź jeszcze kogoś ze sobą. Sprężaj się.

Bez słowa sprzeciwu Lou podszedł do mężczyzny zgarbionego właśnie nad tylną tablicą rejestracyjną winnebago i zamienił z nim kilka zdań. Po chwili obaj do nich podeszli.

– Weźcie ją. – Dumont pchnął Lacey w ich stronę. Dziewczyna wpadła w ich ręce, ale wyrwała się, jak tylko odzyskała równowagę. – Kiedy doprowadzi was do Red i będziecie pewni, że to ona, wypuście ją. Słyszycie mnie? Wypuście ją całą i zdrową. Potem wróćcie tutaj. Jeżeli zrobicie jej krzywdę, powyrywam wam kręgosłupy. Wszystko jasne?

Lou i garbus pokiwali głowami.

Dumont popatrzył na Lacey.

– Wystarczy?

Pozwoliła pytaniu wybrzmieć w jej głowie. Czekwała na reakcję Głosu. Chciała, by podjął decyzję za nią, nawet jeśli istniała szansa, że go sobie wymyśliła. Poczucie winy już i tak zjadało ją od środka.

*Musi wystarczyć – powiedział Głos. – Może będziemy mieli szansę, żeby po nią wrócić.*

Obejrzała się na Alex, a kobieta raz jeszcze skinęła w jej stronę. Kiedy tak stała i patrzyła na Lacey, w jej ruchach widać było jedynie zdecydowanie, nie słabość.

Lacey obróciła się w stronę Dumonta.

– Pamiętaj, co obiecałeś.

Dumont uniósł dłoń.

– Posy! Otwieraj drzwi!

Drzwi zaczęły się unosić ze stukotem, a jasne promienie światła słonecznego wdzierały się coraz mocniej do środka, w miarę jak Posy je otwierał.

Dwóch mężczyzn chwyciło dziewczynę.

– Alex! – Lacey próbowała się uwolnić, ale oni już nieśli ją do samochodu. – Nie, zaczekajcie! Alex!

Wciąż się szarpała, aż Lou usiadł w środku obok niej i uderzył ją w okolicę ucha. Osunęła się na siedzeniu, trzymając się za głowę. Gorące ucho zaczęło już boleśnie puchnąć. W szoferce aż huknęło, a dziewczyna wzdrygnęła się, kiedy pick-upem zakołysało. Dumont cofnął się od drzwi Lou, na których widniało teraz duże wgniecenie w miejscu, gdzie przed chwilą wylądował jego kopniak.

Lou podniósł ręce w przeproszającym geście.

– Przepraszam, szefie. To się więcej nie powtórzy.

– Mam nadzieję.

Dumont odwrócił się, a Lou posłał Lacey chytry uśmieszek.

Posy skończył już podnoszenie bramy wjazdowej. Dopiero za drugim razem Lou zdołał zamknąć wgięte drzwi. Wreszcie uruchomił silnik. Lacey obróciła się, a pick-up ruszył. Dziewczyna obserwowała, jak Alex stopniowo się od niej oddala. Dumont stał u jej boku, położył dłoń na ramieniu kobiety.

Lacey wciąż patrzyła w oczy Alex. Nie odwracała wzroku, dopóki Lou nie wyjechał wozem na zewnątrz i przyjaciółka nie zniknęła jej z pola widzenia, ale nawet wtedy Lacey wpatrywała się przez tylne okno w hałaśliwie opadającą bramę.

*Nie mogłaś zrobić nic więcej – powiedział Głos. – A teraz przynajmniej jedna z was ma szansę przeżyć.*

– A co z szansami Alex? – wyszeptała.

Głos nie odpowiedział.

Po raz pierwszy Lacey też nie miała nic więcej do powiedzenia. Obróciła się z powrotem i ślepo wpatrywała w schowek samochodowy.

*Nie jest tak źle. Na razie dwie i pół osoby na trzy przetrwały.*

Minęła chwila, zanim dotarły do niej jego słowa.

– Dwie i pół? O czym ty mówisz?

Lou wyciągnął kieszonkowe walkie-talkie i włączył je.

– Pobudka, Jacky. Szef chce wyjechać w ciągu pół godziny.

Pochylił się do przodu i spojrzał na dach sąsiadującego budynku, a Lacey zobaczyła, że jakiś mężczyzna podchodzi do jego krawędzi. Pomachał do nich, a mężczyzna z radia odpowiedział, że jest już w drodze. Jego głos brzęczał niewyraźnie przez małe głośniki. Lacey przysłuchiwała się tej wymianie zdań i zupełnie przegapiła, co mówił do niej Głos.

– Co? – odezwała się, zupełnie nie dbając o to, że mówi na głos.

*Dwie i pół osoby na trzy to nie taki zły wynik. W końcu ty masz się całkiem nieźle. No i jestem przekonany, że Skaut też jakoś sobie radzi. Poza tym nie spisujemy jeszcze Alex na straty. Właśnie ją liczę jako pół – wytłumaczył.*

Serce Lacey aż zadudniło, próbując wyłamać mostek.

– Powtórz to, proszę. To o Skaucie.

Dziewczyna miała trudności z oddychaniem.

– *Powiedziałem – powtórzył z naciskiem Głos – że Skaut jeszcze żyje. A przynajmniej żył, kiedy widzieliśmy go po raz ostatni.*

# CZEŚĆ POMIĘDZY

Człowiek, który był Łazarzem

## Rozdział 1

Pielgrzym wolałby już chyba nie żyć. Jeżeli śmierć oznaczałaby kres niesamowitego bólu rozsadzającego mu głowę, to chętnie oddałby się w ręce tego, kto obecnie zarządzał piekłem. Zrobiłby naprawdę wiele, by wkraść się w łaski tego kogoś. Wszystko, dosłownie wszystko, byle tylko ból ustał.

Było mu zimno już od dawna, ale chłód był niczym w porównaniu z płynną agonią, jaka przelewała się teraz od karku w kierunku czaszki. Czuł się tak, jakby ktoś odciął mu głowę i zastąpił ją palącą kulą słońca. I choć ogólnie miał dreszcze i szcząkał zębami, to jego głowa pulsowała gorącym bólem, który był zsynchronizowany z jego galopującym pulsem.

W pewnym momencie udało mu się obrócić na plecy i wtedy drugie ogniste słońce gwałtownie go oślepiło.

Wydawało mu się, że leży tam obolały całymi miesiącami. Kiedy w końcu udało mu się unieść dłoń i zbadać tył głowy, znalazł palcami brejowate wyżłobienie za prawym uchem. Pod delikatnym dotykiem jego palców kości się przemieściły, a ból eksplodował niczym mgławica. Szarpnęło nim, zesztynniał i krzyknął. Dźwięk był wysoki i przenikliwy, brzmiał jak wycie rannego zwierzęcia. Następnie błogosławiona ciemność pochłonęła go raz jeszcze.

Kiedy się obudził i zorientował, że wciąż żyje, zawył z rozpacz. Nie trwało to długo, bo jego gardło jako takie już nie istniało. Jego środek wyścielało pokruszone szkło, dlatego nie mógł przełykać, a nawet oddychanie przychodziło mu z trudem. Powietrze świszczało w tchawicy.

W końcu wyczerpały go ból i niemożność normalnego oddychania.



Ścisnął się za zebra i przetrzymał powracający kilka razy odruch wymiotny. Przeczekał i kiedy wreszcie mu przeszło, ból stał się odrobinę bardziej znośny.

Jakimś sposobem udało mu się wstać. Zamrugał kilkakrotnie w stronę słońca. Zmrużył oczy i spojrzał w kierunku zdezelowanego samochodu, który stał na wprost niego. Mrugnął raz jeszcze, ponieważ lewe oko nie mogło się zogniskować. Prawe wciąż działało poprawnie i wykorzystał to, by przyjrzeć się potłuczonemu szkłu, krwi i feldze odartej z ogumienia. Był pewien, że to powinno nasunąć jakieś wnioski, ale zmęczony mózg nie pozwalał mu skoncentrować się na tyle, by wreszcie wywnioskować co, jak i dlaczego. Poza tym czuł dotkliwy ból, gdy próbował się nad czymś głębiej zastanowić, dlatego dał sobie spokój. Pokuśtykał do śladów kół na miękkiej ziemi obok skraju drogi. Wiedział, że był tu jeszcze jeden pojazd. To również miało niebagatelne znaczenie.

Potrzebował wody. To było jego główne zmartwienie. Skoro stał już jako tako, przesunął myśli samobójcze o oczko czy dwa w dół na swojej liście priorytetów. Spojrzał za siebie w stronę miasteczka. Mógłby tam dojść. Zmrużył oczy i przyjrzał się drodze, po czym obrócił się i popatrzył w drugą stronę. Ani żywej duszy po sam horyzont, i to w obydwie strony. Zero ruchu.

Pokuśtykał do samochodu i schylił się, by podnieść coś z ziemi. Prawie padł na twarz, gdy świat zadrżał. Miał wrażenie, jakby stał w gabinecie luster i obserwował dziwacznie zmieniający się świat. Wyprostował się ostrożnie, oddychając powoli. Poczekał, aż ból zelżeje, i napinał rytmicznie palce, zaciskając je na kamieniu, który znalazł. Był ciężki i rozmiaru dziecięcej główki. Podobał mu się ten rozmiar.

Strzepnął szkło z siedzenia kierowcy, zanim wsiadł do środka. Kamień położył na fotelu pasażera obok siebie. Nadal czuł, jak drży mu dłoń, więc opuścił ją po raz kolejny i zaczął poszukiwania. Znalazł pogniecioną mapę na wycieracze i ciemnoczerwoną chustę z frędzlami. Kiedy ją podniósł, czerwony materiał okazał się tak cienki, że widział przez niego drogę. Chusta zabarwiła cały jego

świat na krwistoczerwono. Zawiązał ją jak bandanę i zasłonił nią twarz, ale nie zaciskał zbyt mocno. Mapę złożył i schował do kieszeni. Sprawdził pozostałe skrytki w kurtce i znalazł działającą zapalniczkę Zippo, scyzoryk i kłębek drutu. Nie pozostało mu już nic innego do sprawdzenia, przesunął więc palce w stronę stacyjki i zdziwił się, kiedy znalazł tam kluczyk. Zamknął oczy, przekręcił go i auto odpaliło za pierwszym razem.

– Bingo – mruknął.

Zawrócił, koła buksowały i zgrzytały na asfalcie. Skierował się ku miasteczku.

Ścisnął w silniejszej pięści kamień, wędrując od domu do domu. Nie była to może broń wymarzona, ale przydałaby się, gdyby ktoś go napadł. Każdorazowo po wejściu do domu spędzał pięć minut na progu, nasłuchując. Nie ruszał się, dopóki nie stwierdził z satysfakcją, że tylko on przebywa na posesji. A nawet wtedy pozostawał czujny, nerwowy. Nie był pewien, czy znał już wcześniej to uczucie, ale i tak go nie lubił.

W trzecim domu odnalazł w szafie na piętrze butelkę wybielacza. W piątym natknął się na wodę w baniaku, którą ktoś schował w łazience przy pokoju. Dodał do niej kilka kropli wybielacza i wypił to wszystko. Smakowało metalicznie i drażniło przełyk. W garażu ósmego domu znalazł pod stołem warsztatowym schowaną apteczkę, a w niej buteleczkę aspiryny. Nalał do starego rondla resztki wody z bojlera. Było jej tyle, że prawie wypełniła rondel. Połowę wypił na raz, przy okazji łykając kilka tabletek przeciwbólowych. Na koniec opuścił budynek.

Skręcił za róg i zobaczył jakąś ciemną postać biegnącą po jego lewej stronie. Gwałtownie uniósł głowę, poderwał rękę, w której nadal trzymał kamień wielkości dziecięcej główki, gotów rzucić nim w atakującego. Natychmiast pożałował tego ruchu, kiedy ból rozsądził mu głowę, kark i ramiona. Zobaczył przed sobą jedynie opuszczoną ulicę, kilka smutnych, przywiędłych drzew i dwa identyczne rzędy podwórek z bujną roślinnością. Cicho jęcząc,

opuścił kamień. Poczul się jak dureń. A nie przepadał za tym.

Pnącza i chwasty wychodziły z kratek ściekowych przy chodnikach i choć przecież teoretycznie rzecz biorąc, były żywe, to i tak ani one, ani nic innego na ulicy się nie ruszało. Ucisnął na moment powiekę lewego oka. Była gorąca i wrażliwa na dotyk.

Stał tak przez chwilę, dając postaci szansę na to, by pokazała się raz jeszcze. Kiedy tak stał, jego oko raz jeszcze zaczęło szwankować, zaszło jeszcze mocniej krwią. Westchnął. Nie mógł już ufać nawet własnemu wzrokowi.

Kontynuował poszukiwania. W pięciu z ośmiu następnych domów natknął się na zwłoki. Na szczęście nikt nie stanął na jego drodze i nie musiał dokładać żadnych dodatkowych trupów. Wiele z tych ciał powieszono na prowizorycznie przygotowanych pętlach. Dwie osoby miały rany postrzałowe, które najwyraźniej same sobie zadały, czteroosobowa rodzina przebywająca w garażu umarła w środku swojego nissana. Od rury wydechowej pociągnięto wąż i wprowadzono go do środka przez tylne okno. Ostatni człowiek pożegnał się z życiem w najbardziej kreatywny sposób, ktoś założył mu na głowę worek foliowy i owinął go taśmą. Z przodu torby widniała Myszka Mickey, której okrągłe oczy wypadały w takim miejscu, że idealnie zasłaniały oczy trupa.

Dla wielu ludzi ich śmierć była sprawą bardzo prywatną, dlatego zejście z tego świata należało organizować na bezpiecznym terytorium własnego mieszkania albo w miejscach odosobnionych. Ludzie działający pod wpływem impulsu albo niemający dość czasu na zaplanowanie własnego końca bez skrępowań odbierali sobie życie w miejscach publicznych. I nie tylko sobie.

Wędrując od domu do domu, Pielgrzym nie przyglądał się zbyt uważnie oprawionym zdjęciom uśmiechających się członków rodzin porozstawianym na gzymsach kominków i na stolikach. Nie patrzył na pluszowe zabawki na siedziskach przy oknach czy w pokojach pomalowanych na różowo, żółto bądź fioletowo. Nie zwracał uwagi na puste kołyski wyściełane miękkimi kocykami dziecięcymi, które leżały w nieładzie i zbierały kurz. Nie chciał

widzieć roześmianych twarzy martwych ludzi, których domy właśnie plądrował.

W pewnym momencie zorientował się, że stoi na podjeździe z wypełnionym w połowie rondlem. Nie miał pojęcia, jak ani kiedy się tam znalazł. Patrzył na pęknięcie w asfalcie, z którego wyrastała roślinka wyglądająca jak falbaniasta, zielona chusteczka. Spojrzał na rondel w ręce. Zmarszczył brwi. Coś mu umykało i chwilę mu zajęło, zanim zdał sobie sprawę, że zgubił gdzieś swój kamień. Szybko się rozejrzał w poszukiwaniu kolejnych podejrzanych postaci, ale w dalszym ciągu był sam. Jego zmartwienie zelżało. Odchylił głowę i podziwiał przez moment bezkresne błękitne niebo. Wszystko wokół było takie spokojne. Wręcz nienaturalnie. Coś tu się nie zgadzało.

– Halo?

Nie doczekał się odpowiedzi.

Jego spokój został zakłócony donośnym ziewnięciem, od którego zaboląły go bębunki w uszach. Był wyczerpany, wszedł do środka i znalazł swój kamień na stole w jadalni. Teraz przypomniał sobie, że faktycznie tam go zostawiał. Położył się na pierwszej kanapie, którą zobaczył, rondel z wodą postawił ostrożnie obok i zasnął z kamieniem ułożonym na brzuchu.

Kiedy otworzył oczy, na zewnątrz wciąż było jasno. Wiedział już, dokąd musi się udać. Wziął jeszcze trzy aspiryny, dopił wodę i ruszył do wyjścia, a wtedy usłyszał ciche skrzypnięcie na piętrze wyżej, a po nim kliknięcie drzwi.

Stał tak przez chwilę, z jedną nogą na zewnątrz, a drugą w środku, i nasłuchiwał. Nie usłyszał już nic więcej, a jednak był przekonany, że ktoś tam na górze jest. I był przez cały czas, pewnie chodził obok niego, kiedy spał. Sama myśl powinna go niepokoić, włączyć w jego głowie jakiś alarm, ale nie. Zostawił drzwi frontowe otwarte i po własnych śladach wrócił do schodów.

Z jednej strony część jego pragnęła, by wyszedł z tego domu, ale z drugiej strony coś go przed tym powstrzymywało. Ułożył kamień na drugim stopniu i zaczął wchodzić po schodach.

Nie zawracał sobie głowy trojgiem zamkniętych drzwi i skierował się prosto do czwartych. Chwycił klamkę słabą lewą dłonią, obrócił i pchnął.

Najpierw w oczy rzuciło mu się ciało dziecka na łóżku. Ręce i nogi były krótkie, zdeformowane. Szczeciniaste włosy leżały na zakurzonej poduszce. Nie, to jednak nie dziecko, tylko lalka ludzkich rozmiarów. Częściowo schowana pod różową kołdrą.

Zaraz po tym zauważył chłopca, który kulił się w kącie. Chłopiec był jak najbardziej żywy i wpatrywał się w Pielgrzyma wielkimi, ciemnymi oczyma.

Na końcu Pielgrzym dostrzegł trzymany przez chłopca nóż. Mały nie groził nim intruzowi, tylko przyciskał ostrze do swojego nadgarstka. Naciął już skórę. Cienka strużka krwi popłynęła po przedramieniu i kapiała czerwonymi kroplami na szary dywan.

Pielgrzym został w wejściu. Patrzył na krwistą linię i powiedział:  
– Tanatos.

Chłopiec zmarszczył brwi, ale raczej z niepewności niż strachu.

Pielgrzym się zawahał. Nie miał pojęcia, dlaczego powiedział to słowo.

– Nie – spróbował powstrzymać chłopca. – Nie rób tego.

Wypowiedzenie tylu słów wymagało od niego wiele wysiłku. Zupełnie jakby próbował wypluć garść kamieni.

Skóra na nadgarstku uginała się, bo chłopiec mocno przyciskał ostrze, a nóż drżał w jego dłoni.

Pielgrzym musiał bardzo się postarać, by sformułować kolejne sylaby.

– Jak masz na imię?

Chłopiec powoli pokręcił głową.

– Żadnych imion? No dobrze. Czy... mieszkasz tutaj?

Raz jeszcze pokręcił głową.

Pielgrzym cierpliwie pracował nad ruchami ust, zmuszając je do otwierania się i zamykania.

– Nie jesteś fanem rozmów – podsumował ze zrozumieniem.

Wiele mówiące oczy chłopca spojrzały z zaciekawieniem.

– Co ci się stało? – Mówił z dziwnym zaśpiewem, prawie jakby to nie był jego ojczysty język.

Pielgrzym ostrożnie wszedł do pokoju i kucnął. Był teraz na poziomie chłopca. Zatrzymał się przy nogach łóżka, dzięki czemu dzieliły ich jeszcze ze dwa metry. Oparł się o ramę łóżka. Tego potrzebował.

– Zgubiłem coś... ważnego. Teraz muszę to odnaleźć. – Pielgrzym machnął dłonią obok głowy, wściekły na powstały w niej myślowy zator. – Mam dzisiaj pewne problemy... Ze znalezieniem słów.

– A gdzie ostatnio widziałeś to coś?

Pielgrzym rzucił okiem na nóż. Zwrócił uwagę, że napięcie skóry pod nożem zelżało.

– Chyba w... – przez chwilę walczył ze sobą, próbował znaleźć słowo, ale nie potrafił, więc dokończył inaczej – ...w budynku z książkami.

– W bibliotece?

– Tak. W bibliotece.

– Powinieneś zawrócić. I sprawdzić, czy wciąż tam jest.

Pielgrzym przytaknął.

– Taki był plan.

Chłopiec popatrzył na niego uważnie.

– Pamiętasz, co takiego zgubiłeś?

Nie pamiętał, ale jak tylko pytanie padło, to i odpowiedź się znalazła.

– Dziewczynę.

– Twoją krewną?

– Nie. Po prostu dziewczynę.

– Ale ona cię potrzebuje?

– Tak. Ile masz lat?

– Trzyście. A ty ile masz lat?

Pielgrzym się uśmiechnął.

– Jestem już tak stary, że nie pamiętam.

Lekki uśmiech pojawił się również w kącikach ust chłopca. Zaraz potem wrócił do swojej uroczystej miny. Odsunął nóż od

nadgarstka.

– Czasami... Czasami dobrze jest z kimś porozmawiać. Bywa samotnie.

– Tak, czasami. Ale w samotności jest dość spokojnie.

– Czasami.

Pielgrzym popatrzył w dół na nóż, który chłopiec trzymał teraz luźno na kolanach.

– Masz rodziców? – zapytał ostrożnie. – Rodzinę?

– Mam. Nie żyją.

W jego głosie pobrzmiwała ostateczność.

– Czyli jesteś tutaj sam? – Pielgrzym rozejrzał się po sypialni, choć wiedział już, że jest w niej tylko on, chłopiec i lalka na łóżku.

– Nie całkiem sam, nie – odpowiedział, a Pielgrzym ponownie skupił całą swoją uwagę na nim, a chłopiec dodał: – Przecież właśnie teraz rozmawiam z tobą.

Pielgrzym wydał z siebie cichy dźwięk aprobaty, ale nie był pewien, czy chłopiec nie miał na myśli czegoś więcej. Podejrzliwość czaiła się w nim, choć nie wiedział dlaczego.

Chłopiec pokiwał głową.

– Nic mi nie będzie. Dziękuję. Widzisz? – Pomachał nożem i położył go na dywanie, a przebłysk uśmiechu wrócił raz jeszcze. – Żadnych więcej złych myśli.

Pielgrzym nie był do końca przekonany. Kiedy tu wchodził, wyglądało na to, że chłopiec zamierza podciąć sobie żyły. Nie chciał zostawiać go w pustym domu z ciałami tylu samobójców dookoła, które mogły mu podpowiadać, że ucieczka w objęcia śmierci może być lepsza niż obecne życie.

Znowu poczuł potrzebę, by się ruszyć, wstać, zejść z powrotem na dół i wyjść na zewnątrz, w blask słońca. Minęło za dużo czasu. Więcej niż było do dyspozycji.

Wyciągnął otwartą dłoń w kierunku chłopca.

– Pójdiesz ze mną? Przynajmniej do... – wypowiedział słowo prawie natychmiast, nie chcąc by znowu mu umknęło – ... biblioteki.

Ciemne oczy chłopca wbiły się w jego otwartą dłoń, potem przeniosły na twarz. W ich głębi zalśniła iskierka.

– Hari – powiedział cicho mały.

Pielgrzym zmarszczył brwi.

– Hari?

– Tak, Hari. Tak mam na imię.



## Rozdział 2

Pielgrzym pojechał rozklekotanym autem do biblioteki. Zgrzytał zębami, słysząc, jak metalowa felga trze piskliwie o asfalt. Słyszając ten dźwięk, czuł się, jakby ktoś przesuwiał pokruszone szkło w jego głowie. Patrzył uważnie na każdy mijany dom. Na ich oczy – okna, na usta – drzwi, a także na to, jak wyglądały, wypatrując śladów jakiegokolwiek aktywności. Równie dobrze mógł szukać życia na Marsie. Miasteczko wydawało się zupełnie opuszczone, nie licząc jego i chłopca, ale przecież gdzieś musieli ukrywać się ludzie. To miejsce było idealnych rozmiarów: nie dość duże, by niepożądane typki kręciły się tu w poszukiwaniu łupów, ale na tyle okazałe, by zapewnić wystarczające wygody i udogodnienia. A jednak wokół nie było śladów życia.

Pielgrzym przeczesywał miasto i raz po raz spoglądał na swojego towarzysza.

Hari siedział obok niego, ściskając torbę na ramię, którą trzymał na kolanach, i w ciszy wyglądał przez okno. Zanim wyszedł z sypialni, schował nóż w torbie i wyciągnął z niej dwa ciastka ryżowe, z czego jedno wręczył swojemu nowemu towarzyszowi. Wyglądniący Pielgrzym rzucił się na nie, a chłopiec obserwował go szeroko otwartymi oczyma. Hari zaoferował mu połowę swojego ciastka i Pielgrzym zjadł również to.

– Zmierzałeś w jakieś konkretne miejsce? – zapytał Pielgrzym, co odciągnęło uwagę chłopca od mijanego przez nich podwórka, na którym zardzewiała kosiarka stała w dużej kępie trawy.

Hari skinął głową, jak gdyby to był jego podstawowy sposób potwierdzania.

– Jest takie miejsce. Nad morzem.

Pielgrzym nie odzywał się przez chwilę, czekając na ciąg dalszy i rzeczywiście chłopiec odezwał się znowu:

– To tajemne miejsce. Gospoda. Ukryta.

– I byłeś już wcześniej w tej... gospodzie? – Im więcej Pielgrzym mówił, z tym większą łatwością przychodziło mu formowanie kolejnych zdań. Usta i mięśnie języka nie stawiały już oporu, kiedy próbował ułożyć słowa w zdania.

Chłopiec wyglądał na zamyślonego.

– Nie. Ale czytałem o niej.

Pielgrzym skreślił w lewo, do większości manewrów używając prawej dłoni. Samochód prowadził automatycznie, i dobrze, ponieważ ufał swoim odruchom. Jeszcze raz rozejrzał się uważnie, kiedy wjeżdżali w kolejną ulicę. Parking biblioteki był przed nimi po prawej stronie.

– I wierzysz osobie, która o niej napisała? – spytał, spoglądając na chłopca.

– Tak. – Chłopiec potarł palcami usta i popatrzył na Pielgrzymą kątem oka, jakby bał się bezpośredniego kontaktu wzrokowego. – Słyszałem również o czerwonym niebie. Słyszałeś o nim?

Serce Pielgrzymy podskoczyło, na szczęście nie za mocno, jak gdyby jego ciało dokładnie wiedziało, o czym mówi chłopiec, ale mózg nie bardzo mógł skojarzyć. Ukłucie bólu przeszło mu tył głowy, jakby chcąc go ostrzec przed zadawaniem kolejnych pytań.

– Nie, nie sędzę. A co to takiego?

– Podobno jak już się je zobaczy, to tak łatwo się go nie zapomni.

Pielgrzym zapomniał już tak wiele rzeczy, ale nie zamierzał się spierać. Chciał powiedzieć chłopcu, że jest zdecydowanie zbyt enigmatyczny, ale język zbuntował się na samą myśl o tak długim słowie.

– To nie do końca jasne, Hari.

Wjechał na przestrzeń parkingową przed głównym wejściem do biblioteki i stanął. Silnik przestał pracować i zaległa cisza.

– Mnie również wiele rzeczy wydaje się niejasnych – powiedział

cicho chłopiec z poważną miną. – Ale tutaj nie ma dla mnie miejsca. Dlatego udam się tam i zobaczę, co dalej.

Pielgrzym siedział bez ruchu przez długą chwilę. Patrzył przez okno na otwarte wejście do biblioteki. Z fascynacją obserwował, jak słaby, zamazany pierścień czerni pulsował dookoła wejścia. Był on zsynchronizowany z bólami, które go nachodziły, z kolei jego lewe oko przymykało się, kiedy ataki bólu się nasilały. Nadgarstki oparł luźno na kierownicy, choć daleko mu było do jakiegokolwiek luzu. Czuł, że chłopiec na niego patrzy. I co on miał z nim począć? Nie mógł mu niczego zaoferować. Ani jedzenia, ani ochrony. Jedynie podwiezienie.

– Hari, obawiam się, że tam, dokąd się wybieram, będzie niebezpiecznie. Zabiorę cię tak daleko, jak zdołam, ale nic więcej nie mogę ci obiecać.

Skinięcie głową.

– Co do tej dziewczyny, której szukasz...

Pełne życia oczy Hariego były tak ciemne, że mógł w nich zobaczyć lśniące odbicie siebie, nieco zniekształcone. Intensywność, z jaką patrzył na niego Hari, wprawiała go w zakłopotanie.

– Ma ogromne szczęście, że jesteś jej przyjacielem.

Weszli do biblioteki i Pielgrzym zostawił Hariego w holu, po czym udał się na dół, otwierając przy tym kciukiem swoją zapalniczkę Zippo. Z drżącym płomieniem służącym mu za przewodnika odnalazł martwego mężczyznę.

Wszystko do niego wracało, wyłaniało się powoli z mętnych wód jego umysłu. Zanim zobaczył zwłoki, przypomniał sobie pajaka z masy papierowej i to, jak tamten mężczyzna wkopał ozdobę do pomieszczenia we wnęce. Uniósł głowę, zacisnął niewyraźnie widzące oko, po czym popatrzył przez ciemne przejście do pokoju kryjącego się pod schodami. Pomieszczenie przyciągało go prawie tak wyczuwalnie, jakby jakaś niewidzialna dłoń szarpała go za kołnierz.

Przeszedł przez próg i popatrzył na poduszkę. Było w niej

zagłębienie, a obok, na podłodze, leżał album. Klęknął obok fotela i na widok płamy zastygłej stearyny na półce powyżej zbliżył do niej zapalniczkę. Położył dłoń na poduszce, materiał był szorstki w dotyku, a ślad po siedzącej tu wcześniej osobie nadal utrzymywał się dzięki wypełniającym ją polistyrenowym kulkom. Właśnie tutaj siedziała dziewczyna. Pamiętał, jak wyglądała w migocącym świetle płomienia, pamiętał jej włosy w kolorze ciemny blond, jej posiniaczoną twarz i oczy pozostające zazwyczaj w cieniu. Obserwowała go uważnie, jakby chcąc rozłożyć jego duszę na czynniki pierwsze.

Jak miała na imię?

Wiedział. Był pewien, że je zna.

A jednak mu umykało.

Był sfrustrowany. Chwycił się za obolałe zębra, okręcił się w miejscu i usiadł na fotelu, a delikatny szelest polistyrenowych kulek wydał mu się bardzo tajemniczy.

Właśnie wtedy zobaczył drzewo. Stało w narożniku pokoju, osnute cieniami. Ptaki poukrywane na gałęziach obserwowały go bacznie swoimi czarnymi oczyma. Nie widział, jakiego jest koloru, a jednak był pewien, że liście wykonano częściowo z półprzezroczystej zielonej bibułki, a pień pomalowano na brązowo. Czuł, że jest szorstkie w dotyku.

Czubkiem języka dotknął krawędzi przednich zębów. Cofnął go. Przypomnił mu się pewien kształt. L.

– Lacey – wyszeptał.

I jeszcze jedno imię. Zaczynało się od podobnych liter.

Alex.

– Tak. Alex.

Poczuł gorącą plamkę na dłoni, ale kiedy spojrzał w dół, jedyna krew, jaką zobaczył, była już brązowa, zaschnięta i zaczęła się kruszyć. Usłyszał wystrzał, poczuł gorący powiew powietrza, ale eksplozja bólu nie nadeszła. Bolała go jedynie głowa. Zwłaszcza za oczami. Stojące przed nim drzewo wydawało się pulsować i falować, a jego krawędzie rozbłyskiwały białym światłem.

Zamknął oczy i oddychał głęboko przez nos. Czekał. Kiedy poczuł się lepiej, wstał z fotela i wyszedł z pokoju. Udał się w stronę trupa i przeszukał mu kieszenie. Znalazł opakowanie skręconych samodzielnie papierosów, pudełko zapalek i podniszczony portfel, który zawierał jedynie dwie fotografie, obie przedstawiały ładną brunetkę, która uśmiechała się nieśmiało do aparatu, i list napisany tak niewyraźnie, że Pielgrzym miał problemy z jego przeczytaniem. Odłożył portfel i jego zawartość na bok. Pod nogawką mężczyzny znalazł pochwę przyczepioną do łydki, a w środku nóż myśliwski. Zabrał go i przypiął do swojej nogi. Nie pozostało nic więcej do zrabowania, toteż Pielgrzym wyszedł z działu dziecięcego.

Hariego nie było, gdy znalazł się w holu biblioteki. Pielgrzym rozwinął mapę z samochodu i rozłożył ją na podłodze. Odnalazł drogę, którą jechał, kiedy spotkał dziewczynę. Mógł z łatwością śledzić trasę, którą obrali, ale nie był w stanie przeczytać nazw miast przy niej. Słowa wierciły się przed jego oczyma jak małe, czarne larwy, jednak im bardziej próbował się na nich skupić, tym szybciej się ruszały. Zasłonił dłonią lewe oko i posłużył się tym lepiej funkcjonującym, ale nic to nie dało. Złożył mapę z powrotem i przez chwilę siedział w blasku zachodzącego słońca, które oświetlało go przez pozbawione drzwi wejście. Czekał, aż pojawi się Hari. Patrzył przez wejście do biblioteki na stojący na parkingu samochód i bezchmurne niebo nad nim, na linii wzroku miał również swoje zakurzone buty. Stanowiło to wspaniałe podsumowanie jego życia: nic ciekawego.

Siedział tam zdecydowanie za długo, a świat wokół niego był pogrążony w ciszy. W końcu wstał, krzywiąc się z bólu, i wyszedł na zewnątrz.

– Znalazłeś coś? – Chłopiec siedział na murku przy wejściu, jego stopy dyndały dwadzieścia centymetrów nad ziemią.

– Tak – odpowiedział Pielgrzym. – Ale martwi nie byli skłonni do snucia opowieści.

Hari zmarszczył złowrogo brwi na te słowa.

Pielgrzym uzmysłowił sobie, że słyszy dziwny szum pod stopami, jakby słabe buczenie.

– Czujesz to? – zapytał.

– Wibracje? Tak. Pod miastem działają generatory. Tam na dole muszą mieć elektryczność.

– Muszą? – Pielgrzym przyjrzał się chłopcu, od obutych w tenisówki stóp po czarną czuprynę na głowie.

– No tak. Chodzi tutaj niestety o ludzi, którzy są bardzo niegościnni wobec obcych. Nawet samotnych chłopców.

Pielgrzym osłonił dłonią obolałe oczy, po czym obejrzał okoliczne budynki, ale wokół nie było nic, czego by już wcześniej nie widział. Być może wzrok jednak wcale nie zawiódł go wcześniej, kiedy kątem oka widział ciemną postać, która tak szybko po tym zniknęła z jego pola widzenia.

– Są dobrzy w ukrywaniu się – skomentował, pozostając pod wrażeniem ich pomysłowości. Nic dziwnego, że nie widział żadnego życia nad ziemią. Jeśli potrzebujesz dobrodziejstw wynikających z usytuowania miasta, ale nie chcesz, by znaleźli cię przejezdni, to przeniesienie się pod ziemię wydawało się idealnym rozwiązaniem.

– Tak, ale tam jest wielu ludzi. Musieli słyszeć opowieści. Przez to są jeszcze ostrożniejsi.

– Opowieści?

– O człowieku, który wyciąga ludzi z domów. Przychodzi po tych, którzy słyszą więcej niż ty i ja jesteśmy w stanie. Związuje ich, pakuje do worków i wywozi w noc. Nie słyszałeś o nim? – zapytał Hari, przechylając głowę na bok.

– Ja... Nie, nie sędzę.

Ale coś mu mówiło, że to nie do końca była prawda. W opowieści Hariego było coś znajomego, jak w historii opowiedanej mu dawno temu na dobranoc przez matkę.

– Mówi się, że podróżuje po całym świecie i szuka swoich ludzi. A kiedy skończy, niebiosą spłyną czerwienią.

Najbliższa kratka ściekowa oddalona o jakieś trzydzieści metrów od parkingu mogła pochłonać całą wodę z ulicy, nawet przy

nieustannym urwaniu chmury. Gdyby ktoś schował się w ciemności, mógłby do woli wpatrywać się prosto w niego, nawet mężczyzna, który wykorzystywał noc do poszukiwań swoich ludzi.

– Gdzie słyszałeś te opowieści?

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Wszędzie. – Zeskoczył z muru. – Dokąd teraz musimy się udać?

Wymagało to od Pielgrzyma nie lada wysiłku, ale wreszcie oderwał spojrzenie od wyimaginowanego atramentowego wnętrza kanału i wszystkiego, co mógł skrywać. Mężczyzn zarówno prawdziwych, jak i wymyślonych. Na jego liście był jeszcze jeden przedmiot, który musiał znaleźć, zanim odjadą. Jego zdobycie nie wiązało się na szczęście z czołganiem się po tunelach kanału.

Znalazł to w drodze wyjazdowej z miasta. W boku go kłuło, a lewą dłoń nadal miał słabą, do tego był przecież zajęty obserwacją studzienek. Wymiana zepsutej felgi w samochodzie na wpół zużytą, wyciągniętą przezeń z opuszczonego datsuna, zajęła mu jakieś trzydzieści minut. Przestał liczyć, ile razy felga spadała na ziemię. Za każdym razem Hari bez słowa podnosił ją i mu podawał.

Gdy Pielgrzym skończył, uczcił swój sukces, biorąc jeden ze skrętów nieboszczyka. Palił go powoli, aż żar zaczął parzyć go w palce. Poczęstował też chłopca, ale Hari uśmiechnął się nieśmiało i pokręcił głową.

Idąc na miejsce kierowcy, Pielgrzym kopnął nowe koło. Pewnie nie wytrzyma długo, ale przez jakiś czas się nada. Wyznaczył już kierunek w swojej głowie. Wschód. Nie miał dokąd się udać, dlatego równie dobrze mógł wybrać właśnie wschód. W tę samą stronę leżało morze i sekretne miejsce, o którym wspominał chłopiec.

Jeszcze jedno słowo brzmiało mu w głowie. Ruby. Tego już zupełnie nie rozumiał. Z jakiegoś powodu wydawało się ono jednak ważne, dlatego powtórzył je kilkakrotnie podczas jazdy, przeplatając imionami Lacey i Alex, aż zaczęło brzmieć jak

mantra. Lacey, Alex, Ruby. Lacey, Alex, Ruby. Czasami próbował je wymieszać i mówił Alex, Ruby, Lacey albo Ruby, Lacey, Alex. Język plątał się mu w zmaganiach z tymi imionami jeszcze wiele razy.

Nagle coś mu się wyrwało.

– Obroń ją.

Nie wiedział również, co to znaczy.

Hari popatrzył na niego zdziwiony kilka razy, gdy Pielgrzym mówił na głos do siebie, ale nie odezwał się ani słowem, być może rozumiejąc, że ten pracuje nad jakimiś nagromadzonymi myślami i wspomnieniami i że zadawanie pytań może rozpraszać.

Pielgrzym dojechał do autostrady i spojrzął na zachód, być może tylko z przyzwyczajenia, może po prostu sprawdzał obydwie strony jezdni. A może chodziło o coś więcej. Niezależnie od przyczyny dojrzał w pewnym odległości pojazd, który gwałtownie malał, gdyż się oddalał. Był zbyt daleko, by mógł określić, jakie to auto. Wszelkie szczegóły mu umykały.

– Inny samochód – wyszeptał Hari. Chłopiec obrócił się w jego stronę z pytaniem wypisanym na twarzy.

Pielgrzym zmarszczył brwi i przez moment zamyślił się nad tym samochodem, ale wiedział, że to nie kierunek, który ich interesuje, i że był już kiedyś w tamtych stronach. Nic tam na niego nie czekało. Wjechał na drogę wiodącą na wschód.

*Stań.*

To był jego własny głos, usłyszał go w swojej głowie. Był dziwnie płaski, jak gdyby dźwięk wybrzmiał w wygłuszonym pomieszczeniu o specjalnie obitych ścianach. A jednak była w nim władza.

*Zatrzymaj samochód.*

Pielgrzym zjechał na bok. Po chwili poprawił się na siedzeniu i spojrzął w lusterko wsteczne. Skrzywił się, wyęzając wzrok, ale niczego nie dostrzegł, jedynie długą, otwartą drogę. Cokolwiek tam jechało, było już daleko stąd.



– Ruby – powiedział. A potem dodał: – Lacey.

– Której z nich szukasz? – zapytał Hari, przyglądając mu się ciekawie.

– Lacey – odpowiedział.

Pielgrzym zapalił kolejnego papierosa i umieścił go w kąciку ust, pozwalając, by dym leciał mu prosto w zranione oko. Nadal patrzył przed siebie.

– Szlag – powiedział i wypuścił przez nos powietrze wraz z dwoma smużkami dymu.

Pokręcił kierownicą i zawrócił samochód, stając tyłem do swojego poprzedniego celu podróży. Popatrzył na Hariego.

– Czy to koniec naszej drogi? – spytał chłopiec.

Pielgrzym posadził papierosa i wypuścił kolejną chmurę dymu. Przez wybite okno strzepnął popiół na jezdnię.

– Przepraszam. Sam nie podejrzewałem, że to nastąpi tak szybko.

– Wszystko w porządku. Czasami musimy zaufać sobie w pewnych kwestiach, prawda? Czasem musimy zrobić krok w tył, żeby potem uczynić dwa naprzód.

Chłopiec wyciągnął prawą dłoń i na wpół uśmiechnięty Pielgrzym zacisnął papieros w ustach, a następnie chwycił podaną rękę. Wydawała się drobna w jego uścisku, ale Hari mocno potrząsnął jego dłonią.

– Poradzisz sobie?

– Oczywiście! Życzę ci dużo szczęścia – powiedział chłopiec z typowym dla siebie zaśpiewem.

– Ja tobie również, Hari. Może spotkamy się jeszcze na którejś z dróg.

Chłopiec uśmiechnął się do swojej konopnej torby na ramię.

– Kto wie – odpowiedział nieśmiało.

Wyszedł z samochodu i łagodnie, wręcz usłużnie, zamknął drzwi. Następnie cofnął się o krok, by auto mogło bez problemu wycofać.

Pielgrzym obserwował w lusterku wstecznym, jak szczupła sylwetka chłopca staje się mniejsza i mniejsza. Wystarczyło jedynie

sześć sekund, by chmura pyłu owiała i zakryła Harięgo, przez co zdawał się teraz duchem, bytem niematerialnym. Jak gdyby w ogóle go nie było.

### Rozdział 3

Lacey czuła ból. Stałe ciśnienie w plecach, biodrach i po zewnętrznej stronie ramion. Czuła, jakby jej mięśnie tworzyły teraz jedną ściśniętą i zamoczoną w kwasie masę. Spędziła tak wiele czasu, przyciskając kończyny do ciała i odsuwając je od mężczyzn po obydwu stronach, że przychodziło jej to z coraz większym trudem. Miała teraz ochotę odprężyć się na swoim siedzeniu, ale nie zamierzała tego robić. Przynajmniej dopóki zdoła wytrzymać ten ból.

Raz po raz samochód przejeżdżał po czymś i kabiną podrzucało, popychając ją to na Lou, to na Rinka. Odsuwała się od nich jak poparzona i momentalnie sztywniała.

*Jesteś uparta jak muł.*

Ból sprawiał, że trudno jej się było skupić, ale rozmowa z Głosem pozwalała oderwać się od rzeczywistości. Nie mocno, ale zawsze.

„Nie obchodzi mnie to. Nie zamierzam ich dotykać”.

*Nie złapiesz wszy i nie padniesz trupem.*

„Nie. Zamierzam. Ich. Dotykać”.

*No dobra, ale nie ty jedna musisz radzić sobie z dyskomfortem.*

„Opowiedz mi jeszcze o Skaucie”.

Głos westchnął i zagwizdał, co połaskotało ją wewnątrz ucha.

*Mówiłem ci już trzy razy. Ostatnim razem, kiedy go widziałem, jeszcze żył. Było to dokładnie wtedy, kiedy i ty go widziałaś, na rozwidleniu dróg.*

„Ale to było dawno. Zostawiliśmy go krwawiącego z raną postrzałową głowy. Wiele się mogło od tamtej pory wydarzyć”.

Okropna muzyka płynąca z głośników auta skończyła się i Rink

pochylił się do przodu, by pokręcić przy kontrolkach. Lacey odsunęła się, gdy tylko jego ręka musnęła jej ramię. Muzyka była kolejnym elementem, który próbowała wyprzeć. Wszystkie te piosenki opowiadały o miłości, samotności i tęsknocie za domem. Przypominały jej, że każdy kilometr prowadzący do Vicksburga, który do tej pory pokonała, teraz przestawał się liczyć. Jej siostra i siostrzenica były niczym gwiazdy na nocnym niebie. Lśniły jasno nad horyzontem, ale niezależnie od tego jak długo biegła w ich stronę, pozostawały boleśnie poza zasięgiem.

Rink wysunął i wyciągnął płytę CD.

– Co powinienem teraz puścić, Lou?

– Bez różnicy. Tylko nie dawaj za głośno.

Rink otworzył schowek na rękawiczki i zaczął przeszukiwać zgromadzone tam śmieci. Wyciągnął kolejną płytę, wsunął ją do odtwarzacza i po kilku sekundach tykającej ciszy zaczęło się gitarowe intro jakiejś ciężkiej, rockowej piosenki. A miała nadzieję, że to będą Beatlesi.

Lacey popatrzyła przez okno, ale nic się nie zmieniało. Na zewnątrz w dalszym ciągu rozpościerał się obszar przypominający pustynię, który przełamywały jedynie jakieś krajobrazowe koszmaki, najwyraźniej mające sprawiać, by turystom jeszcze bardziej podobała się niezmienna sceneria wokół.

– Obyś miała co do tego rację, dziewczyno – wymamrotał Lou przez kłęb swojego zarostu.

– Mam – powiedziała krótko.

– Może i oszukałaś szefa, ale mnie nie oszukasz. Kombinatorko.

Nie odpowiedziała.

– Lepiej z nami nie pogrywaj.

Od chwili, kiedy wyruszyli, między ich trójką padło niewiele słów, ale teraz zebrało mu się na rozmowy. No dobra. Mogła rozmawiać.

– Dokąd wszyscy się zbierali, kiedy wyjeżdżaliśmy?

Walkie-talkie ucichło po opuszczeniu miasta i żadne użyteczne informacje nie napływały, od kiedy Lou przyczepił je do paska.

Rink zaczął odpowiadać, ale Lou mu przerwał:

– Takich informacji udzielamy ludziom, którym są one potrzebne. A tobie nie są.

Rink się zaśmiał.

– Tajne przez poufne – powiedział i zaczął pukać palcami jak pałeczkami do perkusji. Nie miał wycucia rytmu.

Kolejna rzecz, która ją irytowała.

– Czy Red też jest tajna? Chodzi mi o to, że Dumont wysłał bardzo poważny oddział, żeby ją odzyskać. – Lou posłał jej spojrzenie, po którym stwierdziła, że nawiązanie rozmowy może jednak nie było najlepszym pomysłem. – Chodzi mi tylko o to, że przysporzyło wam to trochę kłopotu, no nie? Nie wolelibyście być tam na miejscu zamiast tutaj ze mną?

– Mów jeszcze, panienko – powiedział do niej po cichu Lou. – A ty również pożałujesz, że utknęłaś tutaj z nami.

– To dlatego, że Red jest inna – wtrącił Rink. – Jest warta tyle, co dziesięć takich jak my. I to nie tylko zdaniem Dumonta. Jeżeli jej nie znajdziemy, wpakujemy się po uszy w gówno. Dlatego chcemy ściągnąć ją z powrotem tak samo jak on.

– Dość! – Lou stracił nad sobą panowanie. – Słuchajcie tej swojej cholernej muzyki i trzymajcie gęby na kłódkę. Jedno i drugie.

Czas przeznaczony na rozmowy nie trwał zbyt długo. Lacey westchnęła i założyła ręce na piersi, próbując tym samym ulżyć obolałym ramionom. Pomogło. Na jakąś minutę. Stwierdziła, że spróbuje medytacji i zamknęła oczy. To pomogło na dwie minuty.

„Szkoda, że Red się, no wiesz... Rozbiła i w ogóle. Chciałabym z nią normalnie porozmawiać”.

*Ja też. Wnosząc z opowieści, to bardzo intrygująca osoba.*

*„Zastanawiam się, co mają na myśli, mówiąc, że była inna”.*

*Też jestem tego ciekaw. Ale wątpię, czy ci chłopcy nam powiedzą.*

Lacey rozplotła ramiona i sięgnęła pod kołnierzyk. Święty Krzysztof był jak zawsze ciepły. Potarła wzór i zwizualizowała go sobie. Dziecko, laska i falująca woda, przez którą brnie święty Krzysztof. Musi za tym stać jakaś biblijna przypowieść, ale jej nie знаła.

Może tym dzieckiem był Jezus, a święty Krzysztof miał tylko jedną nogę i stąd ta laska? Może kuśtykał przez bród, ponieważ mały Jezus nie potrafił pływać, a chciał dotrzeć do swojego osiołka, który stał po drugiej stronie?

*Przykro mi, że cię rozczaruję, ale w pierwotnej wersji tej historii nie ma żadnego osiołka.*

Ponownie zaplotła ręce i skrzyżowała nogi w kostkach. Dużo lepiej.

„Od jak dawna kręcisz się po okolicy, Głosie?”

*Co masz na myśli?*

„Jak długo tu jesteś? Od kiedy istniejesz?”

*Wspomnienia to interesująca rzecz. Nie do końca można im wierzyć. Myślę, że jestem tu już od dobrej chwili, ale nie wydaje mi się, żebyśmy pojmowali czas w ten sam sposób.*

Lacey poczuła dreszcz obawy. Czyżby ukrywał się w jej głowie przez ten cały czas i ona nie miała o tym pojęcia?

*Nie, nie w twojej.*

„A czyjej?”

*To nie ma znaczenia. Teraz jestem tutaj.*

„Dla mnie ma znaczenie. A jeśli byłeś w kimś strasznym? Mogło dojść do jakiegoś przeniesienia czy coś?”

*To nie był nikt straszny. Zręczliwy, może, ale nie straszny. Musisz mnie dobrze zrozumieć, kiedy tłumaczę, że to nie powinno było się zdarzyć. Głosy nie przeskakują z człowieka na człowieka. To niemożliwe.*

„Najwyraźniej możliwe. Przecież tobie się udało”.

*Tak, ale nie mam pojęcia jak. Poza tym to bardzo ważne, żebyś nikomu o tym wszystkim nie opowiadała.*

„Dlaczego nie?”

Czuła narastającą frustrację Głosu, zbliżał się do granic wytrzymałości.

*Bo tak powiedziałem. Proszę, po prostu mi zaufaj. Mamy teraz znacznie ważniejsze kwestie do omówienia.*

„A o czym tu rozmawiać? Jestem osaczona z obydwu stron.

Pewnie mogłabym chwycić kierownicę i skrócić nią z całej siły, ale nie używam pasa bezpieczeństwa. Jeśli się rozbijemy, wylecę przez przednią szybę. Jesteś w ogóle płci męskiej? Myślę o tobie jako o facecie, ale nigdy tego nie potwierdziłeś”.

Zignorował jej pytanie.

*A więc kombinujesz, jak się stąd wydostać. To dobrze. I co jeszcze rzuciło ci się w oczy?*

„Powiem ci, co zauważyłam, kiedy odpowiesz na moje pytanie”.

Frustracja Głosu wzbierała jeszcze przez chwilę, ale w końcu opadła.

*Dobra, umowa stoi.*

„Dlaczego tutaj jesteś? We mnie. I dlaczego teraz?”

*Formalnie rzecz biorąc, to są dwa pytania. Ale w porządku, odpowiem. Jestem w tobie, bo musiałem w ciągu ułamka sekundy podjąć decyzję i wybrać między tobą a kimś głupim. Wybór był oczywisty. Podobna sprawa jak teraz. Utknęłaś w tym pick-upie i jedziesz w stronę, z której przyjechałaś, i oddalasz się od siostry. Nie zawsze mamy wpływ na wydarzenia, w których bierzemy udział. Nie zawsze kontrolujemy przebieg wydarzeń.*

Odpowiedział jej i zarazem nie odpowiedział. Przynajmniej nie do końca. Ułożyła w głowie kilka kolejnych pytań, ale zanim zdążyła je zadać, dodał:

*Była umowa, Lacey. Na pewno nauczono cię dotrzymywania słowa, więc uszanuj to, na co się zgodziłaś.*

Wypuściła przeciągle powietrze i odpowiedziała mu.

„Lou ma pistolet w drzwiach, ale jest poza moim zasięgiem. Z kolei Rink schował swój za paskiem spodni. Mogłabym spróbować mu go wyrwać, ale są szanse, że plan spali na panewce. A nawet jeśli się uda, to znając moje szczęście, pistolet wypali i dostanę rykoszetem, i wyrwie mi dziurę na wylot”.

*No dobrze, więc czekamy.*

„No, na to wychodzi”.

W radiu narastał potok perkusyjnych dźwięków i zawodzenie gitar. Rink próbował nadażyć swoimi palcami udającymi pałeczki

do perkusji. Lacey nie mogła się porządnie skoncentrować, aż skończył się ten utwór i zaczął kolejny, znacznie cichszy.

„Wróćmy do kwestii, skąd ty się tutaj w ogóle wzięłaś. Czy to oznacza, że wiesz, skąd się wzięłaś? Skąd pochodzisz?”

Teraz nadeszła kolej Głosu, żeby westchnąć. Musiała potrzeć skórę za uchem, by przestało łaskotać.

*Dlaczego aż tak cię to ciekawi?*

„Jak to dlaczego? Bo zajmujesz miejsce w mojej głowie, oto powód. Niby czemu miałyby mnie to nie interesować”.

*Nie wiesz nawet, co wydarzyło się tych siedem lat temu.*

„Masz rację, nie wiem. Moja babcia również nie rozumiała, co się stało, albo też mnie okłamała. No i nikt jakoś za dużo o tym nie rozmawia”.

*Bo większość ludzi nadal się boi. Obchodzą temat, ponieważ go nie rozumieją. Myślą, że jeśli będą tę sprawę ignorować, to odejdziemy.*

„My? Masz na myśli was? Głosy?”

*Tak. Głosy przyczyniły się do śmierci mnóstwa ludzi.*

„Ale jak?”

*A jak zabiłabyś kogoś, w czyjej głowie przebywasz?*

Lacey przemyślała sprawę i wzruszyła ramionami.

„Powiedziałabym jej po prostu, żeby się zabiła”.

*No właśnie. Powiedziano im, że mają to zrobić, choć raczej nie w sposób, który sobie wyobrażasz. Obrano dużo podstępniejszą metodę. Pomyśl tylko: wiedzieliśmy o tylu waszych słabościach. Przecież wszystkie skrywacie w swoich głowach. Chowacie je przed całym światem, nawet przed sobą, ale przed nami nie możecie. Pewnie niewiele było trzeba, żeby wyciągnąć myśli na temat niespełnienia, porażek i bezwartościowości i wzmocnić je na tyle, żeby skończyły się dla was katastrofą.*

„Ale jak? Daj mi jakiś przykład czy coś takiego”.

*Chcesz przykładu, tego się można było spodziewać. W porządku. Okej. No więc jest sobie koleś o imieniu Ted, dobra? Ted ma żonę i trójkę dzieci. Pracuje dla dużej prawniczej firmy w Los Angeles*



*i prowadzi ważną sprawę pomiędzy popularnym aktorem a chłopakiem do towarzystwa – facet twierdzi, że... Zresztą nieważne, co twierdzi. Ted przegrał tę sprawę z powodu jakiegoś głupiego dowodu rzeczowego, który przegapił. Firmę kosztowało to worek kasy i reputację. Generalnie wszyscy źle na tym wyszli. Ted został za to z hukiem wywalony z roboty. Ale mimo to każdego ranka całował żonę na pożegnanie, wychodził do pracy i wracał do domu dziesięć godzin później, by zjeść obiad z rodziną. Jedyne różnica polegała na tym, że Ted wcale nie szedł do pracy, tylko do kasyna, gdzie grał w kości, pokera i blackjacka, próbując zdobyć dość pieniędzy, by nie musieć mówić żonie, że stracił pracę. Co gorsza, podczas badania sprawy tamtego gwiazdora i męskiej dziwki odkrył swój mały mroczny sekret. Coś, co od zarania dziejów szeptało do niego po cichu i z ukrycia. W pewnym momencie zorientował się, że chodzi po tych samych ulicach, na których kiedyś pracował tamten chłopak do towarzystwa, i oddaje resztkę pieniędzy jakiemuś szesnastolatkowi, który pada przed nim na kolana w jakiejś bocznej alejce, by mu possać wacka, ponieważ Teda nie stać na pokój w motelu, a nie chce robić czegoś takiego w samochodzie, z którego korzysta cała jego rodzina.*

Lacey słuchała z rosnącym niepokojem, chcąc poprosić Głos, by przestał, przerwał, bo słyszała już dość, a jednak nie była w stanie wypowiedzieć ani słowa.

*No więc kiedy ten cichy głos zaczyna mówić Tedowi, że powinien się zabić, to nie krzyczy „zabij się, cioto”, tylko szepcze mu, że jest naprawdę strasznym mężem i ojcem. Po prostu okropnym. Każe mu sobie wyobrazić, co się z nimi stanie, kiedy dowiedzą się, jakie obrzydliwe rzeczy wyprawiał w tych wszystkich alejkach. A dowiedzą się na pewno. To tylko kwestia czasu. Wystarczy sobie wyobrazić, jak bardzo będą się wstydzić. Lepiej byłoby im bez niego. Przecież sam to doskonale wie, prawda? Przynajmniej dostaliby pieniądze z ubezpieczenia. Chociaż tyle możesz dla nich zrobić, Ted. A nie, poczekaj, przecież ty masz teraz ogromne długi, prawda? Jesteś po prostu żaloszny. Wiesz, co byłoby najlepsze? Zabierz swoją*

rodzinę ze sobą. W ten sposób nie będą musieli się męczyć z upokorzeniem, którego im wszystkim przysporzysz swoimi postępkami. Nie będą musieli pójść na ulicę i żyć jako bezdomni, kiedy dom zostanie im zabrany, a konta zamknięte. Zresztą nie chcesz umierać w samotności, prawda? Chcesz być wtedy z rodziną. Czy to nie rozwiązałoby wszystkich problemów? Czy to nie byłoby idealnym wyjściem z sytuacji? Na co czekasz, Ted? Pokpiłeś sprawę na wszystkich frontach, nic ci nie wyszło, jesteś beznadziejny, ale teraz możesz to wszystko naprawić. Po raz pierwszy w swoim żalonym życiu zrób coś jak należy. No dalej, wszystko będzie w porządku. Zrób to, dasz radę.

Lacey była cicho. Nie czuła nawet skurczu w karku i ramionach.

Dwa dni z rzędu głos szeptał mu coś takiego do ucha i w końcu zalany łzami Ted usiadł na łóżku ze strzelbą i czekał, aż jego najstarsze dziecko wróci ze szkoły do domu.

„Jezu...”

Wszyscy mamy coś, co nas rusza, Lacey. Wydaje mi się, że głosy po prostu dziesięciokrotnie wzmacniały wrażliwe tematy, dlatego zaczęła się ta fala samobójstw. Wszyscy zobaczyli, z jaką łatwością mogą uciec. Czasem odnoszę wrażenie, że ludzie potrzebują tylko wymówki, by opuścić statek i zostawić wszystko za sobą. To byłoby przecież takie łatwe, nie? Poddać się. Pozbyć życia w znoju i nieustannej walce. Można by wreszcie odpocząć i przestać się martwić. Ludzi wystarczy tylko lekko popchnąć do działania.

Coś ścisnęło się wewnątrz Lacey, jakaś płynna rozpacz, czarna i złośliwa, zatkała jej gardło, a kiedy jej umysł wreszcie się odetkał, wykrztusiła:

„Przestań. Błagam, przestań”.

Przepraszam. Ale czy widzisz, jakie to proste?

„Tak... Czy... Czy to ty zabiłeś Teda?”

Nie! Oczywiście, że nie! Ted nie istnieje. Cóż, ktoś podobny do niego faktycznie żył, ale nigdy go nie poznałem. W każdym razie nie zrobiłbym czegoś takiego. Nie jestem taki jak ci, którzy są odpowiedzialni za tego typu rzeczy. To zupełnie inne głosy. Byłem

*tu znacznie dłużej, z kimś, kto mnie akceptował... No, przez większość czasu. Tak jakby.*

*„Ale dlaczego? Dlaczego to wszystko się wydarzyło?”.*

*O widzisz, no i to jest pytanie za sto punktów, nieprawdaż?*

*„To ty nie wiesz?”.*

*Zamiast odpowiedzieć na pytanie, Głos rzucił:*

*Wydaje mi się, że stajemy.*

*Sekundę później Lou wcisnął pedał hamulca.*

## Rozdział 4

Pielgrzym utrzymywał prędkość na stałym poziomie osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, wiatr wiał przez wybite okna, a i tak dopiero po prawie półgodzinnej jeździe zobaczył pojazd, który ścigał. Nadal myślał o chłopcu stojącym samotnie na poboczu i machającym do niego szczupłą rączką. Poczł wyrzuty sumienia. Nie był do nich przyzwyczajony. Przypominały głód, drapały go od wewnątrz. I tak jak głód można je było zepchnąć na dalszy plan.

Cały świat składał się teraz z nieba, drogi i tego nieznanego samochodu na małym pasie ziemi. A pas ten był nieznaczący i niezmienny w porównaniu z nieskończonym niebem panującym nad nim, odmalowanym teraz jaskrawymi odcieniami różu, oranżu i indygo. Nieskończona paleta zmieniająca się z każdym mijanym kilometrem.

Czerwone niebios, nim noc przybieży, to powód do radości pasterzy.

Nie mógł sobie przypomnieć drugiej części tej przypowieści, ale zakładał, że nie kończyła się ona zbyt dobrze.

Raz po raz spoglądał w dół na wskaźnik paliwa, ale w zasadzie nie odrywał wzroku od samochodu przed nim. Był ledwie małą kropką na horyzoncie, ale niewiele więcej było teraz wokół niego, na czym mógłby się skupić, żadnego stoiska z lemoniadą w zasięgu wzroku, dlatego przynajmniej nie martwił się, że zniknie mu z oczu. Im dłużej jechał, tym więcej czasu spędził na rozmyślaniu i tym dłużej zastanawiała go przepastna przestrzeń z tyłu jego głowy. Coś w tej gonitwie za samochodem nie dawało mu spokoju,

szturchało go i skłaniało pamięć do wytężonej pracy.

Puk.

Puk.

Puk.

Niebo ponad nim rozbłysło, cofając niejako skutki zapadania zmierzchu. Chmury rozproszyły się jakby za sprawą magii, odsłaniając idealne, wygładzone jakimś walcem błękitne niebo. Poczuł uderzający do głowy ciężki zapach chmielu. Czarny kot wpatrywał się w niego z pobocza. Przez chwilę czuł się, jakby świat zastygł w miejscu i wszystko, co widzi, zaczęło się bardzo szybko trząść. Już po chwili zwierzę straciło ostrość i nałożyły się na jego obraz trzy identyczne koty, tyle że jeden siedział, drugi stał, a trzeci robił jeszcze coś innego. Wtedy drżenie obrazu ustało i kot zaczął się od niego oddalać, unosząc przy tym ogon ułożony w kształt znaku zapytania. Jeszcze raz idący kot stał się zamazany i zmienił się w siedzącego. Na zmianę stał, siedział, stał, lizał łapę. Zwierzę zmieniało pozycję z niesamowitą szybkością, aż w końcu jeden kot stał się wszystkimi kotami naraz, jednocześnie we wszystkich pozycjach naraz. Wreszcie się uspokoiło. Czarny kot leżał na boku. Cicho. Bez ruchu. Żadnego trzęsienia czy zamazanego obrazu. Jego żebra były zmiażdżone, zgniecione czymś butem. Ten ostatni obraz zdawał się mieć duże znaczenie dla Pielgrzyma. Przedstawiał kota, który mógł usiąść lub wstać, czego tylko jego mała kocia dusza zapragnęła, a którego tak zwyczajnie zmiażdżył ktoś znacznie od niego silniejszy.

W błyskawicznym pośpiechu chmury znowu zagnało nad głowę Pielgrzyma, ale tym razem były krwistoczerwone, ciemne, napęczniałe i wypełniały całe niebo. Zaczęły drżeć podobnie jak wcześniej kot, ciemne żyłki niebezpiecznego światła pulsowały w środku. Tylko że to już nie były chmury, ale ogromne, pulsujące organy, fioletowe i wściekłe. Przygotowujące się do tego, by wybuchnąć.

A kiedy to w końcu nastąpiło, niebo plunęło ogniem we wszystkich kierunkach. Płomienie z rykiem zstąpiły na Ziemię

i oblały ją bezbrzeżnym gorącem i krzykliwą czerwienią.

Pielgrzym wydał z siebie zduszony okrzyk, po czym mrugnął i był już z powrotem w samochodzie. Zjechał trochę na bok, koła podskakiwały na krawędzi drogi, podrzucało nim na żwirze. Wjechał ponownie na gładki asfalt i nareszcie mógł wypuścić kierownicę z kurczowego uścisku. Prawdziwe niebo zmierzchało. W lusterku wstecznym widział, jak kilka rozproszonych gwiazd pojawia się nad ciemniejącym horyzontem.

Pielgrzym przesunął trzęsącą się dłonią po twarzy. Po raz pierwszy od bardzo dawna przebywał sam na sam ze swoimi myślami i prosił Boga, żeby było inaczej. Wcześniej, gdy obudził się na poboczu drogi i życzył sobie jedynie śmierci, cisza mieszała mu w głowie. Ale teraz wróciły do niego najświeższe wspomnienia, rozdarte obrazy i postrzępione przebliski z niedawnych wydarzeń, dźwięki i wrażenia, a nawet zapachy. Wszystkie one zszyte ze sobą nie dawały jednak pełnego obrazu, czegoś w tej mozaice brakowało.

– Głos?

Nie doczekał się odpowiedzi.

Postanowił, że sam jej sobie udzieli.

– Nie ma go tutaj – wyszeptał.

Palce Pielgrzyma dotknęły tyłu chusty, gdzie jego włosy były sztywne od krwi. Dotknął rany raz jeszcze i przypomniał sobie dziwnie gąbczastą kość z tyłu głowy. Zrobiło mu się niedobrze na samą myśl o tym.

Oczywiście, że zauważył nieobecność Głosu. Kiedy się obudził, poczuł brak czegoś nieodłącznego, wrośniętego wcześniej w jego jestestwo. Brak ten manifestował się w formie potwornego bólu głowy. Na świecie było zbyt cicho. Brakowało w nim irytujących komentarzy i niechcianych porad. Poznanie chłopca trochę odwróciło jego uwagę, konieczność rozmowy z drugim człowiekiem zamaskowała nieobecność Głosu, ale teraz pustka wróciła do niego echem. Był zdumiony tym, jak bardzo uświadomienie sobie tego go rozwścieczyło.

Czy rana głowy zabiła Głos? Poprzednie obrażenia tych okolic

powodowały, że Głos stawał się cichszy, ale to nigdy nie trwało aż tak długo. Może wycofał się do zamkniętych rejonów umysłu Pielgrzyma, z których nie mógł się już wyrwać, i został na wieki uwięziony? Czy było jakieś miejsce, w które udawały się głosy, by rozpląnąć się w ciemności jak drobne iskry unoszące się nad gasnącym ogniskiem? A może Głos po prostu przestał istnieć, kiedy zasilająca go energia wyczerpała się w jakimś ostatnim wysiłku i próbie przetrwania, a potem po prostu wygasła?

Pielgrzym wiedział jedynie, że jego umysł przypominał odrobinę przeraźliwie pusty kościół, na którego ławkach nikt nie siedział, a ciche nagrobki trwały w ciszy i spokoju. Myśli te poszybowwały echem. W odosobnieniu, w samotności.

Uciekł, nie żył, wychodziło na to samo. Pielgrzym był pozbawiony Głosu. Podejrzewał, że pod swoim gniewem podświadomie ukrywa poczucie straty, ale była w tym również mroczna ciekawość. Wcześniej nie miał nawet pojęcia, że głosy można w ogóle zgubić.

Auto już się zatrzymało.

Pielgrzym zaparkował w bezpiecznej odległości i musiał naprawdę mocno zmrużyć oczy, by dojrzeć dwójkę ludzi wychodzących teraz z czegoś, co jak wreszcie zauważył, było pick-upem. Przeszli na drugą stronę drogi i przyglądali się czemuś. Słońce zachodziło, ale temperatura całego dnia ogrzała asfalt i unosiło się nad nim teraz gorące powietrze, kryjące wóz i jego dwoje pasażerów pod drżącą falą. Pielgrzym zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje, dopiero kiedy jeden z ludzi przeszedł do tylnej części i opuścił klapę.

Wysunęli długą i wąską deskę i wciągali jego motocykl na pakę. W motorze skończyło się paliwo, ale Pielgrzym zostawił kluczyki w stacyjce, a maszyna była przecież na chodzie. Czekala tylko na nowego właściciela.

Dłonie zacisnęły mu się na kierownicy, lewa trochę słabiej. Rozluźnił palce i czekał, aż pick-up cofnie się na drogę. Wiedział, gdzie zrobią następny przystanek, ale miał dość podążania za nimi niczym zagubiona owieczka. Wcisnął gaz do dechy i auto wyrwało

do przodu. Przemyślał ryzyko, ale miał przy sobie jedynie nóż, a ci tam zapewne są uzbrojeni.

– Lacey – powiedział.

Szybko znalazł się za nimi, ryczący silnik wydawał z siebie niepokojąco wysokie tony, wiatr wył w środku niczym potężny potępieniec, wprawiając wnętrze samochodu w drzenie. Gdzieś z dołu dobiegł pisk.

Dwóch mężczyzn natychmiast zdało sobie sprawę z jego obecności, ale pick-up nie zboczył ani odrobinę z kursu, nie zmienił też prędkości. To pasowało Pielgrzymowi. Nie był gotów na walkę. Jeszcze nie. Obydwa samochody dzieliło nie więcej niż dwadzieścia metrów. Pielgrzym widział, jak postać na siedzeniu pasażera obraca się, by popatrzeć na niego przez tylne okno.

Pielgrzym czuł niecodzienną chęć, by unieść dłoń i pomachać, ale się powstrzymał, zjechał samochodem na lewo na zewnętrzny pas i zaczął wyprzedzać. Silnik zawył. Wycie wiatru narastało wściekle, a podwozie wibrowało. Przód auta zrównywał się z przednimi drzwiami pick-upa, a Pielgrzym rzucił okiem na brodacza za kierownicą. Był starszy, miał siwe pasma włosów i nos przypominający zakrzywiony dziób. Nie znał tego człowieka. Obydwa pojazdy jechały teraz obok siebie i stracił wgląd do kabiny, usytuowanej wyżej niż on. Wyprzedził wreszcie i wciąż przyspieszał. Odbił z powrotem na prawy pas i obserwował drugi pojazd w lusterku wstecznym. Dwóch mężczyzn rozmawiało ze sobą z ożywieniem, ale nie to przykuło jego uwagę. Między nimi siedziała dziewczyna i patrzyła na niego jak na ducha.

Duch, pomyślał i uśmiechnął się. Czuł się jak taki właśnie duch, wydrażony, pusty i nie do końca z tego świata.

Utrzymywał prędkość i tym samym zostawił ich z tyłu w nadziei, że nie porzucą swojego zadania, jakiegokolwiek ono było, i nie zaczną gonić za nim. Patrzył to w lusterko wsteczne, to na drogę przed sobą, ale reflektory za nim nie przybliżały się i dziesięć minut później zupełnie stracił ich z oczu.



\*

Godzinę później zobaczył stodołę. Stała na horyzoncie i wyglądała, jakby przetrwała tornado. Dach się zapadł, w ścianach brakowało desek. Pielgrzym zauważył na drodze czarne ślady po oponach w miejscu, gdzie dziewczyna straciła panowanie nad autem tuż przed koziółkowaniem i złapał się na tym, że powodowany przesądami nie chciał na nie najechać, ale zanim zdążył odbić, zniknęły już pod jego kołami i nic złego się nie stało.

Nie podejrzewał, żeby ciało nadal tam było. Sądził, że do tej pory zwierzęta albo jacyś grabieżcy odciągnęli je na bok, a jednak nadal tam była, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie ją zostawili. Leżała na plecach, oczy miała zamknięte, ręce ułożone wzdłuż boków, jak gdyby po prostu drzemała. Zatrzymał samochód, wysiadł i stanął nad nią, tak że jego cień padł na jej twarz. Była mniejsza, niż pamiętał. Młodsza. Wyglądała jak mała, zagubiona dziewczynka, którą pewnie faktycznie była. Poczul, jak coś go przyciąga. Patrzył intensywnie na jej twarz, widział każdy por jej skóry, pęknięcia na wargach, mógł policzyć wszystkie jej rzęsy. Oczyma wyobraźni widział ją jak żywą. Była wysoka jak na swój wiek, trochę za chuda. Zginała się lekko, jakby jej kości były puste, a głowa zbyt ciężka, bo działo się w niej za dużo. Pielgrzym wiedział co: było tam tak wiele myśli i planów, które wylatywały z niej niczym spadające gwiazdy albo fajerwerki na pokazie. Wzbijały się ponad nią i eksplodowały w feerii barw. Niebieskie, zielone, fioletowe i...

– Rubinowe. Rubiny – wymamrotał i te dźwięki wyrwały go z rozmyślań. Otrząsnął się i zobaczył przed sobą jedynie leżącą na ziemi dziewczynę, martwą i bezbarwną. Dziewczynę, którą poznał wcześniej, kiedy jej uśmiech był jeszcze przepiękny, a oczy błyszczały, zdradzając bystry umysł. Nie pamiętał kiedy ani jak, ale poznał ją. Rubiny. No bo przecież skąd mógł wiedzieć, jak wygląda jej uśmiech? Nie miał tyle wyobraźni, a jego uszkodzony mózg nie był w stanie sobie tego dopowiedzieć ani zmyślić obrazów, których wcześniej nie widział. A przynajmniej nie sądził, by było to

możliwe. Chciał zapytać Głos, który miał dostęp do tego, co zostało z jego wspomnień, choć były one uszkodzone i nawet on sam żałował, że nie stracił ich wszystkich. Ale teraz był gotów zaakceptować jego pomoc, jednak Głosu już przy nim nie było.

Pielgrzym popatrzył na drogę, ale nie dostrzegł jeszcze pick-upa. Już niedługo miało się to zmienić. Ostrożnie, a nawet czule, podniósł dziewczynę, ignorując ostre, przeszywające ukłucie w żebrach. Jednocześnie poczuł jej zapach, woń rozkładu, która nie była jeszcze ostra. Ponownie uderzyło go, jak niewiele zmieniło się w jej wyglądzie, chociaż tak długo leżała na zewnątrz. Wydało mu się dziwne, że zwierzęta nie ruszyły ciała, ale nie było czasu, żeby zbyt długo o tym rozmyślać. Zesztywniała, jak gdyby zamarzła, a mimo to była ciepła. To wydawało się dziwne, choć zdawał sobie sprawę, że to z powodu temperatury otoczenia. W końcu ciało leżało na słońcu i zdążyło się nagrzać od rana. Ułożył ją w bagażniku.

Wrócił do miejsca, w którym leżała, i zostawił na ziemi kilka śladów, które sugerowały, że ktoś czołgał się w stronę drewnianego budynku. W końcu usiadł za kółkiem, wprowadził samochód do stodoły, po czym zamknął wielkie drewniane drzwi.

Pielgrzym obserwował teren wokół przez wyrwę powstałą w jednej ze ścian. Pick-up przejechał przez chmurę gorąca i stanął za przewróconym samochodem. Dwóch mężczyzn wysiadło i pokręciło się w pobliżu, potem porozmawiali, przeszukali nawet auto przewrócone na dach. W końcu obaj skierowali spojrzenia ku stodole. Zgarbiony potakiwał, słuchając tego starszego, i zaczął iść po ścieżce, od czasu do czasu kopiąc cegłę. Utykał na jedną nogę, wyrównując w ten sposób krok, tak jakby miał jedną nogę krótszą. Niósł karabin podobny do tego, który miała Lacey.

– Może to jest jej broń – powiedział do siebie. A może tylko pomyślał, sam nie był już pewien. Czuł się niekompletny bez Głosu. Wytracony z równowagi. W pewnym sensie czuł się wręcz niespełna rozumu.

Odsunął się od dziury w ścianie, służącej mu do obserwacji, i wycofał na tył stodoły, a następnie cicho kucnął za jedną z zagród. Wysunął ukradziony nóż z pochwy na kostce, przycisnął twarz do drapiącego drewna i zdrowym okiem znalazł dziurę po sęku, przez którą mógł obserwować rozwój sytuacji.

Zgarbiony mężczyzna otworzył drzwi stodoły i wszedł z karabinem wysuniętym do przodu. Zobaczywszy samochód, przesunął broń na prawo i lewo, celując w każdy kąt po kolei.

– Najlepiej jak od razu wyjdiesz! – zawołał w stronę opadających drobinek kurzu przecinanych przez złote promienie zachodzącego słońca, oświetlające podłogę nieregularnym wzorem.

Pielgrzym obserwował, jak nieznajomy nachyla się i dotyka maski samochodu. Wiedział, że wciąż jest ciepła. Rozpoznał również moment, w którym tamten zauważył podniesioną klapę bagażnika, ponieważ uniósł on głowę i obejrzał się za siebie, jakby odniósł wrażenie, że ktoś próbuje go podejść. Mężczyzna ostrożnie obszedł otwarte drzwi od strony kierowcy i wsunął broń do środka, by sprawdzić, czy w środku jest pusto. Następnie przeszedł z tyłu samochodu i zajrzał do bagażnika. Wyprostował się, na ile pozwoliły mu zgarbione plecy, i Pielgrzym poczuł bijącą od niego falę zdziwienia. Patrzył w dół na martwą dziewczynę. Pielgrzym był już w ruchu i zbliżał się do mężczyzny gapiącego się na zwłoki. Kiedy przygarbiony mężczyzna westchnął z niedowierzaniem, Pielgrzym był już na tyle blisko, żeby usłyszeć słowo, które wyszło z ust tamtego razem z wydychanym powietrzem.

– Red.

Pielgrzym podszedł od tyłu do mężczyzny i przystawił czubek noża pod jego brodę, w tym miękkim, delikatnym miejscu. Poczul, jak ciało mężczyzny tężeje.

– Nic nie mów – wyszeptał. – Podaj mi karabin lewą ręką. Grzecznie i powoli.

Mężczyzna się nie poruszył. Pielgrzym najwyraźniej przycisnął nóż na tyle mocno, że połała się krew.

– Teraz – dodał z naciskiem.

Mężczyzna powoli wyciągnął broń, którą Pielgrzym wziął, nie odrywając ostrza od jego gardła. Prawie ją upuścił, była bowiem zbyt ciężka dla jego lewej dłoni. Oparł kolbę na ziemi.

*Coś jest z tobą nie tak* – powiedział głos, który słyszał wcześniej. Ten sam, który kazał mu zatrzymać samochód. Brzmiał dokładnie jak on, ale miał w sobie więcej autorytetu, samoświadomości, co sprawiło, że Pielgrzym się zatrzymał.

– Wszystko w porządku – odpowiedział.

*Ta kula musiała spowodować uszkodzenie mózgu.*

– Z moim mózgiem nie jest gorzej niż zazwyczaj.

– To nie do mnie mówisz, prawda? – Głos męczyzny zadrżał. Pielgrzym czuł, jak wprawia w wibracje ostrze noża, które wciąż przykładał mu do gardła.

Kącik jego ust zadrżał na myśl o ironii losu. Z braku Głosu zaczął prowadzić ze sobą rozmowę w myślach. Wychodzi na to, że trudno wykorzenić stare nawyki.

– Do ciebie mówię – powiedział mężczyźnie. – Otworzymy teraz drzwi stodoły. A kiedy dotrzemy na miejsce, zawołasz swojego... – Zamilkł, nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa. – ... No, tego drugiego, który na ciebie tam czeka. Zawołasz, że ją znalazłeś i że ma przyjść, zobaczyć.

– Ty ją zabiłeś?

*Powiedz, że tak.*

– Nie. A teraz się ruszaj. – Pielgrzym cofnął się o krok i podniósł karabin, po czym wcisnął lufę między jego łopatki. Zaprowadził swojego jeńca pod lufą do frontowej części stodoły, gdzie dźgnął go mocno raz jeszcze.

– Otwórz drzwi na tyle szeroko, żeby mógł cię zobaczyć, ale nie do samego końca.

Raz jeszcze kucnął i skrył się poza zasięgiem wzroku. Odstawił karabin, na wszelki wypadek złapał mężczyznę za pasek, by nie uciekł, przyłożył też nóż między nogami mężczyzny, by wbijał się w jego jądra.

Mężczyzna gwałtownie westchnął.

– Po-poczekaj! Jestem taki jak ty! Ja... też słyszę głos. Mówię ci.  
– Fantastycznie. A teraz rób, co kazałem. Chyba że chcesz mówić odtąd sopranem.

– Mógłbyś do nas dołączyć! – Mężczyzna mówił bardzo szybko. – Jeżeli słyszysz, to szef cię przyjmie. Bez wątpienia.

– To bardzo miłe, ale ja się kiepsko dogaduję z innymi. A teraz wołaj.

Żeby przyspieszyć rozwój wydarzeń, Pielgrzym mocniej nacisnął ostrze noża.

– Lou! – Mężczyzna krzyknął głosem tak wysokim, jakby ktoś już go wykastrował.

Pielgrzym kuczał teraz za drzwiami i nic nie widział. Wyobrażał sobie, że starszy mężczyzna patrzy w stronę stodoły.

– Grzeczny chłopiec – wyszeptał. – Kontynuuj.

– Lou, znalazłem ją! Jest tutaj! Chodź zobaczyć!

Pielgrzym wciągnął go z powrotem do środka za pasek, zanim zdążył cokolwiek zdradzić, przez co ten musiał iść przez chwilę tyłem. Odłożył na chwilę nóż, wziął karabin zdrową prawą ręką i wstał. Bezpieczny, z dala od drzwi, Pielgrzym przyciągnął mężczyznę i szarpnął tak, by stanął przodem do niego. Zamachnął się mocno i uderzył go w głowę kolbą karabinu, gdy ten zaczął się właśnie obracać. Rozległo się głośnie łupnięcie, jakby walnął w orzech kokosowy, a nie ludzką głowę. Mężczyzna osunął się na ziemię. Nie stracił jeszcze przytomności, wciąż słabo jęczał.

*Uderz go raz jeszcze* – usłyszał.

Pielgrzym uniósł karabin i uderzył raz jeszcze, jakby wbijał łopatę w ziemię.

Jęczenie ustało.

Pick-up podjeżdżał i hałas jego silnika stawał się głośniejszy. Pielgrzym chwycił mężczyznę za stopy i odciągnął w głąb stodoły. Wziął karabin i wrócił do wejścia. Patrzył przez szczelinę między deskami, jak brodaty facet – Lou, jak przypomniał mu głos – gasi silnik i wyskakuje z kabiny pojazdu. Wyglądał na starszego, ale

poruszał się z zadziwiającą lekkością jak na swój wiek. Pielgrzym sprawdził broń, upewniając się, że w magazynku ma naboje. Odciągnął rygiel.

Ciężko oddychał. Pot płynął strużką z chusty owiniętej wokół czoła i kapał z podbródka. Robiło mu się słabo i miał zawroty głowy. Musiał ostrożnie stawiać stopy, a mimo to przy każdym kolejnym kroku czuł, że zaraz się przewróci. Żołądek kurczył mu się na samą myśl.

Weź się w garść, starcze. Już prawie koniec.

Kiedy wyjrzał jeszcze raz, Lou wyciągał dziewczynę z ciężarówki, trzymając ją za nadgarstek. W prawej dłoni trzymał obrzyn.

*Rozwali cię tym na kawałki* – ostrzegł go cichy głos.

– O ile zdąży strzelić – odpowiedział Pielgrzym.

Nie przyglądał się dziewczynie. Nie odważył się. W końcu należało się skupić.

Lou trzymał broń luźno zwieszoną przy nodze.

Pielgrzym wziął głęboki wdech, uspokoił pracę serca, musiał zapanować nad trzęsącymi się kończynami. Kopnął drzwi, kolbę karabinu oparł o ramię, ale lewa ręka trzęsła się jak diabli, lufa podskakiwała, kiedy wymierzył z niej w szpakowatego mężczyznę. Nie krzyknął, nie kazał mu odłożyć broni, ale nacisnął spust. Momentalnie poczuł, że słaba dłoń go zawiodła, lufa podskoczyła za wysoko, a kula przeleciała nad celem.

Lou puścił dziewczynę i uniósł obrzyn, podczas gdy Pielgrzym wprowadzał kolejny nabój do komory. Zanim jednak złożył się do strzału, Lou wypalił z obydwu luf, czemu towarzyszył okropny huk.

## CZĘŚĆ TRZECIA

Dziewczyna, która się odnalazła, i mężczyzna,  
który nie potrafił się odnaleźć

## Rozdział 1

– Co on najlepszego wyprawia? – zapytał Lou, kiedy beżowe auto zaczęło przyspieszać i zrównywać się z nimi.

Lacey pochyliła się do przodu, ale widziała jedynie dach i bardzo mały fragment siedzenia pasażera. Kolor karoserii wyglądał znajomo i na jego widok poczuła skurcz w sercu, które chwilę potem spuchło do rozmiarów dwukrotnie większych, by na koniec wypuścić wielką falą krew we wszystkie zakamarki ciała. Głowa ją rozboleła.

– O mój Boże – wyszeptała.

*Bądź ostrożna* – powiedział Głos. – *Nadzieja potrafi być złudna.*

Wiedziała o tym. Nikt nie musiał tego przy niej podkreślać.

Auto zjechało przed nimi na ich pas. Należało kiedyś do Alex, Lacey była tego pewna. Nie mogła się mylić. W dalszym ciągu nie widziała całego kierowcy, ledwie zarys jego sylwetki, ale ktokolwiek prowadził samochód, był wysoki.

– Nie powinniśmy za nim ruszyć? – spytał Rink.

Lou nie odpowiedział. Pochylał się nad kierownicą, oczy miał wlepione w tył samochodu przed nimi. Przez jeden straszny moment Lacey bała się, że odpowie twierdząco, ale rozluźnił się i rozparł w fotelu.

Pokręcił głową.

– Nie. Trzymamy się planu. Znajdujemy dziewczynę i wracamy.

– Ale może ma coś, co by nam się przydało.

– Jeżeli nie przewozi akurat klucza do największego na świecie skarbcza ze świeżym jedzeniem i konserwami, to chuj mnie obchodzi, co ma przy sobie, a czego nie.



– Chodzi mi jedynie o to, że może powinniśmy...

– Nie.

Tylko raz zbczyli z ustalonej trasy, kiedy zobaczyli motocykl Skauta i zdecydowali, że staną i go zabiorą. Ucieszyła się, widząc motocykl, i zorientowała się, że raz po raz ogląda się na niego. Przypominał jej długie kilometry, które na nim spędziła, trzymając się pasa tego dziwnie ostrożnego mężczyzny, kiedy jeszcze myślała, że prośba o pomoc w przebyciu tysiąca dwustu kilometrów z zachodniej części Teksasu aż do Missisipi i do domu jej siostry to rzecz prosta. Była idiotką. Nie wiedziała nic na temat świata, a świat nie wiedział jeszcze nic o niej. A teraz z przerażającą jasnością rozumiała, że jej ignorancja spowodowała mnóstwo komplikacji i cierpienia na ludzi, na których jej najbardziej zależało.

Głos zaczął śpiewać.

*Niedole trapią to nieszczęsne miasto i zło się szerzy.*

*Łatwo tutaj płakać i stąd uciekać, najłatwiej się tu poddać.*

*W niespokojnym mieście, gdzie wszystko wokół szare,*

*noc następuje po nocy i próżno czekać dnia.*

Niedługo później jego śpiew zszedł na drugi plan, a uwaga dziewczyny skupiła się na czymś innym. Nigdy jeszcze nie czuła się tak oddalona od wszystkiego i wszystkich, których знаła. Obserwowała tył beżowego samochodu pędzącego przed nimi i przeklinała się w duchu za swoją frajerską nadzieję. Niby skąd mógł wiedzieć, że będzie wracała w tamto miejsce właśnie wtedy? Otóż to, nie mógł. To było po prostu niemożliwe.

Głos przestał śpiewać i przemówił.

*A jednak gdy odrzucisz to, co niemożliwe, wszystko pozostałe, choćby najbardziej nieprawdopodobne, musi być prawdą.*

„To mógł być po prostu jakiś inny człowiek, który znalazł samochód Alex i po prostu go sobie wziął. Tak samo jak te oferny zabrały motocykl, na który się natknęły”.

*Cóż, to jest... Przypuszczalnie bardziej prawdopodobny scenariusz.*

Lacey westchnęła i Głos powrócił do śpiewania. Tym razem wybrał sobie inny utwór. Słowa zapadały w pamięć, a w miarę jak Lacey słuchała, do oczu napływały jej łzy, a droga przed nią i niebo zlewały się w jedno.

*Łazarz powstaje, Łazarz upada,  
Łazarz słucha tego, kto nim włada.  
Nie dla niego trumna, grób i brama,  
tylko buty i piasek na ziemi Pana.  
Wprawdzie martwy, ale to nie oznacza końca.  
Powróci na nowo z promieniami słońca.*

– Jesteś najbardziej depresyjnym stworzeniem, jakie znam – oświadczyła Lacey.

Lou popatrzył na nią, ale nie odwróciła głowy, nadal spoglądała prosto przez przednią szybę. Na szczęście nie odezwał się aż do momentu, kiedy Lacey uniosła dłoń i wskazała na stodołę.

– Tam – powiedziała.

– Widzę – wymamrotał Lou.

– Widzicie ten przewrócony samochód? To jej.

– Nie mówiłaś nam wcześniej, że zepsuła auto. – Lou przyhamował i spojrział przez ramię, przecinając lewy pas. Koła zabuksowały, kiedy wjechał na przydrożny żwir. Stanął dziesięć metrów przed tylnym zderzakiem obróconym do góry nogami.

*Grzechy mu odpuszczono i znów przemierza bezmiar światów – śpiewał Głos. – Niech żyje, niech żyje ten król wariatów.*

– Zamknij się. – Lacey zaczęła się niecierpliwić.

Lou popatrzył na nią swoimi martwymi oczyma.

Pomyślała, że jest w nim coś z węża. I żadna ilość surowicy nie zapobiegnie przed rozchodzeniem się jadu po organizmie. Ukąszenie byłoby śmiertelne.

– Czas, żebyś zaczęła mówić, przebiegła gówniario – wycedził Lou.

– Zaciągnęłaś nas taki szmat drogi, więc teraz powiedz, gdzie ona jest, do kurwy nędzy.

– Ostatnio widziałam ją właśnie tutaj. – Lacey wskazała pusty, pokryty rozbitym szkłem kawałek ziemi przy oknie samochodu. – Przysięgam. Leżała tutaj, zęby miała wyrwane. Wyglądała strasznie. Kto mógł jej coś takiego zrobić?

Lou i Rink spojrzeli na siebie, po czym ten pierwszy pokręcił głową.

– Rozejrzemy się. Ty – powiedział do dziewczyny – nie waż się stąd ruszyć ani o centymetr. Przesuniesz którąś część ciała, a ja ją utnę.

Obaj wysiedli, zabrawszy broń. Lacey nie spuściła oczu z kluczyków, które Lou zostawił w stacyjce. Zanim zamknął drzwi, nachylił się jednak i wyciągnął je, po czym wsadził do kieszeni, którą następnie poklepał.

– Nie będziesz ich potrzebowała w najbliższej przyszłości. – Uśmiechnął się do niej złośliwie.

– Pojeb – wymamrotała, gdy tylko zamknął wgniecione drzwi. Dopiero za trzecim razem mu się udało.

Obserwowała, jak myszkują we wraku. Ze swojego miejsca była w stanie dostrzec długie ślady na ziemi, oznaczające kierunek, w którym prawdopodobnie kojoty odciągnęły ciało. Zaczęła rozmyślać o tym, że zwierzęta rozszarpywały zwłoki kobiety na strzępy, i zrobiło się jej niedobrze. Szybko przełknęła ślinę i odwróciła oczy od ciemniejszej połaci ziemi, na którą wykrwawiła się dziewczyna.

*Słońce ogrzewa i zlatują się robale,  
skubią i gryzą, nie szcędząc sobie wcale  
Zostają po nas tylko skóra i kości,  
a kiedy życie uchodzi, nie znają litości.*

– Boże, dlaczego właśnie teraz musiałeś zacząć to śpiewać? – powiedziała gniewnie. – Przestań wreszcie.

Nie zwracał na nią uwagi.

*Gryzą i żują, wysysają nas do sucha,  
Uczują na nas, aż wyzionemy ducha.*

Lacey zaczęła nucić bardzo głośno, żeby tylko go odgonić.  
Głos przerwał.

*Co to takiego?*

– Nie tylko ty potrafisz śpiewać, wiesz?

*No dobra, ale co to jest? Podoba mi się.*

– *Dear Prudence* Beatlesów. Słyszałeś o nich?

*Nie...*

Kontynuowała, mrużąc swój drugi w kolejności ulubiony utwór Beatlesów, a Głos słuchał. Jednocześnie patrzyła, jak dwóch mężczyzn rozmawia. Ich usta się poruszały, ale niczego nie słyszała.

– Powinniśmy byli ją zakopać – powiedziała Lacey.

*Ziemia jest zbyt twarda. Poza tym niby czym byś wykopała grób?  
Łyżką?*

– Przynajmniej teraz musieliby się trochę namęczyć, żeby dotrzeć do swojej nagrody.

Rink ruszył do stodoły. Prawą stopę stawiał nieco do środka, jakby Bóg krzywo przykręcił jego nogę na gwincie. Ze swoimi prostymi jak struna plecami Lacey nagle zaczęła mu współczuć. Może wcale nie chciał dołączyć do Dumonta i jego bandy, ale tylko w ten sposób mógł przeżyć na świecie, gdzie garbaci i kulawi mężczyźni z reguły szybko kończyli martwi.

*Uwielbiam sposób, w jaki pracuje twój mózg.*

Lacey nie zwracała uwagi na Głos i przesunęła się na fotel kierowcy. Opuściła szybę i poczuła, jak ciepłe powietrze owiewa jej mokrą od potu brew. Wpatrywała się w stodołę. Jej drewniana konstrukcja wyglądała z zewnątrz z jakiegoś powodu imponująco, nawet pomimo zapadniętego dachu i dziur w ścianach. Lacey nie pamiętała nazwy tego schorzenia, ale istniało coś takiego, że ludzie

widzieli ludzkie twarze w przedmiotach codziennego użytku. Pewnego razu powiedziała jej o tym babcia: podobno ktoś kiedyś pomyślał, że widzi twarz Jezusa na grillowanej kanapce z serem, w co inna osoba uwierzyła i kupiła ją za dwadzieścia osiem tysięcy dolarów. Ponoć niektórzy projektanci samochodów inspirowali się mimiką twarzy, tworząc elementy nadwozia. Tworzyli sportowe samochody w taki sposób, by niektóre elementy – jak oczy-reflektory i usta-grille – wyglądały bardziej agresywnie. Teraz sama widziała, że front stodoły układa się w twarz, podwójne drzwi tworzyły usta gotowe zjeść każdego na tyle głupiego, by się zbliżyć, natomiast dwa małe okienka na piętrze – dawniej służące do wrzucania siana na stryszek, gdzie je składowano – przypominały oczy, które obserwowały zbliżającą się ofiarę.

Rink sięgnął do drzwi i otworzył je, przez co stodoła była gotowa, by zacząć jeść.

– Jeśli nie znajdziemy dziewczyny, to nigdzie nie pójdziesz.

Lacey patrzyła na ubitą drogę prowadzącą do stodoły, ignorując Lou, kiedy ten pochylał się przy błotniku obok drzwi kierowcy.

– W sumie jeśli jej tu nie będzie, to jestem przekonany, że szef bez problemu pozwoli, żebyśmy we dwóch z Rinkiem ukarali cię za twoje wierutne kłamstwa.

– Tylko spróbuj, a skończysz jak Jeb.

Lou ruszał się szybciej, niż się spodziewała. Jego dłoń była jak atakująca żmija. Chwycił ją mocno za zuchwę, palce boleśnie przycisnęły policzki do zębów.

– Ty i ta twoja niewyparzona gęba – wyszeptał, a ona poczuła jego gorący oddech. – Czy to ty w ogóle jesteś odpowiedzialna za wszystko, co się z niej wydostaje? Pewnie nie. Założę się, że za tymi ładnymi oczkami kryje się jakieś kłamliwe stworzenie. I każe ci po sobie powtarzać.

Lacey nie mogła się powstrzymać i otworzyła oczy jeszcze szerzej.

– Nie rozgryzałaś jeszcze, jak to wszystko działa? – powiedział. – Z takimi małymi dupeczkami jak ty robimy, co nam się tylko

podoba. Niezależnie od tego, co przed nami ukrywacie. Pierdolimy do upadłego, a potem zjadamy resztę. Pieczemy żywcem i przysłuchujemy się krzykom. – Ścisnął jej twarz jeszcze mocniej, a jego paznokcie wbiły się w jej skórę. – Jesteś dla mnie tylko chodzącym kawałkiem mięsa.

Nie oddychała, nie poruszała się. Na pewno tylko próbował ją przestraszyć. Na pewno nie zrobiliby z nią czegoś takiego. Może z Księżniczką, ale nie z nią.

Głos nie odpowiadał, ale czuła wyraźnie, że jego milczenie jest wymowne.

– Lou!

Palce mężczyzny puściły jej twarz, a Lacey momentalnie odsunęła się od okna i poza jego zasięg. Potarła piecząca skórę. Czuła wgniecenia na skórze w miejscach, gdzie zatopił swoje paznokcie.

– Lou, znalazłem ją! Jest tutaj! Chodź zobaczyć!

Lacey nie odwracała oczu od Lou i kiedy wsiadł do środka, przesunęła się w drugi koniec kabiny, przyciskając się do drzwi, byle dalej od niego. Nawet na nią nie spojrział. Podjechał trochę w stronę stodoły, wyłączył silnik, złapał ją mocno za nadgarstek i wyciągnął skomlącą z ciężarówki. Usiłowała wyrwać rękę, ale osiągnęła tylko tyle, że zacisnął palce jeszcze mocniej. Krzyknęła i prawie upadła na kolana z bólu.

*Pielgrzym* – wyszeptał Głos.

Lacey wydawało się, że słyszy w jego tonie zdziwienie, ale jej głowa przypominała teraz szybkoogar pełen zduszonych okrzyków, więc nie mogła być pewna.

Usta stodoły otworzyły się i wyszedł z niej wysoki mężczyzna z głową koloru szkarłatnego i karabinem wycelowanym w ich kierunku. Strzelił, a Lacey odruchowo się uchyliła, zaskoczona tym, że Lou puścił jej nadgarstek. Upadła obok jego nóg i oplotła je rękoma, próbując wytrącić go z równowagi. Huk obrzyna ogłuszył ją na chwilę. Karabin wypalił jeszcze raz, stłumiony wystrzał zadźwięczał jej w uszach. Na wpół zaplątana między nogami Lou,

Lacey usłyszała dziwne plaśnięcie i poczuła, jak mężczyzna zadrżał. Następnie zaczął się przewracać, kolanem uderzył w jej podbródek i niechcący przygryzła czubek języka. Łzy napłynęły jej do oczu. Poczowała w ustach smak krwi.

Obrzyn Lou wylądował na ziemi niedaleko niej, z kolei Lou upadł na wznak.

Odsunęła się od niego i przesunęła w stronę broni, chwyciła ją, wpakowała kolejny nabój do komory i wycelowała w twarz człowieka, który zbierał krwawe żniwo. Zamarła jednak, oddychając ciężko przez usta.

Skaut patrzył jej w oczy.

*Pielgrzym* – wydyszał Głos i tym razem rozumiała jego zaskoczenie.

## Rozdział 2

BUUUM!

Ziemia przed nogami Pielgrzyma eksplodowała fontanną żwiru i kulistych odłamków, sypiąc się na jego nogi, ale tym razem już był przygotowany. Nie zamierzał spudłować dwukrotnie.

Patrzył, jak dziewczyna upada pod nogi mężczyzny i wytrąca go z równowagi. Zdał sobie sprawę, że właśnie to uratowało mu życie. Dlatego obrzyn wypalił w ziemię. Pielgrzym strzelił po raz drugi i tym razem wymierzył jak należy, a jego cel zachwiał się i cofnął, broń wyleciała mu z rąk. Padł na ziemię jak długi, a Lacey wylądowała przy jego stopach.

Pielgrzym wsunął do komory trzeci nabój i w dalszym ciągu szedł naprzód zaskoczony tym, jak szybko dziewczyna rzuciła się w bok, podniosła strzelbę, przysunęła do twarzy i wycelowała w niego.

– Pielgrzym? – powiedziała.

Był zaskoczony, choć przecież zawsze miała talent do zaskakiwania, ale teraz się śpieszył, dlatego ominął ją i pochylił się nad przewróconym człowiekiem. Szturchnął go w klatkę piersiową lufą karabinu. Krew płynęła przez dużą dziurę po prawej stronie. Plama powiększała się gwałtownie, jakby rozlano tusz. Oddech Lou przyspieszył i stał się urywany.

– Myślę, że udało ci się go zabić – powiedziała Lacey. Wypluła krew na ziemię.

Pielgrzym skinął głową, zmuszony się zgodzić, i patrzył, jak klatkę piersiową mężczyzny przechodzą nieregularne dreszcze. Obniżył broń. Jego lewa dłoń mocno teraz drżała.

– Masz na sobie moją chustę.



Uniósł trzęsące się palce i dotknął nimi brwi. Zapomniał zupełnie o chuście, którą przewiązał wokół głowy. Próbował wzruszyć ramionami i poczuł, że prawe z nich przeskakuje w górę i na dół.

– Kolor mi się podoba. Pasuje do mojej cery.

– Taaak, jasne. Nie chcę ci psuć samopoczucia, ale twoja cera wygląda beznadziejnie.

Spojrzał na nią po raz pierwszy, tak porządnie spojrzał, i zobaczył bijącą od niej energię. Głównie wokół głowy, ramion i rąk, podobnie jak u drzewa z bibliotecznego piwnicy, tyle że iskry wokół dziewczyny były ogniościami czerwone. Martwiły go te iskry. Bił od nich gniew, jakby próbowały coś przekazać, a on był zbyt tępy, żeby zrozumieć.

Zmusił się do uśmiechu.

– To prawdopodobnie od strzału w głowę.

Wstała i zaczęła strzepywać piasek z ubrania, a następnie podeszła do niego i zadarła głowę, by spojrzeć mu w oczy. Nie wypuszczając broni, wyciągnęła wolną dłoń i położyła mu na policzku. Był ciepły, suchy i bardziej delikatny, niż podejrzewała. Jego lewą dłoń ścisnął mimowolny skurcz, prawie jakby jego ciało również zamierzało unieść dłoń do jej twarzy. Zacisnął palce i uformował pięść. Poczekał, aż skurcz puści.

– Białka masz całe przekrwione.

Zrobiło mu się niedobrze i zamknął oczy. Świat zakręcił się wokół niego, a on trwał w jego mrocznym epicentrum, wyobrażając sobie niewidzialne korzenie, które oplątywały jego buty, zaciskały się wokół łydek i wiązały go natychmiast z kręcącą się Ziemią. Pragnął, żeby świat wreszcie się zatrzymał.

Lacey odsunęła dłoń od jego policzka, a on otworzył oczy. Dziwnie mu się przyglądała, powoli kręcąc głową. Czerwone iskry przestały już zeskakiwać z jej ciała. Cieszył się z tego.

*Jesteś odwodniony.*

Czy to była jego myśl? Tak właśnie brzmiała. Mimo że przyszła tak naprawdę nie wiadomo skąd. Może faktycznie był odwodniony.

– Jakim cudem się tu znalazłeś? – spytała tak cicho, że musiał się

wysilić, by ją usłyszeć.

– Magia – powiedział i zobaczył, jak zaskoczenie pojawia się na moment na jej twarzy. Zwilżył swoje suche, popękane wagi. – Masz może wodę?

Ożywiła się ponownie.

– Boże, przepraszam. Tak. W samochodzie. Poczekaj tutaj, pójde po nią.

Pielgrzym popatrzył na umierającego człowieka u swoich stóp, ale umieranie się skończyło, śmierć już przyszła. Twarz mężczyzny zwiotczała, usta się otworzyły. Delikatne mięśnie języka przypominały bladego ślimaka. Krew zasychała już w słońcu i tworzyła twardą skorupę przywierającą do jego nieruchomej klatki piersiowej.

Pielgrzym nie czuł niczego. Mężczyzna był bez wątpienia protagonistą własnej opowieści, centrum swojego małego wszechświata i wszyscy wokół stanowili jedynie graczy, a teraz historia jego życia dobiegła brutalnego końca. Zastanawiał się, czy ten człowiek kiedykolwiek wziął pod uwagę, że to może się w ten sposób skończyć. Pewnie nie. Tacy jak on zawsze sądzą, że będą żyli wiecznie, i żerują na słabszych od siebie, biorąc wszystko, czego chcą, i nie dając nic w zamian. Może i był główną postacią w swojej opowieści, jedynym władcą tego świata, ale dla Pielgrzyma był to po prostu kolejny trup z długiej kolejki trupów. Dlatego nie poczuł niczego.

Pielgrzym powlókł się do stodoły, chcąc powrócić do cienia. Zachodzące słońce paliło go w kark.

– Znalazłam też trochę jedzenia! – krzyknęła Lacey z pick-upa.

Pielgrzym oparł plecy o ciepłe drewno i zsunął się do pozycji siedzącej. Karabin położył w poprzek ud.

Dziewczyna zeskoczyła z kabiny i podeszła do niego, trzymając dużą butelkę wody i coś, co wyglądało jak dwie puszki z zupą.

– Brzoskwinie – powiedziała uśmiechnięta.

Musiał wyglądać, jakby jej nie usłyszał, bo potrząsała wyciągniętą w jego stronę puszką, której zawartość chlupotała.

– Brzoskwinie w puszcze. To prawie jak nektar, daję słowo.

Jego żołądek skurczył się boleśnie i już chyba trawił sam siebie. Podała mu najpierw wodę i usiadła po turecku obok.

Wziął łyk, nie chcąc przepelnić żołądka, po czym podał wodę jej i wymienił na brzoskwinie.

Czuł, że obserwuje go, gdy usilnie stara się utrzymać puszkę w lewej dłoni i otworzyć ją prawą.

– Mam to zrobić za ciebie?

Podał jej puszkę bez słowa i patrzył na ścieżkę. W górę i w dół drogi także, ale byli tu zupełnie sami. Równie dobrze mogliby być ostatnimi ocalałymi ludźmi na świecie. Było to przyjemne uczucie, tak sobie po prostu siedzieć i pozwalać zmęczonym kościom wypoczywać. Sama myśl, że to już koniec – tylko on, dziewczyna i pusty świat – niosła ukojenie. Niebo oblewało się na zachodzie karmazynowym odcieniem. Ukryty czerwony kocioł, którego temperatura zabarwiała niebo, wielki piec pompujący gorąco ponad horyzont.

– Ładnie tutaj – powiedział.

– Co? – Lacey podniosła wzrok. Już prawie zdjęła wieczko. Rozejrzała się dookoła, ale nie widziała piękna, o którym mówił. – No może. Gdzie umieściłeś dziewczynę?

Chwilę potrwało, zanim przypomniał sobie, o kim ona mówi.

– Jest w... – Słowa raz jeszcze mu uciekały, dlatego dokończył inaczej, niż zamierzał. – Jest w przestrzeni z tyłu samochodu.

Ostrożnie wziął od niej puszkę, starając się nie rozlać soku. Słodki zapach brzoskwiń dotarł do jego nosa i ślina gwałtownie napłynęła mu do ust. Wkrótce po niej nadeszła fala nudności.

Lacey raz jeszcze na niego popatrzyła.

– Włożyłeś ją do... bagażnika?

Pielgrzym łyknął soku. Był bardzo słodki i równie smaczny. Po pierwszej spazmatycznej reakcji żołądek uspokoił się i Pielgrzym wypił połowę zawartości puszeki.

– A co z Rinkiem? Gdzie on jest?

Trzymał kawałek miękkiego, delikatnego owocu w ustach i nie

mógł odpowiedzieć od razu.

– Mam na myśli tego kulejącego, garbatego gościa – powiedziała.  
– Tego, który wszedł do środka, szukając jej. – Skinęła głową w stronę stodoły.

– Śpi. – Pielgrzym wrzucił dwa kawałki brzoskwini do ust i przeżuwał powoli, z namaszczeniem, smakując delikatną i śliską konsystencją owocu językiem. Istna eksplozja smaku.

– Musimy z nim porozmawiać. Musi nam powiedzieć, gdzie teraz jest Alex.

Pielgrzym przerwał przeżuwanie i połykanie. Obserwując ją kątem oka, oblizał wszystkie palce po kolei i uniósł puszkę do ust, po czym wypił resztkę soku.

Lacey nie przerywała.

– Kiedy odjeżdżałam, właśnie przygotowywali się do odjazdu. Zamierzali pojechać w jakieś nowe miejsce. Lou i Rink nie chcieli mi powiedzieć dokąd. Nie możemy jej zostawić.

Pielgrzym się nie odzywał.

*To podstępne „my”* – szepnął jego głos, chcąc wtrącić swoje myśli do rozmowy. – *A jeśli nie „my”, to „nam”.* *Nagle robi się z nas część jakiejś rodziny.*

– Ilu ich tam było? – zapytał, próbując niczego przypadkiem nie obiecać. Czuł, jak jego zboląły umysł obraca swoje tryby, a te głośno szcękają.

– Ilu kogo?

– Ludzi.

– Ach. Niewielu. Może trzydziestka czy jakoś tak.

– Czy któreś z nich było tam... – znowu próbował znaleźć słowo.  
– Czy któreś z nich było tam przetrzymywane wbrew swojej woli?

Przyglądała mu się przez chwilę.

– Nie masz na myśli tylko mnie i Alex.

– Nie. Czy był tam ktoś jeszcze?

Kulejący mężczyzna mówił, że szef przyjmie Pielgrzymą z otwartymi ramionami. Z kolei Hari powiedział mu o człowieku, który przychodzi nocą i porywa ludzi. „Tych, którzy słyszą więcej

niż ty czy ja”. Pielgrzym nie bał się bajek o duchach na dobranoc, ale to wszystko zaczęło nabierać przerażających kształtów.

Lacey przygryzała wewnątrz policzka, a jej spojrzenie wędrowało od niego w stronę ubitej drogi.

– Widziałam cztery związane osoby – powiedziała, wracając do niego spojrzeniem. – Akurat kiedy miałam odjeżdżać. Byli też inni, którzy krzyczeli do mnie, kiedy siedziałam zamknięta w chłodni. Ale to mogli być przecież ci sami ludzie.

– Ale tylko tyle widziałas? Załedwie czwórkę?

– Kręciło się tam trochę ludzi, którzy byli jakby poza tym wszystkim. W tym sensie, że mamrotali do siebie i gapili się. – Wzruszyła ramionami. – Oderwani od rzeczywistości. Ale nie byli związani ani nic.

– Kobiety? Mężczyźni?

– Jedno i drugie.

Nie odzywał się przez moment, tylko potarł palcem wewnątrz puszek i zlizął z niego sok.

– Interesujące – powiedział po cichu.

– Co takiego?

– Że trzymają więźniów.

– No, najwyraźniej.

– A Alex jest normalna.

Zmrużyła oczy.

– Normalna?

Czy ona zdaje sobie sprawę, że powtarza wszystko, co on mówi?

– No tak. Nie słyszy głosu.

Dziewczyna zrozumiała i mrugnęła.

– Ach. No tak.

– Słyszałem historię o mężczyźnie, który porywa ludzi. Takich, co słyszą głosy.

– Podobną do tej, którą opowiedziała nam Alex?

Pielgrzym musiał przez jakiś czas wyglądać, jakby nie rozumiał, bo zrobiło jej się go szkoda i zaczęła tłumaczyć.

– Powiedziała, że słyszała o tym gościu, Szczurołapie. Zakradał

się do różnych miejsc, kiedy wszyscy spali, i szeptał ludziom do ucha – w każdym razie słyszającym te głosy – a potem ich zabierał. Wszystkich innych palił. Nie pamiętasz?

Czy dlatego historia opowiedziana przez Hariego wydawała się taka znajoma? Bo Alex już mu ją opowiedziała?

– Ludzi z głosami, tak właśnie powiedziała?

Dziewczyna skinęła głową i zamilkła. Popatrzyła w dół na butelkę wody na swoich kolanach. Odkręciła nakrętkę, podniosła ją oburącz i wypła kilka łyków. Butelka trzęsła się jej w dłoniach.

– „Chodźmy więc, ty i ja, przed siebie. W ten wieczór, rozciągnięty bezwładnie na niebie. Jak pacjent pod eterem na stole”.

Spojrzała na niego. Opuściła butelkę.

– To wiersz – powiedział jej. – Z książki. Pamiętasz, co ci wcześniej pokazywałem? Książki?

Jej wargi ułożyły się w leniwy, złośliwy uśmiešek.

– Taaak, pamiętam. Jest tego więcej?

Skinął głową.

– Powiesz mi?

Zagapił się na drogę, rozmyślając. Nie odpowiedział jej od razu. Odchrząknął.

– „A jak będzie z jedzeniem brzoskwiń?” – Przechylił puszkę i popatrzył na jej dno. – „Czy brzoskwinię zjeść się ośmielę? Czy białe spodnie włożę, po plaży pójdę w dal. Słyszałem, jak syreny śpiewem zwołują się wśród fal. Nie sądzę, aby kiedyś zaśpiewały dla mnie”<sup>[2]</sup>.

Wydawało mu się, że dziewczyna czeka na ciąg dalszy. Kiedy ten nie nadszedł, odezwała się:

– Tak się kończy? Jaki smutny.

– Nie, jest go jeszcze trochę. – Popatrzył, oparł puszkę na udzie, a kiedy Lacey spojrzała mu w oczy z nadzieją, dokończył dla niej wiersz: – „A myśmy, w wieńcach, które boginki starannie / Wiły z glonów, w komnatach morza spali, niemi, / Aż nas zbudziły ludzkie głosy, i toniemy...”.

Patrzyła na niego tak, jakby widziała go po raz pierwszy. Jak gdyby niespodziewanie wyrósł mu magiczny syreni ogon z lśnącymi, błękitnymi łuskami. Okazało się, że i on ją może od czasu do czasu zaskoczyć.

- Jakie to piękne – powiedziała.
- Smutne, ale piękne – zgodził się.
- Jaki nosi tytuł?
- A wiesz, że nie pamiętam.

Uśmiech zagościł na jej twarzy. Był uroczy. I tym razem nie było w pobliżu Głosu, który ostrzegłby przed uleganiem mu.

– Pamiętasz taki duży fragment, ale umknął ci tytuł. Zabawna sprawa. – Sięgnęła za plecy i wyciągnęła coś płaskiego i prostopadłościennego. Wyciągnęła to w jego stronę.

Zaskoczony przyjął od niej książkę i potarł tytuł kciukiem. Białe litery wierciły się i mieszały mu w oczach niezależnie od tego, ile razy je gładził. Czuł niemal nieznośne poczucie straty.

- Czytałaś? – zapytał.
- Trochę.

Oddał książkę dziewczynie, a ta wzięła ją z wahaniem.

– Zatrzymaj ją – powiedział. – Potrzebuje oczu młodszych niż moje.

Puszkę po brzoskwiniach postawił do góry nogami pod ścianą stodoły, po czym zaczął wstawać. Był to długi i bolesny proces. Lacey zerwała się i wyciągnęła ręce w jego stronę, jakby zamierzała go złapać, w razie gdyby stracił równowagę. Kiedy już wstał, poświęcił chwilę na złapanie oddechu. Wiedział, że dziewczyna się martwi – w końcu zobaczył to po jej minie i w pociemniałych teraz, patrzących uważnie oczach – ale nie pytała, czy potrzebuje pomocy. Był jej za to wdzięczny.

- Chodźmy. Zobaczymy, czy nasza „Złotowłosa” się ocknęła.

Ale nie, nie odzyskał przytomności.

Pielgrzym związał ręce i nogi Rinka, po czym zmusił się, by wyjść. Niemądrze byłoby trzymać ciało tak blisko obozowiska.

Zapach krwi mógł zwabić zwierzęta.

*Do martwej dziewczyny jakoś nie przyszły.*

Nie potrafił tego w żaden sposób wyjaśnić. Wydawało mu się, że to jakiś wyjątek i że się nie powtórzy. Dlatego przeciągnął zwłoki Lou do pick-upa i Lacey pomogła mu wrzucić je na tył. Pojechał do drogi i jeszcze ponad kilometr autostradą, zanim porzucił ciało w krzakach. Wróciwszy, zaparkował wóz w stodole, gdzie nie było go widać z zewnątrz.

Był wyczerpany. Usiadł wreszcie, a dziewczyna zbierała drewno na ognisko. Noce na pustyni stawały się bardzo szybko zimne, praktycznie tuż po zachodzie słońca. Bez przerwy mówiła, pracując, i opowiedziała mu wszystko, co stało się od momentu, kiedy zostawili go na pewną śmierć. Skorzystali z dawnego miejsca, w którym już wcześniej rozpalali ognisko, niemniej tym razem Pielgrzym czuł, że coś jest tutaj nie tak. Lacey stała się cichsza, kiedy ogień nareszcie zapłonął. Była ich znowu trójka niedaleko ogniska, ale to nie byli do końca ludzie, których chciała tutaj widzieć. Brakowało Alex.

Pielgrzym próbował ocucić mężczyznę kilka razy, ale nie doczekał się reakcji.

Pomyślał, że najwyraźniej za mocno go uderzył.

Nie miał wycucia w lewej dłoni, dlatego na wszelki wypadek włożył w cios dodatkową siłę, by na pewno pozbawił delikwenta przytomności. Teraz z kolei obawiał się, że uderzył go na tyle mocno, że coś mu trwale uszkodził.

*Obrażenia głowy mogą okazać się problematyczne – powiedział ten nowy, cichy głos.*

Pielgrzym zaśmiał się lekko.

– O tak, to prawda.

Wrócił, by usiąść przy ognisku, i zobaczył, że Lacey czyta książkę. Usiadł cicho, nie chcąc jej przerywać, ale mimo to zamknęła książkę i obróciła się ku niemu.

– Słowa są ważne, prawda? – zapytała.

Próbował usadowić się wygodnie, ale szybko się zorientował, że



nic więcej nie wskóra w tych warunkach i po prostu przestał się ruszać, po czym spojrzał na nią. Czekala, aż jej odpowie. Miała śmiertelnie poważny wyraz twarzy i przez chwilę poczuł się nieswojo. Światło bijące od ognia padało na skórę, cienie tańczyły po twarzy, ale jej oczy pozostały jasne.

Z uwagi na to, że zapytała tak poważnie, dokładnie przemyślał odpowiedź, zanim jej udzielił.

– Słowa powinny być ważne. Są teraz wszystkim, co nam pozostało. W pewnym sensie nas określają.

Skinęła głową, najwyraźniej zadowolona z jego odpowiedzi. Przez jakiś czas patrzyła w ogień, rozmyślając nad czymś, aż w końcu z powrotem uniosła wzrok. Była jakaś płochliwość w sposobie, w jaki na niego patrzyła, którego dotąd u niej nie widział.

– Co się stało z twoją rodziną? – spytała.

Odwzajemnił jej spojrzenie. Był pewien, że wprawiał ją tym w zakłopotanie. Nie to było jego zamiarem, ale jej pytanie zbiło go z tropu.

– Są takie rzeczy, o których wolałbym nie pamiętać.

Nie była to do końca prawda. Wielu rzeczy po prostu nie potrafił sobie przypomnieć. A przynajmniej nie w pełni. Dobrze przećwiczył zrzucanie ich z tego białego klifu w głębię, w mroczne czeluści oceanu. Z jego wspomnień nie pozostało nic prócz kilku strzępów. Duża porcja tych resztek zniknęła, kiedy postrzelono go w głowę. Jeśli chodzi o niektóre fragmenty jego wspomnień, to już nawet nie pamiętał, że je utracił.

Lacey się odezwała.

– Rozumiem. Ale rodziny się nie zapomina.

– Nie – zgodził się. – A przynajmniej niecałkowicie. Ale można ich pogrzebać. I to nie tylko w jeden sposób.

Skrzywiła się, niezadowolona z takiej odpowiedzi.

– Miałem młodszą siostrę.

Spróbował ją sobie wyobrazić, jak siedzi obok niego na podłodze. Siedzieli razem blisko telewizora z głowami przechylnymi pod tym samym kątem. Jej włosy opadały puklami na ramiona,

miękkie loki podskakiwały, kiedy chichotała. Jej śmiech był muzyką dla jego uszu, potrafił podnieść go na duchu, nawet kiedy był w podłym nastroju. Kolorowa kreskówka leciała przed ich oczyma – jaskrawoczerwone samochody wyścigowe, błękit rozległego oceanu i brąz misia przytulanki, po którego mała kreskówkowa dziewczynka wyciągnęła rączki i którego przytulała mocno do piersi. W tle cicho pracowała pralka, a ich matka krzątała się zajęta praniem.

– Co się z nią stało?

Ten raz zignorował alarm ostrzegawczy obsługiwany przez jego instynkt samozachowawczy i świadomie sięgnął pamięcią wstecz, zanurzając się w tej czarnej czeluści gdzieś z tyłu jego głowy, a jednak nie tak daleko.

– Jak możesz nie pamiętać swojej siostry?

– Trening czyni mistrza.

– To smutne. Czy to oznacza, że mnie również któregoś dnia zapomnisz?

– Wspomnienia istnieją tak długo, jak to konieczne. Potem mijają, jak wszystko inne. I tak też powinno być.

Jej skrzywiona mina zmieniła się w poirytowaną.

– To kiepska odpowiedź.

Uśmiechnął się lekko i nawet to go zabolalo.

– Masz rację.

– Ja nigdy nie zapomnę swojej siostry.

– Mówisz tak, bo czujesz, że wciąż ci jest potrzebna – powiedział cicho.

– Zawsze będę potrzebowała rodziny.

Lacey najwyraźniej nie podobał się kierunek, który obrała rozmowa, dlatego wróciła do wpatrywania się w ognisko z kamiennym wyrazem twarzy.

Pielgrzym zamknął oczy, płótna jego powiek pomalowano czerwienią. Na horyzoncie mieniły się płomienie. Nie wiedział, jak długo siedział w ten sposób, aż Lacey przerwała milczenie.

– Co możemy zrobić, skoro nie jesteśmy w stanie go nawet

obudzić?

Walczył ze sobą, żeby otworzyć oczy.

– Jeśli nie obudzi się do rana...

Resztę zostawił niedopowiedzianą.

– Nie możemy jej zostawić – powiedziała. – Mam na myśli Alex. Nie widziałeś, co Dumont z nią zrobił. On jest... – Pielgrzym obserwował cień na jej grdyce, poruszający się, kiedy przełykała ślinę. – Lubi zadawać ludziom ból.

Głowa, ciasno obwiązana chustą, pulsowała teraz w rytm bicia serca. Ból głowy był tępy, do tego czuł stałe napięcie z tyłu oczu i w skroniach, a także rwanie za opuchniętym uchem.

– Nie wydaje mi się, by walkie-talkie działało na taką odległość. Cała łączność się urwała, jak tylko wyjechaliśmy z miasta.

Radio stało przy jej boku, chwilowo wyłączone, by nie wyczerpywały się baterie. Wyszła na zewnątrz po tym, jak sprawdzili stan Rinka, padła na kolana obok trupa Lou i podważyła jego ciało na tyle mocno, by odzepić od paska radio. Nie uległo żadnemu uszkodzeniu podczas upadku mężczyzny, co zakrawało na cud. A przecież nie mieli jak dotąd za dużo szczęścia.

Pielgrzym ściągnął z głowy chustę. Czuł się teraz, jakby jego szyja była gałązką, na której ktoś powiesił głaz.

– Musisz odpocząć – powiedziała Lacey.

Coraz trudniej było mu się skupić. Kiedy tak siedzieli przy ognisku, Lacey była dla jego słabnących oczu niewyraźną, czerwonawą plamą, wokół której pląsały płomienie. Przerazał go ten widok. Był rozpalony i siedział w milczeniu, a dziewczyna na jego oczach stopniowo znikła.

Położył się i najwyraźniej wydał jakiś dźwięk, bo Lacey natychmiast pojawiła się przy nim i pomogła mu się podeprzeć, kiedy kładł się na boku. Znalazła gdzieś koc i poczuł, jak otula go nim. Był ciepły. Co zaskakujące, czuł się pod nim bezpiecznie, jak w pancerzu. A może chodziło o dziewczynę. Po raz pierwszy od wielu nocy nie martwił się tym, że podczas snu jest całkiem bezbronny.

Słyszał, jak cicho mówiła do niego, kiedy zamykał oczy. Jej słowa zapadały mu głęboko w pamięć.

– Pamiętasz, co powiedziałeś do mnie w motelu tej pierwszej nocy? – wyszeptała. – To było tuż po tym, jak mnie uratowałeś. Powiedziałeś, że tamci ludzie byli źli, ale nie wszyscy będą tacy. Że powinnam postarać się pamiętać właśnie o tych dobrych ludziach wciąż żyjących na świecie. Pamiętasz, że mi to mówiłeś?

Wymamrotał coś, być może potwierdzenie, a może tylko jakiś dźwięk bez większego sensu. Nie miało to znaczenia. Dziewczyna wciąż szeptała.

– Chodzi o to, że Alex nigdy nie poznała nikogo dobrego. Ludzie tylko ją krzywdzili i odbierali jej tych, których kochała, a ją samą traktowali jak śmieć. Ale dla mnie jest kimś ważnym. Tak samo jak ty. Jest moją rodziną w tym samym stopniu co moja siostra i siostrzenica. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Jej usta niemal dotykały jego ucha. Słowa płonęły teraz delikatnym, ciepłym światłem.

– Rozumiesz? – wyszeptała raz jeszcze. – To moja rodzina i nigdy jej nie zapomnę.

[2] T.S. Eliot, *Pieśń miłosna J. Alfreda Prufrocka* [w:] *Szepty nieśmiertelności. Poezje wybrane*, przełożył. Krzysztof Boczkowski, Toruń 2013.

### Rozdział 3

Lacey nie spała. Siedziała obok Skauta, opierając rękę na jego obutej stopie, i patrzyła w ognisko. Raz po raz dokładała drewna do przygasających płomieni. Oczy miała suche jak pieprz, jak gdyby wyciągnięto z niej już wszystkie łzy, a jedyne, co w niej zostało, to twarde kości i zdecydowane myśli.

Patrzyła na niego od czasu do czasu, kiedy spał. Wyglądał spokojnie, a jego silne ciało wydawało się rozluźnione. Jedyne kiedy nie spał, widać było, jak bardzo cierpi. Jego ruchy były sztywne i precyzyjne. Lewe oko zezowało lekko, kiedy na nią spoglądał. Twardówkę miał niemal całkiem podbiegniętą czerwienią, przez co oko wydawało się obce. Tęczówka przypominała ciemną wyspę otoczoną morzem krwi. Zauważyła, że jego lewa dłoń drży, kiedy próbował otworzyć brzoskwinie, ale teraz, gdy odpoczywał, drżenie ustało. We śnie wydawał się znów cały.

Może faktycznie jest magiczny, pomyślała.

*Może wszyscy jesteśmy* – odrzekł Głos.

– Większość ludzi po strzale w głowę padłaby trupem – powiedziała.

*Podajrzewam, że kula odbiła się rykoszetem od jego czaszki. Zapewniam, że jest bardzo twarda.*

– Znasz go. Nazwałś go Pielgrzymem.

*Najlepiej gdybyś ty nie używała tego określenia.*

– Niby czemu?

*Bo nie chciałby wiedzieć, skąd je znasz.*

– Co to znaczy?

Ale Głos nie odpowiedział. Jego słowa, niczym tekst piosenki, dobiegły do końca. Igła gramofonowa dotarła do wewnętrznej krawędzi nagrania i wpłynęła na wody pełne trzeszczącej ciszy. Lacey wiedziała, że zostanie w końcu przestawiona z powrotem i zacznie kolejną pieśń, ale dopiero gdy Głos będzie na to gotów.

Miała ochotę podnieść się i sprawdzić stan Rinka, chciała pójść po książkę, którą zostawiła po drugiej stronie ogniska, ale szkoda jej było tej chwili, tej więzi ze Skautem. Jego but pod jej dłonią. To on ją odnalazł, nie miała zresztą pojęcia jakim cudem, ale bała się, że jeśli teraz go puści, stanie się coś strasznego. Zdawała sobie sprawę z tego, jak nedorzecznie to brzmi, ale to nie zmieniało tego, jak się czuła. W końcu poszła na kompromis. Wstanie za trzydzieści sekund, weźmie książkę, sprawdzi, co u Rinka, i wróci tutaj. Tak, tyle czasu to w sam raz.

A jednak się wahała.

– Przestań, to głupie – powiedziała do siebie.

Wypuściła but Skauta, wstała i zaczęła liczyć – tysiąc, dwa tysiące, trzy tysiące – i poszła najpierw do Rinka, po czym schyliła się przy nim, by zbadać puls. Nic nie czuła, więc zaczęła przyciskać palce w kilku miejscach jego szyi. Dziesięć tysięcy, jedenaście tysięcy, dwanaście, w końcu dotarła do osiemnastu. Zaczęła panikować i myśleć, że być może naprawdę nie żyje. Wreszcie wyczuła słabe pulsowanie. Uniosła mu powiekę. Nie ruszał się. Uderzyła go w policzek, wymówiła jego imię. Nic. Dwadzieścia dwa tysiące. Podskoczyła i popędziła po książkę, którą niemal upuściła tuż po tym, jak ją podniosła, następnie przeskoczyła nad ogniskiem i potknęła się przy lądowaniu. Dwadzieścia dziewięć. Upadła na siedzenie i wyciągnęła dłoń.

– Trzydzieści – powiedziała bez tchu, klepiąc Skauta po stopie.

Nie pamiętała zasypiania, ale obudziła się i zobaczyła, że Pielgrzyma przy niej nie ma, a koc, którym go wcześniej przykryła, teraz okrywa ją. Obok jej głowy leżała książka – okładką do góry na stronie, którą czytała tuż przed zamknięciem oczu. Ranek –

którego światło było ostrzejsze niż to padające o zmierzchu – pozłocił stodołę długimi, skośnymi promieniami.

Poczuła zapach benzyny. To w niej obudziło panikę, więc wyprostowała się, aż spadł z niej koc. Rink wciąż leżał na boku. Jeśli nawet ruszył się przez noc, to nieznacznie.

Wzdrygnęła się, słysząc w oddali szczęk, i wyciągnęła dłoń po obrzyn leżący obok. Skaut wyszedł pomiędzy dwóch pojazdów i otrzepywał dłonie o siedzenie swoich spodni. Zatrzymał się, zobaczywszy, jak dziewczyna celuje w jego stronę, i podniósł ręce w wyrazie kpiącej kapitulacji. Opuściła broń i odsunęła resztę koca na bok.

– Co ty wyprawiasz? – rzuciła oskarżycielskim tonem, próbując się podnieść. – Śmiertelnie mnie wystraszyłeś.

– Jesteśmy prawie gotowi do drogi – powiedział niewzruszony.

Kopnęła na bok koc, wstała i zaczęła się przyglądać, jak podnosi karabin, który opierał się o bok pick-upa, i przynosi jej.

Zabrał jej obrzyn, a zamiast niego dał karabin.

– Lepiej sobie z nim radzisz.

Natychmiast poszedł w stronę Rinka. Pochylił się nad nim, sięgnął do buta i wyciągnął z pochwy nóż.

Żołądek Lacey skurczył się dziwnie.

– Zaczekaj!

Ale Skaut jedynie rozciął linkę między kostkami mężczyzny. Skarcił ją spojrzeniem za samą myśl, że mógłby poderznąć gardło nieuzbrojonemu, nieprzytomnemu człowiekowi.

– Zabieramy go ze sobą. Pomóż mi go podnieść.

Lacey zauważyła, że opuścił już tylną klapę pick-upa. Zajrzała do środka, przechodząc obok. Motocykl leżał na boku, znajdowało się tam również drugie ciało – mniejsze, wręcz drobne – oparte na samym końcu, przy kabinie, tuż pod tylną szybą. Na twarzy ktoś zawiązał czerwoną chustkę Lacey.

Dziewczyna schyliła się i chwyciła Rinka za buty, a Skaut wziął go pod ramiona. Podnieśli go i niezgrabnie spróbowali wrzucić na pakę. Lacey podciągnęła trochę nogi mężczyzny, kiedy zaczęły jej

się wyslizgiwać, i zarzuciła sobie jego buty na biodra. Był naprawdę ciężki.

– Zabieramy też Red? – zapytała, dysząc.

– Red? – Na twarzy Skauta pojawił się grymas. Pot wystąpił mu na czoło.

– Dziewczynę.

Wciąż trzymała nogi Rinka, a Skaut pchnął go z całej siły na pakę. Wylądował z głośnym łupnięciem. Lacey skrzywiła się, wdzięczna, że mężczyzna był już nieprzytomny. Skaut pomógł jej wepchnąć nogi Rinka, a następnie podniósł klapę i ją zamknął. Oparł się o samochód i nadgarstkiem otarł pot z brwi.

– Miała na imię Red? – zapytał.

– Tak. Red, czerwona. Jak kolor.

– Prawie jak z Ruby i rubinowym.

– Tak, chyba tak.

Chwilę później powiedział cicho, ledwo słyszalnie:

– Znowu te kolory.

Wyprostował się, obszedł ją i skierował się ku drzwiom kierowcy.

– Zabierz wszystko, co ci się przyda. Pięć minut i znikamy stąd – rzucił nad ramieniem.

W jej myślach Głos szeptał.

*Red, Ruby. Czerwona, rubinowa.*

Niecały kilometr dalej stado czarnych ptaków zataczało koła na niebie. Skaut nie zwracał na nie uwagi, ale Lacey opuściła szybę i wychyliła się na zewnątrz, by na nie popatrzeć. Nie było ich wiele, w sumie niecały tuzin, ale były naprawdę duże. Wyglądały prawie jak z innej epoki. Szeroko rozkładały skrzydła i szukały prądów powietrznych, by zataczać dzięki nim pełne gracji, leniwe koła. Co kilka sekund jeden z nich łamał szyk i opadał nisko, trzepocząc skrzydłami, ich niskie skrzeczenie przebijało się przez dźwięk silnika. Nie wiedzieli, z czym ptaki walczyły na dole. Dźwięki były niepokojące, zwłaszcza desperackie trzepotanie skrzydłami.



– Sępniki – powiedział Skaut.

Skinęła głową. Kolejne istoty próbujące przetrwać na różne sposoby. Ludzie, szczury, kojoty, sępniki. Sporo to mówiło o kondycji świata. Zastanawiała się, dlaczego te zwierzęta ciągle tu były, podczas gdy tylu członków rodzaju ludzkiego już nie.

*Czasami mówi się na nie również padlinożercy* – powiedział Głos.

– Padlinożercy?

Skaut przytaknął.

– Zawsze znajdą coś martwego do zjedzenia.

Martwego. Jak na przykład ludzkie ciała. Lacey odwróciła wzrok od ptaków i zamknęła okno.

Drzemała jakiś czas, głowa jej się kiwała, kiedy samochód delikatnie przejeżdżał po drobnych nierównościach drogi. Nie myślała o niczym, nie miała też żadnych snów. Przez tę chwilę była jedynie dziewczyną przysypiającą w aucie, a te zmierzało do miejsca, które już pewnie nie istniało. Słońce było jej ciepłym towarzyszem podróży. Kocem, który otulał każdy skrawek jej ciała, zapewniając tym samym komfort. Okno zostawiła odrobinę otwarte i subtelny powiew wiatru rozwiewał teraz włoski na jej karku niczym delikatna pieśczoła niewidzialnych palców. Jej na wpół śpiący umysł marzył o tym, by mogli tak jechać w nieskończoność ze słońcem stale oświetlającym im drogę i ciepłem towarzyszącym niezależnie od tego, kim się było i skąd przybywało.

W końcu jednak coś się zmieniło. Silnik zaczął pracować niżej, a Lacey skrzywiła się, choć wciąż miała zamknięte oczy. Kiedy auto zwolniło i stanęło, niechętnie podniosła głowę – kark miała zdętwiała – i uniosła z niemałym trudem ciężkie powieki. Rozejrzała się, ale droga była w obie strony zupełnie pusta. Odwróciła się do Skauta i zauważyła, że jej się przypatruje. Trudno było patrzeć na jego lewe, przekrwione oko, choć to nie była jego wina, że ten widok ją przerażał. Podświadomie oczekiwała, że prześlizgnie się po niej membrana, półprzezroczysta błona pojawi się dosłownie na moment i zniknie, jak w gadzim

mrugnięciu.

– Umiesz prowadzić?

Spojrzała na kierownicę, potem niżej na pedały i z powrotem na deskę rozdzielczą. Wzruszyła ramionami.

– Po prostu kierujesz autem i jedziesz, prawda? Nie jest to nic skomplikowanego.

– Niby nie, ale nie mów hop. Przesuń się za kółko.

Wysiadł z pick-upa, a Lacey przesiadła się na ciepłe miejsce, które dopiero co zwolnił, i położyła dłonie na kierownicy. Wydawała się jej bardzo duża, prawie jakby służyła do prowadzenia statku, a nie pick-upa. Sięgnęła do lusterka wstecznego i zaczęła je ustawiać. Zauważyła Skauta z tyłu samochodu. Zatrzymał się tam i odpinał tylną klapę. Samochód ugiął się, kiedy mężczyzna wszedł, by sprawdzić, co z Rinkiem. Lacey zajęła się lusterkiem bocznym. Odkręciła szybę, żeby ustawić je oburącz. Odginała je i przyciągała, aż wreszcie ustawiła pod odpowiednim kątem. Zobaczyła w nim, jak Skaut zeskakuje z paki. Auto podskoczyło raz jeszcze, kiedy ściągał z niego Rinka. Ciało mężczyzny wylądowało ciężko na ziemi, wydając nieprzyjemne plaśnięcie, jakby nie miał już kości. Lacey aż przestała na moment oddychać. Skaut przeciągnął go kilka metrów, stanął i schylił się nad nim. Podniósł na moment wzrok i wtedy ich oczy spotkały się w lusterku. Nie trwało to długo, ale zdążyli poczuć, jak chwila się rozciąga.

Lacey pierwsza odwróciła wzrok.

Patrzyła w przód, ręce miała złożone na kolanach. Nie ruszała się, kiedy Skaut chwilę później wsiadał na miejsce pasażera i zamykał za sobą drzwi.

Nie rozmawiali. Jasne słońce wciąż oświetlało przednią szybę, a wewnątrz samochodu było przyjemnie gorące, ale Lacey przestało to cieszyć.

– Zacznijmy od zmiany biegów – powiedział Skaut.

Nachylił się i pokazał jej, jak manipulować dźwignią zmiany biegów. Pokazał, jak przesunąć w pozycję D do jazdy do przodu

i w pozycję R, żeby wrzucić wsteczny. Na desce rozdzielczej obok prędkościomierza znajdował się wskaźnik informujący, który bieg został wrzucony. Wyjaśnił, że z pedałów najważniejszy jest ten większy po lewej. Musieli przesunąć jej fotel do przodu, żeby sięgała do obydwu, ale kiedy już usadowiła się w nowej pozycji, kazał jej wcisnąć sprzęgło i uruchomić silnik. Zacisnęła dłoń na kierownicy, słysząc ryk silnika.

Skaut powiedział jej, żeby zwolniła hamulec ręczny.

A ona zapomniała, który to.

*To ten wysoko* – powiedział Głos. – *Po lewej stronie. O ten.*

– Wrzuciłaś jedynekę? – zapytał Skaut.

*To ten z literą D* – odpowiedział jej Głos.

Spojrzała w dół na wskaźnik. Podświetlone było P, więc pociągnęła dźwignię do siebie, aż zaświeciło się D. Skinęła głową, cała podenerwowana.

– W porządku, teraz puść sprzęgło. Poczujesz, jak auto rusza. Przesuwasz wtedy stopę na gaz i wciskasz delikatnie.

*Baaardzo delikatnie.*

Dreszcz podniecenia przeszył ją, kiedy pick-up potoczył się naprzód, i zupełnie zapomniała o zdenerwowaniu, gdy zwolniła sprzęgło i przesunęła stopę na gaz. Nacisnęła pedał, po czym auto szarpnęło się do przodu, i natychmiast podniosła ją z powrotem. Szarpnęło nim raz jeszcze, a samochód zwolnił.

– Wszystko w porządku. Spróbuj jeszcze raz. Bez gwałtownych ruchów. Połóż nogę delikatnie na gazie.

*Nie masz tutaj w co uderzyć, bez obaw.*

Tym razem dużo lepiej panowała nad swoją stopą i pomału zwiększała nacisk. Prędkość pick-upa rosła. Zerkąła raz po raz na prędkościomierz.

– Jadę trzydziestką!

*Nieźle! Lecimy!*

Skaut się odezwał.

– No dobra, spróbujmy trochę szybciej.

Przekroczywszy sześćdziesiątkę, chichotała na całego i prawie

zapomniała o martwym mężczyźnie, którego zostawili za sobą.

## Rozdział 4

Z początku Pielgrzym nie wiedział, czy to jawa, czy sen. Słyszał kilka głosów, a może tylko jeden.

– Wolałbym, żebyś po prostu udzielił mi normalnej odpowiedzi. Nie... Bo mi zabroniłeś... Tak, zdaję sobie z tego sprawę, ale nie mogę przecież... – Wypuściła szybko powietrze. Sprawiała wrażenie sfrustrowanej. – Okej, wiesz co – wymamrotała – nieważne.

Pielgrzym nie podnosił głowy. Jego podbródek w dalszym ciągu spoczywał na klatce piersiowej, ręce miał założone. Opony pick-upa szumiały, ich kojący dźwięk kusił, by raz jeszcze ułożył się do snu. Oparł się temu uczuciu.

– Rany, rządysz się prawie jak babcia... Znaczy, no, nie chodzi mi o to, że była jakoś bardzo... – fuknęła po cichu, rozbawiona. – Nie znałeś jej... To nie ma znaczenia, nie było cię tam. Nawet jej nie znasz... Ha! Nie.

– Z kim rozmawiasz? – spytał Pielgrzym. Nie podniósł głowy, ale za to otworzył oczy i zobaczył, jak dziewczyna sztywnieje na dźwięk jego głosu.

– C-c-o?

Ziewnął i wyprostował się. Pokręcił ramionami i szyją, aż coś w niej strzeliło.

– Pytałem, z kim rozmawiasz.

– Z nikim.

Przysunęła się do kierownicy i patrzyła intensywnie przez przednią szybę z dłońmi ustawionymi na godzinie dziesiątej i drugiej.

– A wydawało mi się, że jednak z kimś.

Raz jeszcze zaśmiała się lekko. Ale tym razem nie zabrzmiało to już tak naturalnie.

– Nie ma tutaj nikogo poza nami, *compadre*.

Pielgrzym zmrużył oczy. Nigdy wcześniej nie nazwała go w ten sposób.

– To prawda.

Lacey popatrzyła na niego raz jeszcze, ale kiedy ich spojrzenia się spotkały, od razu przeniosła wzrok z powrotem na drogę.

– Po prostu mówiłam do siebie, czasem tak mam. Wiesz, przegaduję pewne sprawy w swojej głowie. Pomaga mi to.

*Kłamie* – powiedział do niego ten nowy głos.

Może tak, może nie. Tak czy owak ciekawość nie dawała mu ostatnimi czasy spokoju w różnych kwestiach, a teraz jeszcze to.

– Też czasami mówię do siebie – powiedział, obserwując dziewczynę.

Wydała z siebie kolejny dźwięk, tym razem brzmiał bardziej jak chropawe parsknięcie.

– Nieprawda. Prawie się nie odzywasz. A zagadywanie ciebie to jak mówienie do ściany.

Skrzywił się i podrapał po szczęce.

– Co chwila coś mówię.

Uśmiechnęła się szyderczo.

– Jasne, niech będzie.

– Po prostu nie jestem przyzwyczajony do...

Wykonał dłonią ruch, jak gdyby próbował wyciągnąć słowo z powietrza.

*Ludzi?*

– Ludzi? – podsunęła Lacey.

Opuścił dłoń i skinął.

– Tak, ludzi.

– Lubisz być sam.

Pomyślał chwilę nad jej słowami i choć nie do końca się z nimi zgadzał, powiedział:

– Tak jest łatwiej.

Zaczął się zastanawiać, jak i kiedy stracił kontrolę nad przebiegiem tej rozmowy.

– Ale i samotnie. Tak bez nikogo.

Pielgrzym nie odpowiedział. W zasadzie nie zadała pytania. Na wspomnienie samotności przypomniał mu się chłopiec, którego zostawił gdzieś na drodze. Pielgrzym szukał później Hariego w tamtym miejscu na poboczu, ale nie było po nim śladu. Jakby chłopiec był tylko wytworem jego uszkodzonego mózgu, który na koniec spadł z klifu i zniknął w pustce. Niezależnie od tego, skąd się wziął, Hari znalazł sposób, by kontynuować swoją podróż. I Pielgrzym nie mógł mu już w tym pomóc.

Hari twierdził, że czasami czuje się samotny, ale Pielgrzym odrzekł mu tylko, że samotność może oznaczać spokój. Patrzył teraz na dziewczynę i czerpał przyjemność z widoku jej skąpanej w słońcu sylwetki i tego, jak rozjaśniało włoski na jej rękach. Zachodzące słońce padało na nią przez osłonę przeciwsłoneczną, która rzucała teraz cień na część jej twarzy od połowy nosa w górę. W tym momencie pomyślał, że być może spokój można odnaleźć nie tylko w samotności, ale i w towarzystwie.

– Kiedy zabrakło mojej babci – zaczęła – dom wydawał się trzykrotnie większy niż do tej pory. Bywało, że wędrowałam po pokojach i przesuwiałam odrobinę meble, nawet o kilka centymetrów, poprawiałam je i wyrównywałam z linią dywanów. Następnego dnia szłam raz jeszcze i przesuwiałam wszystko z powrotem. Snułam się po całym domu jak nieszczęście. Jak taka kulka w zabawce. Kojarzysz taką? – Spojrzała na niego. – Są w niej małe otwory i musisz do nich doprowadzić kulki. Precyzyjnie przechylasz i manipulujesz zabawką, tak by każda kulka wpadła na swoje miejsce. Musisz być bardzo ostrożny, żeby trafić wszystkimi bez wyrzucenia którejś przy okazji.

Skinął głową. Wiedział, o czym Lacey mówi.

– No więc czułam się jak jedna z tych kulek. Toczyłam się i toczyłam, szukając miejsca, w którym powinnam się znaleźć, ale

nigdzie nie mogłam dłużej zabawić. Przynajmniej nie wtedy, gdy zabrakło babci. Więc tłumaczyłam sobie: Lacey, jeśli zostaniesz tutaj zupełnie sama, umrzesz w samotności i nikt nie będzie nawet wiedział, że kiedykolwiek żyłaś. I to było... Cóż, wolałam w ten sposób o tym nie myśleć.

Patrzyła na powrót przez przednią szybę, ale jej spojrzenie było nieobecne, jakby sięgała wzrokiem zupełnie gdzie indziej. Pielgrzym zgadywał, że oczyma wyobraźni widziała teraz swój stary dom, gdzie odnalazł ją przy studni.

– Umarłabym samotnie w tamtym miejscu. Nikt by nie wiedział i nikogo by to nie obchodziło. Jakby moje życie nie miało żadnego znaczenia. Nie widziałam w tym żadnego sensu, wiesz? – powiedziała cicho, nie oczekując odpowiedzi.

Zapadła cisza. W każdym razie Lacey umilkła, Pielgrzym po prostu w dalszym ciągu się nie odzywał. Patrzył przez boczne okno na przesuwany się pustynny krajobraz, ale niewiele dostrzegał. Skupił się na krążących w jego głowie myślach. Raz po raz wypływały na powierzchnię, ale tak naprawdę nie miały swojego miejsca, trochę jak w tej zabawce, którą opisała Lacey. Ta niemożność przypisania ich do czegoś konkretnego nie dawała mu spokoju.

Minęli kilka zjazdów do miast pojawiających w pewnym oddaleniu od głównej drogi. Sporo firm reklamowało się w tym rejonie, między innymi parkingi – przechwalające się niegdyś nowymi samochodami i przyczepami turystycznymi, teraz wyblakłymi i stojącymi na sflaczałych oponach i rdzewiejących lewarkach. Przejechali też obok kilku sklepów z materacami i skupisk fast foodów, w których było nawet po sześć albo siedem różnych firm. Wszystkie te miejsca świeciły teraz pustkami.

– Opowiedz mi – powiedział po cichu, po czym odchrząknął. – Opowiedz mi coś o Alex.

Poczuł, że Lacey patrzy na niego, ale nie odwrócił oczu od wielkiego billboardu, do którego się zbliżali. Nie był jeszcze w stanie odczytać słów, jego uwagę przyciągnęło zdjęcie śpiącej



ładnej kobiety leżącej na puchatej poduszce i delikatny uśmiech na jej twarzy.

– Na przykład?

– Cokolwiek. To bez znaczenia.

*Dlaczego chcesz to wiedzieć?* – usłyszał pytanie. Dojrzały męski głos, zupełnie jak jego, ale jednak obcy. Coś mu nie pasowało. Może akcent, a może staranna dykcja. Pytania i komentarze pojawiały się bez żadnych przemyśleń, trochę jakby miał w głowie drugą, mniejszą wersję siebie, która cały czas obserwowała otoczenie.

*Nigdy wcześniej cię nie interesowała.*

Cóż, ale teraz chciał wiedzieć więcej, i tyle. Nie czuł potrzeby tłumaczenia się przed samym sobą, nie zamierzał też szukać żadnej dodatkowej motywacji, by poprzeć swoją prośbę.

Kątem oka widział, że Lacey wzruszyła ramionami.

– Rysuje. Preferuje szkice ołówkiem. Miała całe zeszyty wypełnione swoją twórczością, ale wszystkie straciła. Powiedziała, że to zaskakujące, jak trudno jest teraz znaleźć porządny ołówek i ryzę papieru. Brakuje jej tego.

– Nie widziałaś żadnego?

Zerknęła na niego z uniesionymi brwiami.

– Masz na myśli rysunki? Nie. Ale ta kobieta ma niesamowite dłonie. Zwróciłeś na nie uwagę?

Pielgrzym pokręcił głową, ale jednocześnie zdał sobie sprawę, że kłamie. Widok zasłaniały mu wtedy bandaże, poza tym patrzył przy świetle latarń. Znajdowali się na zewnątrz motelu, a Alex siedziała bokiem na siedzeniu pasażera w swoim samochodzie. Lacey siedziała tuż obok na progu drzwi samochodu. Owijał poranione nadgarstki Alex i zauważył, jak silne ma dłonie i jak stwardniałe opuszki palców. Zastanawiał się, jak ta dwójka w motelu była w stanie ją obezwładnić, jak gdyby tanto nieszczęście było odosobnione w historii przemocy wobec tej kobiety, a przecież właśnie teraz po raz kolejny ktoś ją krzywdził. Pielgrzym pomyślał, że być może powodem pecha w jej życiu było to, że nieustannie usiłowała pomóc komuś innemu.

Lacey się odezwała.

– Są takie, no wiesz, bardzo szczupłe. Do tego ma długie palce. Takie zgrabne. Założę się, że jej rysunki są piękne. Bardzo chciałabym jakiś zobaczyć.

Powiedziała to z taką nadzieją, że uczucie udzieliło się Pielgrzymowi. Nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatnio poświęcił czas, żeby podziwiać jakiś przykład sztuki rękodzielniczej.

Jego myśli przerwała Lacey, która uniosła dłoń przed twarzą i przybrała zniesmaczony ton, obracając ją przed sobą.

– Moje są brzydkie. Do tego mam krótkie palce, no popatrz. – Gwałtownie przysunęła dłoń do niego.

Jej palce wcale nie były krótkie, miała po prostu małe dłonie, nieduże palce i dziwnie wyglądające paznokcie.

– Obgryzasz je – skomentował.

– No wiem. – Westchnęła i położyła dłoń z powrotem na kierownicy. – To okropny nawyk. Babcia powiedziała, że to gorsze niż polizanie deski sedesowej.

Zaśmiał się chrapliwie i zabrzmiało to nienaturalnie.

– Po co ktokolwiek miałby ją lizać?

Uśmiechnęła się. Błysk w oku zdradzał, że znowu udało mu się ją zaskoczyć.

– Po nic, wiadomo. Wolałabym nawet zjeść te paznokcie.

– Pycha.

– Odwał się. Zwróciłeś uwagę, że Skaut zaczyna się na literę s? Wiesz, jakie jeszcze słowo zaczyna się na tę literę? Ssspie...

– Wiem, wiem – odrzekł. – Całe szczęście, że to nie jest moje prawdziwe imię.

To dawało jej szansę, żeby zapytać go o to, jak brzmi prawdziwe i dawna Lacey nie powstrzymałaby się w tej sytuacji. Jednak obecna Lacey ugryzła się w język i powściągnęła ciekawość. Cisza przeciągała się tak długo, że minęła już etap, gdy była wyłącznie niezręczna. Teraz stała się na powrót przyjemna i otuliła Pielgrzyma po przyjacielsku. Nie zamierzał ucinać kolejnej

drzemki, ale niedługo później jego głowa znów zaczęła się kiwać, a powieki stały się cięższe. Dźwięki silnika i sunących po drodze kół znowu gdzieś się ulatniały.

Stał przed trzypiętrowym hotelem z białą fasadą, którego ganek okalała biała barierka, a balkon powyżej podpierały wysokie, białe kolumny. Na swój pomniejszony sposób był dość efektowną próbą małomiasteczkowego odwzorowania wielkomiejskiego majestatu. Hotel otaczały duże klomby, kwitnące kwiaty, długi, bujny trawnik biegnący od schodków ganku aż po kamienistą linię brzegową i dalej, do oceanu. Woda rozciągała się jak okiem sięgnąć. Kobaltowy ocean spotykał się na horyzoncie z błękitem nieba.

Ocean przytrzymał go przy sobie, wołał do niego, prawie słyszał syreny pływające pod zimną powierzchnią wody, patrzące ponad siebie, wygłodniałe i czekające na kolejnego zbłąkanego człowieka, który podpłył zbyt blisko.

Słyszał ich oddechy w falach i morskiej bryzie, ich szepty unosiły się nad kołysanymi wiatrem trawami. Na ganku z tyłu domu zestaw dzwoneczków poruszanych przez wiatr wydawał z siebie baśniowe dźwięki.

– Morze.

Otworzył oczy na dźwięk swojego głosu. Nie był pewien, czy to faktycznie on powiedział, aż odezwała się Lacey.

– Morze? – Popatrzyła na niego.

Usiadł prosto i potarł oczy nadgarstkiem.

– Powiedziałeś coś o morzu.

– Nie pamiętam – odrzekł i tak w pewnym sensie było. Obraz morza i linii brzegowej, trawy i białych kolumn zniknął już z jego pamięci. – Musiało mi się to przyśnić.

Lacey patrzyła na niego jeszcze przez chwilę. Wtem pojawił się znak i odwróciła głowę, by przeczytać napis. Pokazała go kciukiem, kiedy przemknęli obok.

– Williamstown – powiedziała. – Jesteśmy już prawie na miejscu.

Pielgrzym siedział cicho, kiedy Lacey prowadziła ich w głąb

labiryntu domów mieszkalnych, który bardzo szybko przekształcił się w silnie zurbanizowane centrum wypełnione podniszczonymi sklepami i zapadającymi się kamienicami. Pochylał się do przodu nad trzymanym na kolanach obrzynem, nieustannie zerkając na boki. Przyglądał się każdemu przewróconemu samochodowi, wszystkim zacienionym terenom, gdzie ktoś mógł się chować. Sprawdzał drzwi, dachy czy wyjścia pożarowe, przestrzenie za płotami, murami czy przewróconymi śmietnikami. Wyszukiwał ewentualne punkty obserwacji, z których mogły nadejść ataki. Wiedział, że przybycie tutaj było błędem. Zbyt wiele okazji do zasadzek, pułapek i za duża szansa na to, że w ich stronę nagle zaczną pędzić jacyś szaleńcy, którzy myślą wyłącznie o zniszczeniu. W miastach kryły się największe skupiska przeróżnej maści padlinożerców, to tutaj najczęściej ludzi znajdowało schronienie i najłatwiej było wyszukać nowe zapasy. Przyciągało to wariatów jak muchy. Przypominali sobie dawne życie w dzielnicach restauracyjnych i centrach handlowych, w opuszczonych teatrach i znajomych stojących obok siebie budynkach. Dawało im to jakiś komfort.

Lacey włączyła walkie-talkie, ale nie usłyszała wiele poza głośnym elektronicznym wizgiem, który sprawił, że oboje podskoczyli. Oprócz tego słyszeli jedynie trzeszczenie przypominające dźwięki wydawane przez świerszcze i dziwne świsty statycznych zakłóceń.

Trzymali się z daleko od kolumn czarnego dymu, który kłębił się ponad linią dachów przed nimi. Nie chcieli natrafić na żadne pożary trawiące budynki i odcinające dostęp do ulic. Cztery razy jakieś postacie pojawiały się w zasięgu ich wzroku, stawały na środku drogi albo chodnika i wpatrywały w nich, kiedy przejeżdżali. Czasami ci ludzie wychodzili sami, czasem czwórkami albo i w więcej osób. Pielgrzym za każdym razem instruował Lacey, żeby skręciła. Podejrzewał, że ci ludzie mogą rzucić się za nimi w pościg, ale tak się nie stało. Jedynie stali i patrzyli.

Oczy Pielgrzyma przesuwają się po stertach ciał. Przypominały

mu fałdy osadu, które wiatry nawiewały pod wyższe budynki jako dodatkowe wsparcie dla fundamentów. Wieloma pojazdami wjechało z dużą prędkością w ściany, ich maski były ściśnięte jak koncertyny czy akordeony. Poduszki powietrzne wyskoczyły, ale powietrze zdążyło już z nich zejść. Ciała ze skórą niczym pergamin i w podartych ubraniach zalegały na przednich siedzeniach, ich pasy bezpieczeństwa były odpięte. Przy stu kilometrach na godzinę osiągnęli zapomnienie. Przewrócona karetka pogotowia – być może w drodze na miejsce wypadku – leżała teraz na dachu z otwartymi tylnymi drzwiami, obsypana konfetti w postaci niezużytego medycznego zaopatrzenia, niszczonego w rynsztoku.

Chwilę później daleko przed nimi ktoś pognał na drugą stronę ulicy z taką prędkością, że Pielgrzym nie umiał nawet powiedzieć, czy był to mężczyzna, kobieta, czy może dziecko. Martwił się, że ludzie, których widzieli, zastawiali na nich pułapkę, ale uspokoił się trochę po kolejnych dziesięciu minutach jazdy, którym nie towarzyszyły żadne oznaki wrogości.

– Jesteśmy na miejscu – wyszeptała Lacey.

Nie był pewien, czy udzieliła się jej jego ostrożność, czy po prostu sama czuła aurę zagrożenia bijącą od tego miejsca. Była zdenerwowana, oczyma strzelała na boki, nie mogąc się uspokoić. Skręciła w wąską ulicę, otoczoną z obydwu stron wysokimi blokami. Stała na końcu ulicy, która zakręcała jeszcze w lewo i kończyła się czterema czarnymi, grubymi słupkami. Wyrosła przed nimi duża ściana budynku wyglądającego na centrum handlowe, którego przytłaczający rozmiar przełamywały jedynie czerwone drzwi dla personelu i wielka brama z blachy falistej.

– Zostań w aucie – powiedział. – I nie gaś silnika.

Wysiadł, zatrzasnął drzwi, słysząc jej protesty, i podszedł do czerwonych drzwi dla obsługi. Usiłował nie krzywić się, ilekroć stawiał prawą stopę i przeszywał go ból. Trzymał palec na spuście obrzyna, patrząc to w prawo, to w lewo. Przesunął palcami po gładkich drzwiach. Zamek wyglądał na bardzo masywny. Pociągnął za klamkę, ale drzwi ani drgnęły. Odsunął się, uniósł broń

i trzykrotnie silnie uderzył w drzwi, co poniosło się echem po całej ulicy. Cofnął się jeszcze trochę, przyłożył strzelbę do ramienia i czekał.

Zestawił cyfry z daty urodzenia, otrzymał dziewięćdziesiąt pięć i do tyłu właśnie policzył. Zrobił to powoli, a i tak jego uszkodzony mózg pominął kilka liczb po drodze.

Nikt nie odpowiedział na jego łomotanie.

Przeszedł do bramy z blachy falistej i obejrzał ją. Wzdłuż dolnej krawędzi widział pas czarnej gumy, która miała zapewne tłumić uderzenie przy opuszczaniu metalowej bramy. Oparł obrzyn o ścianę, kucnął i podrapał sobie knykcie, wsuwając palce pod gumę. Wreszcie chwycił mocno i pociągnął w górę. Przeszywający ból eksplodował białym światłem z tyłu czaszki i szarpnął mocno za jego bok, ale udało mu się podnieść metalową roletę, u jego stóp pojawiła się niewielka szpara. Chrząknął, puścił bramę, która zatrzasnęła się z łoskotem. Pomachał do Lacey, by podjechała.

W ciągu dwóch minut uniósł metalową roletę na tyle wysoko, że Lacey wcisnęła się pod nią autem, tak że blokowała ją maska samochodu, na której Pielgrzym oparł pokrytą gumą dolną krawędź.

*Ktoś może wejść za nami, jeśli zostawimy bramę otwartą.*

Wiedział o tym, ale wolał mieć gotową drogę ucieczki i nie próbować otwierać bramy raz jeszcze od środka, w razie gdyby musieli zarządzić szybki odwrót.

Zostawili samochód jako podpórkę dla metalowej rolety i przeszli pod spodem. Ledwie znaleźli się w środku, a po ich prawej stronie duży pojemnik przewrócił się na bok, ze środka wypadł mężczyzna i rozciągnął się jak długi na ziemi. Poderwał się na nogi, pośliznął na rozsypanych paczkach z gnijącym jedzeniem i grubej warstwie jakiegoś świństwa, po czym spróbował uciekać. Pielgrzym usłyszał, jak Lacey wydaje z siebie zduszony okrzyk, ale już rzucił się w pościg. Mężczyzna jedną nogą był już na platformie załadunkowej, kiedy dłoń Pielgrzyma złapała go za kołnierz. Upadł u jego stóp i natychmiast podniósł lament.

– Nie krzywdź mnie! Proszę, o Boże, nie rób mi krzywdy!

– Nie podnoś się! – wrzasnął Pielgrzym. Coś mu zachrobotało w zebrach. Mężczyzna padł na kolana i popatrzył na niego błagalnie, wznosząc wysoko dłonie i pokazując, że są puste.

– Nic nie mam!

Tyle Pielgrzym widział od razu. Część twarzy mężczyzny pokrywała zaschnięta krew, jakby w geście obronnym wyciągał jedną rękę, kiedy został nią hojnie ochlapany. Bił od niego tak silny odór alkoholu, że Pielgrzymowi prawie łzawiły oczy.

– Potrzebujemy tylko kilku odpowiedzi – uspokoił go Pielgrzym.

Dołączyła do nich Lacey. Lekko unosiła karabin, ale uwagi Pielgrzymy nie uszedł fakt, że celowała w pierś nieznajomego, a jej palec od spustu dzieliły zaledwie milimetry.

Pielgrzym szarpnął mężczyznę za kołnierz. Gość zaczął energicznie kiwać głową.

– Tak! Odpowiedzi! Z wielką chęcią!

Pielgrzym obejrzał go dokładnie. Zaschnięta krew, podarte ubranie, kilkudniowy zarost i przekrwione oczy. Pod smrodem alkoholowym czuć było jeszcze pot, śmierć i syrop na kaszel.

– Czyja to krew?

Mężczyzna się skrzywił, a Pielgrzym zacisnął zęby, bo facet się rozkleił. Zdążył policzyć do trzydziestu, zanim tamten odzyskał nad sobą panowanie i wydusił z siebie jakieś słowa.

– Mojego... mojego przyjaciela. Nasz budynek zaczął płonąć. Dopadli nas, kiedy wyszliśmy. Poderżnęli mu gardło na moich oczach. Jezu, tam było tyle k-k-krwi...

Puścił ubranie mężczyzny, pozwalając mu opaść na kolana i ukryć twarz w dłoniach. Kiedy ten płakał, Pielgrzym spojrzał na Lacey. Lufa karabinu osunęła się nieco i znajdowała się teraz na wysokości kolan łkającego. Kąciki jej ust opadły. Pielgrzym nie lubił takich widoków. Gość wydawał się słaby, jak ranne zwierzę, zostawione samotnie i czekające na śmierć. Pielgrzym odwrócił wzrok, żeby nie patrzeć na zasmarowanego i zapłakanego mężczyznę.

Kilka pnączy dostało się tutaj przez szpary między płytami gipsowo-kartonowymi i zwisały teraz jak girlandy, a zieleń ich liści odcinała się na tle szarych betonowych ścian. Niektóre miejsca miały swój klimat. Dom Lacey nie pozostawiał wątpliwości, że ktoś w nim żył. Był pełen wspomnień. Motel, którego właścicielami było wykolejone rodzeństwo, był nieludzki i odrzucający. Biblioteka przyciągała i sprawiała wrażenie miejsca przesyconego kulturą. Natomiast to miejsce wydawało się puste, niemal sterylne. Nie w tym sensie, że ktoś wyszorował je do czysta, bo śmieci pozostawione po ludziach, którzy je opuścili, walały się dookoła. Leżały tam przewrócone metalowe beczki służące jako paleniska, puste pudła, puszki po jedzeniu i zgniecione butelki, a nawet wyrzucone ubrania i brudne koce. Tu sterylność wyrażała się w braku życia. Nikogo tu nie było. W każdym razie nikogo żywego.

– To miejsce jest puste – powiedział Pielgrzym, kiedy mężczyzna nareszcie trochę ucichł.

Odpowiedziało mu pociągnięcie nosem.

– Zdążyli sobie pójść.

– Jak się nazywasz? – zapytała Lacey.

– Jack. Jack Hancock.

– Jack, wiesz może, dokąd pojechali?

Mężczyzna nie uniósł wzroku, a jego głowa poruszała się nieznacznie, jakby nie potrafił utrzymać jej w miejscu.

– Nie – wymamrotał. – Niestety.

– Nic dobrego nie wyniknie z podróżowania z tymi ludźmi – powiedział mu Pielgrzym, podejrzewając, że i Lacey go posłucha. – Są niebezpieczni.

– Zabili mojego przyjaciela. – Po raz pierwszy mężczyzna powiedział coś w miarę wyraźnie. – Takich rzeczy... Nie mogą czegoś takiego robić.

– Oczywiście, że mogą. Nie bądź naiwny.

Zakrwawiony mężczyzna skrzywił się tak mocno, że zaschnięta krew na jego twarzy pokruszyła się i zaczęła odłazić. Przez moment Pielgrzym pomyślał, że być może tli się w nim jeszcze



wola walki.

Zanim zdążył zrobić cokolwiek głupiego, Lacey podeszła bliżej, ściągając na siebie uwagę mężczyzny.

– Jack, powinieneś stąd uciekać. Po drodze do tego miejsca widzieliśmy ludzi, którzy nie wyglądali zbyt przyjaźnie. Rozumiesz, co mam na myśli?

Teraz krzywił się, patrząc na Lacey, ale wkrótce cały gniew z niego uszedł i osunął się w miejscu, w którym przed chwilą klęczał. Wydał im się naraz wyczerpany i zagubiony.

– Taaak – wykrztusił. – Rozumiem, co masz na myśli.

– Dawaj. – Lacey wsunęła dłoń pod jego łokieć i pomogła mu niezdarnie wstać. – W porządku? – zapytała, kiedy był już na nogach. Garbił się i oddychał ciężko, Pielgrzym miał nadzieję, że nie zwymiotuje.

Mężczyzna skinął i trzymał głowę nisko.

– Twój przyjaciel na pewno nie chciałby, żeby stała ci się krzywda – powiedziała cicho.

– No – wymamrotał raz jeszcze. – No... – Odsunął się od nich i poszedł w stronę bramy. Nie odwrócił się za siebie, tylko schylił i przeszedł pod spodem. Patrzyli za nim, dopóki jego stopy nie zniknęły im z oczu. Słuchali jego kroków jeszcze przez chwilę, ale wkrótce także ich odgłos ucichł.

Lacey wyszeptała:

– Jak się człowiek spieszy...

– To się diabeł cieszy – dokończył Pielgrzym.

– Hej. Nie musiałeś być taki dosłowny.

Pielgrzym przyjął burę i odszedł w stronę pojemnika, z którego wypadł wcześniej Jack. Lufą obrzyna trącił jakieś ubrania i śmieci, ale nie było tu niczego, co mogło mu się przydać.

– Wiesz może, gdzie ją trzymali? – zapytał Lacey.

Pokręciła głową. Nie patrzyła na niego, ale kręciła głową, rozglądając się po okolicy.

– A co z pokojem, w którym po raz pierwszy zobaczyłaś Dumonta?

– Może go znajdę – odparła cicho.

Przyjrzał się jej uważnie i zdał sobie sprawę z tego, że była o włos od płaczu.

Skrzywił się.

– Co się dzieje?

Jej usta drżały, ale mu nie odpowiadała.

– Słuchaj, naprawdę przepraszam za ten głupi tekst z diabłem.

– Nie o to chodzi. – Dopiero za drugim razem udało jej się wydusić jakieś słowa, ale i tak brakowało w nich nadziei. – Nie wiem, jak ją znajdziemy. Niczego tutaj nie ma.

Jej usta zdradziecko zaczęły drżeć, dlatego przygryzła dolną wargę.

Odwróciła od niego wzrok, przewracając oczami. Zachowywała się, jakby płacz był powodem do wstydu.

W dalszym ciągu marszczył brwi i rozmyślał, patrząc na dziewczynę. Nie lubił, kiedy była smutna, ale nie wiedział, co powiedzieć. Istniała duża szansa, że nie uda im się znaleźć Alex. Nie mieli żadnych wskazówek co do miejsca jej pobytu, oprócz ogólnego kierunku. Nawet jeśli by odszukali grupę odpowiedzialną za jej porwanie, to nie było gwarancji, że ona nadal żyje.

– Znajdziemy tych ludzi – w pewnym momencie usłyszał swój głos. Nie był pewien, skąd pochodziły wypowiedziane przezeń słowa.

– Nie poddamy się. Będziemy szukać, aż skończą się miejsca do szukania.

– Co zrobią, kiedy się wyda, że ona naprawdę nic nie słyszy? Szukają ludzi rozmawiających z głosami, prawda? Tak mówiłeś. Co, jeśli poderżnęli jej gardło, tak jak przyjacielowi tego Jacka?

Faktycznie tak powiedział i teraz tego żałował. Tak naprawdę nie miał pojęcia, czego ci ludzie szukają. Po prostu myślał na głos.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział. – Jest dość atrakcyjna. – Skrzywił się, wypowiadając te słowa, ale wolał się nie oszukiwać. – Zatrzymają ją przy sobie choćby dlatego. Przynajmniej dostała trochę czasu.

Dziewczyna spuściła głowę, ale przytaknęła, a następnie zrobiła

coś osobliwego. Podeszła i objęła go. Musiał szybko odsunąć obrzyn albo i on zostałby przytulony.

Stał nieruchomo, a bok dokuczał mu w kontakcie ze ściskającą go ręką. Czuł wyraźnie, jak bije mu serce, i zastanawiał się, czy na tyle głośno, że jej przyciśnięte do jego klatki piersiowej ucho może to usłyszeć. Jej łzy, ciepłe i mokre, moczyły mu koszulę. Czuł długi i twardy kształt karabinu, który przyciskała do jego pleców, i miał nadzieję, że zdjęła palec ze spustu. W innym wypadku może przez przypadek skończyć z drugą raną postrzałową głowy.

Poklepał ją po plecach. Miał nadzieję, że dzięki temu poczuje się lepiej.

Po jakimś czasie puściła go i odsunęła się. Nie wiedział, jak długo go przytulała, ale żałował, że nie liczył. Chciałby znać dokładny czas.

– Już? – zapytał.

Wytarła nos rękawem i pokręciła głową, do tego przewróciła szybko oczyma.

– Tak, skończyłam. Możemy ruszać.

– Dobrze. – Odwrócił się i skierował w stronę wahadłowych drzwi.

## Rozdział 5

Kiedy Lacey tak za nim szła, upewniła się, że nie celuje w Skauta, tylko w ziemię. Była trochę roztrzęsiona i nie chciała przypadkiem trafić go w nogę.

Mówiła mu, w którą stronę należy iść. Czerpała wskazówki, słuchając Głosu, ponieważ zapomniała większość rozkładu pomieszczeń. Skręcili w lewo, w prawo i jeszcze raz w prawo, a Głos pouczył ją na temat tego, jak ważne jest bycie uważnym i czujnym przez cały czas, ale udawała, że go nie słyszy, głównie dlatego, iż uważała go za trochę niesprawiedliwego. Powinien wiedzieć, że miała wtedy dużo na głowie.

Wspięli się schodami cztery piętra, zanim trafili na wyjście przeciwpożarowe, które rozpoznała. Drzwi przyciśnięto kawałkiem drewna. Wskazała je Skautowi i weszli przez nie do cichego korytarza, w którym ich kroki odbijały się echem.

Kulał lekko i stanęła na moment, żeby poobserwować, jak idzie. Martwiła się, że jego obrażenia były gorsze, niż którekolwiek z nich chciało przyznać. Kiedy go przytulała, zmartwiło ją, jaki jest ciepły. Prawie jakby przytulała się do pieca. Jednak jego serce biło spokojnie i mocno, słyszała to wyraźnie. Postanowiła zaufać jego sercu.

Drzwi do pokoju, w którym po raz pierwszy zobaczyła Dumonta, były teraz otwarte. Wewnątrz rozpościerał się panoramiczny widok na miasto będące teraz jedną wielką ruiną. Tym razem nie było w tym żadnego piękna, żółte słońce nie ocieplało jego szorstkich, kruszących się krawędzi, nie rzucało korzystnego światła, a jego promienie nie malowały okolicy na pomarańczowo. Teraz widziała

jedynie obumierającą cywilizację, której nic już nie mogło uratować. Nowym dodatkiem do tego obrazka był wykonany sprayem rysunek na środkowej szybie okna ciągnącego się od podłogi do sufitu. Był to namalowany czarną farbą kontur ludzkiej głowy widzianej z profilu. Na jej środku widniała spirala jak w ślimaczej skorupie, zawijająca się do środka. Lacey zaczęło się kręcić w głowie, kiedy próbowała prześledzić kontur spirali.

– Widziałam już wcześniej coś podobnego... – powiedziała.

Skaut nie mówił, wpatrywał się tylko w niedbale wykonany wzór. Cienkie strużki farby spłynęły w dół przez całą szybę. Wyciągnął dłoń i przesunął nią po namalowanej sprayem twarzy, zmazując przy tym fragment linii w miejscu, gdzie powinny być usta.

– Na billboardzie, niedługo po tym, jak opuściłam dom – ciągnęła.  
– Namalowana spirala. Pewnie nie pamiętasz.

Pokręcił głową i odwrócił się od okna. Obiegł wzrokiem resztę pomieszczenia, ale nie było tu nic więcej. Lacey oderwała wreszcie oczy od czarnego konturu głowy i jej wirującego umysłu. Usiadła w skórzanym fotelu, a siedzenie zaskrzypiało pod jej ciężarem. Powoli odchyliła się do tyłu, kładąc karabin na udach. Sięgnęła do kołnierza i potarła świętego Krzysztofa palcem wskazującym i kciukiem. Był ciepły od jej skóry, a im dłużej go pocierała, tym gorętszy się stawał.

Biła się z myślami. Co się dzieje, Red? Co, do diabła, ty byś zrobiła, gdybyś się tutaj znalazła?

*Pewnie uciekłyby w przeciwnym kierunku* – podsunął Głos.

Lacey zamknęła oczy. Nie licząc chwilowego powrotu i pomocy w poruszaniu się po tutejszych korytarzach, Głos był podejrzenie cichy, od kiedy Skaut ją znalazł. Próbowwała go przepytac, ale Głos po prostu przypomniał jej, że ma nie używać imienia Pielgrzym, bo to ściągnie na nich tylko kłopoty, poza tym pewnych rzeczy po prostu nie powinna jeszcze wiedzieć. Słowo „jeszcze” wlało w jej serce nadzieję. Być może już niedługo Głos przestanie być taki tajemniczy i wszystko jej powie.

Potarła medalik kojącym, rytmicznym ruchem kciuka.

„Ale co, gdyby nie mogła pobiec daleko stąd?”

*Wydaje mi się, że poczekałaby w jakimś miejscu na lepszą okazję.*

– W ogóle mi nie pomagasz. – Westchnęła z zamkniętymi oczyma.

*Nie ma nic złego w czekaniu i nieruszaniu się. Ruch jest przereklamowany.*

„Nie możemy po prostu tutaj usiąść i nic nie robić! Alex nas potrzebuje”.

*Au contraire, mon coeur*<sup>[3]</sup>. *Jeśli ktoś siedzi bez ruchu, zdoła usłyszeć, co się dzieje przed nim.*

„Usłyszeć, co się dzieje przed nim? O czym ty, do diabła, mówisz?”

*Ciii...*

Nienawidziła, kiedy ktoś ją uciszał. Nienawidziła. Wyła i przeklinała, a z jej ust dobył się ciąg przekleństw. Gdyby usłyszała ją babcia, chwyciłaby kostkę mydła i wyszorowała nią język dziewczyny, aż ta zaczęłaby się dławić. Choć trzeba przyznać, że babcia sama raz po raz nie miała nic przeciwko rzuceniu mięsem.

– Ciii... – powiedział Skaut.

Otworzyła szeroko oczy.

– Poważnie? Ty też mnie teraz uciszasz?

Rzucił jej przelotne, badawcze spojrzenie, ale zaraz znowu zaczął nasłuchiwać, przechylając głowę lekko w stronę drzwi. Był najwyraźniej bardzo skupiony, a Lacey aż wstrzymała oddech i sama zaczęła słuchać z uwagą.

Wreszcie usłyszała. Dźwięk był bardzo słaby, ale bez wątpienia go rozpoznawała.

– Pies – wyszeptała.

Skaut wyszedł na korytarz, przystanął i znowu zaczął się wsłuchiwać.

Można to było niemal pomylić z wyciem wiatru, dźwięk był wysoki i słaby, wznosił się i opadał falami. Podążali za hałasem

i zbliżali się do jego centrum, a jęki stawały się coraz głośniejsze. Dźwięk zyskał dodatkowe tony, teraz kryły się w nim także ból i niedola. W pewnym momencie Lacey musiała wręcz zasłonić uszy, by go stłumić.

– Może nie powinniśmy go szukać – powiedziała.

Ale Skaut milczał. Przystanął, gdy wszedł na klatkę schodową, a wycie wirowało teraz wokół nich, chaotyczne i dręczące.

Lacey zadrżała.

*Pies-widmo.*

Skaut skierował się w dół. Zbiegał po schodach i musiała się pospieszyć, żeby nadążyć. Zatrzymał się po dwóch piętrach. Pchnął drzwi obok i wycie przybrało na sile o kilka decybeli.

Lacey prawie wyskoczyła ze skóry, kiedy głośne, przeszywające gwizdnięcie zabrzmiało tuż przed nią.

– Jezu! – wydyszała. – Co ty wyprawiasz?

Skaut odsunął palce od ust i hałas ustał.

Psie zawodzenie również ucichło. Chwilę później usłyszeli ostre, pogodniejsze szczeknięcie i długi ciąg odbijających się echem powtórzeń. Jedno za drugim.

– Rozpoznaję to szczekanie – przyznała niechętnie.

Z klatki schodowej przeszli do głównego korytarza, który zakręcał w pewnym momencie, a jedna z jego gałęzi przechodziła w hol. W trzech czwartych drogi znaleźli zamkniętą w pokoju Księżniczkę. Lacey trzymała się z tyłu, a Skaut podszedł, by popatrzeć przez wąską szybę w drzwiach. Pies go zauważył i rzucił się na drzwi, a szkło zadygotało, kiedy zwierzę zaszczekało raz jeszcze. Raz po raz wpadało na drzwi, desperacko usiłując się wyrwać, drapiąc podłogę u podstawy drzwi, próbując się podkopać.

Lacey nie tylko rozpoznawała szczekanie psa, również korytarz wydawał się znajomy. Był to zresztą kolejny powód, dla którego się cofnęła i nie zamierzała podchodzić bliżej.

*A jednak nikt nie przerobił Księżniczki na burgery – rzekł Głos.*

Skaut sprawiał wrażenie obojętnego na walenie w drzwi i agresję psa. W dalszym ciągu patrzył przez szybę na zwierzę w pokoju

obok. Lacey mogła sobie wyobrazić, co widział, ale nie była w stanie przewidzieć tego, co mężczyzna powie za chwilę.

– Coś napisano na tamtej ścianie. – Obrócił głowę i popatrzył na Lacey.

– Co? – zapytała niepewna, czy właściwie go zrozumiała.

– Słowa. Napisane na ścianie. Nad łóżkiem.

Sposób, w jaki wymówił słowo „łóżko” i w jaki na nią patrzył, sprawił, że w dziewczynie zawrzały emocje. Poczucie winy, strach, przerażenie, gniew. Nie chciała zaglądać do tego pomieszczenia. Metaliczny smak paniki pokrył tylną część jej języka.

– Co tam jest napisane? – wyszeptała.

Skaut pokręcił głową i cofnął się od drzwi. Pies odbił się z ich drugiej strony. Ich głosy dodatkowo go rozwścieczyły, przez co musieli mówić głośniej.

– Chodź i przeczytaj – odrzekł.

– Czy on tam jest?

Bardzo trudno było wyczytać cokolwiek z jego twarzy. Jego oczy były niezgłębione, kiedy tak na nią patrzył.

– Ten, którego pchnąłem nożem? Tak. Wydaje mi się, że to on.

– Nie chcę go widzieć. – Zdała sobie sprawę, że od mocnego ściskania karabinu rozboleła ją przedramiona. Rozluźniła uchwyt.

*Tylko spokojnie* – wymruczał Głos.

– Nie musisz na niego patrzeć. Spójrz wyżej, na ścianę.

Nie podeszła. Czowała, jak serce podskoczyło jej do gardła i bije z całej siły, a puls huczy w skroniach.

– Dlaczego po prostu nie powiesz mi, co jest tam napisane?

– Bo nie mogę.

Panika eksplodowała.

– Niby dlaczego? Nie chcę go widzieć! Musiałam patrzeć, jak umiera, i nie chcę go już oglądać!

– Nie potrafię czytać – powiedział.

– Oczywiście, że potrafisz!

Wyglądał na smutnego.

– Już nie. Litera nie chcą ustać w miejscu. Wiją się jak robaki. To



pewnie przez ranę głowy.

Jej pierś nadal falowała po wybuchu gniewu. Stała oparta o ścianę i wpatrywała się w niego. Skaut spoglądał na nią spokojnie.

– Nie możesz czytać? Nic a nic? – spytała.

– Uwierz, że nie zmuszałbym cię do zaglądania tam, gdybym nie musiał.

Panika ucichła chwilę temu, lecz teraz znowu odżyła w jej piersi, zaciskając się na płucach i utrudniając oddychanie.

– Co masz na myśli? Co tam jest?

Bała się odpowiedzi.

– Pies siedzi tam już od jakiegoś czasu. Najwyraźniej zdążył zgłodnieć.

Lacey zacisnęła oczy i odwróciła się od niego i pokoju. Przycisnęła brwi do zimnej ściany, ale zamknięcie oczu jedynie pogorszyło sprawę, ponieważ Jeb nadal czekał na nią w ciemności. Jego ciekawskie spojrzenie, zapadnięte policzki, ślina w brodzie i pazurzaste dłonie, które spastycznie przyciągał do klatki piersiowej. Zwłaszcza teraz, kiedy wyrwano mu fragmenty ciała, rany były otwarte, kończyny kompletnie odgryzione, a wnętrzności zwisały po boku łóżka jak sznur kiełbas.

Jęknęła i otworzyła oczy. Wpatrywała się uporczywie w rozmazaną przestrzeń gdzieś za murem stojącym tuż przed nią.

Czuła, jak Skaut pochyła się nad nią, choć nie słyszała, kiedy do niej podchodził. Spojrzała na niego, nie odwracając głowy.

Odezwał się.

– Popatrz tylko na ścianę. Nie patrz w dół.

– Tak, jasne – wymamrotała. – Łatwo ci mówić.

Delikatnie wziął ją pod ramię, odciągnął od ściany i poprowadził tych kilka kroków w dół korytarza. Ten spacer był zdecydowanie za krótki. Wolałaby najpierw okrążyć całą planetę.

Księżniczka przestała szczekać. Zajął się obwąchiwaniem spodu drzwi, jakby wyczuwała świeże mięso. Skomlała, warczała,

a następnie zaczęła raz jeszcze drapać szparę pod nimi.

*Ma ochotę na deser.*

Lacey warknęła gniewnie. Miała nadzieję, że Skaut weźmie to za jej sposób na dodanie sobie odwagi, a Głos podsumuje jako bezgłośną formę słów „zamknij się”. Żadne z nich nic nie powiedziało.

– Przytrzymaj dłoń tak, żebyś nie widziała wszystkiego. W ten sposób. – Skaut położył dłoń na dolnej połowie szyby, skutecznie zasłaniając jej to, co znajdowało się poniżej.

– Trzymaj ją tutaj – wyszeptała. – Nie przesuwaj. – Złapała go za nadgarstek, na wszelki wypadek gdyby postanowił zignorować jej prośbę i odsunąć się. Jego skóra była równie ciepła jak reszta jego ciała, aż zbyt gorąca, ale przyjemnie było go chwycić. Przynajmniej w tej chwili.

Pochyliła się do przodu, przybliżając twarz do szyby. Drzwi zatrzęsły się, kiedy uderzyła w nie rozpędzona Księżniczka, a Lacey aż zaparło dech w piersi i podskoczyła. Jej serce waliło jak dzwon.

– Wszystko w porządku – rzekł Skaut. – To coś nie wydostanie się stamtąd.

– Księżniczka – powiedziała mu, wciąż roztrzęsiona.

– Co?

– Pies. Nazywa się Księżniczka.

– W porządku, niech będzie. Księżniczka.

– To suczka.

– Domyśliłem się. Grasz na czas.

– No wiem, wiem... – Wzięła głęboki oddech i spróbowała się uspokoić. Nachyliła się ostatnich kilka centymetrów, spojrzała ponad jego blokującą dłoń i zajrzała z ociąganiem do pokoju.

– Boże... – szepnęła.

– Co tam widzisz?

– Moje imię. Ktoś napisał na ścianie moje imię.

– I nic więcej?

– Nie... Napisano: „Cześć, Lacey. Niech Alex spoczywa w pokoju.

Więcej na ten temat tutaj”, a obok jest strzałka skierowana w dół.  
– Odchyliła głowę do tyłu i popatrzyła na Skauta. – Wskazuje na przestrzeń, którą zasłaniasz, dlatego nie widzę.

Skaut kazał jej się odsunąć. Kiedy to zrobiła, zajął jej miejsce i zajrzał do środka.

– Wskazuje na kawałek papieru w jego ręce – powiedział.

– Nie, nie ma mowy, żebyśmy tam weszli. – Pokręciła głową, choć nawet na nią nie patrzył.

– Nie mamy wielkiego wyboru.

– Jaja sobie robisz? W środku jest wściekły pies. I nieważne, jaką popieprzoną wiadomość nam zostawiono, nie warto tam wchodzić, bo poodgryza nam tyłki.

– To by nam pomogło w znalezieniu Alex.

Popatrzyła na niego i przez krótką, smutną chwilę znienawidziła go za to, że o tym wspomniał. Przez to zdała sobie sprawę, że wejść do tego pokoju, chociaż wszystko w niej krzyczało, by tego nie robili. Natychmiast poczuła ogromne wyrzuty sumienia i spuściła wzrok. Popatrzyła na swoje zakurzone buty.

– Nie musisz wchodzić – powiedział i poczuła się jeszcze gorzej.

– Nie – odrzekła i miała nadzieję, że mężczyzna nie słyszy drżenia w jej głosie. – Powiedz, co mam zrobić.

[3] *au contraire, mon coeur* (fr.) – wręcz przeciwnie

## Rozdział 6

Pielgrzym wiedział, że będzie musiał zrobić to szybko.

Oddał swoją strzelbę dziewczynie. Była lepsza na bliską odległość i zadawała w takich warunkach znacznie większe obrażenia niż karabin. To nie wina psa, że muszą wejść do pokoju, a nie chciał, by dziewczyna była zmuszona użyć obrzyna, chyba że okaże się to konieczne. Jeśli jednak zajdzie taka potrzeba, to nie może się wahać. Wytłumaczył, czego od niej wymaga, a dziewczyna przytaknęła nerwowym ruchem. Pewnie trzymała broń. Wiedział, że się boi, ale nie ucieknie. Szanował ją za to.

Chwycił za klamkę. Pies nie przestał szczekać i wyć ani na chwilę, od kiedy stali w pobliżu, ale nagle zrobiło się cicho, co było niepokojące. Kiedy Pielgrzym nachylił się w stronę szyby, zobaczył, że zwierzę gapi się na niego czarnymi, błyszczącymi ślepiami i szczyrzy pokryte krwią kły.

– Gotowa? – zapytał dziewczynę.

– Nie, ale i tak to zrobimy.

Pielgrzym stał z pustymi rękoma. Karabin opierał się o ścianę, a nóż nadal tkwił w pochwie. Poruszył klamką, by ściągnąć uwagę psa, który stanął na tylnych łapach, a przednimi oparł się o drzwi. Głowa zwierzęcia była teraz na wysokości jego twarzy. Kłapał zębami w stronę szyby, chlapiąc na nią śliną. Z każdym gorącym psim oddechem okno zasnuwało się parą. Wściekłe spojrzenie Księżniczki prowokowało go, by otworzył drzwi. Z jej piersi dobywał się niski, złowieszczy warkot.

– Grzeczna Księżniczka – wymruczał. – Dobry piesek. Zachowuj się.

Odryglował drzwi i uchylił je na kilka centymetrów. Pies natychmiast opadł na ziemię i próbował wcisnąć swój szeroki łeb w powstałą szparę. Kłapnął zębami w jego stronę, a strużki czerwonej śliny zwisały mu z pyska. Warczał, szczekał i wiercił się, usiłując znaleźć wyjście z pomieszczenia. Był zaskakująco silny, węzły jego mięśni kurczyły się i napinały pod gładką czarną sierścią i Pielgrzym musiał się trochę napocić, żeby utrzymać drzwi, a i tak pysk psa przechodził już na drugą stronę.

Pielgrzym zaczął odliczać w głowie.

– Raz.

Złapał mocno drzwi za ościeże, a pies napierał całą swoją masą na rosnącą powoli szparę i stopniowo wytrącał męczyznę z równowagi.

– Dwa.

Pysk przeszedł już zupełnie na drugą stronę, ale reszta psa utknęła w drzwiach. Miał zbyt szeroką klatkę piersiową, by się przecisnąć. Pielgrzym czuł, jak traci siły w słabszej dłoni.

– Trzy...

Pielgrzym uniósł wysoko nogę, podczas gdy pies napał jeszcze mocniej, przecisnął wreszcie przednie łapy na drugą stronę i przygotował się do skoku, a następnie z dużą szybkością opuścił z całej siły but na głowę zwierzęcia.

Księżniczka wydała z siebie zduszony jęk i padła na podłogę, nogi się pod nią ugięły. Pomimo ogłuszenia natychmiast spróbowała wstać. Uderzył nogą raz jeszcze, tym razem trafiając wyjątkowo dobrze, a pies upadł, wyjąc przeciągle. Nie próbował więcej wstawać.

– Idź do drugich drzwi – powiedział do Lacey, a ona natychmiast przecięła korytarz i otworzyła je na oścież.

Pielgrzym nie martwił się, czy pies wyskoczy nagle i zatopi w nim swoje zębiska, tylko kopniakiem rozchylił drzwi, złapał rottweilera za skórę na karku i pociągnął na drugą stronę po błyszczącej podłodze. Przetransportowanie psa przez fragment korytarza do drugiego pomieszczenia wymagało sporo energii

i Pielgrzym aż stęknął z wysiłku. Księżniczka zawyła, próbowała wykręcić łeb i kłapała zębami, ale wychodziło jej to wyjątkowo ślamazarnie i nie stwarzała poważnego zagrożenia.

Kiedy już puścił kark zwierzęcia, poderwało się ono w górę, próbując złapać równowagę i pewnie stanąć. Zdołało to zrobić dopiero wtedy, gdy Pielgrzym wyskoczył z pomieszczenia, a Lacey zamknęła za nim drzwi. Zamek zaskoczył akurat w chwili, gdy Księżniczka uderzyła w drzwi po drugiej stronie. Ponownie rozległo się gardłowe szczekanie.

– Dobrego psa trudno utrzymać w miejscu – powiedziała Lacey, ale ten żarcik i tak nie zamaskował jej zdenerwowania. Poza tym żadne z nich nie mogło zignorować odoru, jaki dobywał się z pokoju, który właśnie oczyścili.

– Idę po notatkę – powiedział do niej. – Pilnuj psa, żeby nie uciekł.

Nie udawał, że nie widzi ogromnej ulgi na jej twarzy, ale też nie został obok dziewczyny na tyle długo, by zobaczyć, jakie uczucie wyrazi jako następne. Zakrył chustą nos i wszedł do pokoju. Oddychał przez usta, ale to sprawiło jedynie, że smród gnijącego ciała i ekskrementów osiadł mu na języku i sprawił, że zawartość żołądka podeszła do gardła, zanim zdążył nad sobą zapanować. Podniósł krawędź chusty i splunął na podłogę.

– Wszystko w porządku?

– Ta. Daj mi chwilę. – Zasłonił twarz i nos dłonią. Ta dodatkowa bariera troszkę sytuację poprawiła.

Mężczyzna, którego imienia Pielgrzym nie pamiętał, leżał na łóżku. A przynajmniej to, co z niego zostało.

*To nie jest jego najlepszy dzień* – skomentował ten nowy głos.

Pielgrzym mruknął i wstrzymał oddech, podchodząc bliżej. Nie zwlekał zbyt długo ze względu na stan umarlaka. Widział już nieraz na wpół zjedzone zwłoki, a także większość ludzkich narządów wewnętrznych w stanie rozkładu. Poświęcił chwilę, by przyjrzeć się zamglonym oczom trupa. Wierzył, że oczy potrafiły wiele przekazać na temat osoby, a ten człowiek pomimo wszystko

miał w nich trochę nienawiści, której nie wymazała nawet jego śmierć. Pielgrzym zapamiętał, jak te oczy się zmrużyły, kiedy mężczyzna przyłożył mu broń do głowy. Pamiętał błysk satysfakcji, gdy pociągnął za spust. Ten człowiek czerpał przyjemność z zadawania bólu i zabijania, a teraz to zemściło się na nim po trzykroć.

*Życie to dziwka, a potem się umiera.*

– Życie to sadysta.

*A może chodzi o karmę.*

– Nie wierzę w karmę.

*Nie wydaje mi się, żebyś wierzył w cokolwiek. Jesteś nihilistą.*

– Nie jestem, ja... – Przerwał, zdając sobie sprawę, że kłóci się ze sobą, co jest dość głupie.

*Nie głupsze, niż kiedy kłóciłeś się z Głosem.*

Chciał wyjaśnić, że rozmawia z tą częścią siebie jedynie dlatego, iż nadal dotkliwie brakuje mu Głosu. Rozmawianie z samym sobą przychodziło mu naturalnie, a jednak nie znaczyło, że zamierzał zacząć z tego powodu jakąś wewnętrzną dyskusję.

Odsunął te myśli i spojrział na dłoń nieboszczyka. Palce zacisnęły się na notce i Pielgrzym musiał je rozewrzeć, żeby ją wyciągnąć. Nie patrzył na niego więcej, tylko opuścił pomieszczenie, zamykając dokładnie za sobą drzwi. Poprowadził Lacey w dół korytarza, z dala od uporczywego smrodu i szczekania psa, po czym podał jej notatkę.

Patrzył, jak jej oczy przeskakują po słowach i przesuwiają się w dół strony, wers po wersie, po czym wracają na samą górę i skanują kartkę raz jeszcze. Czekał cierpliwie, aż przeczyta to na głos. Kiedy już zaczęła, musiała kilkakrotnie przerywać, by uspokoić głos.

*Droga Lacey, jeśli jakimś przypadkiem odnajdziesz naszego wspólnego, acz martwego przyjaciela, to podziwiam twoją wytrwałość. Niemniej było w tobie coś wyjątkowego, więc nie zdziwiłbym się mocno, gdyby faktycznie udało ci się odzyskać ten*

*mały liścik miłosny. Muszę przyznać, że twoja przyjaciółka, Alexandra, jest czarująca. Zapewnia mi nieustającą rozrywkę. Wiem, że bardzo za tobą tęskni. Czasami, kiedy skrzywdzę ją w szczególnie dotkliwy sposób, wykrzykuje twoje imię. Pęka mi od tego serce. Dlatego jako hojny człowiek postanowiłem zdradzić ci, dokąd udamy się teraz (szczerze przyznam, że z przyjemnością bym cię znowu zobaczył. Może tym razem się zaprzyjaźnimy!). Jedziemy na wschód trasą na Great River Road i dalej w południowe strony drogą numer 61. Powiedziano mi, że nie sposób jej przegapić, jest tam hotel i kasyno na parowcu. Brzmi wspaniale, nie sądzisz? Mam szczerą nadzieję, że tam się zobaczymy.*

*Pozdrawiam serdecznie,*

*Charles Dumont*

*PS. Może to wszystko będzie miało jednak szczęśliwe zakończenie. Weź ze sobą Red, o ile Louis i Rink jej nie zgarnęli. Wtedy porozmawiamy.*

Po skończeniu Lacey starannie złożyła list z powrotem, powoli przesuając ściśniętymi palcami po każdym zagięciu.

– Dobrze, że wzięliśmy tę martwą dziewczynę ze sobą – przerwał ciszę Pielgrzym.

Lacey wsunęła papier do kieszeni i odezwała się, nie patrząc na niego.

– Nie wydaje mi się, żeby miał na myśli zwłoki.

Pielgrzym cofnął się po karabin, który zostawił pod ścianą tamtego pomieszczenia.

– Nie był zbyt konkretny w tej kwestii. Nadal możemy jej użyć jako sposobu wywarcia... – Zagrał na czas, sprawdzając broń, a w tym czasie szukał słowa, którego nagle mu zabrakło. – Nacisku.

Lacey wciąż stała z opuszczoną głową, kiedy do niej podszedł. Począł, ale wciąż nie podnosiła oczu.

– Alex żyje. Napisał tak w liście.



– Wiem.

– W takim razie jedźmy za nią, póki jest jeszcze jasno.

Skinęła głową, ale coś ją trapiło. Poczekał jeszcze chwilę, ale skoro nie zanosilo się na nic nowego, wyjął mapę i rozłożył ją na ścianie. Poprosił, żeby wskazała mu, jak biegnie droga numer 61. Jej palec przesuwiał się po linii biegnącej z północy na południe, która podążała za rzeką Missisipi z Wyoming w Minnesocie aż do Nowego Orleanu w Luizjanie.

Palec powędrował z powrotem do góry i zatrzymał się przy fragmencie rzeki w kształcie litery S, gdzie Missisipi meandrowała najwcześniej. Była to dopiero jedna czwarta trasy w stronę granicy między Missisipi i Luizjaną.

– Jestem przekonana, że kojarzę to kasyno na parowcu, o którym on mówi – powiedziała. – Siostra raz mnie tam zabrała. O tutaj – postukała palcem w miasto tuż nad miejscem, które wskazała przed chwilą – mieszka moja siostra ze swoją córką. A tutaj jest kasyno. – Palec wrócił poniżej, przesuwając się z piętnaście kilometrów na południe.

Pielgrzym oglądał trasę, którą pojadą. Musieliby wyruszyć na wschód i skierować się w stronę miejsca, gdzie spoczywał właśnie jej palec.

– Twierdzisz, że będzie przejeżdżał przez Vicksburg, żeby dotrzeć do tego kasyna?

Skinęła głową. Rozumiał teraz, dlaczego zrobiła się taka cicha.

– Jeżeli po prostu tamtędy przejeżdża, to nie będzie stwarzał żadnego zagrożenia dla twojej siostry i siostrzenicy.

Nie był tego pewien, ale Vicksburg to przecież było miasto, a nie miasteczko, a co za tym idzie, siostra Lacey i jej dziecko będą dwiema igłami w stogu siana o powierzchni prawie stu kilometrów kwadratowych. Istniała minimalna szansa, że natkną się na Dumonta. O ile żyją. Spróbował jeszcze raz ją o tym zapewnić, ale dziewczyna popadła w stupor i nie dało się z nią porozumieć. Pielgrzym złożył mapę z powrotem i poprowadził Lacey do wyjścia. Szli w stronę przejścia serwisowego z drzwiami wahadłowymi,

które prowadziło do strefy załadunkowej. Wyciągnął już dłoń i miał je pchnąć, ale stanął.

Lacey wpadła na niego i cicho krzyknęła zaskoczona.

– Co...

Machnął dłonią, by zamilkła. Nie spuszczał oczu z czerwonych drzwi. Popukał się w ucho, sugerując, że powinna nasłuchiwać.

Nie miał pojęcia, dlaczego się zatrzymał. Niczego nie usłyszał, żaden dziwny dźwięk nie dobywał się też z korytarza. Niemniej te wahadłowe drzwi przyciągnęły jego wzrok jak magnes przyciąga opiłki żelaza. Czuł ogromną chęć, by się ku nim nachylić. Wydawały się wręcz pulsować, ich kolor nagle stał się żywszy, a krawędzie drżały i dygotały. Wyglądały prawie jak wejście do komory bijącego ludzkiego serca. Widział niewyraźnie, więc zmrużył lewe oko, ale to w połączeniu z dygotaniem drzwi sprawiło jedynie, że zrobiło mu się niedobrze.

Huk wystrzału przeszył powietrze. Pielgrzym się uchylił, a w drzwiach po prawej stronie przelatująca kula wyszarpała dziurę, chlapiąc przy tym krwią. Struga o kolorze wina ściekała na podłogę, gdzie formowała się już kałuża.

Pielgrzym zamrugał i drzwi znowu były gładkie. Żadnej dziury po kuli, ani śladu po krwi. Przestały też pulsować – raz jeszcze były całkowicie zwyczajne.

Głowa potwornie go bolała.

– Myślisz, że Jack wrócił? – wyszeptała Lacey za jego plecami. – Niczego nie słyszę.

Jego lewa dłoń mocno się trzęsła, toteż zwinął ją w pięść i przycisnął do uda, starając się, żeby Lacey tego nie widziała.

– To nic – powiedział. – Mój błąd.

Mimo to ostrożnie otwierał drzwi. Zobaczył, że nikt na nich nie czeka po drugiej stronie. Dopiero w pick-upie zdjął palec ze spustu.

Z miasta wyjechali dość szybko. Pielgrzym prowadził, podczas gdy Lacey siedziała na miejscu pasażera i gapiała się przez boczne okno. Przez ostatnich trzydzieści kilometrów wypowiedziała

raptem kilka słów. Nie znosił przerywać milczenia. Cisza ta nie była zresztą posepna, stanowiła zaledwie spokojne tło dla kontemplacji. Może po prostu potrzebowała chwili spokoju, by poukładać myśli.

*A może jest zajęta prowadzoną w głowie rozmową.* – Ten nowy głos w jego głowie zaczynał irytować go prawie tak jak kiedyś Głos.

Pielgrzym poczuł, jak jego dłonie zaciskają się na kierownicy. Natychmiast zwrócił uwagę na oznaki, w końcu dobrze je znał. Brak skupienia w spojrzeniu typowy dla chwil, kiedy koncentruje się na myślach i mówieniu do siebie, pewna losowość w udzielaniu odpowiedzi, nazwanie go *compadre* – co dotąd robił jedynie Głos. Nie rozumiał tego, nie był w stanie pojąć, jakim cudem Głos mógł wyskoczyć z niego i znaleźć się w dziewczynie.

*A może to jej własny Głos.*

Gdyby tak było, to skąd znałaby jego imię? Powiedziała słowo Pielgrzym, kiedy zobaczyła go obok stodoły. Niemożliwe, by wiedziała to sama z siebie, ktoś musiał jej pomóc. Był w zasadzie pewien, że ona pierwsza wypowiedziała to imię na głos.

*A może głosy potrafią się ze sobą komunikować.*

To sprawiło, że Pielgrzym się zawahał. Czy to możliwe? Czy mogła istnieć jakaś wspólna kognitywna przestrzeń, sieć połączeń, która łączyła wszystkie osoby? Wydawało się to zdecydowanie zbyt nierealne. W porządku, istnieli ludzie słyszający głosy, ale one same w swojej istocie były jakoś ograniczone, zamknięte w granicach ich myśli, dokładnie tak, jak jego Głos mieścił się w jego głowie.

Nie licząc tego, że być może Głos przeskoczył do dziewczyny...

*Czy słyszenie głosu i rozmawianie z nim przez lata też nie wydawało się przypadkiem nierealne?*

– Nie, to po prostu oznacza, że zwariowałem.

Nie zdawał sobie sprawy, że mówi na głos, dopóki nie zorientował się, że dziewczyna na niego patrzy. Miała to samo dociekliwe spojrzenie, jakiego – był pewien – sam używał raz czy dwa w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

– Tak się tylko sprzeczą z głosem w mojej głowie – powiedział.

Ściągnęła brwi, marszcząc nieznacznie czoło, a dociekliwość zmieniła się w podejrzliwość.

– Rozmawiasz z głosami?

Musiał zachować ostrożność.

– Tylko z tym jednym.

– Nie wspominałeś o tym wcześniej.

– O tym się raczej nie mówi.

– I co ma do powiedzenia?

– Głównie się ze mną nie zgadza.

*Tylko dlatego, że tak często się mylisz.*

– To twój własny głos czy raczej należy do kogoś innego? – spytała.

Popatrzył z powrotem na drogę, by poprawić kurs pick--upa, który lekko zjechał w stronę pobocza, po czym raz jeszcze spojrzął na nią. Jego ciekawość rosła.

– Od niedawna czuję, że jest bardziej mój – odpowiedział.

On i Głos wymawiali i akcentowali różne słowa w podobny sposób, ale poglądy na świat mieli różne. Często się spierali. Pielgrzym nie był już pewny, czy tak było zawsze, czy może istota Głosu podlega powolnej ewolucji i po prostu nie zauważył, jak tamten się rozwinął. Usiłował przypomnieć sobie czasy, kiedy nie prowadził jeszcze tych słownych przepychanek z Głosem, ale nic mu nie przychodziło do głowy, a rwący ból, który poczuł, uświadomił mu, że lepiej za wiele na ten temat nie rozmyślać.

Uwaga Lacey dryfowała czasem w bok, podobnie jak pick-up, a jej spojrzenie wędrowało w dół i spoczywało w okolicach stóp. Mars na czole dziewczyny powiększył się i pokiwała lekko głową, jakby do siebie.

– Mój kiedyś należał tylko do mnie – wymamrotała.

Popatrzył na nią jeszcze, ale nie powiedziała nic więcej. Na powrót zaczęła wyglądać przez okno.

– A co teraz mówi? – zapytał wreszcie.

Wzruszyła ramionami.

– Różne rzeczy. Na przykład zna się na sprawach, o których ja

nie mam pojęcia. – Rzuciła na niego okiem, pewnie by ocenić jego reakcję. – To nie ma sensu, prawda?

Zacisnął mocniej dłonie na kierownicy, choć jedyne, na co miał ochotę, to zatrzymać auto, odwrócić się ku niej i spojrzeć jej w oczy, by sprawdzić, czy czai się za nimi Głos. Ale przecież znał ten Głos jak zły szeląg i zastanawiał się, czy ten powiedziałby dziewczynie, skąd do niej przeskoczył. Pielgrzym w to wątpił. Jeśliby wiedziała, to już by go uszy bolały od jej pytań oraz przeróżnych teorii i pomysłów na temat tego, co to wszystko oznacza. Nie wiedziała. Jeszcze nie. Co w sumie cieszyło Pielgrzyma. Czuł się zaskakująco źle z tym, że Głos był teraz w innej głowie. Przecież żyjąc w nim, przez lata zgromadził mnóstwo informacji na jego temat. Była to wiedza naprawdę gruntowna. Na szczęście Głos wiedział, że trzymanie jego istnienia w sekrecie będzie najbezpieczniejszym wyjściem dla dziewczyny i w tym celu musiał wyjaśnić jej, że zdradzenie tajemnicy Pielgrzymowi również nie będzie mądre. W rezultacie ukrywanie obecności Głosu przed wszystkimi wokół sprawiało, że dziewczyna nie dowie się, z kogo na nią przeskoczył.

Pielgrzym odpowiedział jej nieobecny tonem.

– Umysł to dziwne miejsce. Podświadomość gromadzi wiele elementów, których świadomie się nie rejestruje.

Dziewczyna wydała cichy dźwięk i osunęła się na siedzeniu, odwracając głowę z powrotem w stronę okna. Jej poza wskazywała, że to koniec rozmowy, co zresztą pasowało Pielgrzymowi. Powiedziała aż za dużo.

Tak naprawdę cieszył się, że Głos żyje i zajął głowę kogoś młodszego i pogodniejszego. Przez jakiś czas sądził, że przyszło mu umrzeć albo schował się na tyle głęboko w jego umyśle, że już nigdy więcej nie wróci. Nieobecność Głosu drażniła jakiś nerw i powstały w wyniku tego gniew krył w sobie poczucie opuszczenia, któremu Pielgrzym nie chciał się bliżej przyglądać. Podejrzewał teraz, że Głos opuścił go dla bardziej gościnnego umysłu. Zapewne musiał podjąć decyzję w ułamku sekundy, kiedy to kula uderzyła

w czaszkę Pielgrzyma. Zdziwiło go to. Nie uwierzyłby w to kiedyś, gdyby nie doświadczył tego na własnej skórze.

Chętnie omówiłby to zjawisko z Głosem albo chociaż z Lacey, ale wyczuwał, że przesadna analiza podobnych wniosków mogłaby poważnie podkopać jej mechanizmy radzenia sobie z tą sytuacją. Poziom jej niepokoju i bez tego był wysoki, na co wskazywało spontaniczne przytulanie, płacz i stan bliski hiperwentylacji w obliczu psa albo na wpół zjedzonego człowieka. Oprócz tego zaczęła obgryzać paznokcie, gdy tylko usiadła na fotelu pasażera. Jej nadzieje na odszukanie siostry zostały mocno zachwiane, a w ciągu kilku ostatnich dni widziała więcej świata niż przez siedem poprzednich lat.

Nie, lepiej zatrzymać te myśli dla siebie. Czas na rozmowy przyjdzie później, kiedy poziom jej stresu się wyrówna.

– Nie powinnaś tego nikomu opowiadać – ostrzegł ją Pielgrzym. – Mówię o tym całym głose. To niebezpieczne.

– Tak – powiedziała i popatrzyła na jego odbicie w bocznej szybie. – On też mi to mówił.

Mieli dotrzeć do Vicksburga przed zachodem słońca, a Pielgrzym tylko raz zrobił przerwę, żeby można się było załatwić. Im dalej posuwali się na wschód, tym ziemia stawała się bardziej urodzajna. Trawa i karłowate krzaczki stały się bardziej zielone, wkrótce też pojawiło się więcej drzew. Posrebrzane jesiony, blade jawory, skrzydlate wiązy i orzeszniki o wyjątkowo chropawej korze. Pielgrzym nie zdawał sobie wcześniej sprawy, jak bardzo tęsknił za widokiem bujnie rosnących roślin. Tak bardzo przyzwyczał się do pustych terenów pustynnych, że teraz trudno mu było oderwać spojrzenie od poboczy, gdzie kwitła cała ta roślinność.

Często zdarzało mu się myśleć o tym świecie jak o zasłonie, że on i wszystkie zagubione dusze, które go przemierzają, to zaledwie widma, opuszczone miasta są nawiedzone, tak samo jak otwarte tereny pomiędzy nimi, że wszystko to zostało nałożone na prawdziwy świat, który aż buzuje od prawdziwego życia, gdzie

miasta są głośne i pozostają w wiecznym ruchu, ich powietrze nieustannie przecina wycie klaksonów, okrzyki sprzedawców hot-dogów i łoskot tysięcy kół kręcących się we wszystkich możliwych kierunkach. Rzeczywistość, w której przyszło mu istnieć, była w tej teorii jedynie niszczejącą okleiną, pod którą czał się stary porządek. Pełen życia.

Pielgrzym dryfował przez ten świat, ledwie marszcząc jego powierzchnię swoją obecnością. Dobrze mu wychodził ten żywot ducha. Czasami myślał, że był do tego stworzony.

Kiedy tylko słońce zaczęło swoją powolną wędrówkę w dół za ich plecami, cień pick-upa zaczął się rozciągać. Pielgrzym spojrział na wskaźnik paliwa i zdał sobie sprawę, że kiedy dotrą do przedmieść Vicksburga, będą już ciągnęli na oparach. Wiedział również, że nie wystarczy im benzyny do domu siostry Lacey. Poza tym przejechanie ulicami miasta o tej porze przyciągnie do nich uwagę i zapewne doprowadzi do Czegós Złego. Nie był pewien, skąd to wie, ale pozostała mu tak naprawdę jedynie intuicja i głupotą byłoby jej ignorowanie. Kilka ostatnich kilometrów pokonają pieszo, a znalezieniem nowego środka transportu będą się martwili później.

Zbliżyli się do znaku, a Pielgrzym spytał, co jest na nim napisane.

Lacey odpowiedziała, że za osiemnaście kilometrów dotrą do Vicksburga.

Drzewa rosły wzdłuż autostrady, uniemożliwiając zobaczenie czegokolwiek poza szarą drogą. Na drzewach zaczął się pojawiać zwisający mech hiszpański, najpierw jedynie w formie cienkich zasłon, które wkrótce przybrały na grubości i ciężarze. Wkrótce ugięły się pod nim konary i wyglądał jak pajęczyna utkana przez miliony przemysłnych pajaków, które nie dbały o to, jak bardzo obciążą to zwisające nisko gałęzie. Pojedyncze nitki tej konstrukcji powiewały na wietrze. Widok tych drzew spowitych rośliną przypominającą ogromną, splątaną pajęczynę sprawiał upiorne wrażenie, a przecież był tylko oznaką panoszącej się natury. Jeden

gatunek zdominował drugi, bo nic nie stanęło mu na drodze.

– Z moją babcią było kiepsko, zanim umarła – powiedziała Lacey.

Pielgrzym spojrział na nią. Po długiej ciszy, jaka między nimi zapadła, nie spodziewał się, że zacznie cokolwiek mówić. Nadal jednak patrzyła w drugą stronę, więc nie mógł nic wyczytać z jej twarzy. Czekał, aż podejmie temat. Nic takiego się nie stało i w końcu zapytał:

– Co się z nią działo?

Lekko wzruszyła ramionami.

– Bywały dni, że nie wiedziała, kim jestem. Czasami zachowywała się, jakby znowu miała szesnaście lat. Chichotała jak podłotek. Te chwile były najfajniejsze. Była wtedy bardzo szczęśliwa. Dzień po swoich urodzinach poznała dziadka i pobrali się, nim skończyła dziewiętnaście lat. Z mamą było podobnie. I z Karey. To pewnie oznacza, że mam jeszcze jakieś trzy lata, zanim poznam miłość mojego życia. O ile oczywiście zamierzam utrzymać rodzinną tradycję. – Widział, jak kącik jej ust unosi się w uśmiechu, ale wyglądało to raczej na odruch niż autentyczną radość.

Słuchał niskiego szumu kół i nieregularnego stukania kamieni i żwiru odbijających się od podwozia samochodu.

– Opieka nad nią musiała być niełatwa – powiedział w końcu.

I znowu to wzruszenie ramionami.

– No, czasami. Ale ona opiekowała się mną przez dwanaście lat, więc to był drobiazg. – Przerwała, wykrzywiając usta. Zagryzała wewnątrz policzka. – Jednej nocy obudziłam się i zobaczyłam, że stoi nade mną. Trzymała nóż. Przez godzinę przekonywałam ją, by mi go oddała. Myślałam, że chce mnie zabić. W każdym razie – przesunęła spojrzenie na niego po raz pierwszy, odkąd zaczęła temat – wydaje mi się, że ona słyszała różne rzeczy. Łapałam ją czasem na mówieniu do siebie. Przeważnie były to kłótnie. Innym razem schowała się w szafce pod schodami. Wcisnęła się do naprawdę małej komórki, sama pewnie ledwo bym się tam zmieściła. Szukałam jej całe wieki, wołałam. Myślałam, że gdzieś



sobie poszła. Nie reagowała na moje wołanie. Nie wyściubiła stamtąd nosa. Znalazłam ją przypadkiem. Była dziwnie ściśnięta, głowę miała wygiętą pod nienaturalnym kątem. Patrzyła na mnie z wyrazem przerażenia na twarzy. Coś mi mówi, że schowała się tam, bo bała się tego, co może mi zrobić.

– Zrobić? Myślisz, że chciała cię skrzywdzić?

Spuściła wzrok i odwróciła się raz jeszcze, jakby nagle odebrało jej mowę.

Pielgrzym zatrzymał auto. Obrócił się na fotelu i pociągnął Lacey za ramiona, tak by na niego popatrzyła.

– Ufasz mi?

Dziewczyna spojrzała mu głęboko w oczy. Skinęła głową.

– To dobrze. Nie tracisz zmysłów – powiedział jej. – Przysięgam.

Jej oczy zaszklily się od łez.

– Jesteś pewien?

– Tak – potwierdził z naciskiem. – Absolutnie pewien. Słyszenie głosu to nie zawsze coś złego.

– Moja babcia się zabiła – wyszeptała. – Znalazłam ją. Leżała w łóżku. Wepchnęła sobie prześcieradło głęboko do gardła. – Łzy płynęły jej po policzkach. – Dlaczego to zrobiła?

Ścisnęła jej ramiona. Były takie wąskie i delikatne w jego dłoniach.

– Nie wiem. Nigdy nie wiemy, co się dzieje w czyjejs głowie. Ważne, że nigdy cię nie skrzywdziła. Kochała cię. I dobrze się sprawiła, wychowując cię.

Dziewczyna przygryzła wargę, kiwając głową. Łza spłynęła jej po policzku.

– To prawda. Była najdzielniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek znałam. Jak moja siostra. I jak Alex.

Pielgrzym przesunął palce obok jej podbródka, łapiąc kolejną łzę, zanim ta miała szansę spaść.

– I jak ty – powiedział. – Ale dość tych łez. Dziwnie się przez nie czuję.

– Wiem – wymamrotała, uśmiechając się lekko.

Osiem minut później i osiem kilometrów dalej Lacey znowu się odezwała.

– Myślisz że siostrzenica mnie polubi?

Mrugnął, usiłując się nie skrzywić.

– Dlaczego miałyby nie polubić?

– No nie wiem. Trudno zapalać sympatią do osoby, której się wcześniej na oczy nie widziało.

– Radzisz sobie pod tym względem. Wystarczy spojrzeć na ciebie i Alex.

– To nie to samo. Alex jest starsza.

Nie miał pojęcia, co to za różnica, ale kontynuował temat:

– Myślę, że będzie po prostu szczęśliwa, poznając kogoś, komu na niej zależy.

Darował sobie wspomnianie, jak niewielkie są szanse na to, że dziewczynka nadal żyje. Nauczył się, że nie powinien dzielić się wszystkimi myślami. I nie trzeba było do tego Alex wbijającej w niego spojrzenie. Cieszyło go, że nie wszystkie jego wspomnienia przepadły.

– No – powiedziała Lacey cicho. – Pewnie masz rację. Ja tylko... Po prostu bardzo chcę, żeby mnie polubiła.

– Na pewno tak będzie. Skoro ja cię polubiłem, to każdy cię polubi.

Uśmiechnęła się złośliwie i walnęła go w ramię.

– Dupek.

Jedenaście kilometrów później, po przecięciu rzeki Missisipi i dotarciu do cmentarza pod miastem, pick-up zaczął się dławić. Trzy kilometry dalej silnik skonał.

## Rozdział 7

Minęło ponad osiem lat, od kiedy Lacey po raz ostatni była w Vicksburgu. Karey była wtedy w siódmym miesiącu ciąży z Addison i prawdę mówiąc, w tych ostatnich miesiącach poprzedzających narodziny dziecka bardzo dużo wymiotowała. Powyżej normalnego poziomu niż przy porannych mdłościach. Najpierw robiło się jej bardzo niedobrze, a potem następowało karkołomne rzyganie (Lacey lubiła słowo „karkołomne”). Dochodziło do tego, że Karey musiała codziennie korzystać z wenflonu, żeby jakoś walczyć z odwodnieniem i niedożywieniem, a także by naładować się elektrolitami. Babcia martwiła się, że Karey nie odpoczywa tyle, ile przykazał lekarz, więc przyjechały do nich i zostały na dwa tygodnie, dopóki Karey się nie poprawiło. W każdym razie osiem lat to szmat czasu. Długa przerwa między wizytami, w czasie której wiele się zmieniło.

Skaut ściągnął Red z paki samochodu, a Lacey zebrała ich ekwipunek. W aucie Lou nie było zbyt wiele do zabrania: pół butelki wody, dwie ostatnie puszki z jedzeniem – jedna z rosołem, druga ze spaghetti – do tego latarka, multitool, walkie-talkie, strzelba z uciętą lufą i karabin – oraz garść amunicji do każdego z nich. I to było w sumie wszystko, co mieli, nie licząc ubrań. Włączyła radio, ale tylko piknęło dwukrotnie.

– Bateria zdycha – powiedział Skaut. – Najlepiej wyłącz je na razie.

Tak też zrobiła. Patrzyła, jak mężczyzna otwiera maskę i pochyla się pod nią.

– Co robisz?

– Podaj mi multitoola. – Wyciągnął dłoń za plecy, nie unosząc głowy.

Wyłowiła go ze swojej kieszeni i włożyła mu w dłoń, zerkając nad jego ramieniem. Wykręcił i wyciągnął akumulator.

– Do czego to służy?

– W pełni naładowany akumulator to serce każdego pojazdu. Będziemy potrzebowali innego samochodu, jeśli mamy znaleźć Alex.

Na samo wspomnienie Alex Lacey poczuła, jak coś zaciska się w jej piersi, tuż nad sercem. Dużo czasu upłynęło, od kiedy widziała ją po raz ostatni, i każda dodatkowa minuta spędzona na wyciąganiu akumulatora, odwiedzaniu jej siostry czy szukaniu nowego auta mogła oznaczać dodatkowe cierpienia Alex z ręki Dumonta. Obraz kobiety pojawił się w umyśle Lacey. Siniaki, rozcięcia i ból wykrzywiały jej całe ciało. Przypomniała sobie jej twarz, kiedy Dumont dusił ją swoim paskiem – ciemnofioletową, z wytrzeszczonymi oczyma i wystającym językiem. Lacey przygryzła wargę na tyle mocno, by otworzyć rozcięcie po wewnętrznej stronie, i raz jeszcze poczuła metaliczny smak krwi, ostry i nieprzyjemny. Przysłoniła oczy trzęsącą się dłonią.

Zbliżamy się, Alex, pomyślała walecznie. Trzymaj się mocno, idziemy po ciebie.

Maszkę samochodu zostawili otwartą, a Lacey popatrzyła po raz ostatni z sentymentem na jego błotnik. Spędziła ładnych kilka godzin w tej kabinie. Zabrał ją od Dumonta i z powrotem pod opiekę Skauta. Za obie te rzeczy była mu wdzięczna.

Wzięła mapę, którą wręczył jej Skaut, i wytyczyła trasę wiodącą do Karey, tak blisko rzeki i tak daleko od głównych ulic jak to tylko możliwe. Musieli przejść jakieś pięć kilometrów, co powinno zająć nieco ponad godzinę.

*Potrwa to dłużej, jeżeli on zamierza dźwigać Ruby-Red i akumulator.*

Niezależnie od tego, jak bardzo Lacey nie podobało się wykorzystywanie ciała tej biednej dziewczyny, Skaut miał rację.

Mogło im pomóc. Poza tym Lacey uznała, że Red pewnie cieszyłaby się, iż może pomóc im zyskać przewagę nad Dumontem.

Tak więc ruszyli. Lacey prowadziła, a Skaut przerzucił Red przez ramię i osłaniał tyły. Na zachodzie dziewczyna widziała, jak blask wschodzącego słońca migoce na wodach Missisipi, prawie jakby na jej powierzchni unosiło się skradzione złoto piratów. Znajdowali się teraz na otwartym terenie i czuła się odsłonięta, przez co dużo czasu spędzała, oglądając się przez ramię i zaglądając do przyciemnionych okien mijanych magazynów. Sprawdzała po drodze alejki, jakby spodziewała się, że lada chwila ktoś krzyknie, wybiegnie grupa kanibali o dzikich spojrzeniach i rzuci się na nich. Byli teraz jednak w dzielnicy magazynowej, gdzie biegły stare tory i wokół świeciło pustkami. Wyjątkiem był wielki, niegdyś biały silos, w którym gromadzono ziarno i na którego boku ktoś napisał PUSTY, oraz rdzewiejące słupy i zwoje drutu rozciągnięte w poprzek drogi, idące od budynku do słupa i do kolejnego budynku, co wyglądało, jakby ktoś próbował dekorować okolicę z okazji świąt Bożego Narodzenia, ale zapomniał zawiesić na tych kablach ozdób i światełek.

Rzeka płynęła na zachodzie i była dwa razy szersza, niż kiedy widziała ją ostatnio. Dostrzegali liczne oznaki podtopień gruntu. Daleko stąd, wzdłuż jej brzegów, były zanurzone w wodzie mola i porty rzeczne. Jedynie słupki z cumami wystawały ponad poziom wody, reszta gniła pod powierzchnią. Plac przeładunkowy znajdował się trzydzieści centymetrów pod mętną wodą, a od dawna nieużywane tory były widoczne jedynie jako dużo ciemniejsza podwójna linia ciągnąca się pod powierzchnią wody.

Zbliżali się do stacji kolejowej z brązowo-białej cegły. W pewnym momencie przystanęli i obejrzelili ten klasyczny, stary budynek. Jego fronton ozdobiono greckimi kolumnami, a całość wyglądała dość nedorzecznie, gdy tak tkwiła w wysokiej do kolan wodzie.

– Zgaduję, że następny pociąg się spóźnia – powiedziała Lacey.

*Puf, puf! Wszyscy na pokład Państwowych Kolei Powodziowych! Bilety za darmo. Nadmuchiwane rękawki po dziesięć dolarów*

*sztuka.*

Parsknęła. Nie mogła się powstrzymać, bawiło ją to.

Skaut uniósł brwi, patrząc na nią, i szybko stłumiła śmiech. Przez chwilę szukała czegoś na mapie, po czym powiedziała mu, że dom Karey leży kilka kilometrów w głąb lądu.

Reszta Vicksburga spoczywała na urwisku, bezpieczna przed wzbierającą wodą. Kanały odwadniające, drewniane śluzy i wały przeciwpowodziowe dzielnie powstrzymywały większość napływającej wody, ale nawet stąd Lacey widziała kratowany most na wspornikach, którym niegdyś pociągi towarowe przekraczały Missisipi, a któremu teraz groziło zalanie.

Nieco dalej, po przejściu ulicy, która przez jakieś półtora kilometra pochylała się łagodnie, wyszli znowu na otwarty teren, skąd mieli lepszy widok na tereny nadbrzeżne Missisipi. Lacey stanęła w milczeniu, a Skaut obok niej.

Były tam setki samochodów, niektóre ustawione w rzędach po pięć wzdłuż brzegu. Wszystkie stały zanurzone lekko w rzece, zgrupowane i zwrócone maską w stronę wody. Niektóre z pojazdów zostały przesunięte na bok z pasażerami w środku, podczas gdy inne zagrzebały się w ziemi albo były ustawione zbyt ciasno w grupach, by fale rzeczne mogły je zagarnąć.

Samochody rdzewiały i rozpadały się na kawałki, przypominały pod tym względem gnijące szkielety ludzi, którzy niegdyś je prowadzili.

– Jak myślisz, dlaczego to zrobili? – zapytała cicho, wpatrując się w stojące niżej samochody. – Babcia mówiła, że było trochę jak wtedy, kiedy księżna Diana zginęła w Wielkiej Brytanii. Słyszałeś o tym? Coś mi się zdaje, że chyba nie jesteś na to za młody. W każdym razie twierdziła, że tysiące ludzi gromadziły się na ulicach, płakały i rozpaczały, jakby zabito ich rodzoną matkę. A przecież chodziło o jakąś kobietę, której nawet nigdy nie spotkali. Znali ją wyłącznie z wywiadów telewizyjnych i artykułów w gazetach. Babcia mówiła, że wszyscy oszaleli, jakby zarazili się jakimś wirusem, tyle że w tym wypadku chodziło o irracjonalną

histerię. – Lacey pokręciła głową. Niepokoiła ją myśl, że na tak duże zbiorowiska ludzi można było tak łatwo wpłynąć. – Jej historia na temat wydarzeń, które tutaj się rozegrały, zmieniała się za każdym razem, kiedy ją o to pytałam. Zazwyczaj twierdziła, że to wina jakiegoś gazu albo innych chemikaliów. Rzekomo to terroryści rozpylili je w dużych miastach. To była jej ulubiona wersja – w której zawinili terroryści – ale czasami mówiła mi po prostu, że bym dała jej spokój z tymi pytaniami. Wydaje mi się, że chciała mnie zniechęcić do kontaktu z innymi ludźmi, którzy mogli mnie przecież zranić. Ciągle się o mnie martwiła.

– I miała rację – odrzekł Skaut.

– Ale jakoś nigdy nie wspomniała o żadnych głosach – wymamrotała. – A tobie jak się wydaje? Co się stało? – zapytała ponownie.

Nie odpowiedział jej od razu, a kiedy spojrzała na niego, zorientowała się, że nie patrzy na rzekę, w której rdzewiały szczątki samochodów, tylko na niebo zawieszane wysoko nad ich głowami.

– Mieliśmy swoją szansę – powiedział tak cicho, że Lacey nie sądziła, by mówił do niej. – Czas nam się kończył, ale nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy.

Skrzywiła się, nie rozumiawszy go.

– Ale wciąż tutaj jesteśmy. Niby jak nasz czas się kończył?

Przestał patrzeć w niebo i spojrzał na nią. Posłał jej słaby, wymuszony uśmiech.

– Od zawsze mieliśmy problem, żeby być na bieżąco.

Na następnym skrzyżowaniu obrócili się plecami do rzeki, na wschód. Chodnik biegł coraz bardziej stromo w górę. Kilka kropli deszczu kapnęło na mapę. Spojrzała na ciemniejące niebo. W miejscach, z których zniknęły chmury, pozostawiając postrzępione fragmenty nieba, mogła teraz dostrzec migocące gwiazdy.

Kropla wpadła jej do oka. Zacisnęła je, potarła pięścią i obejrzała

na Skauta.

– Dasz wiarę? Jak tylko daliśmy sobie spokój z samochodem, zaczyna padać.

Najwyraźniej nie przejmował się za bardzo groźbą ulewy. Powiedział jedynie:

– Pospieszmy się. Przebywanie na zewnątrz nie jest bezpieczne.

Poprowadziła ich w górę ulicy i skręciła w prawo. W ciągu piętnastu minut zdążyli zagłębić się w rejon mieszkalny. Zobaczyli zaledwie dwie żywe istoty. Pierwszą z nich był parchaty pies o tak przerzedzonej sierści, że Lacey widziała różową skórę zwierzęcia. Przeszedł na tę stronę ulicy, na której oni się znajdowali. Przystanął, wyczuwając ich obecność, i spojrzał na nich. Wpatrywał się w nich przez kilka sekund, słabnące światło odbijało się w jego źrenicach niczym światło lamp, a następnie odwrócił się i kontynuował swoją wędrówkę, by po chwili zniknąć za rogiem biało-żółtego parterowego domku z drewnianym sidingiem. Drugą żywą istotą był mężczyzna albo też coś, co kiedyś nim było. Teraz przypominał worek ze skóry, w którym mieściły się ostre kości, głód i desperacja. Jego oczy również wyglądały jak lampy, ale nie lśniły wewnętrznym blaskiem jak psie. Cechował je raczej dziki błysk, przez który Lacey pomyślała, że rzuciłby się na nich, gdyby tylko był bliżej. Rzucił, a potem rozszarpał zębami ich twarze.

Cała trójka (czwórka, jeśli liczyć Red) stała bez ruchu i obserwowała resztę, nie wypowiadając ani słowa. Następnie mężczyzna wydał z siebie dziwny gardłowy pomruk i potrząsnął gniewnie głową, co wyglądało bardziej na tik nerwowy niż zwykły ludzki odruch. Trzasnął się mocno w skroń kantem dłoni i odwrócił do nich plecami, ostatecznie ich ignorując, po czym wszedł w zacienione wejście do budynku, a ciemność zagarnęła go i ukryła.

*Niebezpieczne zwierzę* – podsumował cicho Głos.

Lacey nie sądziła, że chodzi mu o psa.

Skaut delikatnie pchnął ją od tyłu, w milczeniu zachęcając do dalszej wędrówki. Znalazłszy się tak blisko celu – z powodów,



o których wołała nie rozmyślać zbyt intensywnie – chciała przeciągnąć tę chwilę możliwie długo, nawet jeżeli ryzykowała w ten sposób, że wygłodniały dzikus obezre jej twarz.

Dziesięć minut później pomruki zbliżających się głosów sprawiły, że przystanęli. Skaut syknął, każąc jej zejść z chodnika, a ona pospieszyła w kierunku najbliższego podwórka i ukryła się za pokrytym białymi kwiatami krzewem. Hortensja, pomyślała, i miała mgliste wrażenie, że babcia byłaby dumna z jej spostrzegawczości. Poczowała lekką, słodką woń kwiatów.

Podczas gdy Skaut kuczał niezdarnie obok niej z Red przerzuconą przez ramię, Lacey zerknęła na ziejące otwory budynku za nią. Bała się teraz bardziej niż przed ponownym odnalezieniem Skauta. Szkło w tych oknach było idealnie czarne, jakby to wcale nie były okna, lecz bezdenne dziury prowadzące do miejsca, gdzie nie docierało światło, a wszyscy mieszkańcy byli ślepi, bladzi i zmarznięci. Przemarznięci na kość.

W dalszym ciągu kucali w ukryciu, a Lacey rzucała za siebie jedynie pełne obawy spojrzenia, ale głosy nie robiły się ani trochę głośniejsze, a stłumione uderzenia butów i nieregularne pobrzękiwanie niesionego sprzętu i broni cichło, kiedy grupa minęła ich kryjówkę i kontynuowała wędrówkę ulicą.

Skaut zdecydował, że poczekają jeszcze pięć minut. Nogi bolały ją od kucania tak długo. W końcu pozwolił jej wstać i ponownie wyszli na ulicę. Lacey musiała rozmasować uda, zanim mogła znowu iść i nie kuleć, ale czuła ulgę na myśl, że oddalali się od tamtego straszego budynku z oknami przypominającymi puste, ślepe oczy. Od tamtego momentu Pielgrzym był wyjątkowo uważny i sprawdzał każde rozgałęzienie, zanim wracał po nią, co drastycznie wydłużyło ich marsz. W Lacey wdzięczność mieszała się ze zniecierpliwieniem z powodu tego, że dotrą na miejsce później.

Wkrótce szli pomiędzy trzy- i czteropiętrowymi domami w stylu wiktoriańskim. Strzeliste dęby górowały nad nimi, a ich grube konary skręcały się na wszystkie możliwe strony i zdawały się

wspinać ku niebu, ale w obliczu niepowodzenia zadowalały się rośnięciem wokół ponurych budowli. Dęby były przerażające w swoim powykęcany majestacie, a przy tym uderzająco piękne. Lacey czuła się przy nich mała i żałosna.

Zatrzymała się przy schodach prowadzących do domu siostry. Strach ścisnął ją za gardło, serce i żołądek. Ledwie była świadoma tego, że minął ją Skaut. Deszcz już się rozpadał i dziewczyna przemokła, ale w ten ciepły wieczór nie było jej zimno.

Popatrzyła przeciągle na budynek. Wieża w stylu gotyckim, która wyrastała z prawego boku domu, przywodziła na myśl zamknięte księżniczki i złe macochy. Wszystkie okna były zaciemnione, a deszcz bębniący o dach wydawał przyjemny dźwięk, zderzając się z łupkiem pokrywającym dach. Deszczówka spływała małymi rzeczkami wzdłuż rynien i rurami w dół, bulgocząc przy tym cicho. Dzięki właśnie takim dźwiękom dom tętnił życiem. Zdawało jej się, że widzi błysk światła w najwyższym oknie wieżyczki, a strach, który poczuła odruchowo, przerodził się w niepewną radość. Ale światło zniknęło tak szybko, że nie była pewna, czy to aby nie odbicie jakiejś odległej gwiazdy, którą teraz zasłoniły na niebie chmury deszczowe.

*A może to była Dzwoneczek podróżująca, by złożyć wizytę Roszpunce.*

Lacey chciała wrzasnąć na Głos, otworzyć usta i dać upust całemu strachowi, frustracji i ślepej nadziei w jednym ogłuszającym krzyku.

Najwyraźniej musiał wyczuć, jak niewiele brakuje, by miarka się przebrała, bo natychmiast się zreflektował.

*Przepraszam. Wybrałem sobie kiepski moment na żarty. Czy aby na pewno jesteś na to gotowa, Lacey? Możesz nie znaleźć tam tego, czego szukasz.*

– Będzie dobrze – wyszeptała bardziej do siebie niż do Głosu. – Wszystko będzie dobrze.

## CZEŚĆ CZWARTA

Człowiek, który zatonął

## Rozdział 1

Pielgrzym czekał na Lacey, zanim sprawdził drzwi. Nie były zamknięte i bezgłośnie otworzyły się do środka na dobrze naoliwionych zawiasach. Z łatwością mógł sobie wyobrazić głośne, wysokie skrzypnięcie, ale nie był to nawiedzony dom. A przynajmniej taką miał nadzieję.

Ostrzegł dziewczynę, mówiąc, by była ostrożna, a ona kiwnęła głową. Wyciągnęła i włączyła latarkę. Za na wpół otwartymi drzwiami czekał na nich jedynie mrok. Promień latarki przeciął ciemność, gdy Lacey ostrożnie weszła do środka.

Cicho zawołała swoją siostrę. Jej drżący głos poniósł się echem po ciemnych, drewnianych schodach.

Dom był jak skorupa. Pusty i martwy.

*Gmaszysko* – wyszeptał ten cichy głosik.

Deski podłogowe pod butami Pielgrzyma były wypolerowane przez lata używania, wygładzone przez setki butów.

*Albo butów.*

Ostrożnie podszedł do obitego fotela z prostym oparciem, stojącego w rogu przedsiionka, i opuścił na niego martwą dziewczynę. Mięśnie jego pleców zabolowały nieznośnie, kiedy się nachylał, sadzając ciało tak, by nie osunęło się na podłogę. Kiedy się wyprostował i spojrział na nią, Red przechylała się na bok niczym lalka, ale oparcie fotela przytrzymało ją w miejscu. Jej przykryta chustą twarz i lekkie wgniecenia bawełny w okolicach podbródka i nosa sprawiały makabryczne wrażenie, prawie jakby miała zaraz wstać i zacząć przemierzać te puste pokoje. Postawił akumulator na podłodze obok dziewczyny i na moment

przytrzymał się za żebra, a ciepło dłoni złagodziło nieco ból.

Skrzypienie desek podłogowych sprawiło, że się odwrócił. Lacey podeszła do dołu klatki schodowej i patrzyła w górę, a latarka rozpraszała mrok na tyle, by Pielgrzym dostrzegł oprawione zdjęcia zawieszane na ścianie co kilka kroków. Portrety rodzinne.

– David? – zawołała Lacey. – Addison?

Były to imiona jej siostrzenicy i szwagra.

Nikt nie odpowiedział na wołanie.

*Duchy nie mówią.*

– Na pewno? – wyszeptała, jakby wiedziała lepiej.

Spojrzała na Pielgrzyma.

– Przeszukajmy dom – powiedział. – Od dołu do góry. Coś na pewno znajdziemy.

Skinęła głową. W jej ruchach dało się zauważyć, że poczuła ulgę, prawie jakby działanie pomagało jej w radzeniu sobie z niepokojem. Pielgrzym niepokojem nie czuł. Jedynie rezygnację.

Zaczęli od salonu. Był to duży i stary dom. Wszędzie widzieli ciemne drewno, kinkiety i boazerię. Wokół piętrzyły się półki z książkami oprawnymi w skórę o grzbietach z literami inkrustowanymi złotem, a Pielgrzym przystanął na moment, by podziwiać widok. Chwila ta nie była jednak idealna, przez jej środek przebiegała purpurowo-czarna żyła.

Pokoje na dole wyglądały na zaskakująco nietknięte, prawie jakby czuwała nad nimi jakaś tajemnicza, wiktoriańska pętla czasowa. Domu nie splądrowano i nie zniszczono, choć ubrania, pościel i przeróżne bibeloty leżały dookoła w stertach, na stolikach albo przewieszane przez krzesła, co nie wpływało na piękno pomieszczenia.

– Popatrz na to!

Lacey stała po drugiej stronie biblioteczki, gdzie wnęka skrywała małe biurko do pracy. Na blacie leżał rozrzucony chaotycznie papier. Na ścianie obok przywieszono korkową tablicę, do której przypięto wiele listów i kartek pocztowych. Pielgrzym nie był w stanie przeczytać żadnej z nich. Lacey wskazywała na kawałek

papieru.

– Oni żyją! Spójrz, chcieli być na bieżąco z datą!

Pochylił się w stronę miejsca, w które celowała palcem.

– I co to za data?

Chwila milczenia.

– Ósmy sierpnia, trzy lata temu.

Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało. Pielgrzym słyszał wyraźnie oddech Lacey.

– Czyje to pismo? – zapytał.

– Mojej siostry.

– W porządku, to dobrze. – Tak naprawdę uważał, że to lepiej niż dobrze. Dużo lepiej, niż się spodziewał. – Szukajmy dalej.

Przechodzili z pokoju do pokoju jak swego rodzaju duchy, rześyści deszcz siekł w okna, a wiatr wiał tak porywiście, że dygotały szyby w oknach. Pielgrzym drżał w swoim wilgotnym ubraniu, ale nie z zimna, tylko raczej w ramach solidarności z trzęsącym się w posadach domem, przeżywającym właśnie istną burzową ofensywę.

Po drodze do kuchni otworzył usta, by zasugerować rozpalenie ognia. Minęli już dwa żeliwne kominki, jeden w salonie i drugi w przylegającej do niego przestrzeni jadalnej. Właśnie wtedy nad ich głowami rozległ się głośny huk.

Oboje podnieśli oczy na sufit. Jasny stalowy klosz huśtał się łagodnie na łańcuchu.

Czekali na kolejne uderzenie czy jakikolwiek inny dźwięk, ale nic takiego się nie wydarzyło. W końcu opuścili spojrzenia i popatrzyli na siebie nawzajem.

Lacey zaczęła się odsuwać zdecydowanym krokiem, ale Pielgrzym chwycił ją za ramię.

– Pójdę tam – powiedział niskim tonem. – Jeśli ktoś się tam chowa, wypłoszę go w twoją stronę.

Wyrwała ramię z jego uścisku. Nie było to trudne, jego dłoń była zbyt słaba, by ją przytrzymać.

– Nie, to ja powinnam iść. – Jest szansa, że usłyszą, jak

nadchodzę, a wtedy rzucają się w przeciwnym kierunku. Twoją twarz powinni zobaczyć w pierwszej kolejności.

Nie wyglądała na przekonaną, a do tego była bardzo zmartwiona.  
– Nie zastrzelisz nikogo, prawda?

Wydał z siebie jakiś niski, gardłowy dźwięk. Nie było to jednoznaczne przytaknięcie i dzięki temu będzie mógł ze wszystkiego się wytłumaczyć w razie potrzeby. Takiej potrzeby jednak nie było, Lacey została na miejscu z jego zapalniczką Zippo, a on wziął latarkę i odnalazł wejście na górę w salonie.

Wchodząc po schodach, dla pewności obejrzał wiszące portrety rodzinne. Dzięki temu zdoła zidentyfikować tych ludzi, jeżeli to oni ukrywali się na górze. Nie chciał przecież odstrzelić komuś głowy tylko dlatego, że nie wiedział, jak wygląda dawno zaginiona siostra Lacey. Ten scenariusz był jednak bardzo mało prawdopodobny, w końcu Lacey wykrzyknęła imię siostry przed tym, jak na dobre weszli do domu, i nie padła przecież żadna odpowiedź. Ostatnia oznaka jej obecności pochodziła sprzed trzech lat. Spodziewał się raczej, że znajdzie tam dzikie zwierzę albo otwarte okno, przez które wdarł się silny powiew wiatru i przewrócił lampę albo wieszak.

Trzymał się lewej strony schodów, rzadziej uczęszczanej i przez to mniej podatnej na skrzypnięcia w porównaniu ze środkową częścią stopni. Dopiero w połowie drogi dostrzegł dobre ujęcie wszystkich członków rodziny. Karey, siostra Lacey, miała grubsze kości niż jego towarzyszka, lekko kwadratową twarz, szeroko rozstawione orzechowe oczy i była szersza w ramionach. Choć jej postawa była zdecydowana i sugerowała osobę konkretną, to dołeczki w policzkach zmiękczały oblicze tak mocno, że można było sobie niemal pozwolić na stwierdzenie, że wygląda słodko. Jej mąż, David, miał rzędzące blond włosy o piaskowym odcieniu, tak cienkie i rozwiane, że prawie nie było ich widać, kiedy okalały złote oprawki jego okularów. Mężczyzna nadrabiał braki w owłosieniu śmiertelnie poważnym wyrazem twarzy i długą brodą.

Siostrzenica Lacey leżała w ramionach matki i patrzyła

w obiektyw kamery. Odziedziczyła po rodzicach ich najkorzystniejsze cechy. Na tej fotografii wyglądała na jakieś trzy miesiące, na jej głowie kręciły się ciemne, rozwichrzone loczki i miała przeurocze dołeczki w policzkach. W spojrzeniu dziecka nie było śladu wyrachowania, jedynie niewinność młodej istoty, która była zupełnie nieświadoma tego, że świat przygotowuje się właśnie do tego, by ulec bolesnej zmianie.

Pielgrzym doszedł do szczytu schodów i skręcił w lewo, a następnie przeszedł po pokrytym chodnikiem korytarzu do miejsca, z którego dobieł się hałas. Ścisnął oburącz obrzyn, latarkę przycisnął do jego lufy i wycelował w przymknięte drzwi. Wytrwale ignorował drżenie w lewej ręce spowodowane skurczem mięśni. Za tymi drzwiami była sypialnia, a jeśli nie ona, to pracownia albo bawialnia. Niezależnie jednak od przeznaczenia pokoju w środku znajdowała się przyczyna hałasu.

*Bądź ostrożny. Nie chcemy nikogo przestraszyć.*

Pielgrzym kopnął drzwi i wpadł do środka.

Przez chwilę w świetle latarki widział przestraszoną twarz po drugiej stronie królewskiego łóża. Była blada i umazana błotem. Następnie zniknęła mu z oczu, kryjąc się za ścianą.

*Za ścianą? Niby jak...*

Rzucił się w pościgu przez łóżko i zobaczył drewniany panel odchodzący od muru, za którym znajdowała się ukryta przestrzeń. Wnosząc po dobiegających do niego nerwowych oddechach szybko oddalającej się postaci, podejrzewał, że przestrzeń ta była dużo głębsza, niż pozornie się zdawało.

*Szczury w ścianach.*

– Ruszają się! – ryknął.

Przestrzeń była tak wąska, że musiał obrócić się bokiem, by się zmieścić. Latarka ukazała jego oczom gołe cegły i stromo ciosane stopnie prowadzące na dół.

Ukryte przejście.

Chryste.



*Tutaj jest jakaś sekretna klatka schodowa. Schodzą na dół!*

Pielgrzym szedł po stopniach tak prędko, jak się odważył, czyli niestety wolniej, niż zamierzał. W drodze na dół otarł sobie łokcie i ramiona o szorstkie cegły, latarka rzucała na ściany zniekształcone cienie. Uciekinierzy nie mogli być daleko przed nim, ale w tej ciasnej klatce schodowej wszystkie odgłosy były spotęgowane i odnosił wrażenie, że są zaledwie metr czy dwa dalej, a poza zasięgiem jego rąk utrzymuje je wyłącznie skręcona i klaustrofobiczna natura tych schodów. Usłyszał niskie chrobotanie, być może kolejny odsuwany panel, i przyspieszył nieco, wchodząc w ostatni zakręt w pośpiechu. Wpadł na ścianę, odbił się od niej z bolesnym jękiem, prawie upadł, ale przytrzymał się ściany, chwilę potem potknął się znowu, przecisnął przez wąski przesmyk i wreszcie wydostał na zewnątrz.

Padł strzał.

Kula uderzyła w boazerię nieco na prawo od niego, a specyficzny odgłos rozłupywanego drewna sprawił, że odchylił się do tyłu.

– Uważaj! – krzyknął.

Lacey wrzasnęła do kogoś, że ma poczekać, wrócić i nie uciekać. Chwilę później słyszał, jak rzuca się za kimś w pościg.

## Rozdział 2

Lacey klęła do siebie, pędem wypadając z kuchni. Co ona sobie myślała, żeby tak po prostu strzelać?

*Uspokój się. Najwyraźniej nie myślałaś...* – powiedział Głos.

Salon stanowił teraz mroczny krajobraz nierównych mebli i pagórkowatych cieni. Dziewczyna w pośpiechu zostawiła zapalniczkę Zippo na kuchennym stole. Po drugiej stronie pomieszczenia przebiegła ciemna postać, podświetlona przez panoramiczne okno. Minęła fotel i zniknęła za drzwiami.

– Zaczekaj! – krzyknęła Lacey.

Nikt nie zaczekał. Cichy tupot rozległ się na drewnianej podłodze w korytarzu. Lacey ruszyła, chwyciła za framugę i obróciła się dookoła własnej osi. Poślizgnęła się na środku przedpokoju, próbując się zatrzymać, a następnie wstrzymała oddech i nasłuchiwała.

Usłyszała skrzypnięcie pod łukiem po prawej stronie, który wychodził na przestronny salon z kilkoma sofami, zestawem kina domowego i dwoma stolikami do kawy. Przebiegła przez pokój, a dywan wytłumił jej kroki. Nie było tu wielu miejsc, w których można się było schować, poza przestrzenią za sofą i zasłonami. Może jeszcze w jednej z szafek obok telewizora, które biegły przez całą długość ściany, a w których bez wątplenia schowano wszystkie płyty DVD, Blu-ray i gry na PlayStation.

*Drzwi* – podsunął Głos.

Drugie drzwi prowadziły do innych pomieszczeń. Były uchylone, a przecież Skaut nie zostawił ich w ten sposób. Ruszyła do nich i uderzyła nogą o narożnik jednego ze stolików, zdzierając skórę.

Syknęła z bólu. Kuląła przez resztę drogi, aż wreszcie otworzyła szerzej drzwi. Za nimi była jadalnia i troje drzwi prowadzących dalej, wszystkie zamknięte. Pochyliła się, by zajrzeć pod stół. Zobaczyła pod spodem jedynie nogi krzeseł, żadnych ludzkich. Nie usłyszała więcej żadnych skrzypnięć ani kroków, które mogłyby pokierować ją dalej.

Podeszła do najbliższych drzwi, jej kroki głośno wybrzmiewały na deskach podłogowych. Pociągnęła za klamkę.

*Uważaj!*

Uchyliła się i krzyknęła, unosząc rękę, by zasłonić się przed kaskadą chaotycznie spiętrzonych pudeł, które teraz spadały prosto na nią. Róg jednego z nich uderzył ją boleśnie w kark i wywołał kolejną falę bólu.

Kiedy upadło ostatnie pudło, stała w milczeniu na środku poboju powstałego z zawartości schowka. Czuła pulsowanie krwi i piekł ją kark.

– Szlag – wyszeptała.

### Rozdział 3

Pielgrzym przecisnął się przez lukę w ścianie i wypadł do kuchni. Położył dłoń na stole, żeby się podeprzeć. Wziął kilka głębokich wdechów, krzywiąc się, podczas gdy jego żebra zatrzeszczały z niemyym wyrzutem. Wyprostował się i powędrował wokół stołu i krzeseł z powrotem w stronę korytarza. Był już w połowie salonu, kiedy usłyszał krzyk Lacey. Towarzyszył temu dźwięk przywodzący na myśl małą lawinę, która rozbijała się o podłogę parteru.

Jego serce szarpnęło się w piersi i rzucił się pędem. Sprintem minął wyściełane fotele i przedpokój, wykrzykując jej imię.

Odkrzyknęła. Powiedziała, że ma poczekać tam, gdzie jest, i że ona do niego przyjdzie.

Serce waliło mu zdecydowanie zbyt mocno jak na taką krótką przebieżkę. Stał przy fotelu i odruchowo cofnął się o krok na widok martwej dziewczyny. Przypominała mumię i dzięki temu pasowała do reszty domu. Nie wyglądała, jakby przemierzyła właśnie połowę kraju na pace pick-upa z motocyklem i martwym facetem, tylko raczej jakby przebywała właśnie tutaj przez cały ten czas.

– I zobacz, gdzie wylądowałaś, Ruby Red – powiedział cicho.

Lacey pojawiła się w łukowatym przejściu i Pielgrzym nie ukrywał, że poczuł ogromną ulgę, widząc ją całą i zdrową.

– Wracala wtedy? – zapytała, ciągle się rozglądając. – Prawie ją postrzeliłam. Szlag. Wystraszyłam się na śmierć, kiedy krzyknąłeś, a potem ściana jakby zawaliła się do wewnątrz. Wyskoczyła prosto z niej. Na mnie. I spanikowałam. – Przerwała,

próbując złapać oddech. Obróciła się i spojrzała za siebie w nadziei, że nieuchwytna osoba wejdzie tutaj nagle, żeby się przywitać. – Szlag – powtórzyła, tym razem głośniej.

– Rozumiem, że wiesz, kto to był – odpowiedział.

– No – nabrała powietrza, a kilka następnych słów wypowiedziała ciągiem na jednym oddechu. – Jestem raczej przekonana, że to była moja siostrzenica.

Wszystko zaczynało nabierać sensu dla Pielgrzyma. Dziecko prześlizgiwało się po tych stopniach jak węgorz i dlatego bez trudu mu umykało – poruszanie się z taką prędkością mogło się udać w tamtym miejscu jedynie mniejszej i lżejszej osobie.

Wołali Addison, przechodzili z piętra na piętro i z pokoju do pokoju, ale dziewczynka dobrze się ukryła.

Lacey potarła twarz, na której odmalowała się porażka.

– Wystraszyłam ją na śmierć, strzelając w jej stronę. Straszna ze mnie idiotka.

– Wszyscy jesteśmy trochę nerwowi.

– Musimy ją znaleźć.

Przytaknął, ale wiedział, że nie zobaczą już więcej dziewczynki, o ile sama nie będzie tego chciała. Nie tym razem. Już raz udało mu się ją zaskoczyć. Według tego, co mówiła Lacey, dziewczynka miała siedem lat, co oznaczało, że jest już wystarczająco przebiegła, a przy tym na tyle młoda, by móc schować się w każdym zakamarku domostwa. Mogła być gdziekolwiek. Chodzili od pokoju do pokoju i podczas poszukiwań Pielgrzym upewnił się, że w reszcie budynku nie czekają na nich żadne nowe niespodzianki.

W kuchni stała nieduża kuchenka opalana drewnem – służyła zapewne bardziej jako ozdoba, jako że pod przeciwległą ścianą zlokalizowany był cały zestaw do gotowania, wyglądający na bardzo drogi – ale Lacey i Pielgrzym stwierdzili, że im wystarczy. Po chwili Pielgrzym rozpałił w niej ogień i w nozdrza uderzył ich zapach płonących kłębow kurzu, a także drewna i papieru, które

tam wsadził. Jeśli cokolwiek mogło teraz wywabić małe stworzonko z ukrycia, to zapach gotowania. Poza tym Pielgrzym był głodny. Przed upływem pięciu minut oboje otworzyli puszki i wylali ich zawartość do dwóch rondli, które wkrótce grzały się na gorącej kuchence.

Lacey siedziała przy stole, kłócąc się wciąż ze sobą i potrząsając głową. W dalszym ciągu była na siebie zła. Co jakiś czas wstawiała, szła do sekretnej klatki schodowej i zaglądała do środka.

Za trzecim razem po powrocie z takiego spaceru nareszcie się odezwała.

– Karey nigdy nie pokazywała mi tych ukrytych schodów. Pomyślałby kto, że mogłaby, skoro to taka nietypowa cecha jej domu i w ogóle.

– Być może nie wiedziała o ich istnieniu. – Przyniósł gorące rondle do stołu. – Rosół czy literkowe... – Usiłował powiedzieć spaghetti, ale słowo utknęło mu na końcu języka i nie chciało się wydostać.

– Ja i tak zawsze mówię na to: kluski – powiedziała Lacey. – I właśnie je poproszę.

Siedzieli i jedli w ciszy, słuchając odgłosów domu i deszczu. Zupa wypalała sobie drogę przez przelyk i spływała niczym gorąca lava do żołądka Pielgrzyma. Jedyne dźwięki w kuchni, nie licząc cichego trzaskania ognia w kuchence, wydawały teraz ich łyżki, raz po raz stukające i skrobiące o rondle. Na piętrze panowała cisza.

Pielgrzym patrzył jakieś pół minuty, jak Lacey grzebie łyżką w sosie pomidorowym, jak przesuwają literki i bawi się nimi. Wreszcie pokazała mu, co ułożyła.

– Potrafisz to przeczytać?

Przyglądał się makaronowi, nachylił nawet rondel, by widzieć wyraźniej, ale choć wiedział, że spaghetti składało się w tym wypadku z liter i wiedział, że każda z nich może mieć jeden z dwudziestu sześciu kształtów, to czuł się, jakby wzrokiem próbował złapać rybę. Każda litera wymykała się jego zdolnościom poznawczym.

Pokręcił głową.

– Twoje imię? – spytał.

Przyciągnęła rondel z powrotem do siebie i zanurzyła w nim łyżkę. Zamieszała wcześniej ułożone litery i włożyła je sobie do ust.

– Nie – powiedziała z pełnymi ustami. – Napisałam: zjedz mnie. – Uśmiechnęła się słabo.

Bez słowa oboje zostawili trochę jedzenia w rondelkach i odstawili je na kuchenkę. Zapach ciepłego bulionu wciąż unosił się w powietrzu. Im dłużej Pielgrzym siedział w ciepłej kuchni z pełnym brzuchem, tym bardziej czuł, jak ból i rany mniej mu dokuczają. Nie mógł jednak pozwolić sobie na odprężenie, jeszcze nie, dlatego wysuszył i sprawdził obydwie sztuki broni, rozładował je, sprawdził iglice i zamki karabinu i obrzyna. Wszystko pracowało gładko. Załadował broń ponownie.

Dziewczyna nie odzywała się przez jakiś czas. Złapał ją raz czy dwa na spoglądaniu na sufit.

– Nie opuści budynku – powiedział do niej. – Była tutaj przez całe życie. To jej dom.

Lacey skinęła głową.

Kolejna minuty minęły w ciszy.

Położył karabin na stole przed nią.

– Na zewnątrz jest już zupełnie ciemno. To dobra pora, żeby ruszyć w kierunku kasyna.

Wolałby wybrać się tam samotnie, ale Lacey znała tę okolicę dużo lepiej niż on. W pewnym sensie jej potrzebował i bardzo wątpił, by jej siostrzenica wyszła z ukrycia, kiedy oni tu są. Przynajmniej nie przez jakiś czas.

– Wrócimy tutaj – powiedział. – Ona ochłonie do tej pory i spróbujemy jeszcze raz się dogadać.

– Nie powinnam stąd wychodzić. Dopiero co ją znalazłam. Pewnie odchodzi od zmysłów ze strachu.

– Myślałem, że chcesz pomóc Alex.

– Bo chcę.

Powiedziała to w sposób, przez który Pielgrzym pomyślał, że albo

zacznie na niego wrzeszczeć, albo się rozplacze. Nie podobała mu się żadna z tych możliwości.

Nachylił się do niej i na chwilę dotknął jej dłoni. Kontakt trwał zaledwie kilka sekund. Był to gest pocieszenia, który nie przychodził mu łatwo, ale przypominał ciężar jej dłoni na jego bucie i godziny, które spędziła w ten sposób, kiedy spał przy trzaskającym ogniu w stodole. Na zewnątrz trwała wtedy noc, a jego głowa pękała z bólu i sądził, że może nigdy się nie obudzić.

– Twoja siostrzenica nie chce być teraz odnaleziona. Zna to miejsce lepiej niż my. Moglibyśmy jej szukać, ale to będzie marnowanie czasu. Natomiast Alex możemy pomóc. A dziewczynka wciąż tutaj będzie, kiedy wrócimy.

Lacey nie odzywała się, tylko patrzyła na niego. Szukała jego oczu. Widział na jej twarzy przygnębienie, mroczny cień ukryty w miejscu, które jej zdaniem było przed nim dobrze schowane.

Wreszcie skinęła głową i odepchnęła się od stołu.

– Muszę najpierw coś zrobić.

Nie był pewien, co ma na myśli, ale też kiwnął głową.

– I tak muszę nam znaleźć jakiś środek transportu. Wrócę za jakiś czas.

Wstał i od razu pożałował, że będzie musiał opuścić przytulną kuchnię.

– Być może warto rozejrzeć się u sąsiada. Karey ciągle narzekała na pana Thomasa, który zawsze zajmował się jakąś nową robótką o wczesnej godzinie. W jego garażu możesz znaleźć coś użytecznego. Zapasowy zestaw kluczy do nich wisi przy drzwiach z tyłu. Zostawili go tutaj. Przydawał się, kiedy na przykład wyjeżdżali na wakacje.

Wskazała głową stojak na klucze. Z sześciu haczyków połowa była zajęta.

Zostawiła karabin na stole i wyszła na korytarz. Przystanęła w przejściu i zwiesiła głowę.

– Nie tego się spodziewałam.

Za tymi słowami kryło się mnóstwo znaczeń. Poczawszy od tego,



że utraciła siostrzenicę, kiedy tylko ją odnalazła. Pielgrzym rozumiał, że nadzieje nie zawsze wytrzymują starcie z rzeczywistością. Najłatwiej byłoby utrzymywać swoje marzenia na realistycznym poziomie, ale tego zrobić nie potrafiła, a może nawet nie chciała. Oczami wyobraźni widziała ponowne spotkanie ze swoją rodziną jako radosne wydarzenie. Jej wielkie nadzieje czekał upadek z bardzo wysoka.

A przecież to nie spadanie jest głównym powodem cierpień. Prawdziwy ból przynosi dopiero uderzenie o dno.

\*

Lacey poszła na górę, powłócząc nogami, jej buty dość głośno stukwały o stopnie. Na górze skręciła w prawo.

Wyjdz, wyjdz, wyjdz, myślała.

W trakcie poszukiwań po obejrzeniu każdego pomieszczenia Skaut zamykał drzwi, przez co teraz korytarz wyglądał jak wąski tunel. Przystanąła w zacienionym miejscu prowadzącym do wieży. Ciemność była tak intensywna, że wydawała się namacalna.

Miejsce to nie było celem jej wyprawy, ale usiadła na najniższym stopniu i spojrzała w ciemność. Addison mogła się tam chować. Może nawet siedzi na najwyższym schodku i spogląda na nią z góry.

– Przepraszam, że dotarcie tutaj zajęło mi tak dużo czasu – powiedziała Lacey, a jej głos popłynął w mrok i tam też przepadł, jak dźwięki muzyki w wygłuszonym pokoju. – Powinnam to zrobić trzy lata temu, ale było mi trudno. Babcia kiepsko się czuła. Polubiłabyś ją. Dla ciebie to była prababcia. Twarda sztuka. Jakby składała się po części z wykopanych spod ziemi kamieni i nie można jej było przesadzić, przenieść w inne miejsce. I wiesz, to dość zabawne, ale w pewnym sensie ona na zawsze pozostała w tym samym miejscu. Wszystko, co złe, przyszło do niej z wewnątrz. Nie miała żadnej kontroli nad tym, co psuło się w jej głowie. Co mieszało w niej i zmieniało to, kim jest. Żadne z nas nie panuje nad tym, co się dzieje w naszych umysłach.

To dopiero święta prawda, pomyślała.

Czekała, aż Głos coś odpowie, może rzuci jakiś prześmiewczy albo nawet asekuracyjny komentarz, ale nic takiego się nie stało. Dawał jej trochę spokoju.

Wysunęła świętego Krzysztofa spod bluzki i popatrzyła na niego. Szczegóły ginęły w mroku, ale to nie miało znaczenia. Znała go na pamięć. Dotknęła medalikiem ust, czując ciepło wytłoczonego wzoru na wargach. Zobacz, jak daleko dzięki niemu zaszłam, Red. Aż do miejsca, w którym chciałam się znaleźć.

Wzięła głęboki oddech, wstrzymała go i gwałtownie wypuściła.

– Chciałabym się z tobą zobaczyć, Addison. Możemy to zrobić, jak wrócę? – Nawet szept nie dobiegł jej uszu. – Nie mam pojęcia, czym się zajmują ciotki, ale wiem to i owo o byciu siostrą. Przynajmniej w tym mogłabym być dobra.

Ciemność pozostała cicha, obojętna. Lacey schowała świętego Krzysztofa i wstała.

– Wrócę niedługo. Nie musisz się bać, okej? Zaopiekuję się tobą. Nie jesteś już sama.

Lacey milczała jeszcze przez chwilę, ale nic nie zmąciło spokoju. Podeszła na koniec korytarza, otworzyła ostatnie drzwi na prawo i znalazła się w zimnej sypialni siostry. Łóżko było posłane, a kołdra starannie złożona u jego szczytu, prawie jakby Karey miała zaraz wspiąć się na nie z kubkiem gorącego kakao i dobrą książką. W szafie wisiały jej ubrania. W szufladach leżały poskładane bluzy, spodnie i bielizna.

Lacey położyła się na łóżku i przycisnęła twarz do poduszki. Pod zwietrzałą stęchlizną wyczuwała słaby, ale wyraźny zapach perfum. Kwiatowy i słodki, przypominał powietrze na podwórku za domem w środku lata.

Lacey dała sobie pięć minut, jak przy grobie babci, zanim opuściła dom. Przez tych trzysta sekund poszewka poduszki przyjmowała szloch dziewczyny. Z żalu ścisnęła w pięści kołdrę. Pięć minut później wstała z twarzą bez wyrazu. Oddychała głęboko, pozwalając, by bolesny skurecz ścisnął jej klatkę piersiową. Chciała,

żeby bolało. Pragnęła poczuć tak silny żal, by nie mieć wyboru i odciąć się od niego. Nie miała czasu na myślenie o bólu. Alex jej potrzebowała. Poprawiła poduszkę i wygładziła narzutę na łóżku. Następnie wyszła z pokoju siostry, zamykając za sobą drzwi, i zeszła na dół.

Alex, Addison, Alex, myślała.

## Rozdział 4

Deszcz osłabł do mżawki, mgła osiadła na ich włosach i przypominała klejnoty, a na rękawach kurtek i ramionach wyglądała niczym koraliki. Sąsiad siostry miał dobry gust w kwestii swoich projektów. Pielgrzym żałował, że nie było go już w pobliżu, chętnie uściskałby mężczyźnie dłoń. Zmodyfikowany triumph TR7 nie był zbyt trudny do złożenia i doprowadzenia do stanu używalności. Sunął niby duch. Ryk dwucylindrowego silnika odbijał się echem od okolicznych budynków. Mruczał pięknie, kiedy mijali ciemne ulice. Pielgrzym nie martwił się o hałas czy to, że ściągnie w ten sposób uwagę. Już wkrótce wyjadą z tego miasta. Snuł się ulicami, szukając jakiegoś środka transportu, ale zauważył tylko dwa inne samochody i żaden z nich nie zmienił kursu, jedynie przyspieszyły.

Nie sądził, że tak szybko znowu będzie siedział na motocyklu, a Lacey za nim. W garażu stał również dodge charger z 1970 roku, ale po tylu godzinach w kabinie pick-upa nie mógł oprzeć się pokusie zabrania motocykla. Miał pewne trudności z wciśnięciem dźwigni zeszywniałego sprzęgła, bo miał osłabioną lewą dłoń, więc ograniczał zmienianie biegów do minimum. Poza tym bolało go, kiedy Lacey obejmowała go w pasie i naciskała na żebra, ale jazda miała być krótka i z przyjemnością zniósł trochę dyskomfortu, zwłaszcza że radość z jazdy była dużo większa.

Zbyt prędko czteropasmowa droga szybkiego ruchu, którą jechali, przeszła w ulicę dzielnicy fabrycznej. Różne przedsiębiorstwa wybudowano na tutejszych wyschniętych ziemiach, między innymi na brzegach Missisipi postawiono kasyna; były niczym kiczowate

zabawki dla dzieci, brakowało im jedynie błyszczących świateł od firmy Mattel. Zgasił silnik i przez ostatnich osiemset metrów wybrzeża sunął motocyklem w ciszy, odpychając się nogami. Ciepłe i wilgotne nocne powietrze przedostawało się przez chustę, którą naciągnął na nos. Towarzyszyły im teraz jedynie dźwięki obracających się kół motocykla i szmer wiatru w uszach.

Nadal nie był pewien, czy TR7 odpali raz jeszcze bez tamtego akumulatora, ale nie miał teraz czasu, by się nad tym zastanawiać. Jechali na motocyklu z wyłączonym silnikiem, wreszcie się zatrzymali, postawił nogi na ziemi i poczekał, aż Lacey zsiądzie. Ukrył maszynę za czymś, co kiedyś było starą hutą żelaza. Lacey rozpięła uprząż nosidła, które zrobił dla niej, by mogła transportować broń na plecach. Pomógł jej rozpiąć je do końca i odebrał obrzyn. Pogrzebała przy przenośnym odbiorniku CB--radia. Dwa ciche piknięcia oznajmiły, że udało jej się włączyć urządzenie. Przyłożyła głośnik do ucha.

– Coś słyszysz? – zapytał.

– Jeszcze nie.

– Zostaw je włączone. Ale nie ustawiaj głośniej.

Skinęła głową i przypięła radio na klips do paska przy biodrze.

Kontynuowali podróż pieszo. Pielgrzym słyszał, jak Lacey raz czy dwa pociąga nosem. Szła tuż obok, brodę miała opuszczoną, a dłonie schowane w rękawach. Pod bawełnianą chustą czuł ciepło wydychanego przez siebie powietrza.

Przechodzili tak przez podwórka i puste parkingi, omijali pijacko przechylone drewniane płoty i przylegali do ścian budynków. Ulica po ulicy przesuwali się stopniowo w stronę rzeki. Kiedy kucnęli przy jednym z murów i wstrzymali oddech, Lacey nachyliła się do Pielgrzyma i szeptała mu na ucho, że kasyna w okolicy przyjmowały tysiące graczy w swoich progach i miały wiele pokoi gościnnych oraz restauracje i sklepy z pamiątkami. Opisała również, jak zapamiętała budynek parowca, ale nie wierzył do końca w obraz, jaki mu przedstawiała, dopóki nie zobaczył go na własne oczy.

„Kasyno na Statku” stało na szerokim pasie nabrzeża, a jego duży parking był miejscami podtopiony przez ciemne wody. Budynek hotelu-kasyna był zaprojektowany na wzór wielopoziomowego parowca. Pielgrzym sądził, że w czasach świetności rozświetlały go sznury lampek. Koła łopatkowe statku ozdobiono świecącymi kulami, dwa wysokie kominy pomalowane na czerwono – migały na powitanie i były widoczne z odległości wielu kilometrów. Stanowiło to imponujący widok, mimo że brakowało oświetlenia, a budynek był zaniedbany. Jeden maszt mocno się odchyłał, okna były wybite, farba odchodziła płatami.

– Jesteś pewna, że o to miejsce chodziło? – zapytał. W żadnym z okien nie widzieli światła. Nie wyglądało na to, by miejsce to odwiedzali jeszcze jacyś goście chcący pograć.

Dziewczyna przytaknęła.

– Uwielbiałam to miejsce jako dziecko. Nie wierzyłam Karey, kiedy mi o nim opowiedziała. Budynek, który był też statkiem? Wariactwo. Ale przyprowadziła mnie tutaj i...

Przestała mówić, kiedy pojedyncza postać wyłoniła się z budynku przylegającego do kasyna, przeszła przez barierkę ochrony i zeszła po rampie. Mężczyzna nie spieszył się i nie rozglądał zbyt uważnie na boki, idąc przypuszczalnie od strony parkingu. Podniósł rękę.

Radio na biodrze Lacey obudziło się z trzaskiem.

– Wszystkie pojazdy sprawdzone. Rozdawaj już karty, Ove. Wrócę za dwie minuty.

Postać zniknęła im z oczu za rogiem kasyna, najpewniej weszła z powrotem do środka.

– Jesteś dwie gry do tyłu, kolego – nadeszła odpowiedź. – Lepiej się pospiesz.

– Na to czekaliśmy – powiedział Pielgrzym.

Razem z Lacey kucali za murem wysokim do pasa, stojącym przy drodze prowadzącej serpentyną do tamtego parkingu. Pielgrzym nigdy nie rozumiał typowego dla tego kraju zakładania, że każdy i wszędzie dojeżdża autem. Bardzo utrudniało to poruszanie się pieszych. Kręta droga powodowała, że musieli pokonać pieszo

dystans trzykrotnie dłuższy. Oznaczało to również, że byliby trzy razy dłużej na widoku, jeśli ktoś akurat wyjrzałby przez okno.

*Spróbuję cię jakoś pocieszyć – powiedział jego nowy głos. – Jestem przekonany, że osobom projektującym nigdy zabudowę tych terenów jest teraz strasznie głupio z powodu tego systemu dróg, tak mało przyjaznego dla pieszych.*

Pielgrzym stwierdził, że nawet to nie stanowi dla niego pocieszenia. Wszedł po drodze pod kolejne wzniesienie – chwilami miał ochotę pełznąć, innym razem biec – i zaczął szukać następnego zejścia.

Nie znalazł żadnego. Chyba że byli gotowi płynąć.

Westchnął.

*Nie mam zielonego pojęcia, jakim cudem ładujesz się w te wszystkie sytuacje.*

Zdaniem Pielgrzyma to brzmiało za bardzo jak coś, co mógłby powiedzieć Głos.

Cofnął się do Lacey i skinął w stronę drogi.

– Musimy iść tędy, nie mamy wyboru.

– Tak myślałam – skwitowała.

Pielgrzym wciąż szukał osłony, ale kiedy dotarli do dna wijącej się drogi, nie mieli się za czym schować. Od wejścia do hotelu-kasyna dzielił ich jedynie otwarty teren zalanego parkingu. Z trzystu miejsc parkingowych ledwie garść była zajęta i Pielgrzym nie musiał patrzeć na samochody, by wiedzieć, że porządnie je przetrząsnęto.

– Jaki jest plan? – zapytała Lacey, łapiąc oddech. Kucała obok niego i oboje patrzyli w dal.

Nie było żadnego planu. Trudno coś zaplanować, gdy nie wiadomo, czego się spodziewać. Zaczynał rozważać odesłanie jej do motocykla, by zaczekała tam na niego, ale podejrzewał, że nie obeszkoby się bez gorącej dyskusji na ten temat, a to było ostatnie, czego teraz potrzebował.

– Nie dać się złapać – odpowiedział.

Obawiał się wyjścia na otwarty teren. Noc podążała w ślad za

nim, zdawał sobie sprawę z jej mrocznej obecności za plecami. Już spoglądała w jego kierunku. Atmosfera była przesycona pełnym napięciem wyczekiwaniem na okazję. Prawie jakby coś, czego nie potrafił dostrzec, czaiło się, by uderzyć. Nie wiedział, czy dziewczyna też to tak odbierała, ale przysunęła się do jego boku i poczuł, jak oddycha, a jej żebra rozszerzają się i opadają z każdym ciężkim oddechem. Na chwilę przypomniało mu się, jak siedziała za nim na motocyklu. Była pierwszą ludzką istotą, z którą miał tak bliski fizyczny kontakt po stu pięćdziesięciu jeden dniach przerwy, a Głos ostrzegł go przed tym i mówił, żeby się nie przyzwyczajał do jej obecności. A on obawiał się, że coraz bardziej się do niej przywiązuje i nie chce, by go opuściła.

*Toniesz.*

Tak. W dodatku to uczucie nie należało do zupełnie nieprzyjemnych.

Jej żebra opadły, a on poczuł i usłyszał, jak dziewczyna wydycha powietrze.

– Pomocne to jak betonowa kamizelka ratunkowa – powiedziała.

Uśmiechnął się w ciemności.

– Pójdziemy tam po cichu. W środku również będziemy dyskretni, czyli żadnego strzelania, krzyczenia i przewracania przedmiotów. Rozejrzemy się. Znajdziemy Alex. To duże miejsce, a sama mówiłaś, że jest ich tam ilu, trzydziestka? W takim razie na pewno znajdziemy sporo miejsc, w których będzie można się w razie potrzeby schować.

– A co, jeśli mimo wszystko spowodujemy jakiś hałas?

– Pamiętasz, co ci mówiłem o nieściąganiu butów podczas snu?

– No?

– A pamiętasz, dlaczego to powiedziałem?

– Bo na ogół lepiej wiać ile sił w nogach, niż walczyć?

– No właśnie. Jeżeli nas znajdą, uciekamy.

Ustalili, że jeśli będą musieli uciekać i z jakiegoś powodu się rozdzielać, spotkają się z powrotem przy hucie żelaza, gdzie



zostawili TR7. Plan był w sumie prosty i pasował im do sytuacji.

Pielgrzym zrobił coś dziwnego, czego nie mógł do końca sobie wytłumaczyć. Położył dłoń na głowie dziewczyny, jej włosy go łaskotały, a od czubka głowy biło gorąco jak z pieca kaflowego.

*Musi do tego pieca często dokładać.*

Uśmiechnął się na te słowa, ale raz jeszcze ciemność to ukryła.

Wyczuł, że rozchyła usta i nabiera powietrza. Formowała jakieś zdanie, ale przerwał jej, zanim zdążyła je dokończyć.

– Chodźmy – wyszeptał i zabrał dłoń z jej głowy, po czym ścisnął chłodny obrzyn i wyszedł na parking.

Najpierw skierował się ku staremu kombi oddalonemu o pięćdziesiąt metrów. Jego nadwozie znajdowało się nisko, koła były odkręcone, maska uniesiona, a drzwi i bagażnik otwarte. Samochód wyglądał, jakby rozwinął skrzydła i gotował się do odlotu. Mimo to nigdzie się nie wybierał, przynajmniej w najbliższym czasie. Pielgrzym przebył ten dystans szybko i schylił się za tylnym błotnikiem, czekając, aż dziewczyna schowa się koło niego. Spojrzał przez brakujące szyby i sprawdził front hotelu. Ani śladu żywej duszy. Najbardziej zdziwiło go, że nie wystawili żadnej warty.

Przyjrzał się dokładnie całemu parkingowi, księżyc wyslizgnął się z za czarnej jak heban chmury. Strumienie światła przesuwają się srebrzystym blaskiem po zalanych terenach. Woda blokowało im drogę, przez co budynek w kształcie parowca tworzył teraz coś w rodzaju wyspy.

*Jeszcze nam odpłynię.*

Brodzenie przez te wszystkie bajora spowodowałyby sporo hałasu i znacząco by ich spowolniło. Pielgrzym wypatrzył wąską ścieżkę pomiędzy dwiema czarnymi głębiami wodnymi, przez którą mogła przejść jedna osoba. Odchyłała się w ich prawo niedaleko od głównego wejścia. Zwrócił na nią uwagę Lacey. Skinęła głową. Jakby na dany im sygnał chmury rozstały się, odsłaniając księżyc, a Pielgrzym wyszedł z za kombi i tym samym znalazł się na widoku. Poruszał się długimi, zwawymi krokami, nie

spuszczając wzroku z budynku i uparcie ignorując przeszywający ból w okolicach żeber. Słyszał za sobą dziewczynę, jej kroki były szybkie i lekkie jak u królika.

Dotarli do narożnika budynku, dysząc ciężko i czując, jak krew szybko krąży im w żyłach. Pielgrzym przeskoczył nad poręczą i poczekał, aż dziewczyna przejdzie pod nią i znajdzie się przy nim. Kiedy tylko poczuł, że jej ramię dotyka jego łokcia, ruszył naprzód. Biegł wzdłuż wschodniego boku budynku, trzymając w gotowości strzelbę. Zdrowe oko wytrwale skanowało teren wokół.

Weszli do dużego, zakrytego portyku, który łączył główną część budynku kasyna z sąsiadującym trzypiętrowym parkingiem. Nad nimi wystawała rufa parowca. Była na tyle wysoka, że sięgała drugiego piętra parkingu.

Powitało ich boczne wejście, widma kamerdynerów i obsługi hotelowej zapraszały ich do środka. Automatyczne drzwi wybito odwróconym do góry nogami koszem na śmieci. Pielgrzym zbliżył się do nich ostrożnie.

– Spójrz – wyszeptała dziewczyna, ale on już tam patrzył.

Na szkle automatycznych drzwi widniały dwie duże, zwrócone do siebie głowy. Obydwie namalowano sprayem, a pośrodku każdej zobaczyli grubą, czarną spiralę.

– Oznaczają miejsca, w których byli – szepnęła.

A może ostrzeżenie dla intruzów, pomyślał Pielgrzym.

Uniósł nogę i przeszedł nad koszem. W środku cisza była przytłaczająca. Wiatr i mżawka ustały niemal natychmiast. Ściągnął chustę z nosa i ust. Miejsce śmierdziało zimną wodą i rdzą.

Wnętrze budynku ani odrobinę nie przypominało parowca. Podłogi wypastowane na wysoki połysk niewiele utraciły ze swojego blasku, a wysokie sklepienie ozdobiono gęsto rozwieszonymi pękami szkiełek: pomarańczowych, brązowych, w kolorze ochry i innych.

Ich kroki odbijały się echem, chociaż starali się stąpać jak najciszej. Znaleźli się na statku-widmie, czego dowodziło zniknięcie

mężczyzny, którego wcześniej widzieli, byli jedynymi żywymi duszami na pokładzie.

Minęli pusty salon w kształcie precla, miejsce ciepłe, z którego dawno się ulotniła wszelka woń soli. Następnie przeszli obok maszyny z watą cukrową o błyszczących elementach wykonanych ze stali nierdzewnej. W powietrzu rozciągał się lepki, słodki aromat cukru, a Pielgrzym był przekonany, że do ust dziewczyny napłynęła właśnie ślina, kiedy przechodzili obok. Słyszał, jak głośno przełyka.

Obok wielgachnej doniczki – wystarczająco pojemnej, by zasadzić w niej spory dąb – wisiał oznaczony odpowiednimi kolorami plan tego miejsca. Choć Pielgrzym nie był w stanie przeczytać z niej nazw różnych pokojów i przestrzeni, to wyraźnie widział, gdzie znajdują się schody ruchome i windy, podobnie jak wszelkie toalety, bankomaty i awaryjne klatki schodowe oraz wyjścia.

Na końcu błyszczącego korytarza, po zejściu kilku stopni w dół, teren otwierał się na atrium o katedralnym sklepieniu z dwoma parami nieczynnych teraz schodów ruchomych, prowadzących do góry i do splądrowanego sklepu z pamiątkami znajdującego się dokładnie naprzeciw. Masywnie wyglądające drzwi wbudowane były w północną ścianę, niedaleko za schodami ruchomymi. Księżycowa poświata wylewała się z głównego wejścia, jako że frontowe panele kasyna zrobiono w dużej mierze ze szklanych tafli. Niektóre były stłuczone, ale większość nadal trzymała się na miejscu. Połyskujące podłogi lśniły tam pod głęboką na kolano wodą. Liście, ziemia i reszta nieczystości, wliczając w to odrzucone podarki z tamtego sklepiku, dryfowały w tym zaimprovizowanym stawie. Część z nich uderzała w ruchome schody.

Brnęli powoli dalej jak jacyś eksploratorzy w dżungli, brodzący przez jakieś bagno. Kiedy znaleźli się u podstawy tych schodów, usłyszeli pierwsze, odległe oznaki życia.

Śmiech. A po nim jakby coś ciężkiego spadło czy zostało przewrócone. Więcej rehotliwego śmiechu, ale po nim również gniewne okrzyki, które spowodowały reakcję w formie głośnej,

kpiącej riposty. Później nastąpiły kolejne uderzenia.

Pielgrzym i dziewczyna popatrzyli na siebie.

*Bingo* – wyszeptała ta nowa, oddzielna część jego osoby.

Nasłuchiwali jeszcze przez chwilę, aż głosy rozproszyły się i ucichły. Pielgrzym wiedział, że to tylko złudzenie akustyczne. Ci ludzie nadal tam byli, po prostu znajdowali się zbyt daleko, by było ich słychać, gdy zakończyli kłótnię.

Powiedział dziewczynie, żeby trzymała się blisko niego. Poruszali się w miarę cicho. Zbliżając się do szczytu ruchomych schodów, Pielgrzym wyciągnął się na zimnych, podniszczonych stopniach, których ząbkowane krawędzie boleśnie wpiły się w jego obolałe zebra, po czym zerknął nad górną krawędzią. Jego wzrok przykuł przesadnie wzorzysty dywan. Po jakichś dwunastu metrach tego koncentryczno-heksagonalnego motywu ujrzał pierwszą linię automatów do gry. Było ich wiele, rzędy ciągnęły się jeden za drugim i w pewnym momencie po prostu niknęły w mroku, jako że światło księżyca dolatujące z atrium nie sięgało aż za ciężkie budki, gdzie zamieniano żetony na gotówkę.

Rozglądał się przez długą chwilę, po czym wstał, pokazując dziewczynie, że ma pójść za jego przykładem. Po miękkim dywanie poruszał się niemal bezszelestnie, wszedł między automaty do gier, które służyły mu teraz za osłonę. Jego oczy szybko przystosowały się do ciemności, ale w kieszeni miał jeszcze latarkę, której mógł użyć w razie potrzeby. Doszli do szerokiej alejki wyłożonej chodnikiem i prowadzącej z zachodu na wschód. Setki automatów do gier wszelkiego asortymentu stały żałośnie, wysokie niczym kamienie nagrobne na cmentarzysku.

Bateria stołów do ruletki rozciągała się na prawo od nich, łącznie może dwadzieścia. Jeden z nich przesunięto na bok, a żetony do gry rozrzucono wokół. Czerwone, czarne, zielone i niebieskie krążki wtapiały się w jaskrawy wzór dywanu. Otaczające go stoliki również przewrócono.

Jakaś dłoń dotknęła tyłu jego kurtki i schylił się, by usta

dziewczyny znalazły się przy jego uchu.

– Komuś nie spodobało się przegrywanie – wyszeptała.

Pielgrzym zastanawiał się, o co jeszcze mogli martwić się ci ludzie, nie licząc garści plastikowych żetonów.

– Widzisz te drzwi? – spytała.

Oczywiście na ścianie z tyłu, za stołami z ruletką, widniały drzwi z napisem „Wejście tylko dla obsługi”, które unieruchomiono otwarte na oścież czerwoną gaśnicą. Nie widział z tej odległości, czy jest czerwona, ale mógł się domyślić, w końcu wszystkie gaśnice były pod tym względem podobne. Martwiła go ta czerwień. Przypominała mu wahadłowe drzwi serwisowe przy platformie załadunkowej tamtego centrum handlowego. I to, jak widział pocisk wyrywający dziurę i tryskającą z niej krew. Jego cały plan zależał od tego, że nie zostaną zauważeni, a przecież bez wejścia w paszczę lwa nigdy nie zdołają znaleźć Alex.

Zachowując ostrożność, zmierzali w stronę tylnej ściany. Stąpali po miękkim chodniku, którym wyłożono alejkę oddzielającą automaty od stołów do ruletki. Kiedy prawie dotarli do ściany, znowu usłyszeli głosy. Tym razem dochodziły zza drzwi z napisem „Wejście tylko dla obsługi”.

Pielgrzym położył się i wczołgał pod najbliższy stolik do ruletki, po czym wyciągnął rękę do dziewczyny. Drzwi zaskrzypiały, otwierając się na oścież na swoim hydraulicznym zawiasie, a on szybko wciągnął dziewczynę pod stół, w wyniku czego wylądowała częściowo na nim.

Usłyszeli głosy. Bursztynowe światło oblało wszystko wokół. Pielgrzym zamarł. Również dziewczyna przestała się ruszać. Jej kościsty łokieć wbijał się boleśnie w jego brzuch. Ledwie czuł jej oddech, choć serce Lacey łomotało w piersi, co słyszał bardzo wyraźnie.

Zachrypnięty od trzydziestu fajek dziennie głos przemówił:

– Ale to taki lachociąg.

Następnie drugi głos, starszy.

– To bez znaczenia, jaki jest. Najlepiej rób, co ci każe, albo urźnie

ci nos i jeszcze powie, że tak mu kazało to coś w jego głowie.

– Może sobie, kurwa, próbować. Ciota jedna. – Słowa te przepelniała fałszywa pewność siebie. Mężczyzna wyraźnie się bał.

– Zrobi ci z twarzy relief.

– Relief... – trzeci, młodszy głos zadudnił. – Dobrze, Teller.

– Nie masz nawet pojęcia, co to takiego relief, cholerny głupcze.

Pielgrzym rozpoznał ten trzeci głos. Lacey zeszywniała i był pewien, że i ona wiedziała, do kogo należy. Powoli chwycił jej koszulkę w dłoń i zacisnął ją w niemym ostrzeżeniu.

Trzech mężczyzn przysunęło się na tyle blisko, że mogli poczuć ich zapach. Szli między stolikami do ruletki i zmierzali w stronę alejki wyłożonej chodnikiem. Aby tam jednak dotrzeć, musieli przejść obok stołu, pod którym chowali się Pielgrzym i Lacey. Światło latarni bujało się razem z nimi. Pielgrzym zauważył, że but dziewczyny wystaje nieco z ukrycia i wyraźnie widać teraz go znad stołu.

– Wiem, co znaczy relief – rzucił buntowniczo Posy.

– Ach tak? No to dlaczego nas nie oświecisz?

– Ech, daj mu spokój – powiedział Teller. – Chłop ledwo wie, kiedy powinien się wysrać, nie wspominając o czymś więcej.

Dwóch mężczyzn zaśmiało się głośno. Ich głosy praktycznie słyszeli nad sobą, a lampa oświetlała podłogę, częściowo również tam, gdzie się ukrywali. Pielgrzym puścił koszulkę Lacey, chwycił ją za kolano i bardzo powoli wciągnął jej nogę pod blat.

Trzech mężczyzn przeszło obok. Posy narzekał, podczas gdy dwóch pozostałych cały czas się z niego natrzęsało. Dotarli do alejki i poszli w stronę, z której przybyli Pielgrzym i Lacey.

Radio na pasku dziewczyny piknęło dwukrotnie, by przypomnieć swoim właścicielom, że jego bateria się wyczerpuje. Dziewczyna wzdrygnęła się, a Pielgrzym poczuł, jak uderzenie paniki przygwaźdża go i unieruchamia.

Jeden z mężczyzn przystanął.

– Słyszeliście to? – zapytał Teller.

– Chrzańcie się, chłopaki – narzekał Posy. – Wcale nie muszę

tego ciągle znosić.

Ten, który przed chwilą przystanął, teraz zawrócił i podszedł do ich kryjówki. Pielgrzym obserwował, jak para butów pojawia się i staje na końcu ich stołu, gdzie but Lacey jeszcze przed chwilą zdradzałby ich obecność. Oczyma wyobraźni widział, jak mężczyzna przekrzywia głowę i wytęża słuch. Pielgrzym musiał się opanować, żeby nie sięgnąć po radio na pasku Lacey i nie wyłączyć go na dobre. Wystarczyło, że piknie jeszcze raz...

– Masz rację, Posy, to wolny świat – odezwał się palacz stojący obok alejki. – Ale czy w takim razie nie mógłbyś spełniać się i korzystać z prawa zapewniającego wolność słowa gdzieś indziej?

– Hej, nie powinienes do mnie w ten sposób mówić...

Lacey wzdrygnęła się raz jeszcze, kiedy ruletka nad ich głowami się zakręciła. Obrót talerza z kulką poniósł po blacie stołu wibracje, a koło kręciło się nad nimi.

– Jedynym powodem, dla którego ciągle masz u nas fory, jest to, że byłeś przydupasem Red – powiedział palacz. – Zgadza się, Teller?

Teller, stojący nie dalej niż o kilkadziesiąt centymetrów, chrząknął potwierdzająco.

– A jej już tutaj nie ma. Nie masz już karty przetargowej, chłopcze, więc lepiej odtąd uważaj, co robisz.

Koło ruletki kręciło się coraz wolniej i wolniej, a Teller odwrócił się i zaczął się oddalać od stołu. Pielgrzym nasłuchiwał, jak dołączył z powrotem do towarzysza i razem kontynuowali wędrówkę. Stłumione żółte światło przesuwawało się wraz z nimi. Posy stał gdzieś na prawo i mamrotał do siebie przez krótką chwilę, po czym kolejne światło rozbłysnęło. To było jaśniejsze i bardziej intensywne. Posy wyszedł z alejki i podążył z powrotem między stołami z ruletką, wciąż narzekając pod nosem.

Kiedy usłyszał swoje imię, przerwał mamrotanie.

Pielgrzym cicho zawołał go raz jeszcze i mężczyzna ostrożnie podszedł i stanął obok ich kryjówki.

Posy pochylił się i wycelował w nich latarkę.

Pielgrzym wskazał na swój obrzyn i powiedział:  
– Jeśli nie chcesz kolejnej dziury do oddychania, to ani słowa.



## Rozdział 5

Lacey patrzyła, jak oczy Posy'ego robią się coraz większe, a usta otwierają się na oścież.

– Przymknij się.

Posy usłuchał.

– Dobry chłopiec. A teraz się cofnij.

Rudobrody mężczyzna zrobił kilka kroków do tyłu i Skaut skinął w stronę Lacey. Zrozumiała aluzję i wysunęła się spod jego ramienia, próbując nie blokować w żaden sposób strzelby. Wyszła spod stołu i od razu wyłączyła radio. Chciała rzucić tym głupim urządzeniem, rozbić je i podeptać – jej serce nadal nie uspokoiło się po tym, jak niedawno dwukrotnie piknęło – ale uleganie w taki sposób emocjom byłoby teraz bardzo złym pomysłem.

Kiedy Skaut wyłonił się spod stołu do ruletki, zauważyła, że cały czas mierzy z obrzyna w wąską pierś Posy'ego.

– T-ty, tutaj? Jak to?

Zabrało jej dobrą chwilę, by zorientować się, że Posy mówi do niej. Wytrzeszczał oczy i był ewidentnie roztrzęsiony, widząc, że jest żywa i stoi na wprost niego.

*Nie wydaje mi się, by te patykowate nogi stracha utrzymały go w pionie dużo dłużej* – skomentował Głos.

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się.

– Przyjechałam tutaj wozem Lou.

Posy spojrzał na Skauta, jakby szukał u niego potwierdzenia jej słów, ale zanim zdążył zadać pytanie, ten mrugnął i usta mężczyzny znowu się rozdziawiły.

– Ch-chryste... – Zamyślił się i wpatrywał przed siebie.

Nieco zakłopotana Lacey popatrzyła znowu na Skauta. Nie była pewna, na co gapi się Posy. Wreszcie zrozumiała. Ostatnim razem, kiedy przebywali wszyscy razem, Posy usiłował podnieść ciało Skauta i włożyć go na tył jeepa Jeba.

– Podejź do ściany – rozkazał Pielgrzym, wskazując obrzynem w stronę narożnika, gdzie nie będą tacy odsłonięci.

Posy się nie ruszył. Całe jego skupienie wydawało się koncentrować na próbach zapanowania nad drżącymi ustami. Kiedy wreszcie przemówił, to prawie jakby zwracał się do kapłana chwilę po ujrzeniu Boga.

– Jesteś nim, co nie?

– Nie – odpowiedział Skaut.

– Kim?

– T-ty... jesteś. Jeb cię zabił. Widziałem. Byłeś martwy.

– Chyba mylisz mnie z jakąś inną postrzeloną w głowę osobą.

Lacey prawie zarechotała, ale jej radość szybko się skończyła, kiedy Skaut wycelował broń w twarz Posy'ego.

– Więcej nie poproszę, żebyś się ruszył – powiedział cicho.

– Lepiej rób, co mówi – doradziła Lacey.

Cokolwiek Posy zauważył w oczach Skauta, najwyraźniej zadziało. Rozsądnie zaczął się przesuwać, spiesząc do narożnika za rzędem automatów do grania i z dala od głównej alejki. Rzucił za siebie błagalne spojrzenie, z którego można było wyczytać „Proszę, nie róbcie mi krzywdy”, przez co Lacey zrobiło się go jeszcze bardziej szkoda.

Skaut poprosił Lacey, by wyciągnęła zapalniczkę. Zapaliła ją posłusznie, a jej słaby płomień był przyjemniejszy niż jasny snop latarki Posy'ego. Kiedy kazali mu ją wyłączyć, grzebał przy niej trzęsącymi się dłońmi, aż wreszcie żarówkę spowiła ciemność. Lacey zabrała mu latarkę.

– Siadaj – rozkazał mu Skaut.

Posy usiadł, osuwając się po ścianie.

Lacey nadal stała, podczas gdy Skaut kucnął naprzeciw Posy'ego, korzystając z uniesionego wyżej kolana jako oparcia na łokieć

i broń. Przycisnął wylot dwóch luf do wychudzonego gardła mężczyzny.

Posy zacisnął oczy, a pokryta bliznami po trądziku i rzadkim zarostem twarz zapadła się w sobie.

– P-p-proszę. Ja nic nie zrobiłem!

– Milcz – warknął Skaut.

Lacey oparła dłoń na ramieniu Skauta i poczuła lekkie drzenie, po czym spojrzała na niego z przejęciem.

*On cierpi.*

Wiedziała to. Kucnęła obok, zrównując się z nimi obydwoma. Chciała złagodzić jakoś napięcie. Nie służyło ono żadnemu z nich.

Zwróciła się bezpośrednio do Posy'ego.

– Posłuchaj, Posy, chcemy po prostu, żebyś odpowiedział nam na kilka pytań, okej? Nie zamierzamy robić ci krzywdy.

Posy zaryzykował otwarcie jednego oka.

– O-obiecujesz?

– W końcu jesteśmy znajomymi od czytania książek, prawda? – Próbowała sprawić, by jej głos był delikatny i brzmiał w miarę przekonująco. – Nie kłamię moim książkowym znajomym.

Otworzył drugie oko i nerwowo przeniósł wzrok z niej na mężczyznę obok i z powrotem.

– Chcemy tylko znaleźć naszą przyjaciółkę – powiedziała mu Lacey. – Nic więcej. I potem sobie pójdziemy.

– Masz... Masz na myśli Alex?

Na dźwięk jej imienia Lacey nagle zakreśliło się w głowie, a podłoga zmieniła się w pokład prawdziwego statku, wysuwający się spod jej nóg. Potknęłyby się, gdyby tylko stała.

Ledwo zdołała nabrać dość powietrza, by się odezwać.

– Tak. Alex.

– Hmm, ma ją Dumont.

– Gdzie?

– Na górze. W Salonie Gwiazd.

Po krótkiej zachęcie – którą zajął się głównie Skaut – Posy wyjawiał im również, że dwóch mężczyzn, z którymi prowadził

wartę przed kasynem, a także większość pozostałych przebywała teraz w zachodnim skrzydle hotelu, gdzie rabowała minibary w pokojach gościnnych, i w bufecie jadalni, do której można było łatwo przejść korytarzami obsługi przez drzwi oznaczone napisem „Wejście tylko dla obsługi”. Niektórzy też wędrowali w grupach poszukiwawczych i nie będzie ich do rana. Dumont jednakże przebywał teraz na trzecim pokładzie.

– Czego szukają te grupy? – dopytywał Skaut.

– Ludzi? Którzy słyszą rzeczy? Szef chce ich zgromadzić.

– Dlaczego, Posy?

– Nie wiem – jęknął. – Nic mnie nie mówią. – Łzy napłynęły mu do oczu, przez co płomień zapalniczki podzielił się na dwa bliźniacze refleksy, każde w jednym z jego oczu. Tańczyły i migotały, podczas gdy oczy wędrowały od jednego do drugiego z nich. – On mnie... On mnie skrzywdzi, jeśli się dowie, że coś powiedziałem.

Pomyślała, że te płomienie wyglądają jak dwa ogniste chochliki. Zippo była gorąca w jej dłoniach.

*To kolejna pusta dusza* – powiedział cicho Głos.

Skaut przestał przyciskać obrzyn do gardła Posy’ego, odsunął go na bok. Nadal jednak nie przestawał w niego celować.

– Nie powiemy mu – obiecała Lacey.

Ale mężczyzna nie patrzył już na nią. Skupił całą swoją uwagę na człowieku klęczącym obok.

– C-co ci się stało w oko? – wyszeptał Posy. Łza spłynęła mu po policzku, zostawiając za sobą srebrzysty ślad, i zniknęła w jego zaroście.

Lacey obserwowała, jak Skaut zasłania swoje lewe oko, po czym na powrót opuszcza dłoń i spokojnie patrzy mężczyźnie w oczy.

– Kiedy byłem martwy, odważyłem się otworzyć tylko jedno oko. Zobaczyłem nim piekło – wyszeptał.

Lacey szturchnęła go łokciem w bok, cicho napominając, żeby nie drażnił się z nieborakiem.

– On tylko tak żartuje – powiedziała Posy’emu.

– Jesteś pewna? – odrzekł Skaut, unosząc brew. Błysk ognia dodał jego oczom złowrogiemu wyrazu. Zwłaszcza temu przekrwionemu.

Pokręciła głową i uśmiechnęła się lekko, po czym wstała.

Później Posy nie odzywał się już za często. Kiedy Skaut wyciągnął mu sznurowadła z butów i związał mu ręce za plecami, zaczął łkać, ale sapał i ślinił się w ciszy, za co Lacey była wdzięczna. Nie chciała, by Skaut straszył go jeszcze bardziej.

Chciała jeszcze zapewnić Posy'ego, że nie stanie mu się krzywda, ale on już najwyraźniej jej nie słuchał.

## Rozdział 6

Znaleźli schowek sprzątaczy i Pielgrzym oderwał kawałek koszuli Posy'ego, po czym wepchnął mu w usta brudną skarpetę, dzięki czemu mężczyzna był unieruchomiony i uciszony. Jedynie kiedy dziewczyna poszła, by zamknąć drzwi, Posy wyprostował się i pokręcił gwałtownie głową, tak mocno, że łzy i smarki poleciały na boki.

– Co?

Stłumiony jęk dobył się z jego gardła, a on wbił spojrzenie w kłamkę, na której dziewczyna oparła dłoń.

– Zamknij drzwi – powiedział jej Pielgrzym. – Nie możemy zostawić ich otwartych.

Posy wydał z siebie żalosne, gardłowe kwilenie. Jego oczy były teraz ogromne z przerażenia.

– Chodzi o ciemność? – spytała go Lacey. – Boisz się ciemności?

Posy wyglądał jak ostatnie nieszczęście, coraz więcej łez spływało po jego twarzy. Skinął głową.

Dziewczyna popatrzyła na Pielgrzyma, a ten czytał jej w myślach z taką łatwością, jakby wydobywały się wprost z jej ust.

– Potrzebujemy latarek – powiedział.

– Dwie nam się nie przydadzą.

Nie była to prawda. Było ich dwoje. Przydałaby się jedna dla niego i druga dla niej. A jednak się nie odezwał, kiedy weszła do małego schowka i włączyła latarkę, którą zabrali Posy'emu. Strumień światła przez chwilę oświetlił go od przodu. Zauważyła łuk jasnych barw na jego twarzy, tęczę złożoną głównie z odcieni błękitu i fioletu. Kolory świeżych siniaków. Pielgrzym mrugnął,

cofnął się, a kolory zniknęły. Latarka mierzyła teraz w górę i tworzyła na suficie schowka idealnie biały okrąg.

– No już – wyszeptała dziewczyna. – Nie ma się czego obawiać.

Zamknęli i zabezpieczyli drzwi, stawiając pod klamką stołek. Zaryzykowali, że utrzymają mężczyznę w środku na tyle długo, by zdążyli dostać się na górę. Pielgrzym nie lubił ryzykować, ale nie miał w tej sytuacji wielkiego wyboru. Facet wzbudzał w nim litość i nie chciał go zabijać, ale wypuszczenie go było zbyt niebezpieczne. Uwolniony Posy mógł pójść prosto do swoich i zawiadomić wszystkich o niechcianych gościach.

Nie mieli dużo czasu.

Pielgrzym patrzył na czerwoną gaśnicę, kiedy mijali ją i spieszyli na drugi koniec piętra kasyna. Jej kolor chyba rzeczywiście ostrzegwał, ponieważ gdyby zdecydowali się przejść przez te drzwi, najpewniej w sali bufetowej natknęliby się na jedną z grup ludzi Dumonta.

Szybko robili postępy. Pluszowy dywan tłumił ich kroki, dzięki czemu mogli sobie pozwolić na trucht, raz po raz kryjąc się za automatami do gier. Snop światła latarki, którą wyjął z kieszeni, oświetlał ich nazwy. Nie był w stanie przeczytać żadnej z nich. Widział jedynie, że spektrum barw oscyluje mniej więcej od czerwieni po fiolety.

*Czemu kulejesz?*

Nie bolała go lewa noga, nie czuł też żadnego dyskomfortu, ale mięśnie jego uda były osłabione, trzęsły się, podobnie jak ręka, przez co dziwnie utykał. Zignorował to i przystanął w progu sali jedynie po to, by sprawdzić, czy jest bezpiecznie. Ten nowy hol, do którego weszli, był mniejszy niż hol na dole. Jak wskazywała mapa na ścianie, kolejne podwójne schody ruchome prowadziły na następne piętro. Dwie windy czekały po drugiej stronie schodów, obok mieściły się toalety. Na północy główny korytarz rozgałęział się i prowadził dalej do jadalni. Była to standardowa trasa, którą wybierała większość graczy i gości. (Słabe pomruki rozmów

dochodziły z tamtej okolicy, co dowodziło, że przynajmniej część informacji udzielonych im przez Posy'ego była prawdziwa i że faktycznie niektórzy ludzie Dumonta przebywają właśnie tam). Z kolei na wschodzie szerokie przejście otwierało się na kolejne duże przejście, które prowadziło z powrotem na parking na drugim piętrze.

Za podwójnymi, nieruchomymi teraz schodami, skończył się gruby dywan i przeszedł w drewniane panele o ciepłym miodowym kolorze i bar stylizowany na saloon. Puste boksy i kontuar w kształcie kwadratu zdominowały przestrzeń, pod sufitem wisiały liczne płaskie telewizory. Z tyłu nie było żadnych świateł, dlatego Pielgrzym nie marnował więcej czasu, wyłączył latarkę i trzymając się ściany po lewej stronie, przeszedł do drzwi oznaczonych zgaszonym kasetonem, na którym mężczyzna biegł w stronę namalowanych na nim białych drzwi. Pielgrzym przyłożył na moment ucho do chłodnych drzwi prowadzących na schody ewakuacyjne. Nic nie usłyszał, pociągnął je więc i otworzył na oścież, stając przed czarną klatką schodową.

Kiedy drzwi zatrzęsnęły się za nim, słyszał jedynie głośny oddech dziewczyny. Przypominał upiorne wycie wiatru. Koszulę pod pachami miał przepoconą, podobnie w okolicach żeber i kręgosłupa. Czekał, dziewczyna obok niego stopniowo uspokajała oddech, i razem nasłuchiwali podejrzanych odgłosów, które mógł wydawać ktoś, kto się do nich podkradał.

Pół minuty później Lacey szturchnęła go i wyłączył z powrotem latarkę. Przeszli razem do poręczy i poświecił w górę, rozświetlając mrok nad ich głowami. Pielgrzym spodziewał się zobaczyć rząd bladych twarzy patrzących na nich z góry w milczeniu szeroko otwartymi oczami, ale nie było tam nikogo, kto mógłby ich pozdrowić.

– No to na górę – wymruczał.

Jego kolano zgięło się dziwnie już przy pierwszym stopniu, przez co chwycił za poręcz i upuścił latarkę. Zakręciła się na posadzce, omiatając światłem ściany wokół, zanim Lacey schyliła się i ją



podniosła. Wymagało od niego wielkiego wysiłku, by przesunąć środek ciężkości na lewą nogę.

– Wszystko okej? – spytała zaniepokojona dziewczyna.

– W porządku. Po prostu się potknąłem.

*Po prostu to ty kłamiesz. I tyle.*

Pozwolił dziewczynie trzymać latarkę, podczas gdy on trzymał się mocniej poręczy, ściskając ją mocno podczas kilku następnych kroków, szybkich, ale niezdarnych. Gdy dotarł do drzwi na drugim piętrze, musiał otrzeć pot z oczu. Teraz już całe jego ciało drżało, nie tylko ręka i noga.

Czuł na sobie wzrok dziewczyny.

Raz jeszcze przysunął ucho do drzwi. Niczego nie słyszał, ale tam z pewnością coś było. Jakieś napięcie okalało ramę drzwi niczym niewidzialna bariera, sztywna i nienaruszona.

*Czy to coś żywego?* – usłyszał pytanie.

Tak, żywego.

Gestem nakazał dziewczynie, by wyłączyła latarkę, i chwilę później wraz z delikatnym kliknięciem świat pograżył się w mroku.

Pielgrzym nie poruszył się od razu, nie zrobił tego, nawet gdy dziewczyna przysunęła się bliżej. Czekał, aż drzenie ustanie, choć niezdrowy rytm jego serca nie chciał się uspokoić. Powoli i delikatnie otworzył drzwi.

Ciepłe powietrze owiało mu twarz, niosąc ze sobą metaliczny zapach krwi. Wdarł się mu do nosa i dotarł do mózgu, pobudzając go gwałtownym impulsem. Zniknęły z niego wszystkie barwy oprócz czerwieni. Nawet w tej ciemności czerwona płachta opadła mu na oczy, całun tak intensywny i gruby, że czuł, jakby mógł wyciągnąć dłoń i go dotknąć, posmakować. Widział, jak piętra pod nimi gwałtownie wypełniają się wodą zalewającą statek, tyle że nie były to brudne pozostałości wody rzecznej. Kolorem przypominała burgund, była gorąca, słona i kleista niczym syrop. Krew zalewała nieczynne schody ruchome i cicho zmierzała teraz ku nim, pokonując ząbkowane stopnie, poziom wody rósł stopniowo, aż wreszcie eksplodował u szczytu falą pryskającą w powietrze

i rozlewającą się po błyszczącej podłodze żywym, niechlujnym bordowym potokiem. Ta powódź prędko rozlała się na boki i zaczęła przeradzać się w rosnący powoli akwen, zbliżający się do niego i do drzwi, za którymi stał. Krew sączyła się już przez próg i dotykała jego buta.

Zesztywniał i dziewczyna natychmiast zrobiła to samo. Drżącym szeptem wypowiedziała jego imię, a szept ten rozległ się rykiem w jego uszach niczym wichur. Czerwona zasłona przed jego oczyma mignęła i znowu było ciemno. Czerń, jedwabisty mrok. Zapach krwi szybko się ulotnił. Nadal był w pobliżu, ale dużo słabszy, smakujący lekko miedzią. Powódź wycofała się z jego umysłu.

Odetchnął z drżeniem, a dziewczyna raz jeszcze wyszeptała jego imię.

Pielgrzymie.

Nie Skaucie.

Naprawdę musiał z nią o tym porozmawiać, jak już się stąd wydostaną.

Instykt podpowiadał, że powinni się wycofać i znaleźć inną drogę, która nie będzie pachniała świeżą krwią na tyle intensywnie, że budzi w jego ciele tak silną reakcję. Czuł, że popełniają błąd.

A jednak nie mógł się cofnąć. Czekala na nich ta kobieta. A dziewczyna czekała na niego. Lacey straciła już swoją siostrę – zauważył niewyraźne spojrzenie jej lekko przekrwionych oczu, kiedy zeszła do niego wtedy na dół. Nie chciał, żeby straciła jeszcze kogoś.

*Może czujesz zapach rozlanej krwi właśnie tej kobiety.*

Możliwe. A nawet prawdopodobne. Ale nie mogli stąd odejść, dopóki nie poznają prawdy.

Pielgrzym postawił but na progu i oparł o niego drzwi. Oparł obrzyn o nogę i odwrócił się do dziewczyny. Ujął w dłonie głowę Lacey i przyciągnął jej ucho bliżej. Miała gorącą i spoconą twarz. Wypowiadane przez niego słowa były zaledwie tchnieniem, prawie nie tworzyły dźwięku. Skierował je prosto do jej ucha, a brzmiały

następująco: nie włączaj latarki, schowaj ją gdzieś, będziemy szli w ciemności, nikt nie może nas zobaczyć ani usłyszeć. Powiedział też, że kiedy dotknie czubka jej głowy, to znaczy, że chce, by padła na ziemię i została tam, dopóki po nią nie wróci. (Czuł, że zbuntowała się na myśl o tym, jej ciało się napięło, ale przycisnął nieco mocniej dłonie do jej głowy i się uspokoiła). Powiedział jej, że ma złapać go za pasek, jeśli nie będzie go widziała na tyle, żeby iść za nim. Na koniec dodał, że jeżeli zrozumiała wszystko, co właśnie powiedział, to ma pokiwać głową.

Sekundę później przytaknęła.

Nie puścił jej od razu, ale dotknął głową jej głowy i zamknął oczy. Był tak bardzo zmęczony. Chciał tylko wrócić do ciepłej kuchni jej siostry, położyć się przy kuchence i zapaść w głęboki, zasłużony sen.

Dziewczyna zgasiła już latarkę i włożyła swoje dłonie w jego. Mocno zacisnęła palce. Spojrzał na nią w dół. Stali w nieprzeniknionej czerni, ale wiedział, że patrzy mu prosto w oczy, zupełnie jak wtedy, kiedy spoglądała na niego ze swojego stoiska z lemoniadą tego pierwszego dnia. Zawsze cenił w niej tę bezpośredniość.

Trzymając nadal jej dłoń, zsunął ją niżej, obrócił się i umieścił ją pod swoją kurtką, na pasku. Poczuł, jak zaciskają się na nim jej palce. Podniósł strzelbę i dotknął krawędzi drzwi. Wziął głęboki oddech, celowo wciągając w płuca ten ciężki, wilgotny odór krwi, a następnie cicho otworzył szerzej drzwi i ruszył naprzód.

Poczuł delikatne szarpnięcie za pasek i wiedział, że tym samym zabiera dziewczynę ze sobą.

Rozrysował w głowie przejrzysty schemat planu, który widział na parterze. Wiedział, że jeśli chce się trzymać lewej strony, to ściana poprowadzi go przez przestronne pomieszczenie, w którym toczyły się gry na wysokie stawki (zwrócił uwagę na kilka symboli dolara na tej części planu). Następnie wejdą do korytarza, który wyprowadzi ich z głównej części budynku do serii mniejszych

pomieszczeń, około dziesięciu, najprawdopodobniej pokoi gościnnych. Dalej będą kolejne toalety (łącznie trzy, wliczając w to jedną dla osób niepełnosprawnych). Po wschodniej stronie ruchomych schodów mieściły się nieczynne windy. Nie było tutaj przejścia do pobliskiego parkingu, takiego jak piętro niżej. Znajdowali się teraz na poziomie, do którego dostęp mieli tylko najbardziej wpływowi goście parowca.

Wreszcie w północnej sekcji znajdował się Salon Gwiazd. Pielgrzym wiedział o tym, ponieważ z kolei na tej części mapy nadrukowano kilka gwiazdek, jedynych na jakimkolwiek poziomie tego statku.

Gdy wszedł do korytarza na drugim piętrze, nie było zupełnie ciemno, ale niewiele do tego brakowało. Sączyło się skądś jakieś naturalne światło. Wiedział to, ponieważ w mroku wychwytywał delikatny zarys poręczy ruchomych schodów obitych czarną gumą. Dostrzegał również nieco ciemniejszy zarys drzwi i przejścia do dalszej części korytarza. O ile jednak wiedział, wszystkie drzwi były zamknięte, co uniemożliwiała przedostawanie się do środka światła.

Pielgrzym ruszył naprzód wzdłuż ściany po swojej lewej stronie. Buty jego i dziewczyny skrzypiały cicho na posadzce. Trzymał lufę obrzyna nisko przy boku, a lewą dłońią sunął wzdłuż muru. Przystanął jedynie na chwilę, kiedy dotarli do pierwszej pary podwójnych drzwi, które prowadziły do nieznanego pokoju gier. Minęli je. Czarna otchłań rozgałęziającego się korytarza prowadziła do pokoi gościnnych. Była oddalona o kilkadziesiąt centymetrów od niego i miał paskudne wrażenie, że ktoś stoi w ciemnym przejściu ledwie kilka kroków dalej i czeka, aż on i dziewczyna przejdą. Być może ten nieznaną napastnik zamierzał wychylić się i wciągnąć ich za sobą w bezlitosną czerń. Albo też trzymał w rękach uniesiony topór, gotów rąbnąć go w czaszkę, gdy tylko pojawi się w polu rażenia. W jakiś niejasny sposób wiedział, że zarówno on, jak i dziewczyna będą słabo podświetleni od tyłu i widoczni dla każdego, kto patrzył na nich od strony korytarza.

Dwa czarne, poruszające się cienie, oderwane od otaczającej ich ciemności, widoczne dzięki swoim ruchom.

Zapach krwi z każdym krokiem stawał się intensywniejszy. Palce Pielgrzyma przesuwały się po gładkiej ścianie. Zatrzymał je, kiedy dotarli do narożnika, który przechodził w korytarz. Kucnął przy ścianie, a jego ruchy były czytelne dla dłoni, która trzymała go za pasek. Dziewczyna kucnęła w ślad za nim.

*Pozwalasz, by strach przejmował nad tobą kontrolę.*

Nie bał się o siebie. Pójście dalej bez zachowania ostrożności byłoby lekkomyślne.

Uniósł obrzyn i wyciągnął przed siebie, celując w korytarz. Spodziewał się, że coś go chwyci, uderzy albo spróbuje wytrącić mu broń z dłoni, dlatego był spięty, a ręce bolały go od ściskania broni.

Nic się jednak nie wydarzyło.

Odważył się wychylić głowę zza narożnika. Tak intensywnie wpatrywał się w ciemność, że aż mu mroczki zatańczyły przed oczyma. Ale mógł się wpatrywać do woli – mrok nie ustąpił.

*Teraz można jedynie zaryzykować.*

Ruszył naprzód, ciągle kucając. Trzymał się nisko i wszedł tak w ziejącą czarną pustkę prowadzącą w ciemną niewiadomą. Serce waliło mu w piersi jak młot, a do tego był boleśnie świadom gorącej dłoni Lacey ściskającej jego pasek.

I prawie im się udało.

Pielgrzym wyciągał lewą rękę przed siebie, wreszcie dotknął nią dalekiego narożnika, a jego dłoń z wdzięcznością przesunęła się po powierzchni ściany. Nagle rozwarły się niedalekie drzwi i uderzyły w ścianę z niepokojąco głośnym trzaśnięciem.

Dziewczynie zaparło dech w piersiach, ale on już się odwrócił, uniósł ją i schowali się w korytarzu, który jeszcze kilka sekund temu wydawał mu się zagrożeniem. Wsunął ich oboje w tamten mrok i przycisnął do ściany, zasłaniając usta dziewczyny dłonią, podczas gdy fala kontrolowanej wściekłości ogarnęła drugie piętro. Energia aż zawibrowała, ale nie słyszeli nic prócz szybkich uderzeń maszerujących stóp. Fala światła wylała się z nowo otwartego

przejścia. Była to przytłumiona żółć, która wypełzła na zewnątrz i dostała się do ich przejścia. Okazało się, że są w nim zupełnie sami, nie było tu żadnego szaleńca z toporem, który czekał, żeby uciąć im głowy. Oznaczało to również, że jeśli ktokolwiek tutaj zajrzy, od razu ich zauważy.

Ktoś przeszedł z Salonu Gwiazd i teraz maszerował korytarzem, kierując się w ich stronę.

Pielgrzym obrócił głowę. Drzwi do pokoju znajdowały się nie dalej niż trzy metry od nich. Mogli się tam schować, ale tuż obok na ścianie widział czarne pudełko. Czytnik kart magnetycznych. Nie miał pewności, czy drzwi się otworzą, kiedy do nich podejda.

– Mój drogi, po co to całe dramatyzowanie? Sam dobrze wiesz, że tym się zajmuję.

Pielgrzym poczuł na swojej dłoni gorący oddech dziewczyny. Od razu się zorientował, że słyszeli Dumonta. Zaciągał jak wykształcony nowoorleańczyk, tak jak opisała mu to Lacey.

Kroki ustały, prawdopodobnie po to, by rozmówca mógł odwrócić się i odpowiedzieć Dumontowi, który trzymał się blisko salonu. Nareszcie usłyszeli ten głos. Był szorstki i precyzyjny, wręcz zimny.

– Bynajmniej nie chodzi mi o dramaturgię, Charles, raczej o rewanż. Jesteś mi winien trochę więcej.

Całe ciepło opuściło głos Dumonta.

– I cóż takiego jestem ci winien, Joseph?

Lacey powiedziała mu o drugim człowieku. Pielgrzym obserwował, jak obgryza cztery paznokcie jeden po drugim, opowiadając o nim. Z powodów, których dziewczyna nie potrafiła wyjaśnić, ten noszący melonik mężczyzna budził w niej przerażenie, a przecież nie pastwił się nad nią.

– Lojalność. – Słowo wybrzmiało, poniosło się echem po płytach podłogowych, odbiło od zamkniętych drzwi i pustych przestrzeni, a dłoń Lacey zadrżała w uścisku Pielgrzyma. Czuł, jak się trzęsie. Tym mężczyzną z pewnością był doktor.

– Nie tylko Red jest pupilem zasługującym na specjalne

traktowanie. Ty i ja od lat stanowiliśmy zgrany zespół. Niekonsultowanie ze mną decyzji, kiedy należało je podjąć, odbieram jako brak szacunku. Zasady się zmieniają. Bardziej niż kiedykolwiek musimy być silni albo zabraknie dla nas miejsca. Nie zakładaj, że jesteś w stanie zająć się tym na własną rękę.

Przemowa mężczyzny zmroziła Pielgrzyma, ale teraz przyszła kolej na gotującego się z wściekłości Dumonta.

– Dobieraj starannie słowa, Josephie. To we mnie ci ludzie upatrują przywódcy. Nie w tobie.

– Dziki Człowiek nie jest jedynym, który ma jakieś plany. Na razie wypełniamy jego polecenia, ale to nie potrwa wiecznie.

– Nie powinieneś być taki otwarcie podejrzliwy. On ma uszy wszędzie.

– Uszy, głosy, w sumie wszystko jedno. Wszyscy ludzie, których dotąd zgromadziliśmy, słyszą jedynie ciche, słabo wykształcone szepty. Nie widzę w tym sensu. Nikt nie dysponuje tak wyraźnym głosem jak my.

– Już nikt, to prawda. Dołożyłeś starań, by tak było. A przecież nie miałeś prawa jej krzywdzić – powiedział cicho Dumont, ale w jego głosie słyhać było śmiertelną groźbę. – Nie powinieneś też taić przed nami, co zrobiłeś.

– Nie usiłowałem tego zataić, Charles. Naprawdę chciałem, żebyście wiedzieli. Red wykorzystywała cię tak samo, jak Dziki Człowiek wykorzystuje teraz nas. Karmiła cię wystarczającą ilością informacji, byś dał się nabrać i uwierzył, że ci pomaga, a tymczasem z tobą pogrywała. Naprawdę wierzysz, że została z tobą, bo tego chciała? Została, bo groziłeś, że wytropisz członków jej rodziny, jeśli ucieknie. Nienawidziła cię. Gardziła wszystkim, co robimy. Wypuściłaby ludzi, których schwytaliśmy, gdyby mogła. – Joseph nie czekał na odpowiedź, znowu ruszył z miejsca i zbliżał się ku nim. – Musisz zmądrzeć, stary druhu. Nie ma już miejsca na sentymenty. To nowy świat, czysty i prosty. I wszyscy, którzy tego nie zaakceptują, będą zmuszeni zgnić gdzieś na boku, jak twoja bezcenna Red.

Pielgrzym puścił Lacey i dotknął czubka jej głowy. Kucnęła szybko, zgodnie z instrukcją, a on uniósł strzelbę i wycelował w otwarte usta korytarza.

Usłyszeli kolejne trzaśnięcie i delikatne światło zniknęło. Zamknięto drzwi do salonu. Dumont wrócił do siebie.

Opanowany rozmówca sprzed chwili nie potrzebował światła, szedł dalej w ciemności.

Pielgrzym z taką siłą odczuł uderzenie paniki, że aż mu zadudniło z tyłu jego głowy, przez co czuły punkt za jego uchem zadrżał boleśnie. Lekko dotknął spustu i poczuł, jak ustępuje o włos.

Gdyby teraz strzelił, wszyscy by się zbiegli. A wtedy w tych ciemnych korytarzach rozpętałoby się piekło i cały ich wysiłek poszedłby na marne. Nie dadzą rady wejść tu raz jeszcze i odbić Alex, jeśli teraz zdradzą swoją obecność.

Zapach krwi był tak intensywny, że oklejał przętyk Pielgrzyma, blokował go niczym korek. O mały włos zaczęłyby się dławić, ale opanował odruch wymiotny, choć z dużym wysiłkiem.

Jego palec drgnął na widok cienia mijającego wylot korytarza. Prawie strzelił. Szybko odsunął palec i zamiast tego wbił wzrok w ciemny kształt. Był on zaskakująco masywny i ciężko stąpał, przechodząc obok nich. Czy ktoś ranił doktora? Czyżby jego kłótnia z Dumontem doprowadziła do przemocy? To tłumaczyłoby intensywny zapach krwi, choć ton jego głosu nie zdradzał śladów bólu.

Pielgrzym miał jakieś dwie sekundy na przyjrzenie się okazałym rozmiarów sylwetce, zanim ich minęła i zniknęła w wyjściu awaryjnym za drzwiami pneumatycznymi, które wydały z siebie świst, jak gdyby odcinały się w ten sposób od tej przesiąkniętej wonią krwi atmosfery. Mężczyzna wszedł do środka, a drzwi zamknęły się za nim z kliknięciem.

Dziewczyna odetchnęła głęboko. Pielgrzym wyciągnął rękę, odnalazł w ciemności jej dłoń i przysunął ją z powrotem na pasek. Poczuł, jak jej palce dotykają jego pleców. Chwyliła mocno.



Czasu było coraz mniej. Czuł to wyraźnie. Bardzo szybko stracą okazję i będą ścigani jak szczury w kanale. Koniec ukrywania się i skradania.

Wstał i pociągnął za sobą dziewczynę. Nie trzymał się już wschodniej strony, ale szedł prosto do drzwi, które jeszcze kilka krótkich sekund temu były otwarte. Zmierzał w kierunku wejścia prowadzącego do Salonu Gwiazd.

W kierunku drzwi prowadzących do Dumonta.

Wymiana zdań między dwoma mężczyznami miała poufny charakter. Pielgrzym był przekonany, że żaden z nich nie zamierzał prowadzić jej przed publicznością. W związku z tym zaufał swojemu instynktowi i nie zatrzymywał się, kiedy dotarli do drzwi. Otworzył prawe skrzydło i oblał go słaby strumień światła ze środka.

Mężczyzna stał do nich plecami i nie odwrócił się, kiedy Pielgrzym i dziewczyna weszli za próg.

– Przykro mi, Joseph – powiedział Dumont. Głowę miał opuszczoną, a ramiona opadły mu w wyraźnej skruszce. – Wiesz, że cenię sobie twoją przyjaźń i lojalność.

W czasie gdy mówił, Pielgrzym obejrzał pokój. Salon Gwiazd był imponującym, wręcz wystawnym barem. Luksusowe skórzane fotele i sofy, ciemny mahoniowy kontuar biegnący wzdłuż tylnej ściany, gdzie noszący muchę barman z szacunkiem mieszał drinki, podczas gdy sommelier o plecach wyprostowanych jak struna czekał po drugiej stronie z kartą win. Pielgrzym był zaskoczony, widząc, jak wiele rzeczy się tutaj uchowało. Na ścianie nad barem wisiały półki zastawione szerokim asortymentem trunków w kolorze bursztynu i miodu – koniakami, burbonami i whiskey.

– Nie kłóćmy się – ciągnął Dumont. – Nie możemy, jeśli chcemy przetrwać.

Jednak spojrzenie najbardziej przykuwał owalny sufit podzielony niczym pajęcza sieć, pokryty przezroczystymi szklanymi panelami. Otwierał się na dach i niebo, dzięki czemu z wewnątrz można było

zobaczyć mroczny bezmiar nocy, który nad nimi zalegał, przyozdobiony milionami migocących gwiazd.

Salon Gwiazd w istocie zasłużył na swoją nazwę.

Deszczowe chmury w większości już ustąpiły, a chłodne, rozproszone i mrugające gwiazdy stanowiły dobre tło dla pokutnej przemowy Dumonta.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Dumont się odwrócił. Miał podwinięte rękawy koszuli, toteż wyraźnie widzieli jego umięśnione przedramiona. Uwagę Pielgrzyma przyciągnęły jednak plamy krwi, ciągnące się od opuszek palców po same łokcie. W tym luksusowym pokoju, pośród całej tej wytworności, ciemnego drewna i skór, czaił się odór bólu i cierpienia.

Trudno było zinterpretować reakcję Dumonta. Mężczyzna w zasadzie nie zmienił wyrazu twarzy, zmrużył tylko nieznacznie oczy. Plamy krwi pokrywały mu lewą stronę twarzy niczym obrzydliwe piegi.

Jego oczy odzyskały swoją normalną wielkość, kiedy Lacey wyłoniła się zza pleców Pielgrzyma. Dumont uśmiechnął się nagle. Wydawał się szczerze zachwycony jej obecnością.

– Lacey! Udało ci się! Co za niespodzianka!

Lacey nie traciła czasu na pogaduszki.

– Gdzie jest Alex?

Uśmiech Dumonta stał się jeszcze szerszy.

– Nawet się ze mną nie przywitasz? Cóż, to trochę mało przyjacielskie, prawda? – Nie przestając się uśmiechać, popatrzył na Pielgrzyma.

– Nie jesteś moim przyjacielem – powiedziała Lacey. – Nawet cię nie lubię. Chcę tylko wiedzieć, gdzie ona jest.

– No dobrze, w takim razie pytanie za pytanie – co ty na to? Gdzie jest moja Red?

– Mamy ją ze sobą – odezwał się po raz pierwszy Pielgrzym.

Dumont ponownie skierował na niego spojrzenie, wciąż się uśmiechając. Lekko zmrużył oczy.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli dotąd przyjemność...

– I nie będziemy mieli. Chcemy tylko odzyskać kobietę. Oddaj ją nam, a dostaniesz dziewczynę z powrotem.

Dumont w milczeniu zmierzył go wzrokiem, jego uśmiech zbladł. Patrzył na niego przez dłuższą chwilę. Być może rozważał ofertę, ale Pielgrzym miał wrażenie, że raczej próbuje wytrącić go z równowagi swoim milczeniem. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że cisza była jego przyjaciółką i z radością pozwoli jej trwać tak długo, jak Dumont zapragnie.

Lacey nie była tak odporna. Usłyszał, jak porusza się nerwowo obok niego.

Dumont postanowił przerwać impas i przeszedł kawałek, by usiąść w fotelu. Skrzywił się i sięgnął za siebie, po czym wyciągnął pistolet z za paska. Położył go płasko na udzie, lufą skierowaną w ich stronę, a następnie wskazał im pozostałe fotele, zapraszając, by do niego dołączyli.

Pielgrzym i dziewczyna stali bez ruchu.

Dumont potarł podbródek, próbując ich rozgryźć. Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że robi to zakrwawionymi palcami.

– Co się stało z Louistem i Rinkiem? – zapytał.

– Są martwi – odpowiedział Pielgrzym.

Dumont popatrzył na niego przez chwilę, po czym zwrócił się ku Lacey.

– Czyli jesteś już częściowo odpowiedzialna za śmierć czterech moich ludzi. To czterech więcej, niż zazwyczaj wyprowadza mnie z równowagi.

– Nie zabiłam ich – powiedziała Lacey, a Pielgrzym usłyszał obronny ton w jej głosie.

– Ma rację – poparł ją Pielgrzym. – Ja ich zabiłem. Trzech z premedytacją, czwartego przypadkiem.

Zakrwawione palce zatrzymały się przy podbródku. Pielgrzym nie mógł sobie przypomnieć, czy mężczyzna mrugnął chociaż raz, od kiedy weszli.

– To ty dźgnałeś Jebediaha? – zapytał Dumont.

*Jeb. Imię martwego mężczyzny.*

- Tak.
  - I to ciebie zastrzelił? Powiedziano mi, że nie żyjesz.
  - Dostałeś błędne informacje.
  - Właśnie widzę. Wprawia mnie to w zakłopotanie.
  - Kim jest Dziki Człowiek? – zainteresował się Pielgrzym.
- Dumont uśmiechnął się, niezrażony zmianą tematu.
- Musieliście już słyszeć różne opowieści. Straszdyło w pelerynie utkanej z nocnego nieba, które ziejże ogniem w swoich nieprzyjaciół. A może znacie wersję, w której on jest nocą? Mężczyzną powstałym z ciemności i gwiazd, z czarnymi dziurami zamiast oczu? Niczym duch przybywa do ludzkich siedlisk i zabiera ze sobą tych, którzy są mu potrzebni, a resztę zostawia za sobą w ogniu. To nie byle kto, jeśli wierzyć tym wszystkim opowieściom.
  - Ja w nie nie wierzę.
  - Cóż, a powinieneś – powiedział Dumont. Wszelkie oznaki jego rozbawienia zniknęły. – Powinieneś w nie uwierzyć. Gromadzi swoich ludzi.
  - Takich, którzy słyszą głosy. – Pielgrzym znowu poczuł, jak Lacey przestępuje obok niego. – Dlaczego?
  - A po co gromadzi się armie? By walczyły o coś, czego pragniemy. Dziki Człowiek ma własny głos i z czymś takim jeszcze się dotąd nie spotkałem. Rozrósł się w nieprawdopodobny sposób...
  - Spojrzenie Dumonta się zamgliło, jakby w wyobraźni oglądał coś majestatycznego i zarazem przerażającego. Powoli wrócił do rzeczywistości. – Jak już powiedziałem, to nie byle kto. Niewiele mu brakuje do tej istoty z bajek. Oczywiście nie może wszystkiego robić sam, nawet mimo swoich zdolności. I tutaj te historie zgrzytają. To w końcu tylko jeden człowiek. Potrzebuje trochę pomocy.
  - Od ludzi takich jak ty?
- Mężczyzna uśmiechnął się ponownie.
- Tak.
  - Ale dlaczego właśnie teraz? – zażądał odpowiedzi Pielgrzym, w jego głosie kipiał gniew. – Minęło siedem lat.

Dumont mrugnął po raz pierwszy i przebiegły błysk pojawił się w jego oczach.

– Przygotowania zabrały mu trochę czasu. Zrozumiesz, kiedy go poznasz, a jestem pewien, że tak się stanie. Już wkrótce wszyscy się o nim dowiedzą. Najlepiej zrobisz, jeśli zaczniesz już wybierać stronę, po której się opowiesz. Upewnij się, że będziesz mógł żyć ze swoim wyborem, kiedy opadnie kurz.

Opowieści szaleńca czy prawda? Pielgrzym nie wiedział. To wszystko mogła być równie dobrze sprawka manipulacji innego głosu. Mniej zrównoważonego, podszeptującego temu mężczyźnie, co ma powiedzieć.

– Chcę tylko wiedzieć, gdzie jest Alex – wtrąciła Lacey z cichym błaganem w głosie. – Proszę.

Dumont odwrócił się ku niej. Nic nie powiedział.

– Przepraszam, że przerwałam – dodała.

Zmrużył oczy.

– Dobre wychowanie. A jednak przetrwało na tym świecie.

– Doktor był tu przed chwilą – powiedziała. – Słyszałam go.

– Joseph? To prawda, był tu niedawno.

– Co miał na myśli, mówiąc o rewanzu?

– Ach, próbuje mnie karać za moje rozrywki. – Dumont uniósł ręce, by pokazać zasychającą na nich krew. Więcej rozbryzgów i plam było widać na dywanie pod ich stopami. – Bardzo się irytuje, kiedy nie biorę go pod uwagę podczas podejmowania decyzji. Dla przykładu był niepokieszony, kiedy cię wypuściłem. Sądził, że można cię było lepiej wykorzystać. Wiesz może dlaczego?

Nie odpowiedziała. Przysunęła się bliżej Pielgrzyma, jak gdyby nieświadomie szukała u niego ochrony.

– Spędził trochę czasu w tej chłodni, gdzie cię trzymaliśmy, Lacey. Wygląda na to, że mówisz do siebie. Joseph lubi słuchać i obserwować. W ten sposób znajdujemy ludzi, na których polujemy. Szukamy pewnych znaków. Tak poznaliśmy dary Red.

– Jakie dary? – spytała. – Co jest w niej takiego specjalnego? Nie rozumiem.

Pielgrzym zaczął znowu przyglądać się plamom krwi na dywanie. Nie ściemniały całkiem, wciąż były wilgotne. Prowadziły od jego butów w stronę głównego wejścia.

– Wie, jak przetrwać w tym świecie – stwierdził Dumont. – Lepiej niż ktokolwiek ze znanych mi ludzi. A przecież tego wszyscy pragniemy, nieprawdaż? Przetrwać. Wiedziała o głosach, zanim ktokolwiek choćby podejrzewał, że nadciągają. Wiedziała o Dzikim Człowieku, kiedy plotki były jeszcze niczym szepty na wietrze. Skrywała dużo więcej sekretów, ale sprawienie, by się otworzyła, i dotarcie do nich wymagało pewnej finezji. To jak gra w szachy. Tracisz i zbijasz podobną liczbę pionów, a i tak zawsze warto zagrać. To zresztą jedyna gra, jakiej warto poświęcać czas. Joseph tego nie rozumie. Brakuje mu wyczucia. Zwłaszcza w przypadku moich, jak ich nazywa, pupili.

– Usta Red wyglądają tak przez niego – odezwał się nieobecny głosem Pielgrzym. Myślał o masywnym cieniu mężczyzny, który minął ich w korytarzu, gdzie się chowali. Pamiętał jego ciężkie kroki i to, jaki był niezgrabny. Lacey nigdy nie wspominała, że doktor był gruby czy garbaty. Doktor i jego brak finezji, chłód w jego głosie. Kompletny brak emocji. – Doktor. To on wyrwał jej zęby.

– Widzieliście twarz Red? – Dumont wydawał się smutny. – Jego zdaniem okaleczenie moich pupili powstrzyma mnie przed patrzeniem na nich. Chce, żebym widział ich tak, jak on ich widzi. Jako przedmioty, których należy używać, i nic poza tym. Bo wiecie, bardzo łatwo mnie rozproszyć. Będzie równie zadowolony na twój widok jak ja, Lacey. Jesteś naprawdę fascynująca.

Pielgrzymowi nie podobał się uśmiech, który mężczyzna posłał Lacey. Ani trochę.

*Dość już tego.*

– Tak – wymamrotał Pielgrzym. – Wystarczy – powiedział do Dumonta. – Zabrał stąd Alex. Właśnie teraz. Była tutaj. A potem doktor ją niósł.

Po raz pierwszy Dumont popatrzył na niego nie tylko z uwagą,

ale również z pochwałą.

– Tak. Pozwoliłem mu ją zabrać. Zdążyłem się zabawić, a on chciał zadać jej jeszcze kilka pytań o naszą drogą Lacey. Ale nie powinien był dotykać Red. – Twarz Dumonta pociemniała od krwi i oczy zwęziły mu się w szparki. – Wystarczająco wystraszyła ją wizyta naszego opiekuna. Przez to także Joseph zaczął kwestionować swoją pozycję. Dziki Człowiek chciał, by była bezpieczna. Powierzył mi to zadanie. A Joseph ją skrzywdził. Dlatego uciekła.

– I to cię zdenerwowało.

– Oczywiście, że tak! Nie rozumiecie? Ona jest taka jak on. Pasuje do tego świata, podobnie jak on. Jak ulał. Nie musi się szarpać i bić o swoje miejsce jak wy czy ja. Ono zostało już dla niej przygotowane. A jeśli i ja nie mogę tego mieć, to musi dać mi najlepszy możliwy substytut. – Pielgrzym zauważył, że dłoń mężczyzny zaciska się na rękojeści pistoletu. – Ostrzegam mnie, że jeśli odejdziesz, rozpocznie w ten sposób nowy ciąg wydarzeń i proszę – wy tu jesteście. Joseph wiedział, co nam robi Dziki Człowiek, jeśli się nią nie zaopiekujemy. Wiedział dokładnie, jaka jest cenna. Dlatego teraz muszę ją odzyskać. I to wy – wskazał palcem na Pielgrzyma i dziewczynę – jesteście jedynymi, którzy mogą mi w tym pomóc. I właśnie dlatego mi ją oddacie.

Zaróżowione policzki mu spurpurowiały, a w jego oczach niebezpiecznie żarzyło się pragnienie.

– Jeśli skrzywdziłeś Alex... – zaczęła Lacey.

– Ależ oczywiście, że ją skrzywdziłem! – Dumont nie wytrzymał, wykrzywiając przy tym usta. – Zraniłem ją tak mocno, że blizny po ranach, które jej zadałem, będzie nosiła do końca swojego żałośnie krótkiego życia! A Joseph robi z nią jeszcze więcej. Załatwi jej tak groteskowy wygląd, że będziecie woleli wydrapać sobie oczy, niż na nią spojrzeć!

– Stań za mną, Lacey – rozkazał Pielgrzym.

Dumont uniósł się z miejsca z bronią w ręku, żyła pulsowała mu na środku czoła.

– Nie znała smaku prawdziwego cierpienia, dopóki mnie nie spotkała! Ranilem ją powoli, aż posikała się w spodnie i zaczęła błagać, żebym przestał! I przysięgam na Boga, że to samo zrobię z wami, jeśli nie oddacie mi mojej Red!

– Lacey! Ruszaj!

– Mówcie, gdzie ona jest! – zaryczał Dumont, plując przy tym dookoła.

Lacey skoczyła za Pielgrzymem, podczas gdy Dumont uniósł rękę z pistoletem. To samo robił jednak Pielgrzym. Huk wystrzału sprawił, że kryształ szklanek i karafek odpowiedział mu śpiewnie. Pielgrzym poczuł silny odrzut obrzyna. Pięść Dumonta eksplodowała krwawą fontanną mięsa i kości, a jego broń poleciała w stronę baru.

Dumont zawył, chwytając się za krwawy strzęp wieńczący jego nadgarstek.

Pielgrzym wsadził kolejne naboje do komory, ale Dumont już na niego szarżował, boleśnie skowycząc. Pielgrzym miał jakąś sekundę, by przygotować się na zderzenie z Dumontem.

Napiął mięśnie. Oberwał bardzo mocno i pewnie by upadł, gdyby Lacey nie podparła go swoim ciałem. Lufa strzelby sterczała do góry, zablokowana między klatką piersiową jego i Dumonta, a Dumont szarpał za broń, niemal mu ją wyrywając. Nawet z jedną sprawną ręką miał zdumiewającą siłę.

– Z drogi! – krzyknął Pielgrzym do Lacey. – Teraz!

Usłyszał, jak szuka kryjówki.

Dla Pielgrzyma istniały teraz wyłącznie gorąco, niezłomna siła i śliska krew wokół. Dumont warczał jak pies, oddychając prosto w twarz Pielgrzyma.

*Jest za silny.*

Lewa noga Pielgrzyma dygotała. Kolano zaczęło mu drżeć. Palce ślizgały się po wysmarowanej krwią kolbie broni.

– Gdzie ona jest?! – wrzeszczał Dumont.

Coś mokrego i gorącego uderzyło Pielgrzyma w bok głowy. Dostał po raz drugi i świat zawirował mu przed oczami, a ból eksplodował



mu z tyłu czaszki. Dumont walnął go w głowę krwawym kikutem po raz trzeci i Pielgrzym zrobił jedyne, co mu pozostało. Pociągnął za spust obrzyna.

Grom strzału wbił białe rozgrzane igły w bębenki uszu. Obaj zawyli z bólu.

Nad nimi szklana kopuła eksplodowała.

Pielgrzym wepchnął strzelbę w dłonie Dumonta i przez ułamek sekundy cieszył się wyrazem niedowierzania na jego twarzy. Potem odskoczył, a gigantyczne brzęczące kostki lodu zaczęły zmierzać ku niemu. Pierwsze fragmenty szkła uderzyły w ramiona Pielgrzyma akurat w chwili, gdy nurkował w kierunku najbliższego fotela, próbując się za nim ukryć. Lacey kucała kilka metrów dalej, oczy miała rozszerzone ze strachu, a w dłoniach ścisnęła karabin. Była za blisko. Odłamki śmiertelniegroźnego szkła zaczęły sypać się wokół niej, a Pielgrzym wysunął się z za fotela i obserwował, jak duże kawałki rozbijają się o blaty stołów, pryskają w błyszczących eksplozjach, inne zaś wbijają się w skórę z mięsistym odgłosem. Obok dźwięków miniaturowych szklanych granatów słyszał również chrobotanie i stukanie. Wiedział, że Dumont ładuje właśnie kolejny nabój do strzelby.

Pielgrzym rzucił się na Lacey, przewrócił ją na plecy i zasłonił własnym ciałem. Zwinęła się pod nim. Czuł jej gorący oddech na szyi.

Żaden strzał ze strzelby jednak nie padł. Zamiast tego usłyszeli ciężkie, masywne uderzenie, a po nim krótkie trzaśnięcie. Jakby wystrzał z broni małokalibrowej.

Następnie świat, który jeszcze przed chwilą walił się wokół nich, teraz gwałtownie spowija cisza. Nie słyszeli już nic prócz cichego brzęku kawałków szkła i dziwnego trzeszczenia.

Pielgrzym uniósł głowę. Potłuczone szkło lśniło dookoła. Gwiazdy błyszczące na ciemnym niebie nad nimi odbijały się teraz od każdej powierzchni w zasięgu wzroku. Dumont leżał na brzuchu, a wielka tafła szkła, przełamana pośrodku na pół, tworzyła nad nim swoisty namiot. Za przezroczystą szybą Pielgrzym widział czaszkę

Dumonta, groteskowo zmiażdżoną przez ciężkie okno. Wyglądał jak okaz pod dużym szkiełkiem nakrywkowym czekający na to, by ktoś zbadał go za pomocą gigantycznego mikroskopu. Różowobiała masa wypływała z pokruszonej czaszki i przyklejała się do tafli szkła.

*To mózg.*

Wytrzeszczone oko wpatrywało się w Pielgrzyma.

Mrugnęło.

Lacey przekręciła głowę, chcąc zobaczyć więcej, ale zakrył jej oczy dłońią.

– Nie.

– Ale...

– Nie – powtórzył zdecydowanie.

Obrzyn leżał poza zasięgiem ręki Dumonta.

– Do góry – zarządził Pielgrzym, schodząc z dziewczyny. Szkło zabrzączało, osypując się z niego.

– Co się stało? – spytała. Stała i zaczęła się rozglądać, ale zasłonił jej widok własnym ciałem. Nie chronił jej teraz przed śmiercią. Do niej będzie musiała przywyknąć. Ale roztrzaskane czaszki i wylewające się mózgi to zupełnie co innego.

– No co się stało? Nie żyje?

– Tak. Nie żyje.

Chwycił ją za ramię i obrócił przodem do głównego wejścia. Ich buty chrobotwały na szkle. Szybko podniósł strzelbę, sycząc z bólu, kiedy schylał się po nią. Następnie wyprowadził Lacey z pomieszczenia, nie dając jej szansy zadania pytań.

Ciemność witała ich swoim całunem, kiedy drzwi zamknęły się za jego plecami. Nie musieli się dłużej w niej kryć, dlatego poprosił o latarkę, a ona podała mu ją mechanicznie. Włączył ją i skierował snop światła na podłogę. Było tak, jak podejrzewał, jak chciał, żeby było. Krople krwi znaczyły kropkami błyszczące płytki u ich stóp.

Krew Alex.

– Mieliśmy nie hałasować. I nie strzelać.

Dziewczyna mówiła przyciszonym tonem, prawie bezgłośnie. Jej

oczy nadal były ogromne z przerażenia, a twarz blada.

– Plany się zmieniły. Chodźmy.

Jeśli zdoła utrzymać ją w ruchu i zająć czymś jej myśli, to nie będzie miała czasu na roztrząsanie tego, co wydarzyło się przed chwilą.

*Ile osób zabiłeś już na jej oczach?*

Pielgrzym nie odpowiedział.

– Ale cały jesteś we krwi.

Popatrzył w dół na siebie. Jego dłonie pokryte były ciemną świeżą krwią. Próby wytarcia ich do czysta nie miały teraz sensu. Koszula również była od niej mokra.

– To nie moja.

Dziewczyna sięgnęła do jego ramienia i poczuł krótkie, ostre ukłucie. Ścisnęła w palcach pięciocentymetrowy odłamek szkła. Rubinowa kropla zwisała z ostrego końca.

– A jednak część jest twoja – wyszeptwała.

Ich spojrzenia spotkały się na sekundę. Upuściła odłamek, a ten zabrzęczał o płytki, posyłając przyjemne echo przez korytarz. Krople mieszały się na podłodze z krwią Alex. Ominął dziewczynę i ruszył obok schodów ruchomych, a później w stronę drzwi awaryjnych, za którymi zniknął doktor. Sprawdził, czy dziewczyna wciąż za nim idzie. Nadal stała przed Salonem Gwiazd. Niskim głosem wymówił jej imię. Nawet z dwudziestu metrów widział, jak się wzdryga i próbuje otrząsnąć. Wreszcie pospieszyła do niego.

Z Lacey depczącą mu po piętach wyszedł na klatkę schodową i zszedł po stopniach, opierając się ciężko o poręcz. Nie chciał, by noga się teraz pod nim ugięła. Głowa nadal go bolała od niedawnych uderzeń, a lewe oko praktycznie do niczego się już nie nadawało. Nie widział nim rozmazanych kształtów nawet z bliska. Jedynie ciemną, gęstą mgłę, tak jakby połowa jego ciała wybierała się już na tamten świat.

*Jeszcze nie.*

– Nie, jeszcze nie – powtórzył cicho.

Krew prowadziła w dół schodów i w kierunku korytarza na

pierwszym piętrze. Właśnie tam czekała na nich reszta ludzi Dumonta.

## Rozdział 7

Umysł Lacey wirował, kiedy tak stała przed Salonem Gwiazd. Przez te wszystkie ogłuszające wystrzały i odgłosy pękającego szkła dzwoniło jej w uszach. Nie słyszała wyraźnie, jakby ktoś zanurzył ją w wypełnionej wodą wannie. Podskoczyła, słysząc drugi wystrzał ze strzelby, i uskoczyła instynktownie w bok, gdy sufit nad ich głowami eksplodował wstrząsającym crescendo. Zanim jednak ujrzała tę burzę szklanych odłamków i jej efekty, Skaut popchnął ją w kierunku drzwi, zasłaniając ją własnym ciałem. Nie dał jej czasu na zadawanie pytań ani zobaczenie wszystkiego na własne oczy, tylko poderwał ją gwałtownie na nogi i wyprowadził z sali, zanim zorientowała się, co robi.

Nie wiedziała, skąd w nim taka potrzeba niesienia jej pomocy. Rozumiała przecież, co się stało. Tak naprawdę chciała wszystko zobaczyć.

Oslabiony słuch nie uciszył Głosu, nadal słyszała go bardzo wyraźnie.

*Wierz mi, że nie. Naprawdę nie chcesz zobaczyć, co tam się stało.*

A przecież chciała! Dumont był odpowiedzialny za krzywdy, jakich doznała jej przyjaciółka. Torturował ją. Pragnęła zobaczyć jego rozdziawione usta, twarz zastygłą w agonii, puste, martwe spojrzenie, połamane kości i krew wylewającą się z ran. Chciała zobaczyć, jak dostaje wszystko, na co zasłużył.

*Nie, Lacey. Jego zasługi i twoje patrzenie na jego karę to dwie różne sprawy. Nauczyłaś się tego w przypadku Jeba. Nie musisz zobaczyć jego pękniętej czaszki, martwych, wytrzeszczonych oczu ani przestrzelonych kości ręki wystających w miejscu dłoni jak*

*oberwane gałęzie.*

Lacey przycisnęła dłoń do ust i zamknęła na moment oczy, kiedy Głos kończył malować w jej głowie swój brutalny obrazek. Kiedy je ponownie otworzyła, ujrzała, że Skaut przygląda się podłodze, oświetlając latarką okolice ich stóp.

Na widok strug krwi przełknęła ślinę. Część była jego, ale większość nie. Krople, plamy i smugi. Jakby ktoś zamoczył pędzel w kadzi pełnej juchy i przeszedł z nim nad wyłożoną płytkami podłogą. Ten widok coś w niej odblokował – niemal usłyszała, jak rozplątuje się jej w głowie jakiś supełek – i zalały ją strach i przerażenie. Tak wiele krwi. Przez ostatnie cztery dni widziała jej całe baseny. Może i jezioro. Najpierw rodzeństwo w motelu, następnie Jeb postrzelił Skauta, wreszcie sam wykrwawił się na śmierć, potem Lou oberwał kulą w klatkę piersiową i teraz znowu u jej stóp krew, która albo towarzyszyła jej wędrowce, albo już na nią czekała. Zostawiała po sobie czerwone ślady, dokądkolwiek się wybrała.

Jej dłoń powędrowała do świętego Krzysztofa i mocno ścisnęła medalik.

– Mieliliśmy nie hałasować – wyszeptała, nie potrafiąc oderwać oczu od szczególnie ciemnego odcienia wirującej okrutnej czerwieni. – I nie strzelać.

– Plany się zmieniły – odpowiedział Skaut. – Chodźmy.

Spojrzała na niego otępiąłym wzrokiem.

– Ale cały jesteś we krwi.

Beznamiętnie przyjrzał się bałaganowi.

– To nie moja – odrzekł.

Coś błyszczało w jego ramieniu i nie myśląc wiele, puściła świętego Krzysztofa, złączyła kciuk i palec wskazujący i spróbowała wyciągnąć z niego kawałek chłodnego szkła. Łatwo wysunął się z jego ciała, prawie jakby wyjmowała zęby widelca ze steku. Krew podeszła pod materiał jego kurtki i dziewczyna poczuła gorąco od szyi aż po włosy.

– A jednak część jest twoja – wyszeptała do niego, wypuszczając

błyszczący odłamek ze zdrewniałych palców. Prawie nie słyszała, jak uderzył w podłogę.

Spuścił wzrok i przez chwilę nasłuchiwał, po czym wrócił do przeszukiwania piętra. Nie rozmawiali więcej. Wyszedł z holu niczym łowca tropiący zranioną ofiarę.

Została sama, wpatrywała się w zamknięte drzwi Salonu Gwiazd. Światło latarki powoli słabło, w miarę jak Skaut się od niej odsuwał. Wkrótce drzwi spowije zupełna ciemność, a z nimi przepadnie również to, co w środku, cała ta krew i śmierć wyglądające niczym straszliwy bankiet, na który ktoś tylko czeka. Złe stworzenia żywią się podczas takich krwawych uczt, prawda? Jeżeli wsłucha się, to czy przypadkiem nie usłyszy stamtąd mlaskania towarzyszącego jedzeniu?

*Chodźmy, Lacey* – powiedział Głos, przerywając jej rozmyślania.

– Lacey! – jednocześnie krzyknął Skaut.

Pospiesznie odbiegła od drzwi. Strach przyspieszył jej tętno, kiedy próbowała go dogonić. Wyszła za Skautem przez drzwi awaryjne na klatkę schodową. Po zatrzaśnięciu się drzwi nastrój uległ zmianie. Zrobiło się zimno, prawie mroźnie, a wszechobecny zapach krwi zniknął, jakby uniosła się mgła. Lacey odetchnęła głęboko. Raz, dwa, trzy razy. Szare cementowe stopnie prowadziły na dół w ciemność. Lacey widziała, jak strużki krwi spływają po stopniach, czarne jak smoła. Zadrzała.

Schodzili, a ich kroki rozbrzmiewały głuchym echem. Lacey nie mogła się powstrzymać, by nie położyć ręki na niezranionym ramieniu Skauta. Wmawiała sobie, że ma ją po prostu prowadzić, bo jasne światło latarki niedostatecznie oświetla jej kolejne kroki. Ale to nie był prawdziwy powód. Nie był nawet zbyt dobry.

## Rozdział 8

Po przeładowaniu obrzyna Pielgrzym przez cztery sekundy trzymał klamkę drzwi do holu na pierwszym piętrze. Wiedział, że nie jest w stanie czuć zmiany nastroju nieożywionego obiektu, że przecież niemożliwe jest, by ocenił, jakie nastroje panują po drugiej stronie drzwi, a jednak z ręką na gałce próbował to zrobić. Co innego mu pozostało? Czas im się kończył. Mówiąc ściśle, Alex czas się kończył. I nieważne, jakie pytania chciał jej zadać doktor, na pewno nie miała dla niego odpowiedzi, których oczekiwał.

*Idź.*

Otworzył drzwi i lekko uniósł strzelbę, a światło latarki rozdzierało mrok. Hol i schody ruchome były puste. Sprawdził piętro, znalazł ślad i niczym pies myśliwski rzucił się za nim w korytarz, który, jak wiedział, prowadził do jadalni.

*Nie możesz tam wejść. Jest ich za dużo.*

Nawet przy martwym Dumoncie, zamkniętym Posym i dwóch mężczyznach na warcie między nimi a Alex mogła się znajdować dwudziestka kobiet i mężczyzn. Tylu nie dadzą rady.

– Zamknął mnie w chłodni – szepnęła cicho Lacey. – Pamiętasz, jak ci o tym mówiłam?

Strefy dla obsługi i pracowników hotelu i kasyna nie zostały oznaczone na mapie, ale wiedział, że kuchnie muszą być przestronne, żeby obsłużyć liczne jadalnie, które mieściły się w holu bufetowym. Mógł mieć tylko nadzieję, że dotrą do kuchni niezauważeni.

– Miej uszy i oczy otwarte – powiedział jej.

Wciąż podążali tropem krwi. Szli wolniej, był teraz ostrożniejszy.



Próbował coś usłyszeć. Podeszli do trzeciego narożnika i do ich uszu dobiegło ciche, dalekie brzęczenie, które po chwili przeszło w kilka głosów mówiących jednocześnie. Pielgrzym wiedział, że kuchnie i kafejki splądrowano w pierwszej kolejności. Składy z jedzeniem miały najwyższy priorytet. Kiedy już ci ludzie zostawili puste kuchnie i magazyny, przenieśli swoje skradzione zapasy i cieszyli się znaleźskami. Nowe głosy potwierdzały tę tezę – wszystkie brzmiały radośnie, jowialnie, ludzie krzyczeli i wybuchali śmiechem.

Nikt nie słyszał strzałów piętro wyżej.

Pielgrzym wyłączył latarkę, gdy słaby, blady blask oświetlił korytarz przed nimi. Źródło światła pochodziło z za zakrętu. Głosy przybierały na sile i Pielgrzym zgadywał, że musi być przynajmniej siedmioro, ośmioro ludzi. Ostrożnie wyjrzał z za rogu i natychmiast się cofnął. Ostatnia część korytarza przechodziła w duży hol przypominający kantinę. Przez tę krótką chwilę zauważył siedmioro ludzi siedzących przy stołach znajdujących się blisko wejścia.

Wystrzał rozdarł powietrze i Pielgrzym się wzdrygnął, kucając tak szybko, że aż żołądek podjechał mu wyżej, ale tuż po nim nastąpił dziki wybuch śmiechu.

*Gry i zabawy.*

– Marnują amunicję – wymamrotał Pielgrzym.

*Zawsze to jedna kula mniej, która mogłaby polecieć w naszą stronę.*

Pielgrzym wiedział, że nie ma mowy o wejściu tam, o ile nie chcieli władować się na uzbrojonych ludzi. Musieli znaleźć inną drogę.

– Co z Posym? – niskim głosem zapytała Lacey. Dziewczyna drżała z napięcia i wyraźnie się niecierpliwiła, chciała odnaleźć Alex. Jej niepokój wzrastał, w miarę jak stali beczynnie. Doktor mógł już wziąć się do krojenia.

Pielgrzym od razu wiedział, że właśnie o to chodzi dziewczynie, i od razu odrzucił ten pomysł. Zbyt beczelny. Nigdy by im się to

nie udało.

*Jest mała szansa, że jednak by zadziałał.*

– Nie – powiedział cicho. – To niemożliwe.

Ale im dłużej o tym myślał, tym mniej wydawało się to szalone.

*Dlaczego tak twierdzisz? Przecież nigdy was jeszcze nie widział.*

– Widzieli dziewczynę – celnie zauważył Pielgrzym. – Rozpoznałiby ją.

Mówił do siebie, ale nie komentowała. Jakby zamknęła się w sobie. Zdawał sobie sprawę, jak wiele kosztuje ją, żeby nie spierać się z jego rozumowaniem. Zamiast tego po prostu się na niego gapiła. Zastanawiał się, czy to nie Głos doradza jej milczenie i czekanie.

Jeśli tak, działało.

– W porządku – powiedział Pielgrzym. – Spróbujmy.

Cofnęli się po śladach szybko, z prędkością zahaczającą o głupotę. Stołek nadal był ustawiony pod klamką schowka. Kiedy pociągnęli drzwi i otworzyli je na oścież, Posy odruchowo podciągnął kolana i jęknął.

Pielgrzym uprzedził Posy'ego, że strzeli mu w śledzoną, jeśli ten zepsuje ich kamuflaż. Dwóch mężczyzn szło korytarzem ramie w ramie i spokojnym krokiem weszło do sali jadalnej.

Podchodzenie do grupy nieprzewidywalnych nieznanym uzbrojonych w noże, tasaki i broń palną nie należało do przyjemności. Żadne z nich nie wyglądało na cywilizowanego człowieka, co nie było niespodzianką, biorąc pod uwagę świat, w jakim przyszło im żyć. Trójka siedząca twarzami w stronę wejścia – starsza kobieta i dwóch roślących, brodatych mężczyzn – dostrzegła ich pierwsza, a po chwili odwróciło się czworo pozostałych, do tej pory siedzących tyłem.

Kolejna grupa zebrała się wokół kilku stołów pod zachodnią ścianą. Tylko dwoje podniosło wzrok, kiedy weszli. Lacey powiedziała mu, że widziała czworo związanych ludzi, zanim odeszła z tamtego miejsca. Teraz było ich sześć. Jeden

z mężczyzn garbił się nad blatem stołu i nie zwrócił uwagi, kiedy kobieta szturchnęła go w ramię. Popatrzyła ciemnymi oczyma na Pielgrzyma. Brak zaufania, gniew, tłumiony strach – można w nich było zobaczyć to wszystko po kolei. Na siedzeniu obok starszy jeniec po pięćdziesiątce kręcił głową i mamrotał coś. Kobieta spuściła oczy i spojrzała w gniewie na związane ręce.

Stosunek mężczyzn do kobiet w grupie wynosił pięć do dwóch. Kobiety nie mogły długo przetrwać w tego typu miejscach, chyba że dorównywały siłą fizyczną mężczyznom albo miały do zaoferowania coś innego. Nad resztą się znęcano i zostawiano je krwawiące w piachu. Niektóre trzymano przy życiu na pewien czas, żeby je wielokrotnie wykorzystać. Tylko silne kobiety mogły przetrwać. Albo dość silne, by znieść taką sytuację.

Starsza, siwowłosa kobieta, której uroda dawno już wyblakła, obserwowała Pielgrzyma z ciekawością. Naprzeciw niej siedziała druga kobieta, młodsza, z czarnymi pozlepianymi włosami i ściągniętą blizną, która biegła od oka do kącika ust. Powieka jej przez to opadała, a wargę podwijała się nienaturalnie z jednej strony.

*Kto wie, czy to nie wyrzutki Dumonta – zasugerował głosik. – I ofiary doktora.*

Przy piersi trzymała niechlujne zawiniątko. Przez rozpiętą do pępka koszulę było widać całą lewą połowę jej klatki piersiowej. Małe dziecko ssało ciemny sutek. Noworodek miał nie więcej niż kilka tygodni i posapywał delikatnie podczas karmienia. Tuż obok kobiety siedział mężczyzna. Miał pociągłe rysy twarzy i nieufne spojrzenie, którym obrzucił Pielgrzyma, gdy ten szedł z Posym. Pielgrzym doszedł do wniosku, że kobieta i dziecko są jego własnością, której strzegł jak oka w głowie.

Reszta mężczyzn grupy wyglądała podobnie – cechowały ich brody i skrywana pierwotna zła energia. Wyróżniał się tylko gość z ogoloną głową. Miał długą, szczeciniastą brodę, ale czaszkę golił do gołej skóry, tak że można było na niej zobaczyć srebrne linie licznych blizn i tatuaż domowej roboty zrobiony za prawym uchem

– cienką czarną spiralę. Trzymał w ręku duży nóż myśliwski i z nieobecnym spojrzeniem wbijał go w stół, wyciągał i wbijał ponownie. *Lup, trzask, łup*. Nie patrzył na ostrze, kiedy tak się bawił, tylko na Pielgrzyma.

– Hej, Posy. Co to za elegancik?

Posy nie spojrzał nawet na starą kobietę, która wyjątkowo podejrzliwie obserwowała Pielgrzyma, ale nikt inny najwyraźniej nie zwracał na to uwagi.

– Um, świeżak – wymamrotał Posy ze spuszczoną głową. – Ta. Jest nowy. Szef właśnie z nim skończył.

– Ach tak? Jak cię zwa, słodziutki? Masz jakąś kobietę? – spytała starucha.

– Na litość boską, Dolores, zostaw gościa w spokoju – odezwał się mężczyzna o pociągłej twarzy. – Dlaczego zawsze zachowujesz się jak wywłoka?

– Pierdol się, Frank! – Starucha rzuciła w niego otwartą puszką napoju, ta walnęła go w czoło i zalała mu twarz fontanną płynu. Podskoczył ze swojego miejsca, krzeselko upadło na podłogę, a Frank wyrzucił z siebie szereg obelg pod adresem kobiety. Jak na swoje lata (choć Pielgrzym podejrzewał, że nie jest tak stara, jak sugerowały jej zmarszczki) dysponowała imponująco rozległym repertuarem przekleństw. Młodsza kobieta o pozlepianych włosach jedną ręką trzymała dziecko, natomiast drugą usiłowała zetrzeć napój z koszuli Franka. Za swoją fatygę dostała w twarz i bardzo szybko usiadła z powrotem, pochylając głowę ze skruchą. Mężczyzna z nieco czystsza brodą splecioną w warkocze zaśmiał się, podniósł puszkę i rzucił ją wysokim łukiem w stronę stołu jeńców. Z hukiem uderzyła w ścianę i cola rozlała się dookoła, oblewając przy tym twarz ciemnookiej kobiety. Ta obróciła głowę i zamknęła oczy, i tyle. Starszy mężczyzna gniewnie zrzucił puszkę ze stołu i spojrzał na nich. Wylądowała na podłodze, a resztki coli popłynęły na linoleum. Mężczyzna z zaplecioną brodą śmiał się w dalszym ciągu.

Odwracało to od nich uwagę, dzięki czemu Pielgrzym i Posy

przedostali się przez zajęte stoliki i byli już prawie bezpieczni, kiedy usłyszeli kolejny głos.

– Co jest grane, Posy?

Posy zatrzymał się, a Pielgrzym zacisnął zęby i zmusił się, by stanąć obok niego. To ten krótko ogolony. Wyciągnął nóż ze stołu i trzymał go teraz nonszalancko w dłoni.

– Hm, pokażę mu kuchnię, Pike. To wszystko.

– Po co? Przecież tam nic nie ma. Przejrzelismy ją do czysta.

Posy nie odpowiedział. Wyglądało na to, że nie wymyśli dość szybko odpowiedniego kłamstwa.

– Chciał mi pokazać tę sporą chłodnię – odpowiedział Pielgrzym.

– Twierdził, że to dobre miejsce na zamykanie świeżego mięsa.

Upewnił się, że wzmianka o świeżym mięsie zabrzmiała w odpowiedni sposób, po czym szturchnął rzekomo nieprzytomną dziewczynę przerzuconą przez ramię Posy'ego. Pielgrzym nie wiedział, jak przeprowadzić Alex z powrotem przez jadalnię bez wzbudzenia podejrzeń tych ludzi, dlatego musieli wziąć ze sobą Lacey.

Ogolony gość uśmiechnął się, a obleśne skrzywienie ust sugerowało, że zrozumiał aluzję. Wszystkie zęby, jakie mu pozostały, były brązowe i pokruszone.

– Świeże mięsko, co? Powiesz nam o nim coś więcej?

– Jest młode. Bardzo delikatne. – Wiedział, że Lacey słucha każdego słowa, ale mimo to trwała bez ruchu. Była bezwładna i ledwie można było dostrzec, jak jej plecy unoszą się przy oddychaniu. – Stawiała niezły opór. – Wskazał swoją zakrwawioną koszulę, żeby podkreślić własne słowa.

– Jesteś pewien, że musimy ją od razu zamykać?

Pielgrzym rozumiał, o co pyta mężczyzna. Może najpierw rzucić na nią okiem? Dotknąć tu i ówdzie?

– Wasz szef chciał, żeby ją zamknąć całą i zdrową. Ja tylko wypełniam polecenia.

Ogolony odpychająco zarżał.

– Łapię, o co biega, szef już ją sobie zaklepał, co? To nic. Będzie

jeszcze okazja, żeby skubnąć jej kawałek. – Dźgnął nożem w ich stronę. – Idź i pokaż mu chłodnię, Posy. Niech sobie nie myśli, że jesteśmy jacyś niegościnni czy coś.

Posy pokiwał nerwowo głową, obrócił się i poprowadził Pielgrzyma przez wahadłowe drzwi do kuchni.

– Uważajcie tam na doktora – rzucił w ich stronę ogolony. – Przed chwilą przechodził ze swoim kawałkiem mięsa. Swoją drogą nie wyglądało mi ono na zbyt świeże.

Ludzie przy stołach wybuchli śmiechem.

## Rozdział 9

Kiedy tylko dotarli do kuchni, Posy schylił się i postawił dziewczynę na podłodze. Pielgrzym podał jej karabin i oboje włączyli latarki. Wszystko w milczeniu. Pielgrzym skinął na Posy'ego, nakazując mu prowadzić, i ruszyli gęsiego – Posy, Pielgrzym, Lacey. Minęli blaty ze stali nierdzewnej i ustawione centralnie ławki, podwieszane rondle i bemały, przeszli wzdłuż rzędu sześciopalnikowych kuchenek, trzech pieców na pizzę i kilku przemysłowych zmywarek, nad którymi umieszczono trzy zlewy. Za nimi były dwa magazyny. W jednym składowano zapasy, a drugi służył jako chłodnia. Prowadzące do niego dziesięciocentymetrowej grubości stalowe drzwi były teraz otwarte, a dochodzące ze środka światło wydostawało się na zewnątrz, znacząc podłogę.

Dobiegł ich dziwny syczący hałas, niczym krótkie i ostre wypuszczenie sprężonego gazu, rwane *sszzzzt*, które skończyło się tak szybko, jak zaczęło. Potem jeszcze jedno. Następnie trzecie i czwarte.

Posy zamarł w bezruchu i Pielgrzym stuknął go lufą, by zachęcić do pójścia naprzód. Ze środka chłodni usłyszeli niskie, metaliczne kliknięcia, coś jakby szczęknięcie żelaznych kajdan. Posy stanął w przejściu. Mężczyzna nie wydał z siebie żadnego dźwięku, ale Pielgrzym widział, jak sztywnieje.

– Posy. – Głos był cichy i uważny, jak gdyby jego właściciel był właśnie w trakcie układania kwiatów albo szydełkowania, a nie przesłuchiwania i tortur.

– Doktorze – wyszeptał Posy.

– Czego chcesz? Jestem zajęty.

– Ja-jakiś truposz ciebie szuka.

Pielgrzym odepchnął Posy'ego, by przejść. Zawartość chłodni zmroziła go do szpiku kości, a zmysły wycofały się jak nagle oświetlone cienie. Wzdrygnęło nim i utkwił spojrzenie po drugiej stronie tej małej przestrzeni, w mężczyźnie noszącym melonik.

Pielgrzym zobaczył siebie oczyma doktora. Stał w przejściu i trzymał w rękach obrzyn. Umysł raz jeszcze zadziałał jak pijany, kiedy spróbował pojąć, że widzi właśnie siebie cudzymi oczami. Inna, mniejsza część jego świadomości nadal tkwiła w jego ciele, obserwując doktora i rozumiejąc, że znajduje się teraz wewnątrz tego mężczyzny tylko przelotnie, jak autostopowicz. Umysł wyteżył się z wysiłku, a podwójna świadomość podzieliła jego istotę, wysyłając go jednocześnie w dwie strony. Huśtał się nad przepaścią między dwoma odrębnymi miejscami, wreszcie stanął i określił się po jednej ze stron.

Z wnętrza doktora obserwował własną pozbawioną wyrazu twarz, pełen wstrętu szok we własnych oczach – nawet w tym lewym, zmasakrowanym, gdzie krwista czerwień okalała jego tęczęwkę.

*Widzę cię, Agur* – nieznana obecność wyszeptała do niego z ciemnego zakamarka umysłu.

Nie, nie jego umysłu. Umysłu doktora.

Pielgrzym poczuł się, jakby był gdzieś, gdzie nie powinien. Przez chwilę próbował się uwolnić i wrócić na swoje miejsce, ale szpony szybko go przytrzymały, wpiły się głębiej i nie chciały puścić.

*Widzę cię, Agur* – wyszeptała znowu ta obca mu istota. – *Ja. Widzę. Ciebie. Co ty tam robisz? Jak się tam znalazłeś?*

Dzięki ogromnemu wysiłkowi psychicznemu Pielgrzymowi udało się uwolnić, a podzielona część jego umysłu wystrzeliła z powrotem na drugą stronę niewielkiej przestrzeni, cofając się. Zrobiło mu się niedobrze, kiedy znalazł się z powrotem wewnątrz swojego ciała. Poczul silny skurcz w żołądku, lewe kolano prawie się pod nim ugięło. Ciężko oddychał, wciągając opar przelanej krwi.



Odwzajemniał spojrzenie mężczyzny w meloniku, ale na doktora ta sytuacja wyraźnie nie wpłynęła.

Co to było? – zastanawiał się roztrzęsiony Pielgrzym.

*Głos* – usłyszał odpowiedź głosu, do którego powoli przywykał. – *To był Inny. Ten człowiek to tylko marionetka.*

Pielgrzym cieszył się, że znowu słyszy ten głos. Jego obecność była dziwaczna, ale znajoma. Przyzwyczajał się do niej, podobnie jak wcześniej do Głosu. Nie chciał już nigdy usłyszeć okropnego syku tej nieznannej obecności, która szeptała do niego z wnętrza umysłu doktora. Jego oczy prześlizgnęły się na Lacey i poczuł strach. Tamten wyczuł Pielgrzyma bezzwłocznie, który był jak intruz na cudzym terenie. Czy z taką samą łatwością mógł wyczuć Głos i sposób, w jaki ów znalazł się w dziewczynie?

*Nie wydaje mi się* – odpowiedział jego głos. – *Jeszcze nie. Powinna być ostrożna.*

Ostrzeżenie wybrzmiało z powagą w jego umyśle i poczuł kolejny dreszcz niepokoju, ale trzymał na wodzach swoje krążące myśli. Wszystko wisiało teraz na włosku. Nie, nie wszystko.

W pewnym sensie scena przed jego oczyma przypominała mu chwilę, gdy po raz pierwszy znalazł Alex. Wisiała wtedy pod prysznicem w motelu. Wtedy jednak zajmowała się nią dwójka amatorów, natomiast to było dzieło eksperta. Alex była rozebrana do naga i podwieszono ją za nadgarstki – całe szczęście, bo sam akt związania dłoni i zawieszenia ludzkiego ciała na haku na mięso, który zwisał z sufitu, musiał być czasochłonny i pewnie tylko dlatego nie została jeszcze pocięta na kawałki. Każdy centymetr jej ciała był pokryty ciemną, zakrzepłą krwią, jak gdyby ktoś wylał jej na głowę wiadro juchy. Ani fragment jej skóry nie pozostał czysty. Świeża krew wciąż wylewała się z głębokich nacięć na piersiach i bokach jej ciała.

Wisiała bezwładnie, cała masa spoczywała teraz na zmasakrowanych nadgarstkach. Nawet bolesny skowyt Lacey nie wyciągnął z kobiety żadnej reakcji.

*Zjawiliście się za późno. Już nie żyje.*

Ale to nie była prawda. Pielgrzym zwrócił uwagę na płytkie oddechy, które unosiły jej klatkę piersiową, i szybko poruszającą się skórę w okolicach mostka, ślad pulsu.

Mężczyzna, którego zwali doktorem, stał za Alex i trzymał długi skórzany pas. Pielgrzym nie musiał przyglądać się plamom krwi na jego dłoni, ramieniu i twarzy, by wiedzieć, że właśnie tego używał do batożenia kobiety. Nie licząc skózanego paska, mężczyzna był bezbronny. Bystre, zielone oczy doktora wbiły się w Pielgrzym niczym rozgrzany nóż w kostkę masła.

Zdał sobie sprawę, że się trzęsie, jak gdyby chłodnia była włączona. Tak jednak nie było. W pokoju było ciepło.

– Odsuń się od niej – szepnął Pielgrzym.

Mężczyzna nie odpowiedział. Po prostu zwinął skórzany pasek.

– Odsuń się – powtórzył.

Gwałtowność reakcji była zatrważająca. Ramię doktora wystrzeliło, a skórzany pasek przeciął powietrze i smagnął plecy Alex. Zobaczyli krwistą mgiełkę. Światło ściemniało na moment.

Lacey krzyknęła, jakby to ona oberwała. Podniosła karabin i wycelowała w mężczyznę w meloniku.

– Przestań. – Głos jej się łamał.

Doktor popatrzył spokojnie na dziewczynę i powoli nawinął czerwony, ociekający krwią pasek z powrotem na dłoń.

– Cześć, Lacey.

– Co jest z tobą nie tak? – wyszeptała.

– Nie tak? Wszystko ze mną w porządku. Cieszę się, że wróciłaś. Chcieliśmy z tobą porozmawiać.

– Proszę, po prostu oddaj mi przyjaciółkę.

Pielgrzym słyszał, jak mocno drży jej głos. I rozumiał, dlaczego tak jest. Z tym człowiekiem było coś bardzo nie tak. Był niebezpieczny. Jeszcze bardziej niż Dumont.

– Nie czujesz tego? – powiedział mężczyzna, unosząc dłoń. – Świat się zmienił. One tutaj już zostaną i nikt nie może ich powstrzymać. Chowają się w nas jak zbłąkane, śpiące psy.

– Nie – odrzekła cicho. – Nie, mylisz się.

Doktor się uśmiechnął.

– Nie mylę się. Sama słyszysz. Wiem, że tak. A wnosząc po twojej rozmowie z tym głosem po tym, jak złożyliśmy ci wizytę z Jebediahem, dobrze się rozwinął. To mnie martwi. Jesteś taka młoda, dużo młodsza niż Red. Jak to możliwe, żeby w tak młodej osobie żył tak dojrzały głos?

Czy te słowa pochodziły od mężczyzny, który je wypowiadał, czy może podpowiadał mu je ten drugi, który mieszkał wewnątrz? Nie miało to znaczenia. Pielgrzym zaczynał widzieć wszystko wyraźnie. Był uwięziony wewnątrz samochodu, gdy tymczasem na zewnątrz jest urwanie chmury, wszystkie okna zasnuwają gęste strugi deszczu, ale odnalazł wreszcie wycieraczki, które pracują teraz ze zdwojoną siłą. Cała ta grupa aktywnie poszerza swoje szeregi, rośnie w siłę, a w innych częściach kraju podobne grupy bez wątpienia działają podobnie. Każda z nich zachęca – siłą czy w inny sposób – wszystkich słyszających głosy, by zasilili ich szeregi. Wszystko służyło jednemu celowi – przygotowywali się na wojnę. Wszyscy ludzie – niezależnie od tego, czy słyszeli głosy, czy nie – musieli teraz walczyć o swoje miejsce na świecie. Dziki Człowiek gromadził niedobitków, następnie sprawdzał ich pod kątem obecności głosów i zostawiał przy sobie tych wybrańców, podczas gdy reszcie pozwalał przepaść. Zbliżał się dzień bitwy, w której oprócz niego udział wezmą po obydwu stronach nie jacyś bezimienni żołnierze, lecz wszyscy ludzie. Młodzi, starzy, mężczyźni, kobiety. Wszyscy. Nawet Lacey.

Od samego początku wiedział, że dziewczyna jest wyjątkowa. Była niczym puste naczynie i czekała tylko, aż zamieszka w niej Głos. Wszystko wydarzyło się zgodnie z planem: strzał w głowę Pielgrzyma, jej wyjątkowa umiejętność przechowania głosu i siła tego konkretnego Głosu. Mieszanka idealna. A jeśli ten człowiek, a ściśle mówiąc, jeżeli głos mieszkający wewnątrz tego człowieka odkryje, że coś takiego jest możliwe, będzie to mieć katastrofalne konsekwencje przede wszystkim dla Lacey. Zrobiliby z niej szczura laboratoryjnego. Znęcaliby się nad nią, dopóki nie wyciągnęliby

z niej wszystkich informacji.

– Mamy dużo do przegadania – powiedział doktor.

– Ona z tobą nie porozmawia – odrzekł Pielgrzym. – Z nikim już nie pogadasz.

Doktor przekrzywił głowę, a jego zielone oczy błyszczały tak mocno, że przez chwilę wydawały się jakieś płaskie, nieludzkie.

– Jest w tobie więcej, niż wskazują na to pozory, prawda? Tworzycie razem intrygującą parę.

Pielgrzym wiedział, że ten mężczyzna nie posłucha rozsądku. Nie pasowało to do niego. Spokojne dłonie, sposób bycia, ta jego inność – wszystko wskazywało, że czegoś mu brakuje. Być może chodziło o ludzkie uczucia. Pielgrzym zastanawiał się, czy głośna szamotanina ściągnęłaby tutaj ludzi z sąsiedniego pokoju, chcących sprawdzić zajście. (Nie mógł zaryzykować strzału z obrzyna w niewielkim pomieszczeniu, zwłaszcza że doktor stał tak blisko Alex, iż mogła dostać grubym śrutem). Nie był również pewien, po której stronie stanąłby Posy, gdyby przyszło do walki. Szanse były pół na pół, ale Pielgrzym podejrzewał, że dłuższy związek z tymi ludźmi wpłynie na jego instynktowną reakcję, co nie pomogłoby ani Pielgrzymowi, ani dziewczynie.

*Jeśli naprawdę sądzisz, że rozwiążesz tę sprawę po cichu, to się okłamujesz.*

Nie, zupełnie nie to było jego zamiarem.

*Poza tym słabniesz. Czuję to. Nie jesteś już w stanie z nikim walczyć.*

Napiął dłoń i spróbował opanować jej drżenie. Nie spuszczał zdrowego oka z mężczyzny w meloniku. Lacey stała po jego lewej stronie, stronie uszkodzonego oka. Wiedział jedynie, że tam stoi, słyszał bowiem jej oddech i widział długą, wąską lufę karabinu, wycelowaną teraz w doktora.

Pielgrzym przerwał milczenie.

– Dumont też już raczej z nikim nie pogada.

Doktor znieruchomiał, momentalnie zapominając o skórzanym pasku w dłoni.

*Trafieś w czuły punkt.*

– Tak naprawdę już nigdy nie będzie miał okazji do rozmowy. Nawet z głosem w swojej głowie.

Słyszał było teraz jedynie kapanie krwi Alex na podłogę i oddech wszystkich zebranych. Posy osunął się pod ścianą i stamtąd ich obserwował. Pielgrzym podejrzewał, że musiał czuć spojrzenie Lacey. Nie spoczywało ono jednak na nim. Przez muszkę i szczerbinę karabinu patrzyła na mężczyznę krzywdzącego jej przyjaciółkę.

– On nie słyszy głosu – wymamrotał doktor. – Nigdy nie słyszał. – Zacisnął szczęki na ułamek sekundy. – Co mu zrobiliście?

Dotąd Pielgrzym nie był do końca pewny, czy jego rozmówca jest zdolny do głębszych uczuć, ale teraz, kiedy jego głowa powoli opuszczała się i melonik rzucił cień na szmaragdowe oczy, pomyślał, że być może jest w nim coś więcej niż tylko chłód i opanowanie.

*Zawsze jest coś więcej. Wystarczy poszukać.*

– Och, ja nic nie zrobiłem – odpowiedział Pielgrzym. – Za to ta ostatnia tafla szkła, która wbiła się w jego czaszkę, zrobiła sporo.

Po tych słowach tama cicho pękła. Mężczyzna nie wzdrygnął się ani nie wydał z siebie żadnego dźwięku, ale powoli, ruchami niemal ociężałymi, pokręcił głową.

– Nie zrobię tego – powiedział cicho doktor. Pokręcił głową energiczniej. – Wykluczone.

– Jego mózg zdobi tam teraz ściany – dodał Pielgrzym.

– Nie!

W cieniu pod krawędzią melonika coś się pojawiło i zasłona opadła. Istota wewnątrz niego była krwiożerczym zwierzęciem. Nie atakowało bezpośrednio, czego spodziewał się Pielgrzym, ale w nieoczekiwanym przypiływie przemocy skierowanym w stronę Alex.

Doktor wydał z siebie rozdzierający ryk, przez który włosy na karku Pielgrzyma stanęły dęba, a szczęki się zacisnęły. Następnie zaatakował Alex dzikim gradem ciosów, skórzany pas uderzał

z szaleńczą energią. Syczał i trzeszczał, a jej ciało pękało przy każdym uderzeniu. Prawie jakby doktor wiedział, jak najłatwiej ich zranić. Chłostana Alex obudziła się z bólu, a jej oczy rozszerzyły się maksymalnie. Lacey zaczęła krzyczeć.

Padł strzał, na tyle głośny, że kości w głowie Pielgrzyma zawibrowały boleśnie. Pochylił się do przodu i już próbował sięgnąć ręki mężczyzny, którym w tym momencie szarpnęło w tył, a nad jego prawą brwią pojawiła się dziura.

– Nie w głowę! – krzyknął Pielgrzym, ale było już za późno. Jak po odkręceniu jakiegoś zaworu z rany popłynęła krew i zalała twarz doktora, zakrywając oko. Melonik spadł i potoczył się gdzieś na bok. Doktor wydawał się nie zauważać utraty kapelusza i nie próbował zatamować krwawienia z głowy. Opuszczone ręce drżały mu spazmatycznie, pasek wypadł z dłoni, a jego koniec zwinął się na stopie mężczyzny niczym wąż. Podczas gdy jego prawe oko zalewała krew, a tęczęwka tonęła w morzu czerwieni, drugie oko ślepo wpatrywało się w stojącą za Pielgrzymem dziewczynę.

Ona również mierzyła go wzrokiem. Małeńka struga dymu unosiła się z lufy, podczas gdy dziewczyna w milczeniu przyglądała się krwawiącemu mężczyźnie.

*Przelała krew po raz pierwszy.*

W uszach Pielgrzyma słowa te zabrzmiały jak omen, zapowiedź przyszłych wydarzeń.

Bolesne zawrośnięcie Alex przebiło się przez dzwonienie w jego uszach. Ocknął się, po czym oderwał oczy od zasnutej mgiełką lufy karabinu. Nie zawracał sobie głowy patrzeniem, jak śmiertelnie raniony mężczyzna osuwa się na podłogę, tylko poszedł w stronę Posy'ego, postawił go na nogi i wydał kilka rozkazów, patrząc prosto w oczy przerażonego mężczyzny. Następnie Pielgrzym podszedł do dziewczyny.

– Hej, hej, hej – wyszeptał, odkładając na bok obrzyn, żeby objąć dłońmi jej twarz. – Hej, wszystko w porządku. Popatrz na mnie. – Powtórzył jej imię trzykrotnie, zanim oderwała spojrzenie od umierającego człowieka i zwróciła uwagę na niego.

Patrzył intensywnie w jej oczy, desperacko szukając w nich reakcji. Czy w ogóle zdołałaby poznać, gdyby kolejny głos wdarł się jej do głowy? Głos na pewno by o tym wiedział. Pielgrzym nigdy nie słyszał o kimś, kogo zamieszkiwał więcej niż jeden głos, ale nie słyszał również o tym, by głosy mogły przeskakiwać pomiędzy ludźmi.

W jej oczach nie było nic prócz tępego bólu. Delikatnie przesunął kciukami po jej rozgrzanym czole w geście oczyszczenia. Chciał wymazać wszystko, co dziewczyna właśnie widziała i zrobiła. Powiedział, że potrzebuje jej teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej i że musi być silna, bo sam sobie nie poradzi. Wolno kiwnęła głową, będąc nadal w szoku, ale powoli zdawała się odzyskiwać świadomość.

– Pomóż Alex – powiedział i zostawił ją tam, modląc się do Boga, żeby zrobiła to, o co ją poprosił.

Na dalekim końcu kuchni ogolony facet otwierał właśnie wahadłowe drzwi.

– Co się, do kurwy nędzy, dzieje?

Głos Pielgrzyma był spokojny, kiedy szedł w stronę mężczyzny.

– Mały problem z kobietą. Już po wszystkim.

Ogolony spojrzał za Pielgrzyma w stronę chłodni.

– A gdzie doktor?

– W środku. Powinieneś zobaczyć, co z nią zrobił. Jezu, człowieku. – Pielgrzym zaśmiał się z udawanym podziwem. – Gość jest naprawdę pokrecony.

Obaj zwolnili, zbliżając się do siebie pośrodku kuchni, z jednej strony wisiały w rzędzie patelnie, a z drugiej stały kuchnie. Ogolony trzymał nóż w silnym uścisku. Pielgrzym słyszał płaczące dziecko i dyskusję dobiegającą z pokoju obok.

Mężczyzna z ogoloną głową przytaknął, unosząc przy tym w półuśmiechu lewy kącik schowanych za brodą ust.

– Taaak. Z nim lepiej nie zadzierać, bo przerobi cię na...

Pielgrzym chwycił go za bok ogolonej głowy i uderzył nią o jedną

z kuchenek. Rozległo się głębokie, dźwięczne łupnięcie i mężczyzna osunął się na kolano. Nóż uderzył o płytki. Pielgrzym poprawił chwyt na głowie mężczyzny i okrutnie, z całej siły kopnął go w twarz kolanem. Ciało osunęło się na podłogę.

Pielgrzym szybko spojrzął za siebie i zauważył Posy'ego wychodzącego z chłodni. Chłopak ruchy miał niepewne, a spojrzenie przerażone. Komicznie znieruchomiał na widok Pielgrzyma, kolana się pod nim ugięły, rozłożył ramiona jak podczas spaceru po linie, ale zanim Pielgrzym zrobił jakikolwiek ruch w jego stronę, Posy zeszywniał, jakby mu ktoś przywalił elektrycznym pastuchem i ruszył niezdarnym truchtem wśród zlewów i stosów tac, po czym zniknął za ścianką działową z tyłu kuchni.

Pielgrzym puścił go wolno. Głosy dobiegające z sali jadalnej przybrały na sile.

– Lepiej do tego przywyknij, psie. Czeka cię już tylko obóz dla rekrutów wraz z resztą czubków.

Ostry dźwięk kobiecego płaczu sygnalizował kolejny etap gniewnych okrzyków i coś – krzesło albo samą kobietę – rzucono z hałasem na podłogę. Płacz dziecka urósł do rozmiarów wyjącego sztormu.

Pielgrzym podniósł nóż łysielca i pobiegł z powrotem do chłodni.

Alex odcięto. Lacey klęczała obok niej. Kobieta spoczywała na kolanach, zgięta wpół bujała się w tył i w przód. Powietrze ze świstem przedostawało się między jej zębami, kiedy próbowała znieść ból.

Pielgrzym spojrzął na nią i nie był pewien, jak daleko da radę ją zanieść. Szybko słabnął, no i noga mu szwankowała. Ściągnął z siebie kurtkę i narzucił Alex na ramiona, zakrywając jej nagość. Wiedział, że później będzie musiał odrywać ją od ran.

Kucnął przed nią i chwycił ją mocno za podbródek, by przyjrzeć się pełnym bólu oczom.

– Pielgrzym... – syknęła Lacey zdumiona jego okrucieństwem.



Nie zwrócił na nią uwagi.

– Rozumiesz, co mówię? – spytał Alex.

Spojrzenie miała zamglone.

Uderzył ją w twarz. Mocno.

Popatrzył na Lacey przepaszająco, kiedy chwyciła go za nadgarstek. Dziewczyna spochmurniała, ale puściła go niechętnie.

Odwrócił się z powrotem do Alex, która utkwiała w nim swoje oczy.

– Ty nie żyjesz – wyszeptała.

– Bez przerwy ktoś mi to powtarza.

Alex skrzywiła się z bólu, po czym jęknęła i próbowała zwinąć się w kłębek, ale nie pozwolił na to mocny uchwyt Pielgrzyma.

*Czas, czas, czas...* – przypomniał mu głos w głowie.

– Alex, czy oni cię złamali? Jeżeli nic z ciebie nie zostało, to równie dobrze możemy cię tutaj zostawić, bo zginiemy przez ciebie. Lacey zginie.

Alex ponownie otworzyła oczy i tym razem, kiedy na niego spojrzała, za wykrzywiającym rysy bólem dostrzegł błysk czegoś więcej. Jeszcze nie udało im się zagarnąć wszystkiego.

Pielgrzym skinął głową i złagodził uścisk.

– Musisz wstać. W tej chwili. Nadchodzą.

Puścił jej twarz i chwycił ją za śliskie od krwi ramię. Stękała, jęczała i nie mogła w pełni się wyprostować. W końcu stanęła przygarbiona. Lacey pomogła jej włożyć kurtkę Pielgrzyma, zapięła ją i zarzuciła sobie na ramię rękę kobiety.

Pielgrzym podniósł strzelbę i poszedł w stronę drzwi. W kuchni było ciemno i cicho. Przywołał dziewczyny machnięciem i wszedł do pomieszczenia z bronią gotową do strzału. Posy musiał wiedzieć, że da się stąd wyjść inną drogą, i Pielgrzym znalazł ją w rogu na tyłach. Znajdowała się za ogromnym stosem tac na posiłki i nieużywaną windą towarową. Przytrzymał drzwi dla Lacey i Alex i wtedy w drugim końcu kuchni pojawił się Frank.

Zobaczyli się nawzajem.

Oczy Franka zarejestrowały, że mężczyzna z ogoloną głową leży

nieprzytomny na podłodze. Przeniósł spojrzenie ponownie na Pielgrzyma, uniósł broń i strzelił. Pielgrzym uchylił się, a kula uderzyła w ścianę blisko jego głowy. Zawibrowały garnki, patelnie i blaty ze stali szlachtetnej, a w całej kuchni wybrzmiał wysoki, melodyjny szum.

Pielgrzym nie chciał czekać, aż Frank strzeli jeszcze kilka razy, dlatego rzucił się ku wyjściu na pokryty chodnikiem korytarz, dużo szerszy niż ten, którym szli wcześniej. Przed nimi musiało być sporo okien, ponieważ księżyc jasno oświetlał teren. Wszystko wokół zalewała blada, nieziemska światłość, w której kolory dywanów i ścian utraciły swoją jaskrawość.

Pielgrzym, kulejąc i oglądając się przez ramię, ruszył za Lacey i Alex. Cały czas obawiał się, że Frank pojawi się z resztą ludzi z jadalni. Lacey zatrzymała się i pchnęła drugie drzwi. Było to wyjście pożarowe. Pielgrzym podszedł do nich od tyłu, przecisnął się i chwycił za drzwi, zanim zamknęły się na dobre.

Nie dał im czasu na odetchnięcie. Chwycił Alex za ramię i skierował ją w dół po betonowych schodach.

– Co z tymi ludźmi? – Lacey brakowało powietrza, szła obok niego. Trzymali Alex między sobą. – Nie możemy ich tak po prostu zostawić.

– Sami ledwie żyjemy – wydyszał, pochylając się nad poręczą. Próbował nie pomylić kroków. – Po prostu się nie zatrzymuj.

Spodziewał się, że spróbuje się z nim spierać, ale ten jeden raz zachowała swoje myśli dla siebie. Obrzyn ciążył mu w dłoni i chciał go wypuścić. Najchętniej pozbyłby się wszystkiego, co musiał nieść, dzięki czemu mogliby biec szybciej, wymknąć się niczym cienie w mroku i uciec prosto w noc, ale tempo Alex spadało. Z trudem oddychała, trzęsła się i prawie upadła kilka razy podczas tej krótkiej podróży dwa piętra w dół. Zimna woda gromadziła się na dole klatki schodowej i dziewczyny odetchnęły głośno, gdy sięgnęła im do pól łydki.

Pielgrzym podbiegł do drzwi prowadzących na zewnątrz, ale były zabezpieczone łańcuchem i kłódką. Zaklął z frustracji i Lacey

szepnęła, by dał spokój, sama z kolei zmagiała się z podobnie zabezpieczonymi drzwiami naprzeciwko. Przysunął się, by jej pomóc, i udało mu się pociągnąć drzwi na tyle mocno, że mogli się przecisnąć, dzięki czemu wrócili do hotelu-kasyna.

*Parking jest tuż obok.*

– Tak, parking – zgodził się Pielgrzym. Wiedział, że z Alex w obecnym stanie nie pobiegną ani szybko, ani daleko.

Dziewczyna popatrzyła na niego przez chwilę nieobecnym spojrzeniem, jakby słuchała. Po chwili jej twarz znowu nabrała wyrazu; syknęła:

– Oczywiście! Parking.

Usłyszał, jak na klatce schodowej poziom wyżej drzwi otwierają się z hukiem.

\*

Pielgrzym nie rozpoznał miejsca, w którym się znaleźli, i polegał na swoim wewnętrznym kompasie, który kazał mu kierować się na południe. Nigdzie nie było żadnych znaków. Zastały chemiczny zapach wiszący w powietrzu oznaczał zapewne, że wkroczyli na teren stanowiący część magazynu ekipy sprzątającej. Ruszyli przez otwarte drzwi jak najszybciej, ale spowalniała ich woda, w której brodzili. Pielgrzym zajrzał do pokoju przed nimi, było to pomieszczenie obsługi z szafkami na ubrania, przemoczonymi siedzeniami, aneksem kuchennym i niczym więcej. Szli dalej. Na końcu korytarza znajdowała się para ciężkich podwójnych drzwi. Pielgrzym brnął przed siebie, ale kiedy dotarł do drzwi, odkrył, że są zamknięte i nie chcą ustąpić. Po lewej stronie na ścianie był czytnik kart magnetycznych, ale bez elektryczności w budynku nijak nie da się ich otworzyć. Wrócił do dziewczyn, ciężko sapiąc, wyczerpany brodzeniem w wodzie. Lacey próbowała już wyważyć drzwi po swojej prawej stronie.

Skinęła głową w stronę nieczytelnego znaku przypiętego do ściany.

– Sklep z pamiątkami.

Usłyszeli głośne pluśnięcie, kiedy Frank wpadł przez wyjście awaryjne do korytarza, lądując na czworakach w wodzie.

– Ruchy.

Pielgrzym popchnął dziewczyny przez przejście – Alex krzyknęła, czując dotyk na pociętych plecach – następnie wszedł za nimi i rzucił się z powrotem na drzwi, żeby je zatrzasać. Frank wrzasnął i znowu usłyszeli, jak woda się przelewa. Nowe głosy dołączyły do Franka.

Lacey skierowała latarkę na metalowe półki, na których poustawiano pudła z towarami. Pomieszczenie wcześniej już przetrząsnęto, pudełka rozerwano i ich strzępy dryfowały wokół ich nóg, natomiast zawartość unosiła się dookoła. Były to między innymi przemoczone ręczniki z logo hotelu-kasyna wyhaftowanym w rogu, karty do gry pływające luzem, plastikowe żetony do pokera, części zestawu do golenia, wypchane pluszowe zabawki, magnesy na lodówkę, breloki i przypinki.

– Drugie drzwi, szybko. – Pielgrzym je wskazał i jego towarzyszki powędrowały chwiejnie przez składzik, podtrzymując się nawzajem. Mężczyzna rzucił obrzyn na półkę, a następnie chwycił najbliższy metalowy regał i szarpnął. Był ciężki, ale udało się go przesunąć. Pielgrzym napiął się, pociągnął mocniej, bok go przy tym zabolął niemiłosiernie, i z krzykiem pociągnął półkę na siebie, odskakując w ostatnim momencie. Regał przewrócił się z łoskotem, a fala wody obmyła uda mężczyzny i popchnęła go o krok.

Drzwi otworzyły się do środka, ale powstrzymał je przewrócony regał. Walili w nie i przeklinali, bo powstała szpara miała tylko piętnaście centymetrów.

Wiązanka obelg poleciała w jego stronę. Frank próbował precyzyjnie skierować swoje żylaste ciało. Pielgrzym sięgnął po obrzyn, który leżał na jednej z półek, i potknął się, kiedy Frank wepchnął gwałtownie rękę do pomieszczenia i otworzył ogień z pistoletu. Strzały rykoszetowały z brzękiem o metalowe półki. Pielgrzym poczuł ukłucie gorąca, kiedy kula minęła go o włos. Puścił broń

i upadł na ziemię, lodowata woda zmroziła mu twarz. Parskał i miotał się, na ślepo szukając dziewczyn.

Słyszał, jak ktoś go woła wysokim i przestraszonym głosem. Ruszył w tamtym kierunku. Jakieś dłonie chwyciły go za koszulę i wyciągnęły ze składziku. Pociski wbijały się w ściany i syczały w zimnej wodzie. Podniesiono go, prawie znowu się przewrócił, ale Lacey i Alex przytrzymały go.

– Straciłem obrzyn – wydyszał ciężko.

Lacey pokręciła głową w jego stronę. Włosy miała przyklepione do twarzy, a spojrzenie – dzikie.

– Gównu mnie to obchodzi.

Znajdowali się za ladą z kasą i musieli zmarnować kilka cennych sekund na jej obejście. Pielgrzym chwycił Alex, obejmując ją prawą ręką w pasie i zakładając jej rękę na swoje ramię. Lacey brnęła naprzód, trzymając oburącz karabin.

– Po p-p-prostu m-mnie zos-stawcie. – Jej głos rwał się tak bardzo, że ledwo rozumieli, co do nich mówi. – T-t-tylko w-was spowalniam.

– Cicho – powiedział Pielgrzym. Praktycznie ją teraz niósł, ona tylko powłóczyła nogami w wodzie. Tył jego głowy bolał jak cholera. Organizm pompował adrenalinę do krwi, mięśnie drżały jak szalone.

Z magazynku doszło ich więcej uderzeń i trzaśnieć.

*Jeszcze dwadzieścia sekund. Potem znajdą się tutaj.*

Przed nimi Lacey przeszła obok owalnego stołu obłożonego przemoczonymi książkami i wydostała się z pomieszczenia przez wejście do sklepu z pamiątkami. Pielgrzym ciągnął za nią Alex i po chwili znalazł się z powrotem w wysoko sklepionym hotelowym atrium przy głównym wejściu.

Lacey spojrzała na niego. Desperacja i niezdecydowanie malowały się na jej twarzy, a Pielgrzyma kusilo, żeby pokierować ją prosto na przód budynku, dzięki czemu mogliby uwolnić się od tego miejsca i znaleźć z powrotem pod nocnym niebem. To by jednak oznaczało przebywanie na otwartym terenie i brak możliwości

ukrycia się. Mogliby ich wystrzelać jak kaczki, zanim dotarliby na drugą stronę parkingu.

Skinął w stronę schodów ruchomych.

– Dalej, do przodu. Na parking.

Raz jeszcze skinęła głową i odwróciła się, po czym poprowadziła ich przez atrium. Woda pieniała się wokół ich kolan, światło księżycy padało na fale kilwateru tworzącego się za ich postaciami. Pielgrzym wniósł Alex cztery stopnie, dzięki czemu wydostała się z wody. Mięśnie jego ud drżały. Przemoczone spodnie ciążyły mu na nogach, a buty wypełniał ołów. Przed nimi rozciągał się błyszczący korytarz, stoiska z preclami i watą cukrową cicho nęciły. Ich buty piszczały, gdy szli obok donicy z przerośniętą rośliną. Widzieli otwierające się na zewnątrz szklane drzwi i promienie księżycowego światła malowały płytki podłogowe w białe prostokąty. Obok nich przewrócony kosz na śmieci przytrzymał drzwi na oścież.

Od strony sklepu z pamiątkami dobiegły ich krzyki, wrzaski i trzaśnięcia. Coś bardzo dużego się przewróciło.

– Lacey – wydyszał. – Karabin. Podaj go.

Dziewczyna była jakieś trzy metry przed nimi, ale obróciła się i podbiegła, podając mu broń bez zbędnych pytań. W zamian przekazał jej pieczę nad kobietą i Alex padła w objęcia dziewczyny.

Lacey złapała ją i odezwała się po cichu:

– No dalej, Alex. Już prawie. Jeszcze trochę.

Kobieta pociągnęła nosem i wykrzesła z siebie resztki sił, by się wyprostować, po czym powlekły się razem, stawiając bolesne, chwiejne kroki.

Pielgrzym patrzył na nie przez sekundę, a następnie ruszył do stoiska z watą cukrową. Roleta nie była uniesiona, ale pomajstrował przy niej chwilę i wszedł. Patrząc na Lacey i Alex, oparł łokieć na blacie ze stali nierdzewnej i przytrzymał lufę nieruchomo. Obserwował, czekał i nasłuchiwał, a dziewczyny szły chwiejnym krokiem dalej i dalej.

Stanęły.

– Pielgrzymie! – krzyknęła dziewczyna.  
– Nie zatrzymujcie się! – zawołał, nie odrywając oczu od czterech stopni prowadzących w dół do zatopionego atrium.

– Ale...

– Idź, do cholery! Rób, co mówię!

Ich prześladowcy musieli zobaczyć Lacey i Alex, ponieważ podniósł się krzyk, a dwie pierwsze osoby przeskoczyły przez ostatnie zalane stopnie i znalazły się na szczycie schodów. Mężczyźni. Postawni. Księżycowa poświata odbijała się od broni, którą nieśli.

*Zabij ich.*

Serce waliło mu jak młot, ale wypuścił powietrze w długim wydechu i nacisnął spust. Wsunął do komory kolejny nabój, kiedy pierwszy z mężczyzn potykał się i upadał. Drugi, ten o zaplatanej brodzie, nadal gapił się na poległego towarzysza, kiedy odrzuciło go o krok. Kula trafiła prosto w klatkę piersiową. Pielgrzym dostrzegł nieznaczne poruszenie przy ruchomych schodach i upewniając się, że nie celuje w głowę, wypalił po raz trzeci.

Jęknięcie.

Strzały.

Plusk wody.

A potem cisza, nie licząc chlupotu poruszonej wody i bolesnego jęku, który dobywał się z ust jednego z rannych.

*Nie utrzymasz tej pozycji w nieskończoność.*

Nogi mu się trzęsły. Kropla wody zwisała mu z nosa.

– Czas się poddać, koleżko! – zawołał niedbale ogolony, a echo jego słów odbiło się od wysokiego sufitu i ścian. – Nie mam pojęcia, kim jesteś, ale nie ma mowy, żebyś się stąd wydostał!

Pielgrzym nie zamierzał zwracać mu uwagi, że Lacey i Alex wychodziły już z terenu kasyna i ogolony ze swoją bandą niewiele mogą na to poradzić.

*Chyba że niektórzy wyszli od przodu i próbują im odciąć drogę –* podpowiedział jego głos.

Pielgrzym kucnął i znalazł osłonę w łuku nad przejściem za ladę.

Wychylił się na moment i popatrzył w górę korytarza. Ani śladu Lacey i Alex.

Ogolony mężczyzna krzyczał dalej:

– Odłóż broń i wyjdź z ukrycia, to zabiję cię szybko. Co ty na to? To znacznie lepsze wyjście, niż gdybym miał ci wyciąć wszystkie narządy po kolei, co nie?

*Rozgniewałeś go.*

Pielgrzym był pod wrażeniem, że facet w ogóle stoi na nogach. Zdrowo przywalił jego łysym łbem o tamtą kuchenkę.

Pielgrzym zgadywał, że dzieli go jakieś pięćdziesiąt metrów sprintu od przesuwanych szklanych drzwi. Wyeliminował przynajmniej dwóch ludzi. Nawet teraz co najmniej jeden może próbować go zająć z boku, obchodząc budynek od przodu i zbliżając się do bocznych wejść, gdzie mogli dostrzec dziewczyny.

*Kto wie, czy ten cały rozgardiasz nie przyciągnął tamtych dwóch, którzy przeprowadzali zwiad, i wszystkich, którzy znajdują się piętro wyżej.*

Pielgrzym myślał tylko o tym, że nie zostawił dziewczynie broni. Zabrał jej karabin i teraz nie miały się czym bronić.

– Kurwa – wymamrotał, a następnie podniósł głos. – Dumont i doktor nie żyją! – Dał chwilę tym nowinom, żeby wybrzmiały odpowiednio. – Coś mi się zdaje, że przed chwilą zwolniły się u was dwa miejsca pracy i może powinniście skupić swoją energię na zdecydowaniu, kto teraz rządzi, a nie na ganiu trojga nieznajomych, którzy nic dla was nie znaczą!

Przysłuchiwał się uważnie echu, jakim odbijał się jego głos, blednąc przy tym. Dobiegły go niskie pomruki, kiedy mężczyźni zaczęli rozmawiać.

Z początku trudno było określić lokalizację faceta z ogoloną głową, zwłaszcza że dźwięk odbijał się echem. Ale kiedy znowu zaczęły padać obelgi, Pielgrzym zredukował liczbę możliwych kryjówek i zdawało mu się, że wie, gdzie ukrywa się jego przeciwnik.

*Już bardziej rozproszeni nie będą.*



Pielgrzym wyszedł zza lady i strzelił w dużą donicę.

Rozpadła się na kawałki.

Ruszył biegiem.

Usłyszał krzyk zaskoczenia, ale pokonał już dziesięć metrów. Głowę pochylił, a karabin trzymał w połowie, dzięki czemu mógł swobodnie biec. Oczekiwał wystrzałów, ale się nie doczekał. Albo chcieli złapać go żywcem, albo oszczędzali amunicję na moment, kiedy będą mogli go wyeliminować. Zmarnowali już cały magazynek w składziku.

Nie zwolnił, gdy dotarł do przesuwanych drzwi, ale skoczył nad przewróconym koszem na śmieci, który je podtrzymywał, i lewą nogą o niego zahaczył. Przez kilka następnych metrów utykał jak pijak, jednak złapał równowagę i pomknął sprintem pod osłoniętym portykiem i w górę asfaltowej ścieżki w stronę piętrowego parkingu.

Wiedział, że to już jego ostatni zryw. Płuca płonęły żywym ogniem, oddech palił gardło, jakby przelykał ostry żwir, a nogi stawały się coraz słabsze, uginały się, drżały i zaraz mogły odmówić posłuszeństwa. Musiał jedynie dostać się do piętrowego garażu. Czarne jak smoła wrota zdawały się szeptać zachęcająco, wręcz przyjaźnie, że jeszcze tylko kawałek i ciemność połknie go w całości, a wszystkie te cudowne cienie pospieszą, by go powitać, by zaprosić do środka. Jeszcze tylko kawałeczek...

Ale zanim dotarł do bariery, odnalazła go para oczu o niezwykle jasnych białkach. Dwa snopy światła go oślepiły. Stanął i odwrócił głowę w bok. Ryk zagubionego kolosa rozdarł powietrze i sprawił, że ziemia pod jego stopami zadrżała. Rozbudzona bestia powstała z podziemi piętrowego parkingu i pokazała mu swój prawy bok. Był prostokątny, w kolorze złamanej bieli. Niegdyś błyszczący, teraz wyblakły i zabrudzony.

Kamper. Coachmen, a może Itasca.

Przez chwilę Pielgrzym był w szoku, ale potem przyszło mu do głowy pytanie, czy kiedykolwiek przyzwyczai się do niespodzianek ze strony Lacey.

*Niczego mniejszego nie było?*

Boczne drzwi otworzyły się na oścież, obijając się o bok samochodu, zamek był albo zepsuty, albo nie zdążył zadziałać odpowiednio.

Kierowca raz jeszcze położył dłoń na klaksonie i białawy potwór wydał z siebie głośny ryk. Pielgrzym zapragnął zapaść się pod ziemię. Odruchowo zmienił kierunek, odwrócił się, by pobiec wzdłuż boku samochodu, chcąc wspiąć się do brzucha bestii.

Usłyszeli strzały. Kule odbiły się o ściany kampera, przeganiając Pielgrzyma do przesuwanych drzwi. Wrzucił karabin, chwycił się oburącz obramowania i wisiał tak przez chwilę. Ciemne, nieprzyjazne wnętrze. Przyłożył palce do oczu, nosa i gardła. Deszcz kul zabębnił o przesuwne drzwi, przez co uderzyły go w ramię, a jedna z nich przebiła pleksiglasową płytkę, której odłamek ranił go w twarz.

Zawroty głowy dopadły go raz jeszcze. Poczuł, jak przechyla się do tyłu, a chwyt palców słabnie. Wyobraził sobie, jak zsuwa się i wpada pod koła samochodu, które go rozjeżdżają, tak że na asfalcie zostają po nim tylko ciemne smugi. Wóz skręcił ostro, a on wpadł do środka. Potknął się o postrzępiony dywan i runął na stół, waląc biodrem w jego krawędź. Przechylił się nad nim i zaczął rzeźnić, walcząc o oddech.

– Pielgrzymie!

Lacey. Obróciła się, jej przerażone spojrzenie szukało go w ciemności.

Kolejne pociski uderzyły w kamper, niektóre przebiły cienkie ściany i uszkodziły umywalkę i szafki. Więcej szkła pękło.

– Jedź! – wrzasnął Pielgrzym, tylko na tyle miał siłę.

Umiejętności dziewczyny w dziedzinie jazdy samochodem nie były może wybitne, ale wystarczyły do czasu, kiedy przejechali przez zatopiony parking i znaleźli wyjazd na wzniesienie. Pielgrzym porzucił swój posterunek na tyłach samochodu – obserwował stamtąd kobiety i mężczyzn, którzy rozpierzchli się po

terenie jak armia zagubionych mrówek na chwilę przed tym, jak oni ponownie wrócili do hotelu – i przeszedł do kabiny kierowcy.

Alex siedziała zgarbiona w fotelu pasażera, napinając się i sztywniejąc, ilekroć Lacey brała zakręt, ale była przytomna. Na jego widok wyciągnęła dłoń. Przez chwilę nie był pewny, czego chciała – nie mógł jej niczego dać. Żadnych tabletek przeciwbólowych, ubrań ani wody. Zrozumiała jego zmieszanie i wyszeptała, że chciała tylko uścisnąć jego dłoń.

Spojrzał na jej wyciągniętą rękę, na szczupłe i pełne gracji palce, te same, o których Lacey mówiła, że potrafią rysować ołówkiem piękne szkice, i nagle zapragnął zobaczyć kształty i linie, które można stworzyć ołówkiem. Chciał zobaczyć zamaszyste pociągnięcia na papierze, złożone rysunki, które przykuwałyby jego uwagę długimi godzinami, sto ukrytych detali, szczegóły zagubione pośród szarych, ołowianych linii.

Podał jej dłoń i patrzył, jak te szczupłe palce zamykają się na jego dłoni i ją przytrzymują. Jej uścisk był ciepły i zdumiewająco silny.

Popatrzył jej w oczy.

– Pielgrzym? – wyszeptała. – Tak masz na imię?

Skinął głową.

– Pielgrzym – powtórzyła. – Dziękuję.

Skinął raz jeszcze, nie znajdował bowiem słów. A kiedy odwróciła głowę i znów oglądała drogę za oknem, ich dłonie pozostały złączone.

## Rozdział 10

Zaparkowali kamper dwie ulice dalej, wewnątrz schowanego, odgrodzonego ceglany murem podwórka. Nie zostawili kluczyków w stacyjce, jak zrobił to poprzedni właściciel samochodu. Wzięli je ze sobą. Choć nikt ich nie gonił na drodze do Vicksburga (Pielgrzym mógł jedynie zgadywać, że po przeprowadzonych przez nich czystkach wybuchła już kłótnia o to, kto powinien objąć przywództwo), włączył radio i postanowił na resztkach baterii monitorować fale w poszukiwaniu aktywności. Usłyszeli co nieco, ale nic, co by ich zaniepokoiło. Większość była niespójna i w niczym im nie pomogła. Mimo wszystko wolał zostawić pojazd w pewnym oddaleniu od domu. Alex nie była w stanie przejść takiej odległości, dlatego wzięli ją z Lacey między siebie. Zanim dotarli do domu siostry Lacey, musieli ją nieść.

Powoli weszli po schodach. Pielgrzym stanął, by z góry popatrzeć na ulicę. Chciałby poświęcić temu więcej czasu, ale Lacey wypowiedziała jego imię niskim, niespokojnym głosem. Nadal istniała możliwość, że ludzie Dumonta – czy może teraz tego ogolonego mężczyzny – będą ich szukali. Pielgrzym był tego świadom. Musieli jednak zdać sobie kiedyś sprawę, że szukanie trójki ludzi w tak dużym mieście przypominało szukanie igły w stogu siana, i zapewne porzucą szybko ten pomysł. Nie oznaczało to, że nikt inny ich nie obserwuje, choćby mężczyzna o przebiegłym spojrzeniu, którego widzieli wcześniej, albo inny cwaniak, który mógł wykorzystać jakoś tę sytuację. Pielgrzym martwił się tym zagrożeniem, natomiast Lacey niezdarnie pokonała dwa ostatnie stopnie, dźwigając Alex. Raz jeszcze wypowiedziała jego imię.

Pielgrzym podszedł do drzwi frontowych i przekreślił zdobioną gałkę, po czym napał na nie ramieniem. Nie widział małego dziecka, które siedziało na podłodze w holu, był zbyt zajęty patrzeniem ponad głową Alex na ulicę – nie widział dziecka, które siedziało u stóp martwej dziewczyny, którą zostawił w fotelu z prostym oparciem, i gapiło na przykrytą chustą twarz Red. Zaskoczone zerwało się na równe nogi. Nie widział również przedmiotu, który dziecko trzymało wcześniej na kolanach. Pielgrzym słyszał jedynie, że Lacey wykrzykuje imię dziecka...

– Addison!

...a potem już czuł ostrą woń prochu, który spłonął podczas strzału. Właśnie wtedy jego spojrzenie przykuł rewolwer z czasów wojny secesyjnej trzymany przez dziecko zapewne dokładnie w ten sam sposób, jakiego nauczyła je mama, kiedy jeszcze żyła.

Był to bardziej zabytek, który dawno temu należało oddać do muzeum, zamiast używać w obronie własnej w domu. Pielgrzym wiedział, że musiało dziewczynce zająć chwilę, zanim odciągnęła kurek, rewolwer wyglądał na nieporęczny w jej małych dłoniach. To cud, że zdołała go unieść, a co dopiero utrzymać na tyle stabilnie, by wystrzelić. Odrzut przewrócił małą na plecy i broń wypadła jej z ręki, choć Pielgrzym nie sądził, że zdążyłaby ponownie odciągnąć kurek, zanim Lacey by do niej podbiegła.

Wystarczył jednak ten jeden strzał. Kula trafiła Pielgrzymą z lewej strony klatki piersiowej, przebijając dziurę na wylot. Zachwiał się na piętach.

Naszło go poczucie lekkości, prawie jakby grawitacja się odwróciła i bujała nim teraz, zamiast przytrzymywać go w miejscu. Uszy mu się zamknęły, a cisza dudniła. To powinno zwrócić jego uwagę, ale czuł się taki senny i spokojny. Patrzył, jak Lacey podbiega do dziewczynki. Widział to wszystko w zwolnionym tempie i miał cały czas tego świata, by obserwować, jak blada, brudna twarz wykrzywia się z przerażenia, a mała obraca się na pięcie i wybiega z holu. Lacey pobiegła za nią, kopiąc przy okazji rewolwer, który zakreślił się i odbił od błyszczącej mahoniowej

boazerii. Wreszcie coś sprawiło, że Lacey się zatrzymała i obróciła. Odszukała jego oczy, a jej twarz stężała, nie ze strachu, ale z jakiegoś pokrewnego uczucia, którego Pielgrzym nie mógł tak do końca zidentyfikować ani nazwać. W pewnym momencie nazwa pojawiła się znikąd.

Rozpacz.

Nadal wszystko działo się tak wolno, że Lacey dopiero po chwili do niego dobiegła. Miał dzięki temu mnóstwo czasu, żeby oprzeć się o ścianę i żeby Alex, która wciąż stała obok, mogła nieudolnie spróbować go przytrzymać, by nie upadł na podłogę.

Spokojnie obserwował ich twarze i intensywność uczuć, jaka się na nich malowała, kiedy sięgały ku niemu. Uniosły mu koszulę, pogrzebały przy klatce piersiowej, a ich dłonie błyszczały jak ta wypolerowana boazeria. Błyszczały jednak czerwienią i z boazerią nie miały nic wspólnego. Nie mógł nic poradzić na to, że przypomniał sobie, jak Lacey opowiadała, że mieszkała samotnie w domu babci i jak inne było życie na zewnątrz. Była niczym dryfująca zjawą, której czyny i myśli nie wpływały na nic ani na nikogo. Zastanawiał się, jak to jest umrzeć.

Dźwięki powoli do niego wracały i słyszał, jak ktoś w kółko powtarza te same słowa.

– Wszystko w porządku, wszystko w porządku, wszystko jest w porządku.

Zdał sobie sprawę, że to on wypowiada te słowa. Że próbuje się upewnić, pocieszyć. Ani kobieta, ani dziewczyna go nie słuchały. Dlatego po chwili chwycił ich gorące dłonie i powiedział:

– Słuchajcie. – Ale nadal nikt go nie słuchał i musiał powtórzyć raz jeszcze, głośniej: – Słuchajcie.

Uspokoily się.

– Wszystko w porządku – powtórzył.

Lacey wybuchła płaczem.

Uścisnął jej dłoń.

– Nie, nie rób tego. Nareszcie masz rodzinę. Alex, Addison i Głos. Miała jedną rękę wolną, więc wytarła łzy, rozmazując krew po

policzku.

– Co? – wyszeptała.

– Nazwałaś mnie Pielgrzymem. Tylko on o tym wiedział. Słyszysz go. Wiem o tym.

– Skąd...

Nie dał jej skończyć. Czuł, że ciemność czeka na niego za każdym razem, kiedy mrugał. Musiał rozwierać oczy na siłę, bo ten mrok przyzywał. Chciał, by został.

– Nie możesz nikomu powiedzieć... skąd go masz. Nikomu. Rozumiesz?

Musiał ścisnąć jej dłoń za mocno, bo aż się wzdrygnęła.

– Obiecuj – powiedział z trudem.

Kiwnęła głową.

– Obiecuję. Nie powiem.

– Dobrze... To dobrze. – Odprężył się, jego uścisk zelżał. – Kiedyś... Miałem prawdziwe imię. – Słowa wydostawały się teraz z jego ust z coraz większym trudem, walczył, żeby nabrać powietrza. – I siostrę. Mówiłem ci... O niej. Chciałem stać się duchem, zapomnieć o wszystkim. Ale nie mogę wyrzucić z głowy barw. A może to one... Nie chcą zapomnieć o mnie. – Zamyślił się i zagubił w swoich myślach. – Violet – wymamrotał. Moja siostra. Fiolet. I jeszcze Red, Ruby. Czerwień. – Usiłował skupić się z powrotem na Lacey. – I ty – wyszeptał do niej. – W moich oczach jesteś barwą. Tak jasną... Że boli od samego patrzenia.

Pozwolił powiekom się zamknąć nie dlatego, że patrzenie na nią raniło mu oczy, po prostu widział ją niezależnie od tego, czy były otwarte, czy nie. Była dla niego wszystkimi barwami. Rubiny, czerwienie, fiolety. Wszystkie kolorowe iskry rodziły się w niej.

Jego klatka piersiowa była jak słońce przechodzące w supernową. Płonęła od środka. Życie wylewało się z niego przez dziurę ziejącą nad sercem, a on trzymał się bolesnego obrazu barw i Lacey.

– Nie odchodź – błagała, a była tak blisko, że czuł, jak jej słowa osiadają na jego twarzy jak pajęczyny we wszystkich kolorach tęczy, lekkie i ciężkie zarazem. – Nie chcę, żebyś odchodził. Proszę,

nie rób tego. Ty też jesteś teraz częścią mojej rodziny. Nie zostawiaj mnie, proszę.

Walczył teraz o każde słowo.

– Nie powinnaś... się bać.

Wyplakała jego imię. Pielgrzym, a nie Skaut. Podobało mu się, jak dźwięk jego imienia brzmiał w jej ustach.

– Nie jesteś już... Sama...

Z całych sił próbował wymówić jej imię, ale ukradł mu je czas.

Głos w jego głowie wyszeptał: obroń ją. I Pielgrzym spróbował wymówić te ostatnie słowa na swoim ostatnim, rzęzącym oddechu, ponieważ były one ważne – wiedział, że musi, tak samo jak wiedział, że już niedługo spocznie w ziemi – ale nie był pewien, czy powiedział je dość głośno, by ktokolwiek usłyszał. Dziewczyna i jej skrzące się kolory oddalały się od niego i w ciemności, kiedy już dryfował w pustce, głos przemówił raz jeszcze. Nie należał już do niego, nie był nawet pewien, czy kiedykolwiek tak było, choć intonacja i sposób mówienia pasowały do tego głosu bardzo dobrze. Teraz Pielgrzym nabrał perspektywy, która pozwoliła mu dostrzec indywidualne brzmienie, rozdzielność. Ten głos miał własną tożsamość.

*Po tym wszystkim to dziecko cię powaliło.*

Pielgrzym chciał pokręcić głową, ale z niczym się już nie łączyła. Nie miał karku, ramion, niczego. Wszystko znikało i wkrótce miało zostać zapomniane. To mu pasowało, był dobry w zapominaniu.

*Siedmiolatka – dorzucił głos.*

Pielgrzym się nie zgadzał, ale jego myśli były jak płatki śniegu, trudno było je złapać, a do tego szybko topniały. Nie mógł ulepić z nich słów niezależnie od tego, jak bardzo się starał. Chciał powiedzieć, że nie była tylko dzieckiem. Krew Lacey krążyła w jej żyłach i dzięki temu była wyjątkowa.

I po tych licznych doświadczeniach z dziewczyną po raz pierwszy nie był zaskoczony tym, jak to wszystko się skończy.

Uśmiechnął się na tę myśl, choć nikt już tego nie zobaczył.



## CZEŚĆ OSTATNIA

Dziewczyna, która stała się Pielgrzymem

## Rozdział 1

*Już czas* – stwierdził Głos.

Lacey stała w kuchni przy tylnych drzwiach i patrzyła z ganku na podwórko swojej siostry. Spędziła tutaj dużo czasu w ciągu ostatnich czternastu dni. Miała stąd dobry widok na kwadratowy plac, na którym przekopana ziemia wskazywała miejsca grobów. Kopanie w tej grudzie błota nie należało do łatwych czynności. Deszcz spulchnił ziemię, a i tak zajęło jej to kilka godzin. Nie przestała pracować, dopóki na dłoniach nie utworzyły się odciski, a oczom nie ukazała się dziura o rozmiarach ponad dwa metry na metr osiemdziesiąt. Robiła się przygnębiająco dobra w kopaniu mogił.

*Już czas* – powtórzył Głos.

– Może nie jestem jeszcze gotowa – powiedziała Lacey, gapiąc się na drewniany krzyż. Zbiła go z nóg któregoś z krzesel.

*Może nigdy nie będziesz gotowa, ale nie możemy tutaj zostać na zawsze.*

Dwa tygodnie temu wyniosła Red do grobu, który przygotowała, i ułożyła ją w takiej pozycji, w jakiej martwa dziewczyna zeszywniała, siedząc w fotelu. Leżała na dnie płytkiego dołu delikatnie zwinięta na boku, jakby ułożyła się do długiej, spokojnej drzemki. Palce miała czarne jak po zanurzeniu w atramencie, a reszta jej skóry pozostawała sina, jakby wykonano ją z lekko zzieleniałego marmuru, ale zapach śmierci i rozkładu był dziwnie słaby. Zauważalny, ale nie przytłaczający.

Następnie Lacey wróciła do holu i długo patrzyła na Skauta. Wydawał się... zadowolony. Dziwne bez wątpienia, ale nie dało się

tego inaczej ująć. Wyglądał, jakby spał. Jego twarz emanowała spokojem. Zniknął gdzieś ponury grymas, który często wykrzywił mu usta i mrużył oczy.

Wyszeptała jego imię. Nadal było dla niej nowe.

*To już nie jest Pielgrzym – ze smutkiem powiedział Głos. – Dotarł do końca swojej podróży.*

Próbowała podnieść Skauta od tyłu, chwytając pod pachami, ale był za ciężki. Ograniczyła się do ciągnięcia go tyłem za obute stopy po wypolerowanej drewnianej podłodze. Uderzył głową kilka razy o schody, kiedy ściągała go z ganku, a ona krzywiła się przy każdym łupnięciu, przepraszając go za tak kiepskie traktowanie.

Położyła go obok dziewczyny. Czerwoną chustą zakryła twarz Red, a po chwili pochyliła się i odwiązała bawełnianą bandanę Skauta i wepchnęła sobie do kieszeni. W zamian włożyła mu do kieszeni na piersi *Jakiś potwór tu nadchodzi* w miękkiej okładce. Zaczęła czytać to Posy'emu w tamtej chłodni i skończyła lekturę przy łóżku Alex, kiedy ta wypoczywała i zmagала się z gorączką. Oczy Lacey skakały wtedy bez przerwy między tekstem a twarzą kobiety, aż ta uspokoiła się i zapadła w sen. Oddawała mu teraz tę książkę, bo chciała, żeby miał co czytać podczas swojej następnej podróży. I by przypominała mu o niej.

Dotknęła przez koszulę świętego Krzysztofa – zauważyła, że ostatnio zdarza jej się to coraz częściej – i pożegnała się po raz ostatni. Zakopała dół. Przez cały czas, kiedy sypała ziemię na Pielgrzyma i Red, cieszyła się, że nie będą tam sami. Będą przecież mieli siebie nawzajem. Dwoje podróżników, których drogi przecięły się mimo wszystko.

Wahała się, co napisać na krzyżu wykonanym z nóg krzesła. Nie miał na imię ani Pielgrzym, ani Skaut. Zdecydowała się w końcu na inne pojedyncze słowo i nakreśliła je powoli i ostrożnie.

**OBRONCA.**

Tak brzmiała wiadomość umierającej Red, tajemne słowo, którego Lacey nie rozumiała. Z początku sądziła, że to ostrzeżenie przed ciężarówką, na której ktoś wypisał to samo słowo, mające na

celu odwieść ich od kontaktu z osobami w środku. Ostrzeżenie wydawało się wyraźne i dopiero później Lacey w pełni zdała sobie sprawę z jego znaczenia. Dopiero teraz było dla niej jasne jak słońce zachodzące obojętnie nad grobami: ona, Alex i Pielgrzym byli obrońcami. Chronili siebie nawzajem. Zaczynali jako obcy sobie ludzie, ale razem stali się silniejsi, niż kiedykolwiek mogli być osobno. Była pewna, że to właściwe epitafium. W końcu był najwytrwalszym obrońcą z nich wszystkich.

Może właśnie o to mu chodziło w tych ostatnich słowach. Przekazywał swoją rolę. Jej nową powinnością było chronienie siostrzenicy i Alex pod jego nieobecność, teraz to ona jest odpowiedzialna. Była gotowa sprostać temu obowiązkowi i sam fakt, że Pielgrzym zaufał jej na tyle, by przydzielić jej to zadanie, tylko wzmacniał to poczucie. Może nie była to rodzina, jaką sobie wcześniej wyobrażała, ale kochała ją mimo wszystko z całych sił.

*Lacey?*

Głos nie musiał już nic mówić. Lacey opuściła swoje stanowisko przy tylnych drzwiach i poszła na górę. Znalazła Alex i Addison w głównej sypialni. Alex siedziała po turecku na narzucie łóżka z Addison naprzeciwko w tej samej pozycji. Choć siostrzenica Lacey nie mówiła dużo – jej słownik ograniczał się z grubsza do podstawowych konstrukcji zdaniowych i rzeczowników, z których jej ulubione dotyczyły jedzenia, misia i miejsc, gdzie mogła się schować – to szybko nauczyła się ich imion i każdego dnia dodawała do słownika nowe słowa. Uczyła się błyskawicznie.

Kilka dni po nakreśleniu słów na krzyżu Lacey jak co dzień siedziała na schodach ganku z tyłu domu i nasłuchiwała, czy po ulicach nie krąży jakaś ekipa zwiadowców. Robiło się chłodniej, słońce chyliło się już ku zachodowi, a ona zamierzała przenieść się do środka. Nie słyszała nadchodzącej Addison, aż dziewczynka usiadła obok. Była ekspertką w podkradaniu się do ludzi. Lacey doszła do wniosku, że mała musiała się tego szybko nauczyć, żeby przetrwać. Podobnie chowania się, Addison i w tym była

niesamowita.

Lacey uśmiechnęła się do niej łagodnie.

– Cześć.

Dziewczynka nie patrzyła jej w oczy. Splotła ciasno ręce na klatce piersiowej i bujała się w miejscu, siedząc na samej krawędzi stopnia.

– Zimno ci? – zapytała Lacey. Uniosła rękę, tak by Addison widziała, jakie ma zamiary, i ostrożnie objęła nią ramiona siostrzenicy. Ta zeszywniała, ale się nie odsunęła, więc Lacey nie zabrała ręki.

Siedziały w ciszy przez jakiś czas i obserwowały, jak słońce dotyka ostatnich części podwórka, maluje trawę na czerwony kolor. Wreszcie Lacey zaczęła mówić. Opowiadała o tym, jak Karey pomogła ją wychować i opiekowała się nią. O tym, że kochała Lacey prawie tak mocno, jak ona kochała Karey, bo przecież nikt nikogo nigdy nie kochał tak mocno, jak ona swoją starszą siostrę. I o tym, że teraz tak samo mocno będzie kochała Addison. Powiedziała również, że może któregoś dnia Addison, kiedy będzie już w stanie, opowie jej o tym, co się tutaj stało i gdzie podziała się jej mamusia. Dodała, że dziewczynka może opowiedzieć jej o wszystkim, co powiedziała jej Karey, bo dzięki temu być może Addison poczuje się bliżej swojej mamy i będzie prawie tak, jakby Lacey była cały czas obok. Jakby Addison nigdy nie była sama.

Lacey nadal podziwiała swoją siostrzenicę i jeśli miała być ze sobą do końca szczerą, trochę się jej bała. Addison przetrwała sama w dużym mieście tak długo, bez opieki dorosłych, że było to niesamowite. Lacey nie była pewna, czy jej by się to udało. Ona i Alex wielokrotnie się nad tym zastanawiały i były zgodne jedynie co do tego, że dziewczynka przypuszczalnie prawie nie opuszczała domu przez trzy ostatnie lata. Lacey obstawała jednak przy tym, że Addison pochodziła z dzielnego, twardego rodu – a już szczególnie ze strony rodziny Lacey – więc jeśli ktokolwiek mógł tego dokonać, to właśnie ona. Alex się uśmiechnęła i powiedziała, że z pewnością coś w tym jest.

Siedziały tak razem na schodach ganku, Lacey mówiła do Addison, a z każdą pojawiającą się na niebie gwiazdą dziewczynka mięła, niezauważalnie nachylając się bliżej i bliżej, aż wreszcie przyłgnęła zupełnie do boku Lacey, skulona pod jej ramieniem. Lacey mówiła, aż zaschło jej w gardle, a później mówiła jeszcze trochę. Na temat babci, swojego życia na farmie z Karey, kiedy była zaledwie w wieku Addison, i wreszcie, kiedy już dziewczynka przytuliła się do niej zupełnie, Lacey zaczęła mruczeć swoją ulubioną piosenkę Beatlesów.

Addison uśmiechnęła się, kiedy Lacey weszła do sypialni. Trzy plecaki stały przy ścianie pod oknem, spakowane i gotowe do drogi.

– Bawię się z Lex w koci-koci-łapci!

Dziewczynka trzymała przed sobą otwarte dłonie i odwróciła je teraz w jej stronę. Miała długie paznokcie, zwężające się prawie w szpony, ale trudno było ją namówić na ich skrócenie. Od kiedy Lacey nie była w stanie rozplątać jej włosów i musiała obciąć je na krótko, Addison uciekała na sam widok nożyczek. Jej siostrzenica najwyraźniej nie przejmowała się tym, że zastrzeliła człowieka. Być może nie rozumiała, co zrobiła, a może to nie był jej pierwszy raz. Lacey mieszkała na środku pustkowia z babcią, która robiła co w jej mocy, żeby wnuczka nie poznała świata zewnętrznego i przerażających rzeczy, które się na nim dzieją. Kto wie, co Addison widziała w czasie tych siedmiu krótkich lat swojego życia, niezależnie od tego, jak Karey próbowała ją ochronić, czego akurat Lacey była pewna. Wiek nie miał już znaczenia. Życ i przetrwać można było, jedynie robiąc to, co konieczne. Przetrwać mogła zarówno siedmiolatka, którą zostawiono w tym wrogim świecie samą, jak i szesnastolatka, która żyła w nim nie dłużej niż dwadzieścia dni.

A może po prostu chodziło o to, że Addison nie czuła się winna. Ten wysoki nieznajomy wtargnął do jej domu, do bezpiecznego miejsca, i musiała się bronić. Czy Lacey mogła ją z tego powodu oceniać? Sama odebrała życie mężczyźnie, który z sadyzmem i bez

skrupułów okaleczał jej przyjaciółkę. Nie żałowała tego. A przynajmniej tak sobie wmawiała w jasnym świetle dziennym. Sen przynosił koszmary, które świadczyły o czymś innym.

Alex opuściła dłonie i zwróciła uwagę na milczenie Lacey.

– Wszystko gotowe? – spytała.

Lacey kiwnęła głową raz jeszcze i przysunęła się, żeby przesunąć dłonią po tyle krótko ostrzyżonej głowy Addison. Jej włosy były gładkie, ciepłe i odrobinę sztywne.

– Jesteśmy gotowe. Jak twoje plecy?

– Lepiej. Są tylko trochę sztywne. Jeśli nie będę ruszała się szybko, wszystko powinno być w porządku.

– To świetnie. Powinniśmy jechać. Nie możemy zostać tutaj na zawsze.

– To słowa tego głosu? – Alex się skrzywiła.

Lacey przytaknęła po raz trzeci. Alex nie wypytywała szczegółowo o Głos, a Lacey nie garnęła się do opowiadania o nim. Było dość jasne, że Alex nie czuje się komfortowo, wiedząc o Głosie. Nigdy nie kryła się z brakiem zaufania wobec głosów, a Lacey nie chciała ryzykować ich przyjaźni tym, że obiecała dotrzymać tajemnicy. I dlatego nie rozmawiały o tej sprawie. Bolało ją, że musi przemilczeć tak dużą część swojego życia. Bardzo chciała móc porozmawiać o tym z Alex, wytłumaczyć jej szczerze wszystko i powiedzieć, jak się sprawy mają, żeby zrozumiała i zaakceptowała, że Głos nie jest zły i że można mu zaufać (w końcu to Głos doradził jej, jak zadbać o rany Alex, i Lacey nie była pewna, czy bez niego Alex wydobrzełaby tak szybko), ale nie sądziła, że przyjaciółka ucieszy się na wieść, że pomógł w opiece nad nią.

Właśnie dlatego ignorowała sporadyczne ostrożne spojrzenia posyłane przez Alex, kiedy ta sądziła, że Lacey tego nie widzi. Być może uważała, że jest szalona, a z wariatami lepiej się nie spierać (choć nigdy nie umniejszała ani nie zbijała żadnego argumentu w kwestii Głosu). Lacey przekonała się, że nie przeszkadza jej opinia wariatki, skoro już taka do niej przyłgnęła. Były gorsze

rzeczy na świecie. Poza tym w sumie przyzwyczała się do obecności Głosu.

Co do wspomnień Alex, sprawa miała się tak, że pamiętała jedynie urywki z czasu, jaki spędziła w chłodni. Pamiętała również niektóre pytania zadane przez doktora.

– Chciał wiedzieć, skąd się wzięliście – powiedziała. Leżały twarzą w twarz na łóżku Karey, na tyle blisko, że Lacey czuła ciepły oddech na swoim zimnym nosie. Addison spała niedaleko, zwinięta w kłębek na podłodze. Lacey i Alex szeptały do siebie w ciemności, leżąc z dłońmi złożonymi pod brodami, tak by się nagrzały. Ich oczy błyszcząły w nikłym blasku księżyca, który wpadał przez okno. – Chciał również wiedzieć, gdzie się spotkaliśmy i dokąd zmierzamy. I, niech mnie Bóg ma w swojej opiece, ale chyba mu powiedziałam. Powiedziałam mu o wszystkim.

Nie chciały przeszkadzać Addison, dlatego szeptały i Lacey musiała przypatrywać się ustom Alex, by wiedzieć, co ta do niej mówi.

– Kiedy tam byłam, podsłuchałam rozmowę z tym Dzikim Człowiekiem – dodała cicho. – Ale nie miałam pojęcia, kto to jest. Nie zdałam sobie sprawy, że to ten sam bezimienny mężczyzna z tych wszystkich opowieści, które słyszałam z moją siostrą. Nie wiedziałam, że jest prawdziwy.

Tajemniczy mężczyzna z opowieści, którą Alex snuła przy ognisku, miał normalne imię i zbliżyli się do niego na odległość rzutu kamieniem. W niektóre noce Lacey rozmyślała o tym, że już dawno zostawiła za sobą samotne, acz bezpieczne życie w domku na farmie babci i wkroczyła do koszmaru zasiedlonego przez potwory i mordercze sługi, gdzie nie było się jak schować.

– Mówili o nim szeptem, Lacey. – Głos Alex zniżył się do najsubtelniejszego szeptu. – Był w tym strach, ale również szacunek. I właśnie dlatego to takie straszne. Nie robią tego wszystkiego z poczucia obowiązku. Robią to, bo w to wierzą.

Dała Lacey chwilę na przetrwanie tego wszystkiego, co jej



właśnie powiedziała, a następnie odezwała się ponownie:

– Niedługo przed naszym przyjazdem do Vicksburga załadowali ciężarówkę. W środku było może dwanaście osób, w tym trzy, które przez cały czas były związane. Słyszałam, że wybierają się do jakiegoś miejsca na północy. To jakiś obóz. Nikt nie protestował przed podróżą. Po prostu weszli do samochodu i odjechali. Każdy się podporządkował.

Każdy z wyjątkiem doktora. Alex powiedziała, że najwyraźniej nie lubił ani nie ufał Dzikemu Człowiekowi. Lacey nie sądziła jednak, by doktor lubił kogokolwiek, może poza Dumontem.

– Nie chciał oddawać całej władzy. – Podciągnęły pościel trochę wyżej i wydychały ciepłe powietrze prosto w materiał. Niezależnie od tego, jak blisko Lacey przysuwała się do Alex, nie mogła pozbyć się dreszczy. – Wydaje mi się, że miał to za złe Dumontowi – dodała Alex. – Ale Dumont chciał tylko być po zwycięskiej stronie. Jego motywacją było przetrwanie. Musiał wierzyć, że ma na to najlepsze szanse, jeśli dogada się z tym... Dzikim Człowiekiem.

Dumont był okrutny i skoncentrowany na sobie, ale nie głupi.

Usłyszenie tego wszystkiego jedynie pogłębiło strach Lacey. W jej koszmarnej wersji świata Dzikie Człowiek stał się skrzydlatym stworzeniem o czarnych oczach owada, który przemierzał lotem ziemię, próbując ją odnaleźć.

Posy powiedział jej, że Red również się go bała. Szukał ludzi z głosami, takich jak Lacey, i nie potrzebował nikogo innego. Teraz musiała się martwić nie tylko o siebie, ale także o Addison i Alex. Swoją rodzinę. Było mnóstwo powodów, żeby się bać. A z tego, co mówił Dumont, nie tylko Lacey powinna czuć strach.

Każdy powinien obawiać się tego, co miało nadejść.

## Rozdział 2

Posy podrapał bolący pryszcz pod pachą, a jego brudne paznokcie próbowały wyrwać wyrastający z niego włos. Kiedy tak dłubał, jego oczy podążały za królikiem, który węszył wokół wybiegu. Wiedział, że jego ruchy doskonale maskują krzaki, za którymi kucał. Poza tym stał pod wiatr, więc nie było czuć fetoru jego ciała, mieszaniny zapachu niemytego ciała, szczyn, gówna i dziczy.

Nie rozumiał, co znaczy stać pod wiatr ani jak zrobić wnyki na królika, ale wszystko mu wytłumaczono i teraz musiał jedynie stosować się do poleceń.

Obserwował, jak królik skacze w stronę jego pułapki, i musiał przysunąć brudne dłonie do ust, żeby zdusić chichot. Zwierzę zamarło, podniosło głowę i oczy przypominające guziki rozglądały się, szukały, a mały drżący nos węszył.

Posy również zamarł. Schował głowę w ramionach i nakazał samemu sobie milczenie i bezruch. Zagryzł palce tak mocno, że zbieleły w jego ustach.

Królik ruszył tak szybko, że oczy Posy'ego nie nadążały za nim. Niczym złapany przez niewidzialną dłoń zatrzymał się, a jego skoki zwisały pod uchwyconym łbem i przednimi łapami. Zwierzę rzuciło się w przód i w tył, walcząc z niewidzialnym uchwytem, ale im mocniej ciągnęło, tym bardziej pętla zaciskała się wokół jego szyi.

Posy zaśmiał się i wstał, przebierając w miejscu nogami z podekscytowania. Żuł przy tym dłoń, a ślina ciekła mu po nadgarstku. Głodne jęki wydobywały się z jego gardła. Kiedy usłyszał rozkaz, podbiegł do przodu i klęknął obok miotającego się królika. Usłyszał kolejne polecenie i sprawnie uniknął ostrych

króliczych zębów, złapał go okrutnie za łeb i przekręcił, a trzask łamanego kręgosłupa przesłał przyjemny dreszcz w stronę jego krocza.

Wydostał ciało królika z pułapki i odłożył je na bok, choć bardzo chciał rozerwać wciąż ciepłe ciało i najeść się jego parującymi wnętrznościami. Trzęsącymi się dłońmi nastawił z powrotem pułapkę i uklepał ziemię wokół niej. Miał dobrego nauczyciela. Czekały ich większe pułapki do ustawienia, tak jest, no i większa zwierzyna do złapania. Na znacznie rozleglejszym terenie. Czekają ich dużo pracy.

Posy pokręcił głową i uderzył się wnętrzem dłoni w skroń.

– Tak, tak... – powiedział cicho. – Tym razem przyrządę wszystko jak należy. No wiem. – Łzy napłynęły mu do oczu. – Byłem głodny. Nie głupi, nie bezwartościowy. Po prostu głodny. Nie, nie mów tak. Nie mów tak...

Zacisnął pięści na dwóch kępkach włosów i szarpnął dziko. Uderzył się w skroń mocniej niż poprzednio.

Czasami, kiedy ten inny był szczególnie złośliwy i kazał mu robić rzeczy, których robić nie chciał, Posy żałował, że mężczyzna ze śmiercią w oczach nie pozbył się i jego.

### Rozdział 3

Lacey spędziła większość dwóch poprzednich nocy na przewożeniu wózkiem zapasów dwie ulice dalej, gdzie zaparkowały kampera. Jej siostra wyszła za kierownika sprzedaży detalicznej w miejscowym Walmarcie, dzięki czemu przechowywali imponujący zbiór zapasów w spiżarni, niemniej Addison wyczerpała dużą ich część przez trzy ostatnie lata i została z nich ostatnia półka produktów w proszku i dwa kartony wypełnione czterema tuzinami puszek.

Wcześniej Lacey była niepokieszona, że z parkingu udało jej się zwędzić jedynie niezgrabnego kampera. Niełatwo się go prowadziło, był powolny i trudny do ukrycia. Ale teraz jej nastawienie się zmieniło, kiedy mogły załadować do środka wszystkie zapasy i przerobić go praktycznie w dom na kółkach. Brzydko pachniał, dywaniki i poduszki były poplamione, ale wymieniła pościel na świeżą z szafy siostry i przewróciła materace na drugą stronę, dzięki czemu nie było tak źle.

Upchnęły w plecakach kilka ostatnich rzeczy i zeszły we trójkę po schodach. Lacey poprosiła, by poczekały chwilę, i sama wróciła do salonu. Podeszła do ustawionych pod ścianą regałów i przeszła wzdłuż nich, sunąc palcami po skórzanych grzbietach. Jedna książka trochę wystawała. Wyciągnęła ją, zważyła w dłoni i próbowała poczuć, czy to ta właściwa.

– Jak myślisz, która by mu się spodobała? – zapytała Głos, wsuwając egzemplarz *Moby Dicka* z powrotem na miejsce.

*Wszystkie.*

Przewróciła oczyma.

– Nie mogę przecież zabrać wszystkich. No przydad się na coś.

Wyciągnęła cienką powieść w twardej oprawie i zaczęła odstawiać ją na miejsce, kiedy Głos się odezwał.

*O ta. Ta przypadłaby mu do gustu.*

Wyciągnęła ją z powrotem i przeczytała złote litery wytłoczone na brązowym, skórzanym grzbiecie książki. *Władca much* Williama Goldinga.

– Dobra jest? – spytała, przerzucając strony.

*Pojęcia nie mam. Nie czytałem.*

– To skąd...

*Po prostu wiem. Weź ją.*

Schowała książkę i już miała wychodzić, gdy Głos znowu się odezwał.

*Tę też zabierz. Ta sama półka, stoi po prawej stronie.*

Wyciągnęła dłoń.

*Po tej drugiej prawej...*

Jej palce pofrunęły z powrotem do ozdobnej srebrnej ślimacznicy na czarnym jak smoła plecionym grzbiecie. Powiodła opuszką po delikatnym, filigranowym wręcz wzorze.

*Tak, o tej mówilem.*

Jej oczy powędrowały w stronę tytułu. *Narzeczona dla księcia.*

*Czytał ją kiedyś. Spodoba ci się. Addison też przypadnie do gustu.*

Wysunęła ją z półki i zapakowała wraz z *Władcą much* do plecaka.

Wróciła do kuchni, gdzie czekały na nią Alex i Addison. Powiedziała im, że jest już gotowa. Ustawily się przy tylnych drzwiach i zamknęły dom. Przeszły przez podwórko, ich stopy szeleściły w przerośniętej trawie. Zwolniły nieco przy grobach, ale nie stanęły. Wyszły przez furtkę i skierowały się alejką do samego jej końca. Stanęły tam obok siebie.

Dłoń Addison poszukała jej dłoni – była mała, cienka skóra przykrywała delikatne kostki – i Lacey ścisnęła ją delikatnie. Addison wyciągnęła rękę w stronę Alex po drugiej stronie i ją również chwyciła.

Alex popatrzyła nad głową dziewczynki i spotkała spojrzeniem Lacey.

– Jesteś gotowa? – spytała.

– Nie za bardzo – przyznała Lacey.

Dziewczynka stojąca obok, której głowa ledwie sięgała jej do ramienia, ścisnęła dłoń Lacey.

– Czas już iść – powiedziała cicho.

Alex się uśmiechnęła.

– Addison jest gotowa.

– No skoro tak...

Alex zaśmiała się cicho i zeszła z krawężnika, trzymając w gotowości stary rewolwer. Wyciągnęła rękę do tyłu i lekko pociągnęła za sobą dziewczynkę. Następnie Addison – środkowe ogniwo ich żywego łańcucha – szarpnęła lekko dłoń Lacey. Ale Lacey ani drgnęła i ich łańcuch się zatrzymał.

Lacey unikała wzroku Alex, gdy ta obróciła się w jej stronę. Schyliła głowę, zanurzyła podbródek w bandanie Skauta, którą obwiązała wokół szyi, i zgarbiła ramiona. Dopadła ją przemożna chęć spojrzenia za siebie. Chciała zawrócić i pójść do domu, w którym pochowała przyjaciela.

Zatrzymał ją Głos.

*Zostawiasz fragmenty siebie wszędzie, gdzie się udasz. Patrzenie za siebie nie sprawi, że je odzyskasz. Najlepiej zrobisz, stawiając jedną stopę przed drugą. Idź do przodu.*

Coś takiego mógłby powiedzieć Skaut. Podobało jej się to.

Oddychała przez ciepłą bawełnę okrywającą jej usta. Kiedy naliczyła dziesięć oddechów, uniosła głowę, wyprostowała ramiona, pewnie zacisnęła palce wokół dłoni siostrzenicy i zrównała się z Alex, dzięki czemu osłaniały dziewczynkę z obydwu stron.

**OBRONĀ JĄ.**

Słowa te wydawały się odbijać echem w jej głowie, niewypowiedziane, ale oczywiste.

Wszystkie trzy poszły naprzód, ramię w ramię.

Lacey nie patrzyła za siebie.

## Podziękowania

Oto część książki, gdzie mogę wyrazić moją wdzięczność wszystkim, którzy pomogli mi w tej podróży, więc zapnijcie pasy, zaczynam.

Wyrazy miłości dla mojej mamy ogólnie za to, że była najbardziej wspierającą mamą świata. Dziękuję mojemu wspaniałemu tacie, który zawsze mówił, że powinnam robić w życiu coś, co mnie uszczęśliwia, nie patrząc na pieniądze czy prestiż. Nigdy nie spodziewałam się, że pisanie przyniesie mi którąś z tych rzeczy, ale zawsze dawało mi radość. Szkoda, że nie możesz tego wszystkiego zobaczyć, tato.

Chciałam też podziękować reszcie mojej rodziny za cierpliwość. Wiem, że spędzam dużo czasu przed monitorem, co jest oczywiście cudowne dla introwertycznej marzycielki takiej jak ja, ale już nie tak wspaniałe, kiedy powinno się spędzać czas z ludźmi i stanowić ogólnie pojętą część tak zwanego świata zewnętrznego (nadal uważam, że jest mocno przeceniony). Wiem, że moje siostrzenice będą wniebowzięte, jeśli je tu wymienię, więc ślę wyrazy miłości Isabelle i Scarlett za to, że są moimi ulubionymi ludźmi na całym świecie.

Wyjątkowo duża porcja podziękowań należy się moim wczesnym czytelnikom, Tomowi Bissellowi i Cath Hancox, którzy mieli – i nadal mają – moje pisanie pod kontrolą.

Ogromne wyrazy podziwu i autorskiej miłości przesyłam mojej agentce, Camilli Wray, i wszystkim w Darley Anderson za ich nieustający entuzjazm i ciężką pracę. CW, jesteście Eltonem Johnem świata agencji literackich!

I na końcu, choć zdecydowanie nie najmniej ważne, podziękowania dla mojej redaktorki Mari Evans (która na swój sposób jest jak Wonder Woman) i utalentowanej zgrai w Headline – zwłaszcza dla Drużyny Obrońcy – za podjęcie ogromnego ryzyka na nieznanym terenie. Za to, że od samego początku byliście pełnymi pasji fanami Pielgrzyma i Lacey. Jestem wam za to wieczna po wsze czasy.



## Źródła

Książka ta jest dziełem fikcyjnym, ale myśli samobójcze i halucynacje zbiorowe są bardzo, bardzo prawdziwe. Spędziłam dużo czasu na czytaniu i chłonięciu wiedzy na te tematy, dlatego gdybyście potrzebowali więcej informacji albo potrzebowali pomocy i wsparcia dla siebie albo kogoś bliskiego, skorzystajcie z którejs z poniższych stron internetowych.

[Mentalhealth.org.uk](http://Mentalhealth.org.uk)

[Papyrus.org.uk](http://Papyrus.org.uk)

[Rethink.org](http://Rethink.org)

[Mind.org.uk](http://Mind.org.uk)

[Hearing-voices.org](http://Hearing-voices.org)

[Samaritans.org](http://Samaritans.org) (ich linia pomocy jest darmowa i dostępna całą dobę pod numerem 116 123)

G.X. Todd  
**POLOWANIE**

Drugi tom serii „Głosy” to pozycja obowiązkowa dla fanów Neila Gaimana, Clive’a Barkera i Stephena Kinga.

Mężczyzna prowadzony przez Głos, który nie należy do niego, podąża w ślad za dziewczyną, powoli tracąc zmysły. Łowy się zaczęły, a jej od jakiegoś czasu nikt już nie broni.

W gospodzie nad morzem chłopak bez języka i Głosu zbiera swoich wojowników. Albus musi znaleźć Lacey, zanim ta padnie ofiarą polowania, i dokończyć dzieło, które zaczęła jego siostra, Ruby.



## **G.X. Todd**

Przeciętny wzrost.

Przeciętna inteligencja.

Wybitna wyobraźnia.

Pochodząca z Wielkiej Brytanii pisarka i mobilna bibliotekarka. Na swoim blogu i w mediach społecznościowych pisze głównie o książkach, graniu na PlayStation 4, redagowaniu książek i nieoglądaniu światła słonecznego przez całe dni, ale także o konstrukcjach z klocków Lego, filmach, muzyce, dietach (które ignoruje), zdrowych nawykach (których nie stosuje) i wycieczkach po Stanach Zjednoczonych.

## Spis treści

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[Cytat](#)

[Notka](#)

[List numer 24](#)

### **CZEŚĆ PIERWSZA: Mężczyzna, który był Pielgrzymem**

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

**CZEŚĆ DRUGA: Dziewczyna, która słyszała Głosy**

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

**CZEŚĆ POMIĘDZY: Człowiek, który był Łazarzem**

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

**CZEŚĆ TRZECIA: Dziewczyna, która się odnalazła,  
i mężczyzna, który nie potrafił się odnaleźć**

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

[Rozdział 7](#)

**[CZEŚĆ CZWARTA: Człowiek, który zatonął](#)**

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

**[CZEŚĆ OSTATNIA: Dziewczyna, która stała się  
Pielgrzymem](#)**

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Podziękowania](#)

[Źródła](#)

[Reklama](#)

[G.X. Todd](#)

[Karta redakcyjna](#)

Tytuł oryginału: Defender

Copyright © 2017 G X Todd

Copyright for the Polish edition © 2017 by Wydawnictwo FILIA

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2017

Projekt okładki: © Mariusz Banachowicz

Zdjęcie: © Stokkete/Shutterstock

Redakcja: Jacek Ring

Korekta: Dorota Wojciechowska

Skład i łamanie: Jacek Antoniuk

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-267-2

# FILIA

Wydawnictwo FILIA

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona

mrocznastrona.pl

Redaktor prowadzący serii: Adrian Tomczyk



**G.X.TODD**

POSTAPOKALIPTYCZNY THRILLER CZERPIĄCY Z KLASYKI GATUNKU  
– FANI KLIMATU *BASTIONU* STEPHENA KINGA,  
TEMPA AKCJI *MAD MAXA* I POETYKI *DROGI* CORMACA MCCARTHY'EGO  
BĘDĄ ZACHWYCENI

# OBROŃCA

„WYBIJA SIĘ PONAD INNE POWIEŚCI ZE SWOJEGO GATUNKU”.  
„GUARDIAN”

FILIA